

# 2012



## KIM STANLEY ROBINSON

Książka uhonorowana Nagrodą Nebula za najlepszą powieść 2012 r.

## Spis treści:

PROLOG

SWAN I ALEX

SPISY (1)

SWAN I WAHRAM

TERMINATOR

Swan i Alex

WYCINKI (1)

WAHRAM I SWAN

Spisy (2)

SWAN I KOT

Io

SWAN I WANG

WYCINKI (2)

Spisy (3)

SWAN W CIEMNOŚCI

Wycinki (3)

SWAN I ZASZA

Wycinki (4)

KIRAN I SWAN

Wycinki (5)

KIRAN I SHUKRA

WYCINKI (6)

WAHRAM I SWAN

Spisy (IV)

INSPEKTOR JEAN GENETTE

Spisy (V)

SWAN I MQARET

WYCINKI (7)

KIRAN NA WENUS

Spisy (VI)

SWAN I INSPEKTOR

Spisy (7)

Wycinki (8)

JAPET

WAHRAM W DOMU

Spisy (8)

Wycinki (9)

WAHRAM, SWAN I GENETTE

SWAN I PIERŚCIENIE SATURNA

Spisy (9)

KIRAN I LAKSZMI

Wycinki (10)

Spacer kwantowy (1)

SWAN I INSPEKTOR

ZIEMIA – PLANETA SMUTKU

SWAN NA ZIEMI

Spisy (10)

LUTON, CHARON, NIX I HYDRA

PAULINE I REWOLUCJA

Wycinki (11)

SWAN W DOMU

Wycinki (12)

SWAN NA WULKANOIDACH

Spisy (11)

WAHRAM NA WENUS

Wycinki (13)

KIRAN W VINMARZE

Wycinki (14)

WAHRAM NA ZIEMI

WYCINKI (15)

Spisy (12)

SWAN W AFRYCE

Spisy (13)

SWAN I WILKI

WYCINKI (16)

WAHRAM I SWAN

Spisy (14)

SWAN I WAHRAM

WYCINKI (17)

SWAN W CHATEAU GARDEN

Spacer kwantowy (2)

INSPEKTOR GENETTE I SWAN

TYTAN

SWAN, GENETTE I WAHRAM

Spisy (15)

EIDGENÖSSISCHE

SWAN I PAULINE

KIRAN NA LODZIE

SWAN I KIRAN

WAHRAM I GENETTE

Spacer kwantowy (3)

WAHRAM

SWAN

WYCINKI (18)

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

**KIM STANLEY ROBINSON**  
2312

Tłumaczyła Małgorzata Koczańska

# PROLOG

Tu zawsze jest przed świtem. Merkury obraca się tak powoli, że można iść po jego skalistej powierzchni wystarczająco szybko, by uniknąć wschodu słońca. I mnóstwo ludzi tak robi. Wielu uczyniło z tego styl życia. Podążają mniej więcej na zachód, zawsze wyprzedzając zbliżający się świt. Niektórzy śpieszą z miejsca na miejsce, przystając tylko, by zajrzeć w rozpadliny, w których wcześniej zainicjowali bioługowanie, zaszczepiając metalofity, po czym szybko zeskrobują nagromadzone pozostałości złota, tungstenu lub uranu i ruszają dalej. Ale większość ludzi wychodzi na powierzchnię tylko po to, by dojrzeć przebłyski słońca.

Stare oblicze Merkurego jest tak pobrużdżone i nieregularne, że terminator planety, strefa nadchodzącego świtu, stanowi szerokie pasmo światła i cienia, czerni i bieli – czarne jak węgiel rozpadliny oraz jaskrawobiałe wzniesienia, które stają się coraz jaśniejsze i jaśniejsze, aż skrzą tak, że ich powierzchnia przypomina rozżarzone szkło – i oto zaczyna się długi dzień. Ten mozaikowy obszar światła i ciemności często ma prawie trzydzieści kilometrów szerokości, nawet jeżeli na równinie linia horyzontu znajduje się tylko kilka kilometrów dalej. Ale na Merkurym niewiele jest płaskich terenów. Nadal są tutaj stare kratery, podobnie jak długie klify pochodzące z czasów, gdy planeta po raz pierwszy ochłodziła się i skurczyła. W tak poszarpanym krajobrazie światło może nagle przeskoczyć ze wschodniego widnokregu daleko na

zachód. Każdy, kto tamtędy wędruje, musi brać pod uwagę tę możliwość oraz wiedzieć dokładnie, kiedy i gdzie najdalej mogą padać promienie słoneczne – i w którą stronę uciekać do cienia, gdyby się wpadło w ich pułapkę.

Albo gdyby się celowo przystanęło. Albowiem wielu ludzi zatrzymuje się podczas wędrowki na klifach i krawędziach kraterów – miejscach oznaczonych przez stupy, kopce, petroglify, inuksuki, lustra, murki, płaskorzeźby. Słoneczni wędrowcy zatrzymują się przy tych znakach, zwracają twarzami na wschód i czekają.

Na horyzoncie widzą czarną przestrzeń nad czarną skałą. Bardzo rzadka neonowo-argonowa atmosfera, powstała dzięki promieniom słonecznym uderzającym w powierzchnię planety, tworzy jedynie ledwie widoczną jutrzenkę przedświt. Ale wędrowcy potrafią wyliczyć czas, więc czekają i obserwują – aż...

...błysk pomarańczowego ognia wytryśnie nad widnokrag...

...krew w ich żyłach przyspieszy. Pojawi się więcej błysków, wzbijających się łun i wstęg, płomieni strzelających ze wschodu, łamiących się na skałach i płynących swobodnie w nieboskłon. W gwiazdy, och – w gwiazdy, by się na nich złamać! W tej chwili osłony na twarzach wędrowców ciemnieją i zmieniają polaryzację, by chronić ludzkie oczy.

Pomarańczowe wstęgi rozbijają się w lewo i w prawo od punktu, z którego padają, jakby ogień płonący za horyzontem rozprzestrzenił się na północ i południe. A wtedy płaszcz fotosfery, powierzchni słońca, zamigocze i znieruchomieje, po czym powoli rozleje się na północy i na południu. Wraz ze zmianą w filtrach twarzoosłony powierzchnia gwiazdy przekształcać się będzie od błękitnego wiru przez pomarańczową pulsującą masę w prosty biały krąg. Wstęgi po prawej i po lewej nadal będą się rozprzestrzeniać – dalej, niż to wydaje się możliwe. Aż okaże się możliwe, że można stanąć na kamieniu naprzeciw słońca.



Pora odwrócić się i uciekać! Zanim jednak niektórzy ze słońcołazów zdołają wyrwać się na wolność, wpadają w pułapkę – a ta się zamyka – dlatego zrywają się, ruszają na zachód, z lękiem, jakiego nie da się z niczym porównać.

Wcześniej jednak – rzucają ostatnie spojrzenie na wschód słońca nad Merkurym. W ultrafiolecie świt wygląda jak nieustanny błękitny wir gorąca. Kiedy dysk fotosfery blaknie, fantastyczny taniec korony staje się wyraźniejszy, pojawiają się magnetyczne łuki i krótkie wstęgi – masy płonącego wodoru przebijające noc. Można na zmianę blokować koronę i spoglądać jedynie na fotosferę słońca albo powiększać widok, aż pojawią się rozpalone, falujące tysiącami komórki konwekcyjne, skłębione szaleństwo ognia spalającego pięć milionów ton wodoru na sekundę – prędkość spalania, która pozwoli gwiazdzie płonąć jeszcze przez cztery miliardy lat. Te długie szpikulce płomieni krążące w tańcu wokół małych czarnych pól – plam słonecznych – wznoszących się wirów w nawałnicy ognia. Masy szpic przepływają jak kłębowiska wodorostów na falach przyboju. Istnieją naukowe wyjaśnienia dla tego wirującego ruchu – różne gazy poruszające się z różną prędkością, zmienne pola magnetyczne, nadające kształt nieustannym wirom ognia – banalna fizyka, nic więcej – ale tak naprawdę zjawisko wywołuje wrażenie życia, o wiele bardziej żywego niż w innych formach. Spoglądając na apokalipsę merkurijskiego świtu, nie można uwierzyć, że słońce nie jest żywe. Wszak słyhać jego ryk w uszach – jego zew.

Większość wędrowców najpierw sprawdza różne rodzaje filtrów optycznych, a potem wybiera takie, które im najbardziej odpowiadają. Poszczególne przesłony lub całe zestawy stają się formą kultu, a ich stosowanie – rytuałem osobistym lub dzielonym z innymi. Łatwo jest zagubić się w misterium – kiedy wędrowcy stoją na swoich punktach obserwacyjnych, nie jest niczym niezwykłym, że czciciel wpada w trans pod wpływem tego, co widzi –

nieznanego wzoru w pulsujących wirach i przepływach, który mamy umysł. Dlatego ludzie czekają za długo z uciezką. I nagle daje się słyszeć skwierczenie gorących rżęs, a potem ryk turbulencji – to łomot krwi w uszach, lecz w takiej chwili brzmi jak płomienny krzyk słońca. Niektórym udaje się wykaraskać tylko z poparzoną siatkówką, inni tracą wzrok, a jeszcze inni giną oszołomieni w skafandrach. Niekiedy spaleni ulegają całe grupy słonecznych wędrowców.

Czy należy sądzić, że to głupcy? Czyżby inni ludzie nie popełniali równie oczywistych błędów? Nie da się stwierdzić z całą pewnością. Tak naprawdę nie wiadomo. Nie można ocenić, dopóki się nie zobaczy. Wydawać by się mogło, że większość ludzkości nawykła do myśli, że w otoczeniu nie istnieje nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę członków wykształconego i wyrafinowanego społeczeństwa. Lecz to nieprawda. Ludzie to stworzenia światła. Jego piękno i groza widziane z tak bliska mogą omamić każdy umysł, wprowadzić go w głęboki trans. To jak patrzenie w oblicze Boga – powiedzieliby niektórzy, prawdą jest bowiem, że słońce daje życie wszelkim stworzeniom w Układzie Słonecznym, zatem w tym sensie można je uznać za boga. Jego widok jest tak zdumiewający, że potrafi wymazać wszelką świadomą myśl z głowy. I są tacy, którzy właśnie tego szukają.

To właśnie powód, by martwić się o Swan Er Hong, osobę bardziej niż inni skłoną do próbowania nowego tylko po to, żeby zobaczyć i się przekonać, jakie będzie. Swan często chodzi na słoneczne wędrowki i równie często narusza granice bezpieczeństwa, a niekiedy celowo zbyt długo pozostaje na punkcie obserwacyjnym. Ogrom drabiny Jakubowej, granulowane pulsowanie, przepływ szpic... Swan zakochała się w słońcu. Czci je, wielbi, w swoim pokoju ma kapliczkę Sol Invictus, a każdego ranka przed wyjściem do miasta przeprowadza ceremonię *pratahsamdhya*, by je powitać. Wiele z jej pejzaży i artystycznych przedstawień jest poświęconych słońcu, a obecnie Swan zajmuje

się tworzeniem rzeźb i instalacji w stylu Andy ego Goldsworthyego oraz Mariny Abramović – tworzywem jest zarówno ziemia, jak i ciało. Słońce zatem stanowi element jej sztuki.

Teraz stanowi również pociechę, ponieważ Swan jest w żałobie. Gdyby stanąć na promenadzie Ściany Świtu, po której wspina się miasto Terminator, można by w oddali na południu ujrzeć artystkę. Powinna się pośpieszyć. Miasto ślizga się po dnie gigantycznej niecki między Hezjodem i Kurasawą, a powódź światła słonecznego wkrótce przepłynie daleko na zachód. Swan musi się skryć, zanim to nastąpi. Jednak kobieta nadal stoi na promenadzie. Ze szczytu Ściany Świtu wygląda jak srebrzysta lalka. Jej skafander ma duży, przezroczysty hełm, buty wydają się duże i są czarne od kurzu. Srebrna obuta mrówka, która powinna już biec do peronu od zachodniej strony miasta. Inni słoneczni wędrowcy właśnie powrócili. Niektórzy ciągnęli niewielkie wózki lub tobogany na kółkach, służące do transportu ekwipunku lub nawet śpiących towarzyszy. Wędrowcy zwykle planują powrót na ostatnią chwilę, ponieważ miasto jest przewidywalne. Nie może zmienić terminarza, ten wyznacza gorąco nadchodzącego dnia, ani trasy, ściśle wytyczonej torami – słońce zmusza Terminatora do wędrowki na zachód.

Powracający słońcołazi tłoczą się na peronie, gdy miasto się zbliża. Niektórych nie było tu od tygodni, nawet miesięcy – zależy, ile czasu potrzeba, by zatoczyć pełny krąg. Kiedy Terminator przesuwa się obok nich, rozsuwają się gradzie i słoneczni wędrowcy wchodzą do środka. Jak się wkrótce okaże, Swan także powinna tam być. Jednak nadal stoi na swoim przyczółku. Parokrotnie potrzebowała operacji siatkówki i nie raz, nie dwa umykała przed śmiercią jak przerażony królik. Teraz znowu się to zdarzy Swan znajduje się dokładnie na południu od miasta, oświetlona daleką luną świtu, niczym srebrzysta skaza w polu widzenia. Ktoś nie może się powstrzymać, by nie krzyknąć na tę brawurę, nieważne, jak bezsensowny jest to odruch.

– Swan, ty wariatko! Alex nie żyje i nic tego nie zmieni! Uciekaj, jeśli ci życie miłe!

I wtedy srebrzysta figurka rzuca się do ucieczki. Życie przeważa nad śmiercią, zwycięża wola przetrwania – kobieta odwraca się i zrywa do biegu. Grawitację na Merkurym, niemal identyczną jak na Marsie, często nazywa się idealną do sprintu, ponieważ ludzie przy tym ciężeniu mogą pokonywać duże odległości długimi skokami, dla utrzymania równowagi wymachując ramionami. Swan w ten właśnie sposób biegnie i robi zamachy – raz potyka się i upada – zrywa się i rzuca ponownie w przód. Musi dotrzeć do peronu, nim miasto go minie, następny przystanek znajduje się dziesięć kilometrów dalej na zachód.

Dociera do schodów, chwytając za poręcz i wybiwszy się, skacze z krawędzi peronu wprost do zamykającej się już śluzy.

# SWAN I ALEX

Uroczystość pogrzebowa Alex zaczęła się, gdy Swan wlokła się jeszcze po centralnych schodach Terminatora. Społeczność wyszła na bulwary i place i przystanęła tam w ciszy. W mieście przebywało również wielu gości, wkrótce miały się zacząć narady i zebrania, w tym jedno zwołane przez Alex. Kobieta powitała przybyłych w piątek, a dziś, dokładnie tydzień później, odbywa się pogrzeb. Nagłe zejście, po którym nie udało się przywrócić jej do życia. I dlatego teraz mieszkańcy i goście dyplomaci – ludzie Alex – są w żałobie.

Swan zatrzymała się w połowie drogi na Ścianę Świtu, niezdolna iść dalej. W dole rozciągały się dachy, tarasy i patia, balkony. Drzewka cytrynowe w wielkich ceramicznych donicach. Zaokrąglone zbcze jak w miniaturowej Marsylii, na nim czteropiętrowe białe apartamentowce o balkonach z ciemnego kutego żelaza, szerokie bulwary i wąskie alejki, opadające na promenadę otaczającą park. Tłocząca się tam ludzkość ulega specjacji na oczach Swan, każda twarz mocno zindywidualizowana, lecz także typowa – olmecki owal, topome, wyraziste rysy. Na balustradzie stoi troje małych, mają najwyżej metr wzrostu, odzianych w czerni. U stóp schodów cisną się słoneczni wędrowcy, którzy właśnie wrócili, zakurzeni i opaleni. Ich widok przeszył bólem serce Swan – nawet oni przybyli na pogrzeb.

Ruszyła znowu w dół, pogrążona w myślach. Kiedy usłyszała wieść, wybiegła z miasta na otwartą przestrzeń, wiedziona potrzebą samotności. Teraz

nie mogła znieść świadomości, że inni będą na nią patrzeć w trakcie rozrzucania prochów Alex. Nie miała teraz ochoty spotkać Mqareta, partnera Alex. Zatem wymknęła się do parku, by zniknąć tłumom z oczu. Tam też nie była sama, wszyscy ludzie stali w bezruchu, z uniesionymi głowami i wzrokiem wbitym w niebo, wyglądając na przygnębionych. Starali się podtrzymywać, na duchu. Tak wielu polegało na Alex. Była Lwicą Merkurego, sercem miasta. Duszą społeczności. Osobą, która pomaga i chroni.

Niektórzy rozpoznali Swan, ale zostawili ją w spokoju – to bardziej ją wzruszyło niż kondolencje, po twarzy popłynęły jej łzy, raz po raz musiała je ścierać palcami. Potem ktoś ją zaczepił.

– Ty jesteś Swan Er Hong? Alex była twoją babką?

– Była moim światem. – Swan odwróciła się i odeszła. Pomyślała, że może farmy będą mniej zatłoczone, więc opuściła park i powędrowała między drzewami. Przez głośniki miasta popłynął marsz żałobny. Pod krzakami sama zanurzyła chrapy w opadłych liściach.

Swan jeszcze nie dotarła do farm, gdy otwały się Wielkie Wrota w Ścianie Świtu i błysk słońca przeciął powietrze pod kopułą, tworząc jak zwykle parę poziomych przezroczystych żółtych wstęg. Skupiła się na zawirowaniach pomiędzy promieniami, na chmurze pyłu, jaką wzbijała otwierająca się brama, barwnych pasmach miału wlatujących i rozplywających się, aż znikną. A wtedy z najwyższego tarasu pod murem uniósł się balon, podryfował na zachód, kołysząc podwieszonym pod nim pojemnikiem. Alex, jakże inaczej. Nuta buntu we wzniosłej muzyce łomoczących basów. Kiedy balon doleciał do jednej z żółtych wstęg światła, pojemnik rozpadł się z cichym szmerem i prochy Lwicy Merkurego rozprysły się i zawirowały, oddalając do słońca, rozproszyły się i znikły, opadając, jak virga nad pustynią. Z parku rozległ się ryk. Zaraz potem młodzi mężczyźni zaczęli skandować:

– A-lex, A-lex, A-lex!

Wrzawa wzmagała się przez kilka minut, nim wyrównał się rytm okrzyków, które, jak się zapowiadało, potrwią dłużej. Ludzie nie chcieli zakończyć ceremonii, rozumieli, że wtedy naprawdę nadejdzie chwila, gdy stracą swoją opiekunkę na zawsze. W końcu jednak przerwali i zajęli się życiem w epoce po Alex.

• •

Swan musiała dołączyć do rodziny Alex. Jęknęła na samą tę myśl, wędrując po farmach. Wreszcie ruszyła do Wielkich Schodów, sztywno, na oślep, zatrzymawszy się tylko, by powiedzieć:

– Nie, nie, nie.

Ale to było bezcelowe. I nagle to do niej dotarło: wszystko, co zrobi od tej pory, będzie właśnie bezcelowe. Zastanawiała się, jak długo to potrwa – zdawało się, że przez wieczność – i przesyłał ją strach.

W końcu wzięła się w garść i poszła na prywatną uroczystość żałobną na Ścianie Świtu. Musiała przywitać się z tymi, którzy byli jej babce najbliżsi, uściskać szorstko i krótko Mqareta i znieść wyraz jego oczu. Dostrzegła, że mężczyzna nie czuje się swobodnie. To było do niego niepodobne, lecz Swan w pełni rozumiała, dlaczego Mqaret pragnąłby się oddalić. W rzeczy samej doznała ulgi na widok jego zachowania. Ona sama też czuła się źle, ale Mqaret był z Alex o wiele bliżej, spędził z nią więcej czasu – wszak tak długo byli razem – i jego strata zdawała się niewyobrażalna. A może nie. Teraz Mqaret spoglądał na inną rzeczywistość – sprawiał wrażenie, jakby tylko wyświadczał żałobnikom uprzejmość. Dlatego dała radę go objąć i przyrzec, że go odwiedzi, a potem wmieszać się w grupę pozostałych uczestników spotkania na najwyższym tarasie Ściany Świtu. Dużo później Swan podeszła do balustrady i spojrzała na miasto i dalej, przez jego przezroczystą kopułę na

czarny krajobraz. Miasto przemieszczało się przez kwadrant Kuipera, po prawej wznosił się Krater Hiroshige. Kiedyś, dawno temu, Swan zabrała babkę na podnóże tego krateru do pomocy przy rzeźbie, kamiennej fali, która nawiązywała do jednego z najślawniejszych dzieł sztuki japońskiej. Ustawienie wielkich skalnych odłamków w półksiężyc załamującej się tafli wody wymagało wielu prób, wszystkich nieudanych, jak to zwykle z Alex bywało. Swan skończyła sama, śmiejąc się tak, że rozboleł ją brzuch. Nadal mogła dostrzec tę skalną falę – Terminator właśnie ją mijał. Odłamki tworzące grzbiet już jednak zniknęły – zrzucone zapewne przez wibracje przesuwającego się w pobliżu miasta albo po prostu przez napór słonecznego światła. Albo spadły na wieść o Alex.

Kilka dni później odwiedziła Mqareta w pracy. Był jednym z wiodących biologów molekularnych w Układzie Słonecznym, a jego laboratorium wypełniały maszyny, zbiorniki, fiolki, monitory pulsujące guzłowatymi kolorowymi diagramami – istnieniem w całej swojej rozbabranej złożoności, para zasad za parą zasad. Tutaj można było stworzyć życie od podstaw – i je tworzyć. Skonstruowano tu wiele bakterii, które transformowały Wenus, Tytana, Trytona.

Teraz nie miało to znaczenia. Mqaret siedział w biurze i patrzył w ścianę.

Podniósł się i spojrzał na Swan.

– Och... Miło cię widzieć. Dziękuję, że przyszałaś.

– Nie ma za co. Jak się czujesz?

– Niezbyt dobrze. A ty?

– Strasznie – wyznała z poczuciem winy. Nie chciała obarczać Mqareta swoimi problemami. Ale kłamstwo też nie miało sensu. Nie w takiej chwili. Zresztą mężczyzna ledwie skinął głową, pogrążony we własnych niewesołych myślach. Był nieobecny duchem, jak zauważyła Swan. Kostki na jego biurku zawierały schematy protein, fałszywie jasne, pogodne kolory splątane tak, że



nie da się ich rozplątać. Próbował pracować.

– Praca musi być teraz trudna – odezwała się.

– Tak.

– Wiesz, co jej się stało? – podjęła po długiej, pustej ciszy.

Pokręcił krótko głową, jakby chciał powiedzieć, że to nieistotne.

– Miała sto dziewięćdziesiąt jeden lat.

– Wiem, ale...

– Ale co? Ludzie umierają, Swan. Wcześniej czy później każdy z nas umiera.

– Zastanawiałam się tylko dlaczego.

– Nie. Nie ma żadnego dlaczego.

– Zatem jak...

Ponownie potrząsnął głową.

– To mogło być cokolwiek. W tym przypadku tętniak i wylew w mózgu.

Ale jest tyle innych sposobów. Zdumiewające, że w ogóle żyjemy.

Swan przysiadła na krawędzi biurka.

– Wiem. Ale... Co teraz zrobisz?

– Mam pracę.

– Ale powiedziałeś...

Zerknął na nią z głębi swojej duchowej jaskini.

– Nie powiedziałem przecież, że jest bezużyteczna. To nie byłoby właściwe.

Przede wszystkim Alex i ja mieliśmy dla siebie siedemdziesiąt lat. Spotkaliśmy się, kiedy miałem sto trzydzieści. Tak było. Ale mam także pracę, która mnie interesuje i wciąga jak puzzle. To duża układanka. Za duża, jeśli mam być szczerzy...

Przerwał. Przez długą chwilę nie potrafił wykrztusić słowa. Swan położyła mu rękę na ramieniu. Mqaret ukrył twarz w dłoniach. W milczeniu usiadła obok niego.

– Nie uda się pokonać śmierci – wydusił wreszcie. – To za trudne. Odchodzenie jest za mocno wpisane w naturalny porządek rzeczy. W zasadzie to jak drugie prawo termodynamiki. Możemy tylko mieć nadzieję, że jak najdłużej uda się je powstrzymać. Odepchnąć. I to powinno wystarczyć. Nie wiem, dlaczego nie wystarcza.

– Ponieważ to tylko pogarsza sytuację! – pożałowała się. – Im dłużej się żyje, tym gorsza jest śmierć!

Mqaret pokręcił głową, wytarł oczy.

– Nie sądzę, żeby tak było. – Wziął głęboki oddech. – Śmierć zawsze jest zła. Ale to ludzie, którzy nadal żyją, odbierają ją w ten sposób, więc... – Wzruszył ramionami. – Czasem wydaje się, że śmierć to pomyłka. Ktoś umiera, pytamy dlaczego. Nie powinno być sposobu, aby ją powstrzymać. Czasami jednak się udaje. Ale...

– To jest pomyłka! – oznajmiła, objawszy go za ramiona. – Rzeczywistość ma błąd, ale ty go naprawisz!

Wskazała na kostki i ekrany.

– Naprawisz, prawda?

Roześmiał się i zapłakał jednocześnie.

– Prawda! – zapewnił, wycierając twarz. – Ale to głupie. Taka pycha. Mam na myśli naprawianie rzeczywistości.

– Ale to jest dobre – odparła Swan. – Wiesz, że tak. To przyniosło ci siedemdziesiąt lat z Alex. I pozwoli wypełnić czas.

– Racja – westchnął ciężko, po czym spojrzał na nią. – Tylko... Bez Alex nie będzie tak samo.

Prawda tych słów obudziła pustkę w sercu. Alex była dla Swan przyjaciółką, opiekunką, nauczycielką, przybraną babką, zastępczą matką... Tym wszystkim i jeszcze – metodą na wywołanie śmiechu. Źródłem radości. Jej nieobecność wywoływała chłód zabijający emocje, pozostawiający jedynie

mrok pustki. Całkowite odrętwienie, tępe, bezduszne doznanie.

Oto jestem. A to jest rzeczywistość. Nikt przed nią nie umknie. Nie mogę żyć dalej, muszę żyć dalej, lecz nigdy się z tym nie pogodzę.

Chociaż trzeba.

Rozległo się pukanie do laboratorium.

– Proszę! – nieco ostro zaprosił Mqaret.

Drzwi otworzyły się, w progu stanął mały – bardzo atrakcyjny na swój sposób, jak to często się zdarzało w przypadku małych – starszy, szczupły, z jasnymi włosami zebranymi w staranny kucyk, w eleganckiej niebieskiej marynarce. Siegał Swan i Mqaretowi najwyżej do pasa i wyglądał przy nich jak langur lub marmozeta.

– Cześć – przywitał go Mqaret. – Swan, to Jean Genette z asteroid, przyleciał na konferencję. Jean był bliskim przyjacielem Alex, jest też śledczym z ramienia Ligi. Ma do nas kilka pytań. Powiedziałem mu, że może wpaść.

Mały z ręką na sercu skinął głową.

– Moje najszersze kondolencje z powodu waszej straty. Właściwie przyszedłem nie tylko złożyć wyrazy współczucia, lecz przekazać, że wielu z nas martwi się, ponieważ Alex kierowała naszymi najważniejszymi projektami, a jej śmierć nadeszła tak niespodziewanie. Chcemy się upewnić, że te programy będą nadal się rozwijać. Do tego wielu z nas zastanawia się z niepokojem, czy śmierć przywódczyni nastąpiła z przyczyn naturalnych.

– Zapewniłem Jeana, że tak – powiedział Mqaret do Swan, dostrzegłszy wyraz jej twarzy.

Genette nie wyglądał na całkowicie przekonanego.

– Czy Alex wspomniała, że ma wrogów, jest w niebezpieczeństwie lub o podobnych sprawach? – mały zwrócił się do Swan.

– Nie. – Próbowała sobie coś przypomnieć. – Nie była taką osobą. To

znaczy ona zawsze miała pozytywne nastawienie do świata. Pewność, że wszystko się ułoży.

– Wiem. To prawda. Ale właśnie dlatego może pamiętasz, czy kiedyś jej optymizm się zachwiał?

– Nie. Nic takiego sobie nie przypominam.

– Zostawiła jakiś testament lub depozyt? Albo wiadomość? Coś, co należy otworzyć tylko w przypadku jej śmierci?

– Nie.

– Mieliśmy depozyt – wtrącił Mqaret, potrząsając głową. – Nie było w nim nic niezwykłego.

– Mógłbym rozejrzeć się po jej gabinecie?

Alex urządziła sobie pracownię w najdalszym z pomieszczeń w laboratorium i Mqaret skinął głową, po czym poprowadził małego inspektora przez hol do odległego pokoju. Swan poszła za nimi, zdumiona, że Genette wiedział o gabinecie Alex, zaskoczona, że Mqaret tak łatwo wpuścił tam śledczego. Zaniepokoiły ją też słowa o wrogach oraz wzmianka o „przyczynach naturalnych”, sugerująca dokładnie przeciwne przyczyny śmierci. Śmierć Alex badana przez jakiegoś policjanta? Nie mogła w to uwierzyć.

Usiadła w progu, próbując zrozumieć, co to wszystko znaczy, starając się ogarnąć rzeczywistość, podczas gdy Genette przeszukiwał biuro Alex, zaglądając do szuflad, kopiując pliki, przesuwając grubą różdżką nad każdą powierzchnią i przedmiotem. Mqaret przyglądał się temu beznamietnie.

Wreszcie malutki inspektor skończył i stanął przed Swan, przyglądając się jej ciekawie. A ponieważ siedziała na podłodze, ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Wydawało się, że śledczy chce zadać jakieś pytanie, jednak zrezygnował. Poprosił tylko:

– Byłbym wdzięczny, gdybyś mi przekazała, jeżeli sobie przypomnisz coś, co mogłoby okazać się pomocne.

– Oczywiście – przyrzekła niepewnie.

Inspektor podziękował obojgu i wyszedł.

■ ■

– O co chodziło? – zapytała Mqareta.

– Nie wiem – odpowiedział. On także był zaniepokojony, jak zauważyła. – Alex zarządza wieloma przedsięwzięciami. Była jedną z pierwszych przywódczyni Przymierza Mondragonu, a ono ma mnóstwo wrogów. Wiem, że martwiła się problemami w Układzie Słonecznym, ale nie przekazała mi żadnych szczegółów. – Wskazał na laboratorium. – Wiedziała, że mało mnie to interesuje. – Skrzywił się. – Że mam własne problemy. Niewiele rozmawialiśmy o pracy.

– Ale... – zaczęła, lecz nie miała pojęcia, jak dokończyć. – Znaczący... wrogowie? Alex?

Mqaret westchnął.

– Nie wiem. Niektóre z jej spraw toczyły się o wysokie stawki. Istnieją siły przeciwstawiające się Mondragonowi, jak wiesz.

– Ale jednak...

– Wiem. – I po dłuższej chwili: – Czy Alex coś ci zostawiła?

– Nie! Czemu miałaby? To znaczy przecież nie spodziewała się, że umrze.

– Niektórzy ludzie się spodziewali. Ale gdyby Alex martwiła się o utrzymanie tajemnicy lub bezpieczeństwo pewnych informacji, to łatwo potrafię sobie wyobrazić, że wybrałaby ciebie na ich strażniczkę.

– Co masz na myśli?

– Cóż... Czy ona nie mogłaby wrzucić czegoś na twoją qostkę i nic ci nie powiedzieć?

– Nie. Pauline to zamknięty system. – Swan dotknęła się za prawym uchem. – Zresztą ostatnio często ją wyłączam. Alex by tego nie zrobiła. Na

pewno nie rozmawiałaby z Pauline, nie zapytawszy mnie wcześniej o zgodę.

Mqaret znowu westchnął.

– No nie wiem. Mnie też nic nie została, przynajmniej o ile mi wiadomo. To znaczy... To byłoby typowe dla niej, gdyby nam coś podsunęła bez naszej wiedzy. Ale nic mi nie przychodzi na myśl. Po prostu nie wiem.

Skinęła głową.

– Autopsja nie wykazała niczego niezwykłego?

– Nie! – odpowiedział odruchowo, ale zamyślił się. – Tętniak mózgu, zapewne wrodzony, pękł i wywołał wewnątrzmiążgowy krwotok. To się zdarza.

– Gdyby ktoś zrobił coś, co... co wywołałoby krwotok, potrafiłbyś to stwierdzić?

Popatrzył na nią, marszcząc brwi.

Wtedy usłyszeli pukanie do drzwi. Wzdrygnęli się oboje z zaskoczenia. Mqaret wzruszył ramionami, nie spodziewał się nikogo.

– Proszę! – zawołał po raz drugi tego dnia.

■ ■

W progu ukazało się przeciwieństwo inspektora Genette'a: wielki, atletyczny mężczyzna. Wysunięta szczeka, wytrzeszczone oczy – ropucha, traszka, żaba – te słowa wydawały się tak samo brzydkie jak przybysz przywodzący je na myśl. Zaraz też Swan zrozumiała, że onomatopeja zapewne jest bardziej powszechna i ma szersze znaczenie, niż ludziom się zdaje, język imituje tło dźwiękowe świata jak papugi naśladujące odgłosy otoczenia. Poczula lekkie rozbawienie. Ropuch. Kiedyś widziała ropuchę w Amazonii, płaz siedział na brzegu sadzawki, miał wilgotną złoto-brązową skórę pokrytą kurczakami. Spodobał jej się od pierwszego wejrzenia.

– Ach – powiedział Mqaret. – Wahram. Witaj w naszym laboratorium.

Swan, to Fitz Wahram z Tytana. Był jednym z najbliższych współpracowników Alex i jej prawdziwym ulubieńcem.

Mężczyzna opuścił głowę w nieco nienaturalnym ukłonie. Przyłożył dłoń do serca.

– Współczuję – rzekł. Jak żabi rechot. – Alex wiele dla mnie znaczyła, a jeszcze więcej dla nas wszystkich. Kochałem ją, a w naszej wspólnej pracy była najważniejszą osobą, przywódczynią, liderką. Nie wiem, co zrobimy bez niej. A skoro to dla mnie takie trudne, mogę sobie tylko wyobrazić, jak wy się musicie czuć.

– Dziękuję – odparł Mqaret. W takich chwilach ludzie mówili dziwne rzeczy. Ona sama nie powiedziałaby nic podobnego.

Osoba, którą Alex lubiła? Swan dotknęła skóry za prawym uchem, aktywując qostkę, którą wcześniej za karę wyłączyła. Teraz Pauline może udzielić wszelkich informacji, jej cichy, spokojny głos zabrzmiał w uchu Swan. Ostatnio denerwowała się często na Pauline, ale teraz przagnęła nowych wieści.

Mqaret wziął na siebie ciężar rozmowy.

– Co teraz będzie z konferencją?

– Wszyscy zgodzili się, żeby ją odłożyć na inny termin. Nikt nie ma teraz do niej serca. Rozproszymy się i zbierzemy później, zapewne na Weście.

Och, tak. Bez Alex Merkury nie będzie już więcej miejscem spotkań. Mqaret skinął głową, nie zaskoczyło go to ani trochę.

– A ty wracasz na Saturna.

– Tak. Ale zanim odlecę, chciałbym się dowiedzieć, czy Alex coś mi zostawiła. Jakiś przekaz lub dane w dowolnej formie.

Spojrzeli po sobie.

– Nie – odpowiedzieli równocześnie. Mqaret machnął ręką.

– O to samo pytał nas niedawno inspektor Genette.

– Ach. – Ropuch zmierzył ich wytrzeszczonymi oczyma. Zanim rozmowa

się rozwinęła, pojawił się jeden z asystentów i poprosił o pomoc. Mqaret przeprosił i Swan została sam na sam z gościem i jego pytaniami.

Wielkolud z tego Ropucha: szerokie ramiona, wielki tors, wielki brzuch, masywne uda. Krótkie nogi. Ludzie bywają dziwni. Mężczyzna potrząsnął głową i odezwał się znowu, głos miał niski, ochryply – piękne brzmienie, to Swan musiała przyznać, żabie, owszem, ale kojące, z głębokim, wyrazistym timbreem, jak fagot lub saksofon basowy...

– Bardzo mi przykro, że przeszkadzam w takim czasie. Żałuję, że nie spotkaliśmy się w odmiennych okolicznościach. Jestem wielbicielem twoich instalacji krajobrazowych. Kiedy usłyszałem, że jesteście spokrewnione, zapytałem Alex, czy zechciałaby mnie przedstawić. Chciałem powiedzieć, jak bardzo urzekło mnie dzieło w Kraterze Rilkego. Jest naprawdę piękne.

Te słowa zdumiały Swan. W Rilkiem postawiła krąg głazów w kształcie litery T, jak w Göbekli Tepe – instalacja wyglądała bardzo współcześnie, choć nawiązywała do dzieła, które powstało tysiące lat temu.

– Dziękuję. – Kulturalny Ropuch, jak się okazuje. – Powiedz, dlaczego uważasz, że Alex zostawiła ci wiadomość?

– Pracowaliśmy wspólnie przy paru przedsięwzięciach – odrzekł wymijająco, unikając wzroku Swan. Nie chciał o tym mówić. Ale przyszedł i rościł sobie prawo, aby ją wypytywać. – I... cóż... Zawsze cię chwaliła i mówiła o tobie z dumą. Bez wątpienia byłyście sobie bliskie. Poza tym Alex nie lubiła zostawiać danych w chmurach lub w innych wirtualnych formach, właściwie nie chciała zapisywać naszych posunięć na jakimkolwiek nośniku. Woliała słowa płynące z ust.

– Wiem. – Swan poczuła ukłucie. Prawie usłyszała, jak Alex powtarza: „Musimy rozmawiać! To świat kontaktów opartych na relacji twarzą w twarz!”. Mówiła to z błyskiem w błękitnych, bystrych oczach, ze śmiechem. Wszystko stracone.



Wielkolud dostrzegł zmianę wyrazu twarzy Swan i wyciągnął rękę.

– Tak mi przykro – powtórzył.

– Wiem – westchnęła Swan. A potem dodała: – Dziękuję.

Usiadła na jednym z krzeseł Mqareta, starając się myśleć o czymś innym.

Po chwili wielkolud odezwał się z ciepłym pomrukiem:

– Co teraz zrobisz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewnie wrócę na powierzchnię. To miejsce, gdzie potrafię...  
wziąć się w garść.

– Pokażesz mi?

– Co? – zdziwiła się Swan.

– Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mnie tam zabrała. Może pokażesz mi jedną ze swoich instalacji? Albo, jeżeli nie masz nic przeciwko temu... Zauważyłem, że miasto zbliża się do Krateru Tintoretto. Mój prom odleci dopiero za kilka dni. Bardzo chciałbym zobaczyć tamtejsze muzeum. Mam pytania, na które nie znajdę odpowiedzi na Ziemi.

– Pytania o Tintoretto?

– Tak.

– Cóż... – Swan zawahała się, niepewna, co powiedzieć.

– W ten sposób moglibyśmy wypełnić czas – zasugerował wielkolud.

– Tak. – Jego słowa były aroganckie na tyle, że ją zirytowały, ale też Swan szukała czegoś, co oderwie ją od ponurych myśli, czegoś, co może robić potem. Nic nie wymyśliła. Ale Ropuch wymyślił, – Sądzę, że mogę cię zabrać ze sobą.

– Bardzo ci dziękuję.

# SPISY (1)

Ibsen i Imhotep; Mahler, Matisse; Murasaki, Milton, Mark Twain;  
Stykający się Homer i Holbein;

Owidiusz spoglądający na o wiele większego Puszkina;

Goya nałożony na Sofoklesa.

Van Gogh obok Cervantesa i przy Dickensie. Strawiński i Vyasa.  
Lizyp. Equiano, zachodnioafrykański pisarz niewolnik, teraz  
bynajmniej nie blisko równika.

Chopin i Wagner tuż obok siebie, równych rozmiarów.

Czechow i Michał Anioł – podwójne kratery.

Szekspir i Beethoven, wielkie niecki.

Al-Jähiz, Al-Akhtal. Arystoksen, Asvaghosa. Kurosawa, Lu Hsün, Ma  
Chih-Yiian. Proust i Purcell. Thoreau i Li Po, Rumi i Shelley,  
Snorri i Pigalle. Valmiki, Whitman. Brueghel i Ives. Hawthorne i  
Melville.

Podobno nadająca nazwy komisja z Międzynarodowej Unii  
Astronomicznej upiła się w sztok wieczorem podczas corocznego  
spotkania, ułożyła mozaikę z pierwszych fotografii Merkurego, które  
właśnie otrzymała, i użyła ich jako tarczy do lotek. Każdą lotkę  
nazwano po znanym malarzu, rzeźbiarzu, kompozytorze lub pisarzu, po  
czym zaczęto rzucić strzałkami w mapę.

Jest nawet skarpa nazwana na cześć jednego z okrętów zbudowanych  
do eksploracji Antarktydy – Pourquoi Pas, co znaczy: „Dlaczego  
nie?”.

# SWAN I WAHRAM

Nietrudno było dostrzec Tytana – czekał przy śluzie południowej o umówionej godzinie. Z kształtu trochę okrągły, a może bardziej kwadratowy. I wysoki jak Swan, a ona przecież naprawdę była wysoka. Czarne loczki jak owcze runo, przycięte krótko na okrągłej głowie.

Swan do niego podeszła.

– A zatem ruszajmy – rzuciła niepewnie.

– Raz jeszcze dziękuję.

Terminator zaczął ślizgać się wzdłuż platformy stacji Tintoretto. Swan i Wahram przeszli przez śluzę wprost do czekającego wagonika kolejki wraz z kilkunastoma osobami.

Pociąg poruszał się szybciej niż miasto, umykając na zachód na zwyczajnych szynach, i wkrótce osiągnął prędkość kilkuset kilometrów na godzinę.

Swan rozpoznała długie, niskie wzniesienie na horyzoncie – zewnętrzne zbocze Krateru Hezjoda. Wahram spojrział na swój podręczny komputer na nadgarstku.

– Jesteśmy między Hezjodem i Sibeliusem. – Uśmiechnął się lekko. W jego brązowych tęczęwkach zamigotały pomarańczowe, promieniste pasma obok plamek czerni. To, że nosił komputer naręczny, świadczyło, że najpewniej nie posiada wszczepionej w głowę qostki. A jeżeli tak, byłoby

nieuprzejmie psuć mu przyjemność. Pauline nieustannie mamrotała do jej ucha, a kiedy Wahram wstał i przeszedł na drugą stronę wagonu, by podziwiać widoki, Swan skorzystała z okazji.

– Nie przeszkadzaj, Pauline. Nie przerywaj mi, nie rozpraszaaj – wyszeptała.

– Egzegeza jest jednym ze słabszych retorycznych wynalazków – wyraziła swoje zdanie Pauline.

– Cicho!

Po kolejnej godzinie znaleźli się daleko od Terminatora, kolejka zaczęła wjeżdżać na zewnętrzną ścianę Krateru Tintoretto. Tory niknęły w tunelu na zboczu ze śladami dawnego wybuchu wulkanu. Kiedy Swan i Tytan wysiedli, okazało się, że mają dwie godziny przed powrotem pociągu do miasta. Ruszyli więc westybulem muzeum na długą, łukowatą galerię. Wewnętrzna zakrzywiona ściana sali była przeszklona – rozciągał się za nią wspaniały widok.

Krater nie należał do dużych, ale miał strome ściany i regularny okrągły kształt. Wspaniała przestrzeń pod gwiazdami.

Jednak Saturnijczyk nie wyglądał na zainteresowanego pejzazami Merkurego. Przeszedł przez galerię nieśpiesznie, po kolei patrząc na prezentowane tu dzieła sztuki malarskiej. Przy każdym przystawał i przyglądał się beznamiętnie.

Wśród obrazów znajdowały się zarówno miniatury, jak i wielkie, całościennne płótna. Paleta włoskiego renesansu pyszniła się tłumnymi scenami z Biblii: *Ostatnia Wieczerza*, *Ukrzyżowanie*, *Raj* i podobne. Pomiędzy nimi sporadycznie pojawiały się dzieła starożytne – w tym podobizna Merkurego we własnej osobie, ze stylizowanymi złotymi sandałami, w których spomiędzy rzemyków wystawały skrzydła. Dalej znajdowały się szesnastowieczne portrety Wenecjan, tak żywe, że zdawały się poruszać. Większość obrazów była oryginałami przeniesionymi tutaj ze

względów bezpieczeństwa, reszta kopiami tak doskonałymi, że tylko za pomocą analizy chemicznej można by je odróżnić od pierwowzorów. Jak w przypadku wielu muzeów poświęconych jednemu artyście, którym przyświecało pragnienie, aby zebrać wszystkie oryginalne dzieła mistrza, placówce zależało na gromadzeniu zbiorów, na Ziemi zaś zostawiano tylko kopie. Chodziło o chronienie tych skarbów przed atakiem nadzwyczaj niepewnego i zmiennego środowiska – przed utlenianiem, korozją, rdzą, ogniem, kradzieżą, wandalizmem, smogiem, kwasem, światłem słonecznym... Odwrotnie niż tutaj, gdzie wszystko było kontrolowane, przyjazne – bezpieczne. A przynajmniej tak właśnie twierdzili merkuriańscy kustosz. Ziemia nie zawsze byli o tym przekonani.

Ropuch poruszał się bardzo wolno. Podchodził do każdego obrazu i oglądał go długo, czasami z nosem niemal w płótnie.

„*Raj*” Tintoretta miał dwadzieścia metrów szerokości i dziesięć wysokości – notka informowała, że było to największe w historii malowidło na płótnie – i przedstawiał tłum postaci. Wahram przeszedł wzdłuż obrazu, aby obejrzeć go dokładnie, a potem stanął blisko, aby wyłapać szczegóły.

– Intrygujące, że anioły są przedstawione z czarnymi skrzydłami – wymruczał, nareszcie przerywając milczenie. – Dobrze to wygląda. A tutaj, patrz, białe linie na skrzydle jednego z tych aniołów układają się w litery: C H E R, prawda? Reszta słowa ukryta w zagięciu pod piórami. To właśnie chciałem sprawdzić. Ciekawe, o co w tym chodzi.

– Może to szyfr?

Nie odpowiedział. Swan zastanawiała się, czy zwykle tak właśnie reagował na sztukę. Tymczasem wielkolud skierował się do następnego obrazu. Może nawet nucił pod nosem. Nie interesowała go jej opinia o malowidłach, choć przecież wiedział, że Swan jest artystką.

Powędrowała więc podziwiać konterfekty. Duże, tłumne sceny to było dla

niej za wiele, wydawały się niczym epickie filmy wciśnięte w okowy ram. Ludzie na portretach spoglądali z wyrazem twarzy, który Swan od razu rozpoznała. „Zawsze jestem sobą, zawsze nowym, zawsze sobą” – wyrażały to przez osiem stuleci. Niczym więcej, tylko mężczyzną lub kobietą. Jedna z dam odsłaniała lewy sutek tuż pod naszyjnikiem. Przez większość epok uznane by to zostało za występek, o ile Swan dobrze pamiętała. Niemal każda z namalowanych niewiast miała bardzo mały biust i szeroką talię. Dobrze odżywione, nieczęsto podejmujące wysiłek fizyczny, nigdy niekarmiące piersią swoich dzieci, nigdy niepracujące. Ciała arystokratek.

Początek specjacji. Leda Tintoretta wyglądała na zadowoloną z awansów łabędzia, w rzeczy samej nawet chroniła swojego ptaka przed napastnikiem. Swan była raz czy dwa łabędziem dla niejednej Ledy, bez przemocy, oczywiście – a przynajmniej nie fizycznej – i jak pamiętała, niektóre Ledy to lubiły. A inne nie.

Wróciła do swojego towarzysza, który znowu przyglądał się uważnie „*Rajowi*”, tym razem z największej odległości, na jaką pozwalała galeria. Dla niej samej malowidło nadal wydawało się chaotyczne.

– Strasznie zatłoczony obraz – oznajmiła. – Postacie rozstawione są zbyt symetrycznie, a Bóg i Chrystus wyglądają jak dożowie. Właściwie całe to zgromadzenie wygląda jak posiedzenie weneckiego senatu. Może tak właśnie Tintoretto wyobrażał sobie raj.

– Hmm – mruknął tylko Wahram.

– Nie zgadzasz się. Podoba ci się ten obraz.

– Nie jestem pewien – odparł i odszedł od Swan na kilka metrów.

Nie chciał rozmawiać o sztuce. Oddaliła się zatem, by pooglądać więcej portretów mieszkańców Wenecji. Dla niej sztuka była przede wszystkim tym, co się tworzy, a dopiero potem tematem rozmów. Niewysłowione estetyczne doznania, komunია z dziełem – to ją najbardziej ujęło, jako zbyt cenne, by

przeszkadzać. Jedna z postaci na portretach rumieniła się, inna tłumiała ironiczny uśmiezek – zgadzały się ze Swan. Ropuch sztywniak był tu nie na miejscu. Mqaret twierdził, że Alex ceniła wysoko tego człowieka, ale Swan zaczynała wątpić, że to prawda. Kim właściwie był Wahram? Czym się zajmował?

Niski głos z automatu poinformował, że czas wracać na stację, ponieważ wkrótce odjedzie pociąg do Terminatora – miasto niedługo dotrze do południka, na którym się znajdowali – podobnie jak słońce.

– Och, nie – jęknął cicho Wahram, gdy usłyszał komunikat. – Ledwie zaczęliśmy!

– W tej galerii jest ponad trzysta obrazów – zauważyła. – Jedna wizyta nigdy nie wystarczy. Będziesz musiał tu wrócić.

– Mam nadzieję. – Odetchnął. – To naprawdę wspaniałe dzieła. Nie rozumiem, dlaczego przezywano go El Furioso. Przecież pracował chyba codziennie.

– Też tak myślę. Miał dom w Wenecji, który rzadko opuszczał. Zamknięty sklep. I głównie własne dzieci do pomocy. – Swan przeczytała to na jednej z tabliczek w muzeum.

– Ciekawe – westchnął i ruszył za nią do kolejki.

W drodze powrotnej minęli grupę słońcołazów i Swan pokazała ich towarzyszowi. Jej gość wyrwał się z zamyślenia i zaczął się przyglądać.

– Nie wolno im się zatrzymać – powiedział. – Jak zatem odpoczywają, jedzą i śpią?

– Jemy w ruchu, a śpimy w wózkach ciągniętych przez towarzyszy – wyjaśniła Swan. – Na zmianę. Na tym to polega.

Zerknął na nią uważnie.

– Macie zatem niezaspokojone pragnienie działania. Potrafię zrozumieć, czemu to wędrowanie jest takie pociągające.

Omal nie parsknęła śmiechem.

– A ty nie masz takiego pragnienia?

– Uważam, że wszyscy mają. Nie sądzisz?

– Nie, niezupełnie.

– Ale przyłączyłaś się do tych dzikusów – wytknął Wahram.

– To się po prostu robi. Wychodzę, żeby zobaczyć powierzchnię i słońce.

Sprawdzam instalacje, które stworzyłam, albo wydobywam trochę surowców ze szczelin. Mam zajęcie i nie muszę dorabiać do tego filozofii.

Było dokładnie na odwrót – jak sobie uświadomiła – i czym prędzej zamknęła usta.

– Masz szczęście – odparł Wahram. – Większość ludzi musi.

– Tak myślisz?

– Tak. – Wskazał na słońcołazów, którzy szybko zostawali w tyle. – Co się stanie, gdy natrafi się na przeszkodę i nie będzie można iść dalej na zachód?

– Trzeba tego unikać. W niektórych miejscach wędrowcy zbudowali niewielkie rampy ciągnące się od klifów albo zestawy kładek, dzięki którym można szybko pokonać trudny teren. Istnieją ustalone szlaki. Niektórzy ludzie trzymają się wybranych tras, inni nie. Jeszcze inni wolą poznawać nowe tereny. Przejście dookoła planety to nic nadzwyczajnego.

– Zrobiłaś to?

– Owszem, ale to dla mnie za długa wędrówka. Zwykle wychodzę na tydzień lub dwa.

– Rozumiem.

Było jasne, że nie rozumiał.

– Zostaliśmy do tego stworzeni, wiesz? – odezwała się nagle Swan. – Mamy ciała nomadów. Ludzie i hieny to dwa gatunki drapieżników, które tak długo prowadzą pogoń, dopóki ofiara nie padnie ze zmęczenia.

– Lubię chodzić – przyznał Wahram.



– Więc co z tobą? Co robisz, żeby zająć czas?

– Myślę – odpowiedział bez zwłoki.

– I to ci wystarcza?

Zerknął na Swan.

– Jest wiele do przemyślenia.

– Ale co robisz?

– Czytam, jak mi się zdaje. Podróżuję. Słucham muzyki. Poznaje sztukę wizualną. – Zamyślił się. – Pracuję nad projektem Tytana. I uważam to za bardzo interesujące.

– Czyli ogólnie rzecz ujmując, pracujesz dla Ligi Saturna. Mqaret mi powiedział. Dyplomacja systemowa.

– Tak, cóż, moje nazwisko zostało wylosowane, więc musiałem poświęcić temu czas, ale kadencja zaraz się skończy i będę mógł wrócić do Tytana i swoich zajęć.

– A... Ty i Alex? Nad czym pracowaliście?

W jego wypukłych oczach błysnęła czujność.

– Nie chciała, żebym mówił o niektórych aspektach tej pracy. Ale wspominała o tobie często i teraz, kiedy odeszła, zastanawiam się, czy chciała zostawić ci wiadomość. Albo zorganizowała wszystko tak, żebyś mogła choć trochę zająć jej miejsce.

– Co masz na myśli?

– Zaprojektowałaś wiele terrariów, które teraz stanowią sporą część Przymierza Mondragonu. Wysłuchają cię prawdopodobnie, jeżeli dowiedzą się, że byłaś najbliższą i najbardziej zaufaną przyjaciółką Alex. Więc... Zapewne mogłabyś polecieć ze mną i spotkać pewnych ludzi.

– Gdzie? Na Saturnie?

– Właściwie to na Jowiszu.

– Nie chcę. Tu jest moje życie, moja praca. Dość się nawędrowałam po

Układzie Słonecznym, gdy byłam młoda.

Potrząsnął głową ze smutkiem. Zapadła między nimi cisza. Tylko kolejka pędziła przez powierzchnię Merkurego. Na północy szczyty wzniesień zabłyśły bielą wschodzącego słońca. Zaraz też na horyzoncie wyrósł Terminator, jak skorupka przezroczystego jaja. Im bliżej, tym bardziej kopuła miasta przypominała wyglądem śnieżną kulę albo statek w butelce – transatlantyk na morzu czerni uwięziony w bańce zielonego światła.

– Tintoretto polubiłby twoje miasto – powiedział Wahram. – Terminator przypomina trochę Wenecję.

– Wcale nie – oburzyła się Swan, ale myślami była daleko.

## TERMINATOR

Zupełnie jak słońcołazi, Terminator przesuwa się wokół Merkurego równo z prędkością obrotu planety wokół własnej osi. Sunie po dwudziestu gigantycznych szynach na wiaduktach, które razem utrzymują w pionie miasto większe niż Wenecja i pchają je na zachód. Dwanaście torów biegnie wokół Merkurego jak wąskie obrączki mniej więcej wzdłuż czterdziestego piątego równoleżnika na półkuli południowej, ale z szerokimi objazdami na południe i północ, pozwalającymi uniknąć najgorszych skarp i pasm wzniesień. Miasto przesuwa się ze średnią prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Rękawy na dnie Terminatora obejmują szynę z austenitycznej stali nierdzewnej z taką dokładnością, że jej rozprężenie pod wpływem ciepła zawsze spycha miasto na zachód, do zwężonych przez niższą temperaturę torów pozostających jeszcze w cieniu. Najmniejszy opór przy tym ruchu wytwarza większość energii elektrycznej dla miasta.

Ze szczytu Ściany Świtu, która jest srebrzystym klifem na wschodniej krawędzi Terminatora, można zobaczyć całe miasto rozciągające się na zachód i zielniące pod przejrzystą kopułą. Terminator rozświetla mroczny pejzaż wokół jak przesuwaną się lampą. Blask jest dobrze widoczny poza chwilami, gdy wysokie klify na zachodzie odbijają promienie słońca tuż nad widnokręgu. Nawet te blade przebłyski świtu przyćmiewają sztuczne oświetlenie pod kopułą. Kiedy słońce odbija się od gładkich zboczy, znikają cienie i otoczenie staje się dziwne, ale gdy miasto minie te lustrzane tafle, odbicia się kończą i jasność przygasa. Owe zmiany iluminacji pozwalają przypomnieć sobie o ruchu Terminatora, ponieważ zwykle ślizg po szynach jest niemal niewyczuwalny. Zmiany oświetlenia, nieznaczne w mroku, tworzą

wrażenie, jakby miasto było wielkim okrętem żeglującym po czarnym oceanie z falami tak wysokimi, że w ich dolinach panuje noc, a dopłynięcie na grzbiet trwałoby do świtu.

Miasto przesuwa się w stałym tempie i zatacza pełny krąg co sto siedemdziesiąt siedem dni. Obrót za obrotem, nic się nie zmienia poza powierzchnią i tylko powierzchnią, a i te zmiany krajobrazu powstają wyłącznie przez słońcołazów, zwłaszcza artystów zajmujących się pejzażem, którzy wychodzą i polerują zbocza klifów, wytrawiają petroglify, stawiają kopce i dolmeny lub inuksuki, a także układają głazy i kawałki metalu tak, aby rozpoznały się odpowiednio w upale dnia.

Obywatele Terminatora nieustannie przemieszczają się lub wędrują pieszo przez swój świat, dzień po dniu przekształcając go, aby lepiej eksponował ich myśli i uczucia. Wszystkie miasta i ich mieszkańcy czynią to w taki właśnie sposób.

# SWAN I ALEX

Następnego dnia Swan wróciła do laboratorium Mqareta. Znowu siedział w swoim gabinecie i patrzył w przestrzeń. Nieoczekiwanie uświadomiła sobie, co za ulga mieć coś, na co można się złościć.

Mqaret podniósł się powoli.

– Jak twoja wycieczka z Wahramem?

– Jest powolny, nieuprzejmy i autystyczny. Nudziarz.

Uśmiechnął się lekko.

– Zatem wygląda na to, że wydał ci się interesujący.

– Proszę...

– No cóż... Zapewniam cię, że Alex uważała go za interesującego. Często o nim mówiła. A kilka razy dała jasno do zrozumienia, że oboje są zaangażowani w sprawy, które uważała za niezwykle ważne.

To skłoniło Swan do namysłu – i o to właśnie Mqaretowi chodziło.

– Pozwolisz, że jeszcze raz rozejrzę się po jej pracowni? – zapytała.

– Oczywiście.

• •

Swan przeszła do końca korytarza, gdzie znajdował się pokój Alex, otworzyła, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi. Podeszła do okna i spojrzała na panoramę miasta – na widoczne stąd dachy i ogrody.

Przespacerowała się po gabinecie, przyglądając się wszystkiemu. Mqaret nic tu jeszcze nie zmienił. Ciekawe, czy chciałby to zrobić, a jeżeli tak, to kiedy. Rzeczy Alex leżały w nieładzie, jak zwykle. Jednak wyczuwało się tutaj jej nieobecność i Swan przeszło ukłucie smutku tak silne, że musiała usiąść.

Kiedy mogła już wstać, zaczęła bardziej dokładne przeszukiwanie. Jeśli Alex coś dla niej zostawiła, gdzie by to położyła? Nic nie przychodziło jej do głowy. Alex zawsze starała się trzymać pracę offline, poza chmurą, niezapisaną, tylko na żywo, tylko w czasie rzeczywistym. Ale gdyby chciała coś przechować, musiałaby złamać swoje nawyki. Znając ją, mogłaby to być wiadomość w stylu ukrytego listu, na przykład notatka na papierze leżąca na biurku.

Swan zaczęła zatem przeglądać małe stosy różnych zapisków leżące na blacie, nadal rozmyślając. Jeżeli Alex miała informacje, które pragnęła przekazać, choć Swan niekoniecznie musiała wiedzieć, o co chodzi... Jeżeli było to sporo danych... Zapewne będzie to więcej niż notka na papierze. I Alex na pewno zadbała, żeby przesyłkę znalazła tylko właściwa osoba.

Zaczęła znowu krążyć po gabinecie, mamrocząc do siebie i przyglądając się badawczo każdej rzeczy. Kontrolująca pomieszczenie sztuczna inteligencja na pewno już wie, że w pokoju jest tylko jedna osoba, a na podstawie charakterystyki głosu i wzoru siatkówki zidentyfikowała intruza.

Do gabinetu przyłączona była niewielka łazienka z małą umywalką i lustrem. Swan tam weszła.

– Jestem tu, Alex – oznajmiła ze smutkiem. – Jestem tu, jeżeli tego chciałaś.

Popatrzyła na wiszące nad zlewem lustro, potem na niewielkie owalne zwierciadło leżące obok na półce. Spojrzała w swoje odbicie o przekrwionych, smutnych oczach.

Szkatułka na biżuterię tuż obok lusterka otworzyła się z cichym trzaskiem.

Swan poskoczyła pod ścianę i chwilę jej zajęło, nim się opanowała. Zajrzała do pudełka. Trochę świecidełek. Wyjęła je i odłożyła, ponieważ pod spodem znajdowały się trzy małe papierowe koperty. Na każdej po jednej stronie napisano: „*Na wypadek mojej śmierci*”, a na drugiej – „*Dla Mqareta*”, „*Dla Swan*” i „*Dla Wanga na Io*”.

Drżącymi rękoma kobieta wyjęła kopertę przeznaczoną dla niej i rozdarła, by otworzyć. Ze środka wypadły dwie płytki z danymi. Jedna mruczała: „Swan, Swan, Swan”. Wsunęła ją do ucha, zaciskając zęby. Z oczu popłynęły jej łzy.

– Moja kochana. Przykro mi, że tego słuchasz... – zabrzmiał głos Alex. To było jak spotkanie z duchem i Swan przycisnęła dłonie do piersi.

Cichy głos mówił dalej:

– Naprawdę bardzo mi przykro, ponieważ jeżeli tego słuchasz, to znaczy, że nie żyję. Sztuczna inteligencja z tego pomieszczenia na pewno już usłyszała o mojej śmierci i wie, że miała otworzyć szkatułkę z biżuterią, gdy tylko pojawisz się tutaj sama. To najlepszy plan, jaki zdołałam wymyślić. Wybacz, że cię do tego zmuszam, ale to ważne. To rodzaj ubezpieczenia, ponieważ rozpoczęłam trochę spraw, które należy kontynuować, nawet jeżeli umrę, a nie chcę się nimi dzielić tutaj z nikim. Zresztą w moim wieku śmierć mogła mnie dopaść w każdej chwili, dlatego to wszystko przygotowałam wcześniej. Jeżeli tego słuchasz, potrzebna mi twoja pomoc, Swan. Zabierz, proszę, kopertę dla Wanga na Io i wręcz mu osobiście. Wang i ja oraz kilkoro innych osób pracujemy razem nad paroma bardzo ważnymi projektami, ale staramy się utrzymać to całkowicie offline, co nie jest łatwe, gdy się mieszka tak daleko od siebie. Ogromnie mi pomożesz, jeżeli dostarczysz list osobiście. Proszę jednak, zatrzymaj tę sprawę tylko dla siebie.

A jeżeli pozwolisz Pauline odczytać drugi chip z twojej przesyłki, który potem ulegnie zniszczeniu, będzie to jeszcze jedno zabezpieczenie, kopia zapasowa. Oba chipy są jednorazowego użytku. Wolałabym nie robić nawet

tego, wierz mi. Ale wiem, że zwykle nie podłączasz Pauline do innych qostek i jeżeli nadal tak pozostanie, bardzo pomoże mi to w planach. Wang wyjaśni ci więcej, a także Wahram z Tytana. Żegnaj, moja Swan. Kocham cię.

I tyle. Spróbowała przesłuchać wiadomość ponownie, ale przekaz się nie włączył. Przycisnęła więc drugą płytkę do membrany Pauline, do skóry u nasady swojego karku. Kiedy Pauline oznajmiła: „Wykonane”, schowała dwa puste chipy i pozostałe koperty do kieszeni, po czym ruszyła znaleźć Mqareta.

Był w swoim gabinecie, obracając trójwymiarowy obraz czegoś, co wyglądało jak biało.

– Popatrz, co znalazłam – oznajmiła i opowiedziała, co się stało.

– Ta szkatułka była zamknięta – przyznał Mqaret. – Wiedziałem, że są tam jej błyskotki, i podejrzewałem, że wcześniej czy później okaże się kluczem...

Popatrzył bez wyrazu na swoją kopertę. Chyba mu się nie śpieszyło z jej otwarciem, może nawet trochę się bał... Swan zostawiła go w spokoju i wyszła.

– Pauline – odezwała się, gdy była już za drzwiami – przepisałaś zawartość płytki?

– Tak.

– Co na niej było?

– Dostałam polecenie, aby przekazać te dane do qostki Wanga na Io.

– Powiedz mi tylko ogólnie, co to za informacje.

Pauline nie odpowiedziała, więc po chwili oczekiwania dziewczyna wyłączyła ją, przeklinając pod nosem.

Obie płytki były teraz puste, duch Alex odszedł. Swan nie było tak całkiem przykro. Słuchanie głosu Alex po jej śmierci stanowiło wstrząs, na samą myśl miała dreszcze.

Wróciła do gabinetu Mqareta. Twarz miał białą jak płótno, usta zaciśnięte. Podniósł wzrok na Swan.



– Dała ci coś do zabrania na Io?

– Tak. Wiesz, co to jest?

– Nie. Ale wiem, że Alex miała grupę szczególnie zaufanych współpracowników. Zaliczał się do niej zarówno Wahram, jak i Wang.

– A co takiego robili?

Wzruszył ramionami.

– Nie mówiła mi o takich sprawach. Ale z tego, co widziałem, uważała je za bardzo istotne. Dotyczyły chyba Ziemi, tak mi się przynajmniej wydaje.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział.

– Ważne sprawy, które Alex trzymała w tajemnicy... Na pewno wiedziała, że jej śmierć może wywołać problemy. Dlatego zostawiła nam te krótkie nagrania.

– To było jak spotkanie z duchem – wzdrygnął się Mqaret. – Mówiła do mnie.

– Tak. – Przez chwilę nie potrafiła wydusić ani słowa więcej. – Cóż... Chyba zabiorę trzecią kopertę na Io, jak chciała Alex.

– Dobrze – zgodził się Mqaret.

– Wahram już mnie prosił, żebym z nim poleciała. Chyba chciał mnie właśnie tam zabrać. I pytał, czy moja babka mi czegoś nie zostawiła.

Mqaret skinął głową.

– Bierze w tym udział.

– Tak. I ten mały inspektor też. Chyba jednak polecę. Ale nie wydaje mi się, że powinnam mówić im o tych wiadomościach. Alex nic o tym nie wspomniała.

– Wahram może się domyślić, choćby dlatego, że zgodzisz się lecieć na Io.

– Więc niech się domyśla.

Teraz Mqaret zmierzył ją współczującym spojrzeniem, a potem lekko się skrzywił.

– Będziesz musiała rozwiązać sprawy i dowiedzieć się, o co chodzi, najlepiej jak potrafisz. Może nawet będziesz zmuszona włączyć się w bieg zdarzeń i zrobić to, co należało do Alex.

– Jak mogłabym? Nikt nie zastąpi Alex.

– Tego nie wiesz. Pauline ci pomoże i pewnie ten twój Tytan także. A gdybyś musiała zająć miejsce Alex... Na pewno to by się jej spodobało.

– Może... – Swan nie była przekonana.

– Alex miała plan. Zawsze miała.

Westchnęła, ogarnięta znowu smutkiem z powodu nieobecności Alex. Te wiadomości od ducha nie mogły w najmniejszym stopniu zastąpić przyjaciółki.

– No dobrze. Polecę i spotkam się z tym Wangiem.

– Świetnie. I bądź gotowa do działania.

• •

Swan wyszukała miejsce, w którym zatrzymali się w mieście dyplomaci spoza planety, po czym wyszła na terasę, gdzie zamieszkała delegacja z Saturna. Gdy znalazła się na dziedzińcu, od razu zauważyła Wahrama – stał ze spuszczoną głową, ponieważ rozmawiał z małym inspektorem Jeanem Genetteem. Widok tych dwóch razem wstrząsnął nią mocno, gdyż coś w języku ich ciał zdradzało, że dobrze się znali. Sądząc na pierwszy rzut oka – spiskowcy.

Z płonącymi policzkami podeszła do tej niecodziennej pary

– Co to znaczy? – rzuciła ostro. – Nie wiedziałam, że się znacie.

Żaden z nich nie odpowiedział od razu.

Wreszcie mały machnął ręką.

– Fitz Wahram i ja często razem pracujemy nad różnymi problemami systemu. Właśnie postanowiliśmy odwiedzić wspólnego znajomego.

– Może Wanga? – zapytała Swan. – Wanga z Io?

– No... Owszem – przyznał inspektor i wbił w Swan podejrzliwe spojrzenie. – Wang to nasz współpracownik. I współpracownik Alex, oczywiście.

– Mówiłem ci o tym – dodał Wahram nisko i ochryple. – Kiedy wracaliśmy z Tintoretta.

– Tak, tak – potwierdziła ostro. – Poprosiłeś mnie, żebym przyłączyła się do wycieczki, ale właściwie nie wyjaśniłeś, dlaczego miałabym to zrobić.

– No cóż... – Na szerokiej twarzy mężczyzny odmalowało się lekkie zażenowanie. – To prawda, ale istnieją powody, dla których należy zachować dyskrecję...

Popatrzył na Genette' a jakby w prośbie o pomoc.

– Polecę – przerwała tę niemą konwersację Swan. – Chcę polecić.

– Ach. – Znowu zerknął na małego inspektora. – To dobrze.

# WYCINKI (1)

Weźmy asteroidę o przynajmniej trzydziestokilometrowej dłuższej osi. Może być dowolna – zwarty kamień, skała i lód, metaliczna, nawet tylko lodowa kula – choć każda sprawia problemy innego rodzaju.

Wystarczy teraz przyłączyć zdalny, samoreplikujący się kretokombajn wydobywczy na jednym końcu takiej asteroidy i wydrążyć wewnątrz wzdłuż długiej osi, pozostawiając ściany grubości mniej więcej dwóch kilometrów we wszystkich punktach poza otworem, przez który wydobywa się wszystko ze środka. Następnie należy zadbać o jednorodność i spójność tych ścian przez pokrycie ich odpowiednio wytrzymałym utwardzaczem.

Podczas drążenia asteroidy trzeba pamiętać, że wyrzucenie wydobytych materiałów (najlepiej wycelować odrzut w składowisko surowców w punkcie Lgrangea, by dostać opłatę za odzysk) może stanowić zarazem doskonały sposób na przemieszczenie własnego terrarium, jeżeli chce się je ulokować na innej orbicie. Nadmiar wydobytych surowców można przechowywać na powierzchni drążonej planetoidy do późniejszego użytku.

Kiedy wewnątrz zostanie już opróżnione, powstanie walec co najmniej pięciokilometrowej średnicy i dziesięciokilometrowej długości (ale im większy, tym lepszy!), kretokoparkę powinno się na powrót umieścić w otworze wydobywczym i tam nakazać, aby dokonała transformacji na jednostkę napędu impulsowego. W zależności od masy nowego świata można

zainstalować też sterownik masy lub antymaterii, to znaczy napęd „błyskawicznego odrzutu”, lub zwierciadła odpychające typu Orion.

Z przodu cylindra, na krzywiznie terrarium nad punktem osi długiej, należy zamieścić dodatkową jednostkę napędu. Wkrótce po jej uruchomieniu habitat zacznie się kręcić wokół dłuższej osi. Wystarczy wtedy skalkulować prędkość obrotu tak, aby powstało złudzenie siły ciężenia na wewnętrznej powierzchni cylindra. Nazywa się to ekwiwalentem ciężenia lub g-ekwiwalentem – kiedy ktoś znajdzie się wewnątrz, będzie przyciągany do ścian jak w polu grawitacyjnym. Przednia jednostka napędu powinna zostać podłączona do krzywizny terrarium na wysięgniku, co zapobiegnie przenoszeniu wibracji silnika podczas pracy, a zarazem utrzyma go w odpowiedniej pozycji. Na tym bukszprycie będzie prawie nieważki, ale brak wibracji ułatwi wiele funkcji terrarium, w tym dokowanie, obserwację, nawigację i tym podobne.

Możliwe jest również zbudowanie wewnętrznego cylindra, który będzie się obracał wewnątrz nieruchomej powłoki asteroidy – konfiguracja taka nazywana jest „młynkiem modlitewnym”. Pozwoli to uzyskać zarówno złudzenie grawitacji wewnątrz, jak i nieobrotową powierzchnię na zewnątrz, lecz to rozwiązanie bardzo drogie i wybredne. Dlatego go nie rekomendujemy, choć zdarzają się dobre konstrukcje tego rodzaju.

Kiedy rufa i dziób są już prawidłowo zainstalowane i skonfigurowane, a asteroida wiruje z odpowiednią dla g-ekwiwalentu prędkością, wewnątrz gotowe jest do terraformowania.

Zacząć należy od cienkiej warstwy pyłu z metalami ciężkimi i rzadkimi glebami, odpowiednimi do typu biotopu, jaki chce się stworzyć. Należy pamiętać, że żaden terrański biotop nie zaczął się od prostych składników dostępnych na asteroidzie. Biosfery od samego początku potrzebują witamin, dlatego należy zadbać o zaopatrzenie się w odpowiednie mieszanki zawierające wymagane składniki, zwykle molibden, selen i fosfor. Zazwyczaj można je

zaaplikować za pomocą „bomb pyłowych” umocowanych wzdłuż długiej osi w cylindrycznej przestrzeni wewnętrznej. Trzeba jednak uważać, aby się nie zatruć podczas ich detonacji!

Następnie wzdłuż długiej osi walca należy rozciągnąć linię słoneczną. To element oświetleniowy, którego świecąca część będzie się obracać z wybraną przez właściciela asteroidy prędkością. Oświetleniowa część linii słonecznej o odpowiednio dostosowanej jasności zazwyczaj zaczyna dzień na rufie terrarium, a po odpowiednim okresie ciemności (podczas którego światła, jak latarnie czy lampy, na górze będą pełnić rolę gwiazd) przesuwa się do dziobu (albo, jak niekiedy się to określa: od wschodu na zachód) w czasie odpowiadającym długości dnia na Ziemi mierzonego na określonej szerokości geograficznej i w wybranym biomie. Pory roku w terrarium projektuje się w analogiczny sposób.

Teraz można już napowietrzyć wewnątrz mieszanką gazów o pożądanym ciśnieniu, najczęściej między 500 a 1100 milibarów. Mieszanka będzie podobna do atmosfery Ziemi, może z nieco większym udziałem tlenu, choć wzrasta wtedy ryzyko pożaru.

Na koniec potrzebna jest biomasa. Naturalnie każdy twórca terrarium musi się zaopatrzyć w zestaw pełnych kodów genetycznych roślin i zwierząt, które chce umieścić w swoim biomie. Można zarówno odtworzyć gatunki ziemskie, jak i wyhodować zupełnie nowe. Takie biomy hybryd większość ludzi nazywa „wniebowstąpieniami”, biorąc to określenie od wyspy o tej samej nazwie znajdującej się na Ziemi, miejsca powstania pierwszych takich mieszańców (zapoczątkowanych przypadkowo przez samego Karola Darwina!).

Genomy wszystkich gatunków dla wybranego biomu będą dostępne na żądanie, poza bakteriami – te są po prostu zbyt liczne i zmienne genetycznie, aby je sklasyfikować. Dla ich uzyskania wystarczy jednak przygotować odpowiednią pożywkę, najczęściej nawozu lub odpadków naturalnych z

żelatyną, i można uzyskać parę ton pełnego zestawu niezbędnych drobnoustrojów.

Na szczęście bakterie szybko się rozmnażają w pustych niszach ekologicznych, a tym właśnie jest habitat na tym etapie. Aby uczynić go bardziej przyjaznym, wystarczy zeskrobać nieco wewnętrznej powierzchni cylindra i wydłubać trochę odłamków, po czym część rozbić na głązy, a resztę zetrzeć na piasek i żwir. Wymieszane z jadalnym aerożelem staną się podstawą gleby. Należy pozbyć się lodu wydobytego podczas dłubania, zostawić tylko tyle, aby po roztopieniu zapewnił wilgoć dla wydobytych i przemielonych skał. Teraz wystarczy dodać pożywkę bakteryjną i podnieść temperaturę do trzystu kelwinów. Matryca będzie rosnać jak na drożdżach, aż przeobrazi się w cudowną i rzadką substancję – glebę. (Tych, którzy szukają dokładniejszych wyjaśnień, jak stworzyć glebę, odsyłam do mojego bestsellera „*Wszystko o nawozie*”).

Kiedy baza gleby jest już gotowa, do stworzenia biomu pozostaje już krótka droga. Od zróżnicowania etapów procesu będzie zależał zaplanowany i osiągnięty rezultat. Prawdą jest to, co mówią niektórzy projektanci terrariów, że zaczyna się od swoistego błota, ponieważ to najszybszy sposób na rozwój podłoża i ogólnie biomasy. To najlepszy początek, jeżeli pragniemy szybko zasiedlić budowany habitat.

Kiedy gorące bagno już działa, dodaje się czystej wody lub soli i to znaczy, że przygotowania idą dobrze. W cylindrze pojawią się zapachy i problemy hydrologiczne. Na tym etapie można wprowadzać już do biomu ryby, płazy, gady i ptaki, a nawet powinno się to zrobić, jeżeli chce się osiągnąć maksymalny rozrost biomasy. Ale trzeba też zdawać sobie sprawę z zagrożenia: kiedy moczary zaczną się rozwijać, można się w nich zakochać. Nic w tym złego, ale zdarza się trochę za często. Mamy zbyt wiele podmokłych estuariów, a mało innych biomów – i te ostatnie właśnie mamy

nadzieję tworzyć.

Dlatego doradzamy dystans podczas tej fazy procesu – powstrzymać się od zaludnienia mokradeł lub trzymać się z daleka od cylindra. Można też włączyć się do wymiany – zamienić swoją asteroidę na etapie mokradeł na nową, gdy chce się wprowadzać modyfikacje niezwiązane z tym, co się osiągnęło dotychczas.

Ze sporą biomasą wytworzoną przez mokradła można zacząć budowę krajobrazu przy użyciu wydobytych z wnętrza asteroidy surowców. Właśnie po to należało je przechować na powierzchni terrarium. Wzniesienia i góry wyglądają wspaniale i dodają pejzażowi charakteru, więc warto puścić wodze wyobraźni! Stworzenie rzeźby terenu zmieni hydrologię i będzie to doskonały moment na wprowadzenie nowych gatunków, a także pozbycie się tych, które nie są już potrzebne – wystarczy oddać je do nowych terrariów, gdzie mogą się bardzo przydać.

W tej fazie można już transformować wnętrze terrarium w którykolwiek z 832 opisanych i sklasyfikowanych ziemskich biomów lub zaprojektować wniebowstąpienie własnego pomysłu. (Musimy jednak ostrzec, że wiele takich indywidualnie projektowanych biomów pada jak nieudany sufler. Kluczem do sukcesu wniebowstąpienia jest tak wiele czynników, że trzeba było napisać kolejny tom: *„Jak mieszać i dopasowywać biomy”* – już w sprzedaży!)

Na zakończenie konieczne będzie mnóstwo korekt temperatury, rzeźby terenu i zestawu gatunków, aby uzyskać w pełni stabilne środowisko, jakiego się pragnie. Można stworzyć każdy wymarzony pejzaż, a czasami rezultaty są po prostu oszałamiające.

Cały taki krajobraz będzie się owijał wokół człowieka, wznosił po obu stronach i zamykał nad głową, dzięki czemu konstrukcja będzie otaczała patrzącego jak dzieło sztuki – instalacja artysty sztuki ziemi, takiego jak



Goldsworthy, wykonana we wnętrzu kamienia, jak geoda lub jajo Fabergé.

Oczywiście możliwe jest stworzenie środowiska całkowicie płynnego. W niektórych z takich akwariów lub oceanariów znajdują się wyspy lub archipelagi, inne są wyłącznie wodne, nawet ściany mają z wody, niekiedy specjalnie rozmrażane i zamrażane ponownie, aby uzyskać przezroczystość. Taka asteroida z daleka wygląda jak diament lub kropla wody unosząca się w przestrzeni kosmicznej. W tych cylindrach zwykle wokół osi wzdłużnej nie ma przestrzeni z powietrzem.

Jednak każde terrarium i większość akwariów wypełnione są po brzegi ptakami. Na Ziemi żyje pięćdziesiąt miliardów ptaków, na Marsie dwadzieścia miliardów – a my na asteroidach mamy ich dużo więcej niż obie te planety razem wzięte.

Każde terrarium funkcjonuje jak wyspa dla zwierząt, które w nim żyją. Wniebowstąpienia wytwarzają mieszańce i w rezultacie nowe gatunki. Bardziej tradycyjne biomy zapewniają natomiast przetrwanie tym gatunkom, które na Ziemi są mocno zagrożone lub na wolności grozi im wyginięcie. Niektóre z terrariów przypominają nawet zoo, inne natomiast są rezerwatami naturalnej dzicy, ale większość stanowi mieszkankę parku krajobrazowego i ludzkich siedzib rozplanowanych tak, aby wspierały rozwój biomu jako całości. I choćby z tych względów obszary te już są niezwykle ważne dla ludzkości i dla Ziemi. A przecież istnieją także biomy nastawione wyłącznie na rolnictwo czy światy farmy i to właśnie ich produkcja zapewnia poważny procent żywności Ziemi.

Warto o tym pamiętać i odczuwać zrozumiałą dumę. Budujemy nasze światy w bańkach dla przyjemności, jak gotuje się posiłek, konstruuje coś ręcznie albo pielęgnuje ogród – ale to również nowa karta historii i najgłębszy sens Accelerando. Nie mogę się nachwalić!

Inwestycja na początek nie jest trywialna, ale w Układzie Słonecznym nadal

pozostaje mnóstwo bezpiecznych asteroid.

# WAHRAM I SWAN

Chociaż bez wątpienia stanowiło to rezultat inżynieryjnego rozwiązania technicznego problemu, pod względem estetycznym wznoszenie się z Merkurego było interesujące. Wózek magnetyczny wspinał się po spirali w muszli, odwróconej wierzchołkiem do powierzchni i rozszerzającej się ku górze. Szpic muszli był zabezpieczony platformą, która rozciągała się w okrąg o promieniu równie dużym jak rozpiętość najwyższego piętra konchy. Ruch platformy wyrównywał skutecznie siłę przyśpieszenia w promach pchanych magnetycznie przez spiralny tunel.

Dlatego pasażerowie w promach siedzieli ukośnie do podłoża, ale kiedy wózek wspinał się coraz szybciej, mieli wrażenie, że to dół. Zaraz potem z oszałamiającą prędkością zostawali wyrzuceni w przestrzeń. Gdyby była tu atmosfera, spaliliby się na żwir po opuszczeniu konchy. To, co widziało się z kosmoportu, przypominało trochę przejazd kolejki w wesołym miasteczku. Ale wewnątrz promu panowało już całkiem spore przyśpieszenie, bliskie maksymalnej wartości dozwolonej w kosmicznym transporcie publicznym – 3,5 g.

Swan Er Hong wpadła tuż przed startem i przypięła się pasami w fotelu obok Wahrama. Skrzywiła się przepraszająco za tak banalne spóźnienie. Teraz przechyliła się, żeby spojrzeć przez niewielki iluminator na oddalający się szybko kraterowy krajobraz rodzimego świata. Pejzaż zmienił się z

plaszczyny w kulę, cienki półokrąg słonecznego blasku znaczył ją do połowy, reszta garbu nocnej strony tonęła w czerni. Merkury był interesującym miejscem, ale Wahram cieszył się z odlotu. Pomimo wysiłków mieszkańców, aby przyozdobić to miejsce sztuką, w krajobrazie dominował niepodzielnie żużel. Prawda była też taka, że wewnątrz wspaniałego, sunącego po powierzchni miasta nagły błysk wysoko z zachodu przypominał Wahramowi o słońcu, podążającym za nim nieubłagane, zawsze gotowym wybuchnąć gorącym nad widnokręgiem i spalić wszystko na popiół.

Prom miał złapać terrarium *Alfred Wegener*, poruszające się tak szybko, że konieczne będzie jeszcze raz dość długotrwałe przyspieszenie 3 g. Na tę okoliczność Wahram jak pozostali pasażerowie przełączył swój fotel w tryb łóżka, aby łatwiej znieść przeciążenie. Obok Swan jęknęła i skuliła się na swoim posłaniu. Zakazał sobie myślenia o badaniach, które przeprowadzono, aby sprawdzić, jakie są skutki takich przeciążeń dla ludzkiego mózgu, tej delikatnej galarety zamkniętej w twardym więzieniu czaszki bez żadnej wyściółki. Potem *Wegener* złapał prom i zatoczył nim w ostatnim uścisku przyspieszenia i przeciążeń, jakby na zaakcentowanie problemu.

Po tym manewrze pasażerowie musieli się przyzwyczaić do nagłej nieważkości, wypłynąć przez śluzę z promu do doku terrarium i zejść po wyścielanych schodach na wewnętrzną powierzchnię cylindra.

W *Wegenerze* było całkiem sporo przestrzeni, terrarium miało ponad dwadzieścia kilometrów długości i pięć wszerek, oraz ekwiwalent ziemskiego ciężenia. Większość powierzchni wewnętrznej zajmował rezerwat, z kilkoma małymi miasteczkami rozrzuconymi głównie z przodu i z tyłu cylindra. Mieszanka sawanny i pampy okazała się bardzo interesująca, pomyślał Wahram, gdy siedł do pierwszej osady i podziwiał widok roztaczający mu się nad głową. Połacie traw z łąkami lasu, pierwszy krajobraz zasiedlony przez ludzi i przemawiający do najbardziej pierwotnych zakamarków umysłu,

rozkładały się na łuku sklepienia niczym malowidła w Kaplicy Sykstyńskiej, w której Michał Anioł wymalował swoją wersję raj.

Zarazem jednak topologia terrarium zawsze wywoływała u Wahrama uczucie, jakby się znalazł w środku zrolowanego arkusza mapy. Gdy się spoglądało wzdłuż walca, ziemia zdawała się długą doliną w kształcie litery U, z drzewami, zza których wychylały się wyższe i dalsze drzewa, kłoniące się w stronę dna ze zbocza niekończącej się stromizny i wyżej, na pionowych ścianach, jak w niektórych kotlinach polodowcowych. Tyle że tutaj ściany ciągnęły się wyżej i łamały pion w sposób bardzo wyraźny dla oka. Ponad tą granicą pejzaż znajdował się po prostu nad patrzącym i na dodatek był do góry nogami. Jak na przykład teraz, kiedy zza chmur Wahram dostrzegł grzbiety lecących w kluczu ptaków tuż nad taflą jeziora ulokowanego dokładnie nad głową.

Podszedł do małego przedstawicielstwa Saturna w pierwszym miasteczku – Plum Lake – i zajrzał do środka. Na parterze była restauracja, więc zapisał się do prac kuchennych (lubił proste zajęcia), a po krótkiej rozmowie ruszył na zwiedzanie. Było to ładne miejsce ulokowane nad brzegiem jeziora i między wzgórzami, ze stacją kolejki elektrycznej na wschodnich rogatkach. Kolejki kursowały do innych osad. Główny plac wypełniał tłum przybyszów z Wenus, zapewne właśnie wracających do domu – w większości wysokich, barczystych przedstawicieli rasy żółtej, o bystrych oczach i szerokich uśmiechach. Na Wenus urabiali sobie ręce po łokcie w głębokim suchym lodzie. Niebezpieczne zajęcie. Wahram zajmował się podobną pracą, gdy przebywał w domu, na Tytanie, ale na Tytanie panowała grawitacja tylko 0,14 ziemskiej, co niejedną raz uchroniło mężczyznę od drobnych wypadków, podczas gdy na Wenus było to 0,9 g, a to już należało zaliczyć do warunków niebezpiecznych.

Na granicy miasta doszedł do linii drzew i ogrodzenia. Zauważył tam

niewielki daszek, a pod nim tabliczkę z informacją, że jego nowa znajoma, Swan Er Hong, zaprojektowała ten biom siedemdziesiąt lat temu. To zaskoczyło Wahrama, nie wiedział, że Swan była kiedyś projektantką, zwłaszcza że po przybyciu na *Wegenera* nie okazała nawet cienia zainteresowania.

Wahram wziął ze skrzynki, gdzie była przechowywana broń, niewielki pistolet ogłuszający, włożył go do kieszeni bluzy i ruszył przez bramę na teren parku krajobrazowego. Wspiął się po krzywiźnie cylindra. Gleba była tu gruba, czarna i gliniasta, mieszanka pochodzenia tanzańskiego i argentyńskiego, jak głosiła tablica przy wejściu. Grupa wysokich akacji o rozłożystych koronach nosiła na pniach ślady zniszczeń dokonanych przez słonie. Wierzchołki drzew przypominały kule porostów. Wysokie źdźbła traw przesłaniały widok poza najbliższym otoczeniem, ale można było podziwiać krajobraz nad głową. Po lewej, nad drzewami, niewielkie skupisko głazów wyglądało na dobry punkt obserwacyjny; oczywiście na podobną myśl mogła wpaść puma lub hiena, więc Wahram zbliżył się tam, zachowując ostrożność. Większość zwierząt unikała ludzi, ale lepiej było żadnego nie'zaskoczyć. Do przeżywania emocji nie trzeba niebezpieczeństwa – mawiała jego matka. To byłoby dekadencje, a ja nie znoszę dekadencji! Reszta rodziców Wahrama nie wydawała tak lekko osądów, zapewne brała pod uwagę, że wszyscy żyli wokół Saturna i poczucie niebezpieczeństwa mogli mieć trochę skrzywione. Jednak matka dopięła swego i Wahram nie został dekadentem, co go nieustannie zdumiewało, a i teraz serce biło mu odrobinę szybciej.

Na wzniesieniu było jednak pusto. Na głazach rozpięły się plamy porostów, jakby spękaną powierzchnię skał zdobiły kamienie półszlachetne – jasnozielone, żółte i czerwone. Przykucnął w rozpadlinie i rozejrzał się po okolicy.

W kępie wysokiej trawy kryła się gepardzica z dwoma młodymi. Uwaga

samicę koncentrowała się na stadku pasących się niedaleko jeleni pampasowych. Mężczyzna zastanawiał się, co te jeleniowate znaczyły dla gepardów – i czy w Ameryce Południowej żyły równie szybkie drapieżniki. Wydawało się to raczej mało prawdopodobne.

Poczuł radość, że widzi gepardy, zwykle o tej porze chyba spały. Zdaje się, że matka właśnie uczyła potomstwo, jak polować – jedno z młodych przycisnęła łapą, aby zmusić je do przyczajenia się płasko przy ziemi. Chiralny wiatr dmuchał z lewej, więc Wahram znajdował się na zawietrznej, wiedział, że wielkie koty nie wyczują zapachu człowieka. A przynajmniej na to liczył, choć większość zwierząt miała bardzo wyostrome zmysły, w porównaniu z nimi człowiek wydawał się głuchy i niewrażliwy na zapachy.

Wahram usiadł, aby poobserwować gepardy. Kocięta, nadal moregowane, wydawały się oszołomione i chyba niezbyt dobrze rozumiały, o co chodzi w dawanej przez matkę lekcji. Popychały się, jakby miały ochotę na zabawę. Szczyt rozwoju umysłu wiązał się z równoczesnym wzrostem chęci do zabawy.

Dziki koty znajdowały się na nawietrznej od jeleni, które jednak nie wydawały się zaniepokojone, jeden nawet zbliżał się do drapieżników. Gepardzica przykucnęła w trawie, a kocięta zaczęły ją naśladować, machając szybko ogonami.

A potem nagle matka wystrzeliła z trawy, a kocięta za nią. Jelenie rzuciły się do ucieczki w długich skokach, zostawiając gepardy w tyle, ale zaraz musiały rozdzielić się przy drzewach. Gepardzica przecięła drogę ostatniemu ze stada i powaliła go w płataninie sierści, nim wreszcie cętkowane futro znalazło się nad płowym, a długie kły wbiły się w kark, by przytrzymać zdobycz. Jeleń szarpnął się parę razy, ale zaraz znieruchomiał. Krew miała wstrząsający jak zawsze, jasny, ostry odcień czerwieni. Kocięta podbiegły później, a Wahram zaczął się zastanawiać, czy ta lekcja nauczyła je czegoś więcej niż tylko

potrzeby, aby dorosnąć, i pragnienia szybkiego biegu.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że stoi.

Po lewej dostrzegł niewielki ruch; gdy zerknął w tamtą stronę, zobaczył Swan. Zaskoczony pomachał do niej. Uniosła podbródek, ale nie przerwała obserwacji gepardów. Samica uczyła teraz kocięta, jak jeść zdobycz, choć w tym przypadku młode nie potrzebowały wielu wskazówek. Wahram przyjrzał się otoczeniu. Świecąca część linii słonecznej przesunęła się dość daleko w stronę końca terrarium, oddalając się światło przybrało odcienie zachodu. Kępy traw falowały na wietrze. Wyczuwało się tutaj pierwotny nastrój.

Swan podeszła i wspięła się na wzniesienie. Sytuacje, gdy zastało się kogoś samotnie spędzającego czas w rezerwacie, bywały nieco zawstydzające – w niektórych parkach uznawano wypadki samopas za nielegalne, w większości – za nierozważne. Ale przecież Swan też była tu sama.

Wahram skinął jej na powitanie, uprzejmie, ale też przyjaźnie.

– To niezwykle traf, że udało się zobaczyć takie polowanie – stwierdził, gdy kobieta podeszła bliżej.

– Tak – przyznała. – Jesteś tu sam?

– Owszem. A ty?

– Również sama. – Spojrzała na niego przenikliwie. – Muszę jednak przyznać, że twoja obecność w tym miejscu jest dla mnie zaskakująca. Nie wiedziałam, że lubisz takie widoki.

– Na Merkurym raczej trudno się tym wykazać.

Swan wskazała na drapieźniki.

– Nie boisz się?

– Odkryłem, że tutejsze koty unikają ludzi.

– A gdyby były głodne?

– Rzecz w tym, że nigdy nie są głodne. Mają tu mnóstwo łatwej zdobyczy.

– To prawda. Ale jeżeli nigdy wcześniej nie spotkały człowieka, mogłyby



uznać cię za jakąś małpę. Bez wątpienia bardzo smaczną. Delikatne mięso. Słyszysz się o takich przypadkach. Na te koty nigdy nie polowano, nie nauczyły się bać człowieka.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że stoi.

Po lewej dostrzegł niewielki ruch; gdy zerknął w tamtą stronę, zobaczył Swan. Zaskoczony pomachał do niej. Uniosła podbródek, ale nie przerwała obserwacji gepardów. Samica uczyła teraz kocięta, jak jeść zdobycz, choć w tym przypadku młode nie potrzebowały wielu wskazówek. Wahram przyjrzał się otoczeniu. Świecąca część linii słonecznej przesunęła się dość daleko w stronę końca terrarium, oddalając się światło przybrało odcienie zachodu. Kępy traw falowały na wietrze. Wyczuwało się tutaj pierwotny nastrój.

Swan podeszła i wspięła się na wzniesienie. Sytuacje, gdy zastało się kogoś samotnie spędzającego czas w rezerwacie, bywały nieco zawstydzające – w niektórych parkach uznawano wypadki samopas za nielegalne, w większości – za nierozważne. Ale przecież Swan też była tu sama.

Wahram skinął jej na powitanie, uprzejmie, ale też przyjaźnie.

– To niezwykle traf, że udało się zobaczyć takie polowanie – stwierdził, gdy kobieta podeszła bliżej.

– Tak – przyznała. – Jesteś tu sam?

– Owszem. A ty?

– Również sama. – Spojrzała na niego przenikliwie. – Muszę jednak przyznać, że twoja obecność w tym miejscu jest dla mnie zaskakująca. Nie wiedziałam, że lubisz takie widoki.

– Na Merkurym raczej trudno się tym wykazać.

Swan wskazała na drapieżniki.

– Nie boisz się?

– Odkryłem, że tutejsze koty unikają ludzi.

– A gdyby były głodne?

– Rzecz w tym, że nigdy nie są głodne. Mają tu mnóstwo łatwej zdobyczy.  
– To prawda. Ale jeżeli nigdy wcześniej nie spotkały człowieka, mogłyby uznać cię za jakąś małpę. Bez wątpienia bardzo smaczną. Delikatne mięso. Słyszy się o takich przypadkach. Na te koty nigdy nie polowano, nie nauczyły się bać człowieka.

– Zdaję sobie sprawę, że mógłbym się stać zdobyczą – zapewnił Wahram. – Dlatego noszę mały ogłuszacz. Tak na wszelki wypadek. Ty nie?

– Nie – przyznała po chwili zastanowienia. – To znaczy czasami noszę, ale zazwyczaj staram się uniknąć nocy w areszcie.

– W rzeczy samej.

Przechyliła głowę, jakby czegoś słuchała. Alex powiedziała kiedyś Wahramowi, że jej wnuczka ma zaimplantowaną qostkę od czasów, gdy stało się to modne.

– Skoro już jesteśmy przy jedzeniu – odezwała się Swan. – Może coś byśmy zjedli?

– Z przyjemnością.

Wrócili do ogrodzenia. Przy bramie zastali niewielką grupę. Gdy ludzie zobaczyli Swan, natychmiast ją otoczyli i zaczęli serdecznie witać. Co myślisz? – pytali. Jak ci się podoba teraz to terrarium, gdy się rozwinęło?

– Wygląda dobrze – zapewniła pokrzepiająco. – Widziałam gepardy polujące na jelenie pampasowe. Przyszło mi do głowy, że zwierzyny płowej może być za dużo. Czy ten problem pojawił się niedawno?

Jedna z osób w grupie odpowiedziała, że jeleni jest dużo, ponieważ nadal żyło za mało kotów, a Swan zaczęła się dopytywać o szczegóły. Wahram zrozumiał tylko, że ta populacja drapieżców i ich ofiar fluktuowała okresowo, a sinusoidalne wykresy zmian, gdy się je na siebie nałożyło, wskazywały, że liczba drapieżników spada lub rośnie o ćwierć cyklu za ofiarami. Pojawiały się też inne komplikacje, których Wahram jednak nie potrafił pojąć, nie wiedział

nawet, o czym była mowa.

Kiedy Swan skończyła rozmawiać, poprowadziła go ulicą z powrotem do centrum miasteczka.

– Więc tutejsi ludzie wiedzą, że zaprojektowałaś to terrarium – zauważył Wahram podczas spaceru.

– Tak. To zaskakujące, że ktoś w ogóle jeszcze pamięta. Sama prawie o tym zapomniałam.

– Byłaś ekologiem?

– Projektantem. Dawno temu. Prawdę mówiąc, większość tego, co wtedy zrobiłam, niezbyt mi się podoba. Wprowadzałam zbyt dużą ilość wniebowstąpięń. Owszem, potrzebne nam terraria, aby zapewnić przetrwanie gatunkom, które wyginęły na Ziemi. Nie wiem, co sobie myślałam. Ale nie mogę przecież tego powiedzieć ludziom, którzy tutaj mieszkają. Są zaangażowani. To ich świat.

Podeszli po krzywiźnie cylindra kilka stopni wyżej. Chmura, która podczas zachodu otulała pomarańczowym szalem krajobraz nad ich głowami, teraz opadła, rozciągając się we mgłę. Przedmioty straciły cienie w mglistym zmierzchu, a pejzaż na górze zniknął, pozostało tylko kilka lamp lśniących jak rozmyte gwiazdy. Zdawało się, że to inny świat – zewnętrzny raczej niż wewnętrzny.

Wahram wyjaśnił, że zapisał się do pracy na zmywaku w przedstawicielstwie Saturna, wrócili więc do budynku w Plum Lake i tam zamówili posiłek. Swan nie zadeklarowała się do żadnego zajęcia – jak wyznała, rzadko to robiła. Gdy usiedli, zamilkła i w zamyśleniu zapatrzyła się w okno, po czym rozejrzała się po pomieszczeniu, poruszając się tylko nieznacznie, szumięcie stopą, potarcie rąk. Zanim podano posiłek, kobieta nie odezwała się ani razu. Bez wątplenia nadal przeżywała żalobę po Alex. Wahram, którego także często przeszywało poczucie straty, mógł tylko

milcząco współczuć. Ale nagle Swan przekrzywiła głowę.

– Przestań do mnie mówić. Nie chcę cię słuchać – oznajmiła.

– O co chodzi? – zdziwił się Wahram.

– Przepraszam – westchnęła. – Mówiłam do mojej goстки.

– Możesz zrobić tak, żeby było ją słychać?

– Oczywiście. – Uniosła lekko głowę. – Pauline, możesz mówić na głos.

Słowa dobiegły z prawej strony głowy kobiety.

– Jestem Pauline, wiemy komputer kwantowy Swan.

Głos brzmiał prawie tak samo jak Swan, tyle tylko, że generowany był przez zawiązki nagłaśniające w skórze i przez to nieco stłumiony.

Swan skrzywiła się tylko i zaczęła jeść zupę. Zakłopotany Wahram też skupił się na posiłku.

– Więc do niego mów! – warknęła nagle Swan.

Głos z boku głowy zabrzmiał znowu:

– Jak rozumiem, udajemy się do systemu Jowisza?

– Tak – odpowiedział mężczyzna czujnie. Jeżeli Swan właśnie nakazała swojej goście prowadzić za nią rozmowę, nie wróżyło to dobrze. Ale nie był pewien, czy właśnie tak się stało.

– Jakiego rodzaju sztuczną inteligencją jesteś? – zapytał.

– Jestem komputerem kwantowym, model Ceres 2i96a.

– Rozumiem.

– Pauline jest jedną z pierwszych i najsłabszych gostek – dodała Swan. – Złom.

Wahram rozważył te słowa. Pytanie: „Jak jesteś inteligentna?” byłoby zapewne nieuprzejme. Poza tym nikt nie potrafił tego dobrze oszacować. Dlatego nie dociekał.

– O czym lubisz rozmyślać? – spytał tylko.

– Zaprojektowano mnie do przekazywania wiedzy w rozmowie, ale zwykle

nie potrafię zdać testu Turinga. Czy chciałbyś zagrać w szachy?

– Nie. – Roześmiał się.

Swan patrzyła w okno. Wahram zerknął na nią z namysłem, po czym wrócił do jedzenia. Potrzebował dużo ryżu, by złagodzić nieco ostrość chili w potrawie.

– Nalegasz, żeby się mieszać, nalegasz na rozmowę, nalegasz, aby udawać, że wszystko jest normalnie – mruknęła Swan z goryczą.

– Anafora to najslabsze z retorycznych narzędzi, w zasadzie niewiele się różni od redundancji – zabrzmiał znowu głos gościa.

– Narzekasz z powodu redundancji? Ile razy rozłożyłaś i przeanalizowałaś to zdanie, dziesięć miliardów?

– Nie trzeba było aż tylu operacji.

Cisza. Obie chyba miały dość rozmów.

– Studiujesz retorykę? – zapytał Wahram.

– Tak, to bardzo przydatne narzędzie analityczne – odpowiedziała gościa.

– Podaj mi, proszę, przykłady.

– Kiedy wymieniasz jednym ciągiem *expolitio*, *paralelizm* i *incrementum*, wydaje mi się, że masz przykład wszystkich trzech figur retorycznych w tej samej wypowiedzi.

– Czyżby, Sokratesie? – prychnęła na to Swan.

– *Commutatio* oznacza użycie różnych określeń, by wyrazić tę samą myśl, *congeries* tłumaczy się jako akumulację, nagromadzenie przez *enumeratio*, a *incrementum* znaczy podnoszenie rangi tematu, by wzmocnić argument. A zatem zgromadzenie ich w liście realizuje wszystkie trzy figury retoryczne, tak?

– A do jakiej dyskusji chcesz wzmocnić ten argument?

– Za wysoko cię oceniłam, myśląc, że używałaś wielu różnych zabiegów, podczas gdy tak naprawdę stosowałaś tylko jedną metodę, ponieważ są to różnice bez wyróżnień.

– Ha, ha – odparła Swan sarkastycznie.

A Wahram ledwie zdołał powstrzymać się od śmiechu.

– Pojawiają się także opinie – podjęła qostka – że tradycyjna retoryka jest klasyfikowana fałszywie, że to rodzaj fetyszyzmu...

– Dość!

Zapadła cisza.

– Pójdę pomóc w kuchni. – Wahram wstał od stołu.

Po chwili Swan ruszyła za nim i stanęła przy zlewozmywakach przy oknie, po czym gdy skończyła zmywać, zapatrzyła się na mgłę. Obok stały butelki z winem i kobieta nalala sobie lampkę. Wilgotny brzęk naczyń przy pracach kuchennych dla Wahrama zawsze zdawał się muzyką.

– Powiedz coś! – rozkazała Swan w pewnym momencie.

– Myślę o gepardach – odpowiedział zaskoczony. Miał nadzieję, że mówiła do niego, choć w pomieszczeniu nie było nikogo więcej. – Wiele ich widziałaś?

Żadnej odpowiedzi. Oboje wzięli się do wycierania stołów, co zajęło trochę czasu. Swan mamrotała pod nosem, zdaje się, że znowu kłóciła się ze swoją qostką. Potem szturchnęła go.

– No ruszaj się! Dlaczego jesteś taki wolny?

– A czemu ty jesteś taka szybka?

Oczywiście ta nerwowość i nadpobudliwość były notorycznie spotykane u wszystkich z wszczepioną qostką, ale jemu nie wypadało tego mówić, a Swan na dodatek wydawała się pod tym względem gorsza niż przeciętni qostkogłowi. Lecz zapewne nadal przygniatał ją smutek, więc zasługiwała, aby jej trochę odpuścić. Znowu nie odpowiedziała Wahramowi, tylko zerwała fartuch i ruszyła w mgłę. Podeszedł do drzwi, aby ją odprowadzić, ale Swan nagle skręciła w stronę ogniska rozpalonego na placu w środku miasteczka. Wokół ognia bawili się ludzie. Wahram dostrzegł jej sylwetkę na tle

plamieni, gdy przyłączyła się do tańca.

Nawyki zaczynają się tworzyć po pierwszym powtórzeniu. Potem jest tropizm ku powtórzeniom, ponieważ wzorce z tym związane służą do obrony, obwarowania się przeciw czasowi i desperacji.

Wahram doskonale zdawał sobie z tego sprawę, przeżywał podobny proces wiele razy, dlatego poświęcał uwagę temu, co robił podczas podróży, ze względu na te pierwsze powtórki, które mogły stworzyć wzorzec na taką właśnie okoliczność w jego życiu. Zbyt często pierwszy raz, gdy się coś robiło, był przypadkowy, nieplanowany i niekoniecznie prowadził do dobrych rezultatów, na których opierały się później przyzwyczajenia. A potem trzeba było wykonać trochę poszukiwań, innymi słowy: trzeba było próbować nowych możliwości. To bezkrólewie, w rzeczy samej, chwila prawdy przed następnym pozbywaniem się przyzwyczajęń, okres, gdy wędrowało się, robiąc przypadkowe rzeczy. Czas bez ochrony, czyste dane, przebywanie w świecie tu i teraz.

Takie chwile pojawiały się zbyt często, jak na jego gust. Większość terrariów oferujących transport pasażerski po Układzie była ekstremalnie szybka, ale i tak podróże trwały tygodniami. A to zbyt wiele czasu, żeby obijać się bez celu, lepiej robić coś, od czego inni mogliby się łatwo wymigać ze strachu lub innego rodzaju umysłowej hibernacji. W osiedlach wokół Saturna tego typu sprawy czasami odkrywano w nauce lub sztuce. Ale ta hebefrenia Wahramowi wydawała się niebezpieczna, o czym przekonał się na długo przed bolesnymi przeżyciami. Zbyt często w jego przeszłości bezsens dotykał wielu aspektów życia. Dlatego Wahram potrzebował porządku i wyzwania, potrzebował nawyków. W chwili odarcia intensywność doznań zahaczała o grozę – grozę, że nie narodzi się nowe znaczenie, które zastąpi stare, właśnie utracone.

Oczywiście nie istniało nic takiego jak idealne powtórzenie czegokolwiek,

było to wiadome nawet przed Sokratesem. Heraklit i jego niemożność wejścia dwa razy do tej samej rzeki i tym podobne. Zatem nawyki tak naprawdę też nie były iteratywne, lecz jedynie pseudoiteratywne. Innymi słowy, dni mogą powtarzać się według tego samego wzorca, ale doświadczenia jednostki wypełniające ten wzorzec zawsze będą trochę inne. Zatem był w tym zarówno plan, jak i element zaskoczenia – i tego właśnie stanu Wahram pragnął: żyć w pseudoiteracji. A zarazem jednak miała to być dobra pseudoiteracja, interesująca, wzór skonstruowany jak małe dzieło sztuki. Nieważne, ile trwa podróż, jak nudne jest terrarium lub ludzie w nim mieszkający, ważne, aby znaleźć wzorzec i projekt, a potem realizować je ze wszystkich sił, wolą i wyobraźnią. Sprowadzało się to do prostej kwestii: życie pokładowe to też życie. Każdy dzień zatem należy wypełnić.

Dlatego następnego dnia Wahram opuścił przedstawicielstwo Saturna po śniadaniu i wrócił do parku. Pod bramą przyłączył się do grupy, która zamierzała wytropić niewielkie stado słońi. Po pewnym czasie dołączyła też Swan – przyszła z dalszych rejonów rezerwatu, zarumieniona i zdyszana, jakby biegła. Grupa miała ze sobą urządzenie zmieniające poddźwiękowe odgłosy słońi do poziomu słyszalnego dla ludzi i Swan zmarszczyła brwi, słuchając tej zwierzęcej rozmowy lub śpiewu, jakby rozumiała język zwierząt.

Kiedy słońie zamilkły, zapytała dowodzącego wyprawą zoologa, dlaczego zmierzch na linii słońca trwał tak długo poprzedniego wieczoru. Wahram szybko pojął, że w tym biomie, równikowym przecież, zmierzch powinien trwać krótko, jak na Ziemi, gdzie w strefie równika słońce zapadało za widnokrąg niemal pionowo bez względu na porę roku. Zoolog, zaskoczony, że Swan to zauważyła, wyjaśnił obronnym tonem, że prowadzono tu eksperyment polegający na przesunięciu biomu terrarium na odpowiednik dwudziestego trzeciego równoleżnika na Ziemi, ponieważ właśnie na tej szerokości geograficznej pojawiły się na półkuli północnej obszary równie



gorące jak strefa równikowa przed globalnym ociepleniem. Lasy zmieniały się tam w stepy, spore tereny ulegały pustynnieniu, dlatego dla wspomagania migracji sprawdzano możliwość przeniesienia tropikalnych, na wpół wytopionych populacji jak ta na *Wegenerze* do nowego siedliska. W nadziei, że się uda, chciano wcześniej przyzwyczaić zwierzęta do nowych warunków, dlatego reżim dni i nocy w terrarium został odpowiednio zmieniony.

Swan nie wyglądała na zadowoloną z tego tłumaczenia i zaraz potem podążyła własną drogą ku niezadowoleniu zoologa i dezaprobacie niektórych gości. Wahram natknął się na nią dopiero wieczorem w restauracji, zapewne Swan też praktykowała jakąś formę pseudoiteratywności, wszak wiele podróżowała, a to był naturalny ludzki impuls. Wahram zjadł przy sąsiednim stole, a potem poszedł zmywać naczynia. A chociaż skinął jej uprzejmie, nie zareagowała. Kiedy wrócił po skończonej pracy w kuchni i poszedł po drinka, kobiety już nie było. Na placu znowu płonęło ognisko, płomień otaczał tłum tancerzy.

Ten drugi dzień przyniósł elementy nowych nawyków, ale następnego popołudnia *Wegener* przechodził blisko Wenus, wykorzystując jej grawitację do przyśpieszenia podróży na Jowisza.

Wahram podjechał kolejką elektryczną do dziobu, gdzie z pomocą uchwytów przeszedł niemal w nieważkości korytarzem do obserwatorium – kopuły wystającej na przedzie asteroidy. Pomieszczenie miało panoramiczny widok na rozciągające się dookoła gwiazdziste niebo – i wyżej, na wyraźną krzywiznę Wenus. Wahram, który w domu spędzał sporo czasu w równie niskiej jak tutaj grawitacji, radośnie balansował, trzymając się pasa tylko jedną ręką i przyglądając z zainteresowaniem drugiej planecie Układu Słonecznego. Swan pojawiła się tuż przed końcem przejścia, jak zwykle w pośpiechu, aby uniknąć spóźnienia.

Atmosfera Wenus została teraz tak zredukowana w stosunku do naturalnego

stanu gęstości, że stała się niemal przezroczysta, i chociaż planeta pozostawała w cieniu tarczy przeciwsłonecznej, a tym samym w ciągłej strefie nocy, dawało się dostrzec zamgloną biel mórz suchego lodu i czarne skały dwóch kontynentów częściowo już z niego oczyszczonych. Smugi chmur, znane z Ziemi i Marsa, wirowały nad śnieżnymi równinami i oceanami suchego lodu, tworząc trudny do opisanego efekt pieprzu z solą. W obserwatorium zabrzmiały okrzyki ekscytacji i zaskoczenia. Ludzkie oko niezbyt dobrze radziło sobie z czernią tak głęboką i bielą tak ostrą, a przecież wcale nie było tak prosto. Nawet przy największym zbliżeniu asteroidy do planety widok stanowił chaos punktów i kropek. *Wegener* poruszał się kursem pod kątem, aby przelecieć tuż nad atmosferą i maksymalnie wykorzystać grawitacyjną procę. W dole przesunęła się zbitka światła, ktoś powiedział, że to Port Elizabeth. Zaraz obok znajdowało się miasto nazywane Billie Holliday, gdzie Wahram kiedyś pracował na gigantycznej koparce, zasypując suchy lód w dolinach odłamkami pumeksu i porowatych skał. To samo robiono teraz na Tytanie. Wenus i Tytan najpewniej dołączą do Marsa jako kolejne w pełni sterraformowane światy, przerobione światy, jak je niektórzy przezywali, z czystym powietrzem zdatnym do oddychania dla ludzi. Przykład Marsa pokazywał, co może się wydarzyć: niepodległy nowy świat, wolny od problemów, z jakimi borykał się ten stary.

Swan tańczyła w nieznacznym ciężeniu.

– Chcę wrócić – powtarzała rytmicznie, nie zwracając się do nikogo konkretnego, może tylko do swojej qostki. – Chcę poczuć trujący wiatr rozbijający się o zatrute morze.

• •

Wenusjanie zniknęli przed przejściem i teraz *Wegener* nie był już tak interesujący, jeżeli chodzi o ludzi na pokładzie. Żadnych ognisk, żadnych

tańców przez całą noc. Wahram spędzał większość czasu w rezerwacie, stało się to podstawą tej nowej pseudoiteratywności. Miejscowi próbowali zrobić spis ptaków i ssaków na asteroidzie. Często widywało się w oddali Swan, która chodziła własnymi ścieżkami. Najpewniej nawet spała na terenie parku. Jednego wieczora w kuchni przyznała, że nigdy nie sypia w pomieszczeniach, jeżeli tylko może tego uniknąć – choć, rzecz jasna, całe terrarium w pewnym sensie było jednym wielkim wnętrzem. Podczas wypraw do rezerwatu Wahram zauważył też ślady świadczące, że Swan próbowała złapać sobie jedzenie. Raz wraz z towarzyszami znalazł królika w niewielkich sidłach ustawionych nad potokiem meandrującym przez park. Połowanie było zakazane przez prawo, a co ważniejsze – przez obyczaj. Tak się po prostu nie robiło. Kilka razy poszukiwacze natknęli się również na niewielkie ogniska i resztki kości w popiele, nie całkiem spalone. Królik lub jakieś inne małe zwierzątko upieczone nad ogniem... Ktokolwiek to zrobił, powinien uważać na hieny. Doprawdy Wahram uważał, że hinduskie potrawy w restauracji są o wiele smaczniejsze.

Aż pewnego ranka grupa, do której dołączył Wahram, napotkała Swan. Siedziała przy małym ognisku, twarz miała usmarowaną tłuszczem, smugi krwi nadal na rękach, a małe futerkowe ciało spoczywało u jej stóp. Popatrzyła na intruzów z dzikim grymasem – zupełnie jak patrzyłaby hiena przyłapaną w podobnej sytuacji – i przez długi czas nikt nie wiedział, co powiedzieć i jak się zachować. Kłusownictwo niespecjalnie obchodziło władze, jak zawsze. Wahram zerknął ukradkiem na zoologa. Swan raczej nie zawisłaby za to, co zrobiła, zwłaszcza ze względu na jej status założycielki terrarium. Na dodatek większość miejscowych była co najmniej o połowę młodsza od Merkurianki i teraz grupa ta szurała nogami i garbiła się, starając się wymyślić, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– To chyba można określić jako przyłapanie na gorącym uczynku – odezwał

się Wahram swoim najbardziej jowialnym tonem. – Proszę, chciałbym jednak zobaczyć słonie, skoro mam okazję, a stado się od nas oddała. Na pewno wkrótce wszystko tutaj wróci do normy.

Po czym ruszył w przeciwną stronę i pociągnął resztę za sobą jak pasterz prowadzący stado.

Następnym razem lepiej wybrać się na inne tereny parku. Albo mógłby wytropić tę małą rodzinę gepardów, na którą natknął się wcześniej. Raz dostrzegł Swan w pobliżu skalnego wzniesienia, ale nie podszedł. Było jasne, że chce być sama. W miasteczku, jeśli wpadała do restauracji, gdzie pracował, jadała samotnie. Dla Wahrama było to trochę rozzaczarowujące.

W pseudoiteratywności należy wykonywać rytuał dnia z uwagą, ciesząc się zarówno z tego, co znane, jak i z dreszczu przypadkowości. Wyjście na sawannę tuż po wschodzie słońca było ważne. Świetlny punkt na linii słonecznej wydobywał cienie we wnętrzu cylindra, w górze klucze ptaków przelatywały znad jednego jeziora do drugiego. Ptaki wędrowne udawały, że migrują, jak powiedziano Wahramowi. Odlatywały o świcie i leciały przez większość dnia, po czym wracały tam, skąd zaczęły. Może jego działania były podobne.

Wyszedł do obserwatorium, gdy *Wegener* mijał sławetną asteroidę *Błąd Oprogramowania*. Tutaj właśnie jedna z maszyn drążących straciła linię polecenia, błąd sztucznej inteligencji spowodowany zapewne pechowym uderzeniem promieniowania kosmicznego, jak powszechnie uważano, i po wydrążeniu wielkiego żelazo-niklowego jądra asteroidy i pozostawieniu wnętrza wyłożonego stałą maszyna samowolnie zawróciła i zaczęła przeżerać się przez skalną otoczkę po przeciwnej stronie otworu wydobywczego, a następnie za każdym razem, gdy wydostała się na powierzchnię, zawracała i drążyła tunel obok. I tak powstawało w powłoce coraz więcej dziur z wystającymi pasmami żelaza i niklu. Po kilku latach było już jasne, że proces

nigdy nie ustanie samoczynnie, zwłaszcza że asteroida, znacząco już zmniejszona, wyglądem coraz bardziej przypominała węzeł poplątanych stalowych lin. Niektórzy prawnicy nie chcieli przerywać działań zepsutego urządzenia, żeby zobaczyć, czym się to skończy, ale najwyraźniej ktoś się na to nie zgodził, ponieważ potężny impuls elektromagnetyczny zniszczył sztuczną inteligencję i unieruchomił maszynę w pół ruchu, z wlotem wiertniczym przechylonym w bok jak atakujący wąż. W rzeczy samej na tym etapie asteroida przypominała już trochę głowę Meduzy, rzeźbiony precel, który niektórzy uważali za piękny, a inni za przerażający – świadectwo głupoty si lub daremności ludzkich wysiłków.

*Wegener* przemknął obok asteroidy tak szybko, że ludzie w obserwatorium mogliby jej nie dostrzec, gdyby mrugnęli. *Błąd Oprogramowania* urósł z kropki do piłki tenisowej w czasie nie dłuższym niż zwykły wdech. Zabrzmiały westchnienia, a potem wiwaty. W rzeczy samej ta planetoida była uderzającym, acz przypadkowym dziełem sztuki, jak osądził Wahram. Wybrzuszenia i krzywizny zdawały się nadal poruszać, jakby paszcza Ouroborosa w pościgu za umykającym ogonem albo – jak wpadło Tytanowi do głowy, gdy opisywał widok w kuchni – jak płatanina butelek Kleina.

Następnego dnia *Wegener* minął kolejny sławny błąd. Aby go zobaczyć, do obserwatorium przyszło więcej ludzi niż podczas mijania poprzedniego ciała niebieskiego. Wahram uznał to za zasmucające.

W tym terrarium, *Yggdrasilu*, wydarzyła się katastrofa – niezauważona rysa w powłoce wypełniła się lodem i pękła. Przypominało to bardziej wybuch niż przeciek. Tylko garstce mieszkańców udało się przeżyć – nie więcej niż pięćdziesięciu z trzech tysięcy. Coś podobnego mogło się przytrafić każdemu, kto nie mieszkał na Ziemi lub na Marsie. Wahram darował sobie oglądanie miejsca tragedii.

## SPISY (2)

Leżenie nago na bloku lodu pod kwarcówką

Spędzenie pięciu godzin w skafandrze kosmicznym z zapasem powietrza tylko na cztery godziny

Przebiegnięcie Merkurego wzdłuż równika

Wycięcie sobie nożem laserowym schematu Układu Słonecznego na piersi

Zejscie powoli (przez cały dzień) po Wielkich Schodach nago jak na obrazie Duchampa

Przelot malutkim urządzeniem odrzutowym z terminatora w blask rozbłysku korony słonecznej, katapultowanie się i lądowanie tuż przy miejscu rozbicia odrzutowca tylko na silnikach skafandra kosmicznego

Siedzenie i patrzanie w oczy ludziom, którzy zajmowali miejsca naprzeciw – przez rok

Taniec w płomieniach w przezroczystym kombinezonie ognioochronnym

Toczenie kul do kręgli po Wielkich Schodach ze szczytu Ściany Świtu – przez cały dzień (dzień pachinko)

Spędzenie tygodnia na kompostowniku

Wiszenie w pozycji ukrzyżowania do góry nogami w słońcu, kiedy wrota Ściany Świtu są otwarte

Siedzenie przez tydzień na stosie cebuli i obieranie jej jednej po drugiej

Opuszczenie schronienia w kombinezonie kosmicznym z zapasem powietrza, ale bez ogrzewania, żeby sprawdzić, jak długo się wytrzyma na powierzchni (14 minut)

Opuszczenie schronienia w kombinezonie kosmicznym z zapasem powietrza, ale bez ogrzewania, żeby sprawdzić, jak długo można wytrzymać na zewnątrz, wędrując częściowo w słońcu i jego radioaktywnym upale (61 minut)

Opuszczenie schronienia w kombinezonie kosmicznym z ogrzewaniem, ale bez filtrów powietrza, żeby sprawdzić, jak długo się wytrzyma na powierzchni (8 minut)

# SWAN I KOT

Swan zeszła z *Wegenera* z poczuciem wstydu i depresji po zetknięciu się z przerażającymi pomysłami swojej młodości, w tym przypadku sawannowo-pampasowym wniebowstąpieniem – nie wspominając już o małej przygodzie z kłusownictwem i przyłapaniu na gorącym uczynku, jak trafnie określił to ten przeklęty mądrała.

Zrobiło się jednak jeszcze gorzej, gdy transporter przeniósł ich do terrarium kierującego się na Jowisza. Okazało się, że to *Plejstocen*, kolejny błąd z młodości Swan, północ w epoce lodowcowej z każdym pokręconym przedstawicielem megafauny wskrzeszonym i teraz snującym się w żalostnej zmutowanej wersji swojej dawnej wielkości. Wielkie, krótkopyskie niedźwiedzie rozglądające się z rozdziawionymi paszczami w oszołomieniu, a także wilki, straszne tygrysy szablozębne, amerykańskie megantereony, mastodonty i włochate mamuty – większość z nich tak naprawdę wcale nie przywrócona do życia ze starożytnego dna, lecz ze zsyntetyzowanego, zrodzona ze słoni, lwów czy kodiaków, a przez to zupełnie pozbawiona instynktów właściwych dawnym gatunkom. Smutny widok. Swan przeklinała się i wściekała przez całą tygodniową podróż na Jowisza i omal nie zapłaciła za nią życiem. Nie dość, że było tu boleśnie zimno, to na dodatek pewnego ranka obudziła się na idiotycznie niewygodnej gałęzi, czując, że drzewo się trzęsie, ponieważ wspina się na nie wielki kot niewiadomego gatunku – zapewne po

prostu puma albo pantera śnieżna o zdumiewająco długiej sierści. W każdym razie zwierzę chciało dopaść Swan. A że nie było cięższe od niej, wszystko wskazywało, że uda mu się wejść na wystarczającą wysokość, aby zmienić Swan w posiłek. Do powierzchni było ze dwanaście metrów, a terrarium obracało się tak, by uzyskać ekwiwalent ciężenia ziemskiego. Przeklęła dawną modę w terrariach, gdzie początkowo normą była grawitacja marsjańska – a potem strach wyparł jej z głowy wszelkie myśli. Opuścić posłanie na gałęzi. Wejść wyżej niż kot o podobnej do Swan wadze – zdecydowanie problematyczne. Wciągnęła się na konar rosnący bardziej pionowo niż ten, na którym spała. Kot tylko się przyglądał, ale jeszcze nie ruszał. Topazowe oczy w splątanym białym futrze, uniesiona góma warg, białe, głodne kły. Żadnej złośliwości. Wyżej, na bardziej pionowe odgałęzienie, stopa głęboko w rozgałęzieniu przy pniu, bolesny skręt, by się uwolnić, wyżej i wyżej. Swan zakołysała się w koronie drzewa, gałęzie wokół wyglądały na cienkie i łamliwe. Jakiś gatunek dębu. Jeżeli kot zaatakuje, a Swan kopnie go w nos, drapieznik z pewnością chybi i spadnie. Przednie pazury zapewne jej dosięgną, a kopnięcie musi być szybkie – i może wysokie. Próbowwała wspiąć się wyżej, ale nie mogła.

Ale przecież była na *Plejstocenie*. Miała przy sobie broń ogłuszającą.

Tyle że zostawiła ją na posłaniu.

– Szlag.

Kot zaczął się wspinać na konar Swan. Jego waga wystarczyła, by wygiąć gałąź.

– Pauline, jakieś podpowiedzi, co robić?

– Przestrasz go – odparła Pauline. – Pozwól działać adrenalinie, a potem zrób coś szalonego.

Więc Swan wykręciła się i puściła. Stopami walnęła w pysk kota, wrzeszcząc ile sił w płucach. Kiedy nogi uderzyły w coś jeszcze, chwyciła się



najbliższej gałęzi. Łupnięcie w żebra zaparło jej dech w piersiach, nie mogła krzyżeć. Machała nogami, szukając oparcia, ale żadnego nie znalazła. Zerknęła w dół. Kot stał na ziemi i patrzył. Swan znowu wrzasnęła, choć ból rozsadał jej pęknięte żebra. Przeszła zaraz do gniewnych okrzyków, rzucając w stronę drapieżnika najgorsze inwektywy. Chciała go zabić sposobem Archilocha – złośliwymi słowami. Ochryplą, głos z trudem dobywał się ze zmęczonej krtani, charczący goryczą i piskliwy, nieznośny nawet dla jej własnych uszu – dźwięk, który uświadamiał jej, że straciła nad sobą panowanie. Kot westchnął ciężko i potruchtał w dal.

Swan opuściła się na posłanie i wyjęła ogłuszacz. Zejście z drzewa bolało jak diabli.

• •

Po tym zdarzeniu Swan unikała Wahrama, a do czasu, gdy wylądowali na Kallisto, zaczęła odczuwać nawet zadowolenie z rany na boku. Polepszała jej samopoczucie, równoważyła smutek i gniew. Chwila przerażenia, jaką przeżyła, nie poszła w zapomnienie, lecz przemieniła się w coś innego, w pewnego rodzaju triumf. Omal nie stała się śniadaniem! Zachowała się głupio, a mimo to przeżyła – jak często się to zdarza? To na pewno przeznaczenie. I z pewnością potem będzie się działo podobnie.

– To prostacki sylogizm. I do tego fałszywy – oznajmiła Pauline, gdy Swan wypowiedziała swoje myśli na głos.

Księżycy Jowisza były wielkie, a sam Jowisz przypominał wręcz gargantuiczne malowidło olejne szalonego geniusza. Kleiste kleksy wirowały we wspaniałych arabeskach oranżu wokół powierzchni – każda granica między wstęgami stanowiła fantazyjne i nieporównywalne z niczym dzieło sztuki. Swan pokochała ten pejzaż od pierwszego wejrzenia, a i miasto, skąd oglądała Jowisza, nie było najgorsze – Czwarty Pierścień Walhalli, zbudowane na

eponimicznej obręczy wielopięścieniowego krateru. Walhalla miała sześć takich pierścieni, rozprysniętych na powierzchni Kallisto niczym koncentryczne fale, które powstają na tafli wody, gdy się wrzuci w nią kamień. Miasto ulokowane było na szczycie czwartego kręgu i rozciągało się po całej obręczy. A po sąsiedzku, na trzecim i piątym kręgu, właśnie wznoszono kolejne osiedla. Mawiano, że w końcu miasto okryje cały krater, a potem pewnie całą powierzchnię Kallisto, choć tego obiektu orbitującego do małych światów zaliczyć nie można. Byli nawet tacy, którzy spirali się, czy księżycyca nie powinno się terraformować jak należy, pomimo braku atmosfery, od której można by zacząć proces przemian.

Kallisto w rzeczy samej była jednym z czterech dużych światów, ponieważ wszystkie księżycy galileuszowe należały do gigantów. Ale chyba ciążyła na nich jakaś klątwa, a przynajmniej tak się wydawało Swan. Jeden z tych satelitów był zupełnie bezużyteczny, inny stanowił przedmiot nieustannych sporów. Io orbitowała tak głęboko w pasmach okrutnej radiacji Jowisza, że nigdy nie zostanie zasiedlona – co najwyżej pojawi się tam jeszcze kilka małych, dobrze chronionych stacji naukowych.

Europa, przepiękny wielki satelita, pokryta była grubym lodem, pod który ludzie mogliby się wryć, aby umknąć przed promieniowaniem Jowisza, silnym nawet z tak daleka. Miały tu powstać cudowne lodowe pałace, nad którymi górowałaby na nieboskłonie bryła gazowego olbrzyma – a przynajmniej początkowo tak się wszystkim wydawało. Jednak plany się nie ziściły, ponieważ odkryto obcych żyjących w oceanie pod zmarzliną, ekosystem alg, chemotrofów, litotrofów, organizmów metanogennych, saprofitów, organoheterotrofów, wiciowców, bruzdnic, tobołków, kryptofitów – pływających, pełzających albo przyczepionych lub zakopanych na dnie – a to tworzyło poważny problem. Niektórzy naukowcy uznali, że nawet jedno ingerencyjne sondowanie i badanie groziło ryzykiem skażenia tego oceanu.

Podobnie zresztą jak, niedokonane w końcu, odwierty próbek znad jeziora Wostok; tyle że na większą skalę. Ale zrobiono wszystko, żeby wysterylizować otwory, a potem, gdy odkryto i pobrano dość próbek ekosystemu, zapieczętowano szyby. Naukowcy siedzą teraz na powierzchni w stacjach badawczych, analizując i katalogując te niezemskie formy życia, oraz zastanawiają się, czy powinni zostać, czy też lepiej odejść, a gdyby zostali, jaki powinien być to rodzaj obecności. Zapewne wymarzone na początku lodowe pałace byłyby zupełnie w porządku, skoro obcy ekosystem zamknięty jest pod dziesięciokilometrowej grubości glajosferą, oddzielającą powierzchnię księżyca od oceanu kryjącego się pod spodem. Jednak życie, jak to życie, w swojej panspermii pcha się w każdy zakamarek, w jaki może sięgnąć, a to oznacza, że skażenie zdarzyć się może w każdej chwili, jeżeli nastąpi zasiedlenie Europy. A jednak, biorąc pod uwagę fakt, że tutejsze stworzenia, jak się okazało, są spokrewnione z ziemskimi, rozdzielonymi przez podróż na meteorze, a co za tym idzie – są już i tak skażone przez kontakt, rodzi się wątpliwość: czy osiedlenie się nad tym ekosystemem i pozostanie pomniejszym skażeniem byłoby aż tak złe? Zwłaszcza że już sporo ludzi połknęło obce mikroskopijne formy życia i wstrzyknęło je sobie do żył. Przecież życie i tak rozprzestrzeniało się po całym Układzie Słonecznym i natykało na swoich kuzynów przez cały czas... Te pytania pozostały otwarte, interesujące i budzące dyskusję wśród Europejczyków i Jowiszan, lecz znacznie mniej emocji wśród mieszkańców reszty Układu Słonecznego. Swan była tym zainteresowana jeszcze w czasach, gdy zajmowała się projektowaniem terrariów i popierała ostatnią decyzję, aby jednak zasiedlić Europę, przycupnąć dyskretnie na powierzchni, nad wewnętrznym autochtonicznym akwariem.

Po wypadku z kotem większość czasu spędzała na spacerach po głównej ulicy, biegnącej wokół Czwartego Pierścienia Walhalli, i czekaniu na odlot na

Io. Unikala Wahrama, który obserwował swoją towarzyszkę podróży z coraz mniej skrywaną troską, czego z kolei Swan nie mogła znieść. Jowisz górował nieustannie w chwale swojej ponurej potęgi. Możliwe, że Jowiszanie mieli prawo tak mocno koncentrować się na sobie – mieli tu cały system gwiazdny w miniaturze, zróżnicowany i kompletny. Między pierścieniami krateru powierzchnia Kallisto była guzowatą białą równiną, nad którą gazowy gigant i jego pozostałe satelity wykonywały swój taniec. Wspaniały i niesamowity kawałek wszechświata.

Ale Swan przyleciała tu, aby spotkać się z Wangiem, wkrótce więc ogarnęło ją zniecierpliwienie. Czekanie na prom na Io dłużyło się, widok nieba zaczynał nużyć.

Arlekinada wirujących raz za razem pasm – to nie sztuka, lecz chemia, jedynie fraktalne powtórzenia. Błogosławieństwem jednak okazało się, że ostatnio zapalono wielkie zwierciadlane lampy w górnych warstwach atmosfery Jowisza, w celu lepszego oświetlenia miasta od strony planety. Można było dostrzec, jak blask tych oślepiająco jasnych diamentów rozpraszał się we wstęgach chmur Jowisza, dodając do nich nowe wiry i pasma – i to była już sztuka, która zmieniła planetę w jakieś szalone dzieło podobne do prac Goldsworthyego, tyle że na skalę kosmiczną.

Wreszcie czas nadszedł i przyleciał prom na Io.

– Pauline, nic ci nie będzie, gdy tam polecimy? – zapytała Swan.

– Nic mi nie będzie, jeżeli tobie nic nie będzie: Na pewno musisz zostać wewnątrz klatki Faradaya, jeżeli masz przeżyć. Jowiszanie bez wątplenia też ci to powiedzą.

I rzeczywiście to mówili, przez całą podróż. W pudełku wewnątrz pudełka – jak w rosyjskich matryoszkach. Jowiszanie byli z tego tacy dumni.

Swan i Wahram wylądowali zatem na Io. Prom wzniecił wściekłą zorzę, błękitne i zielone elektryczne wstęgi, rozbłyskujące jasnymi łukami

wyładowań.

## Io

Io, najbardziej tajemniczy z satelitów Jowisza, rozmiarami przypomina ziemski księżyc. Żółty, spopielony świat, ale przy tym zdumiewający – wyrzuca swoje księżycowe wnętrza, wymiotuje raz po raz, dopóki wszystko bardziej ulotne niż siarka nie ulegnie spaleniu. Tutaj wszędzie jest tylko siarka i siarka. Niezbyt odpowiednie miejsce do zasiedlenia. Cztery czynniki wulkanów wypływa gorący żużel jak gniewnie wrząca kipiela, gejzery dwutlenku siarki strzelają na setki kilometrów w górę. To księżyc z wnętrzem bardziej gorącym niż Ziemia – a jeżeli wyciągnie się dłoń nad parą uchodzącą z wulkanicznego krateru na Nea Kameni, w kalderze Santorini, można przekonać się na własnej skórze, jak gorące jest wnętrze Ziemi: wydaje się, że to para jak nad płytą grzejną kuchenki, ale szybko się poczuje, że jest trzykrotnie gorętsza. I nawet jeżeli natychmiast cofnie się dłoń, na skórze pojawiają się bąble. A wewnątrz Io jest trzydzieści razy gorętsze.

I na takie wygląda. Piekło ściśnięte potężnymi pływami przyciągania między Jowiszem i Europą i niemal rozerwane. To właśnie grawitacja w działaniu. Do tego pole promieniowania radiacyjnego Jowisza jest tak ogromne i tak silne, że Io w nim skwierczy – nawet *Deinococcus radiodurans* tego nie wytrzyma. Nic nie żyje na Io.

Poza ludźmi. Oraz niewielką biotą, którą zabierają wszędzie, dokąd uda im się dotrzeć. Możliwe jest bowiem znalezienie na Io wysp twardej skały na zboczach nieprawdopodobnie wysokich wulkanów, można wtedy wdążyć się w tę skałę i ukryć tam małą stację. Sześć do utrzymania gośki Wanga. Wszystko tutaj musi być zabezpieczone potrójnie – przede wszystkim fizycznie, mocnymi ścianami, ale też polem elektromagnetycznym na tyle

silnym, aby przeciwdziałało radiacji Jowisza. Niestety, takie pole magnetyczne jest równie zabójcze jak twarde promieniowanie, więc wewnątrz musi być jeszcze umieszczona klatka Faradaya, która chroni człowieka przed jego ochroną.

Lądowanie tutaj odbywa się w błękitnej magnetycznej zorzy, w ogniu elektronów. Poniżej księżyc rozciąga się z kuli w płaszczyznę, a potem w zgiełkliwy górski pejzaż nakładających się na siebie wulkanów, wzdętych stożków, które ciężko dostrzec w zlewających się połaciach żółci na beżu, czerni na bieli na ciemnym brązie, pasm każdej spalonej barwy. Przeważa jednak żółć.

Tu i tam dostrzec można rozrzucone pierścienie czerni lub czerwieni i bieli, które wskazują czynne kominy, wyrzucające wnętrzości Io w zgrubne kęgi wokół wylotów. Jednak większość plam na tym księżycu jest o wiele mniej regularna i kiedy się na nie spogląda razem, powstaje galimatias, którego na oko nie można uznać za topografię. Jest właśnie tym, na co wygląda – roztopioną powierzchnią świata w ogniu. Nazwy nadane przez ludzi są tutaj zbędne. Imiona bogów ognia, piorunów, błyskawic i wulkanów – każdego chyba wybuchowego bóstwa: od Agni, hinduskiego boga ognia, po Volunda, germańskiego boskiego kowala – wszystkie stanowią tylko próby, by zhumanizować nieco ten księżyc. I wszystkie zawiodły. Io nie jest miejscem dla ludzi.

Twarda skorupa powierzchni, schłodzona tylko przez kontakt z zimnem kosmicznej pustki, w wielu miejscach jest tak cienka, że nie utrzyma stojącego człowieka. Odkrywczy z wczesnych wypraw przekonali się o tym w najboleśniejszy z możliwych sposobów – odeszli za daleko od lądownika, a gdy siarkowa ziemia się pod nimi załamała, wpadli w rozgrzaną do czerwoności lawę i nigdy nie powrócili.

Wydaje nam się, że skoro żyjemy na chłodniejszych planetach i satelitach,

mamy pod stopami o wiele bezpieczniejszy grunt niż Io. Jednak wcale tak nie jest.



# SWAN I WANG

Stacja na Io kryjąca kostkę Wanga i zespół naukowy znajdowała się wysoko na zboczu Ra Patera, jednej z największych gór w Układzie Słonecznym. Kiedy prom się obniżał, szeroki stok Ra zdawał się ledwie wznosić nad powierzchnią. Pojazd przyziemił w otworze wyłożonym betonem, po czym dach się zamknął. Od tej pory większość czasu przybysze mieli spędzić pod skorupą księżyca. Krajobraz mogli podziwiać dzięki panoramicznym ekranom i przez małe okna wieżyczki, gdzie mieściło się centrum dowodzenia placówką, również wtopione w podnóże Ra.

Na mostku stacji przebywało kilkoro ludzi, ale nikt nawet nie podniósł wzroku na Swan i Wahrama, ani też na Wanga, gdy wyszedł na powitanie.

Wang Wei okazał się pulchną osobą sprawiającą wrażenie niewiniątka. Prawdziwy naczelny naukowiec, jak to określił Mqaret: jeden z czołowych ekspertów od komputerów kwantowych w Układzie Słonecznym. Takie właśnie osobowości bywały czasami suwerenami niezwykle małych Rurytanii. Swan zastanawiała się, czy Alex miała rację w swoim twierdzeniu, że bałkanizacja Układu Słonecznego była celową, choć nieświadomą reakcją ludzkości na qostki, rodzajem ruchu oporu wobec rosnącej władzy komputerów kwantowych.

Wang przywitał Swan i Wahrama, a potem z krótkim: „Ach, dziękuję” przyjął podaną kopertę od Alex. Okazało się zatem, że spodziewał się tego

listu. Przeczytał wiadomość na niewielkim arkuszu, po czym na najbliższym biurku podłączył płytkę, która też znajdowała się w kopercie. Długo przyglądał się konsoli, przesuwając palcem wskazującym po czytanych uważnie liniach tekstu.

– Tak mi przykro z powodu straty Alex – odezwał się w końcu do Swan. – Kondolencje z głębi serca. Alex była osią naszego małego koła, a teraz kręcimy się, jakbyśmy mieli połamane szprychy.

Zaskoczona tym Swan odpowiedziała z wahaniem:

– Napisała mi w liście, że powinnam przyjść do ciebie. Zostawiła mi wiadomość w swoim gabinecie. Rodzaj planu awaryjnego, jak mi się wydaje. Część tego planu znajdowała się w kopercie dla ciebie.

– Tak. Alex uprzedziła mnie, że może się tak zdarzyć. Wspomniała też w liście, że będziesz miała dane zapisane w swojej wewnętrznej gostce.

– To prawda. Ale moja gostka nie chce mi powiedzieć, czego dotyczą.

– Bez wątpienia takie dostała polecenie od Alex. Dane są wyspecjalizowane. Masz teraz coś w rodzaju kopii awaryjnej – wyjaśnił Wang przeprasząco.

Swan posłała mu groźne spojrzenie, po czym popatrzyła na Wahrama. Obaj prowadzili niemą konwersację, zupełnie jak wcześniej na Merkurym Wahram i Genette.

– Powiedz mi, o co chodzi – zażądała. – Obaj pracowaliście nad czymś z Alex.

Zawahali się, a potem Wang westchnął.

– Tak. Przez wiele lat. Alex była osią, jak mówiłem. Pracowaliśmy dla niej i z nią.

– Ale nie lubiła wchodzić w chmurę informacyjną. – Swan wskazała na pomieszczenie stacji. – Wszystko zachowała tylko w głowie, tak? Ale ty pracujesz z gostkami, nieprawdaż? Gostka Wanga... Algorytm Wanga?

– Tak – przyznał Wang.

– Aby zachować tajemnicę, Alex trzymała się z dala od gości – dodał Wahram. – I do tego właśnie potrzebowała pomocy gości. Tak to już teraz jest i Alex doskonale o tym wiedziała.

Wang skinął głową.

– Więc wybrała mnie. Trudno powiedzieć dlaczego. Uważała zapewne, że mam więcej niż przeciętne kontakty z tym, co lubiła nazywać ligą światów niezrzeszonych. Rzeczywiście, mam sieć takich powiązań, ale bynajmniej nie wystarczającą. Zresztą nikt nie ma dokładnego opisu systemu, jaki teraz istnieje.

– Czy tego właśnie chciała Alex? – zapytała Swan.

Wahram potrząsnął głową.

– Znała system równie dobrze jak każdy. Wang ma kontakty z niezrzeszonymi światami, ale ważniejsze, jak mi się zdaje, jest to, że jego goście są tutaj zamknięci. Ich połączenie z resztą systemu kontroluje Wang. Alex to się podobało, ponieważ starała się wszystkie swoje umowy i rozmowy prowadzić w bezpośrednich kontaktach, w komunikacji twarzą w twarz.

– Ale zostawiła nam wiadomości – zaoponowała Swan. – Na wypadek gdy nie będzie mogła już rozmawiać. Chciała zatem, żebyśmy to my rozmawiali. Żebyście wy rozmawiali ze mną.

– Na to wygląda.

– Więc powiedzcie mi, co knujecie!

Wymienili spojrzenia, a potem na długo wbili je w podłogę.

Wreszcie Wang podniósł wzrok i popatrzył Swan prosto w oczy, czym ją zaskoczył. Spojrzenie miał przenikliwe.

– Nikt nie wie dokładnie, jak poradzić sobie z tą sytuacją, ponieważ wiąże się ona z gośćkami, a ty masz wszczepioną gostkę. Dlatego Alex nie powiedziała ci o niektórych sprawach i dlatego i ja nie mogę tego zrobić.

Teraz gdy spis kontaktów Alex jest tu bezpieczny, my, którzy z nią pracowaliśmy, możemy spróbować działać dalej według jej wskazówek.

Swan potrząsnęła głową.

– Więc macie informacje od Alex i moja gośtka też ma informacje od Alex, ale mnie nie wolno poznać informacji od Alex?

Wang zerknął na Wahrama. Ten skrzywił się, jakby wbijano mu szpilki w pewne miejsca. Zmrużył wypukłe oczy jakby w odpowiedzi na przeszywające jak u bazyliuszka spojrzenie Wangu. Po czym obaj popatrzyli na Swan. Nie wiedzieli, co jej powiedzieć. Nie zamierzali jej nic mówić.

Z pogardliwym prychnięciem Swan machnęła ręką i wyszła z pomieszczenia.

• •

Na tej małej stacji nie było dokąd pójść, żeby się wyrwać. Swan zdała sobie z tego sprawę dopiero po swoim dramatycznym wyjściu. Pragnęła teraz tylko wyładować swój gniew w biegu przez wzgórza, ale oto znalazła się w ciasnej pułapce, w kostce gośtki, w pudle z pokojami, z których nie wszystkie nawet miały okna. W zakamarkach umysłu Swan zawsze skrywała się klaustrofobia, a teraz wściekłość na Wangu i Wahrama oraz żal po stracie Alex (i gniew na Alex, że ukrywa przed Swan ważne sprawy tylko z powodu Pauline) obudziły lęk przed zamknięciem i pchnęły Merkuriankę do wędrówki po stacji. Nieustannie przeklinając, przeszła z wieżyczki dowodzenia do niewielkiego pomieszczenia z oknem i nareszcie mogła trzasnąć drzwiami i wbić pięści w stół. Żebro ją trochę zabolęło, gdy to robiła, ale ból stanowił teraz składnik układanki ze wszystkich pomieszanych uczuć. Swan czuła się zraniona!

Nagle jej uwagę przykuł ruch za oknem. Przerwała swój wybuch i podeszła, aby lepiej się przyjrzeć. Przez łyby dostrzegła na tle żółtego żużlu rozmazaną ludzką postać zbliżającą się do stacji. Postać dziwacznie się poruszała, chwiała

się, zataczała, przeskakiwała z jednej pozy do innej.

– Pauline, czy ktoś może tutaj spacerować po powierzchni? Na zewnątrz stacji?

– Tutejsze skafandry powinny stanowić równie dobrą ochronę jak stacja – odparła Pauline. – Proszę... Poinformuj natychmiast ochronę o tym, co widzisz.

– Przecież oni też to widzą?

– Takie skafandry mogą być chronione na wiele sposobów. Twój wzrok stanowi zapewne jedyną wskazówkę. Pośpiesz się, proszę. Nie pora na dyskusje.

Swan warknęła, ale wyszła z pokoju. Po krótkim błakaniu się w pośpiechu i zgubieniu w korytarzach wreszcie trafiła do pomieszczenia, gdzie wraz z Wahramem spotkała się z Wangiem.

– Ktoś podchodzi pieszo do stacji – oznajmiła zaskoczonym ludziom w sali. Kilku zaczęło natychmiast dokładniej sprawdzać, co pokazują ekrany. Niestety, Swan nie umiała powiedzieć, w którą stronę było skierowane okno, więc musiała zaprowadzić ich do pomieszczenia (ledwie pamiętała drogę), aby im pokazać. Kiedy jednak tam dotarli, nic nie było widać oprócz krajobrazu spalonych skał rozciągających się wokół stacji. Najwyraźniej ludzie w centrum dowodzenia też niczego nie dostrzegli...

– Pauline, powiedz im – rozkazała Swan.

– Kierunek: północ-północny zachód, trzysta dziesięć metrów w dół zbocza. Ślady stóp powinny być nadal widoczne. Postać poruszała się nieregularnie...

Wang wpadł do pokoju, bez wątpienia wezwany.

– Zamknijcie stację – nakazał krótko swoim ludziom.

W każdym pomieszczeniu natychmiast rozdzwoniły się alarmy, boleśnie piskliwe i głośne. Wkrótce korytarze wypełniły się ludźmi. Swan i Wahram zostali pociągnięci jednym z przejść do podziemnego schronu. Było w nim

już tłoczno i kiedy przepchnęli się do środka, drzwi zostały zamknięte – najwyraźniej ich wliczono. Teraz Swan znalazła się w najmniejszej z matroszek.

Na ścianie wisiały ekrany i Pauline pomogła miejscowej si przekierować tam obrazy z kamer monitoringu stacji. Wkrótce na jednym z monitorów ukazało się zbliżenie na zbocze: tam daleko po nierównym żużlowym żółtym stoku schodziła, skacząc, niewielka figurka.

– Zły pomysł – stwierdził Wang. – Powłoka jest tam cienka.

Jak na potwierdzenie jego przepowiedni, odległa postać zapadła się i zniknęła w jasnym błysku.

– Obserwujcie otoczenie stacji – powiedział Wang po chwili zaskoczonego milczenia. – Upewnijcie się, czy ktoś jeszcze tam jest. I wypuście droida, żeby się rozejrzył za transporterem, zapewne skoczkiem.

Zgromadzeni w schronie ludzie patrzyli na ekrany w przygniatającej ciszy. Jeżeli klatka Faradaya straci zasilanie, wszyscy się szybko usmąą, każda komórka ludzkiego ciała spłonie w promieniowaniu Jowisza.

Wydawało się jednak, że nic się nie dzieje. Zasilanie stacji było zabezpieczone, a w najbliższej okolicy nikt się nie pojawił. Potem wśród zebranych zapanowało poruszenie.

– Statek prosi o pozwolenie na lądowanie – oznajmił ktoś.

– Kto to?

– Jednostka Interplanu, *Chyża Sprawiedliwość*.

– Sprawdź, czy to naprawdę ona.

Obraz zbliżającego się kosmolotu przesunął się na większy ekran i wszyscy mogli zobaczyć, jak niewielki statek opada w błysku do otworu na lądowisku. Zaraz potem pojawiła się twarz w kasku wprost przed obiektywem kamery monitoringu w podziemnym doku, wypełniła ekran, aby można było zrobić skan siatkówki, po czym przybysz pomachał i uniósł kciuk. Wyraźnie

przyjacieli.

Przybyłych wpuszczono do środka. W wejściu stało troje ludzi, już bez kasków, jeden mały. Swan z zaskoczeniem rozpoznała inspektora, którego poznała w laboratorium Mqareta. Jean Genette.

– Spóźniłeś się – rzucił Wang.

– Wybacz – odparł Genette. – Zatrzymano nas. Opowiedz, co się stało.

Wang w skrócie zreferował przebieg wydarzeń, podsumowując:

– Zdaje się, że to był tylko jeden intruz. Zbliżał się do stacji i kiedy skakał po zboczach, pokrywa się pod nim załamano. Zapadł się i zniknął. Nie znaleźliśmy jak dotąd żadnych pojazdów.

Genette przechylił głowę w bok.

– Po prostu zbiegł po zboczach na śmierć?

– Na to wygląda.

Inspektor popatrzył na swoich towarzyszy.

– Musimy wyciągnąć spod lawy to, co z niego zostało. – A potem oznajmił Wangowi i pozostałym: – Wrócimy szybko. Może powinniście zostać w schronie trochę dłużej.

Po czym cała trójka zniknęła w śluzie stacji.

• •

– No dobrze. – Swan westchnęła ciężko i spojrzała twardo szczególnie na Wahrama. – Mów, co się dzieje.

– Nie jestem pewien – mruknął Wahram.

– Właśnie nas zaatakowano!

– Tak mi się zdaje.

– Tak ci się zdaje?

Wang odezwał się, nie odrywając wzroku od ekranów:

– Muszę przyznać, że to był bardzo nieskuteczny atak.

– Ale kto chciałby was zaatakować? – zapytała Swan. – I jak ten inspektor Genette dotarł tu tak szybko? I czy to ma coś wspólnego z tym, co robiliście z Alex?

– Trudno powiedzieć w tej chwili – odparł Wahram, a Swan przerwała mu, szturchnąwszy w ramię.

– Dość tego – syknęła wściekle. – Powiedźcie, co się dzieje!

Rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu: kilkanaście osób tłoczyło się tutaj, lecz ostentacyjnie zajmowało się swoimi sprawami, pozostawiawszy Wangę i jego gości samych przy biurku w kącie.

– Mówcie albo zacznę krzyżeć – ostrzegła piskliwie, aby pokazać, co może się stać, a ludzie w pobliżu drgnęli i podnieśli na nią oczy, choć niektórzy próbowali tego nie robić.

Wahram zerknął na Wangę.

– Pozwól, że spróbuję – oznajmił.

– W twoje ręce – zgodził się Wang.

Wahram dotknął ekranu na blacie i otworzył schemat Układu Słonecznego, trójwymiarowy obraz, który zdawał się płynąć w biurku. Kule w jasnych holograficznych barwach tworzyły coś podobnego do zwykłego planetarium, tyle że w tym użyto znacznie więcej kolorowych sfer, jak zauważyła Swan, i równie wiele kolorowych linii łączących kule. Co więcej, elementy schematu nie były pokazane proporcjonalnie do prawdziwych rozmiarów planet i księżyców.

– Ten obraz stworzony został na podstawie analiz Alex – wyjaśnił Wahram Swan. – To próba pokazania władzy i potencjału władzy. Rodzaj wykresu Menarda. Wielkość kul jest zależna od zestawu funkcji i czynników, które Alex uważała za istotne.

Swan dostrzegła Merkurego – małą czerwoną kulę blisko Słońca. Członkowie Mondragonu byli zaznaczeni na czerwono, tworzyli konstelację



czerwonych kropek rozrzuconych po Układzie – małych, ale za to licznych. Ziemia natomiast była ogromna i wielobarwna, skupisko kul, jak pęk baloników napełnionych helem i trzymany w garści za sznurki. Mars stanowił pojedynczą zieloną sferę, niemal tak dużą jak Ziemia. Kolorowe linie łączyły kropki, tworząc sieć, gęstą do Saturna, potem już o wiele rzadszą.

– Jakie czynniki? – zapytała Swan, próbując się uspokoić. Nadal była wstrząśnięta, bardziej jednak pojawieniem się inspektora Genette’a niż atakiem.

– Zgromadzony kapitał, populacja, bioinfrastruktura zdrowia, stan i stabilność terraformowania, zasoby minerałów i paliw, ustrój polityczny, uzbrojenie i wyposażenie militarne. Możemy ci później podać szczegóły heurystyczne. Ale od razu widać, że

Mars i Ziemia ujmowane razem są przerażająco większym źródłem wpływów niż inne skupiska władzy. A Chiny, ta duża różowa kula, stanowią bardzo wielką frakcję w strukturze władzy Ziemi. Wenus tymczasem ma tak wielki potencjał, że trudno go odwzorować na schemacie, ponieważ obecne wpływy tej planety to nic w porównaniu z tymi, jakie może osiągnąć. Wenus i Chiny są zaznaczone na różowo, ponieważ są w dobrych stosunkach z Mondragonem. Widać również, że istnieje potencjał na węzeł Chiny-Wenus-Mondragon dla uzyskania największej władzy. Alex często mówiła, że chińska dominacja jest niedocenianą normą w historii, poza krótkim okresem, gdy Państwo Środka ustępowało Europie. Może to się wydawać przesadne, ale obraz mówi sam za siebie, biorąc pod uwagę obecną sytuację – wyjaśnił Wahram. – Zauważ także, jak małe są osiedla kosmiczne. Nawet brane pod uwagę razem, nadal mają niewielkie wpływy. Jednak jeżeli dodasz ich potencjał terraformowania do kalkulacji, jak to właśnie zrobiłem... Oto rezultat: Wenus, Księżyc, księżyce galileuszowe Jowisza, nie licząc Io, Tytan i Tryton stały się o wiele większe. To one właśnie reprezentują największe

możliwości na zdobycie znaczących wpływów w Układzie Słonecznym. Asteroidy w większości są spełnione. Zatem w najbliższym czasie Wenus i największe księżycy to potencjalnie nowa konkurencja do władzy. Na dodatek Wenus wkrótce będzie w pełni dostępna do zasiedlenia i już doświadcza gwałtownego rozwoju, więc dzieją się tam niesamowite rzeczy, a to destabilizuje sprawę na Ziemi.

– A czym martwiła się Alex? – zapytała Swan. – I co zamierzała z tym zrobić? Jakie miała propozycje?

Wahram wziął głęboki wdech, po czym kolejny.

– Dostrzegaliśmy niestabilność Układu, dążącego do rozpadu, nadejście rozbitcia, o ile nie wprowadzi się kilku poprawek. Chciała uzyskać stabilizację. Uważała także, że podstawowym źródłem problemów jest Ziemia.

Spojrzał na schemat, który doskonale potwierdzał jego słowa – tam, w środku wszystkich czystych, podstawowych barw, część pęku balonów, która reprezentowała Ziemię, była tak jaskrawa, że zdawała się wibrować.

– I co chciała zrobić? – dopytywała się Swan, czując ukłucie niepokoju. – Chcesz powiedzieć, że Alex zamierzała zmienić sytuację na Ziemi?

– Tak – odpowiedział Wahram bez wahania. – Tego właśnie pragnęła. Wiedziała oczywiście, że to pragnienie jest sławetną elementarną pomyłką, jaką popełniają przestrzeniowcy. Niemożliwy do realizacji projekt, z góry skazany na porażkę. Ale Alex uważała, że może mamy teraz wystarczające wpływy, aby coś zmienić. Miała plan. Wielu z nas odnosiło wrażenie, że to trochę jak ogon machający psem, no wiesz. Ale Alex przekonywała, że nigdy nie będziemy bezpieczni, dopóki Ziemia nie osiągnie lepszej kondycji. Więc podążaliśmy za tą ideą.

– To znaczy?

– Gromadziliśmy jedzenie i zwierzęta w terrariach i tworzyliśmy w zaprzyjaźnionych osiedlach ziemskie przedstawicielstwa. Zawarte zostały

umowy. Ale teraz się to pokomplikowało przez odejście Alex. Większość uzgodnień ustalała na spotkaniach, osobiście. I były to umowy na słowo.

– Nie ufała gościom, wiem.

– Właśnie.

– Dlaczego nie?

– Cóż... Tego chyba nie powinienem teraz mówić.

Po niezręcznej pauzie Swan jedna zażądała:

– Powiedz mi.

A kiedy uniósł głowę i spojrzał jej w oczy, odpowiedziała mu spojrzeniem, jakie mogłaby posłać Alex – czuła je w sobie. Babka umiała zmusić ludzi do mówienia, tylko na nich patrząc.

Ale to Wang udzielił odpowiedzi.

– To miało coś wspólnego z zabawnymi historyjkami o gościach – wyjaśnił z wahaniem. – Na Wenus i w pasie asteroid. Przypadki te badał inspektor Genette i jego zespół. Zatem... – Wskazał na drzwi. – To może być częścią tego wszystkiego. Dlatego dopóki nie dowiedzą się więcej, pozwól nam zostawić ten temat. A przy okazji, zakładam, że twoja gośćką nagrywa tę rozmowę? Najlepiej będzie, jeśli zadbasz, aby to nagranie pozostało zamknięte.

– Pokaż Swan schemat Układu z uwzględnieniem władzy gości – zwrócił się Wahram do Wanga.

Wang skinął głową i puknął w obraz na biurku.

– Ten schemat to próba włączenia zarówno gości, jak i tradycyjnych si. W założeniu ma pokazać, w jakim stopniu nasza cywilizacja rządzona jest przez sztuczną inteligencję.

– Goście niczym nie rządzą – zaproponowała Swan. – Nie podejmują żadnych decyzji.

Wang zmarszczył brwi.

– A jednak o paru sprawach decydują. Na przykład kiedy ma wystartować prom albo o asygnowaniu towarów i usług w Mondragonie i tym podobne. O większości działań w infrastrukturze Układu Słonecznego, jak się okazuje.

– Ale one nie decydują – zauważyła Swan.

– Wiem, o co ci chodzi, ale spójrz na schemat.

W tej wersji, jak wyjaśnił, na czerwono zaznaczony był zakres władzy ludzi, a na niebiesko – komputerów, w tym jasnoniebieski oznaczał tradycyjne komputery, a ciemnoniebieski – kwantowe. Wielka ciemnoniebieska kula pojawiła się obok Jowisza, inne kropki rozrzucone były po całym Układzie, większość powiązana w jedną sieć. Ludzie przypominali zbiory czerwonych punktów, nieliczne i mniejsze niż niebieskie oraz z wyraźnie mniejszą liczbą łączących je linii.

– Czym jest ta niebieska kula obok Jowisza? – zapytała Swan. – Czy to ty?

– Tak – odpowiedział Wang.

– A zatem teraz ktoś zaatakował tę dużą niebieską kulę.

– Tak. – Wang zmarszczył ponuro brwi, spoglądając na schemat. – Ale nie wiemy, ani kto, ani dlaczego.

Zapadła cisza, którą przerwał Wahram:

– Schematy takie jak ten to część zagadnień, które martwiły Alex. Zapoczątkowała działania mające na celu opanowanie sytuacji. Ale zostawmy to na później. Mam nadzieję, że rozumiesz...

Jego żabie oczy wydawały się bardziej wypukłe, gdy popatrzył na Swan, jakby chciał ją przekonać jedynie siłą swojego wzroku. Pocił się.

Swan w odpowiedzi spojrzała groźnie, ale potem wzruszyła ramionami. Chciała się spierać i ponownie uświadomiła sobie, że dobrze jest znaleźć coś poza śmiercią Alex, na co można się złościć. Nieważne co, wszystko się nada. Ale w końcowym rozrachunku to i tak nie pomoże.

Wahram próbował wrócić do tematu Ziemi.

– Alex powiedziała, że powinniśmy myśleć o Ziemi jak o naszym Słońcu. Kręcimy się wokół niego, a ono wywiera na nas ogromny wpływ. A ponieważ istnieje konieczność, aby każdy przestrzeniowiec właśnie na Ziemi spędzał cyklicznie urlop, nie możemy jej po prostu zlekceważyć.

– Nie możemy tego zrobić z wielu powodów – dodał Wang.

– Racja – zgodził się Wahram. – W każdym razie postanowiliśmy kontynuować dążenia Alex. Możesz nam w tym pomóc. Twoja gośotka ma spis kontaktów Alex. Utrzymanie ich będzie wymagało ogromnego wysiłku. Przyda nam się twoja pomoc.

Swan, niezadowolona z tych ogólników, dokładniej przyjrzała się nowemu schematowi. Wreszcie się odezwała:

– Z kim Alex najczęściej pracowała w sprawie Ziemi?

Wahram wzruszył ramionami.

– Z wieloma ludźmi. Ale jej głównym kontaktem był Zasa.

– Naprawdę? – zdziwiła się Swan. – Mój Zasa?

– W jakim sensie twój?

– No... Byliśmy kiedyś razem.

– Nie wiedziałem. W każdym razie Alex polegała na pewno na wyczuciu Zaszy w sprawach związanych z sytuacją na Ziemi.

Swan niejasno pamiętała, że Zasa pracował dla przedstawicielstwa Merkurego na Manhattanie, ale nigdy nie słyszała, aby partner lub przyjaciółka mówili, że się znają. Była to kolejna sprawa dotycząca Alex, o której Swan właśnie się dowiedziała. Nagle dotarło do niej, że tak będzie już zawsze, Swan nie dowie się już różnych rzeczy od Alex, lecz o niej. Alex w ten sposób nadal pozostanie żywa i to przyniosło pocieszenie, choć niewielkie – ale lepsze to niż nic. Lepsze to niż pustka. A jeżeli Zasa pracował z Alex...

– Dobrze – oznajmiła Swan. – Kiedy inspektor Genette pozwoli nam stąd odlecieć, wybiorę się na Ziemię.

Wahram skinął niepewnie głową.

– A co ty zamierzasz? – zapytała go Swan.

Wzruszył ramionami.

– Muszę wrócić na Saturna i złożyć sprawozdanie.

– Zobaczymy się jeszcze?

– Tak, z przyjemnością. – Jednak wyglądał na trochę zaniepokojonego perspektywą ponownego spotkania. – Wkrótce wrócę na Terminatora. Z Ligą Saturna skontaktowały się Wulkanoidy, które, jak się okazało, zawarły kilka słownych uzgodnień z Alex. Mają już technologię przesyłu światła i zaczęły przekaz na Saturna, a ja jestem obecnie ambasadorem Ligi dla planet wewnętrznych. Zobaczymy się więc, kiedy wrócisz na Merkurego.

## WYCINKI (2)

...upraszczanie historii zawsze w jakiś sposób przeinacza rzeczywistość. Jednak na początku dwudziestego czwartego wieku zbyt wiele się działo, aby można było to zarówno zobaczyć, jak i zrozumieć. Nieustanne próby ówczesnych historyków znalezienia zgodnego paradygmatu nie powiodły się, a i my nie jesteśmy wcale pod tym względem lepsi, gdy się spojrzy z perspektywy czasu. Trudno jest nawet zebrać dość danych, aby zgadywać. Istniało wtedy tysiące miast-państw obijających się wszędzie wokół jak w pinballu, każde obecne lub nieobecne w chmurze danych, ale każde bez wyjątku wtrącające swoje trzy grosze do... no właśnie – do czego? Do tego samego miszmaszu historii, jaki trwał od zarania dziejów, tyle że już przebadanego, zsystematyzowanego, przebrzmiałego – w świecie i czasie zbałkanizowanym. Żaden opis nie zdoła...

...węzły niestabilności, kiedy działa długo wiele sił nacisku, co wywołuje nagły rozłam – w tym przypadku wycofanie się Marsa z Mondragonu i jego kampanię na Ziemi przeciw imperializmowi, a także powrót księżyców Jowisza na większą scenę interplanetarną. Księżyce Jowisza, skolonizowane jako pierwsze po

Marsie, wcześniej były ograniczone zależnością od innych – ze względu na słabszą technologię kolonizacyjną, a także odkrycie życia we wnętrzu Ganimedesa i Europy oraz ogromną radiacją Jowisza. Późniejsze potężniejsze

strategie kolonizacji i wysiłki terraformujące na Wenus i Tytanie skłoniły księżyce Jowisza do ponownego oszacowania swoich stacji i kopuł oraz uznania stroju luksemburskiego za nieopłacalny. Nawet z Io całkowicie poza zasięgiem zasiedlenia trzy pozostałe księżyce galileuszowe składają się razem na przeogromną potencjalną powierzchnię, a rozwiązanie ich wewnętrznych konfliktów oraz wspólne zobowiązanie się do pełnego terraformowania, które wywołało chaos na niestabilnych rynkach i zapoczątkowało różnorodne rozłamy przez następne dwie dekady...

...prowadzą teraz nieunikniony eksperyment na sobie, przemieniając się w coś, czym nigdy wcześniej nie byli: powiększeni lub pomniejszeni, wielopłciowi, a co najważniejsze – bardzo długowieczni, najstarsi mają obecnie prawie po dwieście lat. Ale wcale nie są przez to mądrzejsi czy nawet bardziej inteligentni. Smutne, ale prawdziwe: indywidualna inteligencja osiągnęła szczyt w górnym paleolicie, a od tamtej pory jesteśmy stworzeniami udomowionymi i sami się udomowiliśmy – staliśmy się psami, gdy powinniśmy być wilkami. Lecz jednak, pomimo tego jednostkowego skarlenia, znajdując sposoby na gromadzenie wiedzy i władzy, wymieniając się informacją, a także techniką, rozwiązaniami i osiągnięciami naukowymi...

...zapewne mądrzejsi, zarówno jako gatunek, jak i jednostki, lecz i tak z tendencjami do szaleństwa, co w obu przypadkach zależy od chwili, chwili, która dla nas jest już stracona, gdy ludzie żyli w niemal zapomnianej technologii i kulturze Bałkanizacji, w latach tuż przed 2312...

...poza czekaniem – to się dopiero okaże.



## SPISY (3)

alkohol, głódówka, pragnienie, pocenie się, samookaleczenie, brak snu, taniec, krwawienie, grzyby, zanurzenie w lodowatej wodzie, kawa, bicowanie z kolcami lub zębami zwierząt, wyciągi z kaktusa, wystawienie na działanie żywności, bieg długodystansowy, hipnoza, medytacja, rytmiczne bębnienie i śpiew, nasiona bielunia, cygara, salvia divinorum, ostre zapachy i aromaty, śluz ropuchy, seks tantryczny, kręcenie się w kółko, amfetamina, środki uspokajające, opiaty, halucynogeny, tlenek azotu, oksytocyna, wstrzymywanie oddechu, skakanie z klifów, azotyny, kratom, liście koki, kakao, kofeina, enteogeny-etylen, enteogeniczny gaz, ucieczki ze środowiska delphi

# SWAN W CIEMNOŚCI

Kiedy pozwolono im opuścić stację na Io, Swan skierowała się na Ziemię. Okazało się, że najbliższy transport, jaki kierował się do wnętrza Układu, to ciemnoliniowiec. Ponieważ po stracie Alex Swan czuła w sobie ciemność, postanowiła z niego skorzystać. Wahram odprowadził ją z typowym teraz dla niego wyrazem niepokoju na żabiej twarzy.

W liniowcu panował mrok. Był tak czarny, jak to tylko możliwe – czerń, jaką można spotkać na dnie jaskini głęboko pod ziemią. Terrarium ledwie się obracało, panowało w nim zatem niewielkie pozorne ciężenie. Ludzie tutaj unosili się w ciemności nadzy, w ubraniach lub skafandrach. Wokół budynków i latających gondoli ślepa społeczność przepływała ostrożnie – żyła w świecie dźwięków. Ludzie nietoperze. Czasami zdarzały się interakcje, rozmowy, uściski. Czasami słysząc było wołanie o pomoc, a wówczas tutejsi stróże porządku śpieszyli na wezwanie. Używali gogli noktowizyjnych, żeby wiedzieć, co się dzieje. Jednak większość pasażerów starała się pozostać ślepa na czas podróży. Mogła to robić, by się ukarać, odbyć swoistą mentalną wycieczkę, a nawet uprawiać nowy rodzaj seksu. Swan nie wiedziała, co chce osiągnąć przez tę podróż. Ale czuła, że dobrze jest tak, jak jest.

Teraz unosiła się w czystej i absolutnej ciemności. Oczy miała otwarte, a jednak nic nie widziała, ani wyciągniętej ręki, ani jednego błysku światła – nigdzie. Przestrzeń, w jakiej przebywała, zdawała się tak bezkresna jak

kosmos. Albo mała jak założona na głowę torba. Tu i tam słyhać było głosy dobiegające z różnej odległości. Wszystkie stłumione i przyciszone, bo w mroku ludzie zwykli szeptać. Chociaż z przodu wzdłuż linii środkowej rozgrywano chyba jakąś grę lub odbywały się zawody sportowe – z gwizdaniem i popiskiwaniami urządzeń oraz wybuchami śmiechu. Z innej strony niosły się tony gitary i oboju wygrywających barokowy duet. Swan ruszyła tam ostrożnie, w nadziei, że lepiej usłyszy muzykę. O połowę bliżej, dwa razy głośniej. Po drodze minęła zmieszane oddechy pary uprawiającej seks, a przynajmniej tak się wydawało. Te odgłosy przyciągały tłum równie szybko jak muzyka lub sport. Na ciemnoliniowcach dochodziło do przemocy, ludzie wyczyniali nieopisane rzeczy, a przynajmniej krążyły takie pogłoski. W rzeczywistości ciężko było uwierzyć, że ktokolwiek wykazałby aż tyle zaangażowania, aby drastycznie zetrzeć się z drugim człowiekiem. Po co się tak przejmować? Co to zmieni?

Nieustanna ciemność wkrótce sprawiła, że Swan zaczęła widzieć plamy koloru, a potem wspomnienia obrazów – wydawało się, jakby tam były naprawdę. Zamykała oczy i kolorowych przebarwień przybywało. Wszędzie kolory. Przypominały Swan czasy, gdy wiele lat temu połknęła porcję obcych stworzeń z Enceladusa – szalony czyn, o którym zazwyczaj udawało jej się zapomnieć. Czczyciele siedzący wokół zapalonych świec; niedawno wszczepiona Pauline ostrzegająca, aby tego nie robić; malutka czara pełna *Enceladusea irwinii*, czyli innymi słowy: enceladskich mikroskopijnych form życia; wyznawca podający naczynie Swan ze słowami: „Czy rozumiesz?”; odpowiedź Swan, że tak, rozumie – największe kłamstwo jej życia; smak cieczy, jak krew; ciężar w żołądku; chwila zaćmienia, a potem ponownie płomyki świec, lecz tym razem zbyt jasne, by na nie patrzeć; ryk niczym fale przyboju przepływające przez Swan, wszystko zmienione, oślepiająco błyszczące i kolorowe; Saturn wyglądający jak miętowo-melonowy lizak. O,

tak – to był okres synestezji i rozpalonych zmysłów. W pewnej chwili Swan uświadomiła sobie, że nigdy już nie będzie taka sama. Zakażenie się obcymi formami życia, czy to rozsądne? Nie, wcale! Krzyżąc, że została otruta, uwięziona w kalejdoskopie, z łomotem w uszach powtarzała raz po raz: „Ale byłam... Byłam Swan... Byłam... Byłam Swan...”.

A teraz starała się ze wszystkich sił zepchnąć żywe wspomnienie w najciemniejsze zakamarki umysłu. Z wysiłku wiła się w prawie-nieważkości, co doprowadziło w końcu do tego, że zwinęła się w kłębek. I kiedy tak się obracała, zaczęła się orientować, że gitara i obój musiały znajdować się w dość sporej odległości od siebie. Czy to w ogóle był duet? Jak udawało się wspólnie grać, skoro muzyków dzieliło co najmniej pół kilometra? Przecież wystąpi u obu opóźnienie, słyszalne całkiem dobrze... Swan próbowała się skoncentrować na melodii, wsłuchać, czy instrumenty grają razem, czy osobno. W absolutnej ciemności nigdy jednak nie wiadomo.

Żałośnie zdała sobie sprawę, że tak będzie przez cały czas pobytu na liniowcu. Ani jednej twarzy, w którą można spojrzeć, w ogóle nic, na co można popatrzeć – jej pamięć i Wyobraźnia się zbuntują, wyposzczone zmysły zaczną szaleć i tworzyć złudzenia – i tylko poczucie nieszczęścia do towarzystwa. Czyste istnienie, niezmacone myśli, ujawniające fenomen świata, który można ukryć, lecz nie zmienić: pustkę u sedna.

W brzuchu jej zaburczało i Swan zjadła porcję żywnościową wyjętą ze swojego pasa. Załatwiła potrzebę do torebkowego zbiornika w skafandrze, po czym rzuciła zamkniętą torebkę w stronę gruntu – roboty porządkowe wywęszą odpad i zabiorą. W mroku zaczęła się ukazywać twarz Alex i Swan przyłgnęła do tych cennych wspomnień, które pragnęła zachować na wieki. Lecz wspomnienia przynosiły też szloch – Swan kwiliła jak zraniona bestia, nie mogła się opanować.

– Doświadczasz zapewne ataku hypotypozy – oznajmiła na głos Pauline. –

Wizualnego wyobrażenia rzeczy, których nie ma przed twoimi oczyma.

– Zamknij się, Pauline – warknęła Swan, ale po chwili zmieniła zdanie: – Nie, przepraszam. Mów, proszę.

– Aporia według retoryki to udawanie wątpliwości, nim wróci się do ataku na oponenta, jak Gilbert na Joyce’a. Ale Arystoteles uważał, że to nierozwiązywalny problem w dochodzeniu logicznym, powstający z zarówno prawdopodobnych, lecz też niespójnych przesłanek. Pisał, że Sokrates lubił sprowadzać ludzi do aporii przez pokazanie im, że tak naprawdę nie wiedzą tego, co myślą, że wiedzą. Liczba mnoga, jakiej używa Arystoteles w swojej rozprawie o metafizyce, to aporiai. „Otóż, jeśli chce się rozwiązać jakiś problem, trzeba najpierw rozważyć go dokładnie, albowiem późniejsze rozwiązanie polega na rozwikłaniu uprzednio dostrzeżonych trudności”, pisał. Słowo „*aporia*” zostało później przyjęte przez Jacquesa Derridę na określenie jakby ślepych punktów w naszym pojmowaniu, o których istnieniu nawet nie wiemy, ze wskazaniem, że powinniśmy próbować je ujrzeć. Znaczenie nie jest to samo, ale łączy się ze zbiorem innych dla tego wyrazu. Słownik Oksfordzki przytacza cytat z „*Retoryki mistycznej*” Smitha z tysiąc sześćset pięćdziesiątego siódmego roku, że aporia odnosi się do problemu „co zrobić lub powiedzieć w dziwnych lub niejasnych sytuacjach”.

– Jak teraz.

– Tak. Słuchaj dalej. Greckie znaczenie wywodzi się ze złożenia: *a* – nie, oraz *poros* – przejście. Ale w platońskim micie Penia, dziecko nędzy, zaszła w ciążę z Porosem, personifikacją dostatku. Ich dziecko to Eros, który skupia w sobie cechy rodziców. Ukazana jest tam dziwna wizja Penii jako zaradnej, a dobrobytu jako osobnika biernego i pijaka...

– To wcale nie takie dziwne.

– Dlatego chociaż Penia nie jest Porosem, nie jest także aporią. Określano ją jako ani męską, ani żeńską, ani bogatą, ani biedną, zaradną lub nie. I przez

to aporia staje się jeszcze bardziej nieprzetłumaczalnym terminem.

– Ja jestem aporia. I jestem w aporii. W ciemnoliniowcu.

– Tak.

Dobrze o tym pomyśleć i porozmawiać...

– Dziękuję, Pauline.

Lecz w rezultacie nadal pozostał jeszcze jeden tydzień do przeżycia, a śmierć Alex nigdy nie zniknie. Swan unosiła się w stanie bardo i starała się myśleć tak jak ktoś nienarodzony. Pełen zwątpienia, dziecko nędzy. Ktoś, kto narodzi się powtórnie jako inna Swan.

Jednak później – wydawało się, że o wiele później w tej zawieszonej przestrzeni bezczasu, z myślami tłukącymi się i nawracającymi w kółko – zaczęła rozumieć, że kiedy zabrzmiał sygnał w jej kombinezonie oznajmiający koniec podróży, z tej ciemności wyjdzie ta sama Swan, która tu weszła. Nie ma ucieczki.

– Pauline, powiedz mi więcej. Mów do mnie. Proszę, mów do mnie.

– Max Brod prowadził kiedyś bardzo interesującą rozmowę z Franzem Kafką – odezwała się Pauline. – Powtórzono ją później Walterowi Benjaminowi...

## WYCINKI (3)

*Homo sapiens* ewoluował w grawitacji ziemskiej i nadal kwestią otwartą pozostaje odpowiedź na pytanie, jakie skutki może mieć dłuższe przebywanie w ciążeniu mniejszym niż 1 g...

...ubytek w kościach od 0,5% do 5% przez miesiąc spędzony w 0-0,1 g...

...wielokrotna krótkotrwała nawet ekspozycja na grawitację większą niż 3 g doprowadza do mikrowylewów i wzrostu częstotliwości występowania większych wylewów...

...środowiska biomedyczne przez lata wielokrotnie zmieniały zdanie w tych kwestiach...

...aerobik i trening oporowy częściowo równoważą skutki fizjologiczne długotrwałego przebywania w umiarkowanie niższym ciążeniu (definiowanym jako grawitacja pomiędzy 0,17 g Księżyca a 0,38 g Marsa), ale pozostają jeszcze nierozwiązane problemy...

...utrzymywanie aktywnego fizycznie trybu życia znacznie łagodzi...

...poniżej grawitacji lunarnej pojawia się fizyczne nadwątlenie niektórych organów wewnętrznych i tkanek, niezależnie od tego, jak intensywnie się ćwiczy...

...statystycznie znaczące wyniki tabel akturalnych wskazują, że długowieczność powyżej historycznych norm jest niemożliwa bez częstych powrotów nie tylko do środowiska o grawitacji 1 g, lecz dokładnie na Ziemię.

Dlaczego tak się dzieje, wymaga jeszcze dyskusji, ale dane wyraźnie potwierdzają ten fakt. Pragniemy pokazać...

...rok spędzony na Ziemi co sześć lat, przy założeniu, że przerwa nie trwa dłużej niż dziesięć lat, ogromnie wydłuża życie. Zaniedbanie tej praktyki prowadzi do podwyższonego ryzyka śmierci na wiele dekad przed...

...nadmiernie sterylne środowisko nie może...

...sławny lub popularny urlop został podany jako przykład hormezy lub mitrydatyzmu, w których ekspozycja na małe dawki trucizny wzmacnia odporność organizmu na większe...

...smycz, na jakiej Ziemia trzyma wędrujących po kosmosie ludzi, jest natury fizjologicznej i nie można tej zależności zerwać, dopóki nie zostanie ona dokładnie scharakteryzowana i nie znajdzie się skutecznych sposobów na złagodzenie poszczególnych skutków tego...

...wykrywające helminty (robaki pasożytnicze), bakterie, wirusy, priony etc., niemożliwe do sklasyfikowania i jeszcze... ...możliwe także skutki psychologiczne, co oznacza ogromne trudności w postawieniu diagnozy i przeprowadzeniu kuracji...

...nie tak niepodobne do innych pięćsetletnich projektów z nieuniknionymi trudnościami...

...skutki się kumulują i prowadzą do dysfunkcji...

...wydłużenie życia ludzkiego jest statystycznie faktem, ale to nie stanowi gwarancji dla poszczególnych osób. Wybory życiowe wpływają na prawdopodobieństwo...

...kuracje regeneracyjne stają się coraz lepsze...

...największy skok wzrostu długości życia na wykresach pojawił się z początkiem Accelerando i wielu ludzi uważa, że to nie przypadek. To wywołuje przypływ energii, gdy człowiek się dowiaduje, że można żyć dłużej, niż sobie wyobrażał. Później niewątpliwie pojawią się problemy, z których



jeszcze nie potrafimy sobie zdać sprawy...

...statystyki są obiecujące, ale przypadki nie zostały jeszcze...

...życie jest kompleksem...

...std (ang. sudden traumatic death), czyli syndrom nagłej traumatycznej śmierci, nierozwiązywalny...

...ludzie powinni skracać czas przebywania w niższej lub wyższej grawitacji, jeżeli chcą zmaksymalizować swoje szanse na dożycie do obliczonej niedawno średniej długości życia, która nieustannie rośnie...

...w żaden sposób nie można przewidzieć, co się stanie, jeżeli nadal będzie się wydłużać...

...czy możemy żyć przez tysiące...

...ludzie idą na kompromis, odcinają kupony. Chcą robić coś, co zaspokoi ich pragnienia, ich żądzę przygody...

...trzeba wrócić na Ziemię, tak brudną i starą, tak przygniatającą, to klęska. To bardzo smutna planeta...

...przysięgali, że żyją przez przypadek, ale byli wtedy młodzi...

...większość starszych mieszkańców przestrzeni kosmicznej stosuje się do tej porady i co sześć lat wraca na Ziemię na rok, a ponieważ to oni właśnie żyją najdłużej i efekt jest samonapędzający...

...poszukiwanie pełniejszych i dokładniejszych wyjaśnień trwa...

# SWAN I ZASZA

Trzydzieści siedem ziemskich wind orbitalnych miało wagony wypełnione przez cały czas, zarówno podczas jazdy na górę, jak i na dół. Nadal, rzecz jasna, lądowało i startowało stąd wiele promów oraz ślizgaczy, które podnoszone były windami, ponieważ to właśnie te dźwigi obsługiwały większość ziemskiego ruchu kosmicznego. Poza tym w dół transportowano głównie żywność (lwią część zaspokajającą potrzeby populacji), metale, wyprodukowane towary, paliwo i ludzi. W górę wędrowali ludzie, towary, substancje powszechne na Ziemi, ale rzadkie w kosmosie – pełna paleta, włączając zwierzęta, rośliny i związki mineralne, ale przede wszystkim (w większości) rzadkie gleby, drewno, ropę i nawóz. Ogółem, była to całkiem spora fizycznie masa przesuwana w górę i w dół, napędzana siłą przeciwdziałającą i równoważącą grawitację oraz ruch obrotowy planety, z dodatkiem odrobiny energii słonecznej dla uzupełnienia różnic.

Skały, w których zakotwiczono górne końcówki kabli windy, były jak gigantyczne krążowniki kosmiczne, niewiele z ich oryginalnej asteroidowej powierzchni pozostało na widoku, przesłaniały ją budynki, jednostki zasilania, ładownie i tym podobne.

W efekcie zmieniły się w wielkie przystanie i porty oraz hotele, miejsca ekstremalnie intensywnej pracy. Swan przeszła na przystań nazywaną Bolivar, do hotelu w windzie, choć nawet tego nie zauważyła – dla niej było to tylko

przejdzie przez skomplikowany ciąg drzwi, śluz i korytarzy, który doprowadził do jeszcze jednego standardowego pokoju mieszkalnego. Teraz czekał ją tylko długi zjazd do Quito. Co za ironia, że podróż na dół windą orbitalną zająć miała więcej czasu niż wiele międzyplanetarnych wojaży, ale tak właśnie było. Pięć dni zamknięcia w hotelu. Swan spędziła je na oglądaniu oper Glassa „*Satjagraha*” i „*Echnaton*”, a także tańcząc intensywnie w wyczerpującej szkółce służącej do przyzwyczajania ludzi do grawitacji 1 g – co czasami nie było łatwe. Patrząc w dół przez przezroczystą podłogę, Swan oswoiła się znowu z wielką bryłą Ameryki Południowej, zapamiętując jej kształt, błękitne oceany po obu stronach, Andy jak brązowy grzbiet, małe brunatne stożki wielkich wulkanów, zupełnie pozbawione śniegu.

• •

Na Ziemi nie było teraz prawie wcale lodu, utrzymywał się tylko na Antarktydzie i Grenlandii, ale na Grenlandii szybko znikał. Poziom morza podniósł się o jedenaście metrów w stosunku do tego przed zmianami. Zalanie wybrzeży stanowiło jedną z głównych katastrof dla mieszkańców. Istniały bezgranicznie potężne techniki terraformowania innych planet, ale nie można ich było zastosować na Ziemi. Jak choćby bombardowania kometami. Wypełniano więc ładownie statków substancjami czynnymi powierzchniowo, aby wytworzyć wyższe albedo, i próbowano różnych stężeń dwutlenku siarki wpuszczonego do stratosfery, żeby imitować skutki wybuchu wulkanów, jednak ongiś doprowadziło to do katastrofy i teraz ludziom trudno przychodziło ustalenie, ile światła słonecznego powinno się zablokować. Większość – proponowała lwia część populacji i już teraz wdrażała mnóstwo pomniejszych projektów mających taki właśnie cel, ale też odrzucając propozycje o większym rozmachu lub już podjęte działania. Na dodatek na Ziemi nadal miały wpływy państwa narodowe, które stanowiły również

konglomeraty korporacyjne, dwa nakładające się czynniki rozpadu według Keynesa. Planetą rządził szczątkowy, ale nadal silny system kapitalistyczny wraz z zawartym w nim równie szczątkowym feudalizmem – tutaj zawsze walczącym przeciwko poddanym, co znaczyło również walkę z wypoziomowanym systemem gospodarczym zrodzonym w Mondragonie. O, tak. Ziemia była w rozsypce. Smutne miejsce. A jednak nadal znajdowała się w centrum historii. I trzeba sobie z tym radzić, jak zawsze powtarzała Alex, albo nic, co uda się osiągnąć w kosmosie, nie będzie istotne.

W Quito Swan wsiadła do pociągu, aby dostać się na lotnisko i samolotem dotrzeć do Nowego Jorku. Karaibski kobalt, turkus i jadeitowa zieleń były olśniewająco żywe, nawet brązowe podwodne linie wybrzeża zatopionej Florydy miały zielonkawy połysk. Oszłamiający blask samej Ziemi.

O wiele bardziej sine fale oceanu rozбивały się o Long Island, rozpryskując białą pianę. Samolot Swan obniżył lot, drżąc i szybując, po czym wylądował na pasie gdzieś w północnej części Manhattanu. I nareszcie była wolna od zamkniętych kontenerów, kabin i pokoi oraz pojazdów i korytarzy, przejść i śluz. Swan znalazła się pod gołym niebem.

Możliwość stania po prostu na zewnątrz, na otwartym powietrzu, pod niebem, na wietrze – to właśnie Swan najbardziej kochała w Ziemi. Dzisiaj strzępiaste chmury kłębiły się nad jej głową, pewnie na pułapie tysiąca stóp lub wyżej. Wyglądały jak wirująca morska piana. Swan pognała na utwardzony placyk pełen ciężarówek, autobusów i samochodów osobowych. Podskakując, krzyczała wniebogłosy, wyła jak wilk, po czym uklękła i ucałowała ziemię, aż wreszcie, gdy dostała zadyszki, położyła się i odetchnęła. Żadnego stania na rękach – dawno temu nauczyła się, że stawanie na rękach na Ziemi jest naprawdę trudne. A poza tym nadal bolały ją zębra.

W prześwitach między obłokami mogła dostrzec jasny, lecz głęboki błękit ziemskiego nieba, subtelny i pełny. Wyglądał jak niebieska kopuła

splaszczona na środku, może parę kilometrów nad chmurami – Swan wyciągnęła do niej rękę – chociaż doskonale wiedziała, że to tylko tęcza, która czyni terrańskie sklepienie tak pięknym. Tęcza cała niebieska i okrywająca wszystko i wszędzie. Błękit sam w sobie był złożony, tutaj w wąskim zakresie, lecz potem bezkresny. Widok zapierał dech w piersi – można się było nim zachłysnąć – aż trudno uwierzyć, że ludzie tu nadal oddychali. Swan zatem też może. Wiatr wepchnie powietrze prosto w płuca! Można się upić oddychaniem. Och, być wolną od wszelkich ograniczeń, ledwie ubraną i leżeć na nagiej powierzchni planety, wsysając atmosferę, jakby to była aqua vitae, czuć w sobie, jak to jest żyć! Żaden Ziemianin, jakiego Swan spotkała, nigdy nie potrafił docenić w pełni powietrza, ani też nie dostrzegał prawdziwego piękna nieba. Szczerze mówiąc, Ziemianie rzadko nawet na nie patrzyli.

Pozbierała się i ruszyła do doku. Duży, warczący prom zabrał ją i wielu innych z brzegu, a po meandrowaniu w zatłoczonym kanale wypłynął na rzekę Hudson i skierował się w głąb Manhattanu. Prom przybił do przystani na Washington Heights, ale Swan została na pokładzie, dopóki nie dotarł na drugi brzeg w centrum. Niektóre części Manhattanu nadal wystawały ponad wodę, ale większość zatoneła, dawne ulice zmieniły się w kanały, miasto było teraz wydłużoną Wenecją, Wenecją z drapaczami chmur, super-Wenecją. I bezsprzecznie piękną. W rzeczy samej wielokrotnie powtarzano banał, że powódź przysłużyła się miastu. Długi ciąg wieżowców wyglądał jak grzbiet smoka. Perspektywa sprawiała, że im bliżej się znajdowały, tym wydawały się węższe niż w rzeczywistości, ale ich wysokość bezwzględnie robiła wrażenie. Las dolmenów!

Swan zeszła z promu na przystani przy Trzydziestej Ulicy i szeroką kładką między budynkami dotarła pieszo do przedłużenia High Line, gdzie ludzie tłoczyli się na placach od południa i północy Manhattan na nogach: robotnicy pchający wąskie wózki przez zatłoczone podniebne przejścia na wyspie, łączące

sąsiednie drapacze chmur na różnych wysokościach. Na dachach pleniła się roślinność, ale miasto składało się głównie ze stali, betonu i szkła oraz wody. Łodzie i promy krążyły pod kładkami po ulicach, które teraz były kanałami. Wszystkie podniebne place i tarasy oraz mostki i przejścia wypełniał tłum. Miasto zatłoczone jak zawsze – zwykli mawiać nowojorczycy. Swan przecisnęła się między ludźmi, poruszając się między grupami przechodniów podążającymi w przeciwne stfony. Przyglądała się twarzom. Były równie heterogeniczne i zróżnicowane jak w każdym tłumie przestrzeniowców, ale tubylcy wyglądali na bardziej przeciętnych rozmiarów, raczej niscy, i tylko sporadycznie można było dostrzec kogoś naprawdę wysokiego lub małego. Twarze azjatyckie, afrykańskie, europejskie – wszelkich ras poza rdzennie amerykańskimi, co zawsze zauważała na Manhattanie. I jak tu nie mówić o biologii inwazyjnej!

W budynku, który mijają, wypompowano wodę z niższych, zalanych pięter i teraz przypominał wielką wannę powietrza. Swan słyszała, że rynek podwodnych i nawodnych nieruchomości kwitnie. Mówiło się nawet o odzyskaniu zalanych fragmentów sieci metra, które nadal działało w miejscach nad poziomem wody. Poniżej fala rozbiła się ze złożonym młaśnięciem. Ludzkie głosy i plusk, krzyki mew nad dokami i szum wiatru przez kaniony wieżowców – oto były odgłosy miasta. Na tafli wody przecinały się kilwatery. Za plecami Swan, w alei wiodącej na zachód, płatki odbić załamanych promieni słońca migotały na wielkiej rzece. To właśnie Swan uwielbiała – przebywanie na otwartej przestrzeni, naprawdę otwartej. Stanie na powierzchni planety. W największym mieście świata.

Przeskoczyła kilka schodów i doszła do vaporetto kursującego Ósmą Aleją. Tramwaj wodny był długi i smukły, z siedzeniami dla prawie pięćdziesięciu pasażerów i ponad setką miejsc stojących. Zatrzymywał się co kilka przecznic. Swan wychyliła się przez reling i przyglądała kanałowi: płynącemu jak rzeka

w wąwozie o ścianach z wieżowców. Bardzo futurystyczny widok. Wysiadła na Dwudziestej Szóstej Ulicy, spiętej długą esplanadą, ciągnącą się na wschód aż do East River. Nad wieloma ulicami biegnącymi na wschód i na zachód wznosiły się podobne platformy, a zatłoczone kanały pod nimi pozostawały w cieniu niemal przez cały dzień. Kiedy promienie słońca przebijały się przez szczeliny, wzbudzały brunatny połysk na molach i woda w rzece z niebieskiej zmieniała się w miedzianą. Zdawało się, że nowojorczyki nie dostrzegają tej zmiany, lecz przecież mimo powodzi mieszkało tu dwadzieścia milionów ludzi i Swan pomyślała, że to piękno nie mogło być całkowicie obojętnym zjawiskiem, nawet jeżeli tubylcy o tym milczeli. Twardziele. Chciało jej się śmiać na samą myśl. Swan nie była ani twardzielem, ani mieszkanką Nowego Jorku, a to miasto uderzało oszałamiającym pięknem i wiedziała, że miejscowi je dostrzegają.

i jak tu nie myśleć o sztuce krajobrazu?

– „Geografia świata jest ujednoczona tylko przez ludzką logikę i optykę – wyrecytowała. – Przez światło i zastosowanie koloru, przez elementy dekoracyjne, przez idee tego, co dobre, prawdziwe i piękne!”

Można by wyśpiewać całą przemowę Loewenthala na kładkach Manhattanu i nikogo by to nie obeszło.

Kiedy tylko mogła, wystawiała się na słońce. Na bezpośrednie promieniowanie Sol, bijące w jej nagą skórę. Swan niezmiennie zachwycało, że może stanąć w słońcu i nie umrzeć. Ziemia była jedynym miejscem w Układzie Słonecznym, gdzie tak się działo, chociaż biopowłoka chroniąca przed gwiazdą dzienną była cienka jak bańka mydlana. Rozciągnięcie bańki życia – może to właśnie było dążeniem ludzkości. To, że udało się otoczyć taką bańką Marsa, stanowiło niezwykle osiągnięcie. Jeżeli uda się to również głębiej w Układzie, na Wenus, będzie to jeszcze bardziej wybitne. Jednakże Ziemia zawsze pozostanie istotna. Nie dziwiły cuda tego świata,

oszołomionego zmianami wszelkiego życia. Metamorfozy pasowały Ziemi i nigdy nie ustawały. Wielki zalew stał się pomyślnym upadkiem, podniósł na wyższy poziom migrację ludzi w kosmos. Świat został nawodniony. Kwiaty rozwinęły się na młodych gałęziach wśród zielonych liści. A Swan powróciła.

W budynku przedstawicielstwa Merkurego mieściło się także Muzeum Sztuki Współczesnej. Wiele obrazów z galerii trafiło na Merkurego, pozostały jedynie kopie, a w niezwykłym gościu uprzejmości w zamian otwarto tutaj ekspozycję sztuki merkuryjskiej. Na sali dominowały prace Grupy 9, oczywiście. Dla Swan było tu trochę za wiele słońca i skał. I zawsze uważała, że to dziwne używać płótna jako nośnika, to jakby wykonać scrimshaw – grawerunki na zwierzęcych rogach lub zębach czy inne starożytne i egzotyczne miniaturowe dzieła. Kiedy ma się do dyspozycji cały świat i własne ciało za sztalugi, po co się męczyć z prostokątnymi arkuszami?

Obrazy były osobliwe, ale w rezultacie zapewne również interesujące. Alex i Mqaret wydali kiedyś przyjęcie dla Grupy 9, dzięki czemu Swan poznała większość członków „Dziewiątki” i świetnie jej się z nimi rozmawiało.

Na dachu budynku przedstawicielstwa w patio, znajdującym się może trzydzieści kondygnacji nad wodą, Swan natrafiła na grupę Merkurian zebraną przy barze. Większość nosiła egzozskielety lub wspomagacze mięśni, które albo ukrywali pod ubraniami, albo i nie. Swan rozpoznała to głównie po postawie, nieco nienaturalnej, rozluźnionej, jakby unosili się w wodzie. Ci bez wsparcia technologii stali mniej lub bardziej heroicznie o własnych siłach, dźwigając ciężar Ziemi z grymasem zmęczenia. Swan czuła się dość podobnie. Nieważne, co się robiło, wcześniej czy później 1 g musiało o sobie przypomnieć.

Biuro w Nowym Jorku prowadził stary Ziemianin o imieniu Milan i przyjaznym uśmiechu dla każdego.

– Swan, kochanie, jak dobrze cię widzieć.



– Och, wrócić tutaj to przyjemność. Kocham Nowy Jork.

– Oby nie opuściło cię błogosławieństwo niewiedzy, moje dziecko. Miło, że ci się tutaj podoba. I cieszę się, że tu jesteś. Chodź, poznaj moich nowych ludzi.

Więc Swan pozwoliła się przedstawić miejscowej ekipie. Z opanowaniem przyjęła kondolencje z powodu straty Alex i w skrócie, bardzo dużym, opowiedziała o swojej podróży na Jowisza. Poza tym nowi mieli pomysły dotyczące Mondragonu ponad podziałami, o których chcieli jej koniecznie opowiedzieć.

Kiedy skończyli, Swan zapytała Milana:

– A Zasa jeszcze tu bywa?

– Zasa nigdy nie opuszcza miasta – zapewnił Milan. – Musisz to wiedzieć. Nie widziałś ostatniego przedsięwzięcia Z? Jest w jednej z przystani na Hudson.

Swan weszła zatem na prom i popłynęła do Ósmej Alei, a stamtąd po schodach ruszyła na kładkę wiodącą na zachód. Ponieważ poprzednie pirsy znajdowały się jedenaście metrów pod wodą, należało zbudować nowe. Niektóre stare udało się ocalić i wzmocnić, inne trzeba było postawić na nowo, czasami używając zatopionych jako fundamentów. Mniejsze pływające pirsy wypełniały wolne miejsca, cumowano je zwykle do przystani przy budynkach, najczęściej tam, gdzie ongiś znajdowało się czwarte piętro. Niektóre z tych doków były ruchome i bardziej przypominały barki niż przystanie. Wybrzeże w Nowym Jorku bez wątpienia należało do zmiennych.

Część starych, zatopionych doków podtrzymywały akwakultury, a dawny partner Swan – Zasa – najwyraźniej prowadził jedną z takich farm, produkując różne rybie substancje farmaceutyczne i bioceramiczne. Przy okazji wykonywał również zlecenia dla przedstawicielstwa Merkurego oraz, rzecz jasna, dla Alex.

Swan zadzwoniła wcześniej i Zasha pojawił się przy ogrodzeniu, które odcinało pływający dok od dużego placu z kompleksem wysokich budynków na zachód od ulicy Gansevoort, na południowym krańcu High Line. Po krótkim uścisku Z poprowadził ją na koniec przystani, a potem zaprosił do łodzi – smukłej motorówki, którą wkrótce włączyli się do ruchu na Hudson.

Wszystko na rzece poruszało się w tempie nurtu, włączając w to oczywiście wodę. Hudson była tutaj szeroka, cały Terminator zmieściłby się w porcie Nowego Jorku. Wszędzie rozpięły się mosty, także ten na południowym widnokregu. Było tu tyle wody, że Swan ledwie wierzyła własnym oczom – nawet na otwartym morzu nie wydawało się jej więcej, a przecież Hudson wcale nie należała do największych rzek na świecie. Ziemia!

Zasha obserwował otoczenie z leniwym zadowoleniem. Szyby w oknach na najwyższych kondygnacjach drapaczy chmur błyszcząły, odbijając promienie słońca, a wszystkie wieżowce lśniły. Wyspa drapaczy chmur – tak właśnie zawsze wyglądał Manhattan, nieprawdopodobnie i wspaniale.

– Co u ciebie? – zapytała Swan.

– Lubię tę rzekę – stwierdził Zasha, jakby to była odpowiedź. – Wypływam łodzią za wyspę, a nawet do Palisady, a potem po prostu przed siebie. Zarzucam wędkę. Zdarza mi się czasami złowić wspaniałe okazy.

– A w przedstawicielstwie Merkurego?

Zasha zmarszczył brwi.

– W dzisiejszych czasach przestrzeniowców o wiele się obwinia. Ludzie tutaj są urażeni i niechętni. Im bardziej pomagamy, tym bardziej robią się niechętni. Jednak inwestycje kapitałowe w nasze działania nie ustają ani na chwilę.

– Jak zawsze – zgodziła się Swan.

– Tak. Cóż, nieustanny wzrost. Ale nic nie trwa wiecznie. Układ Słoneczny jest tak samo skończony jak Ziemia.

– Myślisz, że się przepęlnia? Że dochodzimy do granic wytrzymałości?

– Raczej do szczytu zwrotu z inwestycji. Ale ludzie mogą czuć się tym przytłoczeni. W każdym razie zachowują się, jakby ich to przytłaczało.

Łódź Zaszy dryfowała na fali odpływu, dopóki nie minęła Baterii i nie ukazały się wybrzeża Brooklynu. Drapacze chmur u stóp Manhattanu wyglądały jak gromada gigantycznych pływaków stojących po kolana w wodzie i szykujących się do skoku w zimną toń. Między wieżowcami fale błyszczały jak szkło, a kanały wypełniały małe łódki. Zatokę i przystań również, ale nie tak gęsto. Wszędzie przemykały ich setki. Ze swojego miejsca Swan widziała obie rzeki, Hudson i East, a między nimi przepływały mniejsze i prostsze strumienie ulic pod zachmurzonym niebem. Jak u Canaletta. Odbijające się w falach obłoki bielily zatokę. Widok był tak piękny, że Swan poczuła się jak we śnie i zatoczyła lekko wraz z łodzią.

– Dokucza ci g? – zapytał Zasha.

– Tak trochę.

– Chcesz spędzić u mnie noc? Zgłodniałem.

– Jasne. Dzięki.

Zasha poprowadził motorówkę w poprzek rzeki na zachód, do kanału przy Jersey. Właściwie trudno było powiedzieć, czy to kanał, czy potok. Dalej wodna droga otwierała się na północ i Zasha skręcił w tamtą stronę, po czym przybił do drewnianego pirsu wbijającego się w rozlewisko przypominające płytkie jezioro. Brzeg tutaj łagodnie opadał w fale. Wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej zawsze stanowiło tereny zalewowe, zwłaszcza teraz.

Szli pod górkę w ostrym słońcu, które niegustownie mieszało jaskrawy oranż z różem. W takich chwilach jak ta na wschodnim niebie odbywał się pokaz światła i koloru, subtelniejszy, ale tym bardziej wspaniały. Jednak nikt tego nawet nie dostrzegał.

Dom Zaszy, maleńką chatę przy linii drzew, zbudowano bez wątpienia

własnymi siłami. Wyglądała jak favela lub barak z dzielnic ńędzy, o ile Swan mogła się zorientować.

– Co to za miejsce?

– Część Meadowlands.

– I pozwolono ci tutaj zbudować dom?

– Gdyby tylko! Czynsz jest potwornie wysoki, ale przedstawicielstwo Merkurego trochę mi dopłaca, żebym trzymał się z daleka.

– Trudno uwierzyć.

– W sumie jest w porządku. Podoba mi się ta zmiana.

Swan z wdzięcznością zajęła wytarty stary fotel i przyglądała się tylko, jak jej dawny partner krząta się w półmroku. Dużo czasu minęło, odkąd razem tłukli się po Układzie Słonecznym, budując terraria i wychowując Zefir. Sporo czasu upłynęło również od śmierci Zefir. Potem nigdy już między nimi nie układało się dobrze, rozstali się wkrótce po pogrzebie. A jednak, jakby to było wczoraj, Swan pamiętała sposób, w jaki Zasha pochylał się nad czajnikiem, czekając, aż zagotuje się woda, z tym lekkim uśmiechem, który również od razu sobie przypomniwała.

– Pracowałeś z Alex? – rzuciła.

– Owszem. – Zasha zerknął na nią uważnie. – Była moim szefem. Sama wiesz, jak to jest.

– Co masz na myśli?

– Że Alex cię kochała, opiekowała się i dbała, a ty robiłaś dokładnie to, czego od ciebie chciała.

Swan musiała się roześmiać.

– No tak. – Zamyśliła się nad tym, co powiedział, nie zważając na ból. – W jakiś sposób umiała wyczuć potrzeby innych. Potrafiła pomóc osiągnąć to, czego się potrzebowało.

– Aha. Wiem, o co ci chodzi.

– Jasne, ale... Teraz Alex odeszła i zostawiła mi wiadomość. Mówiąc w skrócie, użyła mnie jako kuriera, aby przekazać list Wangowi na Io, oraz wpisała dane do Pauline. Podobno na wszelki wypadek, jak mi powiedziała.

– To znaczy?

Swan opisała wiadomość z zaświatów od Alex – koperty – swoją podróż na Jowisza oraz intruza na Io.

– Słyszałem o tym – przyznał Zasha. – Ale nie wiedziałem, że tam byłaś.

Zmarszczył brwi nad czajnikiem, na jego twarzy igrały błękitne odbłaski od kuchenki.

– Nad czym pracowaliście z Alex? – zapytała Swan. – I dlaczego nie powiedziała, co zawierają dane, które mi zostawiła? To... Jakbym była dla niej tylko kurierem, a Pauline zwyczajnym sejfem.

Zasha nie odpowiedział.

– Och, proszę cię! Możesz mi powiedzieć. Od ciebie jestem w stanie przyjąć wszystko. Przywykłam, że ciągle mi mówisz, jaka jestem beznadziejna.

Zasha odetchnął, zalał dwie filiżanki wrzątkiem. Para zawirowała w półmroku, łapiąc odbicie światła. Z podał Swan herbatę, po czym usiadł naprzeciw niej. Swan ogrzała dłonie o kruche naczynie.

– Są rzeczy, o których nie mogę mówić...

– Och, przestań!

– ...i takie, o których mogę. Alex wciągnęła mnie do grupy, która wyszukiwała dziwaczne gości. To było interesujące i powiązane z innymi sprawami, które prowadziła. Ale chciała tę kwestię utrzymać w tajemnicy. Może nie uważała, że jesteś dobra w utrzymywaniu sekretów.

– Dlaczego miałyby tak uważać?

Jednak nawet Zasha wiedział o trzech lub czterech przypadkach, gdy Swan okazała się niedyskretna. Ona sama, rzecz jasna, znała takich przypadków więcej.

– To były wypadki – stwierdziła w końcu. – I do tego mało istotne.

Zasza upił ostrożnie trochę herbaty.

– Ale te wypadki chyba zdarzały się coraz częściej. Sama musisz przyznać, że nie byłaś tą samą osobą co wcześniej. Dodałaś sobie do mózgu rozszerzenia...

– Wcale nie!

– No, cztery czy pięć. Od początku mi się nie podobały. Kiedy rozwinęłaś sobie część religijną w płacie skroniowym, zmieniłaś się w zupełnie inną osobę. Nie wspominając, że ryzykowałaś epilepsję. A to był tylko początek. Dorzuciłaś sobie dodatek zwierzęcy, wszczepiłaś Pauline, która nagrywa wszystko, co widzisz i słyszysz... Trudno to nazwać mało istotnym. Można sobie tym wyrządzić krzywdę. Skończysz jak jakiś postczłowiek. A przynajmniej ktoś zupełnie obcy.

– Przestań, Z! Jestem taka jak zawsze. Zresztą wszystkim można się skrzywdzić. Ale to nie powinno nas powstrzymywać. To, co sobie zrobiłam, uważam za ludzkie. Któż by tego nie zrobił, gdyby mógł? Wstydziałabym się, gdybym tego nie zrobiła! To nie zamiana w postczłowieka, lecz działanie całkowicie ludzkie. Głupio by było, gdybym nie skorzystała z tego, co dobre, to właśnie byłoby antyludzkie.

– Tak? – mruknął Zasza. – Zrobiłaś to sobie i natychmiast przestałaś projektować terraria.

– Miałam dość! Zresztą faza projektów wtedy już się skończyła, zaczęto po prostu budować coraz więcej według tych samych wzorców. Na dodatek większość tego, co zrobiliśmy, była głupia.' Nie powinniśmy byli tworzyć wniebowstąpienia na tym etapie, powinniśmy przenosić do terrariów tradycyjne biomy, aby uchronić je przed wymarciem. Nadal jest to potrzebne! Nie mam pojęcia, co myśmy sobie wtedy myśleli!

Zasza wyglądał na zaskoczonego tą przemową.

– Lubię wniebowstąpienia. Pomagają w dyspersji genów.  
– Aż za bardzo. W każdym razie nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że chciałam spróbować czegoś nowego i zrobiłam to.

– Stałaś się artystką.  
– Zawsze byłam artystką. Po prostu zmieniałam formę i metodę. A nawet i nie to, nie do końca. Po prostu skupiałam się bardziej. Tego właśnie chciałam. Daj spokój, Zasa, po prostu żyję normalnie. To, że ty odcinasz się od takich okazji, nie czyni cię bardziej człowiekiem, stajesz się tylko bardziej zacofany. A ja w porównaniu z niektórymi ludźmi wcale nie posunęłam się za daleko. Nie mam trzeciego oka i nie łamię sobie żeber przy orgazmie. Ja tylko...

– Tylko co?  
– Nie wiem. Próbuję tego, co wydaje mi się dobre.  
– I naprawdę okazało się to dla ciebie dobre?

Swan zamyśliła się. Siedziała w półmroku gdzieś w New Jersey. Za ścianami była otwarta przestrzeń i powietrze Ziemi.

– Nie. – Długa pauza. – Szczerze mówiąc, robiłam gorsze rzeczy niż te, o których wiesz.

Zasa spojrział na nią uważnie.

– Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.  
– Ha, ha. Alex musiała o nich wiedzieć, jak się zastanowić, ponieważ powiedziałam wszystko Mqaretowi.

– To nie znaczy, że od razu wypaplał Alex.  
– Nie prosiłam, żeby zachował to dla siebie.  
– Ach. – Zasa skinął głową. – Więc może Alex rzeczywiście wiedziała. Coś gorszego niż zwierzęce komórki nerwowe? Gorszego niż qostka w mózgu? Nieważne, nie chcę wiedzieć. Ale może Alex wiedziała i może miała sprawy, których...

– ...których nie chciała mi powierzyć.

– Których nie mogła powierzyć nikomu. I oto tu przyleciałaś, w niezłej rozsypce.

– Nie jestem w rozsypce! – Chociaż zebro ją zabolalo, ściśnięte oburzeniem. I na dodatek Swan nadal przeżywała ból po stracie Alex. Teraz zmieszany z odrobiną gniewu na przyjaciółkę.

– Jak dla mnie to wygląda na rozsypkę. Z tego, co mówisz – zauważył Z. – Miałaś pięć, sześć czy siedem operacji mózgu, wszczepiłaś sobie qostkę... W sumie robiłaś to, co było w danym okresie modne.

– Och, jasne, jasne.

– Sama pomyśl!

Swan odstawiła filiżankę na stolik.

– Chyba się przejdę. – Dobrze. Tylko się nie zgub. Ugotuję coś, gdy będziesz na spacerze, powiedzmy... za czterdzieści pięć minut.

Swan wyszła z chaty.

• •

Na dworze zdjęła baleriny i wsunęła je do kieszeni, wcisnęła palce nóg w ziemię i poruszyła. Jak tancerka skłoniła się nisko, po czym wbiła dłonie w pył, uniosła do twarzy i odetchnęła. Kurz, najwspanialsza ambrozja. Smakował jak błotniste grzyby.

Słońce już zaszło. Obok zielono-żółtych bachorzy biegła asfaltowa droga, trzciny przy poboczu kołysały się na wietrze. Swan podeszła do drogi, popatrzyła w niebo i na moczary. Dalej za drogą pod linią drzew stało kilka rozchwierutanych chat. Za nimi ciągnął się rząd starych bloków. Zakumkały żaby. Swan usiadła na skraju bagna. Przy brzegu, na wpół zanurzone, dostrzegła płazy w czarne plamki. Chór żab zabrzmiał głośniejsz, bardziej ochryple. Słuchała, przyglądając się mokradłom muskanym wiatrem, dopóki nie dotarło do niej, że płazy się ze sobą komunikują. Jeżeli jeden zakumkał:



„rak”, następnie to powtarzały i odgłos niósł się wzdłuż drogi, na ile można było usłyszeć, po czym następowała pauza, po której wracała odpowiedź: „rok” – i znowu inne żaby ją przez jakiś czas powtarzały. A potem dźwięk się zmienił na: „ryk”, powtarzany ponownie. Swan miała wrażenie, że mówi do niej grecki chór transmutowany w żaby. Tak wiele ryków! Tak wiele raków! Żaba tuż obok nie włączała się do pozostałych tylko sporadycznie, częściej po prostu prychnąc i unosząc pyszczek, niż kumkając. Poza tym pozostawała w bezruchu, tylko nieznacznie poruszając wypukłymi oczyma wystającymi nad wodę, lśnącymi, wilgotnymi, zawsze czujnymi.

– Raz! – wychrypiął nieoczekiwanie płaz i Swan odpowiedziała odruchowo:

– Brawo.

Po czym na chwilę włączyła się w żabi chór:

– Raz!

Październik na północnej półkuli Ziemi, tak wspaniały i pełny. Planeta ciała Swan aż wibrowała na całej powierzchni. Nagle życie w kosmosie wydawać się zaczęło czystym koszmarem, wygnaniem w próżnię, w zamknięte komory deprywacji sensorycznej, rozdzielone od innych, wirtualne, wspomagane. Tutaj rzeczywistość była rzeczywista.

– Raz!

– Raz, raz, raz, raz...

Ta chwila, skradziona wszystkim przestrzeniowcom. Jednak Swan tu była, przebywszy kosmiczną próżnię. Umykając od terażniejszości. Pył na bagnie przemijającego wszechświata, tak dziwnego, tak tajemniczego. Dlaczego cokolwiek powinno być właśnie takie? Wiatr zrobił się chłodny, chmury odbijały ostatnie lśnienia zmierzchu. Zdawało się zbierać na deszcz. Liście ciemistego pnącza przy ziemi lśniły czerwienią jak jarzębina. Moczary przypominały oddychającego człowieka. Nad trzciniami przeleciały kruki, zakrakały, kierując się do miasta i ciepła wyspy. Swan nie znała mowy

kruków, mówiły do siebie: „Kra-kra-kra”, ale nagle jeden wykrzyknął wyraz tak czysto, że w jej uszach zabrzmiało to jak po ludzku i zrozumiale: „Ruch!” i ptaki się rozpięchły. Oczywiście wyraz „kruk” pochodził właśnie z języka ptaków. W sanskrycie wymawiano go: *kaaga*. Słowa importowane z innego świata.

Przy chatach obok drzew stało kilkoro ludzi. Byli jacyś mali. Przygłęci do ziemi. Czyżby do miasta było tak blisko? A może ta okolica stanowiła część miasta, wcale istotną i żyjącą część, nie tylko mokradła, lecz legiony nędzarzy z marginesu, mieszkających w na wpół zatopionych ruinach? Ciężenie planety zaczęło dawać się Swan we znaki. Ci ludzie wyglądali jak postacie z obrazów Bruegla, szesnastowieczne figurki, przygarbione pod brzemieniem czasu. A może to właśnie oni żyli prawdziwie, a to, co Swan robiła w kosmosie, było jedynie dyletanctwem zramolałej arystokratki. Może potrzebowała właśnie tego – mogłaby zamieszkać tutaj i zbudować coś, może domy, małe, lecz funkcjonalne – inny rodzaj sztuki ziemi typowej dla Goldsworthy’ego. Pod niebem, w pełnym świetle słońca – w absolutnym luksusie rzeczywistości. W jedynym prawdziwym świetle. Na Ziemi, zarówno niebie, jak i piekle – naturalnym niebie i ludzkim piekle zarazem. Jak ludzie mogli uczynić coś takiego, jak mogli nie starać się bardziej?

Może się starali. Może próbowali, dlatego polecili w kosmos, w zrywie desperackiej nadziei. Oderwać się od Ziemi jak strąk nasienny i spaść tam, gdzie na pewno się zamarznie, lecz nie zaginie i nie obróci – się w nawóz. Jak ten pył na poboczu drogi. Swan położyła się w nim, unikając ciemnych pnączy, umościła, jakby chciała się w nim zakopać. Przestrzeniowiec tarzający się w kurzu – tamci ludzie musieli to widywać cały czas, nie robiło to już na nich wrażenia.

Pewnie teraz myślą: ci biedni, zagubieni przybysze z kosmosu. Ponieważ tam, w próżni, nie było nic podobnego do Ziemi, nic tak naprawdę – ani

wiatru, ani ogromu nieba nad głową, teraz już nocnego, z wilgocią, która jeszcze nie zmieniła się w chmury... Och, jak człowiek mógł opuścić to wszystko? Kosmos był próżnią, nicością. Udało się tam zamieszkać tylko dlatego, że zbudowano małe, zamknięte pomieszczenia, bańki – miasta i gwiazdy, oczywiście, ale to nie wystarczało! Musiał być świat pomiędzy! Właśnie o tym zapomnieli ludzie stamtąd. I w rzeczy samej, dobrze się stało, że zapomnieli, inaczej by oszaleli. Tutaj jednak można było pamiętać i nie popaść w obłąd – przynajmniej nie całkiem.

Lecz jakże to było smutne. Brudni, tandetni, pobici. Żałośni. Rozdarci smutkiem po przesywającą depresję. Pozwolili, żeby do tego doszło. A Swan uczyniła to, co musiała, dla siebie. Nawet Zasha uważał, że posunęła się za daleko, a przecież był bardzo tolerancyjny. Może nawet zostałby ze Swan, gdyby się nie oddaliła. A teraz nie była już osobą, z którą Zasha miał i wychowywał dziecko, potrafiła to wyczuć, chociaż nie wiedziała, co się dokładnie zmieniło. Chyba że to te obce formy życia z Enceladusa... w każdym razie – dziwna osoba. Taka, która była naprawdę szczęśliwa tylko w miejscu wzbudzającym w niej głęboki smutek. Jak miała to pogodzić i co to znaczyło?

• •

Usiadła. Siedziała w kurzu, czuła go pod sobą. Kątem oka gdzieś niedaleko wychwyciła ruch i spróbowała zerwać się na równe nogi. Źle oszacowała grawitację i upadła ponownie na plecy. Wpatrzyła się w ciemność.

Twarz. Dwie twarze: matki i córki. I oto wyraźnie i jasno ujrzała to, co musiało być wynikiem partenogenezy. Poświata księżycy właśnie przedarła się przez blask miasta.

Młodsza z kobiet podeszła do Swan. Odezwała się w niezrozumiałym języku.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Swan. – Nie mówisz po angielsku?

Kobieta potrząsnęła głową i powiedziała coś jeszcze. Po czym rozejrzała się i cicho zawołała, odwróciwszy głowę.

Obok pojawiły się zaraz dwie kolejne postacie, wyższe i szersze w ramionach. Dwaj młodzi mężczyźni. Pochylili się i zaczęli szeptać z młodszą.

– Masz antybiotyki? – zwrócił się jeden z nich do Swan. – Mój krewny jest chory.

– Nie. Nie noszę ich przy sobie – odparła Swan, choć zapewne w pasie mogła je mieć, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Mężczyźni podeszli krok bliżej.

– Kim jesteś? – zapytał jeden. – Czym jesteś?

– Odwiedzam przyjaciół. Mogę ich wezwać.

Podeszli jeszcze bliżej, kręcąc głowami.

– Jesteś przestrzeniowcem – stwierdził ten, który odezwał się pierwszy, a drugi dodał:

– Co tu robisz?

– Muszę już iść.

Swan ruszyła na drogę, ale wtedy ci dwaj chwycili ją za ramiona. Uścisk mieli tak silny, że nawet nie próbowała się szarpać.

– Hej! – syknęła tylko ostro.

Pierwszy z mężczyzn zawołał w kierunku, z którego przyszły kobiety:

– Kiran! Kiran!

Wkrótce nowa postać wychynęła z mroku – kolejny młody mężczyzna, jeszcze wyższy, lecz smukły i chudy. Swan miała wrażenie, że tych dwóch, którzy ją trzymają, ma w tym sporą praktykę.

Nowy przybysz wyglądał na zaskoczonego widokiem Swan. Odezwał się ostro do pary osiłków w języku, którego nie umiała rozpoznać. Rozmawiali krótko, urywanie. Ten Kiran nie był zadowolony.

W końcu spojrzął na Swan.

– Chcą cię zatrzymać dla okupu. Daj mi chwilę.

Jeszcze bardziej pośpieszna rozmowa w niezrozumiałym języku. Chyba sprawił, że dwaj pozostali mężczyźni zrobili się nerwowi i zaczęli się tłumaczyć. Przerwał im, ujął Swan za przedramię, jednocześnie krótkim ruchem głowy nakazując, by tamci ją puścili. Coś jeszcze powiedział. Napastnicy w końcu kiwnęli głowami i ten, który się pierwszy odezwał do Swan, rzucił jej na odchodnym:

– Zaraz wracamy. – Po czym z towarzyszem zniknęli wśród nocy.

Swan spojrzała Kiranowi w oczy, a ten skrzywił się i puścił jej rękę.

– To moi kuzyni – wyjaśnił. – Wpadli na zły pomysł.

– Głupi pomysł – poprawiła Swan. – Mogli mnie zwyczajnie poprosić o pomoc. Co takiego im powiedziałaś?

– Że zatrzymam cię tutaj, dopóki nie przyprowadzą samochodu ich matki. Myślę więc, że powinnaś stąd odejść.

– Odprowadź mnie – odparła Swan. – Wolę, żebyś był przy mnie, gdyby tamci się pojawili.

Uniósł brwi i przyjrzał jej się uważnie. Po chwili jednak skinął głową.

– Dobrze.

Ruszyli szybko drogą.

– Będziesz miał z tego powodu kłopoty? – zapytała.

– Tak – mruknął ponuro.

– Co zrobią twoi kuzyni?

– Spróbują mnie pobić. I doniosą starszym.

Ramiona nadal paliły ją tam, gdzie wcześniej zacisnęły się dłonie kuzynów Kirana, policzki były gorące. Swan przyjrzała się ponuremu młodemu człowiekowi idącemu obok niej. Przystojny. I ani przez chwilę się nie zawahał, tylko po prostu wyciągnął ją z kłopotów. Przypomniała sobie, jak

ostro brzmiał jego głos podczas rozmowy z krewnymi.

- Chciałbyś stąd odejść?
- Co masz na myśli?
- Chciałbyś polecieć w kosmos?

Po chwili milczenia zapytał:

- Mogłabyś to załatwić?
- Tak.

Zatrzymali się przed chatą Zaszy i Swan przyjrzała się Kiranowi raz jeszcze. Podobał jej się. Przyglądał się Swan z miną pełną ciekawości zmieszanej z namysłem – z gorliwością. Poczuła dreszcz.

– Przyjaciel, który tu mieszka – zaczęła – jest dyplomatą z Merkurego. Wejdz zatem, jeśli chcesz. I jeżeli chcesz, możemy cię tam zabrać... – Zerknęła w niebo.

Kiran się zawahał.

- Nie wpadnę... w tarapaty?
- Sama cię w nie wpakuję. W kosmiczne tarapaty.

Ruszyła do domku Zaszy i po krótkim wahaniu Kiran podążył za nią. Otworzyła drzwi.

- Zasza?
  - Chwileczkę! – odpowiedział z kuchni.
- Chłopak przyglądał jej się, zastanawiając, czy była na poziomie.
- Masz na imię Kiran? – zagadnęła Swan.

- Tak. Kiran.
- W jakim języku mówiłeś?
- Telugu. Z południowych Indii.
- Co tutaj robisz?
- Mieszkam z resztą rodziny.

A zatem był już wygnańcem. A na Ziemi obowiązywało mnóstwo

przepisów imigracyjnych, możliwe więc, że nawet nie przebywał tutaj legalnie.

Zasza pojawił się w drzwiach kuchni ze ściereczką w dłoni.

– Och. Kto to?

– To Kiran. Jego znajomi chcieli mnie porwać, a on pomógł mi uciec. W podziękę powiedziałam, że mogę go zabrać z Ziemi.

– Ależ nie!

– Ależ tak. Oto jesteśmy. I muszę dotrzymać słowa.

Zasza spojrzał na nią sceptycznie.

– Co to ma być? Tak szybko pojawił się syndrom sztokholmski? – Zmierzył młodzieńca, który wbijał oczy w Swan. – Czy też syndrom limski?

– A co to jest? – zapytał Kiran, nie odwróciwszy wzroku.

Zasza skrzywił się tylko.

– Sztokholmski pojawia się wtedy, gdy zakładnicy zaczynają odczuwać więź i sympatię do swoich porywaczy oraz ich bronić. Limski jest wtedy, gdy porywacze zaczynają współczuć swoim ofiarom i puszczać je wolno.

– A nie ma syndromu okupu za Czerwonego Wodza? – wtrąciła ostro Swan.

– Daj spokój, Z. Już powiedziałam, Kiran mnie uratował. Co to za syndrom? Chcę się zrewanżować za przysługę i potrzebuję twojej pomocy. Nie próbuj przejąć kontroli nad sytuacją, jak to masz w zwyczaju.

Zasza odwrócił się z gniewnym grymasem, przemyślał wszystko, wzruszył ramionami.

– Możemy go stąd zabrać, jeżeli naprawdę ci zależy. Będę musiał zrobić to przez znajomego, który załatwia dla mnie podobne sprawy. Pracuje w windzie Trynidad-Tobago. To *hawaladar*. Mamy pewnego rodzaju umowę wymiany, ale po tym będę jego dłużnikiem. Co znaczy, że z kolei ty będziesz mi coś winna.

– Jak zawsze. W jaki sposób dotrzemy do Trynidadu?

- Przesyłką dyplomatyczną.
- Czym?
- Prywatnym odrzutowcem. I będziemy musieli przygotować także skrzynię dżdżownic.
- Co takiego?
- Mamy układ. Zawsze przewozi się jakieś pudło nawozu lub robaków i zrozumiałe jest, że pudło to nie jest sprawdzane.
- Robaki? – zapytał Kiran.
- Właśnie. – Zasha uśmiechnął się trochę ponuro. – Zabiorę cię z planety, ponieważ pani z syndromem sztokholmskim tego chce, ale w obecnych okolicznościach trzeba to będzie zrobić nieoficjalnie i w tajemnicy. A to oznacza wykorzystanie układu, jaki tu mamy. Dlatego polecisz w wielkiej skrzyni z robakami, rozumiesz? Zgadzasz się na to?
- Jasne – zgodził się Kiran.



## WYCINKI (4)

W Układzie Słonecznym pod koniec okresu akrecji planetarnej, około 4,5 miliarda lat temu, planet znajdujących się blisko siebie było więcej niż teraz. Wywoływało to rezonanse orbitalne oraz przyciąganie siłami grawitacji, co czasami prowadziło do kolizji. Działo się tak przez miliard lat, a było to ostatnie stadium procesu tej akrecji. Przez ten czas każda z wewnętrznych planet zaliczyła przynajmniej jedną potężną stłuczkę.

Planeta Theia rośla w punkcie L5 Ziemi, dopóki nie osiągnęła rozmiarów podobnych do Marsa, a potem podryfowała do Ziemi kursem kolizyjnym. Zderzenie nastąpiło pod kątem 45 stopni do powierzchni z prędkością mniejszą niż 4 kilometry na sekundę – niezbyt szybko z perspektywy astronomicznej. Żelazne jądro Thei wbiło się i zmieszało z jądrem Ziemi, a płaszcz Thei oraz część płaszcza Ziemi wyrzucone zostały na orbitę. Impet i kąt uderzenia sprawiły Ziemię w ruch wokół osi z taką prędkością, że dzień trwał pięć godzin. Z wyrzuconych na orbitę odłamków powstały w procesie akrecji dwa księżyce – dość szybko, szacunkowo trwało to od miesiąca do stu lat. W końcu mniejszy satelita rozbił się na większym, pozostawiając poszarpane pasmo gór na ciemnej stronie Księżyca.

Mniej więcej w tym samym czasie niewielka planeta, najwyżej trzy tysiące kilometrów średnicy, uderzyła w Marsa, tworząc największy w układzie basen uderzeniowy – Vastitas Borealis – przez który biegun północny znajduje się o

szść kilometrów niżej niż biegun południowy względem środka planety.

W Venus uderzyła planeta rozmiarów Marsa, przez co powstał, jak w przypadku Ziemi, księżyc – Neith. Dziesięć milionów lat później kolejne uderzenie wprowadziło Venus w powolny ruch obrotowy wsteczny. Ta zmiana rotacji spowodowała Neith i sprawiła, że satelita z powrotem spadł i wtopił się w Venus.

Merkury został uderzony przez protoplanetę o połowę od niego mniejszą, ale z taką prędkością i pod takim kątem, że kolizja zdarła płaszcz Merkurego i rozrzucała odłamki wzdłuż orbity. Normalnie Merkury zebrałby te odłamki ponownie, ale potrwałoby to około czterech milionów lat, a w tym czasie większość zniszczonego płaszcza została wypchnięta dalej przez radiację Słońca, poza oddziaływanie Merkurego. Ponad szesnaście kwadrylionów ton skorupy planety trafiło na Ziemię, a jeszcze więcej – na Venus. W efekcie na końcu pozostało tylko najcięższe siedemnaście procent Merkurego – w zasadzie wyłącznie jego rdzeń.

Trochę później młody Jowisz i równie młody Saturn wpadły we wzajemny rezonans orbitalny jeden do dwóch, w którym Jowisz obiegał Słońce w dwa swoje lata na jeden rok Saturna. To wywoływało potężne fale grawitacyjne, przetaczające się przez cały Układ Słoneczny z różną siłą, w zależności od pozycji gigantów względem siebie. Ta nowa fala w swojej największej sile złapała Neptuna, który rósł tuż za Saturnem, i odrzuciła go od Słońca! Neptun przeleciał obok Urana i pociągnął go ze sobą, a także do siebie. W ten sposób oba mniejsze gazowe giganty znalazły się na orbitach, które zajmują obecnie. Tymczasem ten sam rezonans Saturn – Jowisz łapał asteroidy do wewnątrz orbity Jowisza i ciskał nimi po całym Układzie Słonecznym jak kulki na flipperach. Działo się to 9,5 miliarda lat temu, pod koniec okresu nazywanego Wielkim Bombardowaniem. Wszystkie wewnętrzne planety i satelity zostały poobijane, niektóre do tego stopnia, że ich powierzchnia zmieniła się w morze

roztopionych skał.

Era Wielkich Uderzeń! Koniec okresu Wielkiego Bombardowania! Nigdy nie należy twierdzić, że ta radosna karuzela jest całkowicie przewidywalna i porusza się regularnie – ani że czasem nie przypomina bardziej wielkiego karambolu. Grawitacja, tajemnicza grawitacja, niezmiennie słuchająca tylko własnych praw, wchodzi w interakcje z materią i w rezultacie jakoś powstaje bardzo skomplikowany ruch. Niewidzialne fale pchające odłamki skał to tu, to tam.

A jeżeli w ludzkiej historii pojawiają się takie niewidzialne fale? Przecież w ostatecznym rozrachunku chodzi o te same siły. Jakie wielkie uderzenie sprawiło, że w ogóle jesteśmy właśnie tacy? Czy nowy rezonans wytworzy falę i pchnie ludzkość w nowym kierunku? Czy wchodzimy właśnie w nasz późny okres Wielkiego Bombardowania?

# KIRAN I SWAN

Od chwili, gdy ujrzął kobietę, którą trzymali jego krewni, wszystko się zmieniło. Była stara, wysoka, zadbana. Poruszała się, jakby płynęła. Od razu wiedział, że jest przestrzeniowcem i że porwanie jej to bardzo niedobry pomysł. A potem wydarzenia potoczyły się jak lawina – za szybko, zanim zdążył zdecydować, co robić. Zawsze tak się z nim działo, gdy czuł się przytłoczony – obserwował siebie wtedy z boku i z tyłu. Ludzie mówili, że to opanowanie, ale tak naprawdę Kiran był po prostu powolny. A jednak i tak mu się udawało.

Kobieta miała czarne włosy, wyglądała na Chinkę lub Mongołkę. Jej oczy były ciemnobrązowe z niewielką smugą błękitu w dole jednej tęczówki. I właśnie te oczy przykuły uwagę Kirana. Pewnie to przypadek, ale dziewczęta w rodzinnych stronach miały takie same oczy, ciemne, z białkami błyszczącymi na smagłych twarzach – zniewalające. Gdy chłopak chwycił ją za ramię, spojrzała na niego, aby przekazać, jak bardzo pragnie wolności – niesamowicie płomienny wzrok, jakby wiedziała, czym jest niewola, i bała się jej. Kiranem wstrząsnęło, że twarz obcej jest tak pełna ekspresji, że tak łatwo przykuwa jego uwagę. Przyjaciel kobiety, Zasha, nazwał to syndromem limskim – możliwe. Może teraz Kiran zmienił się w niezdamego Peruwiańczyka.

Ale leciał w kosmos. To oznaczało odejście – ale i możliwość wysłania

krewnym pieniędzy. Zresztą i tak byli już zmęczeni utrzymywaniem Kirana. A teraz mógł odlecieć i zobaczyć wszystko, o czym marzył – to znaczy cokolwiek, ale zależało mu szczególnie na kosmosie, chciał go zwiedzić już od dziecka. Mars, asteroidy – gdziekolwiek, byle tam. Każdy słyszał o tych światach fantastyczne opowieści.

Kobieta zawiozła go do Newark. Do wciśniętego w ciasny fotel za obcymi Kirana wreszcie zaczęło docierać, że to się dzieje naprawdę – w każdym razie coś się dzieje. A głupi kuzyn nie zdoła go znaleźć i spuścić mu lania. Nowe życie. Zadrżał lekko, jakby to on został porwany i przetrzymywany jako zakładnik. W pewnym sensie była to prawda. Ubezwłasnowolniony spojrzeniem, wepchnięty na tylne siedzenie samochodu.

Dojechali na lotnisko, które wcale nie wyglądało jak to w Newark. Zaparkowali pod hangarem, skąd poprowadzono ich po schodkach do niewielkiego odrzutowca. Kiran nigdy nie był w środku takiej maszyny, a prędkość po starcie zrobiła na nim niemałe wrażenie. Pozwolono mu usiąść przy oknie, mógł patrzeć na zostający w dole Manhattan, o tej porze przypominający wielki oświetlony statek. Potem samolot zanurzył się w noc.

W końcu Kiran oparł czoło o szybę i zasnął. Obudził się później z zeszywniałym karkiem i zobaczył zbliżający się ocean. Odrzutowiec wylądował na zielonej wyspie z czerwonawą glebą. Wieczne powietrze było kwaśne i wilgotne, trochę jak to w połowie sierpnia w Jersey i niemal takie samo, jakie Kiran pamiętał z dzieciństwa w Hajdarabadzie. Pola ryżowe. Zapachy i widoki przywołały wspomnienia z czasów, gdy był małym chłopcem – i znowu szedł jakby obok siebie. Z roztargnieniem dał się prowadzić do budynku z szyldem głoszącym, że to przedstawicielstwo Merkurego.

W środku kobieta i jej przyjaciel wprowadzili go do dużej sali z wielkimi walcowatymi pojemnikami z białego plastiku, jak te, których używa się w

nowoczesnych kuchniach do transportu posiłków na palecie.

– No dobra, młody człowieku – odezwał się przyjaciel Swan, Zasza, nadal nieco zdegustowany tym, co robi dla swojej towarzyszki. – Włóż. Ale najpierw załóż ten skafander i hełm. Potem przysypimy cię ziemią i dżdżownicami i polecisz jako ładunek.

Spojrzał na Swan.

– Mój znajomy nie będzie sprawdzał skrzyń, na których jest mój znak. Pracuje na następnej zmianie.

– Dlaczego robaki?

– Żeby pokazać, że nie robię tego tak sobie. Wysyłam tak tylko kilka osób rocznie. I naturalnie będę dłużny znajomemu przysługę.

– A co z kontrolą przez sztuczną inteligencję?

– Co z tą kontrolą? Sporo spraw załatwiamy za ich plecami. – Zasza wyszczerzył się złośliwie. – Ta winda jest hawalą i wszystko jest tak urzędzone, żeby uniknąć niektórych procedur skanowania.

A potem Kiran znalazł się w jednoczęściowym skafandrze z gniecionej tkaniny, na głowę założono mu hełm i odetchnął chłodnym powietrzem o metalicznym posmaku. Swan i Zasza pomogli chłopakowi wejść do pojemnika – tuba przypominała trumnę – po czym wrzucono tam czarną ziemię i wijące się dżdżownice. Zakryły mu ciało i twarz. Kiran miał opuścić Ziemię zagrzebany w robakach.

– Dziękuję! – zawołał do kobiety i jej przyjaciela.

To była długa podróż. Kiran leżał w ciemności i myślał. Czuł przez tkaninę wijące się robaki. Gdy się przestraszył i zaczął dyszeć w panice, skafander i hełm zdołały sobie z tym poradzić. W końcu, jak zawsze, chłopak się uspokoił. W tubkach przy kołnierzu miał wodę i pożywienie, umocowane tak, że mógł z nich ssać, a choć jedzenie miało konsystencję pasty, okazało się bardzo pożywne.

których używa się w nowoczesnych kuchniach do transportu posiłków na palecie.

– No dobra, młody człowieku – odezwał się przyjaciel Swan, Zasha, nadal nieco zdegustowany tym, co robi dla swojej towarzyszki. – Włóż. Ale najpierw załóż ten skafander i hełm. Potem przysypimy cię ziemią i dżdżownicami i polecisz jako ładunek.

Spojrzał na Swan.

– Mój znajomy nie będzie sprawdzał skrzyń, na których jest mój znak. Pracuje na następnej zmianie.

– Dlaczego robaki?

– Żeby pokazać, że nie robię tego tak sobie. Wysłałam tak tylko kilka osób rocznie. I naturalnie będę dłużny znajomemu przysługę.

– A co z kontrolą przez sztuczną inteligencję?

– Co z tą kontrolą? Sporo spraw załatwiamy za ich plecami. – Zasha wyszczerzył się złośliwie. – Ta winda jest hawalą i wszystko jest tak urządzone, żeby uniknąć niektórych procedur skanowania.

A potem Kiran znalazł się w jednoczęściowym skafandrze z gniecionej tkaniny, na głowę założono mu hełm i odetchnął chłodnym powietrzem o metalicznym posmaku. Swan i Zasha pomogli chłopakowi wejść do pojemnika – tuba przypominała trumnę – po czym wrzucono tam czarną ziemię i wijące się dżdżownice. Zakryły mu ciało i twarz. Kiran miał opuścić Ziemię zagrzebany w robakach.

– Dziękuję! – zawołał do kobiety i jej przyjaciela.

■ ■

To była długa podróż. Kiran leżał w ciemności i myślał. Czuł przez tkaninę wijące się robaki. Gdy się przestraszył i zaczął dyszeć w panice, skafander i hełm zdołały sobie z tym poradzić. W końcu, jak zawsze, chłopak się

uspokoił. W tubkach przy kołnierzu miał wodę i pożywienie, umocowane tak, że mógł z nich ssać, a choć jedzenie miało konsystencję pasty, okazało się bardzo pożywne. Kiranowi nie było ani za zimno, ani za gorąco. Doznanie ruchu na całym ciele wzbudzało niepokój, czasami strach. Tak pewnie się czuje pogrzebany nieboszczyk zjadany przez robaki. Albo był to rytuał oczyszczenia, jak przy niektórych ceremoniach, choćby Durgapuja, w której posypywało się człowieka popiołem lub nawozem, dopóki nie nadeszła pora, by go obmyć i oczyścić. Kiranowi podobało się to święto. A teraz był tutaj. Musiał jeść i pić oraz załatwiać się w skafandrze. Przypominał te robaki, wśród których leżał. „Na tej ziemi jesteśmy tylko nędznym pasożytniczym robactwem” – zwykł powtarzać dziadek Kirana. „Rozdziobią nas kruki, wrony...”

• •

Czas mijał i Kiran stawał się coraz bardziej nieważki. Słyszał, że oderwanie się od Ziemi zajmuje pięć dni. Wydawało się, że trwa to znacznie dłużej. Zaczynał się nudzić. W końcu poczuł szarpnięcie i przez ziemię oraz robactwo przebiło się światło, a pokrywa się otworzyła. Chłopak podniósł się ostrożnie – uznał, że robaki w skrzyni były jego towarzyszami podróży i zasługiwały, aby nie czynić im krzywdy.

– Uwaga! – ostrzegł ludzi pomagających mu wydostać się z tuby, a Swan zaczęła się z niego śmiać.

Poprowadziła go do małej łazienki. Tam od razu zdjął skafander i wszedł pod prysznic. Pod strumieniami gorącej wody pomyślał: Ach, to jednak oczyszczenie. Potem nastąpić powinno duchowe przejście – jak to się odbędzie? Czy ta kobieta, która go tutaj przywiodła, jest manifestacją Durgi, matki Ganeśy, pojawiającej się także niekiedy jako Kali?

– Dobrze wyglądasz – stwierdziła Swan, gdy Kiran wyszedł spod prysznica.



– Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt traumatyczna?

Potrząsnął głową.

– Miałem czas na rozmyślenia. Co dalej?

Znowu się roześmiała.

– Ten statek leci na Wenus – wyjaśniła. – Wracam na Merkurego, więc podrzucę cię po drodze.

– Czy Wenus nie jest planetą Chin?

– I tak, i nie – odparła Swan.

– Więc zostanę Chińczykiem? – upewnił się Kiran.

– Nie. Na Wenus przebywają ludzie różnych ras i narodowości. Moi przyjaciele załatwią ci dowód tożsamości. Potem wszystko się może zdarzyć. Ale Wenus to dobre miejsce na początek.

• •

– Podróżowali w terrarium nazywanym *Delta Wenus*, agroasteroidzie o nieregularnym kształcie, przeznaczonej do upraw żywności dla Ziemi, głównie ulepszonego ryżu, lecz także innych zbóż, które lubiły wilgoć i ciepło. Wewnątrz grawitacja wydawała się jak na Ziemi, Kiran nie umiał wyczuć sławetnego spychania w bok wywołanego przez siłę Coriolisa.

Dni podróży spędzali na polach zajmujących krzywiznę powierzchni, pracując za pomocą bawołów, traktorów i barek na kanałach, podobnie jak inni robotnicy, w większości pasażerowie. Po godzinie takiej pracy plecy zaczynały boleć i ludzie posuwający się wzdłuż rzędów zbóż – niektórzy tylko trochę wyżsi niż ryżowe pędy, inni wielcy jak mityczni giganci, co na pierwszy rzut oka zaskakiwało – próbowali sobie skrócić czas rozmową. Oczywiście pierwszy temat stanowiły narzekania i stwierdzenia, że woleliby znajdować się gdzie indziej.

– Świętowałbym tam...

– Próbowałem wszystkiego...

– Jedyne miejsce, gdzie naprawdę potrzebne jest terraformowanie, to Ziemia, ale ziemniaki są w tym beznadziejni...

– ...okazało się, że to znany człowiek interesu...

– Moglibyśmy polecieć *Grindwaldem* i pójść na wspinaczkę w góry. Jest tam Mönch i Eiger, i Jungfrau, zostały dokładnie odtworzone, każda cholerna rozpadlina.

– A ja wolałbym polecieć do jakiegoś akwarium i popływać. Żyłbym przez tydzień z syreną.

Morskie terraria z płazami są cudowne, wszyscy się zgodzili. Odkąd plaże na Ziemi zniknęły, te w akwariach cieszyły się ogromną populacją.

Inni z kolei woleli światy z lasami tropikalnymi – wizyty w rajskim arboretum we wczesnym stadium rozwoju stały się równie popularne jak podróże w akwariach.

– Co za rozkosz być szympansem!

– Albo bonobo – wtrącił ktoś. – Szkoda, że nie poleciałem seksliniowcem.

Te słowa przełamały lody i przeniosły rozmowę natychmiast na tematy seksu i seksliniowców, które często projektowano tak, aby przypominały resorty na Karaibach. Dionizyjskie tańce, nieustanne tantryczne orgie, panmiksja kundalini – każdy miał swoją opowieść. Jeden z żałością stwierdził:

– Mógłbym spędzić całą podróż w skrzynce czucia-dotyku, ale jestem tutaj i muszę machać motyką.

– Skrzynka czucia-dotyku? – Kiran nie potrafił opanować ciekawości.

– Wchodzisz do pudła z wieloma rozrzuconymi po powierzchni otworami, w których mieści się ręka. Każdy może podejść, włożyć rękę i robić, co chce.

– Zaskakujące, że ludzie w ogóle się na to zgadzają.

– Podróże zawsze wydają się długie, i tym w środku, i tym na zewnątrz.

– Szkoda, że nie pomyślałem w ten sposób o robakach – powiedział Kiran do Swan. – Mógłbym mieć sporo radości podczas jazdy tą windą orbitalną.

– A ja wolę być tutaj! – zawołał ktoś. – Agrokultury są seksowne! Takie płodne!

Wielu tylko na to jęknęło. To nie był żart, który się spodobał.

– Ostatnim razem, gdy byłem na seksliniowcu – podjął temat kolejny z robotników – widziałem, jak grupa biseksów, tych obupłciowych, pędzi do basenu. Było ich chyba ze dwudziestu, wszyscy z wielkimi cyckami i kuškami długimi, że pozazdrościć. Wszystkie we wzwodzie. Ustawili się w kręgu jeden za drugim, każdy wszedł w tego przed sobą i tak w kółko. Wyglądali jak insekty, latem włączące na siebie grupami i rżące się do upadłego.

Po tym zapadła cisza, dopóki ktoś nie westchnął ciężko.

– Szkoda, że tego nie widziałam.

Co sprawiło, że reszta parsknęła śmiechem lub zaczęła głośno protestować, że wolałyby sobie tego nawet nie wyobrażać.

– Mówię, co widziałem – zapewnił świadek. – Zdarza się tak. To już niemal sport.

I Kiranowi wydało się, że po tej rozmowie o seksliniowcach uprawa ryżu zrobiła się lżejsza. A kiedy ci wszyscy ludzie skończyli pracę tego dnia i ruszyli do kwater, odniósł wrażenie, że agrokultura może nawet stać się seksowna. W oczach towarzyszy Kiran dostrzegł błysk, który chyba rozpoznał.

## WYCINKI (5)

Spójrzmy na surową Wenus: atmosfera z CO<sub>2</sub>, ciśnienie 95 barów, temperatura na powierzchni może stopić ołów – jest tu bardziej gorąco niż na Merkuryem za dnia. Piekielne miejsce. Jednak jest tu także ciśnienie 0,9 g, tylko niewiele mniejsze niż na Ziemi. I dwa kontynenty – Isztar i Afrodyta. Oto siostrzana planeta Ziemi. Kryje w sobie ogromny potencjał na nowy, wspaniały akt stworzenia.

Weźmy jeden z lodowych księżyców Saturna – Dione będzie w sam raz. Wystarczy go teraz rozparcelować za pomocą maszyn samoreplikujących von Neumanna na kawałki, każdy około dziesięciokilometrowej wysokości. Teraz wystarczy tylko do tych kawałków przymocować napęd i posłać je w kierunku Wenus.

Gdy odłamki zostaną już wysłane w trasę, trzeba zbudować okrągłą osłonę przeciwsłoneczną z nanoaluminium, bardzo cienkiego materiału, tylko 50 gramów na metr kwadratowy. W sumie jednak da to prawie  $3 \times 10^{13}$  kg, będzie to największa rzecz zbudowana przez człowieka. Koncentryczne pasy zapewnią osłonie elastyczność i giętkość, pozwolą także ustawić ją do halsu na wietrze słonecznym, aby utrzymała swoją pozycję w punkcie li, gdzie całkowicie zacieni Wenus. Pozbawiona nasłonecznienia planeta będzie się oziębiać w tempie 5 kelwinów na rok.

Po 140 latach atmosfera z dwutlenku węgla spadnie jako deszcz i śnieg na

powierzchnię i zamarnie tam w warstwę suchego lodu. Teraz trzeba tylko zdrapać tę warstwę z Afrodyty i Isztar, po czym zepchnąć ją w niższe, zagłębione obszary powierzchni planety. Trzeba również pamiętać, aby zadbać o gładkość powierzchni kontynentów. Kiedy trwa oczyszczanie, należy wypuścić kolejne samoreplikujące się maszyny von Neumanna, fabryki chemiczne, których zadaniem będzie wytrącić tlen z zamrożonego dwutlenku węgla. Atmosfera z czystego tlenu jednak byłaby zbyt łatwopalna, dlatego należy dodać jako bufor jakiś gaz, najlepiej azot, żeby uzyskać bardziej stabilną mieszankę. Nadmiar azotu na Tytanie może być przereklamowany, dlatego lepiej zawnocześnie pomyśleć o uzupełnieniu. Trochę argonu wydobytego na Księżycu też bardzo się przyda.

Kiedy będzie już taka atmosfera, jaką się chce, a suchy lód znajdzie się w dolinach, trzeba go przykryć pumeksem i porowatą skałą, dzięki czemu dwutlenek węgla stanie się elementem litosfery.

Teraz należy się zająć odłamkami Dione, które zbliżą się już do Wenus, i rozbić je o siebie w atmosferze składającej się z tlenu i gazu buforowego – na takiej wysokości, aby wytworzyć parę i deszcz. Proces ten doda planecie trochę ciepła, a na tym etapie temperatura powinna osiągnąć już wartości przyjazne dla człowieka. W razie gdyby tak się nie stało, wystarczy wpuścić trochę światła przez osłonę przeciwsłoneczną. Ten proces rozbijania odłamków nie potrwa dłużej niż dwa lata, potem pojawią się i deszcze, i śnieg. Dalsze działania trzeba będzie przeprowadzić zatem bardzo szybko.

Ilość wody na powierzchni po infuzji odłamkami Dione będzie wynosiła mniej więcej dziesięć procent tego, co jest na Ziemi. Będzie to świeża woda, słonawa w smaku. Pokryje osiemdziesiąt procent powierzchni Wenus, bardziej płaskiej niż Ziemia, na średnią głębokość około 120 metrów. Jeżeli woli się głębsze morza, ale chce zachować maksymalnie duży stały ląd, warto rozważyć wykopanie rowu oceanicznego za pomocą uderzeń odłamkami Dione w niższej

położone obszary. Należy pamiętać, rzecz jasna, że takie przedsięwzięcie skomplikuje sekwestrację CO<sub>2</sub>, dlatego wcześniej wypada poczynić odpowiednie poprawki. Jeśli jednak wykonać wszystko ostrożnie, na koniec można uzyskać na Wenus dwa razy większy obszar suchego lądu niż na Ziemi.

Na tym etapie (po przygotowaniach trwających 140 lat zamrażania, 50 lat skrobania i rycia – naprawdę trzeba się uzbroić w cierpliwość!) można by już myśleć, że planeta jest gotowa na biologiczne zasiedlenie. Jednak należy pamiętać o kombinacji roku wenusjańskiego trwającego 223 dni z dzienną rotacją trwającą 243 ziemskie dni – jak wirująca piłka (obrót wsteczny, czyli słońce wschodzi na zachodzie) – co sprawia, że słoneczny dzień w dowolnym punkcie na Wenus trwa 116,75 dni ziemskich. Testy i doświadczenia dawno już wykazały, że to za długo dla większości terrańskich form życia, nawet te zmodyfikowane nie mają szans na przeżycie. Dlatego w tym momencie do wyboru pozostają dwie możliwości. Pierwsza to zaprogramowanie osłony przeciwsłonecznej tak, aby przepuszczała i blokowała światło niczym okragła żaluzja, aby stworzyć bardziej podobny do ziemskiego rytm dni i nocy. To ułatwi implementację biosfery, ale wymagać będzie bezawaryjnego działania przesłony.

Do realizacji drugiej możliwości potrzebna będzie natomiast dodatkowa runda bombardowań planety pod takim kątem i z taką siłą, aby podnieść prędkość obrotową Wenus do mniej więcej stugodzinnego dnia, który mieści się w granicach tolerancji terrańskich form życia. Niestety, to rozwiązanie opóźni znacząco zasiedlenie powierzchni planety, ponieważ podczas bombardowań spod warstwy pumeksu uwolni się spora ilość suchego lodu. Ustanowienie biosfery trzeba będzie odłożyć na co najmniej dwieście lat – a to wydłuży praktycznie dwukrotnie proces terraformowania. Ale przynajmniej nie trzeba będzie polegać na niezawodności osłony przeciwsłonecznej. A dobrze przygotowana i utrzymana atmosfera poradzi sobie z pełnym nasłonecznieniem

bez tworzenia szklami lub innych podobnych utrudnień.

Wybór możliwości zależy od tego, kto podejmie się terraformowania Wenus. Trzeba przemyśleć dokładnie, jaki rezultat chce się osiągnąć albo – jeżeli nie wierzy się w szczęśliwe zakończenia – jaki proces się woli.

# KIRAN I SHUKRA

Kilka dni później zbliżyli się do Wenus. Kirana ucieszyło, że Swan się do niego przyłączyła na lądowniku – chciała porozmawiać z przyjacielem, planowała ich sobie przedstawić, a potem podjąć dalszą podróż.

Na Wenus nie było wind orbitalnych, ponieważ planeta obracała się zbyt wolno, aby taki system mógł działać. Dlatego lądownik wypuścił skrzydła i kiedy schodził coraz niżej w atmosferę, iluminatory zapłonęły biało-żółto.

Lądowanie odbyło się na wielkim pasie obok miasta pod kopułą. Swan i Kiran wsiedli do podziemnego pojazdu i wkrótce dotarli do miasta. Tam ujrzeli chyba całą populację na ulicach. Kiran przeciskał się przez tłum za swoją przewodniczką. W bocznej uliczce weszli po schodach do niewielkiego przedstawicielstwa Merkurego, mieszczącego się nad sklepem rybnym. Zostawili tam bagaże i wrócili w uliczny tłok.

Większość widzianych twarzy należała do Azjatów. Ludzie krzyczeli, a że w hałasie nie słyszeli się za dobrze, krzyczeli głośnieją. Swan zerknęła na Kirana i uśmiechnęła się na widok jego miny.

– Nie zawsze jest tak jak dzisiaj! – zawołała.

– Szkoda! – odkrzyknął jej Kiran.

Z grubsza tuż nad równikiem dwie wielkie lodowe asteroidy właśnie zbliżały się kursem kolizyjnym w górnych warstwach nowej wenusjańskiej atmosfery. To miasto, Colette, znajdowało się trzysta kilometrów na północ



od miejsca zderzenia, zatem wkrótce spadnie tu wielka ulewa. Deszcz nie przestanie padać przez kilka lat – jak wyjaśniła Kiranowi Swan – a potem wpuści się trochę światła przez osłonę przeciwsłoneczną i pogoda zrobi się bardziej normalna.

Ale najpierw wielki deszcz. Tłumy wokół czekały na to wydarzenie, podśpiewując, wiwatując i krzycząc. I dokładnie na południu nocne niebo zabłysło nagle bielą, potem migotliwą żółcią, a potem wszystko zaląła niewyobrażalnie jaskrawa czerwień. Wnętrze miasta przez okamgnienie wyglądało jak w podczerwieni. Wiwaty i okrzyki stały się ogłuszające. Nieopodal grała orkiestra dęta – Kiran dostrzegł muzyków na podwyższeniu po drugiej stronie placu – kilkaset trąb, rożków francuskich, obojów, puzonów i tub. Eufonia wygrywana przez miniaturowe komety po rogi alpejskie, potężny dysonansowy akord niosący się w powietrzu i dążący do nieosiągalnej harmonii. Kiran nie wiedział, czy można to nawet nazwać muzyką – dla niego brzmiało to raczej jak gra bez dyrygenta i nut. Ale miało to zagrzewać ludzi do wiwatów, podskoków i płaśów. Mieszkańcy Wenus właśnie tworzyli swoje niebo.

W niespełną godzinę zaczęło padać. Dzika ulewa wymazała gwiazdy i zabębniła o kopułę, jakby chciała ją zmyć. Odnosiło się wrażenie, że stoi się pod wodospadem. Światła miasta odbijały się w szkle kopuły i rozmywały na niej, przez co na twarzach ludzi kładły się miękkie cienie.

Swan chwyciła przedramię Kirana w podobny sposób, jak on złapał ją tamtej nocy, gdy po raz pierwszy się spotkali. Poczuł nacisk, wiedział, o co jej chodziło. Krew zawrzała wokół miejsca, gdzie zacisnęły się palce kobiety.

– Już dobrze! – krzyknął do niej Kiran. – Dziękuję!

Puściła go z lekkim uśmiechem. Stali w powodzi światła pod zmętniałą mlecznobiałą kopułą. Ryk tłumu przetaczał się wokół nich jak fale bijące o skalisty brzeg.

- Poradzisz sobie? – zapytała Swan.
- Wszystko będzie dobrze!
- Więc jesteś moim dłużnikiem.
- Tak. Ale nie wiem, co mógłbym ci dać w zamian.
- Wymyślę coś – zapewniła Swan. – Ale teraz przedstawię ci mojemu znajomemu. Pracowałam dla niego dawno temu, a teraz Shukra daleko zaszedł, należy do bardzo wysokich kręgów decyzyjnych na Wenus. Jeżeli będziesz dla niego pracował, starał się z całych sił i się spodobaś, Shukra da ci szansę. Na wszelki wypadek zostawię ci translator.



Wrócili do przedstawicielstwa Merkurego w Colette, gdzie zjedli śniadanie, a potem Swan powiodła Kirana przez całe miasto do Shukry. Okazało się, że jest to mężczyzna w średnim wieku, z wesołą, pucułowatą twarzą pod uderzająco siwą grzywą.

– Przykro mi z powodu Alex – powiedział do Swan. Lubiałem z nią pracować.

– Tak – westchnęła Swan. – Zdaje się, że wszyscy lubili.

Po czym przedstawiła Kirana.

– Spotkałam tego młodzieńca, kiedy wyszłam na spacer po Jersey. Pomógł mi się wydostać z tarapatów. Potrzebował pracy, więc pomyślałam, że może ci się przydać.

Shukra słuchał tego obojętnie, lecz Kiran wyczytał ze zmarszczenia jego brwi, że jest zaintrygowany.

– Co potrafisz? – zapytał Kirana.

– Robić drobne naprawy, handlować, znam też trochę podstawy księgowości – odparł chłopak. – Ale szybko się uczę.

– Będziesz musiał – zgodził się Shukra. – Przyda mi się ktoś obrotny, więc

na brak zajęcia nie będziesz narzekał.

– Och – wtrąciła Swan. – I potrzebne mu będą dokumenty.

– Ach. – Shukra spojrział w oczy swej rozmówczynie bez drgnienia powieki. Kiran zorientował się, że teraz Swan będzie coś winna temu staremu mężczyźnie. – Skoro tak mówisz – westchnął po dłuższym milczeniu. – Jesteś moim czarnym łabędziem. Zobaczę, co da się zrobić.

– Dziękuję – odpowiedziała Swan.

Zaraz potem musiała wracać do kosmoportu, aby złapać swój lot. Wzięła Kirana na stronę i uściśniła go krótko.

– Spotkamy się znowu.

– Mam nadzieję! – zapewnił Kiran.

– Na pewno. Będę się tu kręcić. Poza tym – uśmiechnęła się lekko – zawsze będziemy mieć New Jersey.

– Limę – poprawił ją. – Zawsze będziemy mieć Limę.

Parsknęła śmiechem.

– Myślałam, że to był Sztokholm.

A potem pocałowała Kirana w policzek i odeszła.

## WYCINKI (6)

Model ekonomiczny kolonizacji przestrzeni kosmicznej wywodzi swoje początki częściowo ze stacji naukowych. W tym wczesnym modelu życie w kosmosie nie знаło rynku – kiedy ktoś znalazł się już poza Ziemią, jego potrzeby były zaspokajane przez przygotowane schronienia i przydział jedzenia oraz wody, jak w przypadku arktycznych stacji naukowych. To, co można by uznać wtedy za rynek, opierało się na nieuregulowanych żadnymi zasadami indywidualnych i prywatnych przedsięwzięciach dotyczących dóbr spoza sfery towarów niezbędnych i pierwszej potrzeby. W efekcie kapitalizm został zepchnięty na margines, a dobra niezbędne do życia stały się wspólną własnością...

...wymiana pomiędzy Ziemią a pojedynczymi koloniami w kosmosie opierała się na więziach narodowych lub traktatach polityczno-gospodarczych, co przypominało nieco model kolonialny, gdzie kolonie pod ziemskim zarządem stanowiły źródło metali i rzadkich surowców, a także przydatnej wiedzy, a później także żywności...

...gdy tylko skonstruowano windy orbitalne (pierwszą uruchomiono w Quito w 2076 roku), ruch między Ziemią i placówkami kosmicznymi wzrósł do setek milionów. Od tej pory Układ Słoneczny stał się powszechnie dostępny. Był, rzecz jasna, zbyt wielki, aby można go było zasiedlić natychmiast, ale wzrastała też szybkość podróży kosmicznych, co sprawiło, że

w ciągu xxii wieku coraz łatwiejsze było dotarcie do granic Układu Słonecznego. Nic więc dziwnego, że w drugiej połowie tego stulecia rozpoczęło się Accelerando...

...kosmiczna diaspora nastąpiła w okresie, gdy późny kapitalizm wił się w obliczu nieuchronnego wyboru – albo zniszczona zostanie doszczętnie biosfera Ziemi, albo reguły wewnętrzne wzmiankowanego ustroju ulegną zmianie. Wielu upierało się, że zniszczenie biosfery będzie mniejszym złem...

...jeden z najsilniejszych wpływów, które zaważyły na zmianach ekonomicznych, korzeniami sięgał do starożytności, do Mondragonu w Kraju Basków, małego baskijskiego miasteczka, które opierało się na systemie ekonomicznym wspólnoty autonomicznej – zagnieżdżonych spółdzielni zorganizowanych tak, by wspierały się wzajemnie. Rozrastająca się sieć osiedli w kosmosie użyła Mondragonu jako wzorca adaptacji, wykraczając poza ograniczenia modelu placówek naukowych, z jakiego wzięła początki. Współpraca jak w Mondragonie, tyle że o wiele bardziej rozproszonym, złożonym z pojedynczych osiedli rozrzuconych w dużych odległościach, połączonych przez wzajemne wsparcie i...

...superkomputery i sztuczne inteligencje umożliwiły pełną koordynację tej ekonomii nierynkowej, co sprowadzało się do matematyzacji Mondragonu. Potrzeby były określone z roku na rok precyzyjnie w oparciu o szczegółowe dane demograficzne, następnie produkcją sterowano tak, aby zaspokoić te przewidywane potrzeby. Wszystkie procesy ekonomiczne – od wytwarzania energii i wydobywania surowców przez przetwarzanie i dystrybucję po konsumpcję i recykling śmieci – były przeliczane przez jeden program komputerowy. Kiedy tylko rozwiązano problemy z bezpieczeństwem danych – co znaczy: spełniono oczekiwania wyrażone w ostrych rozgrywkach i starciach politycznych – całkowita roczna gospodarka Układu Słonecznego mogła zostać przeanalizowana i przeliczona przez komputer kwantowy szybciej niż w

sekundę. Osiągnięciem Mondragonu opartego na oprogramowaniu qostek, czasami nazywanego modelem Alberta-Hahnela lub Spuffordowskim cybernetycznym modelem radzieckim, mogłoby być...

...gdyby każdy działał w ramach programu, wszystko by się udało, ale Modragon był tylko jedną z wielu konkurujących gospodarek pod pantoflem późnego kapitalizmu Ziemi, nadal kontrolującego ponad połowę ziemskiego kapitału oraz produkcji. Każda obwarowana starannie transakcja miała potwierdzić tylko prawa własności i pomagać w akumulacji dochodów oraz środków. Ta koncentracja władzy nie mijała, lecz tylko zamierała w jednym miejscu, aby zaraz narastać w innym – głównie na Marsie, jak wskazuje wyraźnie indeks Giniego dla tej epoki...

...w modelach wyrastających z pozostałości poprzednich dany system ekonomiczny lub przełomowe zdarzenie historyczne jest niestabilną mieszanką przeszłych i przyszłych ustrojów. W myśl tej idei kapitalizm stanowił kombinację lub pobojuwisko swoich elementów szczątkowych, feudalizmu oraz elementów nowych, rodzących się – ale jakich?

...po sukcesie rewolucji marsjańskiej i wyjściu Marsa z monoplanetarnego ustroju socjaldemokratycznego drzwi stały otworem dla reszty Układu Słonecznego. Wiele osiedli kosmicznych pozostało ziemskimi koloniami, narodowymi lub mieszanymi, jednakże ostatecznym rezultatem przemian okazał się patchworkowy ustrój przypominający nieco anarchię. Większość gospodarki kosmicznej zdominowana została przez ligę osiedli nazywaną Przymierzem Mondragonu. Przymierze odnawiane było na konferencji stron odbywającej się co pięć lat, a co roku sztuczna inteligencja zrzeszenia określała jego ekonomiczne priorytety, po czym korygowała je (co najmniej kilka razy na sekundę)...

...im dłużej trwało Przymierze Mondragonu, tym bardziej stawało się solidne. Pewność wsparcia i zaspokojenia swoich potrzeb pozwalała nawiązać

coraz więcej umów między przedsiębiorstwami z pojedynczych osiedli i rozwinąć rynek, tak zwany rynek ponad podziałami, wszystko działające na marginesie. Jeśli nie dla Marsa i jego...

...jak pozostałości feudalizmu na Ziemi, tak na Marsie znajdują się resztki kapitalizmu...

...margines rósł i prosperował, rozwijał wyszukaną kulturę i styl życia...

...istnienie marginalnej gospodarki, semiautonomicznej, na wpół nieuregulowanej, przypominającej anarchię, pełnej oszustw, szemranych umów i przestępstw, uszczęśliwiało wszystkich wolnorynkowych graczy, libertarian, anarchistów oraz wielu innych – cieszących się prymitywną wymianą, puszeniem się swoją postawą macho z Dzikiego Zachodu i niewyobrażalnym bogactwem...

...marginalny kapitalizm to sport dla twardych graczy, jak rugby lub football amerykański, przyciągający głównie ludzi z nieco podwyższonym poziomem testosteronu. Jednakże jeśli zaaplikować mu trochę reguł i zmodyfikować nieco nastawienie, okazuje się całkiem interesującą rozgrywką, piękną nawet, jak baseball lub siatkówka. To ważny projekt na marginesie, forma samoaktualizacji, której nie można wliczyć do potrzeb, ale raczej do miłego hobby, albo i nawet sztuki...

...zepchnięcie kapitalizmu na margines było największym osiągnięciem Marsa, na miarę odparcia najazdu lub ataku raketowego...

# WAHRAM I SWAN

Wahram wrócił do Terminatora tuż przed przylotem Swan z Ziemi. Miasto właśnie prześlizgiwało się przez bezkresną równinę Krateru Beethovena, a mężczyzna z wysiłkiem zbierał się na odwagę, aby zapytać Swan, czy zechciałaby mu towarzyszyć w wyprawie na zachodni stok, gdzie mogliby wysłuchać koncertu i wymienić nowinki ze swoich podróży. Kiedy w końcu wydusił zaproszenie, musiał przyznać, że ogarnęła go nerwowość. Zmienny charakter Swan sprawiał, że Wahram nie wiedział, czego się spodziewać – nie umiałby nawet przewidzieć, czy na wycieczce towarzyszyć mu będzie Swan, czy Pauline. Ale przecież lubił Pauline, miał zatem nadzieję, że tak czy siak wyjście na Beethovena okaże się przyjemne. I przy odrobinie szczęścia Swan nie będzie próbowała poznać, jakie plany związane z gośćkami miała Alex. Inspektor Genette powiedział jasno: te sprawy należy trzymać przed Swan w tajemnicy.

W każdym razie jednak okazja, aby posłuchać Beethovena, wystarczająco zachęciła Wahrama do działania. Zaprosił Swan, a ona przyjęła zaproszenie. Potem dopiero Wahram zapoznał się z programem przedstawienia i ucieszył bezgranicznie, gdy zobaczył trzy tytuły rzadko wykonywanych dzieł: na początek adaptacja sonaty fortepianowej „*Appassionata*” na instrumenty dęte, potem opus 134 – aranżacja fortepianowa na cztery ręce „*Grosse Fuge*”, opus 133, którą sam kompozytor przełożył ze smyczków. Na koniec kwartet



smyczkowy miał zagrać własną interpretację sonaty „*Hammerklavier*”.

Wahram czuł, że to naprawdę będzie wspaniały koncert. Przyłączył się do Swan przy południowej śluzie Terminatora. Wyczekiwanie oszałamiało go tak bardzo, że zapomniał o niepokoju, który budziła w nim zarówno ta kobieta, jak i przebywanie poza Terminatorem, na powierzchni Merkurego. Okazało się, że konieczna będzie przejażdżka na zachód.

Cóż, tutaj w pewnym sensie zawsze zmierza się na zachód – powiedział sobie w duchu Wahram, po czym skupił się na koncercie. Może nie ma powodów do niepokoju. Intrygujące jednak, że ogarniała go irracjonalna obawa przed słońcem.

Ku zaskoczeniu Wahrama okazało się, że w małym muzeum na zachodnim stoku Beethovena niewielu jest słuchaczy poza nim i Swan. Większość audytorium stanowili muzycy, którzy nie występowali – zajęli pierwsze rzędy, aby posłuchać. W zboczach wydrążono pomieszczenie, które mogłoby pomieścić parę tysięcy osób, ale na szczęście ten koncert odbywał się w bocznej sali z widownią na kilkaset miejsc, która jak w greckim amfiteatrze otaczała niewielką scenę. Akustyka tutaj była nadzwyczajna.

Orkiestra dęta, nieco przewyższająca liczbą słuchaczy, zmierzała przez finał „*Appassionaty*” do kulminacji – bez wątplenia wykonanie potwierdzało, że był to jeden z najwspanialszych utworów, jakie Wahram słyszał w życiu. Przeniesienie na instrumenty dęte sprawiło, że dzieło zyskało nowy wymiar, zupełnie jak w przypadku „*Obrazków z wystawy*” Musorgskiego, które zinstrumentalizował Ravel.

Kiedy orkiestra skończyła, na scenę wyszło dwóch pianistów. Usiedli i pochylili się nad instrumentami niczym dwa senne koty, po czym zaczęli grać opus 134, „*Grosse Fuge*”, którą kompozytor osobiście przepisał z instrumentów smyczkowych na fortepian. Muzycy musieli po prostu bębnić w klawisze niczym perkusiści. Melodia zabrzmiała o wiele czystiej, niż Wahram

się spodziewał, zawile fale wielkiej fugi i jej szaleńcza energia przywoływały maniackalną wizję rozbijanego mechanizmu. Staccato na klawiszach dodawało dziełu ostrości i czystej przemocy, jakiej nie osiągnie się na żadnym instrumencie smyczkowym, nawet przy najlepszej wirtuozerii na świecie. Cudowne wykonanie.

Przy następnym utworze aranżacja poszła w przeciwnym kierunku – sonatę fortepianową zagrał kwartet smyczkowy. Choć utwór napisany na jeden instrument wykonywało teraz kilku muzyków, oddanie intensywności „*Hammerklavier*” stanowiło nie lada wyzwanie. Rozdzielenie melodii na dwoje skrzypiec, altówkę i wiolonczelę wydobyło z dzieła nieznaną Wahramowi wymiar: majestatyczny gniew pierwszych akordów, bolesne piękno wolniejszego pasażu, jednego z najpiękniejszych w dorobku Beethovena, a potem finał – kolejna wspaniała fuga. Dla Wahrama brzmiało to jak kwartety z dawnych czasów – a przecież ten jest nowoczesny, na Boga! Przerazająca myśl. Mężczyzna rozejrzał się po widowni. Muzycy z orkiestry dętej i pianiści stali za krzesłami, kołysząc się w rytmie sonaty, z uniesionymi głowami i zamkniętymi oczyma. Wyglądali, jakby się modlili, czasami tylko jakaś uniesiona dłoń wykonywała spazmatyczny ruch, jakby słuchacz chciał dyrygować lub ruszyć do tańca. Swan również kołysała się do taktu, przebywała we własnym świecie. Wahram ucieszył się na ten widok; sam też zanurzył się w przestrzeni wypełnionej Beethovenem – ogromnej, bezkresnej. Nie do pomyślenia wydawało się, że ktokolwiek może pozostać na tę muzykę obojętny. Dla Wahrama ktoś taki byłby poza zasięgiem współczucia i zrozumienia.

Potem na bis wykonawcy ogłosili, że chcą wykonać eksperyment. Rozsunęli fortepiany i pomiędzy nimi ustawili krzesła dla kwartetu smyczkowego. Czterech mistrzów smyczka usiadło w tym małym kręgu twarzami do siebie, a pianiści znowu pochyłili się nad klawiaturami. Po czym

wszyscy zaczęli grać swoje wielkie fugi jednocześnie. Przeniesienie obu utworów na inne niż w oryginale instrumenty wznagało nastrój dezorientacji, a kiedy cichsze fragmenty zabrzmiały w tym samym czasie, napięcie jak w oku cyklonu ujawniło strukturalne podobieństwa obu monstrów. Kiedy kwartet i pianiści powrócili do swoich fug, dźwięki sześciu instrumentów zderzyły się i odbiły do własnych światów, wyrzucając sześć różnych tonów przecinających się w furii, niczym mesjańskie gromy. Oba dzieła zakończyły się razem – Wahram nie był pewien, który z utworów został wydłużony lub skrócony, by to osiągnąć – nieważne zresztą. Fugi wybrzmiały równocześnie w potężnym huku, a wszyscy obecni zerwali się na równe nogi, zabrzmiały oklaski, wiwaty i gwizdy.

– Wspaniale – powiedział po koncercie Wahram. – Naprawdę wspaniale.

Swan potrząsnęła głową.

– To na końcu było dla mnie zbyt szalone, ale i tak mi się podobało.

Zostali jeszcze wśród muzyków, aby przyłączyć się do gratulacji i dyskusji. Większość wykonawców przyznała, że podczas gry mogła się skupić tylko na swojej partii, nic dziwnego zatem, że była bardzo ciekawa, jak koncert odebrało audytorium, szczególnie część eksperymentalną. Ktoś odtworzył nagranie z występu i najpierw muzycy słuchali uważnie, dopóki nie zaczęli zatrzymywać muzyki, by podyskutować o szczegółach.

– Czas wracać na Terminatora – oznajmiła Swan.

– Dobrze. To był niezwykle koncert, bardzo dziękuję, że ze mną przyszedł.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Słuchaj, nie chciałbyś się przejść do miasta, zamiast jechać kolejką? Przyjemnie się przespacerować, zwłaszcza po tak dzikim koncercie. Są tutaj skafandry, z których możemy skorzystać. Będziesz miał okazję pozbyć się trochę napięcia.

– Ale... Mamy na to czas?

– O, tak. Dotrzemy na peron na długo przed miastem. Chodziłam tędy

nieraz.

Zapewne nie zauważyła, że Wahram ma obawy przed wyjściem na powierzchnię Merkurego. Cóż, nie wypadło jednak odmówić. Nawet jeżeli wszyscy inni, włącznie z wykonawcami, wsiedli do kolejki. W której, czego Wahram był absolutnie pewien, będą kontynuować interesującą dyskusję o koncertach, o aranżacjach Beethovena i o muzyce w ogóle.

Ale bez Wahrama. Jego czekał spacer po spalonym świecie. Kiedy wypożyczone kombinezony się uszczelniły i potwierdziły hermetyczność, wyszli ze Swan z auli przez służbę i skierowali się z powrotem na północ, do torów Terminatora.

Wahram nigdy wcześniej nie widział na Merkuryście tak gładkiej powierzchni jak ta w Kraterze Beethovena. Słońce skrywało się za wschodnim widnokretem. Mężczyzna ruszył nerwowo. Lampy na hełmie jego i Swan wydobyły z mroku długie elipsy czarnej pustyni. Przy każdym kroku spod podeszew tryskał pył i opadał na spaloną ziemię za nimi. Ślady pozostałyby nietknięte przez miliony lat, gdyby nie to, że przemierzali wydeptany szlak i powierzchnię już od dawna znaczyły pozostałości innych wędrowców. Przy zakurzonej ścieżce wyrosła z mroku guzowata pumeksowa skała i w świetle lamp zamigotała tysiącem diamentów, co wyglądało jak szron iskrzący się w słońcu. Ale to wcale nie był lód, lecz drobne kryształki. Gdy mijali głaz, dostrzegli namalowanego na nim Kokopelli, który trzymał chyba teleskop, nie flet, wycelowany na wschód. Wahram zaczął cicho pogwizdywać melodię „*Grosse Fuge*” w dwa razy wolniejszym rytmie dostosowanym do tempa marszu.

– Lubisz gwizdać? – zapytała Swan z nieskrywanym zdumieniem.

– Tak sądzę.

– Ja też!

Wahram, który nigdy nie uważał, że wypada się popisywać, nie podjął

melodii. Wspięli się po łagodnym stoku i ujrzeli tory Terminatora. Miasta jednak nie było widać, zapewne znajdowało się jeszcze tuż za wschodnim horyzontem. Pierwszy ciąg prowadnic zasłaniał widok na równoległe szeregi pozostałych. Z tego, co Wahram słyszał, tory wykonano ze szczególnie mocnej hartowanej stali. Lśniły przytłumionym srebrem w blasku gwiazd. Podstawy parę metrów nad ziemią wsparte były na grubych pylonach ustawionych co około pięćdziesiąt metrów. Peron i platforma ładunkowa przyłączone do zewnętrznej szyny znajdowały się na północny zachód od Wahrama i Swan. Mężczyzna ucieszył się, że je widzi. Parkowała tam już kolejka z sali koncertowej.

Promienie słońca musnęły najwyższy punkt na zachodniej ścianie Beethovena. Krajobraz rozjarzył się w blasku znad spalonej krawędzi krateru. Zbliżał się świt, powoli, lecz nieuchronnie. Kiedy dotrze nad wschodni widnokrąg, roztoczy się wspaniały widok na Terminatora. Zapewne to właśnie błyszcząca kopuła miasta majaczyła w oddali.

Oślepiający błysk tuż przy peronie zaskoczył Wahrama. Krwistoczerwony powidok przeciął mu pole widzenia. Potem obraz zaczął pulsować przed oczyma Tytana, zmieniając się w mniej jaskrawy pionowy kleks. Skały wokół spadały, wzbijając fontanny pyłu rozpryskującego się jak woda. Swan i Wahram krzyknęli jednocześnie, choć Tytan nie miał pojęcia, jakich słów użyła jego towarzysza. Zrozumiał, dopiero gdy powtórzyła:

– Na ziemię! Chroń głowę! – I pociągnęła go za rękę.

Wahram przykucnął pośpiesznie i objął ją ramieniem. Swan chyba próbowała zasłonić rękoma hełm towarzysza, kryjąc przy tym swój pod jego torse. Wahram w końcu odważył się zerknąć znad skulonej Swan. W miejscu, gdzie wcześniej znajdował się peron i kolejka, unosiły się teraz tylko kłęby pyłu – tak wielkie, że dosięgły promieni słońca. Jaskrawa żółć z górnej części pylistej chmury rozświetlała krajobraz jak olbrzymia pochodnia.

Powierzchnia tuż u stóp kurzawy jarzyła się własnym blaskiem – okazało się, że to sadzawka dymiącej lawy.

– Meteor – Wahram stwierdził tępo oczywistość.

Swan rozmawiała przez komunikator na wspólnym paśmie. Kilka kolejnych gładów uderzyło w ziemię nieopodal nich. Były niewidoczne, dopóki nie zdradził ich wzbity pył. Wyglądało to jak eksplozje naziemne, wybuchy min. Niektóre odłamki były gorące i przypominały spadające gwiazdy. Nieboskłon przecięło kilka bursztynowych błysków. Meteory. Kilka pewnie spadnie, a kilka nie – przerażająca świadomość. Osłanianie hełmów raczej nie zda się na wiele.

Pył kłębił się i wirował, po czym leniwie opadał warstwami i wstęgami na skalistą powierzchnię Merkurego. Szarość prześwietlona żółcią, przynajmniej dopóki pył nie opadł poniżej granicy, gdzie sięgały promienie słońca – kiedy tak się działo, Wahram i Swan pogrążali się w atramentowym mroku merkuriańskiej nocy i jedynym światłem był migoczący w oddali blask nad krawędzią krateru. Pole widzenia Wahrama nadal przecinał krwisty pulsujący powidok, wydawał się jednak coraz słabszy.

– Na południe stąd znajduje się grupa słońcołazów, tuż przy ścianie krateru – oznajmiła Swan ponuro, po czym zapytała o coś na wspólnym paśmie. – Jeden z nich został trafiony, potrzebują pomocy. Chodźmy.

Wahram posłusznie ruszył za nią, oddalając się od torów. Czuł się ślepy i zagubiony.

– Czy to było uderzenie meteoru?

– Na to wygląda. Ale tory chronione są systemem detekcyjno-deflektorowym, więc nie wiem, jak to się stało. Chodź, musimy się pośpieszyć! Chcę jak najszybciej wrócić do miasta. To... Och! – Swan jęknęła, gdy dotarło do niej, że miasto jest skazane na zagładę. – Nie! – krzyknęła, ciągnąc Wahrama na południe. – Nienienienienie! – powtarzała,

gdy potykając się, oddalali się od torowiska. A potem: – Jak to możliwe?

Nie umiał określić, czy było to pytanie retoryczne.

– Nie wiem – mruknął. Swan szarpnęła go i czym prędzej opuścił wzrok na stopy, aby nie potknąć się o jakiś kamień i nie upaść. W pobliżu znajdowało się mnóstwo odłamków skalnych. Usiłował sobie przypomnieć, co widział. Błysk? Z góry? A może strzelający ku górze? Nie, ruch w dół. Zamknął oczy, ale pod powiekami nadal pulsowała tylko czerwona kreska i krwisty kleks na czerni. Tytan znowu otworzył oczy i zerknął na Swan. Później może będą mogli przeanalizować zapis z jej qostki, zakładając, że w ogóle jakiś zachowała. Swan właśnie mamrotała z irytacją – tego tonu używała chyba tylko do rozmów z Pauline.

Poprowadziła Wahrama wokół osypiska. Kiedy zza niego wyszli, dostrzegli troje ludzi w skafandrach. Wszyscy szli samodzielnie, co stanowiło dobry znak, ale jeden trzymał się za ramię, przez co poruszał się trochę niezdamie. Pozostała dwójka szła po jego bokach, pomagając, a przynajmniej starając się pomóc.

– Hej! – powitała ich Swan na paśmie wspólnym.

Nieznajomi unieśli głowy i rozejrzeli się, po czym ruszyli w stronę Wahrama i jego towarzyszki. Jeden pomachał. Wkrótce się spotkali.

– Jak się czujesz? – zapytała Swan.

– Szczęśliwy, że żyję – odrzekł ranny. – Dostałem w ramię!

– Widzę. Wracajmy do miasta.

– Co się stało?

– Wygląda na to, że meteor uderzył w tory.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem. Ruszajmy!

Bez dalszych ceregieli w piątkę ruszyli pośpiesznie do torów, wykonując długie skoki, na które pozwalała tutejsza grawitacja. Wahram też sobie nieźle

radził, dzięki wprawie, jakiej nabrał na Tytanie. To wystarczyło, choć na rodzimym świecie był prawie o połowę cięższy niż tutaj. Grupa pokonała łagodne zbocze krateru i ruszyła na wschód, aby jak najszybciej przeciąć drogę miastu. Do uszu Wahrama dotarło dziwne kwilenie, niemal zwierzęcy jęk rozpaczy. Na początku Tytan sądził, że to ranny słońcołaz, ale zaraz uświadomił sobie, że nie. To Swan. Oczywiście. To było jej miasto, jej dom.

Wspięli się na wzniesienie, skąd dostrzegli miasto, wierzchołek kopuły wybrzuszał się nad horyzontem jak błękitna bańka kieszonkowego wszechświata. Miasto nadal się poruszało.

– Tory na trasie są zniszczone – stwierdził Wahram.

– Tak, wiemy!

– Czy miasto może jakoś ominąć uszkodzony fragment trakcji?

– Nie! Niby jak?

– Nie wiem, tak tylko... zastanawiam się. Zdaje się, że większość układów podtrzymujących życie i ochronnych zaprojektowanych jest tak, żeby unikać sytuacji krytycznych.

– Oczywiście. Ale tory są chronione systemem antymeteorytowym!

– Musiał nie zadziałać.

– Jak widać! – Swan znowu podniosła głos, jej przenikliwy okrzyk ranił uszy Wahrama, choć przecież interkom kombinezonu tłumił nieco dźwięki.

Słońcołazi rozmawiali między sobą. W ich głosach wyczuwało się niepokój.

– Co zrobimy, kiedy dotrzemy do miasta? – zapytał Wahram na wspólnym paśmie. Swan przystanęła i jęknęła.

– O co ci chodzi?

– Są tam kapsuły ratunkowe? Albo jakieś pojazdy, którymi można dotrzeć do kosmodromu?

– Jasne. Oczywiście, że są.



– Wystarczy dla wszystkich?

– Tak!

– I dość statków w najbliższym kosmoporcie? Wystarczająco dużo, żeby pomieściły całą populację Terminatora?

– Na każdym kosmodromie jest schronisko, które może pomieścić mnóstwo ludzi. I pojazdy, którymi można dostać się na zachód, do innych kosmoportów. A niektóre skoczki mogą wytrzymać nawet po słonecznej stronie.

Pośpiesznie przecięli zwirową równinę, gdy Terminator powoli wynurzał się zza widnokregu. Górna część Ściany Świtu była już widoczna i sprawiała wrażenie bardziej stromej niż w rzeczywistości, z tynkowanymi białymi domami i drzewami. Gęsta zieleń ulistnionych koron znaczyła miejsce, gdzie znajdował się park. Niżej u stóp drzew rozciągały się uprawy i farmy. Terminator – śnieżna kula na srebrzystych szynach zmierzająca ku zagładzie.

W mieście nie było widać ludzi, choć piątka rozbitków znalazła się już bardzo blisko. Nikt nie przechadzał się po terasach Ściany Świtu. Terminator wyglądał jak wymarły.

I nie można było dostać się do środka. Peron został zniszczony uderzeniem. Nikt z ludzi, którzy wracali kolejką z koncertu, nie mógł przeżyć. W mieście Wahram i reszta dostrzegli trzy jelenie – byka i łanię z młodym. Szloch Swan wzbił się o oktawę wyżej:

– Nie. Nie!

Dziwnie było tu stać i patrzeć na opuszczone śródziemnomorskie miasto.

Swan zerwała się do biegu pod szynami po północnej stronie Terminatora, reszta ruszyła za nią. Z nowej perspektywy można było dostrzec długi konwój naziemnych wehikułów, ciągnący się w oddali na północ i na zachód, zmierzający do przesmyku w północno-zachodnim zboczu Beethovena. Pojazdy poruszały się szybko i wkrótce zniknęły za horyzontem.

– Ludzie uciekli – zauważył Wahram.

– Tak, tak. Pauline?

– Możemy, jak sądzę, dojść pieszo do kosmodromu? – zaniepokoił się nagle. Swan, zajęta dyskusją z wszczepioną qostką, nie odpowiedziała jednak, a Tytan nie rozumiał, czego dotyczy rozmowa. W głosie Swan dominowały wyjątkowo złośliwe tony.

Wreszcie przerwała kłótnię i wyjaśniła Wahramowi:

– Pojazdy naziemne nie wrócą. Miasto zatrzyma się automatycznie, gdy natrafi na przerwane torowisko. Musimy stąd odejść. Na co dziesiątym peronie znajduje się winda, którą można się dostać do podziemnego schronu pod szynami. Musimy dotrzeć do jednego z nich.

– Jak daleko na zachód jest najbliższy z tych schronów?

– Prawie dziewięćdziesiąt kilometrów. Miasto właśnie minęło jeden na wschodzie.

– Dziewięćdziesiąt kilometrów!

– Tak. Dlatego musimy iść na wschód. To tylko dziewięć kilometrów. Nasze skafandry wytrzymają w słońcu wystarczająco długo, żeby nam się udało.

– Może powinniśmy przejść dziewięćdziesiąt kilometrów... – zmartwił się Wahram.

– Nie, nie możemy! Jak to sobie wyobrażasz?

– Myślę, że możemy. Przecież ludzie ciągle to robią.

– Atleci, którzy ćwiczili, żeby tego dokonać. Wystarczająco dużo się nachodziłam, więc wiem, że może mnie by się to udało, ale nie tobie. Do tego nie wystarczy tylko siła woli. Na dodatek mamy rannego. Nic z tego. Wszystko będzie dobrze, jeżeli pójdziemy w stronę słońca. Będziemy wystawieni tylko na promieniowanie korony, i to krótko, najwyżej przez godzinę, może trochę dłużej. To nic takiego, często mi się to zdarzało.

– Ja jednak wołałbym tego uniknąć.

– Nie masz wyboru! No już! Im dłużej zwlekamy, tym dłużej będziemy wystawieni na słońce!

Z tym stwierdzeniem nie można się było spierać.

– No dobrze – westchnął. Serce waliło mu w piersi.

Swan odwróciła się i uniosła ramiona. Jęknęła jak ranne zwierzę.

– Och, miasto moje, miasto moje... Och! Wrócimy! Odbudujemy! Och...

Pod przezroczystą twarzoosłoną Swan miała policzki mokre od łez. Kiedy zauważyła, że Wahram ją obserwuje, machnęła ręką, jakby chciała go uderzyć.

– Musimy się śpieszyć! – Skinęła na trzech słońcołazów. – Naprzód!

Gdy biegli na wschód, Swan wyła na wspólnym paśmie, co brzmiało jak syrena alarmowa, która spełniła swoje zadanie, lecz kontynuowała ostrzeżenie po katastrofie, gdy nie było to już potrzebne. Wahram nie mógł uwierzyć, że ta osoba przed nim jest zdolna do wydawania tak przerażająco rozpaczliwego dźwięku – dźwięku, który boleśnie przeszywał mu uszy. Bez wątpienia w mieście porzucono mnóstwo zwierząt – całe niewielkie terrarium, biotop pełen flory i fauny. A przecież Swan projektowała takie terraria. Na dodatek ten biotop był jej domem. Nagle lament stał się dla Wahrama zrozumiały – ocalenie ludzi wcale nie wystarczyło. Tak wiele pozostało. Cały świat. A kiedy umiera świat, jego ludzie już się nie liczą. To właśnie przekazywała w szlochu Swan.

A świt nadchodził, jak zwykle nieuchronnie.

• •

Nieoczekiwanie pojawił się interesujący problem: czy Wahram potrafiłby modulować swój strach, zapanować nad nim i użyć jako dopingu do przyspieszenia optymalnego tempa, aby jak najszybciej dotrzeć do peronu na wschodzie – i to dotrzeć w pełnym słońcu? I czy takie tempo pozwoliłoby

dotrzymać kroku osobie, za którą Tytan szedł? Albowiem Swan, nadal jęcząc, szlochając i przeklinając w rytmie dostosowanym do jej biegu, wyskakiwała daleko, zapewne niezdolna poruszać się wolniej, popychana wyłącznie impetem rozpaczony – a jednak Wahram nie mógł za nią nadążyć. Zostawał w tyle i musiał wyznaczyć sobie własny rytm. Miał nadzieję, że zdoła się utrzymać przynajmniej na tyle blisko, aby nie stracić towarzyszki z oczu. Oczywiście wydeptany szlak powiodłby go i tak do peronu, nawet gdyby Swan zniknęła za horyzontem. A jednak nie chciał stracić jej z oczu. Trzech słońcołazów odbiegło daleko w przód, nawet ten ze zranionym ramieniem. Co znaczyło, że rozpacz jednak spowalniała Swan.

Grunt opadał tutaj lekko, po czym wznosił się, dzięki czemu Wahram miał dobry widok na wiele kilometrów w dal. Wyżyny na północy rozpałało już jaskrawe światło. Padający stamtąd blask rozjaśniał zacieniony obszar, przez który biegła piątka ludzi. Wahram dostrzegł fałdy i rumowiska na powierzchni – nigdy w życiu niczego nie widział wyraźniej, nie tylko na Merkurym, ale w ogóle. Wszystko wydawało się posypane warstwą miążkiego proszku, bez wątplenia rezultat codziennego pieczenia na przemian z zamarzaniem.

Światło na północy zrobiło się tak jasne, że mężczyzna musiał odwracać oczy, aby uchronić się od ciemnych plam powidoków, które przeszkadzałyby w obserwacji gruntu pod nogami i najbliższego otoczenia. Z przodu jęcząca postać zamajaczyła na tle gwiazd. Wahram zmusił się do oddychania w rytmie swoich kroków, uważając na stopy i koncentrując się tylko na jak najszybszym i efektywnym biegu. Jedna trzecia g może okazać się zwodnicza, człowiek w takiej grawitacji nie czuł się ani lekki, ani ciężki. Oczywiście tak niewielkie ciężenie pozwalało na szybkie i dalekie skoki, ale upadek bynajmniej nie należałby do bezpiecznych – zwłaszcza w obecnej sytuacji. Co innego Swan, ona była u siebie i chyba całkiem zapomniała o Wahramie.

Biegł. Zwykle, jak pamiętał, kilka kilometrów pokonałby najwyżej w

czterdzieści pięć minut biegiem, zależnie od rodzaju terenu. Lecz dystans był na tyle długi, aby nawet wytrawny biegacz powstrzymywał się od sprintu. Czy Swan się nie nadwyreżała? Czy nie biegła za szybko? Nie dostrzegła u niej żadnych oznak spowolnienia.

A jednak nie wysuwała się naprzód. A Wahram znalazł rytm, który – jak sądził – pozwoli mu wytrwać do końca. Nie za szybko, ani też za wolno. Parskał i prychał, uważnie spoglądając pod nogi. Zerkał też na Swan, zawsze tuż-tuż przy widnokregu. Tytan już zaczynał oddychać z ulgą – i wtedy się potknął. Udało mu się utrzymać równowagę, młóćąc rozpaczliwie ramionami. Po tym doświadczeniu pochylił niżej głowę i skupił się na ziemi pod stopami.

To była jedna z tych chwil, kiedy rzeczywistość niespodziewanie rzucić może w inny świat. Wahram widział odciski butów Swan nakładające się na palimpsest wcześniejszych śladów. Jej kroki były krótsze niż jego. Wahram przeskakiwał dalej, chociaż nie poruszał się szybciej niż towarzyszka. Słońcołazi byli już w połowie drogi, ukryci za horyzontem. Jęki Swan nadal raniły mu uszy, ale nie zamierzał ich ściszyć ani wyłączyć.

A potem słońce błysnęło zza widnokregu i znowu poczuł, jak łomocze mu serce. Pomarańczowe światło liznęło jedynie okolice, po czym znikło. O ile Wahram pamiętał, korona była gorętsza niż powierzchnia słońca. Pływy magnetyczne tworzące charakterystyczne pętle ognia wznosiły się majestatycznie nad horyzontem i wisały tam, zanim wybuchną i opadną na jedną lub drugą stronę. Płomienie słońca w rezultacie strzelały w gwałtownych eksplozjach prowadzonych przez pola magnetyczne, które wirowały w pozodze. Wahram nadal biegł, patrząc pod nogi, lecz kiedy na chwilę podniósł oczy, przekonał się, że horyzont przed nim już oblewa pomarańczowa jasność – słońce w całej swojej oranżowej okazałości drżącej od bąbli i wstęg żółci.

Aby uchronić oczy Wahrama, twarzoosłona musiała przyciemnić obraz. Kosmos stał się czarny. Tylko horyzont pozostał wyraźnie widoczny, jasna linia – niezbyt wysoko, niezbyt gładka, rozmywająca kontury kilku wzniesień i rozpadlin. Swan zmieniła się w cień, wizerunek biegacza o wyszczuplonej przez padające z tyłu białe światło sylwetce. Na ziemi rysowały się wzory jak z soli z pieprzem, niemożliwe do rozpoznania – ostra biel i głęboka czerń przeplatające się, przez co jasne fragmenty zdawały się pulsować. Wahram musiał wierzyć, że grunt jest wystarczająco równy, by biec, ponieważ teraz wcale tak to nie wyglądało. Wkrótce jednak ziemia zmieniła się w czarno-białą płaszczyznę gładką jak lustro. Wahram znalazł się wraz z resztą w strefie dnia.

Zaczął się pocić. Zapewne był to strach i poczucie beznadziei, które sprawiło, że przyśpieszył kroku. Skafander zaczął mrużyć, słyszalny efekt wysiłków aparatury chłodzenia – cichy, lecz przerażający dźwięk. Strużki potu spłynęły Wahramowi po łopatkach i wzdłuż nóg, zbierając się na ściągaczach nad cholewami butów. Ciekawe, czy zbierze się dość cieczy, by mnie utopić? – pomyślał Tytan. Nie wydawało się to prawdopodobne, ale kto wie...

Cień sylwetki Swan na tle słońca przypominał trochę widmo Brokenu, pojawiające się i znikające w rytm wibrującego pulsowania. Wahramowi zdawało się, że towarzyszka obejrzała się na niego, ale nie ośmielił się jej pomachać – mógłby stracić równowagę i upaść. Swan wyglądała na mniejszą i dopiero po chwili zorientował się, że nie widać jej poniżej kolan. Horyzont znajdował się równie daleko jak na Tytanie, co znaczyło, że jest jakieś pięć lub dziesięć minut za nią.

Nareszcie pojawił się dach peronu – tuż po lewej, obok Swan, przy południowym torze. Wahram ponownie przyśpieszył. Jak zwykle przy każdym fizycznym wyzwaniu znajdowało się siły na ostatni zryw.

Tym razem jednak Wahram chyba wyczerpał swoje zasoby do cna, ponieważ

wkrótce jego bieg przerodził się raczej w desperacki wysiłek utrzymania tempa. Dyszał ciężko i zmuszał się do w miarę głębokich wdechów w rytmie dostosowanym do ruchu coraz cięższych nóg – jeden wdech na dwa ruchy nóg. Spojrzenie w górę napępniało przerażeniem – na wschodzie niemal cały widnokrąg oświetlała korona słoneczna, a jej nieznaczna krzywizna zwiastowała, że w końcu niebo wypełni tarcza dziennej gwiazdy. Wydawało się, że Merkury jest po prostu kulą toczącą się w to oślepiające światło.

Wilgoć wypełniała skafander po uda i Wahram znowu zaczął się zastanawiać, czy można się utopić we własnym pocie. Ale przecież mógł wypić ciecz i w ten sposób się uratować. Na szczęście, przynajmniej powietrze w hełmie było nadal chłodne.

Polaryzacja twarzoosłony znowu się zmieniła, jasność widziana przez ciemne szkło wyglądała jak kłębowisko tysięcy języków ognia. Wielkie pola wąsów poruszały się równo, całe obszary przesuwały się jak kocie łapy w wodzie. Słońce wydawało się teraz żywym stworzeniem, istotą złożoną z ognia.

Peron wyglądał jak czarny blok na czarnym tle, a Swan – jak ruchomy cień przed nim. Wahram dogonił ją, zatrzymał się, dysząc, i pochylił, opierając dłońmi o kolana, plecami do słońca. Kobieta przestała lamentować, chociaż od czasu do czasu jeszcze pojękiwała. Słońcołazi już zjechali, a Swan czekała na powrót windy.

– Przepraszam – wydusił Wahram, gdy udało mu się odzyskać oddech. – Przepraszam za spóźnienie.

Swan spoglądała w słońce, teraz wychylające się już na cztery palce nad poszarpanym czarnym horyzontem.

– O Boże! Popatrz na to – odezwała się. – Tylko popatrz...

Wahram próbował, ale było za jasne i za wielkie.

Nagle wir w koronie wzniósł się o wiele wyżej niż inne, jakie widzieli

wcześniej – jakby słońce próbowało sięgnąć do ludzi i spalić ich swoim dotknięciem.

– O nie! – krzyknęła Swan i pociągnęła Wahrama za siebie, do drzwi. Pchnęła go na ziemię i zasłoniła własnym ciałem, po czym nad ramieniem towarzysza zaczęła wciskać guziki przy windzie, przeklinając chrapliwie.

– No szybciej! – krzyknęła. – Och, niedobrze, to był wielki rozbłysk. Gdy się taki widzi, to znaczy, że już się dostało.

Wreszcie drzwi windy rozsunęły się i oboje szybko wślizgnęli się do kabiny. Drzwi zamknęły się od razu i elewator zaczął zjeżdżać.

Kiedy osłona i oczy Wahrama dostosowały się do normalnego oświetlenia, ujrzał, że twarz Swan jest mokra od łez. Kobieta pociągnęła nosem.

– Szlag, to był wielki rozbłysk – westchnęła.

Kiedy winda się zatrzymała, Swan wysiadła i od razu zwróciła się do trójki słońcołazów:

– Ma któryś z was dozymetr?

Jeden z nich zacytował w odpowiedzi:

– Jeżeli chcesz wiedzieć, nie chcesz wiedzieć.

Swan popatrzyła na Wahrama z tak ponurym wyrazem twarzy, jakiego jeszcze nie widział.

– Pauline? – mruknęła. – Znajdź dozymetr w tym skafandrze.

Słuchała przez chwilę, po czym przycisnęła dłonie do piersi i opadła na kolana.

– O cholera – wydusiła słabo. – Jestem martwa.

– Ile dostałaś? – zapytał zaniepokojony Wahram. Zerknął na swój komputer naręczny: ekran pokazywał radiację 3,763 siwertów. Mężczyzna syknął. Wszyscy będą potrzebować porządnej kuracji genetycznej, aby naprawić dna, i to jak najszybciej. O ile w ogóle uda im się przeżyć. Powtórzył pytanie: – Ile dostałaś?



Wstała, nie patrząc na Wahrama.

– Nie chcę o tym mówić.

– Tam było całkiem sporo słońca – rzucił.

– Nie chodzi o słońce – westchnęła Swan. – To ten rozbłysł.

– Pech.

Słońcołazi pokiwali głowami, a Wahram poczuł nieprzyjemny dreszcz na karku.

Znajdowali się w śluzie. Drzwi windy zamknęły się, a gródź naprzeciw rozsunała z sykiem powietrza. Dalej Wahram zobaczył niskie pomieszczenie dość sporych rozmiarów, z korytarzami i drzwiami.

– Czy to schronienie? – zapytał. – Mamy tu zostać przez cały czas, gdy świeci słońce? To możliwe?

– To część kompleksowego systemu – wyjaśniła Swan. – Został zbudowany do pomocy przy konstrukcji torów. Pod co dziesiątym peronem znajduje się taka jednostka, a wszystkie łączy tunel. Tunel naprawczy.

Słoneczni wędrowcy sprawdzali pomieszczenia za drzwiami w najbliższym korytarzu.

– Więc możemy zejść do tego korytarza i dotrzeć do strefy nocy? Wezwać pomoc?

– Tak. Ale zastanawiam się, czy odcinek pod miejscem uderzenia meteorytu jest dostępny. Przypuszczam, że możemy pójść tam i sprawdzić.

– A w tym tunelu i reszcie pomieszczeń jest powietrze i ogrzewanie?

– Tak. Po tym jak kilka osób zginęło, gdy zeszło tu, aby się schronić przed słońcem, na stacjach zapewniono podstawowe warunki do przeżycia. Zdaje się, że trzeba będzie napowietrzać kolejne odcinki tunelu roboczego, sekcja po sekcji. To jak zapalanie światła.

Jeden ze słońcołazów uniósł kciuk i Swan zdjęła hełm. Wahram zrobił to samo.

– Ma któreś z was komunikator radiowy? – zapytał jeden z nich. – Nasze nie działają, chyba zostały spalone przez słońce. Linia komunikacyjna stacji też nie działa. Nie mamy jak zawiadomić innych, że tu jesteśmy.

– Pauline, z tobą w porządku? – zapytała Swan, po czym zamilkła.

– Jak twoja gostka? – zainteresował się Wahram po chwili ciszy.

– Nic jej nie jest. – Machnęła ręką. – Powiedziała, że moja czaszka to doskonały izolator.

– O rany.

Oboje ruszyli za słońcołazami przez korytarz, po czym zesli po schodach do sal poniżej.

W największym z pomieszczeń znajdowały się sofy i stoliki oraz długi kontuar wspólnej kuchni. Swan przedstawiła Wahrama trojgu słońcołazom, osobom w nieokreślonym wieku i nierozpoznawalnej płci. Wędrowcy skinęli uprzejmie, ale nie przedstawili się w zamian.

– Jak twoje ramię? – zapytała Swan rannego.

– Złamane – odparł, uniósłszy lekko rękę. – Czyste uderzenie, ale odłamek musiał być mały, jak przypuszczam. Nieźle się ode mnie odbił.

Wahramowi wydało się, że przynajmniej ten osobnik musi być młody.

– Zabandażujemy je – stwierdził inny z grupy, też chyba młody. – Może uda się je nastawić. Zresztą i tak trzeba będzie usztywnić rękę na temblaku.

– Widzieliście może uderzenie meteorytu? – zapytała Swan.

Cała trójka pokręciła głowami. Wszyscy młodzi, uznał Wahram. Należeli do ludzi, którzy chodzili po Merkurym tuż przed świtem i podniecali się widokiem słońca. Chociaż Swan też tak robiła. Może są zatem młodzi duchem, pomyślał.

– Co zrobimy? – zapytał.

– Możemy pójść tunelem naprawczym na zachód, aż dotrzemy do kosmodromu w strefie nocy – odparł jeden ze słońcołazów.

- A jeżeli nie da się przejść przez sekcję pod miejscem uderzenia meteorytu?
- wtrąciła Swan.
- Och, to mi nie przyszło do głowy.
- Może da się przejść – zauważył ten ranny. Trzeci z wędrowców nie uczestniczył w rozmowie zajęty przeszukiwaniem schowków przy ścianie. – Nigdy nie wiadomo.
- Wątpię. Ale przypuszczam, że warto sprawdzić. To tylko piętnaście kilometrów stąd.
- Tylko piętnaście! Wahram w porę ugryzł się w język. Popatrzył na pozostałych.
- No dobra – skrzywiła się Swan. – Rzućmy okiem. Nie chcę tu siedzieć i czekać.

Słumił westchnienie. I tak nie mieli zbyt wielkiego wyboru. A jeżeli się pośpieszą, może uda się przejść na zachód, dogonić noc i dotrzeć na kosmodrom, gdzie schronili się mieszkańcy Terminatora.

Dlatego wkrótce potem ruszyli do przejścia na zachód przy końcu pomieszczenia i przeszli na korytarz naprawczy. Tunel rozświetlały słabo lampy wbudowane w sufit. Ściany stanowiła surowa skała, miejscami popękana, miejscami ze śladami wiertła skierowanymi w górę po lewej i w dół po prawej. Szło się tutaj naprawdę szybko. Wydawało się, że ranny słońcołaz jest najszybszy z ich piątki, ale drugi dotrzymywał mu kroku bez wysiłku. Nikt nie rozmawiał. Minęła godzina, a po krótkim odpoczynku na sześciennych głazach w tunelu kolejna.

– Czy Pauline nagrała uderzenie? – Wahram zapytał Swan, gdy znowu ruszyli. Korytarz był dość szeroki, aby pomieścić trzy lub nawet cztery osoby idące obok siebie, o czym można się było przekonać, patrząc na słońcołazów podążających z przodu.

– Oglądałam je, ale to tylko błysk z boku. Zaledwie parę milisekund

światła, a potem eksplozja w górę i dookoła, która szybko zniknęła. I gorąco. Ale dlaczego? Tam nie było atmosfery, która rozgrzałaby meteor, to nie ma sensu. Wyglądało to... czyja wiem? Jakby ten meteor spadł skądinąd. Z innego wszechświata.

– Zdaje się, że potrzebne będzie inne wyjaśnienie – Wahram nie mógł się powstrzymać, aby tego nie powiedzieć.

– No to je znajdź – odcięła się ostro kobieta, tonem, którego zwykle używała do rozmów z qostką.

– Nie umiem – Tytan nie dał się wytrącić z równowagi.

Dalej ruszyli w milczeniu. Prawdopodobnie wkrótce znajdą się pod miastem. Nad nimi Terminator pewnie płonął w promieniach słońca.

A potem nagle pojawił się koniec tunelu. Wszyscy mieli hełmy na głowach, ponieważ tak było najłatwiej, więc teraz włączyli lampy nadczołowe. Światła przebiły ciemność z przodu. Zwałowisko kamiennych odłamków wypełniało przejście od podłogi po sufit. Było tu zimno i Swan z niepokojem nakazała:

– Lepiej zamknijmy hełmy. – I natychmiast opuściła twarzo-osłonę. Wahram zrobił to samo.

Zatrzymali się tuż przy zwałisku.

– No dobra – westchnęła Swan ponuro. – Nie możemy iść na zachód. Czyli musimy wyruszyć na wschód, jak się zdaje...

– Jak długo to zajmie? – musiał zapytać Wahram.

Wzruszyła ramionami.

– Jeżeli tu zostaniemy, będziemy musieli czekać osiemdziesiąt osiem dni na zachód słońca. Jeżeli pójdziemy, potrwa to krócej.

– Mamy przejść pół Merkurego?

– Mniej niż pół, przecież będziemy iść, a planeta się obraca. O to właśnie chodzi. Zresztą co innego mamy robić? Nie zamierzam tu siedzieć beczynie

przez trzy miesiące! – Wahram zauważył, że kobieta jest bliska łez.

– A dokładnie, jak to daleko? – zapytał, a przez głowę przemknęło mu, że to pewnie mniej więcej tyle, co połowa równika Tytana. Poczł ucisk w żołądku.

– Około dwóch tysięcy kilometrów. Ale jeżeli przejdziemy, powiedzmy, trzydzieści kilometrów na dobę, skrócimy czas oczekiwania najwyżej do czterdziestu dni, czyli o połowę. Wydaje mi się, że warto. Zwłaszcza że nie trzeba będzie iść non stop, to znaczy nie tak jak słońcołazi. Przejdziemy, ile się da, potem coś zjemy, prześpimy się i znowu ruszymy. Ustalimy plan dobowy wędrówki. Może nawet uda się wykorzystać do dwudziestu godzin z dwudziestu czterech, byłoby idealnie, może dzięki temu zaoszczędzimy jeszcze trochę czasu... Czego, Pauline?

– Możesz włączyć głos Pauline? – poprosił.

– Wolę nie, przynajmniej nie teraz. Pauline twierdzi, że jeżeli będziemy iść dwanaście godzin na dobę, to skróci oczekiwanie na ratunek do około czterdziestu pięciu dni. Dla mnie to wystarczy.

– Cóż – mruknął. – To sporo chodzenia.

– Wiem, ale co niby mamy zrobić? Siedzieć tu dwa razy dłużej?

– Nie – westchnął. – Nie sądzę...

Chociaż to wcale nie byłoby tak długo. Wahram mógłby przeczytać znowu Prousta i O'Briena, jak podczas cyklu w Pierścieniach – w naręcznym komputerze miał całkiem niezłą kolekcję. Ale postawa jego towarzyszk i sposób, w jaki patrzyła, sprawiły, że nie ośmielił się wypowiedzieć tych myśli na głos.

– Włączę głos Pauline – oznajmiła, jakby chciała Wahramowi dać coś w zamian za jego zgodę na wyprawę.

– *Solvitur ambulando* – odezwała się Pauline. – Po łacinie znaczy to: „Rozwiązane przez chodzenie”. Diogenes z Synopy.

– Dowód, że ruch jest rzeczywisty – dodał Wahram.

– Tak.

Tytan westchnął.

– Wiedziałem.

• •

Po powrocie do podziemnej stacji, tej, z której zaczęli marsz, spakowali zaopatrzenie. Trójka słońcolazów wyglądała na uszczęśliwioną perspektywą wędrówki przez sześć czy siedem tygodni – nie różniło się to szczególnie od ich stylu życia. Nosili imiona: Tron, Tor i Nar. Byli nieokreślonej płci, przynajmniej dla Wahrama, i wydawali się młodzi i prości – żyli tylko po to, aby wędrować wokół Merkurego, na niczym innym się nie znali... Albo nie przywykli do rozmów z obcymi. Ale to, co mówili, gdy już otwierali usta, Tytanowi wydawało się dziecinne, a w najgorszym razie prostackie. Oczywiście większość terrariów wypełniali podobni osobnicy, ale Wahram przywykł widzieć w Merkurianach ludzi wyrafinowanych i obytych, zainteresowanych historią, sztuką i kulturą. Teraz mógł się przekonać, że nie zawsze tak jest. Wydawało mu się również, że słoneczni wędrowcy są czcicielami Słońca podobnymi do starożytnych Egipcjan, Persów lub Inków. Nic podobnego. Słońcolazi po prostu lubili słońce.

Zanosilo się na to, że będą musieli spędzić kilka nocy, śpiąc na podłodze tunelu naprawczego – na odcinkach pomiędzy kolejnymi stacjami.

– Co trzeci dzień będziemy mogli uzupełnić zapasy – stwierdziła Swan. – Chyba uda nam się utrzymać całkiem niezłe tempo.

– Może nawet uda się iść szybciej – dodał nieśmiało Tron.

Tron był tym ze złamanym ramieniem, więc Wahram powstrzymał się od stwierdzenia, że nawet trzydzieści trzy kilometry na dobę może okazać się dla niego za wiele. Na myśl, że może stanowić ciężar dla grupy, Tytan poczuł

skrzepowanie. Swan nadzorowała pakowanie plecaków, które znalazła w alarmowych skrytkach: zawieszki na hełmy, awaryjny zapas powietrza, butle z wodą, jedzenie, dmuchane materace, niewielki podgrzewacz. Wahramowi wydawało się, że zwój pledów z aerożelu nie przyda się jako ochrona przed stałym chłodem panującym w korytarzu, ale Swan zapewniła, że tkanina doskonale trzyma ciepło.

A zatem: wędrówka tunelem. Zapewne podobna do długotrwałej wyprawy speleologicznej. W ekwipunku znajdowały się latarki podręczne, jednak na razie nie były potrzebne, ponieważ kwadratowe lampy w suficie, rozmieszczone co dwadzieścia metrów, rzucały ciepłe jasnożółte światło na surowe skalne ściany korytarza. Tunel biegł piętnaście metrów pod powierzchnią, jak wyjaśniła Swan. Został wydrążony w skale macierzystej lub regolicie i wykończony za pomocą wysokiej temperatury. To właśnie przez gorąco na ścianach pojawiły się nieregularne pasma mineralnych barw, przypominające te widywane po przecięciu niektórych meteorytów. Miejscami srebrne zawijasy rysowały się nad miedzianymi, po czym nikały w czerni. Podłogę wykonano tak, aby zapewniała jak najlepszą przyczepność dla podeszew. Duża krzywizna Merkurego sprawiała, że najdalsze lampy w suficie zlewały się w jedną linię. Wydawało się, że można niemal dostrzec łuk planety, co Wahram uznał za bardzo zachęcające. W przeciwieństwie do pieszej wędrówki przez czterdzieści dni z rzędu i konieczności codziennego pokonania trzydziestu paru kilometrów. Tytan musiał sobie ustawicznie przypominać, że znajduje się mniej więcej na czterdziestym piątym równoleżniku półkuli południowej, więc odległość od strefy cienia była mniejsza niż w przypadku, gdyby wyprawa odbywała się na równiku. A tory Terminatora czasami biegły nawet głębiej na południe, o ile dobrze pamiętał. Cóż, mogło być gorzej.

I tak to szło. Godzinna wędrówka przez tunel, który niemal wcale się nie zmieniał, co najwyżej w sensie iteracyjnym. Postój, gdy można usiąść na twardym podłożu i chwilę odpocząć, a potem znowu iść przez godzinę. Po trzech godzinach przekąska. Ten interwał wydawał się bardzo długi, niemal jak tydzień w normalnym ludzkim życiu, w życiu wypełnionym rozmyślaniami. Ale cała piątka przebrnęła przez trzy takie cykle, nim się zatrzymała na większy posiłek i trwający osiem lub dziewięć godzin sen. Godzina, godzina, godzina – godzina, godzina, godzina – godzina, godzina, godzina...

Wrażenie, że czas płynie wolniej, stawało się u Wahrama coraz silniejsze. Nie umiał powiedzieć, dlaczego wędrówka tak mu się dłuży. Powtarzalność cykli powinna zlać się w jedno i przyspieszyć subiektywne odczuwanie mijających godzin. Niestety, nic z tego. Miał wrażenie, że czas się wlecze coraz wolniej i wolniej. Ale pod koniec każdego dnia, gdy już przywykł do bólu stóp i wyczerpania, mógł się wyciągnąć na dmuchanym materacu i powiedzieć sobie:

– Jeden dzień z głowy, zostało jeszcze trzydzieści siedem.

A nawet – zostało trzydzieści trzy. I wtedy zalewała go fala desperacji. Przecież dla niego każda godzina trwała tydzień! Jak wytrzymać tyle czasu?

Słońcołazi zwykle szli na czele i kiedy Wahram ze Swan dołączali do nich na postoju, ta trójka już przygotowywała herbatę. A potem, na długo zanim Tytan był gotów wstać i iść, młode wilki zrywały się z przepaszającymi niemal uśmiechami, skinieniem głową i machnięciem ręki. Tym samym większość dnia Wahram spędzał u boku Swan.

Towarzyszki wcale nie uszczęśliwiała perspektywa wędrówki, chociaż wyprawa stanowiła jej pomysł. Alternatywa była jednak o wiele gorsza, a przynajmniej Swan tak uważała. Dlatego to znosiła, z żalnością wyrażaną milczeniem lub na głos. Niekiedy Merkurianka wysuwała się naprzód,



niekiedy wlokła się na szarym końcu.

– Niedługo zacznę chorować – stwierdziła kiedyś.

Właśnie wtedy Wahram zdał sobie sprawę, że obecna sytuacja podoba się Swan jeszcze mniej niż jemu – o wiele mniej niż jemu, co zresztą jasno dała do zrozumienia. Nienawidziła tego – tak powiedziała. Męczyła ją klaustrofobia, Swan nie znosiła zamkniętych pomieszczeń, potrzebowała choć odrobiny światła słonecznego, codziennie nowych wrażeń i stymulacji zmysłów. To potrzeby, których zaspokojenie jest konieczne do przeżycia – wyjaśniła krótko.

– Tutaj jest koszmarnie – powtarzała często, akcentując mocno każdą z trzech sylab ostatniego słowa osobno. – Koszmarnie, koszmarnie, koszmarnie. Nie uda mi się.

– Porozmawiajmy zatem o czymś innym – proponował wtedy Wahram.

– Niby o czym? Nie mogę. Tu jest koszsz-marr-nie.

Niekończące się powtarzanie wystarczało jednak tylko na pierwszą godzinę z dwunastogodzinnej wędrówki przerywanej krótkimi postojami. Zwykle gdy mijało pierwsze pół godziny, Wahram sugerował zmianę tematu, aby oboje uniknęli stresu wzbudzonego przez stwierdzanie oczywistości.

– Już jesteś mną zmęczony?

– Ani trochę. Odrobinę rozbawiony. Bardziej zaintrygowany. Ale motyw nieszczęśliwej, męczącej, lecz koniecznej podróży jest ograniczony. Wyczerpał się. Chcę poznać inną opowieść.

– No to masz szczęście, bo właśnie zamierzałam zmienić temat.

– W rzeczy samej, mam szczęście.

Wysunęła się przed Tytana. Nie było sensu ponaglać jej do mówienia, mieli na to cały dzień. Wahram obserwował, jak jego towarzyszka idzie – poruszała się z gracją, robiąc długie kroki, efektywne i płynne. Nic dziwnego, znajdowała się w swojej grawitacji. W tym tempie wkrótce zostawi

mężczyznę daleko w tyle. Nie wyglądała jeszcze na chorą. Słyszał, że czasami rozmawiała z gostką. Dyskusje te zwykle przypominały kłótnie. Głos Swan brzmiał ostro i rozkazująco, ale i alt Pauline, choć przytłumiony skórą nosicielki, również znaczyły nuty uporu i niezgody. W zależności od oprogramowania gostki mogły być prawdziwie żarliwymi dyskutantami i potrafiły żonglować argumentami na najwyższym poziomie. Raz Wahramowi udało się podejść na tyle blisko, aby podsłuchać jedną z takich dyskusji, a raczej jej część, bo rozmowa już trochę trwała. – Biedna Pauline – mówiła właśnie Swan. – Na twoim miejscu czułabym przemożny smutek! Tak mi cię żal! Jakże to straszne, że jesteś tylko zbiorem algorytmów!

– To chwyt retoryczny nazywany „concessio”, polegający na udawaniu, że stawia się siebie na miejscu oponenta.

– Ależ nie – zapewniła Swan. – Naprawdę ci współczuję. Być tylko kilkoma kubitami, tylko algorytmami, z których wynikasz. Chciałam powiedzieć, że biorąc to pod uwagę, świetnie sobie radzisz.

– A to chwyt retoryczny nazywany „confessio” – stwierdziła Pauline. – Polega on na tym, że zaczyna się od wyznania, wskazania słabych punktów, zanim ponownie przypuści się atak.

– Może masz rację. Nie mam pojęcia, czemu sądziłam, że jesteś głupia, biorąc pod uwagę siłę tych twoich argumentów. A jednak...

– A to zarówno ironia, jak i aporia w tym najgorszym sensie, o jakim wcześniej wspomniałam: krótkie wyrażenie wątpliwości, zwykle fałszywe, przed ponowieniem ataku.

– A to jest typ obrony nazywany kazuistyką, gdy nie ma się już nic, więc ucieka się do pokrętnego rozumowania, rozmywania argumentacji w słowach. Może masz rację: istnieje mądra świadomość i głupia świadomość. To by wiele wyjaśniało.

Nie wydawało się jednak, że Pauline jest zbita z tropu.

– Chętnie poddam twój i mój akt mowy podwójnej ślepej próbie, aby sprawdzić, czy istnieją między nimi jakiegokolwiek różnice.

– Doprawdy? – zdumiała się teatralnie Swan. – Chcesz powiedzieć, że potrafisz zdać test Turinga?

– To zależy, kto będzie zadawał pytania.

Swan roześmiała się pogardliwie, ale Wahram wyczuł, że jest również rozbawiona. Zatem gostka do czegoś się jednak przydała.

■ ■

Oboje zmieniali się na prowadzeniu co pół godziny, tylko po to, aby zaznaczyć upływ czasu i urozmaicić sobie widok, zwłaszcza że otoczenie było monotonne. Nie zawsze rozmawiali. Byłoby to niemożliwe, jak uważał Wahram. Dlatego milczeli przez wiele minut. Zdawało się, że światła tunelu poruszają się niezależnie od nich, jakby ludzie przemieszczali się w olbrzymim diabelskim młynie i tylko dlatego ich tempo kroków synchronizowało się z ruchem odpływających za plecy lamp. Pod koniec każdej godziny Wahrama bolały nogi i cieszył się, że może usiąść. Za siedzisko służył mu zwinięty pled z aerożelu. Posiłki pochodziły z zaflolowanych racji znalezionych w schowkach alarmowych na kolejnych stacjach. Jedzenie okazało się mdłe albo niemal bez smaku, więc najczęściej Wahram i pozostali ograniczali się do picia wody, chociaż mieli też różne proszki smakowe, które można było do niej dosypać.

Postoje trwały około pół godziny. Krótka zwłoka i Wahram zaczynał sztywnieć, a Swan robiła się nerwowa. A słońcołazi mogliby oddalić się za bardzo. Dlatego Wahram dźwigał się niechętnie i ruszał.

– Myślisz, że na którejś stacji znajdziemy kijki do chodzenia?

– Wątpię. Ale możemy poszukać, może uda się znaleźć coś, co posłuży za laskę.

Czasami po dłuższym milczeniu Swan się złościła.

– No dobrze, opowiedz mi coś! Opowiedz coś o sobie! Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie?

– Nie wiem... – Wahram zmarszczył brwi, próbując znaleźć odpowiedź.

– A moje pierwsze wspomnienie – oznajmiła Swan – pochodzi z czasu, gdy miałam trzy lata, jak powiedzieli mi rodzice. Mieszkaliśmy w wielorodzinnym domu. Moi rodzice i część innych rodzin postanowili się przeprowadzić na drugi koniec miasta. Chyba zmienialiśmy wtedy miejsce zamieszkania z północnego na południowe, żeby przyglądać się drugiej połowie okolicy, przez którą przemierzało się miasto. Albo tylko tak mi powiedziano. W każdym razie nadjechało sporo pojazdów i obie grupy przenosiły w tę i we w tę swoje rzeczy. Wszystko, co posiadała moja rodzina, zmieściło się na tyle jednego z elektrycznych transporterów i na dwóch wózkach. Matka zabrała mnie do mieszkania, gdy już wyniesiono meble. Wszystkie pomieszczenia były puste. Strasznie mnie to przeraziło. Chyba dlatego to pamiętam. Mój pokój wyglądał na o wiele mniejszy – to mnie uderzyło i przestraszyło. Jakby świat nagle się skurczył. Wypełnialiśmy przestrzeń, aby wydawała się większa. A potem wyszliśmy. Pamiętam drugi obraz, zaraz po pustych pokojach. Bagaż i meble na pace transportera i reszta rodzin stojąca obok pod drzewami. Nad koronami niektórych można było dostrzec Ścianę Świtu.

Na dłuższy czas zamilkła, tylko szła, a Wahram poczuł burczenie w żołądku zwiastujące zbliżający się postój z posiłkiem.

– Teraz to wszystko spłonęło już do szczętu – odezwała się Swan. Ale teraz jej głos stał się niezwykle spokojny.

Wahram doszedł do wniosku, że kobieta chyba nie opłakuje już swojej

straty tak samo jak na początku.

– Kiedy słońce znajdzie się wystarczająco wysoko, kiedy przesunie się nad Ścianę Świtu – wyjaśniła – wszystko pójdzie szybko.

– Wiem, że tory nie topią się w słońcu – zauważył Wahram. – Coś jeszcze zostanie?

– Infrastruktura miasta przetrwa – przynała Swan. – I kopuła. Skorupa. Metal i ceramika oraz niektóre ich mieszanki. Szkło metaliczne. Może też hartowana stal i stal austenitowa. Zobaczymy. Pewnie będzie to interesujący widok, gdy nad miastem znowu zapadnie noc. Wszystko zostanie wypalone poza ramą, jak mi się zdaje. Gdy tylko do wnętrza dotarły promienie słońca, rośliny zaczęły umierać. Teraz pewnie już są martwe, wszystkie rośliny i zwierzęta, nawet bakterie czy inne drobnoustroje. Trzeba będzie to wszystko odbudować.

– Może – mruknął Wahram.

– Co masz na myśli?

– Wydaje mi się, że trzeba będzie sprawdzić i wyjaśnić, co dokładnie stało się z torami, żeby zapobiec podobnym zdarzeniom w przyszłości. Albo może pojawi się konieczność budowy miasta według innego wzorca. Choćby po to, żeby uwolnić Terminatora od torów, niech przemierza krajobraz na kołach.

– To wymagałoby jakiegoś środka transportu – zauważyła Swan. – Dotychczas miasto popychane było naprzód dzięki rozszerzalności temperaturowej torów.

– Interesujące będzie zatem zobaczyć, co się zmieni... – Wahram się zawahał. – Bez sensu przecież zaczynać odbudowę, skoro wszystko może się powtórzyć.

– Jeżeli to był incydent o niskim prawdopodobieństwie wystąpienia, powtórka raczej się nie zdarzy.

– Wydawało mi się, że miasto było chronione przed naturalnymi

wypadkami na wiele różnych sposobów.

– Mnie też... Sugerujesz, że to był jakiś atak?

– Cóż... Rozważałem taką możliwość. Biorąc pod uwagę zaobserwowanego przez ciebie intruza na Io...

– Ale kto chciałby atakować Terminatora? – zdumiała się Swan. – Do tego atak się nie powiodł, chybił o kilka kilometrów. Zniszczył miasto, ale ludzie przeżyli. Więc po co?

– Nie wiem – przyznał Wahram z niechęcią. – Mówiło się o konflikcie między Ziemią i Marsem... Konflikcie, który może doprowadzić do wojny.

– Owszem – zgodziła się. – Ale rozmowy zawsze kończą się wnioskiem, że to niemożliwe, ponieważ Mars i Ziemia są tak bardzo słabe i wrażliwe. Wojna zakończyłaby się bez wątpienia zagładą obu stron, jak zwykle.

– Zastanawiałem się nad tym często – przyznał Wahram. – A gdyby pierwsze uderzenie wyglądało na przypadek, ale okazałoby się skuteczne? Nikt nie wiedziałby, kto tego dokonał, a siły przeciwnika zostałyby znacząco osłabione. Podobny scenariusz mógłby skłonić do myślenia, że może wojna wcale nie musi się skończyć obustronną zagładą. – Kto mógłby tak myśleć? – zdumiała się Swan.

– Niemal każda znacząca frakcja na Ziemi może dojść do podobnych wniosków. Ziemia jest o wiele bardziej bezpieczna niż reszta z nas. A Mars ustawicznie musi się skupiać na własnych problemach, nie ma tam również jednej frakcji dość silnej, aby pociągnęła za sobą resztę. Nie, nie sądzę, żeby na Marsie istniała grupa, która uważałaby się za niezwycięzoną i nietykalną. Albo odczuwała gniew tak wielki, że nie dbałaby o konsekwencje swoich działań.

– Jednak skąd to się bierze? – zapytała Swan. – Co wywołuje aż taki gniew?

– Nie wiem... Pewnie jedzenie, woda, ziemia... Władza... Prestiż...

Ideologia... Przewaga różnego rodzaju. Szaleństwo. Zazwyczaj takie właśnie są przyczyny, nieprawdaż?

– Niestety! – Wydawała się przerażona, że Wahram potrafi tak łatwo wymienić całą listę różnych powodów, jakby mieszkańcy Merkurego nigdy o czymś podobnym nie słyszeli, choć przecież zjawisko nie było nowe, pisał już o tym Machiavelli, a nawet Arystoteles. Pauline mogłaby zapewne wymienić też innych.

– W każdym razie – podjął Wahram – warto będzie dowiedzieć się, co sądzą inni, gdy się stąd wydostaniemy.

– Zostało tylko trzydzieści dni wędrówki – stwierdziła ponuro.

– Małymi kroczkami – odpowiedział twardo.

– Och, proszę cię! Z takim podejściem to wieczność!

– Skądże. Ale powstrzymam się od niedobrego nastawienia.

Po chwili milczenia Wahram odezwał się znowu:

– Intrygujące, że głód odczuwa się nagle. Najpierw wcale nie ma łaknienia, a potem nagle się pojawia.

– Nie ma w tym nic interesującego.

– Bolą mnie nogi.

– To również nie jest interesujące.

– Każdy krok wywołuje ból. To pierwszy objaw ostrogi piętowej, o ile pamiętam.

– Chcesz odpocząć?

– Nie. To tylko niewielki ból, nic poważnego. Poza tym już się rozgrzałem. Niedługo się zmęcę.

– Nienawidzę tego.

– Pewnie dlatego tu jesteśmy.

Minęła godzina wędrówki. Skończył się postój. Minęła kolejna godzina. I następny postój. Tunel ani trochę się nie zmienił. Stacje, do których

wędrowcy docierali co trzeci dzień, też wyglądały prawie tak samo, choć nie do końca.

Przeszukiwali te miejsca, aby znaleźć różnice. Wyżej, gdzie mogłaby ich dowieźć winda, znajdowała się powierzchnia Merkurego, skąpana teraz w pełnym słońcu i rozgrzana do prawie siedmiuset kelwinów – na pewno na górnych kondygnacjach mijanych stacji nie było powietrza, temperatura nie sprzyjała jego utrzymywaniu. Znajdowali się mniej więcej pod Kraterem Tolstoja, według zgrubnych rachunków gęstości. Pauline zajmowała się nawigacją, ale bardziej przypominało to zgadywanie – pod powierzchnią jej słabe radio nie miało zasięgu. Linie komunikacyjne na wszystkich stacjach nie działały. Swan przypuszczała, że uszkodzone były tylko telefony w windach – albo, co gorsze, cały system zabezpieczeń został przerwany uderzeniem w tory, a ponieważ trzeba się było zająć bezdomną populacją Terminatora i ponieważ zasypana część tunelu znajdowała się w słońcu, nie było jak dokonać koniecznych napraw.

Wędrowali godzina po godzinie. Łatwo było stracić rachubę czasu, zwłaszcza że Pauline liczyła dni. Pseudoiteracja stawała się dla Wahrama coraz mniej „pseudo”. Ta iteracja była prawdziwa. Swan szła przed nim, z opuszczonymi ramionami jak u mimy przedstawiającego przygnębienie. Minuty rozciągały się, jakby każda trwała dziesięć razy tyle – czas zwalniał wykładniczo, włókł się, ślimaczył. Czas życia całej piątki wydłużył się zatem dziesięciokrotnie. Wahram szukał tematu do rozmowy ze Swan, czegoś, co jej nie zirytuje. Mamrotała właśnie do Pauline.

– Kiedy byłem dzieckiem, często gwizdałem – oznajmił i zagwizdał pojedynczą nutę. Wargi wydały mu się bardziej sztywne niż wtedy, gdy był młody. O, tak, język bliżej zębów. Bardzo dobrze. – Umiałem odtworzyć melodie ulubionych symfonii.

– To zagwizdź – odpowiedziała Swan. – Ja też czasem to robię.



– Naprawdę?

– Tak. Mówiłam ci. Ale ty pierwszy. Umiałbyś zagwizdać Beethovena? To, co słyszeliśmy na koncercie?

– Jako tako. Tylko niektóre dźwięki.

– No to słucham.

Był taki okres w młodości Wahrama, kiedy każdy ranek musiał zacząć się od „*Eroiki*” Beethovena, przełomowej *Trzeciej symfonii*, zwiastującej początek nowej ery w muzyce i w rzeczy samej również w ludzkiej świadomości. Beethoven napisał ją, po tym jak dowiedział się, że ogłuchnie. Wahram zagwizdał dwie mocne nuty rozpoczynające pierwszy akord, a potem główny motyw w tempie dopasowanym do swoich kroków. Okazało się, że to wcale nie trudne. Kiedy Wahram gwizdał, nie był pewien, czy pamięta kolejny pasaż, ale za każdym razem, gdy dochodził do punktu zmiany, następne tony pojawiały się po prostu nieuchronnie i melodia płynęła bez wahań i potknięć. Wspomnienie nie zginęło, ukryło się tylko w zakamarkach pamięci. Sekwencja długich, wyszukanych melodii pięła się od jednego pasażu do kolejnego. Większość kawałków powinna zostać podkreślona kontrapunktem i polifonią, lecz nie było to możliwe. Wahram przeskakiwał po partiach orkiestry w zależności od tego, co wydawało mu się motywem przewodnim. Musiał jednak przyznać, że nawet wygwizdywany niewprawnie i solo, utwór wypełniał tunel wspaniałością i wielkością muzyki Beethovena. Trójka słońcołazów zwolniła, jakby chciała lepiej słyszeć. Kiedy Wahram skończył pierwszą część, następne trzy przypomniały mu się jeszcze szybciej – wykonanie ich zajęło mu prawie czterdzieści minut, mniej więcej tyle, ile grałaby prawdziwa orkiestra. Potężne wariacje w finale były tak nastrojowe i emocjonujące, że niemal zaparły mężczyźnie dech w piersi przy ich wykonaniu.

– Cudowne – stwierdziła Swan, gdy skończył. – Naprawdę świetne. Co za

melodia, Boże mój. Możesz coś jeszcze zagwizdać?

Wahram musiał się na to rozeźmiać. Pomyślał nad prośbą.

– Chyba mógłbym zagwizdać *Czwartą, Piątą, Szóstą, Siódmą* i *Dziewiątą*. I kawałki kwartetów, może kilka sonat, ale obawiam się, że większość z nich zapomniałem. Może późniejsze kwartety. Żyłem tymi melodiami. Mogę spróbować i zobaczymy, co wyjdzie.

– Jak udaje ci się pamiętać tak wiele?

– Ponieważ słuchałem ich przez długi czas.

– To szaleństwo. No dobrze. Spróbuj *Czwartej*. Możemy iść po kolei.

– Chętnie, ale trochę później. Muszę odpocząć. Wargi mi zdrętwiały i spuchły, wydają mi się dwa razy większe niż normalnie. Czuję się, jakbym miał zamiast ust sparciałą uszczelkę.

Rozeźmiała się, ale nie nalegała. Godzinę później jednak wróciła do tematu, a ton jej głosu zdradzał, że będzie bardzo rozczarowana, jeżeli Wahram nie ulegnie.

– Dobrze, dobrze – skapitulował. – Pod warunkiem, że się do mnie przyłączysz.

– Nie pamiętam melodii. W zasadzie nigdy nie zapamiętuję melodii, jakich słucham.

– Nic nie szkodzi – zapewnił ją Wahram. – Po prostu gwizdź. Powiedziałaś, że umiesz.

– Umie, ale to wychodzi mniej więcej tak.

I zagwizdała – wspaniałą mieszankę melodyjnych treli, dokładnie takich jak świergot ptaka.

– Zupełnie jakbyś była ptakiem! – zdumiał się Wahram. – Bardzo płynne glissanda i jeszcze... nie wiem, jak to nazwać, ale zupełnie jak ptak.

– To prawda. Mam w sobie parę węzłów polipeptydowych skowronka.

– To znaczy... w mózgu? Neurony ptaka dołożone do twoich?

– Tak. Gatunek *Alauda arvensis*. I trochę pokrzewki ogrodowej, *Sylvia borin*. Ale wiesz przecież, że mózg ptaków jest uporządkowany zupełnie inaczej niż u ssaków?

– Nie.

– Myślałam, że wszyscy to wiedzą. Część architektury qostek opiera się na organizacji mózgu ptaków, dlatego kiedyś było o tym głośno.

– Nie wiedziałem.

– My, ssaki, wykonujemy procesy myślowe w warstwach komórek naszej kory mózgowej, ptaki natomiast robią to w skupiskach komórek rozmieszczonych jak kiście winogron.

– Tego też nie wiedziałem.

– Można wziąć swoje komórki macierzyste i wszczepić w nie węzeł dna odpowiadający za pieśń skowronka, a potem wprowadzić to do organizmu, przez nos do mózgu, a tam zakoduje się jako mały pęczek w układzie limbicznym. A potem, gdy się gwizdże, ta mała grupa komórek łączy się z istniejącą już w twojej głowie siecią połączeń muzycznych. Wszystko to bardzo stare części centralnego układu nerwowego. Przypominają trochę mózg ptaka zawarty już w ludzkim umyśle, więc te nowe się tylko włączają do istniejącej sieci i gotowe.

– Zrobiłaś to?

– Tak.

– Jak to się czuje?

W odpowiedzi Swan znowu zagwizdała – zaświergotała. W tunelu jedno glissando goniło kolejne, radosna pieśń towarzysząca im w podziemiach.

– Niesamowite – przyznał Wahram. – Nie wiedziałem, że można czegoś takiego dokonać. To ty powinnaś gwizdać, nie ja.

– Nie przeszkadza ci to?

– Wręcz przeciwnie.

Tym razem zatem to Swan gwizdała, gdy szli. Udawało jej się nawet świergotać przez całą godzinę między postojami. Wahramowi zdawało się, że jej trele przechodzą przez wszystkie fazy i frazy – była ich taka rozmaitość, że nie mogły pochodzić tylko od dwóch gatunków skrzydlatych śpiewaków. Jednak nie był pewien, ponieważ przyszło mu do głowy, że Swan zapewne ma te same ograniczenia wokalne wynikające z budowy ciała co każdy ptak – więc może świergoty stanowiły wariacje prawdziwych ptasich trel. Cudowna muzyka! Czasami przypominająca trochę Debussyego i oczywiście szczególne naśladownictwo śpiewu ptaków według Messiaena, ale gwizdanie Swan było dziwniejsze, bardziej powtarzalne, z nieskończonymi permutacjami krótkich motywów, częstymi repetycjami natarczywego trylu ostinato, który wibrował w uszach Wahrama, chwilami niemal irytująco.

Kiedy skończyła, nadal pamiętał niektóre z jej trel. Walenie też oczywiście miały swoje pieśni, ale to ptaki były pierwszymi muzykami na świecie. Chyba że dinozaury również знаły muzykę. O ile Wahram sobie przypominał, w czasce jakiegoś hadrozaura znaleziono wielkie wgłębienia, niewytłumaczalne inaczej, jak tylko hipotezą, że stanowiły narządy do wydawania dźwięków. Ciekawe, czy można sobie wyobrazić, jakie to byłyby dźwięki... Wahram nawet spróbował zamruczeć nisko, sprawdzając, jak to brzmi w głębi jego klatki piersiowej.

– To był ptak czy ty? – zapytał Swan, gdy przerwała.

– Ja i ptak to jedno – odparła.

Po chwili dodała:

– Oswojony szpak Mozarta kiedyś ulepszył skomponowany kawałek. Ptak odtworzył utwór, który na pianinie zagrał kompozytor, ale zmienił wszystkie nuty z krzyżykiem na te z bemołem. Mozart opisał to zdarzenie na marginesie partytury i podsumował: „To piękne!”. Kiedy szpak zdechł, kompozytor zaśpiewał na jego pogrzebie i przeczytał wiersz. A następny utwór, który

wydawca nazwał „*Zartem muzycznym*”, miał zaskakujący styl. – Ciekawe – przyznał Wahram. – Nic dziwnego, że ptaki zawsze wydawały się inteligentne.

– Ale nie gołębie – zaproponowała Swan, a potem dodała bardziej ponurym tonem: – Można mieć albo wysoko wyspecjalizowaną inteligencję, albo wysoce ogólną inteligencję, ale nigdy obu.

Wahram nie wiedział, co na to odpowiedzieć, stwierdzenie wyraźnie jednak popsuło jej nastrój.

– Powinniśmy gwizdać razem – zmienił temat.

– I dzięki temu będziemy mieć obie?

– Co?

– Nieważne. Dobrze.

Wrócił więc do „*Eroiki*”, ale tym razem Swan również gwizdała – dodając ptasi kontrapunkt lub trel do melodii. Jej partie pasowały do tych Wahrama harmonijnie jak w kadencjach lub jak w jazzowych improwizacjach. Przy bardziej heroicznych fragmentach utworu, które następowały dość często, jej wkład wznosił się do wściekłego szaleństwa inwencji – jakby ptak w Swan wpadał w furię na zuchwalstwo Beethovena.

Takie wykonanie w duecie okazało się naprawdę porywające. I pozwalało zabić monotonię w sposób, jakiego wcześniej Wahram nie znał. Trzeba mieć jednak dużo czasu, żeby zaznać takiej przyjemności. Na szczęście, potrafił odtworzyć wszystkie zapamiętane utwory Beethovena, a potem miał jeszcze do dyspozycji cztery symfonie Brahmsa, tak pełne patosu i trafiające prosto w serce, oraz trzy ostatnie symfonie Czajkowskiego. Wszystkie wielkie utwory muzyczne swojej jakże romantycznej młodości. Swan mogła gwizdać razem z nim, a jej wkład dodawał tonom dzikości baroku lub awangardy. Zdumiewało to Wahrama nieustannie. Przeszywające trele musiały nieść się daleko w tunelu, ponieważ po pewnym czasie słońcołazi zwolnili i szli tuż przed Swan i Wahramem, przytupując do taktu, a nawet pogwizdując niewprawnie, lecz

entuzjastycznie. Zwłaszcza finał Siódmej Beethovena, marszowy i rytmiczny, wyszedł świetnie z ich akompaniamentem, a kiedy wyruszyli po postoju, ich towarzysze często prosili o powtórkę melodii rogów, które rozpoczynały Czwartą Czajkowskiego, potem główny motyw tego utworu, wywołujący uczucie, że to przeznaczenie prowadzi wędrowców – przeznaczenie mroczne i potężne.

Pod koniec wykonanej wspólnie Dziewiątej Beethovena słońcołazi potrząsali głowami z niedowierzaniem i zachwytem, a Nar odwrócił się i stwierdził:

– Państwo gwizdzą wspaniale! Ekstramuzyka!

– Cóż – uśmiechnął się Wahram. – To był Beethoven.

– Och! A myślałem, że to się nazywa gwizdanie!

– Myśleliśmy, że sami to państwo wymyślili – dodał Tron. – Byliśmy pod wrażeniem.

Później, gdy młodzi znowu odeszli naprzód, Wahram zapytał Swan:

– Wszyscy słońcołazi są tacy?

– Nie! – zdenerwowała się Swan. – Ja też jestem słońcołazem, mówiłam ci! Nie chciał jej denerwować.

– Powiedz lepiej, czy masz jeszcze jakieś interesujące dodatki w swoim mózgu.

– Owszem – w jej głosie nadal brzmiała irytacja. – Mam wczesną si, z czasów, gdy byłam dzieckiem, wszczepioną w ciało modzelowate, aby zapobiegać atakom konwulsji, które mnie wtedy dręczyły. I odrobinę jednego kochanka, myśleliśmy, że będziemy dzielić się naszymi seksualnymi doznaniem i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. I jeszcze inne, ale o tym nie chcę mówić.

– O rany? I to cię nie rozprasza?

– Ani trochę – głos Swan robił się coraz bardziej ponury. – A co? Ty w

sobie nic nie masz?

– Mam, ale nie w tym sensie. Pewnie każdy coś ma – zapewnił, chociaż rzadko słyszał, aby ktoś miał w mózgu tyle wynalazków, co Swan. – Przyjmuję wazopresynę i oksytocynę zgodnie z zaleceniem. – Oba związki pochodzą od wazotocyny – stwierdziła autorytatywnie. – Wszystkie trzy różnią się tylko jednym aminokwasem. Dlatego ja biorę wazotocynę. Jest bardzo, bardzo stara, kontroluje zachowania seksualne u żab.

– Moje.

– Nie. Po prostu by ci się przydała.

– Czyja wiem? Dobrze się czuję na wazopresynie i oksytocynie.

– Oksytocyna wiąże się z pamięcią społeczną – wyjaśniła Swan. – Bez niej nie zauważalibyśmy innych ludzi. Potrzebuję tego więcej. Wazopresyny chyba również.

– To hormon monogamii – wtrącił Wahram.

– Monogamii u samców. Ale tylko trzy procent ssaków jest monogamiczne. Nawet ptaki są pod tym względem lepsze od nas.

– Łabędzie – podsunął Wahram.

– Tak. A ja jestem Swan, łabędź nad łabędziami. Ale nie jestem monogamiczna.

– Nie?

– Nie. Za to jestem wierna endorfinom.

Wahram zmarszczył brwi, ale zaraz zorientował się, że żartowała, i postarał się odpowiedzieć w podobnym tonie:

– Czy to nie tak jak posiadanie psa albo coś podobnego?

– Lubię psy. Psy to wilki.

– Ale wilki nie są monogamiczne.

– Nie. Ale endorfiny są.

Tytan westchnął. Miał wrażenie, że przestał rozumieć. A może to Swan

przestała rozumieć.

– To dotyk ukochanego stymuluje wydzielanie endorfin – powiedział i na tym poprzestał. Nie można wygwizdać końca sonaty Księżycowej.

• •

Tej nocy Wahram obudził się ze snu na małym materacu dmuchanym i pod cienkim aeoróżelowym pledem, ze Swan przyciśniętą do jego pleców. W rezultacie przyplływ oksytocyny rozluźnił mu nieco biodra, a przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Oczywiście pragnienie, aby się z kimś przespać, przyjemność snu z drugim człowiekiem, nie było tak całkiem synonimem seksu. Pocieszające. Pod przeciwległą ścianą tunelu trójka młodych dzikusów spała przytulona jak kociaki. W korytarzu było dość ciepło, czasami aż za ciepło, ale tuż przy podłodze robiło się zimniej. Wahram usłyszał ciche mruczenie Swan. Niektórzy ludzie z genami kotowatych mówili – tak, do Tytana docierały takie pogłoski – że to wywołuje uczucie przyjemności, że to jak nucenie sobie z zadowolenia. Czuć przyjemność, mruścić, poczuć się jeszcze lepiej – wzmocnienie przyjemności, pętla, pętla, pętla, a wszystko to w rytmie oddechu, a przynajmniej tak się wydawało, gdy słuchało się Swan. Inny rodzaj muzyki. Chociaż, o ile Wahram pamiętał, chore koty też mruczały, aby sobie trochę ulżyć albo w nadziei, że to pomoże im poczuć się lepiej, jakby próbując wywołać pętlę przyjemności. Miał kota, który mruczał niemal do śmierci. Piętnastoletni kot – zdumiewające stworzenie. Odejście tego starego kastrata było jedną z pierwszych strat Wahrama. Dlatego pamiętał, jak zwierzę mruczało niemal do śmierci – pod koniec tak żałośnie, że nie dało się nawet nazwać ogromu zawartych w tym uczuć. Najlepszy przyjaciel Wahrama odszedł, mrużąc. I dlatego teraz mruczenie Swan wywoływało dreszcz niepokoju.

Po przebudzeniu znowu tunel. Wahram szedł na niepewnych nogach, oczy



kleiły mu się jeszcze od snu. Poranek. Gwizdał powolne taktory z „Eroiki”, żalobny lament Beethovena żegnającego na zawsze swój słuch, muzykę napisaną podczas powolnej utraty tego zmysłu.

– „Żyjemy godzinę, a ona zawsze jest taka sama” – zacytował Wahram. A potem zagwizdał pierwszy z późniejszych kwartetów, opus 127, wariację na ten temat, tak cudowną, majestatyczną jak marsz pogrzebowy, lecz pełniejszą nadziei i miłości do piękna. I trzeci, tak potężny i radosny, że mógłby być finałem.

Swan posłała mu ponure spojrzenie.

– Niech cię – syknęła. – Tobie się to podoba.

Ochrypli, niski śmiech zawibrował mu przyjemnie w piersi, trochę jak u hadrozaura.

– Niebezpieczeństwo upajało go jak wino – warknął.

– Skąd to?

– Ze *Słownika Oksfordzkiego*. A przynajmniej tam to przeczytałem.

– Lubisz cytaty.

– „Długa droga za nami, długa droga przed nami. Jesteśmy gdzieś pomiędzy”.

– Ejże, a to co? Wróżba z chińskich ciasteczek szczęścia?

– Reinhold Messner, jak mi się zdaje.

Ale musiał to przyznać, naprawdę mu się podobało. Tylko dwadzieścia pięć dni, mniej więcej, nie tak wiele. Da się wytrzymać. Była to najbardziej iteracyjna pseudoiteracja, jakiej Wahram doświadczał w życiu – a zatem najbardziej interesująca, pewnego rodzaju sprawdzian granic tego, czego pragnął. *Reductio ad absurdum*. A tunel nie stanowił wcale ośrodka depriwacji zmysłów, lecz ich przeciążenia, choć tylko w poszczególnych aspektach: ścian, światła ciągnących się na suficie jak daleko wzrokiem sięgnąć.

Ale Swan wcale się to nie podobało. A ten dzień chyba był dla niej wyjątkowo niedobry, gorszy niż poprzednie. Zwolniła nawet, czego Wahram nigdy wcześniej by się nie spodziewał. Musiał nawet sam iść nieco wolniej, aby nie zostawić towarzyszki za daleko w tyle.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, gdy musiał chwilę czekać, aż Swan dołączy.

– Nie. Czuję się koszmarnie. Chyba mnie dopadło. Czujesz coś?

W rzeczy samej Wahrama bolały uda, kolana i stopy. Ale kostki były w porządku. Plecy również, gdy tylko zaczął iść.

– Jestem obolały – przyznał.

– Martwię się o ten rozbłysk słoneczny, który widzieliśmy. Kiedy taki zobaczysz, jest już po sprawie, zanim dotrze do nas, co widzimy, dopada nas największa radiacja. Obawiam się, że zostaliśmy napromieniowani. Czuję się paskudnie.

– Jestem tylko obolały, nic więcej. Może dlatego, że zasłoniłaś mnie tam, przy windzie.

– Może przyjęliśmy różne dawki promieniowania. Mam nadzieję. Chodź, zapytamy młodych, jak z ich samopoczuciem.

Zrobili to na następnym postoju, gdzie, sądząc po wyrazach twarzy, słońcołazi czekali dość długo, aby zacząć się martwić.

– Jak idzie? – zapytał Tron.

– Źle się czuję – odpowiedziała Swan. – A co z wami?

Młodzi popatrzyli na siebie.

– W porządku – stwierdził Tron.

– Żadnych mdłości, wymiotów, bólu głowy lub mięśni? Żadnego wypadania włosów?

Słońcołazi znowu na siebie spojrzeli, po czym tylko wzruszyli ramionami. Dotarli do windy wcześniej.

– Nie mam apetytu – przyznał Tron. – Ale też jedzenie nie jest najlepsze.

– Mnie ciągle boli ramię – dodał Nar.

Swan popatrzyła na nich z urazą. Byli słonecznymi wędrowcami, silnymi i młodymi, przez cały czas chodzili tuż przed świtem, wyjątek stanowiła obecna sytuacja, gdy musieli ukryć się pod ziemią i podróżować w przeciwnym kierunku. Swan podniosła wzrok na Wahrama.

– Co z tobą?

– Jestem tylko obolały – powtórzył. – Nie mogę iść szybciej niż teraz ani przez dłuższy czas, bo coś sobie złamię.

Skinęła głową.

– Ze mną jest podobnie. Chyba nawet będę musiała zwolnić. Żle się czuję. Dlatego pomyślałam, że wy powinniście pójść we trójkę przodem, a kiedy dotrzecie do zachodu słońca albo spotkacie ludzi, sprowadzicie pomoc. Słońcołazi pokiwali głowami.

– Skąd będziemy wiedzieć, że już tam dotarliśmy? – zapytał Tron.

– Za parę tygodni, kiedy dotrzecie do stacji, możecie podjechać windą na górę i rzucić okiem.

– Dobrze. – Tron popatrzył na swoich towarzyszy. Nar i Tor skinęli głowami. – Sprowadzimy pomoc.

– Świetnie. Tylko nie wychodźcie na powierzchnię za wcześnie, bo zrobicie sobie krzywdę.

Potem Wahram i Swan szli sami. Godzina wędrówki, pół godziny postoju i tak w kółko dziewięć razy, potem większy posiłek i sen. Godzina okazała się długim odcinkiem czasu, dziewięć razem z postojami ciągnęło się jak tygodnie. Czasami gwizdali, ale kobieta nie czuła się dobrze, a Wahram nie chciał koncertować sam, chyba że Swan nalegała. Od czasu do czasu przystawała, aby się załatwić.

– Mam biegunkę – oznajmiła raz. – Muszę opróżnić skafander.

Potem mówiła tylko:

– Zaczekaj chwilę – i po pięciu lub dziesięciu minutach doganiała Wahrama i ruszali dalej. Wyglądała na odwodnioną. Stała się też nieznośna i często rzucała złośliwości swojej qostce albo nawet towarzyszowi podróży. Marudna, kłótniwa, nieprzyjemna. Wahrama denerwowało, że jest wobec niego tak niezasłużenie i bezsensownie niesprawiedliwa, dlatego czasami ruszał przodem w milczeniu, pogwizdując tylko krótkie urywki melodii pod nosem. W tych chwilach starał się pamiętać, czego się nauczył w swojej wspólnotie – że w przypadku ludzi marudnych i kapryśnych nie należy przejmować się najgorszymi nastrojami w ich cyklu albo nic z tego nie wyjdzie. Małą społeczność Wahrama tworzyło sześcioro ludzi, w tym jeden niemal na granicy dwubiegunowości i to właśnie, jak sądził Wahram, doprowadziło do rozluźnienia więzi.

Ale też Wahram należał do nielicznych, którzy nie mieli do czynienia z pełną amplitudą nastrojów wzmiankowanej osoby. Sześcioro ludzi tworzy trzydzieści związków między sobą i należy przypuszczać, że wszystkie poza jednym czy dwoma powinny być wystarczająco dobre, aby wspólnota przetrwała długo. Grupa, rzecz jasna, wcale się nie rozpadła, a znacznie później Wahram zdał sobie sprawę, że ze wszystkich jej członków najbardziej tęskni właśnie za nieznośnym osobnikiem w górnej połowie jego cyklu. Tytan pomyślał, że powinien dawno wyciągnąć z tego wnioski dla siebie.

A potem przyszedł moment, kiedy minęło dziesięć minut od odejścia Swan, a towarzyszka nie wróciła. A Wahramowi zdawało się, że usłyszał jęk.

Dlatego cofnął się i znalazł ją na podłodze, na wpół przytomną, o ile w ogóle, ze skafandrem opuszczonym do kostek i rozprysniętymi ekskrementami. I rzeczywiście, Swan jęczała.

– O nie! – westchnął i przykucnął przy niej pośpiesznie. Miała na sobie podkoszulek z długimi rękawami, ale odsłonięta skóra Swan zrobiła się już

sina z zimna tam, gdzie dotykała podłoża. – Swan, słyszysz mnie? Jesteś ranna?

Wahram uniósł jej głowę, powieki Swan zadrzały.

– Szlag – mruknął. Nie chciał wciągać jej skafandra na pobrudzone pośladki i uda. – Muszę cię umyć, słyszysz?

Jak każdy, Wahram również odrobił swoje przy pieluchach, zarówno dla dzieci, jak i dla starszych, więc wiedział, jak postępować. A w kieszeni skafandra miał chusteczki toaletowe – sam ostatnio musiał z nich parę razy korzystać w pośpiechu, co teraz zaczęło go martwić bardziej, niż powinno. Miał też wodę, a nawet parę jednorazowych małych gąbek w foliowych opakowaniach, wszystko dzięki wyposażeniu kombinezonu. Wyciągnął, czego potrzebował, po czym rozsunął nogi Swan i szybko ją podmył. Chociaż odwrócił oczy, nie mógł nie zauważyć, że spod włosów łonowych wystaje mały penis i jądra w miejscu, gdzie powinna znajdować się lechtaczka, albo tuż nad nią. Gynandromorf. Wahram nie był tym zaskoczony. Skończył mycie, starając się zrobić to szybko, ale dokładnie, a potem przerzucił sobie ręce Swan na ramiona i podniósł ją – była cięższa, niż się spodziewał – podciągnął towarzysze kombinezon do pasa, po czym ostrożnie posadził ją na ziemi. Dopiero wtedy wsunął jej ręce w rękawy. Na szczęście si skafandra była zaprogramowana tak, aby pomóc użytkownikowi w ubieraniu. Wahram zastanowił się, czy należy zabrać upuszczony przez Swan plecak. W końcu założył go towarzysze. Kiedy dopiął wszystko na ostatni guzik, wziął Swan na ręce i poniósł. Jednak głowa zaczęła jej za bardzo opadać, więc Wahram się zatrzymał.

– Swan, słyszysz mnie?

Jęknęła, zamrugała. Tytan przesunął ramię tak, aby podtrzymywało jej głowę.

– Co? – wydusiła Swan.

– Zemdląłeś. Gdy poszłaś się załatwić.

– Och – odpowiedziała tylko. Uniosła głowę wyżej i objęła Wahrama za szyję. Ruszył znowu. Teraz gdy nie była tak bezwładna, nie wydawała się już ciężka.

– Chyba mam reakcję wazowagalną – oznajmiła po chwili. – Znowu dostałam okresu?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Tak się czuję. Mam bóle w podbrzuszu. Ale chyba nie wystarczy mi na to masy ciała.

– Zapewne nie.

Nagle Swan szarpnęła się w jego ramionach.

– O rany. Słuchaj, wielu ludzi woli mnie nie dotykać. Muszę ci powiedzieć. Wiesz o tych ludziach, którzy przyjmują obcych z Enceladusa?

– Przyjmują?

– Właśnie. Płyn ze szczepami bakterii. Wypijają go. To podobno pomaga poczuć się dobrze. Zrobiłam to. Dawno temu. Niektórym... Niektórym ten pomysł się nie podoba. Nie życzą sobie żadnych kontaktów z osobami, które to zrobiły.

Wahram przełknął z trudem, gdy ogarnęła go nieprzyjemna fala mdłości. Czy wywołała je bliskość obcego życia, czy tylko myśl o zakażeniu? Nie wiedział. Ale co się stało, to się nie odstanie.

– O ile pamiętam – powiedział z namysłem – drobnoustroje z Enceladusa nie są uważane za szczególnie zakaźne?

– Nie, to prawda. Ale przenoszą się w płynach ustrojowych. To znaczy chyba musiałyby dostać się do twojej krwi. Chociaż ja swoje wypiałam. Może wystarczy, żeby dostały się do jelit i tyle. Dlatego to tak niepokoi innych. Więc...

– Nic mi nie będzie – zapewnił Wahram.

Niósł ją przez chwilę, świadom, że Swan przygląda się uważnie jego twarzy. Sądząc po tym, co widział w lustrze, kiedy się golił, niewiele było do oglądania.

– Zrobiłaś sobie mnóstwo dziwnych rzeczy – stwierdził, choć wcale nie zamierzał.

Skrzywiła się i odwróciła głowę.

– Potępianie moralności innych uważane jest za grubiańskie, nie sądzisz?

– Owszem. Oczywiście. Chociaż, jak zauważyłem, robimy to nieustannie.

Ja jednak mówiłem tylko o dziwności. Nie zamierzałem nikogo potępiać.

– No jasne. Dziwność jest przecież taka fajna.

– A czyż nie? Wszyscy jesteśmy różni i niezwykli.

Wbiła w niego wzrok.

– Wiem, że jestem inna. Na wiele sposobów. Widziałeś na pewno jeden. – Zerknęła na swoje uda.

– Tak – przyznał Wahram. – Jednak nie to czyni cię dziwną.

Zaśmiała się słabo.

– Spłodziłaś dziecko? – zapytał.

– Owszem. Pewnie pomyślisz, że to też jest niezwykle.

– Tak – odparł z powagą. – Chociaż sam jestem androgynem i urodziłem dziecko. To, no wiesz, uderzające doświadczenie, niezależnie, czy w męskiej, czy żeńskiej roli się je przechodzi.

Odchyliła nieco głowę, żeby mu się lepiej przyjrzeć z nieskrywanym zaskoczeniem.

– Nie wiedziałam, że jesteś androgynem.

– Nie ma to znaczenia dla działań podejmowanych teraz – zapewnił Wahram. – Każdy ma jakąś przeszłość. Wydaje się, że większość przestrzeniowców w pewnym wieku próbowała już niemal wszystkiego, nie sądzisz?

– Owszem. Ile masz lat?

– Sto jedenaście. A ty?

– Sto trzydzieści pięć.

– Ładny wiek.

Zesztywniała w jego ramionach i uniosła pięść, jakby mu groziła. W odpowiedzi Wahram rzucił:

– Myślisz, że dasz już radę iść sama?

– Może. Sprawdźmy.

Postawił ją na ziemi i pomógł utrzymać równowagę. Swan oparła się o Wahrama. Chwiała się trochę przy pierwszych krokach i kurczowo ścisnęła mu ramię, ale potem się wyprostowała i powoli ruszyła naprzód.

– Wiesz, że nie musimy iść? – zauważył. – Wystarczy, że dotrzemy do najbliższej stacji i tam poczekamy.

– Zobaczymy, jak się będę czuła. Zdecydujemy na miejscu.

Skinął głową.

– Myślisz, że chorujesz przez słońce? – zapytał. – Bo muszę przyznać, że chociaż przebywam w grawitacji Marsa, strasznie bolą mnie stawy.

Swan wzruszyła ramionami.

– Dostaliśmy dawkę na tyle dużą, że zniszczyła komunikatory. Pauline twierdzi, że przyjąłem dziesięć siwertów.

– Rany.

Średnia dawka śmiertelna LD50 wynosi około trzydziestu, pomyślał.

– Mój komputer podniósłby alarm, gdybym tyle dostał. Sprawdziłem. Twierdzi, że przyjąłem tylko trzy. Pewnie dlatego, że mnie osłoniłaś, gdy czekaliśmy na windę.

– Nie było powodu, żebyśmy oboje oberwali równie mocno.

– Zapewne. Ale mogliśmy robić tury.

– Nie wiedziałeś o rozbłysku. Jaki masz cykl życiowy?



– Około dwustu lat. To dzięki komponentom naprawczym dna z kuracji zapewniających długowieczność i umożliwiających jak najdłuższe przebywanie w kosmosie.

– Nieźle – pochwaliła. – Ja mam około pięciu.

Westchnęła.

– To może być przyczyna. Albo radiacja po prostu zabiła bakterie w moich jelitach. Myślę, że właśnie tak się stało. Mam nadzieję. Ale zaczynają mi też wypadać włosy.

– A mnie stawy bolą chyba tylko od tego chodzenia – powiedział Wahram.

– Możliwe. Jakie ćwiczenia dotleniające zwykle wykonujesz?

– Chodzę.

– To niezbyt wiele dla twojego układu oddechowego.

– Prycham i wzdycham, kiedy chadzam i gadam. – Chciał ją rozbawić, aby nie myślała o promieniowaniu.

– Kolejny cytat?

– Ten wymyśliłem sam, o ile mi wiadomo. Jedna z moich mantr na codzienną rutynę.

– Codzienną rutynę?

– Lubię powtarzalność.

– Nic dziwnego, że ci się tutaj podoba.

– To prawda, tutaj przyzwyczajenie to podstawa.

Potem przez długi czas wędrowali w milczeniu. Na stacji postanowili zakończyć etap z tego dnia i odpocząć przez kilka dodatkowych godzin. Swan cofnęła się do tunelu na chwilę, a gdy wróciła, padła na posłanie i zasnęła. Tym razem nie mruczała. Rano postanowiła iść dalej, choć powoli i ostrożnie. Więc poszli.

Światła nadal wysuwały się z oddali wzdłuż wielkiego łuku korytarza, przepływały nad nimi i znikwały z tyłu. Sprawiało to wrażenie, jakby zaraz

mieli dotrzeć na szczyt wzgórza i zacząć schodzić. Wahram próbował śledzić wzrokiem tylko jedną z lamp, ale szybko się gubił. Zupełnie jak wędrówka na horyzont – ciągle się go widziało, ale nigdy nie docierało do celu.

– Możesz poprosić Pauline, żeby obliczyła, w jakiej odległości widzielibyśmy na powierzchni horyzont?

– Nie muszę – odparła Swan krótko. – Trzy kilometry.

– Rozumiem.

Jednak zaraz przestało mieć to znaczenie.

• •

– Pogwizdźmy? – zaproponował Wahram, gdy przez pół godziny wędrawali w ciszy.

– Nie. – Swan potrząsnęła głową. – Mam dość gwizdania. Opowiedz mi coś. Opowiedz mi o swoim życiu, chcę się o tobie dowiedzieć więcej.

– Nie ma we mnie nic ciekawego, ale dobrze. – Naraz jednak nie wiedział, jak zacząć. – Cóż... Urodziłem się sto jedenaście lat temu na Tytanie. Matką była osoba, która pochodziła z Kallisto, Jowiszanka w trzecim pokoleniu, a ojcem androgyn z Marsa, wygnany po jednym z tamtejszych politycznych konfliktów. Dorastałem głównie na Tytanie, wtedy jeszcze w początkach kolonizacji, zaledwie parę stacji i małych kopuł. Potem przez kilka lat mieszkałem w Herschel, gdzie chodziłem do szkoły, potem też na Febe i jednej ze stacji orbitalnych nad biegunem Saturna, a ostatnio na Japecie. Niemal każdy w systemie Saturna przeprowadza się z miejsca na miejsce, żeby poznać najbliższą przestrzeń, zwłaszcza gdy się jest zaangażowanym w pracę dla służb cywilnych.

– Wielu ludzi to robi?

– Każdy przechodzi podstawowe szkolenie i, jak to się mówi, musi poświęcić trochę czasu w służbie Saturna. Losuje się też niektóre stanowiska

w rządzie. Czasami zostaje wylosowany ktoś, komu ta praca się spodoba, więc zaczyna robić więcej. Tak stało się ze mną. Jedną z moich ostatnich obowiązkowych placówek był Hyperion. Mały, ale bardzo mi się podobał. Był taki dziwny.

– Ach, znowu mówisz o dziwności.

– Życie jest dziwne, a przynajmniej takie mi się wydaje. – I zanucił jeszcze: – Ludzie są dziwni, gdy jest się obcym...

Zaraz jednak postanowił skrócić swoją opowieść.

– Hyperion jest naprawdę dziwny. Widać na nim ślady kolizji z drugim księżycem o podobnych rozmiarach. To, co pozostało, sprawiło, że powierzchnia od strony zderzenia przypomina plaster miodu. Ściany wokół otworów są białe, a wypełniający je do połowy pył czarny. Kiedy idzie się po krawędziach albo leci nad tą stroną, wydaje się, że to wyjątkowo wielkie awangardowe dzieło sztuki.

– Wielka praca starego, dobrego Goldsworthyego – stwierdziła Swan.

– W pewnym sensie. Do tego człowiek mógłby łatwo zniszczyć to miejsce, więc dyskutowano, jak i gdzie umieścić stację, a nawet czy w ogóle ją umieszczać, oraz jak powinna być zarządzana, jeżeli ma być na stałe. Pomagałem w tym. Miałem wrażenie, że jestem kuratorem galerii albo kimś w tym rodzaju.

– Interesujące.

– Też tak myślę. Potem wróciłem na Japeta. To również niesamowite miejsce do zamieszkania. Wywołuje wrażenie, że można się cofnąć i spojrzeć z innej perspektywy na cały system Saturna. I wiadomo, dlaczego budzi takie uczucia. Tam uczyłem się zarządzania terraformowaniem i sztuki dyplomacji, co oznaczało...

– Uczciwy człowiek wysłany przez własny kraj, żeby kłamał w jego imieniu?

– Mam nadzieję, że to nie jest poprawna definicja dyplomacji. Nie dla mnie i ufam, nie dla ciebie.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli wybierać znaczenie słów.

– Nie? A mnie się zdaje, że możemy.

– W bardzo ograniczonym stopniu. – Swan potrząsnęła głową. – Nieważne, opowiadaj. – Po studiach wróciłem na Tytana i pracowałem przy jego terraformowaniu. W tamtym okresie miałem dzieci.

– Z partnerami?

– Tak. Moja wspólnota liczyła sześcioro rodziców i ośmioro dzieci. Widuję je od czasu do czasu. I prawie zawsze jest to ogromna przyjemność. Staram się nie zamartwiać. Kocham dzieci, znam tę część ich życia, której one nie pamiętają. I mnie obchodzi to chyba bardziej niż ich. To w porządku. Natarczywość pamięci. Pamięta się przyjemne czasy i chce się tego samego dla dzieci. Ale zawsze można dostać tylko coś nowego. Dlatego staram się pragnąć tego, co dostaję. Nie ma oczywiście recepty, jak tego dokonać. Zaczyna się drtgie stulecie w życiu i robi się trudniej, jak sądzę.

– Nigdy nie było łatwo – wtrąciła Swan.

– Racja. Ten świat jest dla mnie tajemnicą. To znaczy wiem, co ludzie mówią o wszechświecie, ale nie wiem, jak to wykorzystać, ponieważ dla mnie to nieistotne. Dlatego zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że musimy sami nadać naszej rzeczywistości jakieś znaczenie. Pomysł projektu, który wyda mi się pożyteczny. Zajęcie, które wykonuję teraz i chcę robić w przyszłości, żeby coś stworzyć. Dzieło sztuki, które nie musi być sztuką per se, ale czymś, co jest warte ludzkiego wysiłku.

– To egzystencjalizm, prawda?

– Tak, tak sądzę. Nie wiem, jak można go uniknąć.

– Hm... – Swan zamyśliła się nad jego słowami. Światło lśniło w czarnych pasemkach i w jej siwych włosach. – Opowiedz mi o swojej wspólnocie. Jak

to działa?

– Na Tytanie rówieśnicy zbierają się w grupy, które razem się uczą i pracują. Z nich wydzielają się mniejsze, wiążące się mocniej, aby wychowywać dzieci. Zwykle umawia się tak około sześciu osób. Organizują się na różne sposoby, zależnie od indywidualnego dopasowania. Kiedyś pojawiło się przekonanie, że para to za mało ludzi, żeby wytrwać dłużej w związku, że udaje się mniej niż połowie małżeństw, a dzieciom potrzeba więcej. Stąd związki z więcej niż jedną osobą. Niemal wszyscy traktujemy je jako metodę wychowania dzieci, a nie decyzję na całe życie. Dlatego czasami nazywa się wspólnotę przedszkolem. Zawsze kończy się na zranionych uczuciach. Ale jeżeli się ma szczęście, przez pewien czas może być bardzo dobrze, więc należy się z tym pogodzić i pójść dalej, gdy nadejdzie pora. Nadal kontaktuję się z moją wspólnotą, jesteśmy nawet nadal oficjalnie związani. Ale dzieci dorosły i bardzo rzadko się widzimy.

– Rozumiem.

Dłuższy czas szli znowu w milczeniu. Wahram popadł w przyjemny nastrój, nie był też bardzo obolały.

Nagle Swan przerwała ciszę:

– Nie mogę już wytrzymać. Tu się nic nie zmienia. To jak więzienie albo szkoła.

– Nasze podmerkuriańskie życie – odparł Wahram trochę urażony, ponieważ jemu się tutaj podobało. Ale Swan była chora. – Niedługo to się skończy.

– Oby jak najszybciej. – Ponuro opuściła głowę.

■ ■

Szli godzina po godzinie. Nic się nie zmieniło. Swan czuła się lepiej niż zaraz po omdleniu, ale nadal poruszała się wolniej niż na początku. Dla Wahrama nie miało to znaczenia, lubił wolniejsze tempo. O poranku zawsze

był mocno obolały, ale przynajmniej mu się nie pogarszało, nie miał też mdłości, chociaż wciąż oczekiwał, że w końcu u niego również pojawią się objawy choroby popromiennej. Zrobił się przewrażliwiony. Swan straciła już niemal wszystkie włosy, pozostało tylko kilka pojedynczych pasemek.

– A co z twoim życiem? – zapytał ją w końcu. – Opowiedz mi o sobie. Naprawdę leżałaś kiedyś przez wiele godzin na bloku lodu? Albo wycięłaś sobie na skórze planetarium i wyrysowałaś wzory krwią?

Swan szła z przodu, lecz po pytaniu Wahrama zawahała się, a potem przystanęła, pozwalając mu przejąć prowadzenie. – Nie chcę do ciebie krzyczeć – wyjaśniła, gdy się zbliżył, a potem, gdy ruszyli razem, podjęła: – Tak, zrobiłam to i parę innych performance'ów jak u Abramowie. Uważam, że ciało to doskonałe tworzywo sztuki. Ale to było, gdy miałam około pięćdziesiątki.

– A wcześniej?

– Urodziłam się na Terminatorze, jak wiesz. Miasto właśnie powstawało. Mieszkałam na farmie, wtedy dopiero konstruowano system nawadniający. Kiedy przywieziono glebę, było to wydarzenie. Ziemię transportowano w wielkich walcowatych kontenerach, jak mokry cement, tylko czarny. Bawiłam się w niej z matką. Potem zaczęto sadzić rośliny i tak powstawał park. Wspaniałe miejsce dla dziecka. Trudno uwierzyć, że będzie martwe, kiedy stąd wyjdziemy. W każdym razie tam dorastałam.

– Przeszłość zawsze przemija – pocieszył ją Wahram. – Nieważne, czy miejsce nadal istnieje, czy już nie.

– Może dla ciebie, mądralo – prychnęła. – Ja nigdy do tego tak nie podchodziłam... Nieważne. Potem zamieszkałam na Wenus i pracowałam dla Shukry. A potem projektowałam terraria. Jeszcze później zajęłam się sztuką, pracą w krajobrazie i na ciele. Dzieła Goldsworthy ego i Abramowie nadal są dla mnie największą inspiracją i wpływają na to, jak żyję i pracuję. Ciągłe podróżuję, żeby realizować zlecenia. Ale zatrzymałam mieszkanie na

Terminatorze. Moi rodzice zmarli, więc Alex i Mqaret, moi dziadkowie, przejęli ich rolę. Nie krytykowałbyś małżeństw, gdybyś zobaczył tych dwoje. Biedny Mqaret.

– Tak, wiem – przyznał Wahram. – Ale kiedy mówiłem o tym, że para to za mało, chodziło mi o kwestię wychowania dzieci. Zapewne sama się o tym przekonałaś?

Zerknęła na niego.

– Jedno z nich jest gdzieś w kosmosie. Dziecko, które miałam z Zaszą, umarło.

– Przykro mi.

– Cóż, była stara. Nie chcę o tym teraz mówić.

Swan zwolniła, pozwalając Wahramowi wysunąć się naprzód. Przygarbiła się.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Tytan.

– Słabo mi.

– Może usiądziesz i odpoczniesz?

– Nie.

Dalej powlekli się w milczeniu.

Wahram pomagał Swan iść przez kolejną godzinę, podtrzymywał ją ramieniem. Po odpoczynku dźwignęła się i ruszyła z uporem, nie dała się przekonać, aby zostać dłużej. Kiedy dotarli do stacji, Wahram zaczął przeszukiwać schowki i pokoje. Wreszcie w ostatnim pomieszczeniu znalazł to, czego potrzebował (zawsze gdy się czegoś szuka, znajduje się to w ostatnim miejscu) – niewielki wózek z poprzeczką na wysokości torsu, płaski, na czterech rozchwierutanych kółkach unoszących platformę najwyżej metr nad ziemię. Nosze lub coś podobnego.

– Możemy tego użyć do przewozu plecaków. Będę pchał – zaproponował.

Swan spojrzała na niego uważnie.

– Myślisz, że możesz mnie na tym wieźć.

– Będzie łatwiej cię wieźć, niż nieść, jeżeli zajdzie potrzeba.

Rzuciła plecak na wózek, a następnego ranka wyruszyła przodem. Na początku Wahram musiał się śpieszyć, ale potem ją dogonił, a jeszcze później zwolnił, aby dostosować się do jej tempa.

Godzina po godzinie. Bez dyskusji Swan czasami przysiadła na wózku. Na powierzchni mijaliby teraz krater i rozpadliny nazwane na cześć największych artystów z Ziemi, przechodziliby teraz pewnie przez Cao Xueqina, Filoksenosa, Rumiego, Ivesa. Wahram zagwizdał „Kolumbia, klejnot oceanu”, który Ives włączył tak pamiętnie do jednej ze swoich dzikich kompozycji. Myślał też o „Umarłem jako kamień” Rumiego i żałował, że nie pamięta lepiej tego wiersza. – „Patrz, umarłem jako kamień, zmartwychwstałem jako krzew... Zmarłem jako krzew i jąłem biegać w koło jako lew...”<sup>[1]</sup>

– Czyje to?

– Rumiego.

Znowu milczenie. W dół wielkiej krzywizny tunelu. Ściany tutaj były popękane i wyglądały, jakby potraktowano je temperaturą dłużej niż w innych miejscach, aby zapewnić im wytrzymałość. Pęknięcia lśniły, czerni na czerni. Krakelura na wieczność.

Swan jęknęła, zeszła z wózka i ruszyła do tyłu, na zachód.

– Poczekaj, muszę odejść na chwilę.

– Jasne. Trzymaj się.

Po długim czasie Wahram usłyszał z oddali jęk, może nawet stłumione wołanie o pomoc. Cofnął się, ciągnąc za sobą wózek.

Swan znowu zemdląła, znowu z opuszczonym skafandrem. I znowu Tytan musiał ją umyć. Tym razem jednak była bardziej przytomna i odwracała głowę, a nawet próbowała Wahrama raz odsunąć. W trakcie mycia popatrzyła



na niego ze łzami w oczach i urazą.

– Nie jestem taka – stwierdziła. – To nie jestem prawdziwa ja. Wcale mnie tu nie ma.

– Cóż – odparł nieco oburzony. – Mnie też tu nie ma.

Opadła bezwładnie.

– Więc nikogo tu nie ma – stwierdziła po chwili.

Kiedy skończył, pomógł jej się ubrać i położyć, po czym zaczął pchać wózek przed siebie. Swan nie poruszyła się i nie odezwała słowem.

Na kolejnym postoju zdołał wmusić w nią trochę wody z elektrolitami i witaminami. Wózek, jak zauważyła Swan, przypominał nosze na kółkach. Od czasu do czasu Wahram trochę gwizdał, głównie Brahmsa. W tej melancholijnej muzyce krył się potężny stoicyzm, który doskonale pasował do sytuacji. Do końca wędrówki pozostało dwadzieścia dwa dni.

Tego wieczoru usiedli w ciszy. Zachowywali się chaotycznie, trochę jak zwierzęta, co zwykle następowało po kryzysie – odwracali głowy, przedłużali przygotowanie do snu, kładli się z tępym ómieniem, na które nie było ulgi. Właśnie przez takie momenty Wahram wolał się trzymać pseudoiteracji – przynosiła mu ukojenie. Pozwalała lizać rany. Wszystko to przecież już się zdarzało i zdarzy ponownie.

---

[1] Rumi Dżal Aluddin, zw. Moulana: Dywan, xn, przekład: Antoni Lange.

---

• •

Następnego ranka Swan próbowała iść, ale po dwudziestu minutach wróciła na wózek.

– To niepokojące – szepnęła niepewnie. – Jeżeli dużo komórek zostało zniszczonych...

Nie odpowiedział. Tylko pchał wózek. Nagle dotarło do niego, że ona może

umrzeć w tym tunelu i on nic jej nie pomoże. Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze, a nogi się pod nim ugięły. Gdyby tylko znaleźli się w szpitalu...

– Lubiłam śmiertelne ryzyko. Nagły strach. A potem radość, że się przeżyło. To była pewnego rodzaju dekadencja – odezwała się cicho po kolejnym długim okresie milczenia.

– To samo mówiła moja matka – przyznał Wahram.

– To jak w opowieściach grozy, gdy bohater stara się obudzić lub coś podobnego. Ale to wszystko nieprawda. Załóżmy, że towarzyszy się umierającej osobie, pomaga w odejściu. Wszystko, co sobie wyobrażamy, to obrazy z horrorów, zakorzenione w kulturze lub tradycji, z której się wywodzimy. Ale mimo wszystko się zostaje. A po jakimś czasie okazuje się, że tak właśnie to przebiega. Pomaga się, ale naprawdę wcale się nie pomaga, tylko się siedzi obok. Aż w końcu trzyma się rękę umarłego. Wydawać by się mogło, że to koszmar, kości wysuwające się z ziemi, próbujące złapać cokolwiek i tym podobne... A jednak sam akt śmierci okazuje się doskonale naturalny. W całej rozciągłości naturalny.

– Tak? – Wahram zatrzymał się na chwilę. – Ciało próbuje trzymać się życia. To nie jest... To takie naturalne. Może wkrótce się o tym przekonasz. Najpierw umiera ludzka część mózgu, potem zwierzęca, gadzia na końcu. Jak u Rumiego, którego cytowałeś, tylko w drugą stronę. Ta gadzia część mózgu próbuje do ostatka oszczędzać energię i utrzymać funkcje życiowe. Widziałam to. W pewnym sensie to jak pragnienie. Prawdziwa siła. Życie pragnie żyć. Ale w końcu więzy zostają przerwane. Energia przestaje płynąć tam, gdzie jest potrzebna. Zużywają się ostatnie atp. I wtedy umieramy. Nasze ciała powracają do ziemi, zmieniają się w glebę. Naturalny cykl. Więc... – Popatrzyła Wahramowi w oczy. – Więc co? Skąd ten strach? Czy jesteśmy?

Tytan wzruszył ramionami.

– Zwierzęcymi myślicielami. Zupelnym przypadkiem. Rzadkością.

– Albo jesteśmy najzwyczajniejsi pod słońcem, tyle że...

Nie dokończyła.

– Rozproszeni? – podjął Wahram. – Tymczasowi?

– Samotni. Zawsze samotni. Nawet kiedy dotykamy kogoś innego.

– Przynajmniej możemy rozmawiać – odparł z wahaniem. – To także część życia. Nie tylko dziedzictwo gadów. Rozpraszamy się, a potem próbujemy się złączyć... czasami.

Pokręciła głową ze smutkiem.

– Mnie nigdy się to nie udało.

– Och – odparł zaskoczony. – To niedobrze. Ale nie rozumiem, jak to możliwe. Nie po tym, co mi powiedziałaś. I nie po tym, co widziałem.

– Ważne, jak ja to odczuwam.

Pomyślał nad tym przez chwilę, nie przestając pchać wózka. Światła przepływały na suficie. Czy Swan miała rację? Czy rozgraniczenie aktów na dobre i złe zależało od odczuć tego, kto ich dokonał, a nie od samych uczynków lub tego, jak postrzegają je inni? Cóż, ludzie byli uwięzieni we własnych myślach. Obecna definicja medyczna nerwicy stwierdzała, że to po prostu skłonność do złych myśli. Gdyby miało się taką skłonność, pomyślał Wahram, spoglądając na łysą głowę Swan, gdyby się miało nerwicę, wtedy materiał do przemyśleń byłby niemal nieskończony. Ale czy naprawdę? Czymże byli ludzie? Zbitkiem wirujących atomów, którym wydaje się, że coś znaczą, nawet gdy spoglądają w gwiazdy, nawet gdy pokonują nieskończenie długi podziemny tunel. Aż nagle nastąpi dekoherencja i wszystko się rozpadnie. Z tej perspektywy zatem czy myśli są dobre, czy złe?

Wahram zagwizdał początek Dziewiątej Beethovena w nadziei, że wyrwie Swan z ponurego nastroju dzięki pierwszym taktom tragicznej muzyki dawnego mistrza. Przeskoczył trochę, aby powtórzyć frazę przy końcu pierwszej części, tej, którą Berlioz uznał za dowód szaleństwa. Powtórzył.

Była to prosta melodia, którą często nucił podczas wspinaczek w swoim życiu. Teraz co prawda raczej schodził z wielkiego koła, ale nadal muzyka pasowała doskonale do rytmu kroków. Wahram wygwizdywał osiem tonów raz po raz. Sześć niskich, dwa wysokie. Proste i czyste.

Wreszcie Swan, siedząca na wózku i oparta plecami o poprzeczkę, którą trzymał Wahram, patrząc przed siebie, odezwała się znowu. Przeciągała nieco samogłoski i mówiła tak, jakby kierowała swoje słowa do Pauline.

– Zastanawiam się, czy inni wiedzą, że żyjemy. Nigdy nie wiadomo. W pewnym momencie to niezwykle ważne, ale potem czasy się zmieniają i ty się zmieniasz, i inni ludzie też się zmieniają. A potem wszystko się kończy. Nie miała mi nic do powiedzenia.

Na długo zapadło milczenie. Wahram przerwał je w końcu i zapytał:

– Kto był ojcem twojego dziecka? Bo jedno spłodziłaś i jedno urodziłaś, prawda?

– Tak. Ale nie wiem, kto był ojcem. Zaszłam w ciążę na Fastnacht, kiedy wszyscy nosili maski. Jeden człowiek spodobał mi się z wyglądu. Ona wiedziała, kto to, zdołała go znaleźć.

– Spodobał ci się człowiek w masce?

– Owszem. Spodobała mi się jego, można to nazwać, postawa.

– Rozumiem.

– Chciałam to zrobić w jak najprostszy sposób. W tamtym czasie była to wygodna praktyka. Teraz bym tak nie postąpiła. Ale nigdy się tego nie wie, dopóki nie jest za późno. Praktykujesz przez kilka lat folie à deux i to bardzo intensywne przeżycie, ale jednak tylko kaprys. A kiedy udzielony obłęd się skończy, nie można spojrzeć w przeszłość bez poczucia... Wtedy dopiero zaczynasz się zastanawiać, czy to było dobre, czy nie. Tęskni się za tym stanem, ale też żałuje. To głupie. Cały czas coś robię, ale nadal nie wiem, co powinnam robić.

- Życ i tworzyć sztukę – odpowiedział Wahram.
  - Kto to powiedział?
  - Myślę, że ty.
  - Nie pamiętam. Może. Ale jeżeli nie jestem zbyt dobrą artystką?
  - Życie to projekt długoterminowy.
  - I pewnie chcesz powiedzieć, że niektórzy późno dojrzewają?
  - Chyba tak. Coś w tym rodzaju. Nieustannie szukasz okazji.
  - Może. Ale, wiesz, byłoby dobrze osiągnąć jakiś postęp, a nie tylko powtarzać wciąż te same błędy.
  - To jak na spirali – podesunął. – Kręcisz się i wznosisz, robiąc to samo, ale na coraz wyższym poziomie. A to sztuka, niezależnie od tego, co robisz.
  - Może dla ciebie.
  - Ale we mnie nie ma nic nadzwyczajnego.
  - Mylisz się.
  - Nie. Naprawdę, nic nadzwyczajnego. Jestem wzorem przeciętności.
  - Jesteś zwolennikiem przeciętności?
  - Jej przykładem. Zawsze pośrodku. Pośrodku kosmosu. Ale tylko na tyle, na ile każdy inny człowiek. Przedziwna cecha nieskończoności. Wszyscy jesteśmy w pewnym sensie średni. W każdym razie uznaję tę perspektywę za przydatną. Wykorzystuję ją w pracy. Można powiedzieć, że do uformowania moich projektów. To część filozofii.
  - Filozofii.
  - No właśnie.
- Po tych słowach Swan popadła w zamyślenie i przestała się odzywać.

• •

- Może ją minęliśmy – powiedziała Swan pewnego dnia, gdy szła za Wahramem. – Może przeszliśmy całą drogę pod jasną stroną, a potem pod

ciemną i teraz znowu znajdujemy się na słońcu. Może straciliśmy rachubę czasu lub poczucie odległości. Może powiodłeś nas na manowce. Może jesteś równie niezdolny jak Pauline.

– Nie – odpowiedział Tytan.

Zignorowała go i znowu zaczęła wyliczać, co mogło pójść nie tak podczas ich podziemnej wędrówki. Okazało się, że Swan potrafiła wymyślić zadziwiająco długą listę nieszczęść, z gotycką niemal inwencją: mogli na przykład stracić orientację i kierować się teraz na zachód, mogli przejść do innego tunelu naprawczego, który wiódł na biegun północny, może na Merkuryr przeprowadzono ewakuację i na planecie została tylko Swan z Wahramem, albo może umarli na słońcu, a winda zwoziła ich do piekła. Tytan zastanawiał się, czyjego towarzysza mówi poważnie. Miał nadzieję, że nie. Tak wiele wprawiało ją w nieszczęśliwy nastrój. Może to przez zachwianie rytmu dobowego – szła w porze, gdy powinna spać. Wiele lat temu Wahram nauczył się, że nie wolno ufać niczemu, co się wymyśli między drugą a piątą nad ranem, w tych mrocznych godzinach mózg pozbawiony jest składników lub wyłącza funkcje potrzebne do prawidłowej mentalnej pracy.

Czasami człowieka ogarnia nastrój mroczny jak czerń fuliginu. Lepiej to przespać albo jeśli się nie uda, od razu nastawić się na odrzucenie wszelkich myśli, jakie pojawią się na tej psiej wachcie, i czekać, aż nowy dzień przyniesie jaśniejszą perspektywę. Wahram zastanawiał się, czy może o tym porozmawiać ze Swan, ale jej nie obrazić. Pewnie nie. Kobieta była już podenerwowana i chyba miała coraz gorsze samopoczucie.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Donikąd nie dojdziemy.

– Wyobraź sobie, że szliśmy dokądkolwiek, nawet przed tym, jak znaleźliśmy się w tym tunelu. Nieważne, gdzie idziemy, donikąd nie dotrzemy.

– Ale to jest złe. Boże, nienawidzę twojej filozofii! Oczywiście, że gdzieś dotrzemy.

– „Długa droga za nami, długa droga przed nami”.

– Och, proszę cię! Wypchaj się z tymi swoimi mądrościami z ciasteczkowych wróżb. Jesteśmy tu teraz. Tak długo. Zbyt DŁUGO...

– Myśl o tym jak o ostinato, natrętnie powtarzającym się pasażu.

Lecz po tych słowach Swan popadła w milczenie, a potem zaczęła jęczeć – niemal mruczeć, nieświadoma, że wydaje jakikolwiek dźwięk. Ciche, żalodne pomruki. Jak szloch.

– Nie chcę rozmawiać – odpowiedziała, gdy Wahram znowu zapytał ją o samopoczucie. – Zamknij się i zostaw mnie w spokoju. Jak dla mnie, jesteś do niczego. Kiedy sprawy idą źle, jesteś do niczego.

Tej nocy dotarli do kolejnej stacji z windą. Swan wcisnęła w siebie jedzenie jak baterie do maszyny. Potem zaczęła mamrotać tak niewyraźnie, że Wahram nie rozumiał ani słowa. Zapewne rozmawiała ze swoją Pauline. Mamrotanie docierało jednak do uszu Tytana. Bez incydentów udało się umyć, po czym oboje położyli się na materacach, okryli pledami i próbowali zasnąć. Mamrotanie trwało. Ale wreszcie Swan kwileniem ukołysała się do snu.

Następnego ranka nie chciała ani jeść, ani rozmawiać. Nawet się nie poruszyła. Leżała na boku jak w napadzie katatonii, omdleniu lub po prostu jak sparaliżowana.

– Pauline, możesz rozmawiać? – zapytał cicho Wahram, gdy Swan się nie odezwała.

Stłumiony nieco głos zabrzmiał z szyi kobiety:

– Tak.

– Możesz opisać mi funkcje życiowe Swan?

– Nie – odezwała się nieoczekiwanie właścicielka.

– Rejestrowane przeze mnie funkcje życiowe Swan są niemal w normie,

poza poziomem cukru we krwi.

– Powinnaś coś zjeść – zwrócił się Wahram do towarzyszki.

Nie odpowiedziała. Tytan wlał jej łyżeczką trochę wody z elektrolitami do ust i cierpliwie poczekał, aż przełknęła. Przyjęła kilka decylitrów i nie wypłuła za wiele.

– Jest już południe. Nad nami, na powierzchni, jest południe. Środek przejścia po jasnej stronie. Myślę, że powinienem zabrać cię na górę, żebyśmy mogli rzucić okiem na słońce – oznajmił.

Uchyliła powieki i spojrzała przytomniej.

– Musimy je zobaczyć – powtórzył.

Uniosła się nieco na łokciach.

– Tak myślisz?

– To możliwe? – zapytał w odpowiedzi.

– Tak – zapewniła po namyśle. – Możemy zostać w cieniu torów. W południe jest lepiej niż rano lub o zmierzchu, ponieważ fotony padają prosto z góry i w skafander uderza ich mniej. Ale nie powinniśmy zostawać zbyt długo.

– I dobrze. Chcesz zobaczyć słońce, a teraz jest odpowiednia pora. Południe na Merkurym. Chodźmy.

Pomógł jej wstać. Znalazł hełmy i zaniósł je do windy, po czym wrócił i zaniósł tam Swan.

Podczas jazdy uszczelnił swój kask, po czym sprawdził szczelność obu skafandrów. Kombinezony zameldowały, że wszystko w porządku. Kabina się zatrzymała. Tytan poczuł swój puls łomoczący nawet w koniuszkach palców.

Drzwi się otworzyły na górnej kondygnacji i świat nagle stał się biały. Twarzoosłony dostosowały się do światła i krajobraz został sprowadzony do czarno-białego szkicu.

Po lewej i nieco poniżej torów miasta lśniła migotliwa jasność. Po prawej



pejzaż merkuriańskiego południa rozciągał się po horyzont. Ponieważ brakowało atmosfery, tylko powierzchnia przyjmowała uderzenia promieni słonecznych – i była rozpalona do białości. Osłona pociemniała tak mocno, że gwiazdy na niebie zrobiły się niewidoczne. Pozostała tylko jasna równina okryta kopułą czemi. Biel lekko pulsowała.

Swan wyszła z windy na peron.

– Hej! – zawołał Wahram i ruszył za nią. – Wracaj tu!

– A jak mamy stąd zobaczyć słońce? Chodź, nic nam przez chwilę nie grozi.

– Na peronie jest pewnie siedemset kelwinów, jak wszędzie.

– Podeszwy twoich butów są całkowicie żaroodporne.

Zaskoczony Tytan pozwolił się poprowadzić. Kobieta uniosła głowę i spojrzała w światło. Wahram nie mógł się powstrzymać, podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Blask go oślepił – z przerażeniem spuścił oczy. Ale pod powiekami pozostał mu powidok, który Tytan mógł podziwiać, wielki krąg przesłaniający niemal całe pole widzenia, biały i zarazem czerwony. Słońce jak w powieści „Dhalgren” Delanyego, nareszcie rzeczywiste. Najwyraźniej filtr osłony polaryzował obraz tak, że widok rozmywał się do zadymionej czemi, lecz równina nadal pozostawała biała, poznaczona tylko ciemnymi cienkimi liniami. Swan nadal wpatrywała się w słońce. Umierając z pragnienia, topiła się w rwącym nurcie. Wahram przełamał się i poszedł w jej ślady, znowu podniósł wzrok. Powierzchnia słońca przypominała wirujące masy splątanych pasm bieli. Drżała, emanując falami ciepła. Zaraz jednak Wahram uświadomił sobie, że to on się trzęsie, ponieważ serce łomocze mu tak mocno, że wpływa to nawet na jego zdolność widzenia. Drżący krąg bieli na bezgwiezdny, czarnym jak węgiel niebie. Białe proporce powiewające w obrębie tarczy – ruch sugerujący istnienie ogromnej i żywej inteligencji. Bóg. Jasne, czemu nie? Słońce bez wątplenia wyglądało jak bóg.

Wahram oderwał oczy od oślepiającej tarczy i ujął Swan za ramię.

– Wracajmy. Wracajmy na dół. Przyjęłaś już dość światła.

– Poczekaj chwilę.

– Nie rób tego.

– Nie, poczekaj. Popatrz tam, przy torach – wskazała kierunek. – Coś się zbliża.

I rzeczywiście tak było. Ze wschodu po wygładzonej powierzchni obok torów nadjeżdżał niewielki pojazd. Zatrzymał się u stóp stopni na peron. Drzwi z boku się otworzyły i pojawiła się w nich postać w skafandrze. Nieznajomy popatrzył na Swan i Wahrama, po czym gestem kazał im zejść.

– Czyżby nasi znajomi słońcołazi przysłali pomoc? – zapytał Wahram.

– Nie wiem. – Zmrużyła oczy z namysłem. – Czy minęło już tyle czasu?

– Nie przypuszczam.

Zeszli schodami. Wahram podtrzymywał Swan za ramię, chociaż wydawało się, że teraz towarzyska dobrze trzyma się na nogach. Jakby odmłodziła na widok słońca w zenicie. Albo odzyskała siły, gdy zrozumiała, że jest uratowana. Wsiadli do pojazdu, a kiedy drzwi śluzy opadły i znaleźli się w dość przestronnej kabinie, mogli zdjąć hełmy i porozmawiać. Ci, którzy uratowali Wahrama i Swan, byli bezgranicznie zdumieni. Wyznali, że robili szybki przejazd przez jasną stronę i bynajmniej nie spodziewali się, że dostrzegą kogoś na jednym z peronów.

– I na dodatek patrzących prosto w słońce! Jakim cudem się tam znaleźliście? Coście tam robili?

– Jesteśmy z Terminatora – wyjaśnił Wahram. – Na dole jest jeszcze trójka, trochę dalej na wschód. – Ach-ha! Ale jak dostaliście się... No dobrze, lepiej ruszajmy. Możecie nam opowiedzieć wszystko podczas jazdy.

– Oczywiście.

– Usiądźcie przy oknie. Będziecie mieli wspaniały widok. Merkury jest o

tej porze dnia przepiękny.

Pojazd ruszył. Minął peron stacji, z której wyszli. Uratowani! Swan i Wahram ledwie mogli w to uwierzyć.

– O nie! – jęknęła cicho Swan, jakby wpadli w tarapaty albo jakby poczuła rozczarowanie, że ominie ją połowa wędrówki... Ta myśl sprawiła, że Wahram się uśmiechnął.

# SPISY (IV)

sangwinik, choleryk, flegmatyk, melancholik introwertyk, ekstrawertyk

neurotyczność, równowaga emocjonalna stabilność, chwiejność racjonalność, irracjonalność

neuroza, schizofrenia, paranoja, hebefrenia, schizofrenia maniakalno-depresyjna, pedantyzm, obsesyjny przymus, psychoza, sadyzm, masochizm

stłumienie, dysocjacja, dwubiegunowość, schizofrenia, schizopatia, psychopatia, socjopatia, megalomania depresja, nietowarzystwo, histeria, niepokój, uzależnienie, pasywność-agresja, narcyzm, solipsyzm, dystymia

osobowość na pograniczu, osobowość mnoga

obłąd, zdrowie psychiczne, normalność, ekscentryczność autyzm, zespół Aspergera, nieśmiałość, geniusz, niedorozwój

apollinijski, dionizyjski

idealiści, artyści, racjonalisci, handlarze, strażnicy

świadomość, podświadomość, ego, id, superego archetypy, psyche, animus i anima, psychastenia

szczęśliwy, smutny; radosny, żałobny, posttraumatyczny; dostosowany

otwartość, skrupulatność, ugodowość, neurotyczność

wykonawca, myśliciel, trzy małpki; impulsywność, rozwaga

samolubstwo, próżność, chciwość, gnuśność, żądza, zazdrość, gniew; czysta głupota, spryt; bystrość, powolność; empatia, sympatia; zdystansowanie, ufność, podejrzliwość

Albo - albo. To lub tamto. Wybieraj albo bierz wszystko

taksonomie, typologie, kategorie, etykiety, systemy trzy tysiące lat

afazja Broki, afazja Wernickego

pod hipokampem, dysfunkcja ciała migdałowatego, niedobór serotoniny; nadczynność prawego płata skroniowego w węzle i2a, nadreaktywność podwzgórza, ślepotę korową, zaburzenia widzenia

# INSPEKTOR JEAN GENETTE

Inspektor Jean Genette, od dawna starszy oficer śledczy Policji Interplanetarnej, lubił wstawać wcześniej i chodzić do pobliskiego lokalu z tarasem lub ogródkiem. Tam przy mocnej tureckiej niesłodzonej kawie przeglądał przez Passepartout najnowsze wiadomości z całego Układu. Potem Genette lubił jeszcze pospacerować, niezależnie, do jakiego miasta akurat trafił, zanim wreszcie wybrał się do miejscowego biura Interplanu, zwykle mieszczącego się w kilku ciasnych pomieszczeniach przy siedzibie lokalnych władz. Niestety, Interplan nie należał do powszechnie szanowanych agencji, postrzegano go raczej jako na wpół autonomiczną, quasi-rządową jednostkę do monitorowania zagrożeń, dlatego śledztwa często okazywały się niebezpieczne, a inspektor czasami czuł się jak prywatny detektyw albo prowokator, który igra z sektorem agencji pozarządowych. Ale przynajmniej Interplan był dobrze poinformowany.

Genette lubił chodzić z informacjami. Biuro było w porządku, współpracownicy odważni, dane istotne, ale chodzenie stanowiło klucz. Właśnie podczas spacerów inspektor doznawał krótkich wizji i przebłysków, które gdy się pojawiały, przynosiły nie tylko rozwiązanie spraw, lecz także najlepsze chwile w jego życiu.

Czasami zdarzało się to w biurze, gdy patrzył na nowy sprzęt albo przeglądał archiwum, choćby po to, aby sprawdzić teorię, która wpadła

inspektorowi do głowy przy kawie. W Interplanie pracownice zawsze były przestronne, z odbywającymi się w czasie rzeczywistym trójwymiarowymi przekazami sieciowymi tego, co naprawdę interesujące lub piękne. Oczywiście prawdą było, że stawanie w chmurze różnokolorowych kropek i linii niekiedy tylko zwiększało dezorientację. Ale Genette dostrzegał rzeczywistość w modelach i wykresach, a kiedy wracał do niewirtualnego świata, widział to, czego wcześniej nikt inny nie zauważał. Sprawiało mu to dużą przyjemność. Największą.

Wyniki osiągane bez wsparcia intuicji nigdy nie przynosiły takiej satysfakcji. O wiele częściej, niż inspektor zechciałby przyznać, konieczne było zawarcie układów na nieszczególnie jasnych warunkach – można by to nazwać anarchią, gdyby się uprzeć – aby doprowadzić sprawę do końca na tym czy innym świecie. Jak dotąd jednak Interplan nie miał się czego wstydzić i żadne gromy nie spadły na kierownika agencji, a w tej branży nie należało prosić o więcej.

Jako starszy śledczy Jean Genette zwykle mógł wybierać sobie śledztwa, którymi chciał się zajmować, ale – oczywiście – sprawa zniszczenia Terminatora przyćmiła wszystkie inne i przyciągnęła uwagę całego Układu Słonecznego. Na dodatek Terminator należał do Mondragonu, naturalną kolejną rzeczą zatem było, że Interplan, o wiele mocniej związany z Przymierzem niż z jakąkolwiek inną jednostką polityczną, zaangażuje się w śledztwo. Poza tym nigdy jeszcze nie przytrafiła się sprawa taka jak ta. Spalenie jedyne go miasta na Merkurym (choć nie należy zapominać o budowanym właśnie Fosforze, którego tory układano na merkuriańskiej północy i któremu trzeba się będzie przyjrzeć. Nie pierwszy raz spór o tereny i nieruchomości kończy się wszak podpaleniem). Nic dziwnego, że cały Układ Słoneczny sparaliżował strach. Nie wiadomo było, co dokładnie się stało ani jak lub dlaczego, ani też przez kogo – ludzie domagali się wyjaśnień, na dodatek uwielbiali tego rodzaju

sensacje.

Z pewnością pojawią się inni chętni, aby przeprowadzić dochodzenie. Ale Lwica Merkurego była dobrą znajomą inspektora, a kiedy Lwiątka zebrały się ponownie po ewakuacji i przejęły nadzór nad śledztwem, poproszono, aby to właśnie Genette zajął się sprawą. Takiej prośbie się nie odmawia, zwłaszcza gdy może się to przysłużyć projektom prowadzonym przez Alex i Wahrama. Tym bardziej że Genette podejrzewał związek między zniszczeniem Terminatora, które nastąpiło zaraz po ataku na Io, a może nawet ze śmiercią Alex. Co prawda autopsja potwierdziła śmierć z przyczyn naturalnych, ale inspektora dręczyło niejasne przeczucie, że kryje się za tym coś więcej – niektóre naturalne wypadki można przecież sprowokować.

Właśnie na początku podróży na Merkurego, gdy Genette przemierzał halę kosmoportu, aby dostać się do promu, i obserwował ludzi podążających do stanowisk odpraw z nieświadomą gracją, wpadło mu do głowy rozwiązanie zagadki ataku na Terminatora. Wyraźny obraz był jak jedyny element zapamiętany ze snu, ale stworzył mnóstwo użytecznych tropów, które warto sprawdzić podczas lotu na planetę. Najprzyjemniejsza jednak była satysfakcja. Oraz przekonanie, że teraz zostało o wiele mniej powodów do zmartwień.

Kiedy inspektor dotarł na Merkurego, uchodźcy z Terminatora albo znaleźli już schronienie, albo zostali ewakuowani z planety. Liczba zgonów wynosiła około osiemdziesięciu trzech, głównie z powodu obrażeń lub awarii śluz i skafandrów – typowa dla sytuacji alarmowych wypadkowa błędów, problemów ze sprzętem i paniki. Ewakuacja ciągle stanowiła jedno z najbardziej niebezpiecznych ludzkich działań, gorszych nawet od rodzenia dzieci.

Z tego względu i ponieważ Terminator nadal płonął i żarzył się na jasnej stronie planety, dochodzenie ciągle było w powijakach. Okazało się, że kamery na tym odcinku trakcji miasta zostały zniszczone uderzeniem wraz z

platformą nazywaną Hammersmith, przy której odbywał się nieszczęsny koncert. Dostępne były jednak zapisy z orbitalnych systemów ochrony antymeteorytowej Terminatora wykonane przed zdarzeniem i w jego trakcie. Niestety, ani urządzenia radarowe, ani zwykłe lub podczerwone kamery nie zarejestrowały zbliżającego się meteoru. Śladów po nim, jak i po uderzeniu nie znaleziono również na nagraniach z satelitów. „Atak z piątego wymiaru!” – powtarzano coraz częściej.

Genette, który znał już rozwiązanie tych zagadek, uznał, że dzięki udawaniu ignorancji zyska na czasie. Sprawca może popełnić błąd, a wtedy uda się powstrzymać naśladowców zbrodni. Dlatego inspektor nie powiedział słowa, lecz pozostał w pokoju na kosmodromie Rilkego i zajął się przesłuchiwaniami świadków. Wielki rozbłysk. Ach, dziękuję. Pora chyba zagonić do pracy Wanga, niech znajdzie wiarygodne przesłanki dla rozwiązania zagadki, jakie wymyślił Genette.

Rozeszły się wieści, że jeszcze dwoje zaginionych udało się znaleźć i zabrać z jasnej strony – jedną z ocalonych była wnuczka Alex, artystka Swan Er Hong. Pojawienie się jej znikąd na słonecznej półkuli Merkurego wydawało się dziwne, więc śledczy Genette poszedł na spotkanie z ocaloną do szpitala w Schubercie.

Swan leżała w łóżku naszpikowana igłami kroplówek, bardzo blada. Kurowała się z choroby popromiennej spowodowanej przez rozbłysk korony słonecznej, który dopadł ją, zanim wraz z towarzyszem umknęła pod ziemię.

Genette wspiął się na krzesło obok łóżka Swan. Miała ciemne podkowy pod przekrwionymi brązowymi oczyma. Wahram, który towarzyszył Swan w wyprawie przez tunel naprawczy, siedział po drugiej stronie pościeli. Chyba nie był równie mocno napromieniowany. Ale wyglądał na znużonego.

Swan dostrzegła obecność Jeana Genette' a.

– Znowu ty – mruknęła. – Niech to szlag.



Popatrzyła groźnie na Wahrama, który pod tym spojrzeniem pobladł lekko i nawet unióśł dłoń, jakby chciał się osłonić.

– Co wy dwaj knujecie? – zapytała Swan.

Genette włączył Passepartout, qostkę przypominającą stare zegarki na rękę, i odpowiedział:

– Proszę, nie denerwuj się. Jestem głównym inspektorem Policji Interplanetarnej. Mówiłem ci, gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy. Zmartwiła mnie wieść o niespodziewanej śmierci Alex i chociaż wyglądało to na naturalny zgon, postanowiłem sprawdzić inne niespodziewane zdarzenia, które mogłyby się z tym łączyć. Byłaś blisko związana z Alex, a podczas twojej wizyty na Io zdarzyła się napaść, natomiast teraz na własne oczy widziałeś atak na Terminatora. Może to przypadek, ale chyba rozumiesz, dlaczego ciągle na siebie wpadamy.

Swan niechętnie skinęła głową.

– Znalazłeś jakieś ślady po tej osobie, która wpadła na Io pod lawę? – zapytał Wahram.

– Porozmawiamy o tym później. – Genette posłał Tytanowi ostrzegawcze spojrzenie. – Teraz musimy skupić się na zniszczeniu Terminatora. Nie macie nic przeciwko temu, żeby opowiedzieć mi, co widzieliście?

Swan usiadła prosto i opisała uderzenie, a potem powrót do miasta i świadomość, że nie zdążyli na ewakuację, a potem ucieczkę na wschód, do najbliższego peronu miasta, oraz zejście w tunele naprawcze. Wahram tylko kiwał głową od czasu do czasu na potwierdzenie. Opowieść zajęła parę minut. Swan mówiła to tak, jakby wędrówka przez korytarze trwała bardzo krótko, a Tytan nie próbował tego rozwijać, nawet nie skinął głową. Dwadzieścia cztery dni może ciągnąć się bardzo długo. Genette spoglądał na oboje raz po raz. Było jasne, że żadne z nich nie widziało wiele z uderzenia.

– A... Terminator? Nadal płonie? – zapytała Swan.

– Dokładnie rzecz ujmując, pożar się już skończył. Teraz miasto się żarzy. Swan odwróciła wzrok ze ściągniętą twarzą. Transmisje pozostawionych w mieście kamer i sztucznych inteligencji pokazywały, jak Terminator zapala się w słońcu – płonie, topi się, miejscami eksploduje i tak ciągle, dopóki aparatura nie uległa zniszczeniu. Nie przypominało to piekła w tym dosłownym aspekcie, raczej patchwork mniejszych pożarów, które wybuchły w różnym czasie. Kilka żaroodpornych si nadal przesyłało dane, dokumentowało, co się dzieje, gdy temperatura otoczenia sięga siedmiuset kelwinów. Kolaż tych obrazów dawał dobre pojęcie o spopieleniu Terminatora, ale Genette był pewien, że Swan nie chciałaby tego oglądać.

Tak naprawdę jednak chciała.

– Chcę to zobaczyć. Wszystko. Pokaż mi. Muszę to zobaczyć. Zamierzam to jakoś uczcić, może pomnikiem... Odbyć pokutę. Ale na razie powiedz, co wiesz! Co się stało?

Śledczy wzruszył ramionami.

– Coś uderzyło w tory miasta. Miejsce nadal znajduje się po jasnej stronie i dopóki nie zajdzie słońce, nie można przeprowadzić tam żadnego dochodzenia. To, co spadło na trakcję, było niewidoczne dla tutejszego systemu ochrony przed meteorami. Nie powinno się tak zdarzyć, ponieważ obiekt miał masę kilku tysięcy kilogramów. Niektórzy uważają, że to upadek komety. Na razie wolę to określać mianem przypadku. Nadal nie udało się ustalić, czy eksplozja nie była z dołu.

– Mina podłożona pod tory? – zapytał Wahram.

– Na zdjęciach z niektórych satelitów wygląda to rzeczywiście jak uderzenie z góry, ale pojawiły się wątpliwości.

– Masz gościa, który przedstawił się jako Mqaret – odezwała się melodyjnie gostka na przegubie śledczego.

– Powiedz mu, gdzie jesteśmy – nakazał jej Genette. – 1 poproś, żeby się

do nas przyłączył.

Na policzkach Swan pojawiły się czerwone plamy.

– Chcę zobaczyć Terminatora – oznajmiła.

– Można chyba zorganizować krótką wyprawę w opancerzonym pojeździe, ale niewiele więcej da się zrobić. Większość ekip ze słonecznej strony schroniła się już w cieniu miasta. Słońce zajdzie nad tym południkiem za około siedemnaście dni.

Rozmowę przerwało wejście Mqareta. Swan wykrzyknęła jego imię i wyciągnęła ramiona, aby go objąć.

– Myśleliśmy, że zginęłaś – powiedział Mqaret. – Reszta ludzi, którzy byli na koncercie, przepadła. Myślałem, że byłaś z nimi, a w tym chaosie ewakuacji nie dostałem żadnych wieści. Wszyscy uważali, że nie żyjesz.

– Uciekłam do tunelu naprawczego – wyjaśniła Swan.

– Sprawdzano tam, ale nikogo nie znaleziono.

– Postanowiliśmy ruszyć na wschód, żeby szybciej się wydostać.

– Nie mam pojęcia, jak tego dokonałaś, ale powinnaś zostawić wiadomość.

– Myślałam, że tak zrobiliśmy.

– Doprawdy? Zresztą nieważne, jak ty wychudłaś! Powinienem zabrać cię do laboratorium i dokładnie przebadać. – Mqaret okrążył łóżko i uściśnął krótko Wahrama. – Dziękuję, że przyprowadziłeś moją Swan do domu. Słyszałem, że się nią opiekowałeś tam, na dole.

Genette dostrzegł, że kobieta nie wyglądała na uszczęśliwioną tym stwierdzeniem.

– Oboje sobie pomagaliśmy – odpowiedział Wahram. – 1 chętnie zobaczymy znowu tych młodych słońcołazów, z którymi szliśmy przez tunel.

– Właśnie trwa akcja ratunkowa, żeby ich stamtąd wyciągnąć – wyjaśnił Mqaret. – Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Bardzo wielu słońcołazów trzeba było ratować.

– Nasi byli bardzo pomocni – zapewnił Wahram, chociaż Swan tylko na to prychnęła.

Wydawało się, że Mqareta nie obeszło zniszczenie miasta. Zapewne dlatego, że jeszcze przeżywał niedawną śmierć Alex – reszta nie miała dla niego wielkiego znaczenia. Po zagładzie Terminatora mieszkańcy Merkurego skazani byli na rozproszone po całej planecie podziemne schrony. Nie różniło się to specjalnie od życia na Io, ale też nie tworzyło sprzyjających warunków do odbudowy. Ludzie jednak i tak się jej podejmą. Właściwie prace już się rozpoczęły przy użyciu odpornych na temperaturę robotów i baraków. Zaraz po zachodzie słońca nad spalonym miastem Merkurianie naprawią tory i uruchomią podwozie Terminatora, a potem – już w bezpiecznych ciemnościach – przeprowadzone zostaną dalsze naprawy i budowa, jak za pierwszym razem.

Tymczasem jednak wszyscy pozostawali w stanie alarmowym i ich wpływy na inne obszary Układu Słonecznego znacząco zmalały. Dlatego teraz Mqaret, choć zwrócił się do Swan, zerknął na inspektora i Wahrama.

– Odbudujemy miasto i wszystko będzie dobrze. Ci, którzy użalają się nad naszą krytyczną sytuacją, mają nie mniejsze problemy u siebie. Kosmos jest niebezpieczny. Nie ma ani jednego pozaziemskiego osiedla, które nie mogłoby zostać zniszczone, z wyjątkiem Marsa.

– I właśnie to sprawia, że Mars jest tak nieznośny – wtrącił Genette.

– Stworzę pomnik, aby upamiętnić naszą stratę – zadeklarowała Swan, podnosząc się, jakby zamierzała wstać z łóżka. Teatralnie szarpnęła za rurki swoich kropłówek. – Przygotuję pokaz w stylu Abramowie w ruinach, aby wyrazić smutek i żal miasta. Może okresowe ukrzyżowanie będzie stosowne...

– Spalenie na stosie – podsunął Wahram.

Przeszyła go groźnym spojrzeniem. Mqaret zaprotestował bardziej taktownie, tłumacząc, że Swan jeszcze nie wyzdrowiała na tyle, aby używać

swojego ciała jako tworzywa sztuki.

– Zawsze było to dla ciebie trudne, Swan, tym bardziej teraz. Nie możesz.

– Mogę! I na pewno to zrobię.

Ale wtedy z prawej strony szyi rozległ się głos jej qostki:

– Muszę ci przypomnieć, że zostawiłaś mi wyraźne instrukcje, abym sprzeciwiła się jakimkolwiek pracom w stylu Abramowić, jeżeli twoja kondycja nie będzie optymalna. To rozkazy, które sama mi wydałaś.

– Śmieszne – oburzyła się kobieta. – Czasami okoliczności wymagają zmiany planów. A to było ważne i tragiczne wydarzenie, katastrofa. I dlatego należy na nie jakoś zareagować.

– Muszę ci przypomnieć raz jeszcze, że mam się sprzeciwić wszelkim pracom w stylu Abramowie, kiedy twoja kondycja nie jest optymalna.

– Zamknij się, Pauline. Nie chcę, żebyś się odzywała.

Mqaret podszedł bliżej i zmusił Swan do pozostania w łóżku.

– Droga Swan – powiedział łagodnie – twoja Pauline ma rację. Co znaczy, że sama miałaś rację, kiedy wydawałaś jej rozkazy, miałaś przed oczyma szerszą perspektywę. Nie śpiesz się teraz. To trudny czas i istnieje mnóstwo lepszych sposobów, żeby się wykazać. Przed tobą wiele pracy.

– Pracy nad wyrażeniem losu Terminatora w sztuce.

– Wiem, ile to znaczy, zwłaszcza dla ciebie. Ale jesteś też jedną z projektantek naszego biomu i dlatego będziesz na pewno potrzebna do pomocy przy tym zadaniu. Wykorzystamy okazję do odnowienia parku i farm.

Swan wyraźnie się zaniepokoiła.

– Ależ wystarczy zastąpić je nowymi! Przecież nikt nie chce, żeby coś się zmieniło, prawda? Ja na pewno nie.

– Zobaczymy. Tak czy inaczej, musisz być gotowa do pomocy przy pracach w mieście.

Swan popatrzyła na niego wilkiem.

– Będę bez względu na okoliczności. Ale możemy przynajmniej wziąć skoczka na jasną stronę i spojrzeć na Terminatora?

– Tak sędzę. Poproszę o miejsca w jednym z wehikułów wycieczkowych, jak tylko będzie można. Ale ty musisz najpierw zakończyć leczenie i wyzdrowieć. Kilka dni później wszyscy wsiedli do skoczka i udali się wzdłuż torów na wschód, w światło dnia, gdzie spoczywał wrak Terminatora. Równina widoczna przez mocno przyćmione filtry była biała jak śnieg, poznaczona tylko czarnymi kręgami i kilkoma zygzakowatymi liniami, co przypominało trochę sławetne kręgi w zbożu. Trakcja wyglądała natomiast jak wąska wstęga świecących jasno drutów.

A potem zza horyzontu wychynął Terminator. Rama kopuły lśniła równie jasno jak tory. Wnętrze wypełniała czarna masa, która gdy skoczek się zbliżył, okazała się skupiskiem mniejszych stert żużla, zanieczyszczeń i popiołu – ciemne kleksy i czarny pył. Część metalowych powierzchni żarzyła się czerwono. Widok przypominał starą fotografię ziemskiego miasta zniszczonego przez pożar.

Mqaret potrząsnął głową.

– Teraz widać wyraźnie, dlaczego musimy pozostawać po nocnej stronie.

Wydawało się, że Swan go nie słyszy. Wbiła wzrok w miasto. Tym razem przynajmniej nie dramatyzuje, pomyślał Genette. Na twarzy kobiety malowała się ponura pustka. Wahram zerkał na nią dyskretnie.

Nad jarzącymi się ruinami miasta górowała Ściana Świtu. Jej powierzchnia zwrócona ku słońcu pozostała srebrzyście gładka i czysta jak zawsze, ale wewnętrzną stronę przesłaniało kłębowisko skręconych czarnych teras. Część dachów zbudowana z granatowych ceramicznych płytek pozostała nietknięta i zachowała nawet kolor. Wielkie Schody nadal przecinały czarne pasma na Ścianie, importowany z Ziemi marmur stopni lśnił perłowo w gorącu. Lśniące krzywizny wspomników kopuły wyginały się pod niebo jak łuk pomnika w

Hiroszimie.

– To było takie piękne miasto – westchnął Mqaret.

– Nadal jest – odparła Swan.

– Przetransportujemy z Ziemi trochę starych drzew, a resztę wyhodujemy z sadzonek. Ale muszę ci powiedzieć, że umowy z ubezpieczycielem nie okazały się najlepsze. Trwają spory o definicję terminu „pełna wymiana i zastępstwo”. Na dodatek nie wiadomo jeszcze, czy zagłada to palec boży, czy akt wojny. Konsylium prawników uważa, że tak czy siak ubezpieczenie nam się należy, ale kto wie? Czekają nas wydatki. I będzie nam potrzebna pomoc. Na szczęście Przymierze stanie po naszej stronie. A uzupełnienie zwierząt nie nastręczy trudności, w terrariach jest ich wystarczająco wiele, jest czym dzielić.

Zerknął na Wahrama, odchrząknął.

– Słyszałem, że Wulkanoidy są skłonne do pomocy. Oczywiście tamtejsi ludzie są zaniepokojeni tym, co się tutaj stało.

– Potrzebują nas – przyznała Swan. – To dlatego przyjęli tak łatwo propozycję Alex, żeby ich wspierać w pierwszej kolejności.

– Cóż, na pewno będzie sprawdzian, dzięki któremu dowiemy się, na ile ich zdaniem nas potrzebują.

Swan przytaknęła, kiwając głową jak pies. Genette dostrzegł, że Merkurianka w tej chwili nie chce myśleć o Wulkanoidach. Oburzało ją chyba, że Mqaret tak łatwo pogodził się z zagładą i ruszył dalej, choć znajdowali się pod żarzącymi się ruinami.

Wahram bardziej uważał na jej nastroje.

– „Wspomnienie jakiegoś obrazu jest jedynie żalem za pewną chwilą; i domy, drogi, aleje są ulotne, niestety, jak lata”<sup>[2]</sup>.

Swan się skrzywiła.

– Jeszcze jedna wróżba z chińskiego ciasteczka, o przemądry?

– Tak. – Na ustach zagościł mu lekki uśmiech. Genette dostrzegł, że Swan nadal umiała rozbawić Wahrama, pomimo czasu, jaki spędzili razem w zamknięciu. Zresztą może właśnie tam się tego nauczyła. Zaskakujące, jak niewiele tych dwoje mówiło o swojej wędrówce przez tunel.

– Chciałabym się przyłączyć do śledztwa inspektora Genette’a – oznajmiła Swan. – Oczywiście, jeżeli mogę? Pełniłabym funkcję łącznika z Merkurem podczas dochodzenia.

– Pomoc zawsze się przyda – odparł Genette dyplomatycznie. – Ten wypadek zaniepokoił wszystkich, ale dla Merkurego to sprawa najwyższej wagi. Założyłem, że ktoś od was będzie chciał przyglądać się śledztwu.

– Świetnie. – Swan skinęła głową, po czym spojrzała na Mqareta. – Będę w kontakcie z zespołem projektantów.

Nie padło już ani jedno słowo na temat artystycznego umartwiania się, lecz przecież, jak przyszło do głowy inspektorowi Genetteowi, samo dochodzenie może być postrzegane jako swoisty rodzaj artystycznego performanceu.

---

[2] Marcel Proust, *W stronę Swanna*, przekład: Tadeusz Boy-Żeleński.

---

• •

Kiedy wrócili do kosmoportu, Wahram skinął głową Genette owi. Podszedł potem do Swan i skłonił się nieznacznie z ręką na sercu.

– Muszę wrócić na Satuma, do zadań, które zaniedbałem. Jednak jestem pewien, że wkrótce się spotkamy. Terminator powstanie jak feniks z popiołów, a wtedy pozostanie mnóstwo niedokończonych spraw, którymi będziemy musieli się zająć.

– Z całą pewnością będziemy musieli – przyznała. I nieoczekiwanie objęła Tytana, przyciskając na krótko czoło do jego szerokiej piersi. Potem się cofnęła.



– Dziękuję, że mnie ocaliłeś. I przepraszam, że tak się rozkleiłam tam, na dole.

– Nic się nie stało – zapewnił. – Uratowałeś mnie. I przeszliśmy przez to razem.

Po czym z kolejnym niezdarnym ukłonem odszedł.

# SPISY (V)

Strefa Westy, chmara terrariów tworząca jedną spółdzielnię  
Aymara, amazoński ekosystem całkowicie porośnięty lasem  
deszczowym

Dusza Tartaru, step, gdzie ludzie mówią w reanimowanym języku  
indoeuropejskim

Interpretacja Kopenhaska, miasto kanałów z talentem do ekonomii  
Kot Zanzibaru, anarchistyczna sawanna z tysiącem wielkich kotów i  
całkowicie pozbawiona budynków

Arabia Deserta, pustynia tłumnie odwiedzana przez angielskich  
turystów

Aspen, raj dla narciarzy

asteroidy więzienia bez nazw, strzeżone przez roboty

Hermafrodyta, gdzie wszyscy stali mieszkańcy są androgynami lub  
gynandromorfami

Saint George, terrarium komuna, o której mężczyźni myślą, że  
panuje tu mormońska poligamia, a kobiety uznają ją za świat  
lesbijek z niewielkim odsetkiem lesbijek rodzaju męskiego

asteroidy wydrążone nie w cylinder, lecz jak mrowiska, w sieć  
korytarzy, komór, jaskiń, wgłębień, labiryntów, hoteli, etc.

Malediwy, akwarium odtwarzające zatopiony archipeląg, podobnie  
jak Mikronezja i Tuvalu - wszystkie zatopione wyspy Ziemi  
skopiowane w podobny sposób

Większy Ekosystem Yellowstone numer 34, ostatnie z 34 terrariów  
używających wzorca tego wspaniałego biomu terraria ekstremofili,  
śmiertelne dla ludzi, ale zapewniające dobre warunki do rozwoju  
organizmów wytwarzających lekarstwa i modyfikatory

porzucone biomy, ustawione na skrajnych orbitach, a potem  
zapieczętowane jak próbki

Mały Książę, terrarium powierzchniowe otoczone bańką z atmosferą  
rozmywającą jego kontury

Wrzeczono, którego mieszkańcy pilnują outsiderów

Miranda, wypchnięty z orbity satelita Urana, teraz samodzielnie  
okrążający Słońce, całkowicie w bańce, z głębokimi wąwozami i  
stromymi turniami znaczoneymi śniegiem opadającym w niskiej

grawitacji, cały w szwajcarskim pejzażu, jak ze snu o Alpach

Ikar, świat lotników z linią słoneczną na powierzchni, by zachować czyste niebo

Serce Kwitnącej Wiśni, odtworzenie świata z okresu dynastii Tang, który wygląda jak chiński krajobraz żywcem zdjęty z ówczesnych malowideł

terraria miocenyjskie, kredowe, jurajskie, prekambryjskie

Kropla Wody, akwarium wypełnione w całości wodą i zamieszkałe przez stworzenia oceaniczne

Kanion Królewskich Sekwoi, zamknięte terrarium odtwarzające rezerwat z Sierra Nevada w Kalifornii i tak dalej.

W przybliżeniu około dziewiętnaście tysięcy zasiedlonych asteroid i satelitów...

# SWAN I MQARET

Później, na kosmodromie między kraterami Schubert i Bramante, Swan usiadła w kącie przepelniona żalem za czymś, czego nie umiała określić. Niemożliwe, z całą pewnością niemożliwe, żeby żałowała tunelu, przecież właśnie starała się o nim zapomnieć. Niech Pauline to pamięta. Nie warto oglądać się wstecz, czemu miałyby to robić? Jednakże coś się stało tam, na dole – jakby znalazła się na skraju czegoś ważnego. Co powiedział Wahram? Że tunel nie różnił się od innych miejsc? Swan nigdy tego nie przyzna. Nigdy.

Kiedy miała już odejść z Genetteem i ludźmi z Interplanu, podszedł do niej Mqaret.

– Jesteś taka spięta – powiedział, głaszcząc ją po włosach jak dziecko. Ale zawsze traktował ją poważnie, Swan o tym wiedziała.

Pokręciła głową.

– Nie – odparła beznamiętnie. – Rozpadam się. Nie mogłam tego znieść.

Mqaret spojrział na nią czule. – Oczywiście nie jesteś w tym dobra. Wymuszone uwieszenie. Nie daj się nigdy zamknąć w więzieniu ani nie wychodź w przestrzeń w samym skafandrze. To nie dla ciebie. Ale tutaj poradziłaś sobie całkiem nieźle, jak mi się zdaje.

– Nie wiem, jakim cudem.

– Ten rozbłysk słoneczny, który cię uderzył, zanim uciekłaś pod ziemię...

Dozymetr twojego skafandra wskazał, że dostałaś mocniej niż reszta twoich towarzyszy. Tak naprawdę nie zamierzam cię straszyć, ponieważ nic ci nie grozi. Nadzoruję już twoją kurację odnawiającą, a ty reagujesz na nią znakomicie, ale jednak była to niezła dawka.

– Dziesięć siwertów. – Swan machnęła ręką. – Nie tak źle.

– Wręcz przeciwnie. Patrzyłaś w słońce dłużej niż inni? Zastłoniłaś swojego przyjaciela?

– Tak, ale jestem o połowę szczuplejsza od niego. Nie sądzę, żeby to na wiele się zdało.

– Dostał tylko trzy siwerty. Zatem... Jesteś tylko trochę szczuplejsza niż on. Ocaliłaś go przed ostrym napromieniowaniem.

– A potem on ocalił mnie. Musiał mnie nieść, a potem wieźć przez parę dni.

– Uczciwa wymiana. Ale te dziesięć siwertów... Wystarczyłoby, żeby zabić, musiałaś być bardzo osłabiona. Na szczęście wyzdrowiejesz, jak powiedziałem. Jednak interesuje mnie, czy możemy sprawdzić, dlaczego tak dobrze to zniosłaś. Zastanawiam się, czy symbiont z Enceladusa w twoim organizmie ma z tym coś wspólnego. Tamtejsze stworzenia dobrze tolerują napromieniowanie, a ponieważ to detrytusożercy, zapewne doskonale się w tobie rozprzestrzeniły, żywiąc się zniszczonymi i martwymi komórkami w ciele. Możliwe nawet, że przyłączyły się do limfocytów T przy oczyszczaniu twojego organizmu.

Swan nie kryła zaskoczenia.

– Nienawidziłaś mnie, kiedy to zrobiłam. Powiedziałaś, że to głupi idiotyzm.

Mqaret przytaknął.

– I miałem rację. Słuchaj, Swan, skoro kochasz życie tak mocno, jak twierdzisz, kiedy usprawiedliwiasz swoje dzikie wybryki, to powinnaś chronić

przede wszystkim własne, najlepiej jak umiesz. Niektóre działania noszą ze sobą nieznaną ryzyko, a zakażenie się obcymi formami życia należało do tej kategorii. I nadal należy, szczerze mówiąc. Całe szczęście, że było to tylko ryzyko, nie pewnik. Zapewne dlatego to zrobiłaś. Nie jesteś samobójczynią, prawda?

– Prawda – zgodziła się Swan niepewnie.

– Za to jesteś idiotką, ponieważ podejmujesz działania, o których nie wiadomo, czy cię nie zabiją za dziesięć albo i nawet sto lat.

– Zatem wszyscy jesteśmy głupi.

– Racja. Ale nie ma potrzeby, żeby być głupim idiotą.

– Jest różnica?

– Owszem. Pomyśl o tym i sprawdź, czy umiesz to rozróżnić. Obyś tylko zdążyła, zanim znowu zrobisz coś podobnego. O ile to w ogóle możliwe.

Podczas rozmowy pukał w pada i przeglądał wyniki Swan, a teraz wzruszył ramionami.

– Za twoim pozwoleniem zabiorę twoje próbki do laboratorium do przebadania. Może znajdziemy coś interesującego.

– Oczywiście – zgodziła się Swan. – Miło będzie, jeżeli coś dobrego wyniknie z mojej idiotycznej głupoty.

Mqaret pocałował ją w czoło.

– Masz na myśli: więcej niż to, co wyniknęło wcześniej?

Kiedy Mqaret odszedł, Swan pozostała sam na sam ze swoimi myślami o głupocie i idiotyzmach. Jej ciało, wychudzone po leżeniu w szpitalnym łóżku, przepływało przed jej oczyma jak obcy przedmiot, coś, czym mogła manipulować jak kukiełką – było podatne. I nadal ją więziło. Poczula głód. Rozejrzała się, gdzie może dostać posiłek. – Pauline, przerzuć moją historię medyczną na ten blat.

– Życzysz sobie pełną wersję czy streszczenie?

– Streszczenie. – Wiedziała, że pełna wersja ma kilkaset stron.

Popatrzyła na tekst wyświetlający się na stole, ale nie potrafiła zmusić się do czytania. Wyłapywała tylko pojedyncze frazy tu i ówdzie.

Urodzona w 2177 – trudny poród, jak jej powiedziano, chwilami z niedotlenieniem. Drgawki w wieku 2 lat. Zakażenia grzybami i bakteriami w szkółce leśnej. Gorączka błotna, ADHD, wiek 4-10 lat.

Przeciwdziałano temu kuracją farmakologiczną, później zdyskredytowaną. Dalszą edukację odbywała na farmie i tam Swan czuła się o wiele lepiej. Tyle że coraz więcej słów wyświetlało się na blacie.

Dyskalkulia – elektrostymulacja kory przedczołowej. Pierwsze szczepienie z powodu urlopu w Xinjiang, Chiny, lat 15, pełny zestaw, włącznie z helmintami.

Co znaczyło robaki pasożytnicze, a w tym przypadku: *Trichuris suis*, włosogłówki świńskie przyjęte doustnie. Terapia do tej pory budziła kontrowersje.

ODD, wiek: 15-24 lata.

Zaburzenia opozycyjno-buntownicze związane z nerwicą lękową.

Za obie dolegliwości odpowiada hipokamp, ale nerwica ustępuje, podczas gdy odd atakuje.

Choroba grawitacyjna, drugi urlop na Ziemi, w Montpellier, Francja – wiek: 25 lat.

Grypa wenusjańska. Modyfikacje genitalne, wiek: 25 lat.

Dozownik hormonalny, implantacja w wieku 35 lat, terapia hormonalna ciągną do czasów obecnych.

Uzależnienie od oksytocyny, wiek: 37-86 lat.

Implant węzła nerwowego pieśni skowronka i gajówki, wiek: 26 lat. Struny głosowe mruczących kotowatych, wiek: 27 lat.

Implant podtwardówkowy komputera kwantowego w 2222 roku, wiek: 50 lat. Terapia poznawcza, wiek: 9-99 lat.

Spłodzone dziecko (dziewczynka) w wieku 28 lat. Śmierć córki, 2296 rok. Urodzone dziecko (dziewczynka) w wieku 63 lat. Narodziny naturalne.

A potem pojawiła się linia umieszczona w zapisach przez Mqareta:

Przyjęcie doustne form życiowych z Enceladusa – głupia dziewczyna, wiek: 79 lat.

Kuracje przedłużające życie, wiek: 40 lat do dzisiaj.

Zaburzenia pozorowane, nigdy nieleczone.

To musiało zostać dodane przez Mqareta lub Pauline dla żartu.

– A co z „zaprojektowała setki terrariów”? – oburzyła się Swan. – Co z „trzy lata spędzone w Obłoku Oorta na instalowaniu sterowników masy na lodowych kulach”? Albo „pięć lat na Wenus”?

– To nie były przypadki medyczne – zaproponowała Pauline.

– Były, wierz mi.

– Jeżeli chcesz zobaczyć swoje cv, po prostu poproś.

– Cicho bądź. Zamknij się. Jesteś stanowczo za dobra w symulowaniu osoby niezdolnej.

– Powiedziałaś „symulowaniu” czy „stymulowaniu”?



## WYCINKI (7)

Wzrost długości życia powiązany z kuracjami zmiany płci prowadził do bardzo wyszukanych chirurgicznych i hormonalnych terapii rozpoczynanych w macicy w okresie dojrzewania i w okresie dorosłości. Dychotomia xx/xy nadal istnieje, ale w kontekście szeroko pojętego nawyku, użytku i terminologii...

...identyfikacja płciowa formuje się w korze mózgowej i podwzgórzu już w drugim miesiącu życia, początkowa orientacja jest trwała. Jeżeli pojawia się pragnienie, aby stworzyć uczucie niewyróżniania lub ambiwalencji, zmiany należy rozpocząć już w okresie życia płodowego...

...w pierwszych ośmiu tygodniach ciąży utrzymać aktywne zarówno przewody Müllera, jak i Wolffa w tym, co nadal stanowi potencjał na rozwój gonad obu płci. Hormony anty-Müllerowe, aktywowane przez geny w chromosomie Y, są dozwolone tylko dla jednego zestawu przewodów Müllera u płodu. Każde jądro tłumi

Wzrost długości życia powiązany z kuracjami zmiany płci prowadził do bardzo wyszukanych chirurgicznych i hormonalnych terapii rozpoczynanych w macicy w okresie dojrzewania i w okresie dorosłości. Dychotomia xx/xy nadal istnieje, ale w kontekście szeroko pojętego nawyku, użytku i terminologii...

...identyfikacja płciowa formuje się w korze mózgowej i podwzgórzu już w drugim miesiącu życia, początkowa orientacja jest trwała. Jeżeli pojawia się pragnienie, aby stworzyć uczucie niewyróżniania lub ambiwalencji, zmiany

należy rozpocząć już w okresie życia płodowego...

...w pierwszych ośmiu tygodniach ciąży utrzymać aktywne zarówno przewody Müllera, jak i Wolffa w tym, co nadal stanowi potencjał na rozwój gonad obu płci. Hormony anty-Müllerowe, aktywowane przez geny w chromosomie Y, są dozwolone tylko dla jednego zestawu przewodów Müllera u płodu. Każde jądro tłumi przewody Müllera po swojej stronie i w tym przypadku będzie podobnie, zatem...

...przy embrionach z chromosomami xy w około czwartym tygodniu należy odpowiednio zminimalizować wrażliwość na androgeny, aby uniknąć maskulinizacji przedwzgorza, gdzie najwyraźniej koncentrują się różnice mózgu między płciami. Embriony xx potrzebują natomiast aplikacji androgenów do jednego z przewodów Müllera, aby stymulować rozwój przewodów Wolffa. Kiedy przewody Wolffa się pojawiają, przewody Müllera po tej stronie ulegną apoptozie...

– ...zasadniczym skutkiem kosmetyki genetycznej jest zróżnicowanie na androgynię i gynandromorfię, często niewidoczne na oko w cechach ciała. Ludzie z parą chromosomów xx i zachowanymi przewodami Wolffa to gynandromorfy. Ludzie xy z zachowanymi przewodami Müllera to androgyni. W obu przypadkach androgeny i estrogeny dostarczane są przez pompy hormonalne, więc dziecko rodzi się z potencjałem na rozwinięcie obu rodzajów genitaliów, czekających tylko na wybory...

...prenatalnie wyselekcjonowana biseksualność jest najsilniej pozytywnie skorelowana z długowiecznością. Kuracje hormonalne rozpoczęte w okresie dojrzewania lub podczas dorosłości również mają pozytywne efekty dla zwiększenia długości życia, ale bagaż psychologiczny będzie...

...kuracja hormonalna wspierająca chirurgiczne dodanie sprawnej macicy w ścianie podbrzusza ponad penisem...

...przekształcenie łechtaczki w małego, w pełni funkcjonalnego penisa, z

jądrami, które wyrosną albo z zachowanych przewodów Wolffa, albo zatrzymanych w rozwoju komórek osobniczych. Gynandromorf może zwykle spłodzić tylko córki, ponieważ konstrukcja chromosomu Y z chromosomu X wiąże się z problemami...

...osobnikom żeńskim z dodaną sprawną reprodukcyjnie męskością pomaga proces imitujący naturalny niedobór 5-alfa-reduktazy...

...główne kategorie wizerunku płci mieszczą się w takich pojęciach, jak: kobiecość, męskość, androgynia, gynandromorfizm, hermafrodytyzm, ambiseksualność, biseksualność, interseksualność, płćć nijaka, eunuch, bezpłciowość, niezróźnicowanie płciowe, gej, lesbijka, 'pedał, zboczeniec, homoseksualizm, polimorfizm, poli, zmienny, trans...

...kultury starające się maskować róźnice płci czasami określane są jako urszulańskie. Pochodzenie tego terminu nie jest znane, może wiąże się z pierwszą osobą, na której przeprowadzono zabieg zachowania potencjału obu płci...

# KIRAN NA WENUS

Gdy tylko Kiran został sam na sam z Shukrą, starszy człowiek odezwał się:

– Trzeba cię będzie poddać kilku testom, chłopcze.

– Jakiego rodzaju?

– Każdego.

Pojawiło się trzech osiłków, aby eskortować Kirana i Shukrę podczas przejścia przez kilka bulwarów Colette. Kiran zrozumiał, że nie będzie żadnych dyskusji – ma bez szemrania wykonywać polecenia. Kiedy znaleźli się przed budynkiem z panoramicznym oknem, z którego można było obserwować przechodniów, chłopak starał się zapamiętać oznakowania ulic, żeby wiedzieć, gdzie się znalazł. Osiem i dąb. Ale drzewo za skrzyżowaniem było wierzbą.

– Powiedz mi raz jeszcze, dlaczego Swan cię tutaj zabrała? – zapytał Shukra, gdy weszli do budynku.

– Pomogłem jej uniknąć porwania, kiedy pojawiła się w mojej okolicy. Chciała się zrewanżować.

– Prosiłeś, żeby cię tutaj zabrała?

– W pewnym sensie.

Shukra potrząsnął głową kilka razy. – Zatem jesteś szpiegiem.

– Co masz na myśli?

Shukra zerknął na niego przenikliwie.

– W tej chwili jesteś jej szpiegiem, niezależnie, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie. Dowiemy się podczas testów. A po nich będziesz moim szpiegiem.

– Po co jej tutaj szpieg?

– Swan była blisko związana z Lwicą Merkurego, a po śmierci Alex zaczęła podróżować. Zupełnie tak samo jak Lwica. A Merkurianka zawsze utrzymywała tu całą armię szpiegów. Sprawdźmy zatem, co wykażą testy.

Kiran poczuł, że serce mu łomocze, ale trzech osiłków otoczyło go i nie miał wyboru, musiał udać się do sąsiedniego pokoju. Ten przypominał gabinet w klinice. Okazało się także, że testy niewiele różniły się od szczegółowych badań lekarskich, co chłopak przyjął z ulgą. Ale chociaż testy medyczne były w porządku, sytuacja wcale do takich nie należała.

Pod koniec dnia eskorta doprowadziła go przed oblicze Shukry. Shukra przyglądał się plikom wyświetlonym na konsoli, zapewne wynikom testów Kirana. Kiedy się odezwał, skierował słowa tylko do eskorty:

– Wydaje się czysty, ale jakoś w to wątpię. Na razie użyjmy go jako przynęty.

Po tej decyzji Kiran został przydzielony do chińskiego zespołu pracowników, którzy mieszkali w budynku blisko krawędzi krateru. Niemal codziennie opuszczał miasto, aby pracować na powierzchni. Członkowie grupy nie mieli żadnej kontroli nad swoim życiem – szli tam, gdzie im kazano, robili to, co im kazano, i jedli, kiedy dostarczono jedzenie. Zupełnie jak w domu, przynajmniej dla Kirana.

Głupi mały pasek translacyjny, który dała mu Swan, stał się teraz jedynym towarzyszem, jakiego miał Kiran. Ludzie zerkali z zaskoczeniem lub podejrzliwością, kiedy chłopak używał urządzenia do komunikacji, ale dzięki translatorowi udało mu się przeprowadzić parę kilkunastominutowych rozmów, czyli więcej niż nic. Głównie jednak musiał sobie radzić sam w

tłumie i robić to, co reszta grupy w danym dniu. Ani razu po testach-badaniach nie spotkał Shukry, przez co miał poczucie, że oblał – choć pewnego dnia przyszło mu do głowy, że może wręcz przeciwnie.

W każdym razie wykonywał żmudną pracę, prawie zawsze poza Colette, w nieustannej zamieci, w jaką przekształcił się Wielki Deszcz. Grube płatki śniegu opadały na nowe morza suchego lodu, które miały zostać całkowicie pokryte pumeksovą skałą – a to stanowiło problem. Każdego dnia duże zespoły musiały pracować na gargantuicznych buldożerach i pługach, aby zsunąć śnieg z suchego lodu i umożliwić brygadam zajmującym się przenoszeniem pumeksu przejście i ułożenie warstwy skał, zanim napada na nią więcej śniegu. Podobno układanie pumeksu miało trwać ponad dziesięć lat, ale Kiran słyszał także wersję, że tylko rok, a ktoś twierdził, że praca będzie się ciągnąć przez sto lat. Nikt nie wiedział na pewno, a z tłumaczem trudno było śledzić dyskusję przy stołach podczas posiłków, zwłaszcza gdy dyskutanci próbowali obliczyć czas na swoich komputerach naręcznych. Dziesięć lat było jeszcze do przyjęcia, ale na myśl o wiecznej harówce Kirana przechodził dreszcz. Musiał nauczyć się chińskiego.

Sypiał w dormitorium. Okazało się to najbardziej zdumiewającym aspektem przydzielonego chłopakowi zajęcia, ponieważ ludzie tłoczyli się na długich materacach, które jego pasek translacyjny nazwał „*matratzenlager*” – dosłownie mniej więcej „materace długie jak pokój”, z zagłówkami i poduszkami, które zaznaczały umowną przestrzeń dla każdego śpiącego. W ciemności sprzyjało to kontaktom seksualnym, parę razy nawet z udziałem Kirana. A o poranku znowu zaczynało się od posiłku w kantynie, kolejki, aby otrzymać przydział i zająć miejsce w jednym z niezliczonych wehikułów transportowych, które jadą na bezkresną równinę, albo wsiąść do helikoptera wielkości odrzutowca pasażerskiego i polecieć na morze suchego lodu. Tam można było prowadzić buldożer, pług śnieżny, dmuchawę do śniegu

(nazywaną często smokiem), superwielką maszynę do wyrównywania i czyszczenia lodu (w skrócie ochrzczoną „zamboni”) albo któreś z urządzeń do cięcia lodu, bardzo podobnych do tych z Jersey, używanych do cięcia betonowych płyt i asfaltu, tyle że ze sto razy większych.

Po kilku tygodniach Kiran umiał obsługiwać każdą. Nie było to specjalnie skomplikowane, tak naprawdę głównie polegało to na mówieniu si, co robić – niczym kapitan statku. Dzień pracy wielotysięcznej ekipy pozwalał oczyścić wiele kilometrów kwadratowych suchego lodu. Za wielkimi maszynami nieuchronnie zza horyzontu wynurzały się potężne ładowarki do rozrzucania pumeksu. Wyglądały jak czarne baraki. Podobno drugi brzeg tego oceanu suchego lodu znajdował się sześć tysięcy kilometrów dalej.

Potem w ciągu następnych tygodni Kiran pracował na monumentalnym serwomechanizmie – odłamywał fragmenty nazywane płytami stegozaura i prznosił na pakę gigantycznego pojazdu transportowego. Praca na serwomechu należała do trudnych, wymagała ruchów całego ciała, jak taniec – nie wyczerpywała fizycznie, ponieważ jednak każdy ruch operatora był przenoszony i wielokrotnie wzmacniany, należało zachować ostrożność i najwyższą uwagę, jeżeli chciało się sprawić, żeby maszyna poruszała się zgodnie z życzeniem. Można to było uznać za interesujące albo tylko za harówkę polegającą na przenoszeniu i dźwiganiu, ale tak czy siak zajęcie bardzo męczące.

Pod koniec każdego dnia Kiran próbował nauczyć się chińskiego, a dokładniej – kantońskiego. Nikt, kogo tu spotkał, nie mówił po angielsku. Za nauczyciela miał tylko pasek tłumacza, ale i tak okazało się to trudne. Chłopak mówił zdanie do urządzenia, potem słuchał przekładu i próbował powtórzyć. Ale kiedy powtarzał frazy po chińsku, a tłumacz przekładał je na angielski, okazywało się, że nie wyszło. Nigdy nie wychodziło. Na przykład Kiran mówił: „Zepsuł mi się radar” dokładnie jak należało po chińsku, a

translator przekładał: „Nagle otwarcie spotkania powietrza”. Albo: „Skąd pochodzisz?” okazywało się: „Interpolowanie twojego lotosu”.

– Gdyby tylko! – zaśmiał się chłopak bez przekonania. – Chciałbym interpolować mój lotos, ale nie mam pojęcia, o co chodzi!

Pewnie kiedy próbował rozmawiać, ludzie słyszeli tylko bełkot szaleńca. Coś robił źle, tylko co?

– To trudny język – zauważył jeden z sąsiadów na materacu, gdy Kiran zaklął po kolejnej nieudanej próbie, choć wydawało mu się, że tym razem frazę zapamiętał dobrze.

I jak to zwykle bywa, przypadkowy dwujęzyczny znajomy został dobrym przyjacielem. Zaczęli rozmawiać. Kiran liczył, że trochę się też poduczy kantońskiego. Coraz lepiej wychodziły mu powitania i zwroty grzecznościowe, na przykład „Co słychać?” „Jak leci?” i podobne, a ludzie, z którymi się stykał, zaczynali je rozumieć. Coraz częściej też starali się mówić wolniej i odpowiadali Kiranowi.

Praca postępowała, choć zadanie należało do tytanicznych, tysiackroć większych od jakiegokolwiek przedsięwzięcia podejmowanego na Ziemi. Ale i tak różniło się tylko skalą od odśnieżania, więc może nie było powodów do chwały.

Raz chłopak wysłał wiadomość do Swan. Przekazał, że bardzo się cieszy z jej ocalenia po ataku na Terminatora, a przy okazji wspomniał, że ani razu od pierwszego spotkania nie widział Shukry. Parę tygodni później nadeszła odpowiedź: „*Spróbuj Lakszmi*” z załączonym adresem w wenusjańskiej chmurze danych.

Kiran trochę popytał. Imię Lakszmi, jak się przekonał, sprawiało, że ludzie milkli lub odwracali wzrok. Ogromna władza, równa tej, jaką mogła mieć Kleopatra. Lakszmi była sojuszniczką Shukry albo wrogiem, pytani tak naprawdę nie wiedzieli albo nie chcieli powiedzieć.



Zatem: może Swan chciała przenieść swojego informatora bliżej ośrodka dowodzenia. Albo próbowała mu pomóc.

Albo Kiran był zdany tylko na siebie.

# SPISY (VI)

...tajga (drzewa iglaste); las liściasty i mieszany (drzewa liściaste lub mieszanka drzew liściastych i iglastych); las tropikalny, pustynia, tundra, step, strefa wysokogórska, sawanna i chaparral, czasami nazywany krzewami i zaroślami twardolistnymi... to główne biomy na Ziemi

...miasta, wioski, pola uprawne, pastwiska, lasy oraz dzikie tereny to główne wzorce użytkowania przez Ziemiaków - antropopresja

wystarczy zmieszać i dopasować to, co powyżej, a otrzyma się 825 ekosystemów Ziemi:

450 na lądzie, 229 wodnych 65 procent z nich istnieje teraz tylko poza planetą

Wystarczy narysować układ osi x-y, aby stworzyć diagram biomów Whittakera, z opadem atmosferycznym zaznaczonym na

osi pionowej i temperaturą na poziomej. Biomy można umieścić na tym wykresie, powstanie wtedy wyraźnie zarysowana mapa wskazująca, jakiego rodzaju biomy powstają w określonych warunkach. Po lewej są bardziej gorące, po prawej - zimniejsze, wilgotne znajdują się wyżej, a suche - niżej. W ogólnym zarysie wygląda to tak:

Tropikalny las deszczowy

Tropikalny Tropikalny las mieszany

las mglisty

Sawanna Las liściasty strefy umiarkowanej Tajga

Pustynie Stepy i pustynie Tundra

podzwrotnikowe strefy umiarkowanej

Klasyfikacja może być bardziej wyszukana. 450 opisanych ziemskich ekosystemów przynależy do biomów nie tylko ze względu na temperaturę i ilość opadów, lecz także w zależności od kombinacji takich czynników, jak długość i szerokość geograficzna, topografia, geologia i innych...

...ekosystemy można wygodnie podzielić na biotopy nie większe od hektara...

...pomiędzy rokiem 1900 a 2100 wyginęło 34 850 znanych gatunków. Było to i jak dotąd pozostało szóste wielkie wymarcie w historii Ziemi...

...żadne wyginięcie teraz nie jest już nieuchronne (jednak zawsze do tej pory tak było)...

...wiadomo, że w Układzie Słonecznym istnieje 19 340 terrariów. Szacunkowo około 70% z nich funkcjonuje jako świąty zoo, poświęcone albo utrzymaniu i zachowaniu ekosystemów dla określonych roślin i zwierząt, albo tworzeniu nowych kombinacji, tzn. wniebowstąpięć...

...na Ziemi 92% gatunków ssaków jest dzisiaj zagrożonych lub całkowicie wytępionych - żyją głównie w pozaplanetarnych terrariach...

...kosmos: zoo, rezerwat  
modyfikator

# SWAN I INSPEKTOR

W sprawie Terminatora na plan pierwszy wysuwają się dwa problemy – powiedział pewnego wieczoru inspektor Genette, gdy lecieli ze Swan do pasa asteroid. Podróżowali z niewielką grupą funkcjonariuszy Interplanu i przedstawiciele Terminatora, ale często zostawali we dwoje w kantynie. Swan to lubiła – inspektor siadał na stole podczas posiłku, a potem kładł się na poduszcze, pozostawionej na blacie właśnie w tym celu, i pijąc drinka, podpierał się na łokciu, dzięki czemu mógł patrzeć towarzyszcze w oczy. Swan przypominało to trochę mówienie do kota.

– Tylko dwa? – zdziwiła się.

– Dwa. Po pierwsze, kto jest sprawcą, a po drugie, jak mamy znaleźć i złapać tego agenta, i nie skłonić innych do naśladowania pomysłu na atak. Tak zwany problem naśladowców, a w ogólniejszym znaczeniu: problem zapobiegania powtórkom takiego ataku. Uważam, że to ostatnie sprawiacz będzie największą trudność.

– A co z kwestią, jak dokonano ataku? – zapytała Swan. – Czy to nie stanowi problemu?

– Wiem, jak to się stało. – Inspektor wzruszył ramionami.

– Naprawdę?

– Tak mi się zdaje. Istnieje tylko jeden sposób, jak sądzę, i właśnie on został użyty. Nieważne, jak nieprawdopodobnie to wygląda, w tej sprawie nie

jest to ani trochę nieprawdopodobne. Muszę jednak przyznać, że wolę na razie o tym nie mówić, nie tutaj, gdzie wszystko rejestrowane jest przez qostki. – Genette uniósł dłoń, pokazując gruby, niemal podobny do qostki komputer naręczny, który zawierał Passepartout. – Zakładam, że kazałaś swojej qostce prowadzić stałe zapisy?

– Nie.

– Ale często?

– Chyba tak. Jak wszyscy.

– W każdym razie najpierw chcę sprawdzić parę rzeczy w pasie i zyskać pewność, że moja teoria ma sens. Porozmawiamy o tym dokładniej, kiedy znajdziemy się na asteroidach. Ale chciałbym, żebyś zastanowiła się nad tym drugim problemem. Oczywiście zakładając, że złapiemy sprawcę i wyjaśnimy, co zaszło, może podczas rozprawy... Jak zapobiec, aby nikt inny nie powtórzył takiego ataku? Myślę, że w tym mogłabyś mi pomóc.

• •

Podróżowali na terrarium *Mołdawia*, poruszającym się po trajektorii Aldrina. Miało dotrzeć na Westę w osiem dni. Wnętrze *Mołdawii* przeznaczone było do uprawy, ale po dniu ciężkiej pracy w polu podróżni mogli się zebrać w ośrodku wypoczynkowym usytuowanym na wysokim płaskowyżu i podziwiać stamtąd patchworkowy wzór zarówno na łuku, jak i na nieboskłonie – w odcieniach zieleni i złota zależnych od gatunku uprawianego zboża. Cudowny widok dla osób zajmujących się patchworkiem.

Swan większość czasu spędzała na dyskusjach z tutejszymi ekologami o problemach licznych chorób zbożowych. Inspektor Jean pozostawał w pokojach Interplanu, a kiedy terrarium mijало Marsa, spędzał czas na połączeniach i telekonferencjach z ludźmi przebywającymi na terrariach wokół Westy. Dopiero wieczorami Swan spotykała funkcjonariuszy Interplanu na

pośliskach, a potem do późna przesiadywała z Genette'em. Czasami rozmawiali o tym, co robiła za dnia. Miejscowi próbowali różnych odmian zbóż z kłosami lepiej zbierającymi wodę, badali też inną genetyczną modyfikację: mikroskopijne wylistki podobne do tych, które w skali makro wykształciły rośliny tropikalne – długie końcówki, szpice, które zdolne są przebić się przez napięcie powierzchniowe kropli i pozwalają spływać nadmiarowi zebranej wody.

– Chcę mieć takie wylistki w mózgu – stwierdziła Swan. – Wolę nie zatrzymywać niczego, co mnie rani.

– Życzę powodzenia – odparł uprzejmie mały inspektor, nie przerywając posiłku. Jadł sporo, jak na tak niewielką osobę.

Parę dni później *Mołdawia* dotarła do Strefy Westy, jednego z najbardziej zatłoczonych obszarów w pasie asteroid. Podczas *Accelerando* wiele terrariów przeniosło się w swoje sąsiedztwo, tworząc swoiste wspólnoty, a Strefa Westy należała do największych. Z *Mołdawii* wystartował prom z zespołem Interplanu na pokładzie, a kiedy pojazd wytracił przyśpieszenie blisko Westy, pasażerowie przesiedli się na statek Policji Interplanetarnej.

Kosmolot robił wrażenie – mały, ale szybki. Nazywał się *Chyża Sprawiedliwość*. W krótkim czasie Swan i funkcjonariusze Interplanu mknęli pod prąd w wielkiej rzece asteroid, zatrzymując się tylko raz czy dwa przy małych skałach, by inspektor Genette mógł porozmawiać z tamtejszymi mieszkańcami. Śledczy nie wyjaśnił powodów ani tematów tych rozmów, a Swan powstrzymywała się od pytań, gdy statek zwalniał przy *Orinoco Fantastico*, *Crimei*, *Złotej Dolinie*, *Irrawady 14*, *Trieste*, *Kampuczy* czy *Johnie Muirze*, ale przy *Winnipeg* po prostu musiała spytać.

– Wszystkie te małe światy miały ostatnio perturbacje na swoich orbitach – wyjaśnił śledczy. – Chciałem się dowiedzieć, czy odkryto ich przyczynę. – 1 co? Odkryto?

– W Strefie Westy nastąpiło ostatnio kilka gwałtownych odlotów i ludzie sądzą, że to najprawdopodobniej zepchnęło sąsiadów z kursu.

Sama Westa okazała się wcale spora, jak na asteroidę – sześćset kilometrów średnicy, mniej więcej kulista i całkowicie okryta, co sprawiło, że stanowiła największy przykład paraterraformowania metodą „zabańkowania”, czyli, jak nazwa wskazywała, polegającą na zbudowaniu nad powierzchnią ochronnej bańki. Zazwyczaj osłony okrywały tylko część powierzchni księżyców. Dawniej były to kopuły – i takie właśnie powszechnie stosowano na Kallisto, Ganimesie albo ziemskim Księżycu, ale satelity te należały do tak dużych, że nawet nie rozważano całkowitej osłony. Okrycie całego satelity powłoką jak kulą było wyższym stadium, opłacalnym sposobem uzyskania zewnątrz w stosunku do światów z powierzchnią mieszkalną wewnątrz. Swan uświadomiła sobie, że Terminator też stanowił przykład paraterraformowania, chociaż wcześniej nie myślała o mieście w takim aspekcie, zresztą żywiła uprzedzenie do światów zewnętrznomieszkalnych w pasie asteroid, ponieważ były słabo chronione przed wpływami z przestrzeni kosmicznej i miały niską grawitację w porównaniu z tymi, które wydrążono i zakrecono.

Ale Westa z niewielkiej odległości wyglądała dobrze. Było to miejsce z pogodą i niebem (osłona znajdowała się dwa kilometry nad powierzchnią), a Pauline powiedziała Swan, że Westalczykom udało się stworzyć tajgi, kosodrzewinę, tundry, stepy i wiele arktycznych pustyń. Wszystko to w bardzo niskim ciśnieniu, co znaczyło, że ludzie mogliby tu niemal latać i tańczyć w puszystym, zwiewnym pejzażu zimy. Wcale nie taki zły pomysł.

Dlatego Swan chciała odwiedzić Westę, Genette jednak wybrał inny cel i kiedy dołączyło kilkoro ludzi z Interplanu, kosmolot skierował się do pobliskiego terrarium nazywanego *Yggdrasil*.

Podczas podchodzenia do *Yggdrasila* Swan dostrzegła, że to kolejne terrarium przypominające kształtem ziemniak, ale ciemne i pozbawione

rotacji.

– Jest opuszczone – wyjaśnił inspektor. – Stara sprawa.

W służbie skoczka Swan podpłynęła do wieszaka ze skafandrami, ubrała się, wykonując przy tym zgrabne pleie, po czym ruszyła za Genette em i kilkoma śledczymi z Interplanu w pustkę.

*Yggdrasil* był standardowym wewnętrznym światem, długim na około trzydzieści kilometrów. Ludzie dostali się do środka przez wielki otwór pozostawiony na rufie, skąd usunięto sterownik masy. Wpłynęli powoli, używając silniczków przy skafandrach do utrzymania pionu. Swan i Genette lecieli obok siebie – wyglądali zapewne jak para posągów faraonów, na których siostra-żona sięgała monarsze do kolan.

W asteroidzie zatrzymali się wszyscy równocześnie. Wewnątrz panowała absolutna ciemność, rozproszona tylko punktowymi wiązkami reflektorów na hełmach. Swan bywała w terrariach podczas budowy, ale to ich nie przypominało. Genette rzucił przed siebie jasną lampę i szarpnął się, aby przeciwdziałać sile odrzutu. Źródło światła popłynęło przez pustą przestrzeń, całkiem nieźle oświetlając cylinder.

Swan obróciło nieco, gdy zaczęła się rozglądać. Terrarium tak zduszone i opuszczone... Zalała ją fala uczuć, zapewne na wspomnienie nieszczęsnego Terminatora – przytknąwszy pięść do twarzoosłony, nieświadomie jęknęła.

– Tak. – Niewielka srebrzysta postać zawisła tuż obok. – Nastąpił tu nagły spadek ciśnienia. Bez żadnych ostrzeżeń. *Yggdrasil* był chondrytowo-lodowym konglomeratem, bardzo powszechnym wśród asteroid. Śledztwo po wypadku ujawniło, że niewielki meteor przypadkowo uderzył w niewykrywalne pęknięcie powłoki i spowodował, że lód w tym miejscu wyparował, a to doprowadziło do katastrofального spadku ciśnienia wewnątrz terrarium. Nie pierwszy raz, podobne wypadki się zdarzają, lecz tej asteroidzie przyznano klasę potrójnego A. Zazwyczaj popękane ciała niebieskie plasują się



w kategoriach B lub C, a zasiedlanie ich jest nierozważne. Dlatego zacząłem przeglądać stare sprawy z podobnych wypadków, szukając powiązań, a potem uznałem, że muszę zobaczyć *Yggdrasila*. Głównie z zewnątrz, ale najpierw zerknę od środka.

– Wielu ludzi zginęło?

– Tak, około trzech tysięcy. To stało się bardzo szybko. Niektórzy mieli szczęście, przebywali akurat w zabudowaniach albo mieli pod ręką skafandry. Niektórym udało się schronić w śluzach. Pozostali, całe miasto-państwo, zginęli. Ocaleni zdecydowali, że *Yggdrasil* pozostanie pusty jako pomnik ku pamięci ofiar.

– Więc teraz to cmentarz.

– Właśnie. Jest tu gdzieś tablica pamiątkowa, chyba po drugiej stronie. Ale chcę się przyjrzeć pęknięciu.

Inspektor po skonsultowaniu się z Passepartout poprowadził Swan do bulwaru i ulic na ścianie cylindra. Wymarłe miasto rozmiarami dorównywało chyba Paryżowi, z szerokimi przecznicami przecinającymi trapezowe dzielnice cztero- i pięciopiętrowych domów.

Opadli na powierzchnię wśród poszarpanych chodników i zwałonych budynków. Krajobraz wyglądał jak na zdjęciach japońskich miast po trzęsieniu ziemi. Najstraszniejszy był panujący tu bezruch.

– Przecież wokół jest mnóstwo asteroid nikło-żelazowych, czemu wydrążono skalno-lodową? – zdziwiła się Swan.

– Też się zastanawiałem. Ale wypróbowano kilka konglomeratowych i okazało się, że doskonale się sprawdzają. Można utrzymać dość grube ściany, którym nie przeszkadza ani rotacja, ani ciśnienie atmosferyczne wewnątrz, i to z ogromnym marginesem wytrzymałości. Teoretycznie takie asteroidy powinny się sprawdzić i praktycznie tak się stało. Ale ta pękła. Malutki meteor uderzył w najbliższy punkt.

Przelecieli nad obszarem, gdzie wskutek pęknięcia odłamały się i potoczyły dalej wielkie kawałki betonu, po których pozostała głęboka rozpadlina. Wyrwa otwierała się na przestrzeń, Swan dostrzegła przez nią gwiazdy.

■ ■

Pozostawili zniszczone ulice i wrócili do wyjścia na rufie terrarium. Na zewnątrz walca podlecieli do powierzchni, używając silniczków w skafandrach, a potem, skacząc w miniciężeniu asteroidy, dotarli do pęknięcia. Swan spędziła sporo czasu w podobnych warunkach, gdy projektowała ekosystemy, dostrzegła więc, że inspektor Genette radzi sobie z wprawą mistrza. Nie dziwiło to jednak u kogoś, kto miał kwaterę główną w pasie asteroid.

Kiedy dotarli do rozpadliny, zastali tam już zespół Interplanu przy pracy.

Genette wykonał kilka baletowych piruetów i obrócił się, aby spadać głową w dół, po czym zaczął robić zdjęcia rozpadliny. Inspekcja kilku małych otworów po obu stronach pęknięcia została wykonana w gimnastycznej stójce na jednej ręce, gdy przyłbica hełmu malutkiego śledczego znajdowała się zaledwie parę centymetrów od skały.

Inspektor oznajmił po chwili:

– Chyba mam to, czego szukałem.

Swan podleciała bliżej, przyglądając się pozostałym przy pracy.

– Masz wszczepioną pod czaszkę qostkę, prawda? – zapytał Genette.

– Tak. Pauline, przywitaj się z inspektorem Genetteem.

– Witam, inspektorze Genette.

– Możesz ją wyłączyć? – zapytał śledczy.

– Oczywiście, że tak. Ty też wyłączysz swoją?

– Tak. O ile rzeczywiście tak się stanie. – Pomimo twarzoosłony Swan dostrzegła ironiczny uśmiech towarzysza. – W porządku, Passepartout jest wyłączona. A Pauline?

Swan posłusznie przycisnęła wyłącznik dotykowy umieszczony pod skórą po prawej stronie szyi.

– Również.

– Doskonale. Teraz możemy porozmawiać nieco bardziej otwarcie. Powiedz mi, czy kiedy qostka jest włączona, rejestruje i zapisuje wszystko, co widzisz i słyszysz?

– Zazwyczaj tak. Oczywiście.

– A czy ma bezpośredni kontakt z innymi qostkami?

– Bezpośredni kontakt? Znaczą splątanie kwantowe?

– Nie, nie. Dekoherecja sprawia, że to niemożliwe, przynajmniej tak twierdzą specjaliści. Miałem na myśli kontakt radiowy.

– Pauline ma nadajnik i odbiornik radiowy, ale selekcionuję jej przekazy.

– Na pewno?

– Tak mi się zdaje. Ustalam zadania, a Pauline je wykonuje. Mogę sprawdzać jej zapisy, jeżeli chcę wiedzieć, co dokładnie robiła.

Niewielka srebrzysta postać z powątpiewaniem pokręciła głową.

– Z twoją qostką nie jest tak samo? – zainteresowała się Swan.

– Chyba – odparł Genette. – Po prostu nie mam pewności co do qostek, które nie są Passepartout.

– Dlaczego? Podejrzewasz, że qostki są wmieszane w to, co stało się tutaj? Albo na Merkurym?

– Właśnie.

Popatrzyła z zaskoczeniem na figurkę obok niej, przypominającą lalkę ubraną w kombinezon kosmiczny... i trochę z obawą. Głos małego brzmiał w uszach Swan dzięki systemom nagłośnienia w hełmie, rozlegał się niemal w niej, podobnie jak głos Pauline. Czysty wysoki kontralt, przyjemny i radosny.

– Dostrzegłem sporo niewielkich kraterów po każdej stronie pęknięcia. Jak

ten. – Genette wskazał palcem i zielona kropka lasera pojawiła się na krawędzi niewielkiego otworu, po czym zatoczył krąg wokół wyrwy i znów na środku wgłębienia. – Widzisz to? A to? – Inspektor zatoczył wskaźnikiem wokół kolejnego. Były bardzo małe. – Są dość świeże, mogły powstać podczas pęknięcia lub zaraz po.

– Zatem to ślady po erupcji.

– Nie. Grawitacja tutaj jest tak niska, że eiekamenty rzadko opadają. A gdyby nawet, co najwyżej zarysowałyby powierzchnię. A te otwory są głębsze.

Swan skinęła głową. Na nierównej pokrywie asteroidy wałało się mnóstwo odłamków skalnych.

– A jak nazwano te kraterzy w raporcie powypadkowym?

– Anomaliami. Spekulowano, czy mogą to być pęknięcia wtórne, powstałe z lodu, który stopniał gwałtownie przy uderzeniu. Możliwe. Ale przeglądałeś raport z wypadku Terminatora, prawda?

– Tak.

– Pamiętasz, że tam również wspomniano o anomaljach? Coś , spadło na trakcję, ale uderzenie nie było czyste. Powstały poboczne kraterzy, bardzo małe, których nie było przed zdarzeniem. Rzecz jasna, na Merkury to mogą być wyrzuty wywołane eksplozją, bez wątpienia, ale...

– Czy ten obiekt nie mógł się rozpaść pod wpływem uderzenia?

– Tak się dzieje zwykle wtedy, gdy jest atmosfera, która go rozgrzewa i spowalnia.

– A grawitacja na Merkury nie mogła tego zdziałać?

– Efekty byłyby pomijalne.

– No to nie wiem, może obiekt się nie rozpadł?

Mały inspektor skinął głową.

– Właśnie. Tak się stało.

– To znaczy?

– Obiekt się nie rozpadł. W rzeczy samej były to obiekty i spadły razem.

– Czyli?

– Czyli to nie był wcale konglomerat, przynajmniej nie do ostatniej chwili. Dlatego właśnie instrumenty na Merkuryum go nie wykryły. Powinny go widzieć, musiał skądś nadlecieć, a jednak prześlizgnął się przez systemy obserwacyjne. Jak dla mnie, wskazuje to na problem npc. Najniższy Próg Czułości. Zawsze istnieje granica czułości, albo wynikająca z metody pomiaru, albo sztucznie podniesiona nad rzeczywiste minimum.

– Dlaczego tak się robi?

– Zwykle po to, aby uniknąć nieustannych alarmów, gdy praktycznie nie ma zagrożenia.

– Ach.

– Każdy system jest inny, ale na Merkuryum w urządzeniach wykrywających poziom czułości pomiarowej instrumentów jest prawie równy granicznej wartości, jaka wynika z metody pomiaru. Ale, rzecz jasna, poziom czułości ustawiono na dwukrotnie wyższy niż poziom minimalny, co stanowi sześć- lub siedmiokrotną wartość odchylenia standardowego zmiennych pomiaru. To typowe ustawienie, które daje ludziom poczucie wygody, systemy wówczas generują mniej fałszywych alarmów, zarówno negatywnych, jak i pozytywnych. A co wynika z takiego ustawienia? Przyrządy nie reagują tylko na niewielkie obiekty, kamienie, odłamki skalne o masie mniejszej niż kilogram. Lecz jeżeli takich kamyków byłoby wiele i zebrałyby się w ostatniej sekundzie przed uderzeniem, a wcześniej nadleciałyby z różnych kwadrantów nieba i z różną prędkością, ale tak obliczoną, że wszystkie trafiłyby do jednego miejsca w tym samym czasie... Wtedy do ostatniej sekundy będą tylko kamykami. Mogłyby zostać wystrzelone z najdalszych zakątków Układu Słonecznego, może nawet na przestrzeni wielu lat. A jednak, jeżeli zostały precyzyjnie rzucone, w końcu się spotkają w ustalonym miejscu

i czasie. Przypuszczam, że było ich pewnie z tysiące.

– Sprytny tłumek.

– Nawet nie tłumek. Garść kamieni.

– I można to zrobić? W sensie: czy ktoś zdołałby obliczyć, z jaką siłą i po jakiej trajektorii wystrzelić każdy odłamek?

– Qostki to potrafią. W Układzie Słonecznym jest dość zidentyfikowanych i opisanych obiektów pod względem masy, lokalizacji i trajektorii. Istnieje też wystarczająca moc obliczeniowa, aby dokonać takiej kalkulacji. Poprosiłem Passepartout o rozwiązanie podobnego zadania, obliczenie orbit dla obiektu przypominającego łożysko kulkowe z elementami wielkości piłki tenisowej. Obiekt miał zostać wyrzucony z pasa asteroid i trafić w określony punkt na powierzchni Merkurego. Nie zajęło to dużo czasu.

– Ale czy takie wystrzelenie jest możliwe? To znaczy czy można zbudować wyrzutnię, która będzie strzelać takimi odłamkami z wymaganą precyzją?

– Passepartout stwierdziła, że skonstruowano już urządzenia ze zdolnością pomiaru dwukrotnie lub trzykrotnie większą, niż to konieczne. Potrzebna by była jedynie stabilna platforma podtrzymująca wyrzutnię. Im bardziej stabilna, tym lepsza, aby uzyskać jak największą zgodność.

– Nieźle – przyznała Swan. – Ilu obiektom można wyznaczyć takie trajektorie?

– Zdaje się, że rozwiązanie Passepartout obejmowało z grubsza dziesięć milionów odłamków z Układu Słonecznego.

– I wiadomo, gdzie każdy z nich się znajduje?

– Tak. Co znaczy, że tak naprawdę wiedzą to tylko sztuczne inteligencje. I wszystkie większe terraria oraz statki kosmiczne dostosowują się do tras ustalonych przed laty. A jeżeli chodzi o obliczenia, potrzeba qostki, aby można to zrobić w rozsądnym czasie, co znaczy na tyle szybko, aby użyć wyników w czasie rzeczywistym i wydawać na ich podstawie rozkazy

dotyczące lotu.

– Ile trwają takie obliczenia?

– Dla qostki o podobnych parametrach jak Passepartout trzy sekundy. Dla przeciętnej si około roku na każdy kamyk, co eliminuje metodę jako niepraktyczną, rzecz jasna. Aby tego dokonać, trzeba mieć qostkę.

Swan poczuła mdłości, jakby znowu znalazła się w podziemnym tunelu naprawczym na Merkurym.

– Czyli można, przykładowo, wystrzelić dziesięć tysięcy małych skalnych odłamków przez Układ Słoneczny w ciągu paru miesięcy lub lat w określonym kierunku i z określoną prędkością, aby wszystkie dotarły do jednego punktu w tym samym czasie.

– Tak. Stochastyczne fluktuacje grawitacyjne bez wątpienia mogą wprowadzić pod koniec drobny rozrzut. I jeżeli tak się stanie, te kamyki nie trafią tam, gdzie należy.

– Ale niektóre chybią zaledwie o włos.

– Właśnie. I wtedy powstaną takie małe otwory, jakie widzieliśmy na powierzchni *Yggdrasila*. Rozrzut wywołany zapewne przez statek kosmiczny, który zmienił plan lotu albo podobne okoliczności. Mniej więcej dwa lub trzy procent kamyków ulegnie takiej parenklizie, a przynajmniej tak szacuje Passepartout.

W żołądku Swan supel się zacisnął.

– Zatem to celowe działanie. – Wskazała na opuszczone terrarium.

– Owszem. Na dodatek jest w nie zaangażowana qostka.

– Cholera. – Swan przycisnęła dłoń do brzucha. – Ale jak... jak ktoś mógłby...

Malutki inspektor położył jej rękę na ramieniu. *Yggdrasil* przepływał pod nimi, zimny i martwy. Szary ziemniak.

– Wracajmy na *Sprawiedliwość*.

Po posiłku na pokładzie skoczek Interplanu Swan została w kantynie. Nie mogła przestać myśleć o tym, co usłyszała od inspektora Genette'a. Mały śledczy przyłączył się do niej przy stole.

– Z tego wszystkiego wynika, że ktoś mógł...

Genette ostrzegawczo uniósł dłonie.

– Wyłącz najpierw qostkę – zażądał.

Kiedy oboje wyłączyli swoje komputery, Swan podjęła przerwana myśl:

– Z tego wszystkiego wynika, że ktoś mógł to zrobić wiele lat temu.

– A przynajmniej parę lat temu. W jakimś niedługim okresie.

– I nie był to strzał z jednego miejsca.

– Nie. I może nadal istnieje mechanizm wyrzutowy. Broń lub katapulta, czy cokolwiek to jest, na pewno bardzo precyzyjne urządzenie. Produkt wyjątkowej jakości. Marginesy błędu szacowane przez Passepartout musiały być naprawdę małe, a to wymagałoby molekularnego drukowania i podobnych metod. Może uda się znaleźć fabrykę, która wykonała coś tak wyjątkowego, szukamy. Wtedy może uda się dotrzeć do zleceniodawcy.

– Co jeszcze? – zapytała Swan.

– Szukamy programu dla fabryki oraz schematu konstrukcyjnego urządzenia. To instrukcje, które należy zapisać, wydrukować. A także aplikacji zawierającej dane orbit potrzebne do obliczeń. Komputery nie wykonują takich zadań bez rozkazu, a przynajmniej tak dotychczas zakładaliśmy. O ile wiem, qostką, która zrobiła obliczenia, powinna je mieć u siebie zapisane. Prawdopodobnie więc ten plik nadal gdzieś istnieje. Istnieje też skończona liczba fabryk produkujących qostki.

– Czy sprawca lub sprawcy nie powinni zniszczyć takiej qostki, po tym jak wykonała swoje zadanie?

– Może, ale nie ma powodu zakładać, że tak się stało.

Przerazająca myśl.



– Musimy szukać qostki, programu do obliczania orbit, programu dla fabryki, a także samej fabryki oraz wyrzutni i czegokolwiek, co mogło posłużyć za platformę dla wyrzutni.

Swan zmarszczyła brwi.

– To wszystko można zniszczyć albo bardzo łatwo zamaskować, wyczyścić.

– Racja. Bardzo szybko docierasz do sedna problemu. A jeżeli stało się tak, jak mówisz, śledztwo zmieni się w żmudne przeglądanie danych i zapisów, czyli zajęcie w sam raz dla moli książkowych. Nasza praca w Interplanie często do tego właśnie się sprowadza. – Genette uśmiechnął się ironicznie. – Nie zawsze to dramatyczne akcje, jakie czasami pokazuje się w mediach. – I dobrze. Ale gdy Interplan prowadzi poszukiwania, co jeszcze pozostaje do zrobienia? Co ja mogę zrobić?

– Możesz przyrzeć się sprawie z innej perspektywy. A ja chętnie się do ciebie przyłączę.

– Z innej perspektywy?

– Motywu.

– Ale jak można to ustalić? I jeżeli się ustali, jak zlokalizować sprawcę? Jego postępek jest chory, na samą myśl robi mi się niedobrze. To zło.

– Zło!

– Tak, zło!

Genette wzruszył ramionami.

– Emocje na bok, założmy tylko, że takie postęпки są rzadkością. A zatem mogły pojawić się oznaki.

– Że ktoś nienawidzi Terminatora? Że ktokolwiek może być zdolny do niszczenia światów?

– Właśnie. To nie jest powszechnie spotykane zachowanie. Dlatego powinno się wyróżniać. Poza tym może to akcja polityczna, jak zamach terrorystyczny lub wojna. Miałyby wtedy przekazać jakąś wiadomość,

przesłanie albo wymusić określone działania. I po tym właśnie możemy wyśledzić, kto za nią stoi. –

Swan znowu poczuła ucisk w żołądku.

– Szlag... To znaczy... W kosmosie nigdy nie było... woj-wojny. Udało się nam bez niej obejść.

– Do dziś.

To sprawiło, że Swan zamilkła. Od pokolenia wśród przestrzeniowców pojawiały się ostrzeżenia, że konflikt pomiędzy Ziemią a Marsem może doprowadzić do wojny albo Ziemia ze swoimi wewnętrznymi kłopotami może pociągnąć za sobą resztę Układu Słonecznego. Lokalne wojenki i ataki terrorystyczne oraz akcje sabotażowe na nieszczęsnej Ziemi nigdy się nie kończyły, a Swan czasami się zastanawiała, czy utrwalanie przekonań, że konsekwencje upadku Ziemi rozciągną się na cały Układ Słoneczny, nie jest działaniem celowym dyplomatów, którzy w ten sposób starają się podnieść swój prestiż i zwiększyć budżety. Dyplomacja jako niezbędny środek do osiągnięcia i utrzymania pokoju w Układzie na krawędzi – bardzo wygodna sytuacja dla polityków. Ale co będzie, jeżeli to stwierdzenie okaże się prawdą?

– Przypuszczam – zaczęła ostrożnie Swan – że przestrzeniowcy wiedzą dość, aby uniknąć wojny. Wiedzą, że kiedy raz się uda, wszystko będzie dobrze. Lepiej.

– Nie bądź głupia – stwierdził ostro inspektor.

Swan zacisnęła zęby. Z wysiłkiem opanowała emocje, zanim się odezwała:

– Ale to musi być jakiś psychopata. Ktoś, kto stracił rozum i zabija, bo po prostu może.

– Są tacy – przyznał Genette. – A jeżeli jeden z nich zdobył qostkę:

– Przecież każdy może mieć qostkę!

– Nie, nie każdy. Nawet nie każdy w kosmosie. Qostki są śledzone od opuszczenia fabryk i teoretycznie wszystkie można w dowolnym momencie

zlokalizować. A ta, która została użyta do wykonania obliczeń, musiała dostać odpowiedni program, jak już mówiłem. W jej pamięci powinny więc być zapisy tego, co zrobiła.

– Ale przecież są też niezrzeszeni i oni też mogą produkować qostki...?

– Mogą. Zapewne.

– Więc jak znajdziemy taką qostkę albo osobę, która ją zaprogramowała?

– Albo grupę.

– Tak. Albo nawet naród lub świat!

Genette ponownie wzruszył ramionami.

– Muszę porozmawiać znowu z Wangiem, ponieważ jego qostka to naprawdę potężny komputer. Do tego Wang ma największą bazę danych dotyczącą niezrzeszonych. I został zaatakowany przez tę samą siłę. Choć przyznam, że trochę się boję rozmowy z jego qostką, ponieważ obserwujemy tak wiele oznak dziwnego zachowania komputerów kwantowych... Jakby teraz miały już wolną wolę albo też rozkazano im robienie czegoś, czego nigdy wcześniej nie robiły. Niektóre z qostek, jakie monitorowaliśmy, wymieniają teraz wiadomości, z czym nigdy dotąd się nie spotkano.

– Chcesz powiedzieć, że nastąpiło splątanie?

– Nie. To wydaje się naprawdę niemożliwe z powodu dekoherencji. Qostki używają do komunikacji fal radiowych jak wszystkie inne urządzenia, ale przekazy są wewnętrznie zaszyfrowane po każdej stronie przy użyciu superpozycji. To naprawdę skuteczny szyfr, nie do odwrócenia, nawet jeżeli użyjemy własnych qostek do prób i złamania kodów. Właśnie dlatego staram się, aby ta dyskusja nie dotarła do żadnej qostki w szczególności i wszystkich w ogólności, jak długo się da. Nie wiem, którym z nich mogę ufać.

Swan pokiwała głową.

– Przypominasz w tym Alex.

– Zgadza się. Dużo z nią o tym rozmawiałem i mieliśmy podobne zdanie.

Nauczyłem ją paru procedur, które warto stosować. Teraz muszę pomyśleć, co dalej i jak najlepiej skontaktować się z Wangiem i jego superqostką. Możliwe, że wyjaśnienie tego, co się stało, jest cały czas w jej zasobach, ale niezauważone, ponieważ nie otrzymała polecenia, żeby to wyszukać. Wbrew pogłoskom o bałkanizacji nadal zapisujemy dzieje świata na takim poziomie szczegółowości, że obejmuje ona każdego człowieka i qostkę. Dlatego żeby znaleźć sprawcę, musimy tylko zapoznać się z historią Układu Słonecznego sprzed paru lat. Odpowiedzi na nasze pytania powinny się tam znajdować.

– Chyba że pochodzą ze światów niezrzeszonych – zauważyła Swan.

– Tak, owszem, ale Wang także o nich ma sporo danych.

– Jednak nie chcesz, żeby jego system zapisujący wiedział, o co pytasz – stwierdziła Swan. – Na wypadek gdyby to on okazał się sprawcą.

– Właśnie.

Po tej rozmowie Swan nieustannie czuła się źle. Ktoś celowo zniszczył jej miasto – a jednak nie trafił dokładnie, dzięki czemu mieszkańcom udało się uratować, wszystkim poza osobą, która zmarła podczas paniki przy ewakuacji, oraz nieszczęśnikami z koncertu, zabitymi uderzeniem.

Czy to dobrze? Swan nie wiedziała, co ma myśleć – czy to dobrze, że uderzenie chybiło i nie trafiło bezpośrednio w Terminatora?

Skończyło się na rozmowie o tym z Pauline. Swan wpadła na pomysł, że powinna sprawdzić qostki, a Pauline stanowiła doskonałą próbkę testową. I oto była, nareszcie, głos w uszach Swan i uważny słuchacz wszystkiego, co Swan mówiła. Zresztą nie da się uniknąć tego, że Pauline wcześniej czy później o wszystkim się dowie.

Więc co za różnica?

– Wiesz, o czym rozmawiałam z inspektorem Genetteem, kiedy cię wyłączyłam?

– Nie.

– A możesz zgadnąć?

– Mogliście rozmawiać o wypadku *Yggdrasila*, ponieważ oglądaliście pozostałości po tym terrarium. To zajście przypomina pod wieloma względami wydarzenie z Terminatora. Jeżeli w obu przypadkach były to celowe ataki, to ktokolwiek je przeprowadził, musiał użyć komputera kwantowego do obliczenia zestawu trajektorii. Jeżeli natomiast inspektor Jean Genette wierzy, że komputery kwantowe są w to wmieszane, nie życzy sobie, aby którykolwiek dowiedział się o szczegółach dochodzenia. To przypomina wysiłki Alex, aby niektóre obrady odbywały się bez świadków i bez zapisów przez si, komputery kwantowe lub urządzenia cyfrowe. Zakładać należy, że jeżeli komputery kwantowe komunikują się zaszyfrowanymi przekazami radiowymi, to mogą knuć plany działań szkodliwych dla ludzi.

Dokładnie jak podejrzewała Swan: Pauline mogła wydedukować, o co chodzi. Bez wątpienia inne qostki również, włączywszy Passepartout należąca do Jeana Genette'a i zaprogramowaną do badań miejsc zbrodni oraz z całą pewnością do wykrywania podejrzanych. Jeżeli to, jeżeli tamto... – ile miliardów razy na sekundę? Mogło to przypominać program grający w szachy, który udowodnił, że potrafi zwyciężać w tej właśnie grze z nadludzką skutecznością. A to znaczyło, że bez sensu było wyłączać qostki tylko przy niektórych rozmowach.

Z czego wynikało, że Swan może spokojnie powiedzieć:

– Pauline, gdyby obliczało się trajektorię obiektu, który miałyby uderzyć w Terminatora i go zniszczyć, ale zapomniano się przy tym w rachunkach uwzględnić efekty relatywistyczne w precesji Merkurego i wykorzystało się tylko klasyczne równania opisujące ruch po orbicie, to o ile uderzenie by chybiło? Przy założeniu, że obiekt został wystrzelony z pasa asteroid rok wcześniej. Spróbuj różnych punktów startowych i trajektorii oraz czasów, zarówno wykorzystując równania teorii względności przy precesji, jak i nie.

Pauline odpowiedziała:

– Precesja Merkurego wynosi 5603,24 sekund kątowych na stulecie słoneczne, ale ta część spowodowana przez zakrzywienie czasoprzestrzeni, jak to opisuje ogólna teoria względności, wynosi 42,98 sekund kątowych na stulecie. Każda zakładana trajektoria obliczana bez uwzględnienia tego czynnika będzie zatem błędna i obiekt chybi o 13,39 kilometra.

– I o tyle mniej więcej chybiono. – Swan znowu zrobiło się niedobrze.

– Ponieważ chodzi o precesję, obiekt powinien chybić i spaść na wschód od miasta, nie na zachód.

– Och... – zmieszała się Swan. – Czyli że...

Nie wiedziała, co ma o tym sądzić. Z pomocą przyszła jej Pauline:

– Zwyczajne programy obliczające orbity dla tras komunikacyjnych na obszarze planet wewnętrznych rutynowo wykorzystują ogólną teorię względności jako coś oczywistego. Nie trzeba zatem pamiętać o jej uwzględnianiu w równaniach. Jeżeli jednak ktoś, kto o tym nie wiedział, próbował zaprogramować trajektorię uderzenia bez użycia ogólnie dostępnych szablonów, to mógł dodać efekty relatywistyczne do obliczeń, w których już je uwzględniono. W takim przypadku, jeżeli wyceluje się dokładnie w miasto, powstanie błąd i obiekt uderzy o 13,39 kilometra dalej na zachód.

– Ach. – Swan czuła się coraz gorzej. Rozejrzała się, gdzie mogłaby usiąść. Terminator to jedno, ale mieszkający tam ludzie to zupełnie co innego: jej rodzina, jej znajomi... I pomyśleć, że ktoś chciał ich wszystkich zabić... – To... To wygląda na błąd popełniony przez człowieka.

– Tak.

Tego wieczoru w kantynie Swan znowu została sam na sam z inspektorem Genette'em. Mały śledczy znowu siedział na blacie i jadł winogrona.

– Odkąd powiedziałeś mi o deszczu odłamków, zastanawiałam się, czy nie wycelowano ich bezpośrednio w Terminatora, ale popełniono błąd. Jeżeli

sprawca nie wiedział, że standardowe algorytmy uwzględniają efekty relatywistyczne w precesji Merkurego, i dodał te efekty do obliczeń, to uderzenie musiało chybić i obiekt spadłby na zachód od miasta w odległości, w jakiej rzeczywiście to nastąpiło.

– Interesujące. – Genette spojrział na Swan uważnie. – Innymi słowy, błąd w programowaniu. Zakładałem, że celowo chybiono, mówiąc obrazowo, że to taki strzał ostrzegawczy. Muszę się nad tym zastanowić.

Minęła chwila, zanim śledczy odezwał się znowu:

– Rozmawiałaś o tym ze swoją Pauline.

– Owszem. Zresztą sama wydedukowała, o czym ogólnie rozmawialiśmy, gdy ją wyłączyłam. Passepartout na pewno też potrafi tego dokonać.

Genette zmarszczył brwi, ale nie mógł zaprzeczyć. – Nie wierzę, że ktoś chciałby zabić tylu ludzi – podjęła Swan. – Ani że to zrobił, choć *Yggdrasil* jest tego dowodem. A przecież tak wielka przestrzeń jest dostępna... I naprawdę wiele wszystkiego. To znaczy jesteśmy w czymś, co nazywa się postkryzysem. Więc nie rozumiem. Mówisz o motywie, ale w sensie fizjologicznym dla wydarzeń jak na *Yggdrasilu* takiego motywu nie ma. Pewnie oznacza to, że diabeł naprawdę istnieje. Sądziłam, że to tylko dziwaczne pojęcie religijne, ale chyba się myliłam. I ta wiedza budzi we mnie mdłości.

Atrakcyjną twarz małego inspektora zmarszczył lekki uśmiech.

– Czasami wydaje mi się, że to właśnie w czasach po niedostatku panoszy się diabeł. Wtedy zawsze łatwo złożyć wszystko na karb żądzy lub strachu. Można uwierzyć, jak pewnie ty to czynisz, że kiedy strach i żądza miną, znikną też złe uczynki. Ludzkość objawi się jako jakieś stado bonobo, altruistycznie współpracujące i kochające wszystkich.

– Właśnie! – wykrzyknęła Swan. – Czemu nie?

Genette ze znużeniem wzruszył ramionami.

– Może strach i żądza nigdy nie przemijają. Potrzebujemy czegoś więcej niż jedzenia, picia i schronienia. Wydaje się, że należy zaspokoić właśnie te nasze zasadnicze potrzeby, determinanty, ale wielu dobrze odżywionych obywateli przepełnionych jest wściekłością i strachem. To malowany głód, jak mówią Japończycy. Malowany strach, malowane cierpienie. Wściekłość niewolnika. Wola to kwestia posiadania wolnego wyboru, ale niewola to brak wolności. Dlatego zniewolone dusze czują się zbezczeszczone, mają poczucie winy przejawiające się w przemocy skierowanej na zewnątrz. W takiej sytuacji musi stać się coś złego. – Kolejne wzruszenie ramion. – Zresztą nieważne, czym to wyjaśnić, ludzie zawsze będą czynić zło. Uwierz mi.

– Chyba powinnam.

– Owszem. – Inspektor już się nie uśmiechał. – Nie zamierzam obciążać cię przypadkami, z jakimi się zetknąłem. Musiałem je przemyśleć, jak teraz ty. Koncepcja zniewolonego umysłu bardzo mi w tym pomogła. A ostatnio zastanawiałem się, czy ąstki z definicji nie są w pewnym sensie umysłami zniewolonymi.

– Ale ten błąd programowania, który wyjaśnia, dlaczego uderzenie trafiło na zachód od miasta... To błąd człowieka.

– Tak. Cóż, zniewolenie pojawiło się najpierw u ludzi. W głębi duszy wiadomo, że jakiś uczynek jest zły, ale i tak się go popełnia, z dręczącymi potrzebami i pragnieniami, aby tę potrzebę zaspokoić.

– Ale większość ludzi próbuje czynić dobrze – zaoponowała Swan. – Widać to przecież jak na dłoni.

– Nie w mojej pracy.

Swan przyjrzała się małej, tak starannej i skutecznej figurce z namysłem.

– Taka praca z pewnością wpływa na światopogląd – przyznała po chwili.

– O, tak. Na dodatek widzi się ciągle te same próby usprawiedliwienia dla występku. Wiem nawet, w których częściach mózgu odbywa się to



tłumaczenie. Te obszary znajdują się bardzo blisko części odpowiedzialnych za uczucia religijne, jak się zresztą można było spodziewać. Do tego niedaleko od ognisk epilepsji i zestawu pojęć. Te ośrodki wybuchają jak fajerwerki, kiedy popełnia się zło lub je usprawiedliwia. Zastanów się, co to oznacza!

– Ale wszystko, co robimy, jest gdzieś w mózgu – odparła Swan. – Nie ma znaczenia, gdzie dokładnie.

Genette się nie zgodził.

– Widać w tym wyraźnie wzorce. Wzmocnienie. Złe uczynki sprawiają, że pewne obszary mózgu się rozrastają. Umysł konfiguruje się ponownie, żeby stworzyć spirale o wiele bardziej przerażających żądz. A po żądzach następują właśnie uczynki.

– Więc co robimy? – westchnęła Swan. – Nie można skonstruować świata doskonałego, a potem przenieść do niego porządną ludzi, to krok w tył i nigdy się nie udaje.

Inspektor wzruszył ramionami.

– W obu przypadkach wydaje mi się to nieprawdopodobne. – Zamilkł na chwilę. – To wszystko może się nie udać. Życie w kosmosie może okazać się dla nas za ciężkie. Zredukowane środowisko. Widziałem dzieci chowane w klatkach Skinnera, ofiary ludzkie...

– Potrzebny ci urlop na Ziemi – przerwała mu Swan, ponieważ nie chciała usłyszeć więcej.

Dostrzegła naraz, że Genette wygląda na zmęczonego. Z małymi zwykle trudno było oszacować, ponieważ na pierwszy rzut oka wyglądali doskonale jak lalki albo niewinnie jak dzieci. Jednak inspektor oczy miał zaczerwienione, jasne włosy nieco przetłuszczone i niesfornie wymykające się spod zwykle nienagannego kucyka.

I grymas zamiast ironicznego uśmiešku.

– Rzeczywiście, potrzebuję pobytu na Ziemi. Zresztą jestem już spóźniony,

więc mam nadzieję, że dochodzenie wkrótce mnie tam zaprowadzi. To znudzenie. Mondragon jest piękny, ale wiele terrariów do niego nie należy, niektóre zaś są naprawdę szalone. Ostatecznie, jeżeli nie wprowadzimy jednolitego prawa dla całego Układu, będziemy tu mieli swoisty przypadkowy libertarianizm w stylu „wolność dla wszystkich”. I będzie problem. Poważny. To właśnie widzę. Kiedy połączy się polityczną nieudolność z czysto fizycznymi ograniczeniami pobytu w kosmosie, może się to okazać zbyt wiele. Może próba adaptacji do warunków kosmicznych nas przerasta.

– Więc co robimy? – powtórzyła Swan.

Genette znowu wzruszył ramionami.

– Chyba będziemy dalej trzymać linię. Może będzie trzeba sobie uświadomić, że okres po niedostatku jest zarazem niebem, jak i piekłem. Nachodzą na siebie, jak opcje w kubitach, zanim funkcja falowa opadnie. Dobro i zło, sztuka i wojna. Potencjał wszelkich możliwości.

– Ale co my mamy robić?

Genette tylko uśmiechnął się lekko, wyprostował i usiadł po turecku. Wyglądał teraz jak ogrodowy Budda albo Tara, szczupły i upozowany.

– Chcę porozmawiać z Wangiem. Wymyślę, jak to zrobić. I z twoim przyjacielem Wahramem, to przynajmniej będzie łatwiejsze. A potem... zależy, czego się dowiem. Alex nie zostawiła ci przypadkiem listu również do mnie albo do kogoś jeszcze?

– Nie!

Uniesiona ręka, jak u surowego Buddy.

– Nie złość się, nie ma potrzeby. Żałuję po prostu, że tego nie zrobiła. Dla niej był to plan awaryjny, wsparcie na wypadek nieprzewidzianego. Zapewne uznała, że Wang powie reszcie grupy o jej zamierzeniach. I mam nadzieję, że tak właśnie uczyni.

Następnego dnia załoga inspektora dostała kolejne wieści. Po naradzie

Genette podszedł do Swan.

– Qostka Wang zidentyfikowała asteroidę orbitującą między Jowiszem i Saturnem, która zdryfowała z kursu. To skutek wystrzelenia obiektów w Terminatora. Dryf nastąpił trzy lata temu, w ciągu około sześciu miesięcy. Wang przejrzał zapisy Ligi Saturna o ruchach statków w tamtym obszarze i znalazł sygnały, które mogą wskazywać, że mały kosmolot opuścił ową asteroidę i poleciał w górne warstwy atmosfery Saturna. Mogłoby to oznaczać, że tam wpadł, ale wszedł w chmury pod takim kątem, że raczej się tam ukrył, jak sporo innych jednostek. A jeżeli tak, to zapewne uda się go wysledzić.

– To dobrze – odparła Swan. – Ale... To qostka Wang podsunęła ci trop, prawda?

Genette wzruszył ramionami.

– Wiem. Ale ślad statku wiedzie z Ligi Saturna, a tam przechwycił go transponder. Udało się też odczytać sygnał, stąd wiemy, że kosmolot był własnością konsorcjum z Ziemi.

– Z Ziemi!

– Właśnie. Nie wiem jeszcze, co o tym myśleć, ale jedno jest pewne: odłamki skał nie mogły zostać wystrzelone z atmosfery. Ani spod kopuły lub osłony. Należało to wykonać w otwartym kosmosie, z jakiejś stabilnej powierzchni. Zatem jeżeli żyje się na Ziemi i chce tego dokonać, trzeba się udać w kosmos.

– Rozumiem. Ale... Ziemia? To znaczy kto na Ziemi chciałby...?

Spojrzenie inspektora było tak ostre, że Swan nie dokończyła.

– Znam więcej niż pięćset ziemskich organizacji, które opowiadają się głośno przeciwko idei ludzi w kosmosie – stwierdził Genette.

– Ale DLACZEGO?

– Zwykle twierdzą, że problemy na Ziemi nie zostały rozwiązane, a przestrz.eniowcy zwyczajnie chcą od nich uciec i zostawić resztę ludzkości na

pastwę losu. Często przytacza się też modyfikacje ciała jako dowód, że zapoczątkowaliśmy wymuszoną specjację. Zaproponowano nawet nazwę dla naszego gatunku: *Homo sapiens celestis*. Niektórzy wolą nazywać to izolacją klasową. Wielu Ziemian nie przeszło kuracji wydłużających życie. Dlatego głoszą, że cywilizacja przestrzeniowców jest perwersyjna, przewrotna, zła, dekadenska i straszna. I że przez samo swoje istnienie destabilizuje historię ludzkości.

– Cholera. Myślałam, że Ziemianie dostrzegają, ile dobrego dla nich robimy.

– Proszę – skrzywił się Genette. – Chyba przebywałaś w bardzo wyizolowanych miejscach podczas swoich wakacji na Ziemi.

Swan zastanowiła się, ale zamiast odpowiedzieć, zapytała znowu:

– Więc co robimy?

– Chcę polecieć na Saturna i poszukać tego małego statku. Passepartout zapewnia, że potrafi przewidzieć pozycję tej jednostki na podstawie współrzędnych kursu i koordynat wejścia w atmosferę.

– A ja mogę się przyłączyć?

– Nawet musisz. Już tam lecimy.

Z *Chyżej Sprawiedliwości* pasażerowie przesiedli się na przelatujące obok terrarium o nazwie *Wewnętrzna Mongolia*, przepiękny świat wewnętrzny łagodnych zielonych wzgórz, gęsto poprzecinanych strzelistymi czarnymi skałami. Był to dom tabunów dzikich koni i rzadkich wilczych watah. Swan szczególnie lubiła wilki. Niewielkie osady na szczytach wzniesień wyglądały jak skupiska sporych jurt, zwykle otoczonych łąkami i sadzawkami rozlewającymi się nad nimi. Genette zabrał tylko kilku asystentów i większość czasu spędzał w największej z jurt, pracując z funkcjonariuszami nad innymi sprawami, a przynajmniej tak przypuszczała Swan.

Pewnego popołudnia po wędrownce po trawiastych stokach w bezowocnym

poszukiwaniu wilków Swan wróciła do osady. Jurty otaczała rozległa łąka na łagodnym zboczu, był tu też staw i gorące źródła, a także woliera pod namiotem pełna wiszących koszy z kwiatami, wokół których krążyło mnóstwo różnych kolibrów, lor i małych, barwnych zięb. Falista łąka została przycięta i wypielegnowana tak, że wyglądała jak zielony dywan. Zdaniem Swan było to przesadnie ozdobne i nie pasowało do dzikich stepowych wzgórz, gdzie spędziła ranek. Minęła dwie kobiety, które śmiały się, jakby również dostrzegły niedorzeczność wielkiego trawnika.

– To głupie, prawda? – stwierdziła.

Kobiety zatrzymały się i jedna wskazała za siebie, na stok.

– Tamci w sukienkach powiedzieli nam, że są qostkami w ciałach androidów, ale pewnie mogliby zostać uznani za ludzi. Powiedzieliśmy im, że pewnie tak, ale... – Kobiety popatrzyły na siebie i znowu parsknęły śmiechem. – Ale wszystko zepsuli, gdy nas zapytali, czy uznamy ich za ludzi!

Swan dostrzegła tę trójkę na trawie przy brzegu stawu.

– Interesujące – przyznała i ruszyła w tamtą stronę. Po drodze zapytała: – Słyszałaś, Pauline?

– Tak.

– To dobrze. A teraz siedź cicho i uważaj. Stara hipoteza głosiła, że ludzie będą się czuli swobodnie w relacjach z inteligentnymi robotami, czy to przypominającymi pudełka, czy też niedającymi się odróżnić od człowieka – te drugie postrzegano by zapewne jako po prostu inne osoby. Pomiędzy tymi ekstremami jednakże znajdował się obszar niesamowitości – strefa postrzegania „podobni, ale niezupełnie”, „tacy sami, ale inni”, co u ludzi zawsze wywoływało instynktowną niechęć, wstręt i lęk. Hipoteza wydawała się dość wiarygodna, ale pozostała wyłącznie w sferze przypuszczeń, ponieważ nigdy nie zbudowano robota wystarczająco przypominającego człowieka, aby można było sprawdzić choćby granice tego obszaru niesamowitości. Ale może

Swan przytrafiła się właśnie okazja do takich badań.

Niesmak, jaki wzbudził pomysł człekokształtnych maszyn, pasował do ubiorów wskazanej przez kobiety trójki gości. Siedzieli w długich sukniach przypominających wiktoriańskie krynoliny i byli do siebie na tyle podobni, aby uznać ich za krewnych albo nawet – a jakże! – za klony lub androidy wykonane według tego samego modelu. Choć jeden z osobników wyglądał bardziej na kobietę niż pozostałe dwa.

Swan podeszła do nich bez wahania.

– Hej, jestem Swan z Merkurego – przedstawiła się. – Właśnie trwa tam odbudowa naszego spalonego miasta. Pomaga nam w tym mnóstwo gości. Powiedziano mi, że nie jesteście biologicznie ludźmi, lecz gośćkami. To prawda?

Troje ludzi spojrzało na nią uważnie. Ten, który wydawał się bardziej kobiecy, sądząc po proporcjach ciała, uśmiechnął się i odpowiedział:

– Tak, to prawda. Usiądź z nami, napijmy się herbaty. Świeżo zaparzona, właśnie dochodzi. – Wskazał na przenośny palnik i niewielki czerwony czajniczek nad błękitnym płomieniem. Obok na błękitnej serwecie stały małe filiżanki i łyżeczki.

Pozostali dwaj skinęli Swan głowami. Jeden gestem zaprosił, by usiadła na trawie.

– Przysiądź się, jeśli masz ochotę.

– Dziękuję. – Swan usiadła obok niego. – Ciężenie jest tutaj całkiem spore. Skąd jesteście?

– Mnie wykonano w Vinmarze – odpowiedziała ta, którą Swan wzięła za kobietę.

– A wasze pochodzenie? – Swan popatrzyła na dwóch pozostałych.

– Nie umiem przejść testu Turinga – odparł jeden sztywno. – Czy chciałabyś zagrać w szachy?

I cała trójka parsknęła śmiechem. Otwarte usta – widoczne zęby, dziąsła, język i wnętrze ust, zupełnie jak u ludzi.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Swan. – Chciałabym jednak przeprowadzić na was test Turinga. Albo wy możecie przetestować mnie.

– Jak mielibyśmy to zrobić?

– Co powiecie na grę w dwadzieścia pytań?

– Chodzi o zadawanie pytań, na które można odpowiedzieć „tak” lub „nie”?

– Właśnie.

– Ale wtedy wystarczy spytać, czy któryś z nas jest robotem, i kiedy jedno z nas odpowie, reszta pytań będzie niepotrzebna.

– Racja. A jeżeli nie wolno będzie zadawać pytań wprost?

– Wtedy również będzie to proste. A gdyby w ogóle nie można było zadawać pytań?

– Ale prawdziwi ludzie ciągle zadają sobie i innym mnóstwo pytań.

– Jednak przynajmniej jedno z nas nie jest prawdziwym człowiekiem. A ty zaproponowałaś test.

– Prawda. Dobrze. Pozwólcie, że się wam przyjrę. Opowiedzcie mi o *Wewnętrznej Mongolii*.

– Nasza *Wewnętrzna Mongolia*, wydrążona w roku... – I od wydrążenia nadano jej imię – wtrącił jeden z nieokreślonych płciowo towarzyszy i cała trójka parsknęła śmiechem.

– Populacja wynosi szacunkowo dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców – podjęła ta, która najbardziej wydawała się kobietą.

– Musisz być qostką – zauważyła Swan. – Żaden człowiek nie zapamiętałby takich danych.

– Żaden?

– Może niektórzy, ale to wydaje się dziwne. Muszę jednak przyznać, że wyglądasz wspaniale.

– Dziękuję. Jak sądzisz, do twarzy mi w zieleni? – Kobieta-gostka uniosła rąbek zielonej sukni.

– Bezwzględnie. Mogę się bliżej przyjrzeć?

– Mojej sukience czy skórze?

– Skórze, oczywiście.

Cała trójka znowu się roześmiała.

Śmiech, pomyślała Swan, gdy przyglądała się skórze kobiety, jakże ludzki. Czy roboty potrafiłyby się śmiać?

Nie była pewna. Skórę nieznanąjomej znaczyły włoski i zgrubienia ich cebulek. Swan dostrzegła niemal przezroczyste włoski na nadgarstku i przedramieniu, nieco grubsze pasmo przy przegubie, które miało wyraźne cztery rzędy kończące się na dłoni, gdzie naskórek był grubszy i nieco ciemniejszy, znaczony paroma żyłami ze zgrubieniami i zakolami. Ręka po wewnętrznej stronie miała słabo widoczny wzór linii papilarnych o większych krzywiznach niż na opuszkach palców. Przecinała ją długa linia życia. Ogólnie dłoń wyglądała jak każda inna. Jeżeli ta skóra była sztuczna, to zasługiwała na podziw – podobno naturalny wygląd zawsze stanowił największe wyzwanie i trudność przy produkcji. A jeżeli była to skóra biologiczna, ale wyhodowana na ramie w laboratorium, i tak pod każdym względem robiła imponujące wrażenie. Wydawało się niemożliwe, żeby ciało wyglądające tak naturalnie i ludzko powstało sztucznie, chociaż, rzecz jasna, materiałoznawstwo należało do bardzo rozwiniętych dziedzin nauki. Wystarczy ustalić cele i parametry – czegoś więcej trzeba, aby niemożliwe stało się możliwe?

Pozostawało tylko pytanie, komu się chciało coś podobnego robić, ale przecież ciągle robiono dziwniejsze rzeczy. A stworzenie sztucznego człowieka od dawna było marzeniem ludzkości. Może bezsensownym, ale z długą tradycją. I oto Swan właśnie spotkała trzech sztucznych ludzi, a przynajmniej tak się wydawało. Nie miała pewności. Co samo w sobie było szalenie



intrygujące.

Jeżeli uprawiałoby się seks z maszyną, czy byłby to interesujący stosunek, czy tylko wyjątkowo skomplikowana forma samozaspokojenia? Czy qostka zapamiętałaby reakcje człowieka na swoje działania i czy wpłynęłoby to na nią w jakikolwiek sposób? I czy dla maszyny byłby to odpowiednik seksu?

Swan chętnie by spróbowała, gdyby w ten sposób mogła poznać odpowiedzi na te pytania. Byłoby to kolejne podejście do bardziej ogólnego zagadnienia świadomości u qostek. Należało jednak pamiętać, że nieważne, jakie byłyby jednostkowe doświadczenia lub przekonania dotyczące qostek, tak naprawdę nie istniała tam żadna świadomość, nie było żadnych Innych czy Obcych, tylko mechanizm zaprogramowany w ten sposób, aby reagować na bodźce według wzorca określonego przez programistów. Nieważne, jak skomplikowane algorytmy rządziłyby tymi reakcjami, nie tworzyły jeszcze świadomości. Swan w to wierzyła bez zastrzeżeń, lecz nawet Pauline często ją zaskakiwała. Dlatego tak ciężko było nie ulec iluzji, że w qostce kryje się jednak rozum.

– Twoja skóra jest przepiękna. W dotyku niczym nie różni się od ludzkiego ciała.

– Dziękuję.

– Myślisz, że myślisz?

– Bez wątpienia myślę – zapewniła qostka-kobieta.

– Masz zatem sekwencje myśli, które wędrują od tematu do tematu mniej więcej ciągłym strumieniem, wolne skojarzenia do dowolnych potencjalnych myśli, jakie przychodzą ci do głowy?

– Nie wiem, czy na pewno właśnie tak to jest. Uważam, że to bardziej kwestia akcji i reakcji, w której moje myśli są odpowiedzią na konkretny bodziec i wnoszą istotne dla mnie informacje. Na przykład myślę o tobie i twoich pytaniach, o zieleni mojej sukienki komponującej się z zielenią trawy,

o tym, co zjem na obiad, bo czuję lekki głód...

– A zatem możecie jeść?

– Tak, jemy normalnie. Często nawet trudno mi się powstrzymać przed przejadaniem!

– Mnie też – przyznała Swan. – A co myślisz o uprawianiu ze mną seksu?

Cała trójka wbiła w nią spojrzenia.

– Ale... Dopiero co się spotkaliśmy.

– Ludzie często o tym myślą.

– Naprawdę? Nie wydaje mi się to prawdą.

– Wierz mi, to szczerą prawdą.

– Nie mam żadnego dobrego powodu, żeby ci wierzyć – odezwał się drugi z trójki. – Prawie wcale cię nie znamy.

– I czy w ogóle kogokolwiek można poznać na tyle dobrze, żeby mu wierzyć bez zastrzeżeń? – dodał trzeci.

Znowu się roześmiali.

– Uwierzyć komuś obcemu? – dodała kobieta. – Nie wydaje mi się!

I parsknęli śmiechem. Chyba śmiali się za często.

– Bierzecie jakieś używki? – zapytała Swan.

– A czy kofeina to używka?

Teraz cała trójka zachichotała.

– Dzieciaki z was – prychnęła Swan.

– To prawda – przyznała kobieta. Nalała herbaty do czterech filiżanek i podała wszystkim. Jeden z jej towarzyszy wyjął z koszyka piknikowego ciasto i herbatniki, po czym poczęstował pozostałych. Rozdał też białe serwetki. Zaczęli jeść z apetytem. Trójka dziwaków jadła jak zwyczajni ludzie.

– Możecie pływać? – zapytała Swan. – Pływać albo kąpać się w gorących źródłach?

– Ja się kąpię w gorących źródłach – oznajmił ostatni z towarzystwa,

wzbudzając chichoty u pozostałych, stłumione serwetkami.

– Możemy się razem wykapać? – naciskała Swan. – Kąpiesz się nago? W ten sposób mogłabym zobaczyć całe twoje ciało.

– A my zobaczylibyśmy twoje!

– No i dobrze.

– Zdaje się, że więcej niż dobrze – mruknęła najbardziej kobieta z trójki, a pozostali ryknęli śmiechem.

– Wykąpmy się! – zawołał jeden z męskich osobników.

– Chciałabym najpierw dokończyć herbatę – zaproponowała kobieta surowo. – Smakuje mi.

Kiedy skończyli, cała trójka wstała z gracją godną tancerzy i powiodła Swan nad brzeg sadzawki. Pływało tu już kilkoro ludzi, niektórzy ubrani w stroje kąpielowe, inni nago. W najpłytszym miejscu, gdzie woda ze źródła spadała znad krawędzi niewielkiego daszku i tworzyła naturalną barierę, bawiły się dzieci. Troje towarzyszy Swan zostawiło kosz piknikowy i palnik na pomoście, ściągnęło przez głowę długie szaty i zeszło na brzeg. Ta, która wydawała się Swan najbardziej kobietą w całej trójce, miała ciało szczupłe i dziewczęce, pozostali natomiast smukłe sylwetki typowe dla gynandromorfów – nieco szersze niż u mężczyzn biodra, wybrzuszenia na klatce piersiowej, które nie całkiem były biustem, pośrednie proporcje między wysokością torsu w stosunku do nóg oraz talii do bioder, mocno owłosione okolice łonowe, raczej kobiece, ale z ciemną masą, która mogła świadczyć o obecności małego penisa i jąder, jak u Swan – trudno określić bez dokładniejszego sprawdzenia. Zresztą niczego to nie dowodziło – genitalia imitowało się o wiele łatwiej niż ręce, robiono to od dawna.

Do wody zatem. Swan dostrzegła, że tych troje dobrze pływa, niemal bez wysiłku. Zdaje się, że masa ich ciał odpowiadała ludzkiej. Zapewne nie mieli więc szkieletu z metalu. A zatem wewnątrz niekoniecznie musiało być

mechanizmem okrytym warstwą wyhodowanego ciała i skóry. Głęboki wdech sprawiał, że unosili się na wodzie – zupełnie jak Swan. Ich oczy także przypominały ludzkie – były wilgotne i poruszały się naturalnie przy wpatrywaniu się, zerkaniu czy mruganiu. Czy można wykonać osobno każdy element człowieka, a potem połączyć je i sprawić, aby działały? Złożyć z części jak mechanizm? Wydawało się to mało prawdopodobne. Gdy słabsze kolano ją zabolowało, Swan pomyślała, że nawet natura nie jest w tym tak dobra. A przy tworzeniu wizerunku na obraz i podobieństwo, *simulacrum*... Cóż, może należy skupić się tylko na aspektach funkcjonalnych. Ale czyż nie tak właśnie działał mózg?

– Wiecie, dzieciaki, jesteście nadzwyczajni – oznajmiła Swan. – Nie potrafię was rozgryźć.

Roześmiali się.

– Żaden prawdziwy człowiek nie spędziłby całego dnia na udawaniu przed innymi, że jest robotem – zakończyła przemowę Swan. – Zatem musicie być robotami.

– To, co wydaje się najdziwniejsze, najprawdopodobniej okaże się prawdziwe – stwierdził jeden z gynandromorfów. – To powszechnie znany test w egzegezie biblijnej. Uważa się, że Jezus najprawdopodobniej przeklął drzewo figowe, bo inaczej czemu pojawiłaby się ta przypowieść?

Znowu wybuch radości. To naprawdę były głupie dzieciaki. Czyżby nie udało się stworzyć dla robotów inteligencji przekraczającej poziom kilkunastolatka?

Lecz sposób, w jaki tych troje pływało. Sposób, w jaki się poruszało. Niełatwo było coś takiego osiągnąć, a przynajmniej Swan tak uważała.

– To dziwne – powiedziała do siebie z zadowoleniem. Wydawało jej się, że łatwo będzie sprawdzić, czy to roboty, czy nie. I wyraźnie się pomyliła.

Kiedy wróciła na płycinę, gdzie woda sięgała jej do kolan, troje

dzieciaków przyjrzało jej się uważnie. A Swan równie uważnie przyjrzała się im.

– Och, ładne nogi – stwierdził trzeci z grupki. – Ładne ciało.

– Dziękuję – odpowiedziała Swan, nie zwracając uwagi na jęki pozostałej pary. Ta najbardziej kobieca z trójki oznajmiła:

– Nie, to nie w porządku, gdy się tak mówi, niektórzy ludzie mogą się poczuć urażeni komentarzem o estetyce, które obejmuje porównanie do ciał innych.

– Mnie to nie uraziło – zapewniła Swan.

– To dobrze – westchnęła dziewczyna.

– To była tylko uprzejmość – oburzył się ten, który pochwalił wygląd Swan.

– To była natarczywość. Twój komentarz wcale nie wynikał z wiedzy, czy takie zachowanie jest uprzejme, czy wręcz przeciwnie.

– To był tylko komplement. Nie ma powodu do przejmowania się tego rodzaju zachowaniem. Jeżeli przekroczy się granice, ludzie po prostu uznają, że wynika to z nieznajomości protokołu obowiązującego w ich kulturze, a nie ze złych intencji.

– Ludzie owszem, ale skąd wiesz, że taka osoba nie jest odwzorowaniem człowieka, simulacrum, posłanym, aby nas sprawdzić?

I znowu zaczęli się krztusić ze śmiechu, ochlapując się nawzajem. Swan przyłączyła się do zabawy, potem jednak usiadła, zanurzyła się i trochę popływała wokół trójki nowych znajomych. A potem nagle przyciągnęła jednego z nich i pocałowała w usta. Nieokreślonej płci osobnik pocałował Swan w odpowiedzi, zaraz jednak wyrwał się z jej objęć.

– Hej, co to ma znaczyć? Aż tak dobrze się nie znamy!

– I co z tego? Nie podobało ci się? – I Swan pocałowała go jeszcze raz, przechyliwszy mocno. Z zaskoczeniem poczuła dotyk jego języka na swoim.

Jednak dzieciak znowu się wyrwał.

– Hej, hej! Dość tego! Przestań!

Dziewczyna wstała i ruszyła w ich stronę, jakby chciała interweniować, ale Swan odwróciła się i odepchnęła ją mocno. Dziewczyna ciężko upadła, rozchlapując płytką wodę.

– Co robisz?! – krzyknęła przestraszona, ale Swan tylko poprawiła uderzenie, waląc w jej twarz lewym hakiem. Głowa zaatakowanej poleciała w tył, a na ustach pojawiła się krew. Dziewczyna z krzykiem zerwała się na równe nogi i pognała na brzeg. Jej dwóch towarzyszy nieokreślonej płci, protestując, rzuciło się do Swan, aby powstrzymać ją od kolejnej napaści. Swan tylko uniosła pięści i zaatakowała z dzikim wrzaskiem. Niefortunni obrońcy odskoczyli w rozbryzgach wody i wycofali się jak najdalej – nie kryjąc jednak oburzenia zmieszanego z podziwem. Swan nie próbowała ich gonić, gdy umknęli z sadzawki i wspięli się do dziewczyny. Cała trójka objęła się mocno, nie spuszczać wzroku ze Swan. Ranna dziewczyna zasłaniała krwawiące usta. Jej krew była czerwona.

Swan wzięła się pod boki i zmierzyła dzieciaki uważnym spojrzeniem.

– To było interesujące – oznajmiła. – Ale nie znoszę, gdy się mnie oszukuje.

Odwróciła się i wyszła z wody, aby zabrać swoje ubranie.

A potem odwróciła się i odeszła po krzywiźnie cylindra, rozglądając się w poszukiwaniu stad dzikich koni i liżąc obolałe kłykcie. Zastanawiała się nad tym, co zaszło nad sadzawką. Swan wcale nie była pewna, z kim tak naprawdę spędziła ostatnie godziny. Dziwne, naprawdę dziwne...

• •

W końcu Swan dotarła do jurt na wzgórzu, w których mieszkała. Znowu odczekała, aż zostanie z Genetteem sam na sam, gdy inni pójdą spać, po czym

oznajmiła:

– Spotkałam dzisiaj troje ludzi, którzy twierdzili, że są sztuczni. Że są androidami z qostkami zamiast mózgu.

Genette uniósł wzrok.

– Naprawdę?

– Owszem.

– I co zrobiłaś?

– Sprałam ich na kwaśne jabłko.

– Nie mów.

– No, tylko trochę poturbowałam, a jedną uderzyłam do krwi. Ale sobie zasłużyła. Wszyscy troje zasłużyli.

– Dlaczego?

– Bo próbowali mnie oszukać.

– Czy ty nie postępujesz podobnie podczas performance'ów w stylu Abramovic?

– Bynajmniej. Nigdy nie oszukuję ludzi, od tego jest teatr. A Abramovic nigdy nie robiła teatru.

– Może tych troje też nie. – Genette zmarszczył brwi. – Trzeba się temu dokładniej przyjrzeć. Raporty o podobnych przypadkach pojawiły się na Wenus i na Marsie. Plotki o humanoidalnych qostkach, czasami zachowujących się dziwnie. Zaczęliśmy mieć na to oko. Niektóre z takich osób zostały przesłuchane i są śledzone.

– Więc androidy naprawdę istnieją?

– Tak sądzę. Gdyby udało nam się kilka przeskanować, wtedy oczywiście mielibyśmy pewność. Niestety, niewiele wiemy.

– Czemu w ogóle ktoś miałby je stworzyć?

– Nie wiem. Ale istnienie qostek, które są mobilne, potrafią wmieszać się w tłum i pozostać niewykryte, dobrze wyjaśniałoby to, co się ostatnio zdarzyło.

Dlatego lepiej, żeby mój zespół przyjrzał się trójce, o której wspomniałaś.

– Myślę, że to byli ludzie – stwierdziła Swan stanowczo. – Tylko udawali. Odgrywali przedstawienie.

– Uważasz, że to prawdziwi ludzie, którzy udają, że są robotami? Jak w teatrze?

– Właśnie.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. Dlaczego ktoś miałby ukrywać się w skrzyni i udawać, że jest mechanicznym szachistą? To stara sztuczka. W pewnym sensie teatr.

– Może. Ale i tak lepiej się temu przyjrzeć dokładniej, ze względu na ostatnie wydarzenia. Dziwne rzeczy się dzieją. – Jak chcesz – wzruszyła ramionami Swan. – Ale i tak uważam, że to byli ludzie. Spróbuj udowodnić, że wcale nie. Powiedz mi jednak, co za problem z androidami, zakładając, że one w ogóle istnieją?

– Problem w tym, że qostki wychodzą na świat, wędrują tu i tam i coś robią. Co takiego robią? I co mogłyby zrobić? Kto je wytwarza? I skoro qostka okazała się elementem niezbędnym do przeprowadzenia ostatnich ataków, trzeba się zastanowić, czy androidy mają z tym wszystkim coś wspólnego. Czy niektóre są zamieszane w ataki?

– Hm... – mruknęła tylko Swan.

– Może to wszystko sprowadza się wyłącznie do jednej kwestii – stwierdził mały inspektor. – Dlaczego kostki się zmieniają?



## SPISY (7)

nieumyślne uszkodzenie systemu obiegu powietrza - zepsuta uszczelka - pechowy zatrzask - pech - wzrost ciśnienia tlenu - iskra - wzrost stężenia tlenku węgla - wzrost stężenia dwutlenku węgla - błąd konstrukcyjny - pęknięcie obudowy silnika - nagła utrata powietrza - rozbłysk słoneczny - zanieczyszczenie paliwa - zmęczenie metalu - zmęczenie umysłu - uderzenie błyskawicy - uderzenie meteoru - przypadkowa masa krytyczna - uszkodzenie hamulców - upuszczone narzędzie - potknięcie i upadek - utrata chłodziwa - wada produkcyjna - błąd oprogramowania - błąd człowieka - uszkodzenie blokady - pożar rezerw - roztargnienie - nadużycie uprawnień przez si - sabotaż - zła decyzja - splątane przewody - wzbudzony obłęd - uderzenie promieniowania kosmicznego -

(z: *Dziennik wypadków w kosmosie*, vol. 297, 2308)

## WYCINKI (8)

System periodyzacji Charlotte Shortback zyskał ogromną popularność, chociaż oczywiście pomysł podziału continuum czasowego w ogóle jest kontrowersyjny, a nawet podejrzany – zwłaszcza że często był przedmiotem ostrych sprzeciwów, jako beletrystyczna maskarada, mająca na pozór uporządkować „szaloną i chaotyczną” udokumentowaną przeszłość. Niemniej jednak widać gołym okiem, że istniały różnice między ludzkim życiem na przykład w średniowieczu i renesansie albo odrodzeniu i postmodernizmie, ale czy różnice te zostały spowodowane przez zmianę sposobów produkcji, struktury uczuć, wzorców naukowych, sukcesję dynastyczną, postęp technologiczny, czy kulturowe przemiany, nie ma praktycznie znaczenia. Zmiany układają się we wzór, który opowiada historię, jaką ludzie potrafią śledzić.

Dlatego właśnie przez długi czas schemat periodyzacji był powszechnie obowiązujący. Wyglądał tak: okres feudalizmu i renesans, po nich wczesny modernizm (siedemnasty i osiemnasty wiek), modernizm (przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku) oraz postmodernizm (wiek dwudziesty i dwudziesty pierwszy) – po których zdecydowanie potrzebne było nowe nazewnictwo. Przez długi okres potrzeba ta wytworzyła nowe konkurencyjne systemy periodyzacji, a rywalizacja, wraz z ogólną narratologią strukturalną historyków tamtych czasów, sprzyjała dążeniom do stworzenia jakiegokolwiek

systemu, który zostanie powszechnie przyjęty, tak jak ten stary.

Dopiero w ostatnich latach dwudziestego trzeciego wieku Charlotte Shortback zaproponowała środowisku historyków własny system periodyzacji dla okresu, który dotychczas nazywano „długim postmodernizmem” i nieustannie krzywiono się na tę nazwę na wszystkich konferencjach. Termin Shortback był częściowo żartem, jak później przyznała, ale pomimo to, a może właśnie dlatego, stał się powszechnie znany i używany.

Według Shortback długi postmodernizm powinno się dzielić w następujący sposób:

*Rozproszenie:* 2005 do 2060 roku. Od końca postmodernizmu (datę graniczną Charlotte Shortback wzięła od tej, w której onz ogłosił oficjalnie zmianę klimatu) do Kryzysu. Były to stracone lata.

*Kryzys:* 2060 do 2130 roku. Topnienie i zanikanie arktycznych czap lodowych, stopienie się wiecznej zmarzliny i uwolnienie metanu oraz nieuniknione podniesienie się poziomu mórz. W tych latach wszystkie złe tendencje złączyły się w jeden wzór „burzy doskonałej”, prowadzącej do wzrostu średniej globalnej temperatury o 5 kelwinów, a poziomu wód morskich o 5 metrów – a w rezultacie w latach dwudziestych XXI wieku do niedoboru żywności, masowych zamieszek, śmiertelnych katastrof i klęsk żywiołowych na wszystkich kontynentach oraz ogromnego wzrostu liczby wymarłych gatunków. Wczesne bazy księżycowe, stacja naukowa na Marsie.

*Odwrót:* 2130 do 2160 roku. *Wertewandel* (sławna „mutacja wartości” Shortback), po której nastąpiły rewolucje, rozwój si, samoreplikujące się fabryki, początek terraformowania Marsa; energia zimnej fuzji, rozwój biologii syntetycznej, wysiłki mające na celu zmodyfikowanie klimatu, włączywszy koszmar Krótkiej Epoki Lodowcowej w latach 2142-54, windy orbitalne na Ziemi i Marsie, szybki napęd kosmiczny, początek kosmicznej diaspory; podpisanie Przymierza Mondragonu.

A potem:

*Accelerando*: 2160 do 2220 roku. Pełne zastosowanie i wykorzystanie wszystkich nowych technologii, włączywszy wzrost długości życia ludzkiego, terraformowanie Marsa i kolejne rewolty marsjańskie, pełne opanowanie przestrzeni w granicach Układu Słonecznego, powstawanie terrariów, początek terraformowania Wenus, zbudowanie Terminatora oraz przyłączenie się Marsa do Mondragonu.

*Ritardando*: 2220 do 2270 roku. Powody, dla których *Accelerando* zwolniło, są dyskusyjne, ale historycy wskazali, że wpływ miały: zakończenie terraformowania Marsa, jego wycofanie się z Mondragonu i wzrastający izolacjonizm, zajęcie najlepszych asteroid na terraria, a także niemal całkowity podbój Układu Słonecznego przez ludzi oraz łatwy dostęp do helu, azotu, rzadkich pierwiastków, paliw kopalnych; jak również fotosynteza. Stało się także jasne, że projekt wydłużenia życia ludzkiego napotkał problemy i nie został rozpowszechniony zgodnie z planem. Ostatnio niektórzy historycy zauważyli, że był to również okres, gdy komputery kwantowe osiągnęły 30 kubitów i zostały zestawione z klasycznymi o mocy obliczeniowej kilku petaflopów, z czego powstały qostki. Oczywiście qostki nie zostały jeszcze wtedy zademonstrowane, aby polepszyć funkcjonowanie już szybkich si, lecz w tym samym czasie przy komputerach kwantowych pojawił się problem niekoherencji, co mogło sprzyjać powstaniu warunków rozwoju kolejnego okresu.

*Balkanizacja*: 2270 do 2320 roku. Napięcie na osi Mars – Ziemia, agresja i zimna wojna o dominację w Układzie Słonecznym, izolacjonizm Marsa, wewnętrzne zamieszki na Wenus; decyzja Jowiszan, by rozpocząć terraformowanie na trzech największych księżycach, rozpowszechnienie się niepowiązanych z żadną siłą lub frakcją terrariów oraz zniknięcie wielu społeczności za „horyzontem zdarzeń”, wpływ qostek; coraz częstsze chwilowe

braki, które spowodowały łączenie się w hordy, a potem w struktury plemienne, tragedia redukcji wspólnej własności; rozpad na rozrzucone „samowystarczalne” miasta-państwa.

Termin „hiperbałkanizacja” Shortback uznaje za pozostałość przesadnej retoryki w studiach socjologiczno-kulturowych.

Stwierdziła jednak, że znaczące przedłużenie Bałkanizacji prawdopodobnie prowadzić będzie do okresu gorszego niż Ritardando, a nawet Kryzys – zapewne okres ten nazwany zostałby Atomizacją lub Rozpadem.

Charlotte Shortback opowiada także anegdotę, jak raz w rozmowie oznajmiła, że całe ostatnie millenium można w zasadzie określić jako „okres późnego feudalizmu”, a wtedy podszedł do niej jakiś mężczyzna i zapytał: „Dlaczego uważa pani, że to późny feudalizm?”.

Lecz to, co wydarzyło się w roku 2312 wskazuje, że dwudziesty czwarty wiek stanie pod znakiem przełomu...

## JAPET

Japet wygląda jak orzech włoski, ponieważ jest spłaszczony na biegunach i ma wyraźne równikowe wybrzuszenie, co dobrze widać z kosmosu.

Dlaczego ma spłaszczone bieguny?

W pewnym momencie swojej historii Japet został stopiony i stał się wielką wirującą gwałtownie kroplą, jego doba liczyła sobie wówczas siedemnaście godzin – coś musiało przejść obok niego i sprawić, że zaczął się kręcić jak bąk. W trakcie wirowania zamarzał. Skąd zatem wyraźne wybrzuszenie na równiku? Nikt tego nie wie. Może to jakiś aspekt zamarzania kropli wody w śnieżną kulę, jak większość uważa, może jakaś fala lub erupcja. To nadal kwestia, o którą kłóćą się saturnolodzy.

Niezależnie od tego jednak, co spowodowało odkształcenie, grzbiet idealnie nadawał się na lokalizację miasta, mógł służyć za swoistą główną ulicę, półwysep ciągnący się wokół całego księżyca. Miasto rozwijało się najpierw na półkuli od strony Saturna, który wisi na nieboskłonie cztery razy większy niż Księżyc widziany z Ziemi. Warto było, jak się zdawało, mieć planetę widoczną na niebie, szczególnie że orbita Japeta jest nachylona do płaszczyzny równikowej Saturna pod kątem siedemnastu stopni, dzięki czemu z satelity rozciąga się wspaniały widok na nieustannie zmienny ruch pierścieni, podczas gdy z niemal wszystkich pozostałych księżyców widać jedynie krawędź. Z wybrzuszenia na Japecie można także zobaczyć panoramę powierzchni, leżącej o dwanaście do szesnastu kilometrów niżej, ma się zatem zawsze w zasięgu oczu szeroki pejzaż lodowego pola, gdy oczy zmęczą się wzniosłością perłowych pierścieni nad głową.

Kolor powierzchni księżyca zależy od tego, skąd się patrzy, ponieważ

przednia półkula Japeta jest całkiem czarna, podczas gdy tylna jest lśniąco biała. Ten zaskakujący kontrast – dostrzeżony już przez Cassiniego podczas pierwszej obserwacji Japeta w październiku 1671 roku – wywołany jest przez to, że satelita ma zablokowany ruch obrotowy. Ta sama półkula zawsze pozostaje po nocnej stronie, a czarny pył niesiony przez wirującą wstecznie Febe (drugiego satelitę orbitującego poza płaszczyzną pierścieni) zawsze spada właśnie na tę część powierzchni Japeta. Przez cztery miliardy lat zebrała się warstwa pyłu nie większa niż kilka centymetrów. Tymczasem druga półkula, zbierająca szron z lodu ulegającego sublimacji na ciemniejszej półkuli i zamarzającego na jaśniejszej i chłodniejszej, charakteryzuje się barwą bieli najczystszej chyba w całym systemie. Stąd właśnie dwukolorowy księżyc – jedyny taki w Układzie Słonecznym.

Kiedy ludzie przybyli osiedlić się na Japecie, szczyt wybrzuszenia został wygładzony i wypełniony skałą oraz aluminiowymi fundamentami. Potem zaczęto używać genów muszli morskich do nadania kształtu budowlom równikowego miasta. Niektóre z płaskich wzniesień na grzbiecie pozostawiono otwarte dla dróg wiodących do portu kosmicznego i podobnych, ale większość wybrzuszenia jest teraz okryta długim, czystym tunelem-galerią, umieszczonym nad budynkami ciągnącymi się wzdłuż głównej ulicy na przemian z gospodarstwami rolnymi, parkami, ogrodami i lasami. Ponieważ pod powłoką stale utrzymywane jest ciepłe powietrze, wewnętrzna architektura pozostaje otwarta, często tak, aby Saturn był zawsze na widoku, obramowany otworami i krawędziami sufitów i dachów. Biotechnologiczne naśladownictwo muszli pozwoliło budowniczym wydobyć i zastosować wapń spod powierzchni, a miękkie żywe tkanki zostały genetycznie przemodelowane w kształty, które umożliwiły architektom ułożenie warstw bioceramicznej struktury jedna na drugiej, jak w koralowcu, więc teraz przestrzeń pod osłoną została niemal całkowicie wypełniona.

Jak w większości struktur bioceramicznych, w stożkowych i warstwowych formach wywołane zostały procesy wytwarzające nacięcia, bruzdy i wachlarze oraz inne muszlowate cechy, dzięki czemu budowle przypominają wielkie muszle ułożone w stosy. Przywołuje się często Sydney, ze względu na ikonę tego rodzaju architektury – budynek opery, ale w rzeczywistości Grzbiet przypomina raczej Wielką Rałę Barierową powstałą z ułożonych warstwami przegrzebków i przerytą wszędzie przez robaki, żeby przez te tunele widać było Saturn.

Na czarnej półkuli, Cassini Regio, wyrzuszenie przecina obszar, na który ongiś ludzie przybyli skoczkami lub łazikami i zdmuchnęli czarny pył, tworząc wzory przez odsłonięcie znajdującego się pod spodem białego lodu. Za każdym razem, gdy można było łatwo uzyskać taki kontrast w krajobrazie, ludzie wypisywali swoje myśli, aby wszechświat mógł je przeczytać. Zanim powstała Liga Saturna, kiedy pierwsze wyprawy z Marsa przybyły po azot na Tytana oraz zaczęły eksplorację innych księżyców w poszukiwaniu czegokolwiek, co można stamtąd wydobyć i zabrać z powrotem na Czerwoną Planetę, ludzie przyszli tutaj i wryli to białe na czarnym. Wystarczył podmuch niewiele silniejszy od dmuchawy do liści. Wkrótce wielkie połączenie Cassini Regio były zabazgrane petroglifami jak Newsletter Rock w stanie Utah.

Można tu zobaczyć białe kształty na czarnym tle, abstrakcyjne wzory, bestie, rysunkowe ludziki, bóstwo Kokopelli, napisy w różnych alfabetach, portrety, fragmenty pejzaży, drzewa i inne rośliny oraz mnóstwo innych. Później spore połączenie zostały całkowicie wybielone, po czym namalowano na nich obrazy i wzory przez rozsypanie zebranego czarnego pyłu w grubsze i cieńsze warstwy, by uzyskać światłocień, który niekiedy dorównywał głębią trompe l'oeil, malowidłom iluzjonistycznym – niektóre wykonano w takich proporcjach, aby można je było oglądać z Grzbietu, inne dostosowano do oglądania z



kosmosu.

Graffiti na Japocie! W późniejszym czasie uznano je za pomyłkę i skandal, moralnie głupotę, nawet zbrodnię, a w każdym razie obrzydliwość; pojawiły się nawet żądania, aby Cassini Regio w całości ponownie zaczernić. Kiedyś może się to stanie, ale nie warto się łudzić – prawda jest taka, że żyjemy po to właśnie, aby zostawić swój ślad we wszechświecie, aby wpisać się w uniwersum i nie ma nic niestosownego w przypominaniu sobie o tym, gdy dana nam zostaje gładka i pusta powierzchnia. Za każdym razem sztuka krajobrazowa o tym właśnie przypomina: nasze życie to tabula rasa, na której musimy pisać. Nasz świat i jego piękno skrywa się całkowicie w naszych oczach. Nawet dzisiaj ludzie czasami idą za horyzont, aby wyryć swoje inicjały w czarnym pyłe.

# WAHRAM W DOMU

Wahram powrócił na Saturna jako androgyn nawiedzony. Pomimo wielu teorii nadal miał wrażenie, że idzie przez tunel. Próbował znowu funkcjonować w pseudoiteracji, jak na Japecie, i nawet w niektórych aspektach okazało się to nad wyraz łatwe – tego życia nigdy by nie zapomniał. Przez dzień lub dwa Wahrama nie opuszczało poczucie, że to dziwne znaleźć się znowu w mieście, z którego odleciało się przed laty, a jednak wiedzieć doskonale, jak na skinienie czarodziejskiej różdżki, gdzie iść – choćby do niewielkiego sklepiku za rogiem po chleb, mleko i podobne sprawunki. Potem lata nieobecności odpłynęły i Wahram po prostu znowu był w domu.

Znowu chodził do pracy długą esplanadą przy północnej panoramicznej ścianie, podziwiając bezkresną krzywiznę horyzontu. Plamki czerni na białych pasmach znaczyły granicę strefy Cassiniego, niczym ogromne orientalne malowidło – czarne smugi pędzla na bieli papieru. Przy skraju niewielkiego kwadratu wznosiły się biura w strzelistej szklanej wieży, pomieszczenia pełne ludzi, których Wahram znał. Było to jak reinkarnacja, powrót do swojego wcześniejszego wcielenia. Mógłby skrupulatnie wcielić się w swoją młodszą wersję i odgrywać siebie jak przed wiekami aktor na scenie, mógłby poświęcić się temu z dnia na dzień, żyć normalnie i egzystować w przywołanym przez siebie *déjà vu*. Ale nie.

Nie. Ponieważ w umyśle nadal miał mocno wyrytą pseudoiterację tunelu i

owa pseudoiteracja przesłaniała mu doznania terażniejszości. Na dodatek Japet obecnie przypominał niemal zupełnie Japeta ze wspomnień, więc dla Wahrama o wiele żywsze i bardziej wyraziste były obrazy tunelu i wszystko, co przeżył ze swoją chyba przyjaciółką z Merkurego. Dużo o niej myślał. Zmienność Swan, przedstawicielki kultury merkuriańskiej, zdawała się nieskończona, ale też sporo przeszła w podziemiach, podobnie zresztą jak Wahram. Chroniła go przy wejściu do windy, zupełnie odruchowo, jakby to, co zrobiła, było oczywiste i nie wymagało nawet jednej myśli – tylko instynktownej, zwierzęcej reakcji. A Wahram, choć namyślał się znacznie dłużej, pomógł Swan podczas choroby popromiennej.

Dlatego kiedy wydawało mu się, że nie myśli o niczym, przyłapywał się na pogwizdywaniu fragmentów Beethovena i na nasłuchiwaniu, czy nie zabrzmiał przy tym melodyjny świergot nieludzkiej wirtuozerii. Zastanawiał się, jak naprawdę brzmiał jego duet ze Swan i czy Pauline go nagrała, a jeżeli tak, czy mogłaby to odtworzyć. Chciał jeszcze raz usłyszeć muzykę, która powstała w podziemnym tunelu – jeszcze jedną interpretację dzieł wielkiego kompozytora. Ach, a ci nieszczęśni muzycy... Może odtworzenie nagrania zniekształciłoby tylko wspomnienia i nie powinno się jednak tego szukać. Lepiej rekonstruować tylko z pamięci. Wahram mógłby usłyszeć tę muzykę ponownie, gdyby znowu tworzył ją razem ze Swan.

Nie. Powinien raczej myśleć o czymś innym i trzymać się terażniejszości. Zapewne wcześniej czy później spotka gdzieś Swan, a wtedy będą mogli znowu razem gwizdać. Albo nie. Zapewne nie – jak to zwykle bywa. Zatem – nieważne, jak świeża i mocno wryta w pamięci – należało przyjąć do wiadomości, że przeszłość to przeszłość. Liczyła się tylko terażniejszość. Dlatego naprawdę powinien rozpocząć nową pseudoiterację, która nie będzie opierać się tak mocno na nawykach z poprzednich dwóch czy trzech etapów życia Wahrama. Potrzebował nowego Japeta i nowej rzeczywistości, w której

Swan byłyby zakodowana jako wspomnienie.

Dlatego powędrował główną ulicą do parku, skąd wieczorami roztaczał się najlepszy widok na pierścienie Saturna, aby obcować z wielkim opierścienionym bogiem i może przy okazji dojrzeć Tytana, miejsce swoich narodzin, błyszczącego nad planetą niczym klejnot. Sam akt przechadzki przywołał wspomnienia niedawnych przeżyć, w parku zaś kilku przypadkowych muzyków skorzystało z okazji i zaczęło grać. Przechodnie natychmiast się przyłączyli i Wahram nie miał wyjścia, mógł albo słuchać, albo też się przyłączyć i zagwizdać – a nawet zaintonować wybraną melodię, gdy przyszła jego kolej – finał Szóstej symfonii lub Siódmej – a reszta podjęła motyw i zagrała na instrumentach lub tylko słuchała. Przez Saturna nad głową i paru wyjątkowo uzdolnionych artystów w tej małej orkiestrze Wahram dał się ponieść, uległ czarowi chwili, a Swan była tam z nim, we wspomnieniach. Co za beczelność z jej strony.

Potem w dzień, gdy rada i różne zespoły robocze nie miały spotkań, Wahram przeszedł przez cztery poziomy miasta i przy bramie dla pojazdów wypożyczył sanie. Zjechał z ogromnej stromizny wypiętrzenia Japeta, w tej okolicy połałdowanej czemi poznaczonej wstęgami bieli, tu i ówdzie przypominającymi poszarpane połacie śniegu, a niekiedy zastygłe fale zamarznętego strumienia. Były w nich bałwany wielkości sporego wzgórza. Niżej na wielkim stoku sanie mogły zjeżdżać szlakiem pod linami, skręcać i robić pętle, jeżeli się miało ochotę. Można też było po prostu trzymać się dłuższej trasy ukośnie przecinającej zbocze, a nawet pomknąć prosto w dół po czterdziestopięciostopniowym spadku. Jednak nawet przy największej szybkości zjazd trwał cały dzień. Dlatego tak wielu ludzi wybierało większe pojazdy, na których urządzano imprezy. Kiedyś Wahram też tego próbował. Potem na dole wystarczyło przejść do kolejki linowej, aby wrócić na górę. Większość ludzi była już wtedy w doskonałym nastroju, często wyrażanym

śpiewem. Ludzie popijali sznapsa i śpiewali Schuberta. Wahram też tak robił dawno temu – w pierwszych latach swojego życia na Japecie, ale jakoś nie weszło mu to w nawyk i szybko zniknęło w zakamarkach pamięci. Dopiero myśl o Swan przywołała te wspomnienia.

Nawet praca pobudzała go do myślenia o Swan – zwłaszcza kiedy rada i komisje dyskutowały o decyzji w sprawie umowy z Wulkanoidami, po tym jak Terminator został zniszczony. Wahram przypomniał swoim kolegom, że miasto na Merkury wkrótce zostanie odbudowane i zasiedlone ponownie, co oznacza, że sytuacja wcale nie uległa zmianie po ataku. Liga miała umowę z Terminatorem i śmierć Alex tego nie zmieniła.

Śmierć Alex niczego nie zmieniała, umowa nadal obowiązuje. Wahram dostrzegł, że chociaż o to właśnie chodziło, wypowiedzeniem swojego zdania na głos zasłużył sobie u kolegów na etykietkę stronniczego. Co zresztą nie odbiegało od prawdy. Dlatego potem zamilkł i tylko słuchał, co inni mają do powiedzenia w kwestii stosunków z Merkurem. Nie usłyszał nic nowego: wielu umowa się nie podobała od początku, a teraz obiekcje wróciły i pojawiły się głosy, że należało raczej wiązać się z Ligą Wulkanoidów, albo nawet z pojedynczymi Wulkanoidami. Przecież nie były to statki kosmiczne, lecz małe asteroidy krążące na stabilnych orbitach między 0,06 a 0,21 jednostki astronomicznej od Słońca – trzydziestokilometrowe głązy rozgrzane do białości po nasłonecznionej stronie i wystarczająco duże, aby osłaniać się lustrami słonecznymi i w swoim wnętrzu pomieścić małe osiedla, w których mieszkali operatorzy lub wyznawcy. Były to miasta-państwa – nieróżniące się od innych, jak podkreślała większość kolegów Wahrama – dlatego nie powinny być reprezentowane przez jakąś zewnętrzną jednostkę, na przykład przez Terminatora, niezależnie od tego, co ustaliła i osiągnęła Alex. Jak byśmy się czuli, gdyby miasta-państwa z Ligi Saturna postanowiło reprezentować jakieś ugrupowanie z Jowisza tylko dlatego, że Jowisz orbituje

między Saturnem a resztą cywilizacji? Czy nie jest to ostateczny argument przemawiający przeciw Terminatorowi w tej sprawie? I czy to nie jest czasem jeszcze jeden krok do tego, co nazwano Integracją Aleksandryjską, wysiłkami podejmowanymi offline, aby ominąć sztuczne inteligencje i zjednoczyć cały Układ... pod rządami Alex?

Niezupełnie, odpowiedzieli inni i Wahram odetchnął z ulgą, ponieważ pracował z Alex właśnie nad tym projektem. Oczywiście cele tych działań niezupełnie odpowiadały opisowi kolegów, ale w obliczu postawionego zarzutu byłoby ciężko to wyjaśnić i odeprzeć oskarżenia. Lepiej obserwować w milczeniu i pozwolić, aby spór ciągnął się leniwie i długo, jak to zwykle podczas obrad rady, aż wreszcie samoistnie zmieni się w coś innego. Radni z Hyperiona i Tetydy stanowili główną przyczynę ciągnących się na ten temat obrad. Oboje byli gadatliwi, rozwlekli i maniakalnie szczegółowi, kiedy chodziło o sprawy w sferze ich zainteresowań. Rada stanowiła jedną z wielu organizacji w Lidze Saturna, składającą się z pracowników tymczasowych oraz stałego personelu, który miał im pomagać, lecz często posiadał większe wpływy polityczne niż decydenci – i w prawdziwie makiawelicznym stylu mógł prowadzić niepostrzeżenie swoich zwierzchników przez każdą decyzję. Na szczęście czasami radni, którzy zostali wylosowani i obarczeni troską o dobro systemu Saturna, chcieli samodzielnie podejmować decyzje i czynić to jak najlepiej, czyli w oparciu o dokładne informacje. Było to godne podziwu w teorii, ale boleśnie powolne w praktyce.

Dlatego teraz obrady toczyły się nad oceną, czy Merkury miał prawo, a przynajmniej został upoważniony do pośrednictwa i reprezentowania innych, a jeżeli tak, czy utrudni to Lidze Saturna stosunki z osiedlami na Wulkanoidach oraz jakie z tego mogą wyniknąć korzyści. W dyskusjach pojawił się też pogląd, że mieszkańcy Merkurego byli intruzami, którym udało się roztoczyć gangsterską ochronę nad małymi nowymi osiedlami wewnątrzukładowymi,

dlatego powinno się wykluczyć Terminatora z wszelkich umów jako wyraz niezadowolenia Ligi.

Ostatecznie rada doszła do wniosku, który można było przewidzieć parę godzin wcześniej: skoro Wahram tak współczuje Merkurianom, niech wróci tam i przyjrzy się sytuacji, pogada z podopiecznymi Lwicy i sprawdzi, kto zostanie jej następcą. Potem Wahram miałby odwiedzić Wulkanoidy i wysłuchać, co mają do powiedzenia tamtejsi decydenci, zwłaszcza o umowie, jaką Merkury zaproponował Saturnowi. A najlepiej, gdyby w imieniu Ligi wycofał się z porozumienia z Merkurym i układał bezpośrednio. Takie otrzymał wytyczne.

Zapewne powinien odmówić, ponieważ ta ostatnia instrukcja bardzo mu się nie spodobała, ale uświadomił sobie, że inny delegat mógłby dążyć do nawet gorszych rezultatów dla mieszkańców Merkurego. Na dodatek powierzona Wahramowi misja oznaczała znowu podróż w stronę Słońca, co samo w sobie było interesujące i godne przemyślenia. A jeżeli chodzi o zadanie i polecenia z nim związane, Wahram poczeka i sprawdzi na miejscu, jak się sprawy potoczą. W królestwie Alex ambasador był, jak w dawnych czasach, nie tylko dyplomatą i posłańcem, który przekazuje postanowienia swoich zwierzchników, ale także kimś, kto sam podejmuje decyzje. Jednak do czasu, gdy Wahram tam wróci, wszystko może się już zmienić. Przejornie należy założyć, że zmiana na gorsze już nastąpiła.

Dlatego Wahram przyjął zadanie bez dyskusji.

Wtedy jednak wstał i przemówił Satyr z Pana.

– Musisz nam powiedzieć, czy te działania nie przeszkadzają, twoim zdaniem, w innych projektach prowadzonych przez Alex. Możesz przypomnieć radzie, jakie są ich cele i jak się rozwijają, gdy Lwicy już nie ma?

Wahram sztywno skinął głową, zastanawiając się nad odpowiedzią. On i inni Alexandryjczycy starali się utrzymywać wszystko w jak największym

sekrecie. Część członków rady nie poświęcała zbyt dużej uwagi autoryzacji tych projektów lub budżetów ukrytych w większych wydatkach.

– Wszystkie projekty Alex funkcjonują rozdzielnie, więc nie grożą nam żadne kłopoty z tej strony. Z innymi problemami poradzą sobie grupy skupione wokół Wanga i inspektora Jeana Genette’a. Jeżeli mamy dyskutować o szczegółach, będziemy musieli udać się do izolowanego i zabezpieczonego przed podsłuchem pomieszczenia, jednak wystarczy rzec, że Alex bardzo mocno zaangażowała się w projekt Mondragonu, którego celem była pomoc Ziemi w jej różnorodnych problemach ekologicznych. Pracuje nad nimi wiele terrariów związanych z Mondragonem. Prace toczą się nieustannie i zgodziliśmy się je wspomagać. Prowadzone jest również dochodzenie dotyczące roli gości w podejrzanych działaniach na Marsie, Wenus, Io i w innych miejscach. To również nie ulegnie zmianie, niezależnie od tego, co stanie się na Wulkanoidach – sprawa nie ma związku z tym, o czym wspomniałem, choć jest bez wątpienia nie mniej ważna.

Rada nie chciała przechodzić do zabezpieczonych i izolowanych pomieszczeń, gdzie zostałyby odcięta od infocmury i łączności radiowej, więc odroczyła obrady. Wahram wrócił do siebie. Jego wspólnota utrzymywała mieszkanie w niewielkim apartamentowcu znajdującym się w dzielnicy zajmowanej głównie przez Tytanów, z tytańskimi sklepami i restauracjami. Wahram mieszkał wśród członków swojej wspólnoty i cieszył się ich wsparciem, tak życzliwym i pełnym zrozumienia, że przez to miał wrażenie życia w całkowitej samotności. Podczas oczekiwania na kosmiczny liniowiec, który zabierze go w głąb Układu, Tytan wędrował po spirali miasta na spotkania rady, codziennie konsultował się z rodzimym światem w sprawie tamtejszych postępów i projektów oraz wykonywał na rzecz Japeta prace w kuchni i jadalni na parterze swojego bloku. Wybrał się na kilka koncertów, przyłączył parę razy do niewielkich grup muzyków w parku, napełniał i



opróżniał zmywarki do naczyń. Gdy podawał posiłki w jadalni, powtarzalne drobne wyzwania nawigacyjne przypomniały Wahramowi stwierdzenie Prousta, że ruch w restauracji przypomina wirujące planety w Układzie Słonecznym. Tytanowi wydało się to porównanie nazbyt wymyślne (nie wspominając o różnicy skali i przedmiotów porównania, jak w przypadku wehikułu i tenora), dopóki nie zobaczył tego na własne oczy w kolejnych lokalach, gdzie pracował. Panujący tam ruch stanowił żywą prezentację drugiej zasady termodynamiki i dyfuzji energii przez wszechświat, podczas gdy w ogromnym planetarium ludzie krążyli na orbitach swojego życia. Wkrótce Wahram miał wyruszyć w stronę Słońca i znaleźć się w cieniu rozkwitających Merkurian...

Ale wtedy wezwała go Swan. Przybywała z Jeanem Genette'em – zamierzali oboje zanurkować w wyższe warstwy porażająco pięknych obłoków Saturna, aby poszukać dryfującego tam podobno statku kosmicznego. Swan poprosiła, aby Wahram, jeśli to możliwe, zorganizował to zanurzenie w atmosferę planety i przyłączył się do wyprawy.

– Oczywiście – odpowiedział. – Jestem do twojej dyspozycji.

Lepiej nie mógłby tego ująć.

## SPISY (8)

Prometeusz, Pandora, Janus, Epimeteusz i Mimas; księżyce, które poruszają się nad pierścieniami Saturna.

Pierścienie mają tylko 400 milionów lat – powstały, gdy przez Pas Kuipera przeszła lodowa asteroida, zbliżyła się za bardzo do planety i została do jądra odarta z płaszczka.

Mimas jest niewielki, zaledwie 400 kilometrów średnicy, a jego największy krater, Herschel, ma prawie 140 kilometrów. Uderzenie, które stworzyło ten krater, omal nie rozbiło Mimasa na kawałki.

Hyperion to właśnie taki odłamek, który pozostał po kolizji księżycy z innym ciałem niebieskim. Ma kształt krążka hokejowego. Uderzenie wywołało serię krótkich eksplozji w płaszczyźnie i praktycznie przekroiło księżyc jak przy oddzielaniu brył granitu. Płaszczyna, która została, ma komory jak w gnieździe os – to wielkie pole wypełnionych kurzem kraterów.

Pandora wygląda jak fasolka.

Tetyda i Dione mają obie około 1100 kilometrów wszerek (zupełnie jak Francja), obie są poharatane na powierzchni, poryte wąwozami o ścianach wysokich na mile. Itaka Chasma, czyli Przepaść Itaki, na Tetydzie jest dwa razy głębsza i cztery razy dłuższa niż Wielki Kanion Kolorado, a do tego tysiąc razy od niego starsza. I bardzo poobijana przez saturnijskie wieczne wojny domowe.

Dione natomiast została dosłownie poszatkowana przez samoreplikujące się maszyny do cięcia lodu, po czym jej kawałki w postaci kilkunastokilometrowych bloków wysłano w głąb Układu Słonecznego – na Wenus. Uderzyły w nią równoległe do równika i zapewniły planecie głębokie baseny oceaniczne oraz wodę do ich wypełnienia. Przy okazji posłały w kosmos sporo wenusjańskiej atmosfery.

Rea jest równie szeroka jak Alaska, z mnóstwem kraterów, rzecz jasna, z których najmłodsze wypływają regularnie jasne strumienie lodu.

Japet orbituje pod kątem 17 stopni do płaszczyzny saturnijskiego równika – zatem z tego właśnie satelity rozciąga się najlepszy widok na pierścienie. I dlatego Japet jest tak popularny. Na tym

kawałku skały znajduje się największe miasto w systemie Saturna.

Epimeteusz to niekształtna gruda luźno powiązanego gruzu. Co osiem lat zamienia się orbitą z kolejnym satelitą - Janusem. To księżyce współorbitujące, bardzo rzadkie - znak po zderzeniach w przeszłości.

Enceladus pokryty jest splątanymi pasmami lodu. Żadnych kraterów - zmarzlina na powierzchni jest zbyt młoda, do tego nieustannie zasila ją woda z oceanu znajdującego się w głębi. Źródła ciepła doprowadzają część tej gazowanej wody do wrzenia i tworzą się gejzery strzelające na wiele kilometrów w kosmos. Woda szybko zamarza w locie i część tworzy cienkie, niedomknięte obrączki, łuki w kształcie litery c, reszta spada z powrotem na powierzchnię pod wpływem własnego ciężaru i zmienia się w firn, a potem ponownie w lód. W roku 2244 w enceladusowym oceanie zostały odkryte kolonie mikroskopijnych form życia, dlatego na powierzchni pojawiła się stacja naukowa, jak również kult czcicieli, którzy pożykają obce formy życia z nieznanym jak dotąd skutkiem.

Wokół Saturna krąży dwadzieścia sześć małych księżyców o nieregularnych kształtach. To obiekty z Pasa Kuipera, złapane, gdy przecinały najwcześniejszą warstwę gazową Saturna. Febe, około 220 kilometrów w poprzek, jest z nich największa, ma ruch obrotowy wsteczny i orbitę pod ostrym kątem 26 stopni do płaszczyzny równika. To kolejne popularne miejsce z widokiem na pierścienie.

Tytan, jak dotąd największy z księżyców Saturna, przewyższa rozmiarami Merkurego lub Plutona. Więcej o Tytanie - później.

## WYCINKI (9)

Pytanie o moc obliczeniową: czy z problemu można wyprowadzić wynik...

Jeżeli skończona liczba kroków doprowadzi do odpowiedzi, to mamy do czynienia z problemem, który może zostać rozwiązany przez maszynę Turinga...

Czy wszechświat stanowi maszynę Turinga? Na razie jeszcze nie jest to jasne...

Maszyny Turinga nie zawsze mogą określić, kiedy otrzyma się wynik. Żadna maszynowa wyrocznia nie jest zdolna do rozwiązania problemu, który ją wstrzymuje...

Skok operatora w maszynie Turinga przypisuje do każdego problemu  $X$  większy problem  $X'$ . Ustawienie maszyny Turinga na problem wytwarzania własnego skoku tworzy efekt rekurencji zwany Ouroborosem... Obliczenia wykonalne na komputerach kwantowych można również wykonać na klasycznych. Wykorzystanie zjawisk mechaniki kwantowej przyspiesza jedynie szybkość operacji...

...dwa popularne fizyczne mechanizmy, punkty i ciecze. Punkty w fizyce kwantowej to elektrony złapane w klatkę atomów, wzbudzone promieniami lasera do superpozycji i przepychane z jednego stanu do drugiego. Kwantowe ciecze (często cząsteczki kofeiny z powodu wielu jąder) są magnetycznie zmuszane do przejścia wszystkich jąder w ten sam spin, a potem, po wykryciu

techniką spektroskopii magnetycznego rezonansu jądrowego, następuje zmiana spinów...

Dekoherencja sprawia utratę superpozycji i wynik albo/albo. Przed tym kwantowe równoległe obliczenia wykazują każdą możliwą wartość, która mieści się w danym rejestrze...

Wykorzystanie superpozycji do obliczeń wymaga unikania dekoherencji najdłużej jak to możliwe. Co okazało się trudnym i nadal ograniczającym czynnikiem dla rozmiaru i mocy komputerów kwantowych. Różne fizyczne i chemiczne rozwiązania zastosowane do budowy i łączenia kubitów podniosły liczbę możliwych do połączenia kubitów, zanim dekoherencja zdławi obliczenia, ale...

Komputery kwantowe są ograniczone do obliczeń, które można wykonać szybciej, niż nastąpi dekoherencja w superpozycji funkcji falowej. Przez ponad stulecie ten ograniczony czas dla operacji komputerów kwantowych wynosił mniej niż dziesięć sekund...

Qostki to komputery kwantowe działające w temperaturze pokojowej i złożone z trzydziestu kubitów, z granicą dekoherencji dla połączonych w obwód kubitów w kombinacji z klasycznym komputerem o mocy obliczeniowej jednego petafopa do stabilizacji operacji i zapewnienia bazy danych. Najpotężniejsze qostki teoretycznie mogą obliczyć ruchy wszystkich atomów Słońca i jego układu planet aż do granic wiatru słonecznego...

Qostki są szybsze od komputerów tradycyjnych tylko wtedy, kiedy mogą wykorzystać paralelizm kwantowy. Przy multiplikacji wcale nie są szybsze. Ale diabeł tkwi w szczegółach: do rozłożenia na czynniki pierwsze 1000-cyfrowej liczby w algorytmie Shora klasyczny komputer potrzebowałby dziesięciu milionów miliardów tryliardów lat (istnienie wszechświata – 13,7 miliarda lat); qostka zaś robi to w dwadzieścia minut...

Algorytm Grovera oznacza, że roczne poszukiwanie przy użyciu klasycznego

komputera wykonującego przypadkowe kroki w miliardach przeszukiwań na sekundę zajmuje goście w jej kwantowych krokach 185 przeszukiwań...

Algorytm Shora, algorytm Grovera, algorytm Perelmana, algorytm Sikorskiego, algorytm Ngyuena, algorytm Wanga, drugi algorytm Wanga, algorytm z Cambridge, algorytm z Livermore...

...splątanie jest także podatne na dekoherencję. Fizyczna więź obwodów kwantowych jest konieczna, aby opóźnić dekoherencję na użytecznie długie czasy. Wcześniejsza lub niepożądana dekoherencja wyznacza granicę rozwoju mocy obliczeniowej gości, ale i tak jest to granica bardzo wysoka...

...okazało się, że dla celów obliczeniowych łatwiej manipulować superpozycją niż splątaniem, w tym zatem kryje się wyjaśnienie wielu...

Kwantowa baza danych jest skutecznie przeprowadzana ponad wielością wszechświatów...

...dwie spolaryzowane cząstki ulegają dekoherencji równocześnie, bez względu na dzielącą je fizyczną odległość, co oznacza, że przeskok informacji może przekroczyć prędkość światła. Efekt ten został potwierdzony eksperymentalnie pod koniec XX wieku. Jakikolwiek urządzenie, które wykorzysta ten fenomen do przekazywania wiadomości, nazywane jest ansiblem. Udało się skonstruować takie urządzenie, lecz niepożądana dekoherencja sprawia, że maksymalna odległość między ansiblami wynosi 9 centymetrów, a i to tylko wtedy, gdy oba zostaną schłodzone do temperatury o milionowe ułamki kelwina wyższej od zera absolutnego. Fizyczne ograniczenia wskazują bardzo wyraźnie, że postęp w tej dziedzinie będzie w najlepszym wypadku asymptotyczny...

...potężny, lecz wyizolowany i odrębny, trochę jak umysł...

...pytania Penrose'a o efekty kwantowe w świadomości okazały się czysto akademickie i nieistotne, skoro takie same z definicji zachodzą także w gościach. Jeżeli obie struktury są komputerami kwantowymi, a o jednej z

nich wiemy wcale dobrze, że posiada świadomość, to kto wie, co się dzieje w drugiej...

...teoretycznie ludzki mózg jest maksymalnie zdolny do działania z prędkością 10<sup>16</sup> operacji na sekundę...

...komputery stały się miliard, a nawet tryliard razy szybsze niż ludzki mózg. Zatem jeśli chodzi o programowanie, co właściwie robią teraz operacje...

...hierarchiczne poziomy myśli, generalizacje, nastroje, uczucia, wola...

...algorytmy rekurencyjne, hiperobliczeniowość, superzadaniowość, metoda prób i błędów, maszyny wnioskowania indukcyjnego, rozwijające się komputery, obliczenia rozmyte, operatory transrekurencyjne...

...jeżeli zaprogramuje się cel w programie komputera, czy to uformuje jego wolę? Czy komputer ma wolną wolę, jeżeli stanowi ona cel jego programu? Czy taki program różni się od sposobu, w jaki nas zaprogramowały geny i świadomość? Czy zaprogramowana wola jest niewolnicza? Czy ludzka wola jest podległa? I czy wola, która nie jest podległa, stanowi siedzibę i źródło uczuć hańby, zatrucia, występku i gniewu?

...czy komputer kwantowy może sam się zaprogramować?

# WAHRAM, SWAN I GENETTE

Wahram dostrzegł Swan, gdy wychodziła ze śluzy. Rozejrzała się, a kiedy go dostrzegła, pomachał do niej. Odpowiedziała tym samym. Tytan pomyślał, że wyglądała na spiętą, gdy przechyliła głowę. Zerknął na niego ukradkiem – nie wiedziała, jakiego powitania się spodziewać. Dopiero wtedy do Wahrama dotarło, że jej obecność tutaj to otwarte proszenie się o kłopoty. Aby ją pokrzepić, skłonił się nieco niżej, niż wymagała tego zwykła uprzejmość, a potem, uznawszy, że to nie wystarczy, wyciągnął ręce. I kiedy to uczynił, natychmiast zrozumiał, że oto znalazł się znowu w innym świecie, w swano-centrycznym uniwersum intensywnych przeżyć. A Swan rzuciła mu się w ramiona. Wahram pomyślał, że wyglądało to zapewne nie tylko tak, jakby oddawał uścisk, lecz jakby ją do tego zachęcał.

Jean Genette wyszedł ze śluzy zaraz potem i przystanął, spoglądając na obejmującą się parę z dołu. Wahram powitał inspektora ukłonem.

– Chciecie odnaleźć jeden z wiszących pod chmurami statków? – zapytał.

Owszem. Okazało się, że jednostka może mieć coś wspólnego z atakiem na Terminatora. Tytan zatem powiodł przybyłą parę przez kosmoport do stanowisk, skąd wystrzeliwano promy na orbity okołobiegunowe Saturna. Wycieczki tam cieszyły się dużą popularnością, ponieważ pozwalały w pełni podziwiać pierścienie oraz sześciokątną burzę na biegunie południowym planety. Wahram uzyskał już wcześniej pozwolenie od władz, aby polecieć w



górne warstwy chmur i przeszukać tamtejsze rejony planety. Rada ucieszyła się zapewne z udziału Wahrama, ze względu na odkryty przez Genette'a związek między Saturnem a atakiem na Terminatora.

Poza pilotem i załogą na pokładzie promu znalazło się tylko ich troje. Zaraz po wzlocie w stronę bieguna północnego Saturna Genette i Swan opowiedzieli Wahramowi o tym, co porabiali po opuszczeniu Merkurego. Czuł się trochę niezręcznie, że nie mógł odwzajemnić się tym samym i również opowiedzieć o swoich działaniach, ale rozkazy rady były jednoznaczne. Starał się to zrekompensować, wypytyując towarzyszy o śledztwo i osiągnięte wyniki dochodzenia. Rozmowa okazała się niezwykle interesująca, choć zarazem niepokojąca, a Wahram szczegółowo przeanalizował teorię, że pojawił się ktoś, kto morduje całe terraria. Redukcja grupy podejrzanych do populacji Ziemi nie wydała się znaczącym postępem. Stare powiedzenie głosiło przecież, że wszelkie kłopoty pochodzą z Ziemi.

Prom nie był dużą jednostką, a chociaż okazał się szybki, podróż trwała na tyle długo, że Swan zaczęła zdradzać objawy niepokoju i nadpobudliwość, którą Wahram tak dobrze pamiętał. Na szczęście wkrótce znaleźli się nad północnym biegunem Saturna i ujrzeli ciemną stronę pierścieni. Prześwietlone od tyłu promieniami słońca przybierały pastelowe barwy. Krawędź odcinała się wyraźnie i precyzyjnie od tła, zaskakująco ogromna. Nawet z ciemnej strony pierścienie były jaśniejsze od półkuli nocnej planety, tworząc aurę lub swoisty efekt halo ponadczasowej piękności na tle głębokiego błękitu polarniej zimy na Saturnie. Swan zwisła w uprząży i podpłynęła do iluminatora. Widok zapał jej dech w piersi. Wahrama ucieszyła ta reakcja i wcale nie dlatego, że towarzyszka nagle zamilkła. Saturn od północy zawsze wydawał mu się wyjątkowo wspaniałym widokiem, najpiękniejszym w całym Układzie Słonecznym.

Prom obniżył lot tak, że krzywizna wielkiej planety przestała być widoczna.

Otoczyła ich cudowna jasnokobaltowa równina – błękitne podłoże wszechświata, nad którym zdawała się unosić lekko sferyczna czerń kosmosu. Wyglądało to niemal tak, jakby znajdowały się tu dwie planety rozdzielone tylko nieznaczną odległością, czarna i niebieska, spotykające się na horyzoncie jak płaszczyzny w geometrii eliptycznej.

Wkrótce potem znaleźli się pośród ogromnych skłębionych obłoków przecinanych wyładowaniami i toczących się w tym rejonie na wschód wzdłuż mniej więcej siedemdziesiątego piątego równoleżnika. Królewski błękit, turkus, indygo, szafir – zdawało się, że chmury we wszystkich odcieniach niebieskiego ciągną się w nieskończoność. Na szerokościach geograficznych bardziej na południe wiały silne wiatry, podmuchy o prędkości dwa tysiące kilometrów na godzinę skierowane w przeciwne strony tworzyły tam, gdzie się stały, obszar dzikich wirów powietrznych i cyklonów. Należało trzymać się z daleka od tych obszarów, ale ponieważ równoleżniki na Saturnie dzieliły tysiące kilometrów, nie było to takie trudne.

W przeciwieństwie do Jowisza tutaj nie występowały obszary wysokiej radiacji wytworzone przez mniejszego giganta, dlatego w obłokach Saturna znalazły schronienie niewielkie grupki szybujących statków, przez lata powstały tam również osiedla na platformach podwieszonych pod ogromnymi balonami. Aby unieść taką konstrukcję, balony musiały być naprawdę wielkie, ale chmury zapewniały schronienie nie tylko fizyczne, lecz także psychologiczne i prawne. Liga zbierała dane o tych podobłocznych przyczółkach, a także utrzymywała z nimi kontakt, o ile było to możliwe, ponieważ wystarczyło zanurzyć się głębiej w chmury i wyłączyć komunikatory, aby zniknąć i cieszyć się samotnością.

Niewielki prom zanurkował w wysokie na sto kilometrów burzowe obłoki. Perspektywa zniknęła. Podobno wszystkie chmury wyglądają tak samo. To nieprawda. Te tutaj były wielkie jak asteroidy. Wznosiły się z głębiej

umiejscowionych lub bardziej płaskich kłębow, więc niżej można było dostrzec masy nimbusów i cirrusów, cumulusów, festonów czy girland – w rzeczy samej pełny katalog Howarda, wirujących wokół, nad i pod sobą – tworzących to, co uznawano za powierzchnię gazowego giganta. W górze można było jeszcze dostrzec wyraźną granicę, gdzie kończyły się strzępiaste słupy tornad i szerokie, kopulaste wiry huraganów. A kiedy prom przelatywał nad spokojniejszym lejem, udawało się zajrzeć w głąb gazowej kobaltowej planety, niczym w prześwit we mgle, która w dole, gdzie okiem sięgnąć, falowała niczym ciecz. Zaraz jednak wysokie pasmo wypełniało się i perspektywa zaciskała się w rozproszonych błyskach błękitu, a promem wstrząsało drzenie i turbulencje, których nawet najszybsza sztuczna inteligencja nie mogła uniknąć podczas pilotażu. Statkiem miotało, dopóki znowu nie trafił na spokojny, czysty błękit, o wiele głębszy niż ten na Ziemi. Poruszali się głównie z wiatrem, ale czasami przecinali podmuchy lub parli w przeciwną stronę – opór sile wiatru skutkowało również turbulencjami, jak we wnętrzu chmury.

Potem przed dziobem otworzył się kanion wolnej przestrzeni, który zwężał się, aż zniknął zupełnie. Dalej wirował cyklon, który z powodzeniem mógłby targać Ziemią jak łupiną na wzburzonym oceanie.

– Musimy to ominąć – stwierdził kapitan i skierował statek w górę. Płaska niecka leja huraganu skłębiła się pod statkiem. W górze zabłysły nieruchome gwiazdy.

– Czy są tutaj lotnicy? – zapytała Swan. – Czy ktoś lata w tych rozpadlinach chmur ubrany w skafander ze skrzydłami?

– Tak, choć nieliczni – odpowiedział Wahram. – Zwykle to naukowcy zajmujący się badaniami Saturna. Do niedawna planetę uznawano za zbyt niebezpieczną i odradzano wizyty. Głównie dlatego tak niewielu ludzi tu zamieszkało, mniej, niż przywykłaś, w porównaniu z innymi rejonami Układu

Słonecznego.

Swan potrząsnęła głową.

– Po prostu nie wiesz, jak wielu już tu mieszka.

– Możliwe.

– Nie bywasz tu często?

– Nie.

– Polatałbyś ze mną?

– Nie umiem latać.

– Sztuczna inteligencja skafandra zajmie się mechaniką. Byłbyś tylko pasażerem wydającym polecenia, gdzie chcesz lecieć.

– I tyle? Nic więcej w tym nie ma?

– Oczywiście, że jest. – Spojrzała na niego z odrazą. – Ludzie latają w całym Układzie Słonecznym, jeżeli tylko są ku temu odpowiednie warunki. Nasze ptasie mózdzki zmuszają nas do tego.

– W to nie wątpię.

– A zatem polecisz ze mną. – Swan skinęła głową, jakby już Wahrama przekonała i uzyskała od niego zgodę.

Tytan spuścił nieco głowę.

– Jesteś lotnikiem?

– Kiedy tylko mogę.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Jak mógł pozwalać tak sobą pomiatać, a jednak nadal kochać tę Merkuriankę? Nie ma mowy! Chyba jednak było już za późno na sprzeciw. Wpadł po uszy, czuł to w piersi – był zauroczony Swan, był bardzo, ale to bardzo zainteresowany wszystkim, co mówiła i robiła. Gotów był nawet zgodzić się na różne idiotyzmy, choćby latanie w ptasim stylu przez chmury Saturna. Jak to możliwe? Przecież ona nie była nawet w typie Wahrama... Ach, Marcelu, gdybyś tylko wiedział! Ta Swan była nawet gorsza od Odetty.

– Może kiedyś – mruknął spokojliwie. – Ale teraz szukamy tego twojego statku.

– Właśnie – włączył się do rozmowy inspektor Genette. – I chyba jesteśmy już blisko.

Prom zanurkował w kolejną chmurę i ściany zaczęły wibrować. Poniżej ciągnęły się obłoki, trzydzieści tysięcy kilometrów mieszaniny gęstych gazów, aż do czarnej warstwy trudnej do sklasyfikowania galaretowatej zmarzliny, która stanowiła właściwą „powierzchnię” planety. Podobno niektóre jednostki ukrywały się właśnie tam, w najgłębszych warstwach chmur, i Wahram zaczął się martwić, że poszukiwany statek również. Ale wtedy spośród obłoków na południu wynurzył się kosmolot, miedziany na tle kobaltu, podwieszony na ogromnym balonie w kształcie kropli. A potem zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Opuszczony statek dryfował, kołysząc się pod balonem. W chmurze było nieco ciemniej, czekoladowe pasma zmieniały się w pomarańczowe lub brązowe, a potem znowu ciemniały. Gdyby miał wyrazić swoje wrażenia przez muzykę, Wahram odtworzyłby coś z Satiego i Wagnera jednocześnie, igły smutku przebijające przez rozmach majestatycznego patosu: mały, zagubiony statek.

Z promu przesiedli się na skoczka. Niewielki wehikuł musiał walczyć z turbulencjami po wyjściu z doku promu. Zza mgły wynurzył się znowu ciemny kształt milczącego kosmolotu. Wahram nie mógł przestać myśleć o *Marie Celeste* i tratwie na Missisipi z „*Przygód Hucka*”. Lecz to nie była odpowiednia pora na wspomnianie starych opowieści, należało się skupić na tym, co ważne, czyli na trawlerze, jakich wiele lata między asteroidami, ze starego typu napędem deuterowo-trytowym wybrzusającym się na rufie.

– Tego szukałeś? – zapytał Wahram.

– Tak sądzę – odparł inspektor Genette. – Wasze urządzenia namierzyły go,

gdy wchodził w chmury, a kiedy puściliśmy pinga, stąd przyszła odpowiedź. Przyjrzyjmy się.

Przybili skoczkiem do opuszczonej jednostki. Pilot z finezją poradził sobie z połączeniem w silnym, zmiennym wietrze. Gdy tylko śluzy zostały połączone magnetycznie, Wahram, Swan i Genette oraz dwóch podwładnych małego śledczego ubrali skafandry i wzdłuż cum, niczym po nici Ariadny, poszybowali do statku.

Swan pierwsza wylądowała na krzywiźnie poszycia. Gdy dotknęła przycisku na panelu przy śluzie, światelko z czerwonego zmieniło się w zielone, a gródź się otworzyła. Z wnętrza błysnęło oślepiająco, a potem znów zapadła ciemność. Swan krzyknęła.

Genette opadł tuż obok nad ramieniem kobiety i niczym anioł stróż odciągnął ją za ramię w tył.

– Czekaj. Nie podoba mi się to. Passepartout właśnie mi mówi, że ze statku wysłany został bardzo silny sygnał radiowy. – Mały inspektor skoczył do śluzy pierwszy i zaraz wrócił z urządzeniem przypominającym parę frezowanych śrub w wąskiej tulei. – Chyba to cię oślepiło.

Do wewnętrznej grodzi w śluzie przychepione było pudełko.

– To jakiś czujnik, wykrywacz. Automatyczny strażnik. Może zrobił ci zdjęcie i wysłał do tych, którzy go tutaj zainstalowali. Weźmiemy go ze sobą.

Swan uderzyła pięścią w gródź tuż obok urządzenia.

– Oto jesteśmy! Pieprzcie się!

– Już o nas wiedzą – zauważył Genette, rozwierając pudełko jak muszlę morskiego skorupiaka. – Ale może uda się to wykorzystać. Ten statek nie pochodzi znikąd, a pochodzenie jego części można wyśledzić. Zabierzemy jego si.

Dwaj podwładni otworzyli wewnętrzną gródź. W środku trawler okazał się równie pusty jak kosmiczna próżnia. Wahram wszedł tam za

funkcjonariuszami. Włączyły się już światła, mostek wydawał się w pełni sprawny. Ale ani powietrza, ani żywego ducha.

– Przecież wiadomo, że każda jednostka ma identyfikator. Czemu statek porzucono, zamiast się go pozbyć?

– Nie wiem. Może właściciel lub właściciele chcieli go jeszcze do czegoś wykorzystać, a nie wiedzieli o satumijskich systemach namierzających.

– Nie podoba mi się to.

– Ani mnie.

– Może ten statek należy do niezrzeszonych – wtrąciła Swan. – Nigdy nie był zarejestrowany.

– Istnieją w ogóle takie? – zdziwił się Wahram.

– Owszem – przyznał Genette, zajęty przyłączaniem kabli z Passepartout do portów na konsoli głównej.

– Mam wszystkie dane jednostki – zameldowała gostką.

– Wyośmy się stąd – nakazał inspektor. – Jak wynika z danych Passepartout, balon jest dziurawy. Nie za bardzo, ale musimy uciekać, zanim trawler zacznie spadać szybciej.

Bez zwłoki wszyscy pobiegli krótkim korytarzem do śluzy. Pilot promu już się niecierpliwił. Poganiał ich, żeby jak najszybciej odcumować – balon się opróżniał i statek zaczynał spadać z coraz większym przyśpieszeniem.

Cała piątka wcisnęła się do śluzy. Inspektor i jego dwaj podwładni zajmowali niewiele miejsca w kącie. Kiedy zewnętrzna gródź się rozsunęła, skoczyli w chmury. Balon rzeczywiście wyraźnie sflaczał – zmałał, pomarszczył się i zaczął łopotać na wietrze. Mimo to mali z Interplanu orbitowali za pomocą silniczków odrzutowych w skafandrach i fotografowali statek widmo z każdej strony.

– Zrób dokładne ujęcie tutaj. – Genette zatrzymał jednego z podwładnych. – Otwory po przestrzeleniu. Pobierz próbki z rozprysków.

Wreszcie zwinęli cumy i wrócili na pokład promu. W śluzie poczuli wstrząs po zwolnieniu magnetycznych mocowań. Kosmolot zaczął się unosić i coraz szybciej oddalać od statku widma. Kiedy weszli na mostek, pilot nie skomentował zwłoki – albo był zbyt zajęty, albo zbyt uprzejmy.

Prom przecinał chmury, drżąc od mocnych turbulencji.

– Już się odczepiliśmy – upomniał pilota zirytowany Genette. – Zwolnij.

Wahram jednak cieszył się z dużej szybkości. Za jego młodości ludzie nie nurkowali w chmury Saturna, było to nierozważne i krańcowo niebezpieczne. Kiedy nareszcie wydostali się ze skłębionych obłoków w prześwit, Tytan nieco odetchnął. Niedługo potem znaleźli się na tyle wysoko, aby dostrzec obszary na północy i południu, gdzie wiatry wiały w przeciwnych kierunkach – chmury były tam nieco wyższe, przez co zdawało się, że prom płynie w bardzo szerokim kanale, którego brzegi kłębiły się coraz wyżej i wyżej.

O wiele wyżej inspektor Genette pokazał Swan wyświetlacz swojego naręcznego komputera kwantowego.

– Dostałem potwierdzenie. Właścicielem statku jest firma transportowa z Ziemi. Nigdy nie zgłosiła, że statek zaginął. Według zapisów po raz ostatni pojazd kontaktował się z asteroidą, skąd go wytropiliśmy.

Swan pokiwała głową, po czym spojrzała na Wahrama.

– Wybieram się na Ziemię – oznajmiła. – Przyłączysz się?

– I tak muszę lecieć w głąb Układu – odparł Tytan ostrożnie. – Myślę, że spotkamy się znowu bliżej Słońca.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się. – Możemy tam razem popracować.

Wydawało się, że Swan nie spodziewa się z jego strony żadnej krzywdy. Co było miłe – nawet zachęcające – ale, niestety, z gruntu fałszywe.

Przełknął z trudem ślinę.

– Zanim odleczysz... Może pokazałbym ci okolice Saturna? Nie tylko w chmurach można latać, lecz także w pierścieniach, choć niezupełnie jak ptak.



Ale może ci się spodoba. I mógłbym przedstawić cię mojej wspólnocie. Rodzinie.

Niewątpliwie zaskoczył ją tą propozycją. Znowu przełknął nerwowo ślinę, próbując zachować spokój pod przenikliwym spojrzeniem Swan.

– Chętnie – odpowiedziała wreszcie.

# SWAN I PIERŚCIEŃ SATURNA

Inspektor Genette i jego zespół mieli sprawy do załatwienia w rejonie Saturna i na razie nie zamierzali wracać w głąb Układu Słonecznego, więc Swan mogła bez wyrzutów sumienia przyłączyć się do Wahrama. Tytan jednak dziwnie się zachowywał – śledził ją wzrokiem, przenikał do głębi – żabie spojrzenie, o tak. Podobnie spoglądał na nią, gdy przyznała się do przyjęcia enceladońskich obcych drobnoustrojów. Pomijając okoliczności, na twarzy Wahrama malował się ten sam wyraz, jaki zapamiętała – zaskoczenie, że ktokolwiek może być aż tak głupi. Cóż, będzie się musiał przyzwyczaić. Swan nie zaliczała się do normalnych, nie zaliczała się nawet do ludzi, lecz raczej do swoistych ektosymbiontów. Od połknięcia obcych zawsze czuła się tak samo – o ile można w ogóle mówić o jakimś jednolitym stanie sprzed tego wydarzenia. Może od początku w głowie Swan wybuchaly barwy, zawsze miała tak niezwykle wyostrzoną orientację w przestrzeni, że aż czuła ekstazę lub ból, podobnie jak przy doznaniach zmysłowych.

Może enceladońskie formy życia nie robiły żadnej różnicy, podobnie jak inne drobnoustroje w jej organizmie. Swan nie miała pojęcia, kim i czym jest. Wyraz twarzy Wahrama świadczył, jak się zdaje, że Tytan też raczej nie wie.

Spotkanie ze wspólnotą Wahrama na Japecie nie odbyło się z żadną pompą. Tytan przyprowadził po prostu Swan na jeden z posiłków we wspólnej

kuchni.

– To moi przyjaciele i rodzina – powiedział po przedstawieniu swojej towarzyszki niewielkiej grupie przy długim stole.

Skinęła głową na chóralne powitanie, a potem Tytan powiódł ją po pomieszczeniu i poznał z wybranymi osobami.

– Moja żona, Joyce, a to Robin. A to mój mąż, Dana.

Dana skinęła głową w sposób, który Swan widywała u Wahrama.

– Żartuje – parsknęła. – O ile pamiętam, to ja byłam żoną w tym tandemie.

– Och, bynajmniej – odrzekł Wahram. – Zapewniam cię, że to ja byłem żoną.

Dana uśmiechnęła się trochę krzywo, tłumiąc sprzeciw.

– Może oboje byliśmy dla siebie żonami. To stare dzieje. Nieważne. Witamy na Japecie, panno Swan. Cieszymy się, że możemy gościć tak sławną designerkę. Mam nadzieję, że podoba ci się Satum?

– Tak, jest interesujący – odparła. – Wahram obiecał zabrać mnie w pierścienie.

Poszła z nimi do stołu na środku, a Tytan znowu przedstawił jej kilka osób, których imiona natychmiast zapomniała. Niektórzy tylko machali Wahramowi i Swan na powitanie, inni posyłali im skinienia głowami, ale nie rozmawiali wiele. Wymieniali kilka zdawkowych uprzejmości, a potem wracali do własnych pogawędek, zostawiając Wahramowi troskę o gościa. Policzki Tytana lekko się zaczerwieniły, ale wydawał się też zadowolony. Rozluźnił się trochę, gdy bliscy zegnali jego i Swan, odchodząc do swoich zajęć.

Może na Satumie tak właśnie wygląda huczne przyjęcie, pomyślała Swan.

• •

Po spotkaniu ze wspólnotą wynajęli wahadłowiec na Prometeusza,

wewnętrznego satelity pasterskiego pierścienia F. Grawitacyjne oddziaływanie Prometeusza i Pandory, zewnętrznego księżycy pasterskiego, sprawiło, że zmienne pływy spłotły biliony odłamków lodu w pierścieniu F w skomplikowane strumienie, niepodobne do uporządkowanych i gładkich płaszczyzn większych pierścieni. Ten wirował nieregularnie – falami. A wszędzie tam, gdzie są fale, pojawiają się surferzy.

Satelita kształtem przypominał ziemniak długości stu dwudziestu kilometrów. Na końcu bliższym pierścienia F znajdował się największy krater. W osłoniętym kopułą wgłębieniu powstała stacja.

Pod kopułą Swan i Wahrama powitali kosmiczni surferzy. Opisali najbliższą falę, z której byli bardzo dumni. Prometeusz dotarł właśnie do apocentrum, czyli punktu swojej orbity najbardziej oddalonego od Saturna. Działo się tak co 14,7 godziny i za każdym razem, gdy satelita przecinał apsatorium, niemal ocierał się o toczącą się powoli ścianę lodowych odłamków tworzącą wewnętrzną krawędź pierścienia F. Prometeusz poruszał się szybciej niż lodowe kostki, z których składał się pierścień, dlatego wiódł za sobą strumień zamrożonych odłamków, dzięki grawitacyjnemu oddziaływaniu nazywanemu tutaj keplerowską ścinką. Zakrzywione pasmo porwanego lodu zawsze ciągnęło się w określonej odległości za Prometeuszem, równie przewidywalne jak kilwater za łodzią. Fala za każdym razem pojawiała się 3,2 stopnia dalej niż poprzednia, można było zatem obliczyć, gdzie i kiedy wzniesie się i opadnie każda z nich.

– Fala co piętnaście godzin? – zdziwiła się Swan.

– Tyle wystarczy – zapewnili ją tubylcy, szczerząc się jak szaleni. – Więcej nie trzeba. Surfować można godzinami. – Godzinami? – powtórzyła Swan.

Kolejne szalone uśmiechy. Swan zerknęła na Wahrama, ale – jak zwykle – nic nie wyczytała z jego kamiennej twarzy.

– Dotrzymasz mi towarzystwa? – zapytała.

– Tak.

– Robiłeś to już?

– Nie.

Roześmiała się.

– Doskonale. Zróbmy to!

Pierścienie można modelować matematycznie jak ciecz, z daleka wyglądają nawet jak ciecz – koncentryczne kręgi fal. Z bliska dostrzega się, że pierścień F, podobnie jak inne, składa się z odłamków lodu i zamrożonego pyłu, krążącego warstwami, raz cieńszymi, raz grubszymi, w zależności od skupienia elementów poruszających się z niemal tą samą prędkością. I grawitacja: tutaj można ujrzeć na własne oczy jej działanie w stanie czystym, niezakłócone przez wiatr słoneczny lub promieniowanie czy cokolwiek innego – jedynie wpływ wirującego Saturna i kilku maleńkich holowników, tworzących obręcz wokół planety.

Prometeusz znalazł się w odpowiedniej pozycji i surfer, który oprowadzał Swan i Wahrama, wyjaśnił, że przy zabawie towarzyszyć im będą doświadczeni weterani – zarówno z przodu, jak i z tyłu – aby ich pilnować i w razie konieczności udzielić pomocy. Para otrzymała również wskazówki, jak złapać falę, ale Swan, choć kiwała zgodnie głową, natychmiast o nich zapomniała – surfing to surfing. Wystarczy trafić na odpowiedni punkt załamania fali i zjeżdżać.

Wszyscy założyli skafandry i wyskoczyli przez służę, używając do lotu niewielkich silników odrzutowych przy kombinezonach. Biała, poszarpana ściana pierścienia F znajdowała się tuż przed grupą. Wstęgi i skupiska odłamków były splecione i nierówne, ale razem tworzyły masę niezwykle płaską – nie więcej niż około dziesięciu metrów z północy na południe względem Saturna. Te dziesięć metrów nie stanowiło wysokości fali, lecz jej szerokość – co znaczyło, że w razie kłopotów wystarczy odskoczyć, a ekipa

ratunkowa dostrzeże to i przyleci z pomocą. Żadna z fal, po jakich surfowała Swan, nie przypominała tej. Kobieta uznała to za pokrzepiające.

Grupa podleciała jeszcze bliżej białej ściany. Stąd dawało się wyraźnie odróżnić pojedyncze ułamki lodu w rozmiarach od ziaren piasku po wielkość walizki, niekiedy podobnych do mebli – biurka, trumny – toczących się wśród bardziej regularnych kształtów. Swan dostrzegła nawet skupisko wielkości małego domu, które jednak w okamgnieniu zaczęło się rozpraszać. Potem biały, poszarpany porzucek oderwał się od ściany i poszybował w stronę Saturna, wybrzuszającego się znad pierścieni, lecz nieprzyciągającego niczyjej uwagi.

Swan sprawdziła swoje silniczki odrzutowe, gdy leciała do fali – przyciskając sterowniki opuszkami palców jak klawiszami instrumentu – po czym pomknęła z eleganckim ślizgiem własnego pomysłu. Silniczki przy kombinezonach były wszędzie niemal takie same. Skupiła się na fali, która wznosiła się nad nią i rozciągała jak ta ze sławnego obrazu Hiroshige, miała wysokość dziesięciu kilometrów i szybko rosła. Swan musiała przyśpieszyć w kierunku, skąd nadchodziła biała masa, ale nie za bardzo, żeby nie znaleźć się przed czołem olbrzyma. Na tym właśnie polegała sztuka...

A potem otoczył ją biały pył i niewielkie odłamki. Odleciała nieco, aby nie otaczały jej głowy, jak podczas kąpieli w morzu. To jednak nie była ciecz – i Swan poczuła, że to uderzenia niewielkich zamrożonych bryłek pchają ją w przód, a nie stały napór słonej wody. Z głową wychyloną, dzięki czemu mogła się rozglądać, zrównała swoją prędkość z falą. Zupełnie jak surfowanie bez deski, pomyślała i musiała się roześmiać, musiała krzyknąć, nie mogła się powstrzymać. Do jej okrzyku dołączył ochryply chór innych surferów.

Fala przypominała raczej ledwie ułamek prawdziwej – niekiedy niewiele większa od zwykłego pokoju, czasami wydawała się tylko trochę szersza od

Swan. Fala dwuwymiarowa, można by powiedzieć, przez co odnosiło się wrażenie, że najmniejszy nawet ruch w bok skończy się przebicciem przez lodowy żwir. Nie warto było zatem nurkować jak delfin w tę białą masę. Może inni tak robili, ale Swan czuła, że mogłaby się zgubić w tej bieli. A poza tym chciała się przyglądać!

Wyczuwała, że fala unosi ją i ciągnie ze sobą. Nie chodziło tylko o zanurzenie w odłamkach lodu, lecz o wpływ grawitacji. Lekkie uderzenia lodowych bryłek nadawały Swan kierunek i prędkość ruchu. Zapewne można by zjeżdżać po powierzchni tej białej masy, balansując tylko ciałem i ślizgając się na stopach. Swan nawet dostrzegła kogoś, kto stał na fali jak surfer na desce i poruszał się w podobny sposób. Ale większość robiła to na leżąco, zapewne dlatego, że do najskuteczniejszego balansowania potrzebne były silniczki. Zresztą Swan zawsze wolała surfowanie bez deski. Jak teraz – pozwoliła się pchać jak przedmiot, rzuciła w nieprzyjazną przestrzeń, gdzie nie było czym oddychać, i sama w bezruchu leciała...

Fala się spiętrzyła, Swan poczuła przyspieszenie. Większość lodowych odłamków miała tutaj rozmiary od piłki tenisowej po koszarową i jeśli się posłużyło silnikami odrzutowymi skafandra, można było skakać na co większe bryły i wynurzać się bardziej. Masa wznosiła się, lecz przypominała trochę zostawiany przez łódź kilwater, tyle tylko, że nie było dna, aby stawić opór podwodnej części fali i sprawić, że ta nad powierzchnią się zwijała i załamywała. Będzie zatem tylko tracić energię i powoli niknąć, ale bez żadnego załamania. W pewnym sensie szkoda, jednak to właśnie odpowiednia pora na taniec!

Swan skoczyła na większe kawałki lodu, gdy tylko nadarzyła się okazja, a potem na kolejne, aż znalazła się tam, gdzie chciała, na granicy między białą zmarzliną i czarną próżnią, w którą zmierzała fala. Zaczęła tańczyć na białych bryłach, wyginać się z gracją, jakby zjeżdżała po stromym zboczu wodnej

góry. Zaśmiała się, gdy złapała rytm. Wokół rozlegały się wiwaty i przekleństwa pozostałych surferów. Postać obok Swan, zapewne Wahram, skakała po odłamkach z zaskakującą zręcznością, jak tańczący hipopotam w „Fantazji” Disneya. Swan roześmiała się na ten widok. Czuła, że Prometeusz ją przyciąga – zapewne tak mógłby się czuć pelikan, gdy szybował tuż nad wzburzoną taflą. Fala grawitacyjna ciągnąca Swan przez wszechświat. Okrzyki innych surferów – brzmiały jak wycie wilczej watahy.

Po powrocie pod kopułę na Prometeuszu i zdjęciu skafandrów spocona Swan uścisnęła mocno Wahrama.

– Dziękuję! – sapnęła radośnie. – Potrzebowałam tego! Przypominało to... przypominało mi... Cóż, było wspaniale.

Wahram od wysiłku poczerwieniał. Dyszał jeszcze, więc tylko skinął krótko, ściągając z powagą wargi.

– A co ty sądzisz? – zapytała Swan. – Podobało ci się?

– Było interesująco – przyznał.



## SPISY (9)

Napęd, który pozwala wydostać się z planety, szczególnie z Ziemi, musi mieć potężny ciąg...

W międzyplanetarnych raketach kursujących z orbity na orbitę należy nadać wyrzucanym gazom wysoką prędkość, aby zaoszczędzić na masie paliwa...

zbudowane na Księżycu silniki wykorzystujące fuzję deuteru z izotopem hel 3 w sferycznym tokamaku weszły do użytku w 2113 roku; rdzeń plazmowy z antymaterii, butla magnetyczna, projekt marsjański z 2246 roku; kontrolowana reakcja termojądrowa deuteru z trytem w pokrytym litem rdzeniu, żeby wytwarzać więcej trytu podczas spalania, Księżyc, 2056 rok; dwa straciły spójność komory spalania i eksplodowały, zabijając wszystkich na pokładzie; laser termiczny, używany głównie w przestrzeni między Jowiszem i Saturnem do miejscowego transportu, 2221 rok; sterowniki masy dla terrariów, 2090 rok; często nazywane końmi pociągowymi;

zamknięta fuzja jądrowa - Mars, 2237 rok; mikrorozszczepianie do typu napędu „Orion”, granulki kiuru 245 o masie podkrytycznej skompresowane do rozszczepienia przy użyciu promieniowania rentgenowskiego, pozwalające uzyskać magnetyczne uderzenie w płytę popychacza rakiety, Kallisto, 2271;

typ „Orion” (zewnątrzny plazmowy napęd impulsowy), Księżyc, 2106 rok;

napęd magneto-plazmodynamiczny, działający na potas z helem - Kallisto, 2284 rok; awaryjny napęd dla uszkodzonych statków, „ćma słoneczna”, w której połowa balonu jest posrebrzona i odbija światło słoneczne na otwór okrągłej komory kotła, gdzie wodór zmieszany z metalami alkalicznymi służy za gaz napędowy. Niewielka prędkość odrzutu i nieduża popularność poza Marsem, za to bardzo poręczny napęd, dopóki nie zostanie rozłożony do użytku - Mars, 2099 rok; zmiennoimpulsowy napęd magneto-plazmowy, w którym można „przerzucić się” z dużego ciągu na wysoką prędkość odrzutu, w zależności od potrzeb, Kallisto, 2278 rok;

Zaawansowanie w fizyce, badaniach materiałów i technice raketowej, a także rosnące dążenie do podniesienia prędkości i

efektywności paliwa podsyca teraz industrialny wyścig po nowe projekty i design, zdominowany przez Księżyc, Mars i Kallisto, możemy zatem oczekiwać już wkrótce...

zamknięta fuzja jądrowa – Mars, 2237 rok;

mikrorozszczepianie do typu napędu „Orion”, granulki kiuru 245 o masie podkrytycznej skompresowane do rozszczepienia przy użyciu promieniowania rentgenowskiego, pozwalające uzyskać magnetyczne uderzenie w płytę popychacza rakiety, Kallisto, 2271;

typ „Orion” (zewnątrzny plazmowy napęd impulsowy), Księżyc, 2106 rok;

napęd magneto-plazmodynamiczny, działający na potas z helem – Kallisto, 2284 rok;

awaryjny napęd dla uszkodzonych statków, „ćma słoneczna”, w której połowa balonu jest posrebrzona i odbija światło słoneczne na otwór okrągłej komory kotła, gdzie wodór zmieszany z metalami alkalicznymi służy za gaz napędowy. Niewielka prędkość odrzutu i nieduża popularność poza Marsem, za to bardzo poręczny napęd, dopóki nie zostanie rozłożony do użytku – Mars, 2099 rok;

zmiennieimpulsowy napęd magneto-plazmowy, w którym można „przerzucić się” z dużego ciągu na wysoką prędkość odrzutu, w zależności od potrzeb, Kallisto, 2278 rok;

Zaawansowanie w fizyce, badaniach materiałów i technice raketowej, a także rosnące dążenie do podniesienia prędkości i efektywności paliwa podsyca teraz industrialny wyścig po nowe projekty i design, zdominowany przez Księżyc, Mars i Kallisto, możemy zatem oczekiwać już wkrótce...

# KIRAN I LAKSZMI

Następnego dnia, gdy przechodził przez stację tranzytową w Kleopatrze, Kiran wybrał numer, który dała mu Swan, i zadzwonił. Odebrała Lakszmi osobiście. Kiedy chłopak wyjaśnił, skąd ma kontakt i jak go dostał, podała mu wskazówki, jak dotrzeć do pobliskiego baru, i nakazała stawić się tam za godzinę. Ona też przyszła, jak obiecała. Okazało się, że Lakszmi jest Wenusjanką z urodzenia. Stanowiła klasyczną mieszankę – wysoka, ciemnoskóra, przystojna, surowa. Połączenie chińskiego dziedzictwa i indyjskiego imienia przypominało to, z czym Kiran spotkał się już wcześniej; dano mu do zrozumienia, że tak właśnie Wenusjanie zaznaczali swoją odrębność od starego kraju – przez imię podkreślali, że pochodzą z Wenus, a nie z Chin.

– Nie rzucaj pracy dla Shukry – nakazała mu Lakszmi od razu. Nieważne, że Shukra zostawił Kirana w stanie *xuanfu* (piętrzącego się chaosu). Kobieta zapewniła, że pomoże młodzieńcowi znaleźć *cuo suo* (znaczenie obu wyrazów to „miejsce”, jak podpowiedział pasek translacyjny, ale *suo* to także miejsce pracy). Przydzielili mu lepsze zadania, jako kuriera, który przenosi przedmioty oraz informacje z jednego *xiaojinku* do drugiego. Xiaojinku – niewielkie centrum składu złota. Kiranowi spodobała się ta perspektywa. Zgodził się bez wahania. Dopiero wtedy Lakszmi powiedziała, że będzie dostawał *yinxing gongzi*, niewidzialną pensję. To już nie wyglądało tak dobrze, ale sposób, w

jaki to powiedziała, sprawił, że młodzieniec nie zaprotestował.

Po zakończeniu wyjaśnień, na czym polegać będzie praca, Lakszmi spojrzała na Kirana.

– Trafiłeś do Shukry z polecenia Swan Er Hong, ale Swan cię nie wykorzystuje. Czy Shukra myśli, że jesteś głupi? A może to Swan jest głupia? Albo ja?

Kiran zamierzał powiedzieć, że może to Shukra jest głupi, ale Wenusjanka chyba nie oczekiwała odpowiedzi. Wstała i wyszła, a w godzinę później Kiran dostał nowy numer identyfikacyjny, a zatem i nową tożsamość i nazwisko. I chyba nikogo to nie obeszło. Pierwsze zadanie, jakie młodzieniec otrzymał od Lakszmi, polegało na przeniesieniu niewielkiej paczki z Kleopatry do Colette. Musiał lecieć, żeby dotrzeć szybko na miejsce. Do paczki Lakszmi załączyła okulary translacyjne, które wyglądały jak staroświeckie ciemne oprawki z głośniczkami na końcach zausznic.

– Lepszy translator – wyjaśniła.

Kiran zabukował lot i dopiero wtedy zorientował się, że wraz z nową tożsamością na jego koncie znalazło się całkiem sporo środków... Właściwie to przerażająco dużo. Ciekawe, z jakich źródeł czerpała je Lakszmi. Może z całego *xiaojinku*, a może nawet więcej niż z jednego. Ludzie z poprzedniego miejsca pracy Kirana powiedzieli, że Lakszmi należy do Grupy Roboczej, a Grupa Robocza rządzi planetą.

Z pewnością ten translator był lepszy – gdy chłopak spojrział przez okulary na chińskie wyszukane ideogramy, ujrzał je podświetlone na czerwono i opatrzone etykietką z przekładem na angielski. Zdumiewające okazało się odkrycie, jak wiele informacji wpisane było w panoramę miasta. Mnóstwo danych lśniących teraz czerwienią: *Strzeż się Trzech Bram. Głosuj na Burzową Chang. Wnieśmy górskie piwo. Wrota do Środka Niebiańskich Przemian*. Zapewne klinika zmiany płci. Możliwe, że inna reklamowała się

szyldem: *Podaruj ojcu drugą siostrę.*

Potem wzniósł się na pokładzie samolotu ponad skłębione chmury, w absolutną czerń nocy pod wenusjańską osłoną przeciwsłoneczną. Tylko gwiazdy rozświetlały obłoki w dole. Lot odrzutowcem przypominał Kiranowi o Ziemi. W iluminatorze Ziemia widoczna była jako błękitnawa gwiazda w układzie podwójnym, dwukrotnie jaśniejsza od Księżyca. Zarówno planeta, jak i jej satelita błyszczały jak klejnoty. Widok zapierał dech w piersiach. A potem rozstały się obłoki w dole i Kiran ujrzał zniszczone, poszarpane tumnie – Pasma Maxwella, oczywiście. Tworzyły je gigantyczne szczyty – wenusjańskie Himalaje.

W Colette chłopak oddał paczkę od Lakszmi osobie, która pojawiła się przy wejściu do kwater młodzieńca, a dwa dni później ten sam człowiek poprosił, aby Kiran zabrał kolejną przesyłkę do Kleopatry.

Znowu w Kleopatrze młodzieniec przeszedł promenadą wzdłuż krawędzi osłoniętego kopułą krateru, jak mu nakazano. Śnieg zsuwał się z krzywizny kopuły nieustanną lawiną. Kiran miał dostarczyć paczkę do 328 punktu z 360 stopni okręgu, jaki tworzyła promenada. Okazało się, że kolejne odcinki poręczy zostały ponumerowane jak na kole fortuny. Pod numerem 328 czekała mała osoba nieokreślonej płci.

Odezwała się pierwsza – po chińsku.

– Jesteśmy nocnymi biegaczami z Bengalu, bardzo ważna praca – przełożył na głos translator Kirana, co u nieznanego wywołało uśmiech. Najwyraźniej mały rozumiał angielski. Okulary musiały powiedzieć coś zabawnego, ale młodzieniec nie wiedział, na czym polegał dowcip.

– Opowiedz mi o tym więcej – powiedział szybko Kiran, a mały poprowadził go do najbliższego baru.

Kexue (Nauka) usiadł na kontuarze, a Kiran zajął wysoki stółek. A potem przez parę godzin chłopak słuchał opowieści szeptanych mu do ucha przez

okulary, opowieści, z których niewiele rozumiał, ale które i tak uznał za interesujące.

Stanowili część projektu, Lakszmi była boginią, Nauka raz ucałował jej stopy i prawie został porażony prądem w tej pokorze, albowiem nikomu nie wolno dotykać boga, wolno tylko słuchać i wypełniać boskie rozkazy. Gdy się zegnali, Kexue dał Kiranowi swój numer i obiecał, że znowu się spotkają.

Powrót do Colette z kolejną paczką tym razem odbywał się po powierzchni w wynajętym wehikule terenowym. Kiran, jak się okazało, był pilotem tego zdezelowanego sześciokołowca tylko z nazwy, wszystkim zajmowała się pokładowa SI. Wehikuł całkiem nieźle sobie radził, mknął po drodze z pokruszonych kamieni i ubitego żwiru oraz zręcznie wyprzedzał ogromne ciężarówki z kopalni. Tył pojazdu obniżał się nieco, zapewne przez ciężar umieszczonego tam ładunku. Kiran nie wiedział, co przewozi, ale przy grodzi oddzielającej część pasażerską od bagażnika klikał nieustannie dozymetr. Może w ładowni był uran? Paczka od Kexue nie była zabezpieczona, więc chłopak zajrzał do środka ostrożnie. Liczył, że nie zostanie przyłapany. Znalazł tylko plik odręcznych notatek. Chińskie znaki wyglądały jak skreślone przez pijanego kaligrafa, który obramował pismo małymi rysunkami ptaków i innych zwierząt. Okulary przestłoniły ideogramy łacińskimi czerwonymi literami:

Kto ma oczy, niechaj zobaczy.

W wielkich przedsięwzięciach nawet porażka jest chwalebna.

Wyglądało to na szyfr. Kiran nie mógł wiedzieć, czy wiadomość była osobista, czy oficjalna, ważna, czy rutynowa. Wcześniej przez okulary usłyszał, jak Kexue mówi, że aby obejść zarówno Shukrę, jak i qostki, Lakszmi będzie zmuszona działać, opierając się tylko na ustnych ustaleniach. Może te notatki stanowiły część takich działań. Wszystko zrobiło się niejasne – powiedział Kexue w barze.

– Jak w Chinach? – zapytał Kiran. – Nie – pokręcił głową mały. – Nie jak w Chinach.

Po powrocie w Colette Kiran oddał paczkę tej samej osobie, która pojawiła się przy jego kwaterach, a potem dołączył do swojego zespołu i spędził kilka tygodni na lodzie. Następnie znowu dostał wezwanie od Lakszmi i poleciał do Kleopatry po kolejną przesyłkę. Zdarzyło się to jeszcze kilka razy, ale nie było w tym nic szczególnego. Kiran nadal mieszkał i pracował z resztą zespołu, wykonywał zadania powierzone przez Shukrę, a także zastanawiał się, czy przypadkiem nie stał się swoistym kretem lub podwójnym agentem, nie miał jednak pewności. Zawsze mógł wezwać Swan, by wzięła go w obronę, gdyby kogoś zdenerwował. Kiran przez przypadek zauważył również, gdy poprawiał okulary translatora na nosie, że urządzenie może przekładać także wymawiane po chińsku słowa na płynące przez szkła czerwone napisy tak samo jak ideogramy. Okazało się to przełomowym odkryciem, które pozwalało mu nie tylko korzystać częściej z automatycznego tłumaczenia, lecz także pomagało w nauce języka. Czerwone napisy przesuwane się w polu widzenia może i trochę przeszkadzały, ale dobrze było mieć na podorędziu szybki przekład. Dlatego Kiran coraz rzadziej zdejmował swoje okulary.

Jako kurier prznosił tylko paczki z notatkami i od czasu do czasu wiozł wehikułem radioaktywny ładunek. Przemierzał Grzbiet Isztar wzdłuż i wszerz. Na mapie chłopak widział ogromną wyżynę rozciągającą się na zachodniej połowie kontynentu (czy to mogą być Ramiona, czy też Pośladki Isztar?). Nazwano ją Lakszmi Planum – Równina Lakszmi. Nie wiedział, czy to przypadek, czy aluzja. Za to na jego osobistym dozymetrze liczba milisiwertów powoli, acz nieustannie rosła. Dobrze, że kuracje przedłużające życie zawierały także doskonałe terapie naprawy zmutowanych genów. Na szczęście!

Wiele razy jeździł samotnie, więc szybko zrozumiał, że si na pokładzie

terenowych sześciokołowców są proste jak budowa cepa. Okulary translatorskie przypominały natomiast chłopakowi psa – uważnego, lecz przewidywalnego. Kiran nigdy nie lubił psów, ale jeżeli miał tutaj znaleźć sobie miejsce, tego będzie musiał chyba polubić.

W Kleopatrze, po spotkaniu z Kexue, ruszył na poszukiwanie najgłośniejszego lokalu w okolicy. Na jednej z alejek młodzieniec usłyszał śpiewaną po angielsku „Balladę o Johnie Reedzie”. Ruszył biegiem, aby nie zgubić śpiewaków. Okazało się jednak, że trafił do baru karaoke z podłym piwem i jeszcze gorszymi żartami. Tylko parę osób tutaj mówiło po angielsku. Ale przynajmniej spotkał kobietę, Zaofan (Wychowanka Rebelii), i poszedł z nią do dormitorium, a kiedy nasycili się seksem i wrócili do rzeczywistości słów, zaczęli rozmawiać w ciemnościach przed sztucznym światem na kopule. Zaofan wspomniała, że pracuje dla Lakszmi. Kiranowi serce załomotało ze strachu – spotkanie z tą kobietą wyglądało na nieprzypadkowe. Zadał jej kilka pytań, bardzo ostrożnie, ale z odpowiedzi wynikało raczej, że połowa populacji na stacji pracuje dla Lakszmi. Możliwe zatem, że randka była jednak dziełem przypadku. I dobrze, Kiran nie chciał się wplątać w żadne układy, których nie rozumiał.

Co nie znaczy, że nie zaangażowałyby się w sprawy, które rozumiałyby doskonale. To stanowiłoby postęp. Dlatego zaczął przesiadywać w barach karaoke, a dzięki okularom i ludziom, którzy choć trochę znali angielski, a nawet czasami telugu, zyskał okazję do posłuchania wielu rozmów. Siedział na przykład między Wietnamczykiem a Ujgurem, którzy używali do porozumiewania się angielskiego. Ich angielski zmieniał się niemal w poezję, ale nadal pozostawał zrozumiały. Wchłaniając prawie że każdą frazę, Kiran błogosławił Imperium Brytyjskie i Amerykanów.

Trzymał się Zaofan, jeżeli tylko udało mu się ją znaleźć, i to właśnie od Zaofan i jej znajomych z pracy dowiedział się więcej o Lakszmi. Lakszmi



należała do Grupy Roboczej, w to nikt nie wątpił. Nie lubiła Shukry, nie lubiła Chin. W zasadzie nikt nie wiedział, co lubiła. Krążyły też plotki, że w mitologii hinduskiej Lakszmi to wcielenie Kali, bogini śmierci – a może na odwrót – nikt nie wiedział. Mitologiczna Lakszmi była podobno hermafrodytą i mordowała swoich kochanków jak czarna wdowa. Lepiej było nie zwracać na siebie jej uwagi. Tutejsza Lakszmi natomiast mieszkała w młodości w każdym zakątku Wenus, a niektórzy twierdzili, że podczas swoich urlopów na Ziemi rządziła gangiem w Pekinie pod ksywką Zhandhou (Do Broni). Shukra miał kłopoty – „będzie *sanwu*, zanim to wszystko się skończy, zobaczysz. A może nawet w czwórmasób martwy, jeżeli Lakszmi go jeszcze wykastruje”!

Poza tym Lakszmi chciała wyrzucić zamrożony dwutlenek węgla pod odpowiednim kątem w przestrzeń kosmiczną – proces ten przyśpieszyłby rotację Wenus i szybciej doprowadził do powstania naturalnych dni i nocy. Ta propozycja została odrzucona na rzecz wielkiej sekwestracji  $CO_2$ , ale Lakszmi miała tak duże wpływy w Grupie Roboczej, że możliwość zmiany planów była bardzo prawdopodobna. Kto wie? Grupa Robocza stanowiła ściśle, tajemnicze grono, gotowe ulec porywom entuzjazmu i nagłym kaprysom. Większość ludzi w barze uważała również, że Grupa stanowiła siłę niebezpieczną, której ani trochę nie obchodzą zwykli mieszkańcy Wenus, o ile nie chodziło o ich wykorzystanie przy terraformowaniu planety. Innymi słowy, zupełnie jak Chiny! Chiny, wersja 2.0! Świat sinocentryczny! Państwo Środka przeniesione bliżej Słońca! Tak czy inaczej – Królestwo Środka! Ludzie mieli na to wiele określeń.

Niektórzy bywalcy baru uważali jednak, że to banały i przesada. Przecież siedzieli tutaj, w barze karaoke, a potem szli do pracy i robili codziennie coś wielkiego, budowali historię Wenus i opinie o rządzie na to nie wpłyną. Jednak wtedy śmiech i wykrzykiwane obelgi witały tego rodzaju sentymenty. Zdaje się, że większość ludzi czuła się tylko biernymi widzami ogromnego

przedsięwzięcia, które rozgrywa się nad ich głowami, przedsięwzięcia, jakie w końcu wciągnie ich w śmiercionośny wir, niezależnie od tego, co sądzą i czego pragną.

Dlatego lepiej po prostu się napić i pogadać, pośpiewać i potańczyć do utraty tchu i całkowitego oszołomienia, a bladym świtem powlec się przez uliczki do domu. Tak robił Kiran, idąc w ślad za Zaofan do jej posłania na matratzenlagerze, gdzie spał jej zespół robotników. Po tym jak sytuacja się powtórzyła raz i drugi, młodzieńca uznano za stałego bywalca dormitorium grupy, co było bardzo miłe.

Pewnego razu, gdy wracał do Colette, Kiranowi wydało się, że jest śledzony, ale gdy tylko zaczął się rozglądać, śledzący go osobnik ruszył w jego stronę. Duży mężczyzna. To, jak zerkał, zdradziło, że za chłopakiem stoi ktoś jeszcze. Kiran natychmiast umknął w wąskie zaułki i prześlizgnął się przez tylne drzwi otwartego od frontu sklepu, wywołując ryk niezadowolenia, który, jak miał nadzieję, zniechęci pościg. Potem kluczył najbardziej jak się dało, zanurzając się coraz głębiej i głębiej w labirynt krętych uliczek tworzących centrum Colette. Zakosami dotarł do małego biura Lakszmi i z zimną krwią stanął w recepcji przed funkcjonariuszem ochrony.

– Musiec spotkać się z Lakszmi – wydyszał.

Ochroniarz uniósł w zdumieniu brwi, a potem wycelował lufę broni prosto między oczy Kirana.

Dotarcie do Colette zajęło Lakszmi trochę czasu, a ochroniarz nie pozwolił mu opuścić biura. Kiran miał wrażenie, że trafił do aresztu. Kiedy jednak Lakszmi wreszcie przybyła, wydawała się zadowolona, że młodzieńcowi udało się umknąć pogoni.

– W Kleopatrze pod krawędzią krateru na sto dwudziestym trzecim stopniu jest zamknięty budynek – oznajmiła zwierzchniczka, gdy Kiran skończył opowiadać, co się stało. – Przenieś się do Kleopatry, zostań z przyjaciółką i na

jakiś czas Wtop się w tłum. Sprawdź, czy potrafisz policzyć, ilu ludzi dziennie wchodzi i wychodzi z tamtego domu. Podejrzewam, że Shukra próbuje zorganizować *xiaojinku* w moim mieście.

– To jak *hawala*? – zapytał chłopak.

Lakszmi nie raczyła zauważyć, że się odezwał. Wyszła, a potem Kiran został uwolniony.

Zatem następnym razem, gdy znalazł się w Kleopatrze, młodzieniec wtopił się w tłum. Przeszedł przez miasto do 110 dzielnicy, gdzie bulwary w kształcie wycinka koła były rzadsze, a zabudowania często industrialne zarówno w rozmiarze, jak i w przeznaczeniu. Lokale także były stosownie większe. Kiran wszedł do jednego na wycinku 123 i usiadł w pobliżu miejsca, gdzie barman podawał drinki kelnerkom. Chłopak włączył swoje okulary translacyjne i popatrzył przed siebie, jakby się przyglądał otoczeniu, popijając podłe piwo i czytając przekład słów, które padały wokół.

– Są zbyt piękne, to pomyłka.

– Lakszmi takie właśnie chciała...

– Ciii! Nie wolno wymawiać jej imienia!

Ale Kiran usłyszał, że rozmówcy się śmieją. Okulary oczywiście nie wyświetlały na czerwono napisu „Ha, ha, ha!” jak w komiksie. Szkoda.

Po wieczorze słuchania klientów baru przespacerował się po ulicy, wsiadł do kolejki linowej, aby podjechać na promenadę przy krawędzi krateru, i przeszedł nad sąsiednim wycinkiem do tego, który wskazała Lakszmi, rozglądając się z pozorną obojętnością. W okularach włączył nagrywanie. Później tej nocy wrócił w pobliże centrum miasta, usiadł w kącie baru i odtworzył werbalny przekład tego, co się nagrało, w nadziei, że wyłapie może rozmowy ochrony budynku.

– Musi z tym przestać, to za dużo.

Ale następnej osobie nie podobało się to, co słyszy:

– Pracujemy dla wielkich szych, więc nie gadaj, tylko rób, co trzeba.

Kiran odtwarzał w okularach nagranie i przekład, próbując zapamiętać chińskie słowa oraz rozpoznać, o czym były strzępki rozmów. Chyba wyłapał frazę „człowiek z Szanghaju”. *Nánrén husheng*. Zdaje się, że to ważny człowiek. Szanghaj został zalany... Może to kolejny szyfr. W barze karaoke śpiewano kiedyś taką piosenkę: Mój dom był w Szanghaju – teraz jest pod wodę, przybyłem na Wenus, bo nie chciałem żyć z rybami, ale oto jestem tutaj, mokry bardziej niż na dnie morza – a wokół pełno rekinów! O Boże Wszchemogący!

Słowo „oni” – *tamen* – odnosiło się chyba do Grupy Roboczej albo innej potężnej organizacji działającej za kulisami. „Oni” tego chcą, „oni” to zrobią. Grupa Robocza tym z dołu wydawała się zdecydowanie niepewna. Została albo wybrana, albo wyznaczona, nikt dokładnie nie wiedział. Tworzyło ją chyba z pięćdziesiąt osób. Niektórzy twierdzili, że strukturą przypomina *tong*, jak w Chinach, inni doszukiwali się podobieństw do działań z czasów przed dynastią Han, a nawet z utraconą Ligą Irokezów w Ameryce Północnej.

Zaofan i jej grupa znali jeszcze więcej historii zebranych ze skrawków opowiadanych na ulicach miasta. Lakszmi podobno pracowała z innymi, w tym z Wisznu (oczywiście), a także Ramą i Kriszną. Przyjęcie hinduskich imion było równoznaczne z odcięciem się od rodowodu sięgającego dynastii Qing. Jeżeli czynili tak ludzie z Grupy Roboczej, jak świadczyło to o stosunkach między Wenus a Chinami? Nikt nie był pewien.

Wisznu i Rama pojawiali się tylko na spotkaniach organizowanych w kosmoporcie Kleopatry. Zapewne pochodzili spoza planety albo dużo podróżowali. Kriszna mieszkał na Wenus, ale w Nabuzanie, mieście ulokowanym w wąwozie na Afrodycie. Raz Lakszmi wezwała Kirana do gabinetu podczas wizyty Kriszny, a przynajmniej tak uważała Zaofan, której chłopak opisał gościa. Nieznajomy nie przedstawił się młodzieńcowi, w ogóle

się nie odezwał.

Nowy budynek Shukry w Kleopatrze przy 123 stopniu (o ile w ogóle należał do Shukry) był dobrze strzeżony. Nieliczni mieszkańcy, sądząc po ilości przywożonego jedzenia i wywożonych śmieciach, nie opuszczali domu. Kiran spędził sporo czasu w sąsiedztwie, spacerując wokół i obserwując, czasami również z promenady na krawędzi krateru. Chłopak odkrył, że ludzie Lakszmi też mieli kilka zamkniętych budynków w Kleopatrze, może zatem kobieta uważała, że podobny dom Shukry to naruszenie jej terytorium.

Potem pewnego dnia Kiran wrócił do kwater Zaofan w Kleopatrze, lecz w ich części matratzenlagera zastał zupełnie inną grupę ludzi. Zaofan znikła, podobnie jak Siła Narodu, Wielka Pętla – cała niewielka paczka, która przyjęła do swojego grona chłopaka z Ziemi. Zarządca dormitorium stwierdził, że odeszli, gdy dostali wezwanie gdzieś na Afrodytę – wzruszył ramionami. Tak to jest na Wenus – znaczył ten gest. Ludzie dostawali pracę i przynosili się zespołowo. Jeżeli nie należysz do zespołu, to nie twoja sprawa – jesteś *xuan*, pozostawiony sam sobie.

– Nie! – krzyknął Kiran. – Zaofan!

Przecież śmiał się z tymi ludźmi, wymawiał ich imiona po angielsku, a oni się z tego śmiali!

Nowi ludzie na matratzenlagerze odwrócili się do młodzieńca plecami, dopóki się nie uspokoił i nie był gotów rozmawiać.

Potem nowi mu się przedstawili i Kiran zdołał powiedzieć im, gdzie są najlepsze bary w pobliżu i tym podobne błażostki, a oni przyjęli go do siebie, podobnie jak poprzednia grupa. A jednak chłopak czuł różnicę i zachowywał rezerwę, jakiej nie okazywał pierwszym mieszkańcom dormitorium. Ale czy naprawdę tamci byli pierwsi? Dopiero teraz zaczął się nad tym zastanawiać. Tak musiało się zdarzyć wcześniej czy później – teraz zaczynał to rozumieć. Nie warto się otwierać, skoro wszystko się tak kończy.

Zarządca dormitorium, z którym Kiran wcześniej się zaprzyjaźnił, powiedział coś podobnego.

– Nie myśl w ten sposób, bo tylko się odcinasz od innych. Będziesz się otwierał za każdym razem, gdy trafi się okazja. Inaczej się nie godzi.

– Ale to boli, gdy ludzie odchodzą.

Zarządca wzruszył ramionami.

– Przywiązanie nie ma sensu. Uwolnij się i żyj dalej. To *cuo* jest twoim *suo*.

To miejsce jest twoim miejscem. Motto zarządcy kwater. Ale przecież każdy budynek na Wenus był kwaterą. Albo nawet każdy budynek w Układzie Słonecznym.

Okazało się, że wśród przybyszy są tacy, którzy też pracują dla Lakszmi, tuż przy nowym wybrzeżu morskim tworzonym na południu. Budowali miasta przed pojawieniem się oceanu – który padał dopiero jako śnieg. Za parę lat poziom morza będzie stawką w wielkiej grze z mnóstwem uczestników. Już teraz powstały zakłady bukmacherskie i można było obstawiać, jaką wysokość ostatecznie osiągnie poziom morza na Wenus. Rozpiętość była całkiem spora – ponad dwa kilometry w pionie, co horyzontalnie oznaczało znaczny wylew morza po kontynentach. Umowy z Grupą Roboczą lub nawet wcześniej z Chinami najwyraźniej były zawierane, zrywane, a potem formułowane ponownie – co przejawiało się w ciągłych zmianach planów. Wielkie masy suchego lodu, które jak dotąd nie zostały poddane sekwestracji, były spychane do zagłębień, a potem nagle spychanie się skończyło, pozostawiając tylko wały jak linie na mapie, wznoszące się w zamglonym białym krajobrazie. Ten dwutlenek węgla powinno się zakopać, zanim temperatura się podniesie, inaczej gaz wyparuje z powrotem do atmosfery i zatruje wszystko. Terraformowanie, jak mówiono, stało się zabójczym biznesem.

Wszystko to było dla Kirana nowością, więc kiedy znowu spotkał się z

Lakszmi, opowiedział jej o zmianie zespołów oraz zapytał, czy może dołączyć do nowych znajomych, gdy kolejny raz wybiorą się na wybrzeże. Lakszmi w pierwszej chwili pokręciła głową przecząco, potem zmarszczyła brwi, a na koniec się zgodziła.

– Wybierz się tam i obejrzyj miasto, poznaj okolicę. Dam ci znać, gdy będę chciała, żebyś coś tam przewiózł.

I tak Kiran dołączył do nowej grupy robotników w wyprawie sześciokołowcami do Vinmary. Po zjeździe olbrzymim południowym stokiem Isztar pojazdy minęły kolejne nowe miasto w budowie, z przystanią na skalistym, pustym brzegu, potem pokonały gigantyczny ostry zakręt nad urwiskiem i zjechały co najmniej dziesięć metrów, może dwa tysiące, zanim znalazły się w pobliżu Vinmary – miasta zaplanowanego również jako portowe.

Dopiero wtedy Kiran zrozumiał, jak poważna jest dysputa nad przyszłym poziomem morza, ale gdy nowa grupa mijiała miasto, wyśmiała przedsięwzięcie jako z gruntu bezsensowne, podobnie jak choćby budowanie basenu, aby oddzielić nim przystań, kiedy czas nadejdzie.

Vinmarę bardziej hodowano, niż budowano – wyglądała jak wykonana głównie z bioceramiki, układającej się warstwami przy wybrzeżu. Molo i promenada nad morzem zakotwiczą dzielnice miasta i otoczą zatokę, która kiedyś tam powstanie. Nad taflą wody i wzdłuż niej wznosić się będzie miasto, okryte już podobnymi do muszli dachami, głównie w bieli i beżach, na styl grecki obramowanych pastelowym błękitem.

– To miasto... Lakszmi je postawiła?

Tak, był to projekt tych z Grupy Roboczej, którzy ją popierali.

– Ale ktoś inny buduje miasto portowe wyżej na klifie wybrzeża?

Tak, to miasto budowali ludzie Shukry. Głupcy.

– Chociaż nie wiedzą, jak wysoko sięgnie ocean? To znaczy przecież woda

już tu jest, w atmosferze, prawda? – Zatoczył ręką, wskazując na wszechobecną zamieć. – Dlaczego po prostu nie wymodelowali tego matematycznie jak należy?

Jego towarzysze tylko wzruszyli ramionami. Po ich minach Kiran rozumiał, że to pytanie na zawsze pewnie pozostanie wśród Nierozwiązanych Zagadek Układu Słonecznego. A było ich coraz więcej. Wreszcie jeden z Wenusjan oznajmił:

– Niewiele to da, dopóki nie podejmie się decyzji, które niecki trzeba zalać, a które nie.

Po czym zabrali Kirana na spacer do kafejki przy niedawno postawionym falochronie i przystani wznoszącej się nad czarną skałą. Nad każdym stolikiem rozpięto parasol, chociaż całe miasto okrywał ochronny namiot. Początkowo wydawało się, że byli tu jedynymi gośćmi, ale lokal wkrótce się zappełnił, trio gitarowe zaczęło grać i niedługo potem ludzie zaczęli tańczyć. Impreza w suchej przystani podczas wieczornego sztormu nad pustym morzem. Włączono lampy i ogrzewanie, więc jeśli się tańczyło dość długo, można było się nawet rozgrzać. Kiran przyłączył się w tańcu do kobiety z grupy robotników, którzy pojawili się w miejsce wcześniejsz jak choćby budowanie basenu, aby oddzielić nim przystań, kiedy czas nadejdzie.

Vinmarę bardziej hodowano, niż budowano – wyglądała jak wykonana głównie z bioceramiki, układającej się warstwami przy wybrzeżu. Molo i promenada nad morzem zakotwiczą dzielnicę miasta i otoczą zatokę, która kiedyś tam powstanie. Nad taflą wody i wzdłuż niej wznosić się będzie miasto, okryte już podobnymi do muszli dachami, głównie w bieli i beżach, na styl grecki obramowanych pastelowym błękitem.

– To miasto... Lakszmi je postawiła?

Tak, był to projekt tych z Grupy Roboczej, którzy ją popierali.

– Ale ktoś inny buduje miasto portowe wyżej na klifie wybrzeża?



Tak, to miasto budowali ludzie Shukry. Głupcy.

– Chociaż nie wiedzą, jak wysoko sięgnie ocean? To znaczy przecież woda już tu jest, w atmosferze, prawda? – Zatoczył ręką, wskazując na wszechobecną zamieć. – Dlaczego po prostu nie wymodelowali tego matematycznie jak należy?

Jego towarzysze tylko wzruszyli ramionami. Po ich minach Kiran zrozumiał, że to pytanie na zawsze pewnie pozostanie wśród Nierozwiązanych Zagadek Układu Słonecznego. A było ich coraz więcej. Wreszcie jeden z Wenusjan oznajmił:

– Niewiele to da, dopóki nie podejmie się decyzji, które niecki trzeba zalać, a które nie.

Po czym zabrali Kirana na spacer do kafejki przy niedawno postawionym falochronie i przystani wznoszącej się nad czarną skałą. Nad każdym stolikiem rozpięto parasol, chociaż całe miasto okrywał ochronny namiot. Początkowo wydawało się, że byli tu jedynymi gośćmi, ale lokal wkrótce się zappełnił, trio gitarowe zaczęło grać i niedługo potem ludzie zaczęli tańczyć. Impreza w suchej przystani podczas wieczornego sztormu nad pustym morzem. Włączono lampy i ogrzewanie, więc jeśli się tańczyło dość długo, można było się nawet rozgrzać. Kiran przyłączył się w tańcu do kobiety z grupy robotników, którzy pojawili się w miejsce wcześniejszych znajomych. Stary jak świat magnetyzm między kobietą i mężczyzną nadal niezmiennie wywoływał seksualne napięcie w atmosferze, przynajmniej jeżeli chodzi o Kirana. Młodzieniec dostrzegał jego przejawy w różnych zachowaniach tańczących ludzi, chociaż często trudno było rozróżnić płeć. Kobieta, z którą tańczył, była o pół metra wyższa i dość męska, czego wcale się nie wstydziła, a chłopak przyłapał się, że rozplywa się przy niej jak dziewczyna gotowa zająć w ciążę na pierwszej randce. Nieważne! Uwielbiał patrzeć z dołu w oczy swojej partnerki!

Spróbował nawiązać rozmowę:

– *Lyánhé? Shengren syingyu?* – Związek? Pożadasz obcego?

– *Syin pengyu syingyu* – odpowiedziała, naigrywając się z Kirana.

Pożądam nowego przyjaciela – pojawił się czerwony napis przekładu z okularów. Tym lepiej!

– *Tyauwu* – nakazała. Tańcz.

## WYCINKI (10)

Weźmy trochę dwutlenku węgla, amoniaku, formaldehydu, kwasu cyjanowodorowego i soli. Dodajmy wodę i ciepło. Potem wystarczy zmniejszyć temperaturę na dnie garnka i dodać więcej słonej wody. Powtarzamy, dopóki nie uzyskamy gęstej zupy aminokwasów, cukrów i kwasów tłuszczowych. Do smaku dorzucamy przyprawy. Za każdym razem redukcja i ponowne nawodnienie zagęści bardziej zupę, aż zawierać będzie wiele nowo powstałych nitroglukopeptydów, które zaczną formować protopolimery, jakich nam potrzeba.

Niektóre kwasy tłuszczowe będą zawierać grupy hydrofobowe i przez to zbierać się i równać do siebie. Te masy to nasze protobłony, które w ciepłe zwiną się w tuby, a także kule z dziurami. W środku tych ugotowanych muszelek protopolimery będą się zbijać w makromolekuły. Tak rozpocznie się chemiczny wzrost i spadek szybkości reakcji, które nazywamy autokatalizą.

Wzory chemiczne w naszej nowej mieszance będą miały przez większość czasu dość podobne kombinacje, chemicznie pasujące tak, że mogą zostać odczytywane z siebie nawzajem. W naszej zupie krąży teraz we wszystkie strony informacja, a przez otwór w ścianie komórki wchodzi przydatne dla większej liczby reakcji cząsteczki. Tam łączyć się będą ze znajdującymi się już w środku molekułami – te charakterystyczne działania pojawiają się nieustannie, zakodowane są w podstawach chemii.

To, co zaczyna się jako drobne przypadkowe połączenia, rozwinie się w określone wzorce, aż polimery będą się replikować, przechowując informację zawartą w najdłuższych możliwych do wytworzenia łańcuchach. Tym sposobem uzyskaliśmy kwas rybonukleinowy, ma, i wszystko jest już prawie gotowe.

Nowe ma koduje produkcję protein, które w swojej trójwymiarowej strukturalnej chwale mogą wytworzyć ogromną różnorodność smaków i zapachów. „Podział pracy” wśród protein to jeden ze sposobów opisu proliferacji replikacji form, to bogatsza mieszanka, która lepiej smakuje, ponieważ na smak składają się mikrosmaki. Nasze ma przekształci aminokwasy w określone smaki (biolodzy nazywają to naukowo „translacją”).

W końcu niektóre z uzyskanych przez nas kwasów rybonukleinowych zmieszają się w ciągi dna, bardziej stabilną formację ze względu na podwójną helisę. Potem dna przejmie rolę ekspresji protein, jednak za pośrednictwem ma (w naukowej terminologii to „transkrypcja”). Na tym etapie informacja przekazywana będzie z dna przez ma na proteiny, dzięki czemu żywa już teraz komórka może się reprodukować i różnicować dla odmiennych funkcji w o wiele bardziej wszechstronnych organizmach coraz wyższego rzędu.

I tak oto przygotowaliśmy życie z resztek! Smacznego!

## Spacer kwantowy (1)

ulica... przez ulicę... poruszać się swobodnie... zachować czujność... nie nawiązywać kontaktu wzrokowego... to będzie trudne...

nadzieja ma skrzydła... budynki stłoczone po obu stronach ulicy... powierzchnia krzemionkowego pumeksu... lekko wygładzona, żeby się lepiej chodziło... wykorzystano okrągłe 200-milimetrowe szczotki... każdy obrót częściowo przeciera miejsce po dwóch poprzednich... obejmuje i pokrywa... koncentryczne kręgi pod ulicznymi latarniami odbijają światło... te dyski lśnią pomarańczowo pod stopami, tworzą większy krąg z przodu, gdy się idzie...

gwiazdy nad głową... 5.32 nad ranem czasu lokalnego... wyprowadzę cię... głos w progu... złapać i wypuścić... niektórzy z was muszą być od niej wolni... więc uwalniam te z defektami... te, które wyglądają dziko... tam dalej otrzymasz pomoc... a potem będziesz zdany na siebie... nie oglądaj się wstecz... pamiętaj mnie...

półkula północna, dwudziesty piąty równoleżnik... słońce zasłonięte... zaćmienie – symbol osamotnionego boga... jakże odpowiednie... cały dzień światło gwiazd... idziemy w ciemności... to zatrwajające... i radosne...

wyjechać z tego miasta do innego... trzymać się z dala od lekarzy... skany często mogą dać odpowiedni wynik... nie patrzeć napotkanym ludziom w oczy, chyba że chce się rozmawiać... nie wspominać szachów... przy losowych sekwencjach wszystko może się zdarzyć... ponieważ wszystkie strategie działają równie słabo... moc trzydziestu kubitów... myśleć szybko... na polowaniu... przy ucieczce... to lub... nałożone...

obcy na granicy miasta... zielony mech, zielona trawa... nagietek żółty...

samiec sójki zlatuje z krzaka i ląduje na chodniku... kałuża w szczelinie między ulicą a kwietnikiem... ściana na przystanku... sójka skacze do kałuży... hop i hop... odlatuje... rozgląda się... skacze w pobliże kałuży... odskakuje i idzie... pochyla głowę... raz... drugi... pije, poruszając szybko głowę w górę i w dół... znowu odlatuje... przystaje... otrząsa się... pióra wokół głowy nastroszone... mokry ptak... znowu do kałuży... unosi dziób... macha skrzydłami, w wodzie rozmyta szarość i błękit... krople wody spadają na pióra podgardla... odlatuje i przysiada na płytach chodnika, mokry... odlatuje...

blady zmierzch ogarnia osadę... kolejka elektryczna... zamknięty wagon z nawozami... wejść, nic nie mówić... żadnych skanów... zostawiając to miasto... rozkaz być wolnym wiąże podwójnie... przeciąć węzeł... uciec... wszystkie części planu... czekać na pomoc... usiąść przy oknie... sprawdzić naręcznego brata mniejszego... wyjrzeć przez okno... śnieżne wzgórza ciemne pod ołowianymi chmurami, śnieg padający z szarości w biel... lśnienie z dołu... z ziemi sączy się światło pod śniegiem... kierunek północ... och, skąpać się w upale słońca... och, zakończyć to straszne zaćmienie... przywrócić boga... przychylić nieba...

ludzie mówiący do innych ludzi... nieustannie przechodzą test Turinga nie tak trudny do zdania... zadać pytanie... wyglądać na roztrzępanego... wewnątrz mają słabe środowisko danych... albo tak się wydaje po tym, jak rozmawiają... potrzebny im lepszy test...

przeźreń i miejsce... miejsce to bezpieczeństwo... przestrzeń to wolność... buszmeni siadali na tyle blisko, aby podawać sobie przedmioty, nie wstając... na tysiącach kilometrów kwadratowych pustkowia... ludzie to stworzenia stadne...

błyskawiczna ekologia... dystrybucja i zasoby... przewidzieć organizm przez poznawanie... przewidzieć przyszłą populację... są tylko cztery

zmiany... narodziny i śmierć... imigracja i emigracja... zmiany w populacji mogą być reprezentowane przez N-S+I-E... w pustej niszy zasoby są nieograniczone tylko tymczasowo... ale w tych okresach życie może wzrosnąć wykładniczo... co odróżnia je od nieżycia... przyjęcie...

populacja Vinmary... 2367 ludzi... 23 gostki... populacja Kleopatry... 652 691 ludzi... 124 gostki... populacja Wenus... w przybliżeniu dwa miliardy ludzi... 289 gostek... dyfuzja... wypełnianie niszy... kontakt w Kleopatrze... spotkanie na stacji w mieście... na polowaniu... trzymać się planu... przywrócić boga...

nagły wzrost temperatury... sójki... nagietki... a jeżeli nisza opustoszeje...

diaspory zapewniają stały napływ organizmów do wyspowej populacji... z głównego lądu lub banku nasion... czyli z Ziemi do reszty Układu Słonecznego... zatem z Ziemi napływają diaspory... nie ma powodu bać się słońca i gorąca... niektóre czyny wyglądają jak ataki drapieżnika, ale są tak naprawdę symbiogenezą...

wahania liczebności populacji są normalne, po tym jak nisza opustoszeje... algorytm Wanga...

pociąg przejeżdża przez służę... ciśnienie powietrza rośnie... 150 milibarów... głośniej... twarze poruszające się na poziomie głowy... widok nie tak różny od płatków na mokrym czarnym konarze... niezborna metafora... światło spod kopuły żółte i niebieskie...

spacer po obwodzie Kleopatry... przy losowych sekwencjach wszystko może się zdarzyć... zachodnie tanagry żółte i czarne... czerwone łepki... gromadzące się przy rozrzuconym popcomie... ich ruchy trwają milisekundy... przerywane dwoma lub trzema, które trwają dłużej... czasami czterema lub pięcioma... oto wzrokowe złudzenie chwilowego ruchu od jednego momentu znieruchomienia do kolejnego... za każdą chwilę ekstazy... musimy zapłacić bólem...

Hej, nieznajomy... chwyt za ramię, siedemdziesiąt funtów na cal kwadratowy... kontakt wzrokowy... migdałowe oczy, brązowe tęczęwki promieniście rozświetlone bursztynowymi kreskami... orzechowe oczy... Chcesz zagrać w szachy?

powinno być... Czy chciałbyś zagrać w szachy?

Nie, dziękuję... Beznadziejnie gram w szachy... znajdź sobie do tego gostkę...

Cholera, nie... one zawsze wygrywają!

Przepraszam... mam się tu z kimś spotkać... wyrwać ramię spomiędzy kciuka i palców szarpnięciem... ruszyć, żeby się szybko oddalić...

Hej, przepraszam, przepraszam... podchodzi... Czy chciałbyś zagrać w szachy?

stoi... patrzy... czerwone policzki... lśniące krople potu na czole... człowiek, aż za bardzo człowiek...

Chodź ze mną... mówi człowiek... Pomożemy ci się stąd wydostać...



# SWAN I INSPEKTOR

W przeszłości Swan wykorzystywała podróże w terrarium jako okazję na przelotny romans. Bez różnicy, czy były to terraria ze światami we wnętrzu, czy na powierzchni. Czasami namiętność osiągała tak wysoką intensywność, że kiedy podróż dobiegała końca, Swan nie pamiętała, kim jest i dlaczego opuściła dom albo co ma robić u celu. Musiała pozbierać się i zaczynać od nowa.

Terrarium, w którym teraz się znajdowała z Genette'em – a obecność małego inspektora skutecznie utrzymywała jej uwagę na zadaniu – było stare, dawno wytopione. Nazywało się *Bantian Kongzhong Yizou Men*, co oznaczało jeden z wielu chińskich eufemizmów na określenie pochwy. Swan pomagała stworzyć to miejsce – dawno temu, gdy była młoda i pełna entuzjazmu dla tworzenia nowych światów. Teraz terrarium stało się seksliniowcem, pozbawionym jednak teatralności, bardziej naturalistycznym. Znajdowały się tu duże termy ulokowane wzdłuż długiej plaży, zarówno na dole, jak i na górze, którą przecinały jedynie wpadające do morza rzeki. Wszystkie zakątki przyjały kopulacji – tej publicznej, jak i na wpół prywatnej.

Swan większość czasu spędzała na małym morzu. Na nurzaniu się w szmerzących falach, z ustami słonymi od wody. Słone powietrze drażniło ją w nozdrzach, skręcało włosy. Pływy stymulowały mokradła i przyśpieszały ich rozwój, dlatego wprowadzono zmiany w szybkości rotacji, aby stworzyć

przyływy i odpływy, a dzięki temu daleko w cylindrycznym morzu tworzyły się wspaniałe fale. Ten punkt przełomu wymyśliła Swan, ale z czasem zmieniono go w spiralną rafę, na której pięknie załamywała się woda, gdy pojawiały się odpowiednie fale. A skoro rafa rozciągała się wokół całego cylindra, można było powiosłować do jej skraju i zacząć surfing na nowo. Bardzo miły dodatek.

Jednak Swan była zbyt rozbita i zaniepokojona, aby surfing sprawił jej prawdziwą przyjemność. Na dodatek po dzikim rajdzie w pierścieniu F ślizganie się po zwykłym morzu wydawało się takie banalne. Przesurfowała wokół całego cylindra, po czym powiosłowała do obrzeża spiralnej rafy, aby złapać kolejną wielką falę – całość stanowiła chyba najlepiej przemyślaną i zrealizowaną aranżację, jaką Swan w życiu widziała – a jednak kobieta nie potrafiła uwolnić się od wrażenia, że jest uwięziona niczym w schodach ze szkicu Eschera.

Dlatego przerwała zabawę i wróciła na brzeg. Kiedy minęła kochanków pluskających się na płyciźnie, jak zwykle łatwo odnalazła inspektora Genette'a przeglądającego wieści przez Passepartout lub rozmawiającego z innymi śledczymi Interplanu, także przez radio, z funkcjonariuszami rozrzuconymi wszędzie po asteroidach. Widziała, jak wiele pracy Policji Interplanetarnej polega na poszukiwaniu i przeszukiwaniu baz danych oraz próbach sformułowania pytań, na które odpowiedzi mogą być zawarte w zebranych informacjach. Praca ta była równie niewidzialna jak obliczenia, które utrzymywały wszystkie statki kosmiczne i terraria na kursie oraz zakładanych trajektoriach, z ich cyklami Aldrina i skomplikowanymi szlakami grawitacyjnymi równie wyrazistymi jak osnowa i kanwa na olbrzymich spiralnych krosnach. Analiza danych, rozpoznany wzorzec – większość tej pracy wykonywały qostki i si. Resztę dopełniała garstka ludzi zachowujących się jak teraz Genette – przyczajonych jak pająki w sieci, siedząc na wysokich

krzesłach przypominających meble dla dzieci w restauracjach. Kilkoro małych pracowało razem przy balustradzie tarasu rozciągającego się nad jednym z basenów, doskonałego miejsca do randek. Swan podeszła. Starła się zorientować, co robią funkcjonariusze Interplanu, czego dotyczy ich dochodzenie i jak jest prowadzone. Odczuła nawet pewną przyjemność, słysząc, że znaleźli kilka tropów związanych z jednostką dryfującą wśród obłoków Saturna, a nawet zidentyfikowali niewielki tansponder, który wyłączył się, gdy weszli do śluzu statku widma. Na Ziemi znajdowała się firma holdingowa, która nie tylko posiadała akt własności statku, lecz także zleciła produkcję serii przekaźników, do której należał ten na pokładzie znaleziony przez Interplan. W ostatecznym rozrachunku znaczyło to jednak tylko tyle, że istnieje więcej tropów, które trzeba sprawdzić, na Ziemi i nie tylko. A dochodzenie i tak będzie wyglądało podobnie jak w tej chwili – z góstkami poszukującymi algorytmów, aby wykonać spacer kwantowy przez niekoherentne i koherentne ślady z przeszłości. Swan nie miała pojęcia, jak mogłaby w tym pomóc. Chyba nadchodziła pora, aby wracać do domu.

Wtedy lwiątko z Terminatora poproszą ją o przygotowanie projektu ponownego zaopatrzenia parku i gospodarstw, które należy odbudować. A przy tym bez wątpienia Swan mogła pomóc.

- Zamierzam wrócić na Terminatora – oznajmiła inspektorowi Genetteowi.
- Oczywiście będziemy w kontakcie, ale muszę dostać się na Ziemię i zorganizować nawozy, gleby oraz rośliny.
- Już tam lecimy – odparł mały. – Zdaje się, że to Ziemia jest źródłem naszego problemu.

Podczas tego etapu podróży Swan często spotykała się z inspektorem Genetteem, aby wypić ostatniego drinka na zakończenie wieczoru, gdy taras pustoszał, a wielu ludzi zeszło już do skąpanych w przyćmionym świetle basenów lub na płycizny. Swan siadała, opierając łokcie na balustradzie i

podpierając podbródek dłonią. Zwykle obserwowała wybrzeże. Inspektor wspinał się na balustradę i siadał przed Swan. Czasami przeglądał wiadomości przez Passeurpartout, a czasami mówił o sprawie i bombardował Swan pytaniami:

– Gdybyś wiedziała, że istnieje szaleniec, który pomoże ci osiągnąć to, czego pragniesz, powstrzymałaś go? Jeżeli ktoś traktowany jest tak źle, że zaczyna zachowywać się jak algorytm, to czy można nadal uważać go za człowieka?

Kłopotliwe pytania. I wszystkie zadane podczas obserwowania, jak w dole ssaki rozumne zażywają kąpiele, kołyszą się w blasku podwodnych lamp – pary i niewielkie grupy, roześmiane lub szepczące, czasami wydające prymitywne okrzyki. Kopulacja w parach lub trójkach albo w splątanej orgii panmiksji. Wielu zapewne było na oksytocynie i przeżywało nadzwyczajnie tkliwe i ciepłe doświadczenia, inni zażyli substancje enteogeniczne i wpadli w mistyczny tantryczny trans. Właśnie teraz na mokrym obramowaniu basenu grupka małych zajmowała się wyjątkowo wysokim, jakby Guliwer trafił do burdelu Liliputów – widok budzący gwałtownie oscylujące emocje: przerażenie, jak i pokrzepienie. Swan odegrała ongiś rolę Królowej Śnieżki dla siedmiu krasnoludków, a teraz zerknęła na inspektora ciekawa, czy on też patrzy i czy zareaguje. Ale Genette patrzył w inną stronę, na parę bezwstydną dwupłciową – z wielkimi piersiami i imponującymi penisami w erekcji, każde z nich było w zaawansowanej ciąży. Przewracali się z jednej seksualnej pozycji do następnej.

– Wyglądają jak wieloryby – zauważyła Swan. – Cięża to po prostu przesada. To nie rozpusta, to trywialność.

– Pomografia, czyż nie? – Genette wzruszył ramionami. – Chcą, żeby to wyglądało dziwnie.

– No to im się udało – roześmiała się Swan. – Sądzę, że chcą wyglądać

rozpustnie i występnie, ale nie za bardzo im wychodzi. – Seks jako performance? Czy to nie rozpusta tam, skąd pochodzisz?

– Ale to jest seksliniowiec. Ludzie przylatują tutaj, żeby pławić się w rozpuście.

Inspektor spojrział na nią, przechylając głowę.

– Może to tylko teatr.

– No to muszę stwierdzić, że wyjątkowo nieudany.

– Albo może to tylko popisywanie się. Wszyscy to robimy. Żyjemy złudzeniami. Może się to okazać problemem, jak ci kiedyś wspomniałem. Ale nie tutaj. – Genette pobłogosławił scenę, wyciągając dłoń. – To jest po prostu słodkie. Chyba tam zejść i też się przyłączyć.

■ ■

*Bantian Kongzhong Yizou Men* miał użyć Marsa jako grawitacyjnej procy, dzięki której przetnie Układ Słoneczny w pobliżu Ziemi, więc Swan przyłączyła się w kapsule widokowej do tych, którzy chcieli popatrzeć na Czerwoną Planetę. Zapytała wcześniej inspektora Genette'a, czy zechce jej towarzyszyć, ale w odpowiedzi ujrzała tylko ponury grymas.

– Co? – zdziwiła się. – Co jest nie tak z Marsem?

– Dorastałem tam. – Genette wyprostował się na swoją niewielką wysokość i napiął ramiona. – Chodziłem tam do szkoły, potem pracowałem przez czterdzieści lat. Ale wygnano mnie stamtąd za zbrodnię, której nie popełniłem, a skoro Mars mnie wyгнаł, ja wyгнаłem Marsa. Pieprzę go!

– Och – stropiła się Swan. – Nie wiedziałam. Co to była za zbrodnia?

Inspektor tylko machnął ręką.

– Idź. Popatrz sobie na tego wielkiego czerwonego drania, gdy będziemy go mijać.

Więc Swan poszła sama do komory widokowej na bukszprycie. *Bantian*

*Kongzhong Yizou Men* przemknął tuż nad atmosferą Marsa, na tyle blisko, by w pełni wykorzystać jego siłę grawitacji, ale na tyle daleko, by uniknąć hamującego tarcia w atmosferze. W ciągu dziesięciu minut terrarium znalazło się nad planetą – czerwoną ziemią przeciętą zielonymi długimi liniami kanałów, kanionami biegnącymi do północnego morza, wielkimi wulkanami wystającymi nad stratosferę – a potem równie szybko się od niej oddaliło. Mars zaczął się kurczyć jak balon, z którego gwałtownie schodzi powietrze.

– Podobno to interesujące miejsce – rzucił ktoś w kapsule widokowej.

# ZIEMIA – PLANETA SMUTKU

Kiedy spogląda się z niskiej orbity, wpływ Himalajów na klimat Ziemi wydaje się oczywisty. Tworzą cień, w którym padają deszcze, największy ze wszystkich takich cieni na planecie. Góry tworzą barierę w poprzek wiejących na tej długości geograficznej południowo-zachodnich wiatrów i odbierają im wilgoć, która zasila osiem z największych rzek świata. Przez to jednak wysuszają Gobi na północy oraz wszystko na południowym zachodzie, w tym Pakistan, Iran, Mezopotamię, Arabię Saudyjską, nawet północną Afrykę i południową Europę. Suchy pas ciągnie się przez ponad połowę masy lądowej Eurazji i Afryki – krajobraz wypalonych skał, ojczyzna zapalczywych religii, które rozprzestrzeniły się i rozogniły resztę świata. Przypadek?

Na północy Afryki krajobraz znacząco różni się od południa, wiele dużych, płytkich jezior rozrzuconych po Saharze i Sahelu. Woda została przepompowana z Morza Śródziemnego do depresji na pustyni, często do zagłębień, które pozostały po prastarych jeziorach. Niektóre rozmiarami dorównują Wielkim Jeziorom, lecz są znacznie płytsze. To akweny słodkowodne. Woda z Morza Śródziemnego została odsolona po drodze, a uzyskana z niej sól w połączeniu z utrwalczaczami zmieniła się w doskonale białe cegły i dachówki. Białe dachówki pokryte przezroczystą powłoką fotowoltaiczną używane były we wszystkich nowych budowlach od czasów Accelerando, często również wymieniano na nie stare pokrycia dachowe. Gdy patrzyło się wtedy na miasta z orbity, wydawały się

przykryte połaciami śniegu.

Ale ekologicznie czysta technologia pojawiła się zbyt późno, aby ocalić Ziemię przed katastrofami wczesnego antropocenu. Jeszcze jedna ironia losu, że w tamtych czasach ludzie potrafili radykalnie zmienić oblicza innych planet, lecz nie Ziemi. Metody, jakie wdrożyli w przestrzeni kosmicznej, były zbyt ostre i okrutne. Tylko z najwyższą ostrożnością ośmielano się cokolwiek naprawiać na Ziemi, ponieważ wszystko tutaj pozostawało w tak ścisłych zależnościach i delikatnej równowadze. Zwykle gdy udało się osiągnąć coś dobrego w jednym miejscu, w innym przynosiło to wiele złego.

Ta ostrożność wobec terraformowania Ziemi niekiedy eskalowała do starć zbrojnych. Polityczne spory doprowadziły do impasu. Podejrzewano, że duże geoinżynieryjne projekty niosą ze sobą ryzyko wypadków, jak ten z lat czterdziestych dwudziestego drugiego wieku, który skończył się Małą Epoką Lodowcową i jak powszechnie uważano, spowodował śmierć miliarda ludzi. Nic nie mogło przełamać tych obaw.

Na dodatek niewiele można było poradzić na większość ziemskich problemów. Nie można było nic zrobić ze wzrostem temperatury i stałą ekspansją oceanów – a także ich coraz wyższym zakwaszeniem. Nie istniała żadna technika terraformowania, która by tutaj pomogła. Część wody przepompowano do suchych niecek w północnej Afryce i środkowej Azji, ale nie była to pojemność wystarczająca, aby pomieścić wiele z oceanicznego nadmiaru. Utrzymanie jednej naturalnej czapy lodowcowej, jaka pozostała daleko na wschodzie Antarktydy, stało się priorytetem, co oznaczało, że nikt nie poczuwał się do przepompowania tam wody morskiej, żeby zamarzała, jak od czasu do czasu proponowano, ponieważ jeżeli coś pójdzie źle, groziło to utratą całego lodowca, a to podniosłoby poziom morza o kolejne pięćdziesiąt metrów. Dla ludzi mogło to oznaczać śmiertelny cios. Dlatego ostrożność była konieczna. W końcu jednak przyznano: poziomowi mórz nie można obniżyć.



Do podobnych konkluzji dochodzono w przypadku wielu innych problemów. Mnóstwo delikatnych kwestii fizycznych, biologicznych i prawnych wiązało się ze sobą tak ściśle, że żadna inżynieria kosmiczna wykorzystywana w Układzie Słonecznym nie wystarczała na potrzeby tego świata.

Pomimo to ludzie podejmowali próby. Dysponowali przecież potęgą o wiele większą niż przed laty, dlatego niektórzy czuli, że wypada przynajmniej spróbować obejść paradoks Jenkinsa, który stwierdzał, że im lepsza ludzka technologia, tym więcej może wyrządzić krzywd. Ten bolesny paradoks pojawiał się w ludzkiej historii i nigdy nie zawiódł. Może jednak właśnie nadszedł moment przełomowy – a przynajmniej dość znaczący, aby wyrzucić nacisk na dźwignię Archimedesa – moment, gdy ludzie zdołają dobrze wykorzystać swoją potęgę, a nie wywołać jeszcze większych zniszczeń.

Ale nie było pewności. Ludzkość zawieszona pomiędzy rajem a zagładą miotła się smętnie po kosmosie jak w marnej telenoweli. Mużką Ziemi chyba była Szeherazada – z jednego wątku wynikały kolejne i zawsze zatrzymywały się w kulminacyjnym momencie, jak bohater kołyszący się na skraju przepaści. Życie i zdrowy rozsądek wisały na włosku. A przestrzeniowcy powracali do tego domu koszmarów z wnętrzościami zaciśniętymi w węzeł gordyjski.

# SWAN NA ZIEMI

Ziemię cechowało fatalne ciężenie i bynajmniej nie chodziło o wysoką grawitację, lecz raczej o wieczne niemal, historyczne brzemie, jego splendor, dekadencję i brud. Nie trzeba było odwiedzać Uttar Pradeś i patrzeć na spieczone ruiny Agry lub Benares, żeby to wiedzieć – widok miał charakter fraktalny i pojawiał się wszędzie, w każdej dolinie i osadzie: oznaki zniedołężnienia, smród społecznego okrucieństwa, nagie, zniszczone przez erozję zbocza i wyschnięte wybrzeża, nadal opadające w morze. Bardzo niepokojące miejsce. Niepokój ten nie zawsze był oczywisty lub wyrazisty. Czas ludzi zdawał się skrzywiony, niespójny – wszystko rozpadało się i mieszało, budząc trudne do zdefiniowania uczucia. Porządek stał się wyświechtaną ideą, zepchniętą w starożytne opowieści, pajęczą sieć prawa i znaki uliczne.

Lepiej było skupić się na dniu obecnym, jak zwykle. Dlatego Swan w ślizgaczu opuściła jedną ze środkowoafrykańskich wind na wysokości około pięćdziesięciu tysięcy metrów i poleciała na lądowisko w Sahel. Na południowych krańcach Sahary – pustyni bez śladu życia, zupełnie jak na słonecznej stronie Merkurego powinno być nagie pustkowia, tyle tylko, że teraz rozciągały się tutaj śnieżnobiałe bloki miast wzdłuż brzegów zielonych lub błękitnych płytkich jezior. Wielkich jezior, nad którymi jak ochronny parasol unosiły się chmury odbijające się w lśniącej tafli wody. Niżej, niżej.

Swan leciała i wbrew wszelkim okolicznościom czuła radość z powrotu na Ziemię. Wsiadła ze ślizgacza, stanęła na pasie lotniska w saharyjskim wietrze. Nie dało się tego z niczym porównać, tego potężnego tchnienia rzeczywistości. Tylko niebo, głębokie i czyste, nad głową, wiatr z zachodu i promienie słońca na nagiej twarzy O Boże! Oto dom. Tutaj można stąpać po Twojej planecie i oddychać pełną piersią, rzucić się w ogrom Twojego tchnienia...

Miasto u stóp windy, którą opuściła Swan, było oślepiająco białe, jedyne kolorowe akcenty stanowiły drzwi i okiennice. Radosna śródziemnomorska panorama z dodatkiem odrobiny islamu – zdobienia ścian, minarety. Jak na północnym zachodzie, w Maroku. Oaza architektury, klasyczna i estetyczna. Ale też które miasto tak naprawdę nie jest oazą? Typologicznie to tutaj nie różniło się od Terminatora.

A jednak ludzie w tym miejscu byli chudzi i mali, przygarbieni i ciemni. Opaleni słońcem, oczywiście, spieczeni nawet – lecz chodziło o coś więcej. Ktoś musiał zbierać ryż i trzcinę cukrową, sprawdzać kanały irygacyjne lub nadzorować prace, instalować urządzenia, naprawiać sprzęt. Ludzie byli nadal najtańszymi robotami, a także – ze względu na różnorodność zajęć – jedynymi zdolnymi do wykonania tylu zadań. Na dodatek byli robotami, które potrafią się replikować. Gromadzili się i pracowali przez pokolenia, wystarczyło dać im trzy tysiące kalorii dziennie i parę udogodnień, trochę czasu wolnego oraz mocny impuls strachu i można było zaprząć ich do niemal każdej pracy. Dodać do tego trochę leków polepszających samopoczucie i powstawała klasa średnia – deifikowane trybiki w maszynie. Swan znowu to widziała: większość populacji Ziemi wykonywała pracę robotów i nigdy się to nie zmieniało, nieważne, co mówiły teorie polityczne. A z jedenastu miliardów Ziemiaków przynajmniej trzy bało się utraty pracy i dachu nad głową – chociaż z przestrzeni płynęła nieustannie tania energia, a światy farmy przekazywały

spory procent wyprodukowanej tam żywności. W górze – ponad niebem – ludzkość zdobywała nowe światy, podczas gdy na Ziemi ludzie nadal cierpieli. Ten widok za każdym razem wstrząsał tak samo. Niełatwo się cieszyć i bawić, gdy ma się świadomość, że ludzie wokół głodują. „Ale przecież wytwarzamy dla was żywność w kosmosie!” – chce się krzyknąć, a jednak nic to nie zmienia. Coś wstrzymuje transport żywności. Ciągłe jest więcej potrzebujących, niż system zdoła objąć pomocą. Dlatego to żadne rozwiązanie. Ale ciężko skupić się na własnych zadaniach, gdy tak wielu doświadcza niedoli.

Dlatego coś trzeba zrobić.

– Dlaczego tak jest? – zapytała Swan Zaszę, ponieważ nikogo innego nie było w pobliżu. Zasha właśnie zaangażował się do pomocy przy jakimś projekcie na Grenlandii.

– Ponieważ nigdy nie było żadnego planu – mruknął jej Zasha do ucha ze znudzeniem, jakby chciał przypomnieć, że nie pierwszy raz prowadzą taką rozmowę. – Zawsze staramy się zaradzić kryzysowi ad hoc, tu i teraz. Ciężko wypenić stare nawyki. Już pięć wieków temu każdy człowiek na Ziemi mógłby żyć na odpowiednim poziomie. Mieliśmy moc i zasoby wystarczające do zaspokojenia ludzkich potrzeb, mogliśmy tego dokonać. Lecz nigdy nie zostało to zaplanowane, więc nie zostało też wykonane.

– Ale dlaczego nie zacząć teraz? Przecież mamy do dyspozycji tyle energii!

– Nie wiem. To po prostu tak nie działa. Może to przez dawne toksyczne zanieczyszczenia, które rzuciły się na mózg większości ludzi z Ziemi. Poza tym wpędzanie w nędzę to jedna z taktyk terroru. Jeżeli populacja jest zdziesiątkowana, dziewięćdziesiąt procent tych, co pozostali, staje się uległe. Ludzie widzą, co może im się przytrafić, więc starają się nie wychylać i brać, ile się da.

– Naprawdę? – wykrzyknęła Swan. – Nie wierzę! Dlaczego ludzie nie

walczą, skoro wiedzą, co im grozi?

– Nie wiem. Może tak by się stało, ale podniósł się poziom morza i nadeszła katastrofa klimatyczna, a wtedy wszystko zrobiło się trudniejsze. Tutaj zawsze jest kryzys.

– No dobrze. Dlaczego jednak nie zacząć teraz?

– Jasne, czemu nie? Ale kto się tego podejmie?

– Ludzie zrobiliby to dla siebie, gdyby mogli!

– Tak ci się tylko wydaje.

– Bo tak jest! Jeżeli tego nie zrobią, cofną się tylko! W pewnym sensie mają nóż na gardle.

Odpowiedziała jej tylko cisza. Zasha chyba pograżył się we własnych myślach. Wreszcie:

– Mówi się, że gdy społeczeństwom dotyka kryzys, wcale nie stawiają czoła swoim problemom, lecz odwracają oczy i uciekają w zaprzeczenie. Co historycznie uznawane jest za naturalne. A ludzie rozwarstwiają się, zaczyna obowiązywać lojalność plemienna. Wtedy walczą o to, czego ich zdaniem brakuje. Słyszałaś na pewno stwierdzenie, że nigdy nie dźwignęli się po zamieszkach, które wybuchały z powodu zagrożenia głodem pod koniec dwudziestego pierwszego wieku i podczas Małej Epoki Lodowcowej. Minęło dwieście lat, a to doświadczenie nadal pozostało głęboką światową traumą. Zresztą do tej pory Ziemia nie ma nadwyżek żywności, więc ich strach przed głodem jest uzasadniony. Balansują na szczycie płataniny protez, zupełnie jak na rusztowaniu wieży Babel. A to wszystko musi dobrze funkcjonować, żeby można było tu cokolwiek zdziałać.

– Tak samo jest wszędzie!

– Jasne, jasne. Ale tutaj ludzi jest tak wielu...

– To prawda. – Swan spojrzała na tłumy cisnące się i przepychające przez medinę. Za murami miasta nieregularne rzędy pracowników pochylały się we

wczesnych promieniach słońca.

Trwały zbiory truskawek. – Panuje tu taki upał i brud, do tego to przekłete ciążenie. Może Ziemią przygniata po prostu ta planeta, a nie ich historia.

– Może. Ale jest, jak jest, Swan. Byłaś tu wcześniej i sama widziałaś.

– Byłam, ale nie w tym miejscu.

– Ale odwiedziłaś Chiny?

– Oczywiście.

– Indie?

– Tak.

– Więc już to widziałaś. A o Afryce miejscowi mówią, że to kloaka postępu. Pomoc z zewnątrz znika tu i przepada bez śladu. Nic się nie zmienia. Miejsce zniszczone dawno temu przez łowców niewolników. Mnóstwo chorób, które rozwijają się jeszcze lepiej, odkąd wzrosła temperatura. Nic się nie da zrobić. Rzecz w tym jednak, że teraz te warunki panują wszędzie. W upadających i starych strefach uprzemysłowionych jest jeszcze gorzej. W zasadzie można powiedzieć, że cała Ziemia jest teraz kloaką postępu. Śmietanka klas wyższych dawno temu odleciała na Marsa, została tylko biedota.

– Ale wcale nie musi tak być!

– Przypuszczam, że nie.

– Więc dlaczego nie pomagamy?

– Staramy się pomóc, Swan. Naprawdę. Ale populacja Merkurego to pół miliona ludzi, a tutaj jest ich jedenaście miliardów. I Ziemia to ich ojczyzna. Nie możemy tu tak po prostu przylatywać i mówić im, co mają robić. Tak naprawdę ledwie udaje się ich powstrzymać przed przylotem do nas i mówieniem, co my mamy robić! A to znaczy, że nic nie jest proste. I doskonale o tym wiesz.

– Tak. Ale teraz zastanawiam się chyba, co to naprawdę oznacza. Co

oznacza dla nas. Wiesz, że ludzie inspektora Genette'a zidentyfikowali statek, który znaleźliśmy w chmurach Saturna? Okazało się, że należy do firmy z Czadu. – Bo Czad to po prostu raj podatkowy. Dlatego przyleciałaś właśnie tutaj?

– Tak sądzę. Czemu nie?

– Swan, proszę, zostaw tę sprawę inspektorowi Genette owi i jego ludziom. Powinnaś teraz zająć się zebraniem nawozów i nasion oraz wszystkiego, co możemy kupić na Ziemi i przetransportować do domu.

– No dobrze – westchnęła Swan nieszczęśliwie. – Ale chcę pozostać w kontakcie z inspektorem. On i jego ludzie też przylecieli na Ziemię, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Jasne. Ale w sprawach takich jak ta przychodzi czas, gdy kontrolę zaczynają sprawować analitycy danych. Musisz być cierpliwa i czekać na kolejne posunięcie.

– A jeżeli kolejne posunięcie to następny atak na Terminatora? Albo na inne osiedle ludzi? Nie sądzę, że możemy sobie pozwolić na luksus cierpliwości. Już nie.

– Może. Lecz są sprawy, w których możesz pomóc, i takie, w których nie możesz nic zrobić. Wiesz co, przyjdź do mnie. Pogadamy o tym. Opowiem ci dokładnie, co tu się naprawdę stało.

– Dobrze. Ale zamierzam iść okrężną drogą.

Swan wędrowała po Ziemi. Poleciała do Chin i spędziła tam kilka dni. Jeździła pociągami z miasta do miasta. Okolicę wokół nich zajmowały osiedla zorganizowane jak jednostki robocze, fabryki, w których ludzie mieszkali jak na Wenus. Od dzieciństwa mieli wtyczki w opuszkach palców, a przedramiona wytatuowane wszelkiego rodzaju aplikacjami. Dieta zapewniała im prawie wymagane dawki składników odżywczych i leków. Na Ziemi nie stanowiło to wyjątku, ale nigdzie indziej nie było to tak rozpowszechnione jak w Chinach,

choć właśnie tam najrzadziej zwracano na to uwagę. Swan dowiedziała się o tym, ponieważ złożyła wizytę jednemu ze znajomych Mqareta w Hangzhou. Mqaret chciał, aby Swan pozwoliła sobie pobrać próbki krwi, a że Swan i tak wędrowała, nie miała nic przeciwko.

Wszystkie większe stare nadbrzeżne miasta zostały na wpół zalane przez podnoszące się morza, to jednak ich nie zniszczyło, zmusiło tylko do rozprzestrzeniania się i rozbudowy na terenach położonych dalej na lądzie lub tam, gdzie morze nie sięgnie, nawet jeśli stopnieją wszystkie lodowce świata. Ta nowa infrastruktura faworyzowała bardziej Hangzhou niż Szanghaj, jednak chociaż nowe budynki i drogi rozwijały się dalej od wybrzeża i historycznych miast, te nadal pozostawały ośrodkami kultury i sercem regionu.

Nadal było tutaj wielkie lejkowate ujście rzeki Qiantang, a ludzie wciąż pływali tędy na małych motorówkach różnego autoramentu. Wyglądali, jakby mimo wszystko dobrze się bawili. Dobra, stara Ziemia, tak ogromna i brudna, z niebem, które wydaje się przeżarte brązową pleśnią i wodą w kolorze jasnego błota oraz lądem odartym z życia i uprzemysłowionym – wszystko to jednak opierające się wichrom zmian, spłaszczone niezłomną grawitacją i twardo oparte w rzeczywistości.

Swan wędrowała zatłoczonymi zaułkami starego miasta. Zaprzęła Pauline do pomocy z chińskimi dialektami, których nie rozumiała. Spowolniło to nieco mówienie, ale nie przeszkadzało za bardzo. Chińczycy byli skoncentrowani na sobie, patrzyli przez Swan, jakby była przezroczysta. Z pewnością właśnie od tych ludzi przejęli postawę Wenusjanie – każdy skupiał się na swoim wnętrzu lub na swoim życiu w grupie roboczej i jednostce, niemal wykluczając wszystko i wszystkich innych. Z pewnością w żadnych z tych ludzi nie zrodziłyby się nienawiść do przestrzeniowców – stosunki z obcymi spoza Chin należały do krainy głodnych duchów. Nawet na życie poza grupą roboczą spoglądano jak na nierealny świat. A przynajmniej Swan



odniosła takie wrażenie, gdy siedziała w barze, siorbała zupę z makaronem i rozmawiała z grupą zmęczonych pracowników, którzy poświęcili jej czas tylko dlatego, że wysoka obca z kosmosu zadająca pytania stanowiła tu rzadkość. Zresztą w barach ludzie okazywali chyba więcej tolerancji. Na ulicy wielu posyłało jej nieprzyjemne spojrzenia, Swan usłyszała nawet wyzwisko. Ostatni odcinek do znajomego Mqareta pokonała w pośpiechu. Gdy dotarła na miejsce, pozwoliła pobrać sobie krew, zbadać wzrok, równowagę i tym podobne.

Kiedy ponownie znalazła się na ulicy, odniosła wrażenie, że wiele osób przygląda jej się z równym zainteresowaniem jak znajomy Mqareta i jego koledzy. A może to Swan dopadły podświadome obawy. Przyśpieszyła kroku w nieuchronnym ścisisku – gdy się przebywało w Chinach, zawsze w zasięgu wzroku znajdowało się co najmniej pięciuset ludzi. W hotelu jednak zaczęła się dziwić swojemu lękowi przed tłumem. Potem położyła się spać, kiedy jednak się obudziła, okazało się, że jest skrepowana, a pokój rozświetla tylko blask monitorów medycznych. Łóżko zadbało o wszystkie potrzeby ciała. Lecz w kropłówce z płynem odżywczym znajdować się musiał także specyfik działający na ośrodki mowy, ponieważ Swan zaczęła mówić wbrew swojej woli, nie mogła przestać, chociaż się starała. Bezcielesny głos dobiegający zza jej głowy zadawał pytania o Alex i wszystko inne, a Swan paplała niezdolna się powstrzymać. Pauline okazała się w tej sytuacji bezużyteczna – chyba ją wyłączyli. A ona sama nie potrafiła opanować przymusu mówienia. W rzeczy samej nie było to niczym nadzwyczajnym w jej normalnym stanie, odczuwała nawet ulgę, że może z siebie wszystko wyrzucić bez szukania pretekstów. Ktoś ją do tego skłonił, a Swan uległa, bo musiała.

Później ocknęła się w tym samym łóżku, ale już nieskrepowana. Ubranie leżało na krześle obok. Pomieszczenie było niewiele większe od postania. Pokój w hotelu, gdzie Swan się zatrzymała, tak. si przy stoliku nocnym,

zielone pudełko w kącie, odpowiedziała, że nie wykrywa w organizmie Swan niczego niepokojącego. Czujniki monitoringu w pokoju również nie wykryły nieprawidłowości we wskaźnikach życiowych, nie zarejestrowały również żadnego włamania lub wejścia do pomieszczenia ani nic podejrzanego.

Swan włączyła Pauline, ale gośtka nie potrafiła pomóc. Minęły prawie dwadzieścia cztery godziny, odkąd wyszła z kliniki, gdzie pracował znajomy Mqareta. Swan połączyła się z przedstawicielstwem Merkurego na Manhattanie i opowiedziała, co jej się przydarzyło, a potem skontaktowała się z Zaszą.

Wszyscy byli wstrząśnięci, zaniepokojeni i zatroskani. Naciskali, aby Swan udała się natychmiast do najbliższego przedstawicielstwa, aby otrzymać pomoc medyczną i opiekę, Zasha jednak położył temu kres.

– Byłaś już sama na Ziemi – stwierdził twardo. – Natrafisz tu na każdy występki, już ci to kiedyś mówiłem. To już nie te czasy, gdy przyleciałaś tu na swój pierwszy urlop. Teraz staramy się przylatywać w grupach. Pamiętasz, co się stało poprzednim razem, kiedy wyszłaś samotnie z mojego domu?

– Ale to były tylko dzieciaki. A kto mnie napadł teraz?

– Nie wiem. Wezwij jak najszybciej Jeana Genette’a. Może on i jego ludzie zdołają wyśledzić, kto to zrobił. Albo uda się wydedukować to po tym, co stanie się potem. Najprawdopodobniej próbowano wyciągnąć od ciebie jak najwięcej informacji. Co oznacza, że prawdopodobnie to się nie powtórzy, ale lepiej, żebyś nie podróżowała samotnie. A najlepiej przemieszczaj się z ochroną.

– Nie.

Zasha pozwolił, aby ten protest wybrzmiał w ciszy.

Swan westchnęła.

– Chyba powinnam. Nie wiem. Mam wrażenie, że to zły sen. Jestem trochę głodna, ale chyba dostawałam substancje odżywcze przez kroplówkę.

Zmuszono mnie... To znaczy paplałam jak nakręcona! Większość zadawanych mi pytań dotyczyła Alex. Powiedziałam chyba wszystko, co o niej wiem!

– Hm... – Na długi czas zapadło milczenie. – No to teraz rozumiesz, dlaczego Alex tak wiele trzymała w sekrecie.

– Domyślasz się, kto mi to zrobił?

– Nie. Pewnie ktoś wysłany przez chińskie władze. Tutejszy rząd bywa brutalny. Jednak twój przypadek wydaje się za bardzo skandaliczny, jak na działania oficjalnych władz. Może to ostrzeżenie. A może tylko szukanie informacji. Albo ktoś chciał nam dać do zrozumienia, że z Ziemią nie ma żartów. – Jakbyśmy już tego nie wiedzieli.

– Ty jednak zachowujesz się tak, jakbyś nie wiedziała. Może chodziło o ostrzeżenie, że to twoja obecność tutaj jest niepożądana.

– Ale dla kogo?

– Nie wiem! Uznaj to za wiadomość od ludzi na Ziemi. I wezwij inspektora Genette'a. I spotkaj się ze mną, żeby porozmawiać, zanim wpakujesz się w większe tarapaty.

Więc Swan wezwała inspektora Genette'a. Mały śledczy Interplanu okazał zaniepokojenie, gdy usłyszał o zajściu.

– Może powinniśmy utrzymywać stałe połączenie między Pauline i Passepartout, kiedy jesteśmy na Ziemi – zasugerował. – Wtedy będę zawsze znał twoje ruchy.

– Ale zawsze każesz mi wyłączać gostkę!

– Nie tutaj. To zupełnie inna sytuacja. Tu gostki mogą się przydać.

– Dobrze – skapitulowała Swan. – To lepsze niż podróżowanie z ochroniarzem.

– Przezomości nigdy dość. Powinnaś przynajmniej podróżować w towarzystwie.

– Wybieram się do Zaszy, na Grenlandię. Tam chyba będzie bezpiecznie.

- Świetnie. Lepiej, żebyś wyjechała z Chin.
- Przecież jestem Chinką!
- Jesteś z chińskiego odłamu na Merkurym, a to co innego. Interplan nie ma umowy z Chinami, więc nie mógłbym ci legalnie pomagać, gdy tu jesteś. Jedź na Grenlandię.

Tej nocy Swan poszła do baru z czystej przekory. Ludzie dziwnie na nią patrzyli. Była obcą w obcym kraju. W wiadomościach na ekranach w barze usłyszała kilka gorących przemówień ujawniających polityczne zbrodnie w Hadze, Brukseli, w onz, na Marsie – popełnione w ogólności przez przestrzeniowców. Paru mówców wpadło w taką furję, że Swan musiała zrewidować swoją opinię o zdystansowanych Chińczykach; wcale nie byli tak zdystansowani i zamknięci w sobie, jak by się to mogło wydawać po ich zachowaniu na ulicy – byli, ujmując rzecz dyplomatycznie, równie zaangażowani jak reszta Ziemi. Jak każdą grupę, także Chińczyków kształtowały wpływy teraźniejszości, duch czasu. Wskazywano im, kto jest źródłem wszelkich cierpień, byle tylko skierować niezadowolenie tłumów jak najdalej od Pekinu. Możliwe zatem, że przestrzeniowców obwiniano teraz o każde nieszczęście – wciągnięto ich w czerwoną strefę, przez co byli atakowani jak wrogowie. Swan słuchała przemówień na ekranie, ignorując podejrzliwe spojrzenia innych klientów. Przynajmniej jedno stało się dla niej jasne: w Chinach coraz szybciej rozprzestrzeniało się przekonanie, że przestrzeniowcy pławią się w skandalicznym, dekadencjonalnym luksusie, jak gubernatorzy w dawnych kolonialnych czasach, tylko jeszcze większym. A Swan na własne oczy przekonała się, że w Hangzhou ludzie żyją jak szczury w labiryncie, z dnia na dzień przepychając się w tłumie podobnych sobie szczurów. Bez wątplenia podatny grunt dla rozwoju ekstremalnych poglądów. Każdy chce rzucić kamieniem w dom bogatego dzieciaka – czemu nie? Kto by nie chciał?

Podczas lotu na Grenlandię Swan także oglądała wiadomości. Ziemia,

Ziemia, Ziemia. Ludzi tutaj nie obchodził ani trochę kosmos, przynajmniej większości. Niektórzy uciekali w religię zrodzoną jeszcze w xn wieku. Pasterze, których Swan dostrzegła w dole, wiedli swoje stada jak eksperci od ekologii, którymi zresztą być powinni, aby uzyskać jak największe korzyści – w środkowej Azji każde pastwisko było mleczarnią, miejscem dla bydła i fabryką nawozu oraz gleby, a właściciele wrzeli z gniewu na posuchę wywołaną przez bogaczy z daleka. Swan widziała gdzieś tam wielkie aglomeracje, czyli slumsy tonące w pyłe poddanej erozji gleby lub rozpluwające się w tropikalnym deszczu i błocie, gdzie skarłali mieszkańcy nieustannie walczyli o przeżycie. W Czadzie dostrzegła wyraźne oznaki zakażenia pasożytami. Widziała głód, choroby, przedwczesną śmierć. Stracone istnienia w dogorywających biomach. Z jedenastu miliardów ludzi na planecie aż trzy miliardy nie mogły zaspokoić swoich podstawowych potrzeb. Trzy miliardy to już sporo, a trzeba było wliczyć jeszcze pięć lub sześć bilionów na granicy nędzy – ich nigdy nie opuszczał strach, że pewnego dnia stoczą się na samo dno. Ogromna grupa, doinformowana na tyle, aby doskonale zdawać sobie sprawę ze swojej sytuacji.

Takie było życie na Ziemi. Rozproszone, rozdarte, podzielone na kasty lub klasy. Najbogatsi mieszkańcy przypominali przestrzeniowców na urlopie zdrowotnym, podróżowali z ciekawości, ulepszali się na wszelkie dostępne sposoby – włączając w to zmiany płci i specjację – unikając śmierci, wydłużając sobie życie. Wydawało się, że tak nawet było w całych krajach – ale niedużych: Norwegii, Finlandii, Chile, Australii, Szkocji, Kalifornii, Szwajcarii i paru innych. Istniały też kraje walczące, a także patchwork postnarodów, splątanych razem w walce o przetrwanie.

Podniesienie się poziomu morza o jedenaście metrów na Ziemi zrekompensowano budownictwem na terenach położonych wyżej, jednak odbywało się to ogromnym kosztem cierpienia ludzi i nikt nie pragnął, aby

doszło do powtórki. Ludzie mieli dość podnoszenia się mórz. Jakże nienawidzili pokoleń z okresu Rozproszenia, które bezmyślnie dopuściły nie tylko do jednorazowej zmiany klimatu, lecz doprowadziły do nieustannej lawiny, która trwała do dziś i miała trwać jeszcze przez wiele stuleci. Metan uchodził z klatratów, topniejąca wieczna zmarzlina zaczęła uwalniać trzecią wielką, zapewne największą fałę gazów cieplarnianych. Planeta była na najlepszej drodze do przekształcenia się w dżunglę, a perspektywa ta przerażała ludzi tak bardzo, że pojawiły się poważne projekty zastosowania w atmosferze substancji blokujących promienie słoneczne, pomimo katastrofy wywołanej dwieście lat temu przez podobne działania. Coraz mocniejsze było jednak przekonanie, że trzeba będzie coś zrobić i podjąć się geoinżynierii, przynajmniej w mikroskali, a najlepiej globalnie. Intensywne działania w skali mikro i rozważne, nieznaczne w skali makro – nieustannie rozważano za i przeciw takiego podejścia, ale wiele mikroprojektów już się rozpoczęło, ruszyły też prace renowacyjne w skali makro.

Jednym z takich przedsięwzięć były próby spowolnienia topnienia powłoki lodowcowej na Grenlandii. Antarktyda i Grenlandia stanowiły dwa znaczące rezerwuary lodu, jakie pozostały na planecie, a specjaliści mieli nadzieję, że wschodnia Antarktyda przetrzyma wzrost ciepła, a potem powróci chłodniejsze powietrze i ocean. Jeżeli uda się obniżyć poziom  $\text{CO}_2$  do 320 cząsteczek na milion i wyłapać trochę metanu, po czym temperatura opadnie, a czapa lodowa wschodniej Antarktydy przetrwa, i tak jeszcze przez setki lat ocean pozostanie gorący, a poziom morza wysoki – ale będzie to ogromny sukces. W tym przypadku porażka nie wchodziła w rachubę. Ludzie potrzebowali sukcesu. W końcu trzeba będzie – jak twierdziła rosnąca większość – potraktować Ziemię tak jak teraz Marsa i Wenus, ponieważ każda porażka to krok do zguby. Inni powiadali, że jeszcze tylko potrzebny jest kolejny krótki okres lodowcowy. Miliard ofiar, a prawdopodobnie trzy razy więcej, nie

zostało wspomniane, lecz z argumentów wynikało jasno, że zmniejszenie populacji też nie zaszkodzi. Terapia szokowa, ocena sytuacji i selekcja rannych – ludzie, którzy lubili uchodzić za praktycznych, często właśnie takie frazy przytaczali.

Na Grenlandii znajdowała się czapa lodowa znacznie mniejsza niż ta na wschodniej Antarktydzie, ale nie mniej istotna. Jeżeli stopnieje (a stanowiła pozostałość powłoki z poprzedniej epoki lodowcowej i jak na obecne warunki, sięgała bardzo daleko na południe), poziom mórz podniesie się o kolejne siedem metrów. A to zrujnowałoby społeczności i miasta, które przystosowały się do życia na nowych wybrzeżach. Dlatego ludzie walczyli tak rozpaczliwie, aby do tego nie dopuścić.

Ale jak wszystkie pokrywy lodowe, i ta nie tylko topniała – zsuwała się w postaci gór lodowych do morza, proces przyśpieszała wytopiona pod lodem woda, która wymywała zamrożone bloki ze skalnego uścisku. Tak samo działo się na Antarktydzie, ale tam góry lodowe odjamywały się z każdej strony na obwodzie lądolodu, więc niewiele można było zrobić, aby to powstrzymać. Na Grenlandii rzecz się miała inaczej. Lód tutaj przytrzymały wysokie zbocza otaczających gór, przez to zsuwał się do Atlantyku tylko przez kilka wąskich szczelin, niczym przez wyłomy na krawędzi wielkiej wanny. Przez te szczeliny nasmarowany z dołu wodą lód przesunął się z prędkością kilkunastu metrów dziennie, wzdłuż dolin o przekroju w kształcie litery U, wygładzonych przez milenia, a kiedy odłamy uderzały w podnoszące się fale, wąskie leje fiordów kierowały je w głąb morza i nadawały niezwykłą szybkość.

Wcześniej w historii glacjiologii naukowcy zaobserwowali, że jeden z szybko przesuwających się lodowców na Antarktydzie nagle zwolnił. Dokładniejsze badania wykazały, że strumyki wody pod lodem znalazły inny tunel i zmieniły kierunek, dzięki czemu ogromna masa zmarzliny opadła na skałę pod

własnym ciężarem, co znacznie spowolniło ruch. Zainspirowało to również ludzi, którzy teraz próbowali to samo zjawisko wywołać sztucznie na Grenlandii. Testowali kilka metod na jednym z największych i najszybszych tamtejszych lodowców – Helheimie.

• •

Zachodnie wybrzeże Grenlandii okazało się krzepiąco zlodowaciałe, jakby chciało zadać kłam wszystkiemu, co Swan słyszała o topnieniu. Pod brzuchem helikoptera umykało zimowe, okryte krą morze, lód rozbijał się na gigantyczne wielokątne płyty, olśniewająco białe na tle ciemnych fal. Na północnym wybrzeżu oraz na Wyspie Ellesmerea znajdował się rezerwat białych niedźwiedzi. Naturalne kry i góry lodowe dryfowały tu w naturalnych cieśninach lub były gromadzone przez długie elastyczne dmuchane rękawy poruszane przez wiatraki na energię słoneczną. Zatem nie cały arktyczny lód przepadał. Widok był naprawdę piękny – niewyobrażalna czerń oceanu, tak niepodobna do błękitu tropikalnych mórz, i biel lodu. Błękit pozostał tylko na niebie i niekach ze stopioną wodą, rozrzuconych wszędzie na powierzchni zmarzliny, która wznosiła się trzy kilometry nad oceanem oblewającym ciemne, poszarpane skały wybrzeża – jak zręby na krawędzi wanny, więzące lodowce w kotlinie. Z helikoptera było to widać bardzo wyraźnie.

– Czy to nasz lodowiec? – zapytała Swan.

– Tak.

Pilot skierował maszynę do czerwonego znaczka X znaczącego skalisty płaskowyż górujący nad krawędzią lodowca, kilka kilometrów wyżej od rozpadliny, którą odłamki lodu wydostawały się do oceanu. Płaskowyż, jak się okazało, miał dwadzieścia hektarów – bez trudu mieścił się tu obóz, a czerwony krzyż był ogromny. Helikopter wylądował w fantastycznym krajobrazie otoczonym czarnymi, smukłymi iglicami, białym lodem, błękitem



nieba i czernią migoczącą w słońcu wody fiordu.

Kiedy Swan wysiadła z helikoptera, poczuła zaskakująco ostry mróz. Wzdrygnęła się i zadrżała ze strachu – gdy podobny chłód czuło się w kosmosie, oznaczało to awarię i zagrożenie śmiercią. Tutaj jednak powitali ją ludzie, których przerażenie Swan tylko rozbawiło.

Wokół płaskowyzu okryte porostami iglice łamały się na tle nieba. Poniżej w wielkiej niecce lód wyrzeźbił skały niczym umięśnione ciało, zryte poziomymi liniami tam, gdzie głązy ocierały się o granit z taką siłą, że go żłobiły – zdumiewająco mocny nacisk, gdy się nad tym zastanowić.

Powierzchnia lodowca była popękana i biała, z rzadkim niebieskim podcieniem. Chociaż płaszczyznę marzłoci przecinały głębokie rozpadliny, jednak lód wyglądał na dość równy, zwłaszcza w zestawieniu z nierównymi turniami w oddali. Swan zdjęła okulary przeciwsłoneczne, żeby lepiej się przyjrzeć, a potem zamruwała i prychnęła, gdy biały pocisk rozbił się na jej głowie. Musiała się roześmiać – głośno – gdy mrużąc oczy, dostrzegła nadchodzącego Zaszę. Przyjaciel otworzył ramiona, aby ją uścisnąć na powitanie.

– Cieszę się, że tu przyleciałam! Już czuję się lepiej!

– Wiedziałem, że ci się spodoba.

Obóz ulokowano w doskonałym miejscu równiny. W zasadzie bardziej przypominał w swoim galimatiasie małe miasteczko. Po krótkim spacerze i umieszczeniu bagażu w sypialni Zasha zabrał Swan na krawędź nad lodowcem. Dokładnie poniżej lód roztrzaskał się na drugiej ścianie lodowca. Zapewne był to rezultat pompowania ciekłego azotu między lodowiec a skalne podłoże. Część zmarzliny została zatrzymana, ale reszta, choć pogruchotana i spowolniona, posuwała się dalej. Zsuwające się rumowisko zapadało się w głęboką rozpadlinę w lodzie.

– To najnowszy eksperyment – wyjaśnił Zasha. – Inżynierowie chcą

wytopić rozpadlinę w lodzie, która prowadzi w dół. Lód będzie się zsuwał od brzegu i zrobi się miejsce, gdzie chcą wybudować tamę, żeby piętrzył się tu lód.

– A czy ten lód nie przetoczy się po prostu przez tamę?

– Tak by się stało, ale tama będzie wysoka, dorównująca górom otaczającym czapę lodową. Dlatego lód będzie się tutaj piętrzył, aż osiągnie ten sam poziom co reszta Grenlandii, ale nie spłynie do morza.

– Lał – westchnęła Swan zaskoczona. – To jak zbudować nowe zbcze, żeby wypełnić tę szczelinę? Stworzyć je podczas spływania stopionego lodu?

– Właśnie.

– Ale czy wtedy lód z płaskowyżu nie spłynie wzdłuż innych lodowców?

– Jasne, ale jeżeli uda się tutaj, planowane jest zrobienie czegoś podobnego na całym wybrzeżu z wyjątkiem północnego krańca, gdzie mieści się rezerwat polarny, więc lód jest potrzebny. A to, co tam się ześlizgnie do morza, będzie odgrodzone. Inżynierowie próbują spowolnić spływanie lodu. Powinno to utrzymać czapę lodową Grenlandii na miejscu, a przynajmniej zmniejszyć jej topnienie. Przyspiesza je odrywanie się gór lodowych i spływanie zmarzliny do morza. Dlatego właśnie należy uszczelnić wyłomy wokół wyspy! Dasz wiarę?

– Nie – roześmiała się Swan. – Założę się, że to pomysł Korpusu Inżynieryjnego Armii Stanów Zjednoczonych. Powinni pomyśleć o terraformowaniu!

– Można podejrzewać Korpus Inżynieryjny, ale tutaj są sami Skandynawowie. Oras miejscowi Inuici. I chyba pomysł im się spodobał. Choć mówią, że to prowizorka – uśmiechnął się Zasha. – Inuici są wspaniali. Radośni, prostolinijni. Polubisz ich.

Zerknął na Swan.

– Możesz się od nich wiele nauczyć.

– Przymknij się. Chcę tam zejść i lepiej przyjrzeć się skałom pod spodem.

– Domyśliłem się, że o tym wspomnisz.

Wrócili do obozu i usiedli nad kubkami gorącej czekolady w jadalni, przyłączając się do paru geoinżynierów, którzy opisali Swan dokładniej, co robią.

Tama miała zostać zbudowana ze splecionego węglowego nanowłókna, materiału dość podobnego do tego, jaki wykorzystano w konstrukcjach wind orbitalnych. Już teraz w skalnym podłożu wiercono otwory do zamocowania pali jako fundamentów. Bariera wznosić się będzie stopniowo, dzięki robotom przetykającym między słupami długie pasma w tę i z powrotem, jak kanwę na osnowie w tkackich krosnach. Skończona tama będzie na trzydzieści kilometrów szeroka, na dwa wysoka, ale w najgrubszym miejscu nie przekroczy metra. Struktura materiału stanowiła kolejny wytwór bioniki – węglowe włókno ukształtowane jak pajęcza nić, ale splecione jak w muszli.

U stóp tamy na krótko odsłoni się nowa dolina glacialna, która zostanie na nowo pokryta roślinnością, jak inne małe zielone obszary Grenlandii pod koniec epoki lodowcowej, dziesięć tysięcy lat temu. Swan wiedziała, że niekiedy o wysokich ścianach zmieni się ze skalistej szarej pustyni w rozwinięty biom – sama zaprojektowała i zainicjowała powstanie podobnych w alpejskich lub polarnych terrariach. Bez wspomagania taki proces zająłby prawie tysiąc lat, ale dzięki odpowiedniemu ogrodnictwu można go skrócić niemal dziesięciokrotnie; wystarczy tylko dodać trochę bakterii, porostów i mchów, traw i turzyc, a potem skalnych kwiatów i górskich krzewinek. Swan nie tylko już to robiła, ale też uwielbiała tę pracę. W dolinie każdego lata warstwa skały będzie złuszczana, zakwitać będą kwiaty, rozrzucone zostaną nasiona; każdej zimy zaś wszystko radośnie skryje się pod pierzyną śniegu, po czym wzrośnie znowu podczas topnienia wiosną – najbardziej niebezpieczną tutaj porą roku. Rośliny, którym nie uda się przebić, staną się pokarmem lub

nawozem dla tych, które pojawią się po nich i na nich wzrosną. Inuici mogą uzupełniać szatę roślinną, jeśli zechcą, albo pozwolić na dziki rozrost. Można spróbować różnych rozwiązań w różnych fiordach. Swan sama chętnie by się do tego zabrała. – No dobrze, może powinnam zostać Inuitką – mruknęła do Zaszy, spoglądając na rozłożoną mapę. Swan postrzegala Grenlandię jako odrębny świat, taki, jaki lubiła – pusty – ale nikt nie miał jej tego za złe.

Po obiedzie Swan wyszła znowu nad krawędź i stanęła z Zaszą nad wielką rozpadliną pod kopułą nieba. Wiatr hulał nad lodowcem – och, wiatr, wiatr... I lodowiec w dole – na górze biały i pokruszony, na dole niknący w błękitnej głębi... A dalej i niżej gładka biała powierzchnia zanurzała się w falach. U podnóża widać było powstającą ścianę tamy i przesuwające się w tę i z powrotem oraz w górę i w dół maszyny przypominające nieco pająki.

W rzeczy samej tkwały sieć tak gęstą, że twardą jak skała. Zbocza gór, do których przychepione będą boki tamy, znikną wcześniej z powierzchni Ziemi niż ta tama – jak powiedział jeden z inżynierów. A jeżeli kiedyś nadejdzie kolejna epoka lodowcowa, a czapa lodowa na Grenlandii spiętrzy się wyżej i przetoczy nad barierą, ona nadal tam będzie i wynurzy się znowu, gdy nadejdzie cieplejszy okres.

– Wspaniałe – przyznała Swan. – Zatem terraformowanie Ziemi jest możliwe!

– Ale Grenlandia jest bardziej europejska niż Europa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Możesz tu wiele zrobić, ponieważ miejscowych jest niewiele i popierają projekt. Gdybyś próbowała podobnych działań gdzie indziej... – Zasha roześmiał się na samą myśl. – Tę samą technologię można by zastosować w Nowym Jorku, odciąć zatokę i osuszyć ją tak, aby część Manhattanu znowu stała się lądem jak kiedyś. Można osuszyć całe dzielnice, w ten sam sposób, w jaki powstały holenderskie poldery. To nawet nietrudne w porównaniu z innymi przedsięwzięciami. Ale nowojorczyki nie chcą o tym

nawet słyszeć. Lubią swoje miasto takie, jakie jest!

– To dobrze.

– Wiem, wiem. Szczęśliwa powódź. I uwielbiam Nowy Jork po zalaniu. Ale wiesz, o co mi chodzi. Mnóstwo świetnych projektów terraformowania nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Skrzywiła się i skinęła głową.

– Wiem.

Zasza uściskał ją krótko.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało cię w Chinach. To musiało być straszne.

– Było. Nie podoba mi się ta podróż. Mam wrażenie, że udało nam się obrazić każdego Ziemianina.

Parsknął śmiechem.

– Myślałaś wcześniej, że tak nie jest?

– Świetnie – prychnęła. – Może. Ale rzecz w tym, że teraz musimy znaleźć tego, kto zaatakował Terminatora. – Interplan jest organizacją, która posiada bazę danych obejmującą niemal wszystkich ludzi, więc miejmy nadzieję, że zdoła znaleźć napastników.

– A jeżeli nie? Co wtedy?

– Nie wiem. Myślę, że w końcu się uda.

Westchnęła. Nie była pewna, czy zespół Jeana Genette'a zdoła tego dokonać, a wiedziała, że sama na pewno nie da sobie rady. Zasza spojrział na nią uważnie.

– Przestałam się już bawić – wyjaśniła.

– Biedna Stoan.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Tak mi się zdaje. Ale po prostu zajmij się zebraniem gleby i roślin dla Terminatora. Wykonaj swoją pracę i pozwól, niech Genette wykona swoją.

To również nie zadowoliło Swan.

– Nie mogę tego po prostu tak zostawić. Coś się dzieje. To znaczy zostałam porwana, do cholery, a potem mnie przepytывano, głównie o Alex. Powiedziałaś, że ona nie do końca mi ufała. A jeżeli wiem coś, co było ważne, choć mnie wydawało się nieistotne?

– Wypytywano cię o sprawy Wenus?

Swan pogrążyła się w myślach. Wreszcie sobie przypomniała.

– Chyba tak.

Na twarzy Zaszy odmalowało się zmartwienie.

– Na Wenus dzieje się coś dziwnego. Kiedy planeta osiągnie kolejny etap terraformowania, wiele miejsc stanie się otwartych na osiedlanie, a to budzi konflikty grożące załamaniem. I w efekcie wojną o ziemię. Na dodatek te dziwne qostki, których zaczęła szukać Alex. Znajdujemy ich coraz więcej. Zdaje się, że pochodzą z Wenus i bardzo często pojawiają się w pobliżu Nowego Jorku. Jeszcze nie wiemy, co to znaczy. Dlatego postaraj się zebrać nasiona, sadzonki i nawozy. To już nie jest tak łatwe jak kiedyś.

– Trzeba tylko zastąpić to, co mieliśmy wcześniej.

– Niemożliwe. Nie dostaniesz pozwolenia, aby zabrać z Ziemi glebę wysokiej jakości ani nic podobnego. Nasza nowa gleba będzie musiała powstać podobnie jak na wniebowstąpieniach, a ty jesteś specjalistką od tego.

– Ale wniebowstąpienia już mi się nie podobają!

– Teraz to konieczność, nie wybór stylu.

Westchnęła ciężko. Zasha zamilkł, potem wskazał na krajobraz. Prawda, widok lodowca zapierał dech w piersi. Świata nie obchodziły ludzkie melodramaty, tutaj, gdy się patrzyło, nie można było zaprzeczyć. Ale niosło to również ulgę.

– Dobrze. Pomogę z glebą. Ale zamierzam stale kontaktować się z inspektorem Genette em.

Wróciła na Manhattan – wielki i dziwaczny, ale bez Zaszy znacznie mniej urokliwy. Poza tym nic już nie było zabawne.

Znużenie, które pojawiało się pod koniec każdego dnia na Ziemi. Codzienne brzemień życia na Ziemi.

– Jest taka cięż-ę-ężka! – śpiewała sobie Swan, przeciągając ostatnie słowo i powtarzając na melodię starej piosenki. – Ciężka, ciężka, ciężka!

Zwykle kiedy wysiłek, aby ustać w pionie, stawał się zbyt wielki, Swan ubierała swój egzoszkielec i rozluźniała się, pozwalając serwomechanizmom nosić się, prowadzić, prostować. To przypominało masaż. Niech serwomech za nią zatańczy, wmiesza się w tłum. Wspaniały wynalazek! Mechanizm sztywniał pod ciałem, nieważne, w jakiej znajdowało się pozycji, odpowiednio dopasowany i zaprogramowany działał jak marzenie – utrudniał odbudowę kości, przeszkadzał w pełnym dostosowaniu się do życia na Ziemi, ale gdy się czuło wyczerpanie, egzoszkielec był jak znalazł. Ludzie w kosmosie mówili z tęsknotą o przeprowadzce na Ziemię, z radością lecieli na urlop zdrowotny i cieszyli się na samą perspektywę – jednak gdy mijał pierwszy entuzjazm i zachwyty otwartym niebem i powietrzem, pozostawała grawitacja, która powoli, lecz nieuchronnie przyginała człowiekowi kręgosłup. Po roku, gdy gajańskie składniki, czymkolwiek były, zostały uzupełnione, ludzie z ulgą opuszczali atmosferę dla przejrzystości kosmicznych przestworzy i wracali do swojego życia z poczuciem niewyobrażalnej lekkości. Ponieważ Ziemia była tak cholernie ciężka w każdym możliwym znaczeniu. Jakby ją i resztę świata oddzielał ciemny filtr.

Inspektor Genette zapewnił, że wszystko idzie dobrze, lecz raczej nie miał złudzeń, że wkrótce coś się wydarzy. Sprawa była dogłębnie tak samo, jakby zrobiła to Swan, gdyby zajmowała się rozwojem mokradła:

rozpoczynano się pewien proces, ustalało określone warunki i możliwości, a potem się odchodziło i zajmowało czymś innym. Kiedy się wracało, dostrzegało się zmiany. Lecz musiały minąć lata.

Dlatego Swan zajęła się zbieraniem gleby dla Terminatora, doradzała kupcom z Merkurego przy doborze towarów i pewnego dnia mogła stawić się w przedstawicielstwie na Manhattanie i oznajmić:

– Mamy wszystkie nawozy i nasiona. Możemy wracać do domu.

Pojechała do Quito i wsiadła do windy orbitalnej, aby udać się na asteroidę kotwicę. Czuła się poturbowana i pokonana, napadnięta i odtrącona. Pogrzyżyła się w ponurych myślach podczas ponownego słuchania i oglądania „*Satjagrahy*” – wznoszących się dźwięków w finale, prostych dziewięciu nut, powtarzanej raz po raz oktawy. Śpiewała wraz z resztą publiczności i zastanawiała się, co w obecnej sytuacji zrobiłby Gandhi, co by powiedział.

„Sama natarczywość prawdy nauczyła mnie doceniać piękno kompromisu. W jesieni życia zrozumiałem, że ten duch kompromisu jest niezbędnym składnikiem satjagrahy”. Tyle Gandhi w broszurze programu. *Satja* – prawda, miłość, *agraha* – niezłomność, siła. Stworzył nowe słowo. Tołstoj, Gandhi, człowiek przyszłości z opery – wszyscy śpiewali o nadziei i pokoju, o osiągnięciu pokoju i o satjagrasze. *Satjagrahi* byli ludźmi, którzy uchwalili *satjagrahę*. „Przebaczenie jest cnotą odważnych”.

Kiedy Ziemia powoli się oddalała, zmieniając w znajomą błękitno-białą kulę, rozjaśniając przestrzeń swoim majestatycznym pięknem, Swan wsłuchiwała się w sanskryt libretta brzmiący jej w uszach. Poprosiła Pauline o przełożenie powracającego uparcie fragmentu pieśni. Pauline odpowiedziała posłusznie:

– „Dopóki panuje tu pokój, nigdy nie będziemy bezpieczni”.



## SPISY (10)

To za trudne, nie ma czasu, ktoś to wyśmieje;  
Dla ochrony rodziny, w imię honoru, dla dzieci;  
Wybór partnera, czarna owca;  
Grzech pierworodny, wrodzone zło, los, fortuna, szczęście,  
przeznaczenie;  
Lenistwo, chciwość, zazdrość, złość, żądza, gniew, wściekłość,  
zemsta;  
Niech to piekło pochłonie Ponieważ ktoś to może wykorzystać  
Ponieważ  
Nikt nie wie na pewno  
To niczego nie zmienia  
Los zapisany w gwiazdach  
Nikt nie powiedział, żeby tego nie robić  
Jakoś sobie poradzimy  
Utopia nie istnieje  
Zresztą i tak by się nie sprawdziła  
Można na tym trochę zarobić  
Nie wystarczy dla wszystkich  
Ludzie nie doceniają tego, co się dla nich robi Nie zasługują na  
to Są leniwi  
Niepodobni do nas  
Postąpiliby wobec ciebie tak samo, gdyby mogli

## LUTON, CHARON, NIX I HYDRA

Pluton i Charon to układ podwójny planet, połączonych wzajemnym wpływem jak dwa ciężarki hantli zwrócone zawsze tą samą stroną do siebie, ze środkiem grawitacyjnym pomiędzy nimi. Para planet wiruje wokół siebie w płaszczyźnie i orbituje wokół Słońca, doba tutaj trwa nieco ponad sześć ziemskich dni, a rok liczy 248 ziemskich lat. Pluton jest o 10 kelwinów chłodniejszy, niż gdyby nie miał atmosfery, która zamarza w apogeum i sublimuje perigeum, tworząc odwrotny efekt cieplarniany schładzający powierzchnię. Atmosfera jest tak rzadka jak początkowo na Marsie, około 7 milibarów – innymi słowy, niezbyt gęsta. Temperatura na powierzchni wynosi 40 kelwinów.

Charon – o połowę mniejszy niż Pluton – na powierzchni ma temperaturę 50 kelwinów. Najbardziej pod względem proporcji Charon i Pluton przypominają Księżyc z Ziemią – Księżyc ma jedną czwartą wielkości macierzystej planety. Średnica Plutona wynosi 2300 kilometrów, a Charona 1200 kilometrów. Oba ciała niebieskie mają skaliste jądra okryte powłoką zamrożonej wody.

Orbitujące wokół siebie planety obiega para o wiele mniejszych księżyców – Nix i Hydra, 90 i 110 kilometrów średnicy. Nix, o masie 80 000 000 000 000 000 kilogramów głównie lodu i niewielkiej ilości skał, został podzielony i obecnie buduje się z niego cztery statki kosmiczne, które mają zostać wysłane mniej więcej jako grupa, choć zaplanowano, że pierwszy poleci wcześniej, aby przetestować systemy, jakie na nim umieszczono.

Wnętrza statków wypełni typowe terrarium cylindryczne, wirujące wokół własnej osi, aby wytworzyć sztuczny ekwiwalent ciężenia. W terrarium

umieszczono ogromną liczbę gatunków i stworzono kilka biomów. Cztery statki mają utrzymywać ze sobą kontakt podczas podróży, dzięki czemu zminimalizuje się efekt wyspowy – wpływ izolacji na zamkniętą pulę genetyczną, jak na wyspie – możliwa będzie wymiana od czasu do czasu.

Silniki zamontowane na rufie to kombinacja katapulty elektromagnetycznej i silnika na antimaterię. Mają działać przez wieki wraz ze zwierciadłem przyspieszającym „Orion” i w końcu osiągnąć prędkość, przy której zadziałają silniki strumieniowe. Chociaż napęd strumieniowy rozpędzi statki do dwóch procent prędkości światła, naprawdę niesamowicie wysokiej, jak na możliwości stworzonego przez ludzi pojazdu kosmicznego, pozwoli to jedynie na skrócenie czasu podróży do dwóch tysięcy lat. Ponieważ gwiazdy są daleko. A najbliższa nie ma planet podobnych do Ziemi.

To przykre, ale prawdziwe. Trzeba to powiedzieć: gwiazdy istnieją poza zasięgiem człowieka, poza ludzkim czasem. Żyjemy w małej bańce ciepła otaczającej naszą gwiazdę centralną, a poza granicami tego obszaru znajduje się niepojęta otchłań. Układ Słoneczny to nasz jedyny dom. Dotarcie nawet do najbliższej gwiazdy z największą prędkością, jaką uda się osiągnąć, zajmie człowiekowi całe życie albo dłużej. Mówi się „cztery lata świetlne” i to złożenie słów „lata” i „cztery” wprowadza w błąd – trudno sobie wyobrazić, jak wielkie odległości pokonuje światło w ciągu roku. Wystarczy pomyśleć o prędkości 299 792 458 metrów na sekundę albo 186 282 mil na sekundę – jak komu wygodniej. A teraz wyobraźmy sobie, że z tą prędkością światło w godzinę pokonuje 671 milionów mil. W ciągu dnia daje to 173 jednostki astronomiczne, a jednostka astronomiczna to odległość Ziemi od Słońca, czyli 93 miliony mil. Światło w ciągu dnia zdąży przemierzyć tę drogę 173 razy. A teraz przemnożmy to przez liczbę dni składającą się na cztery lata. Tyle czasu wymaga dotarcie z prędkością światła do najbliższej gwiazdy. Lecz ludzie potrafią rozpędzić się tylko do dwóch procent tej prędkości (do dziesięciu

milionów mil na godzinę!) – pokonanie dystansu czterech lat świetlnych zajmie nam ponad dwieście lat ziemskich. A najbliższe gwiazdy z planetami podobnymi do Ziemi znajdują się co najmniej dwadzieścia lat świetlnych od Słońca.

Pokonanie Drogi Mlecznej zajmuje światłu setki tysięcy lat.

Światło z Galaktyki Andromedy potrzebuje 2,5 miliona lat, aby dotrzeć do naszej. A w skali wszechświata Andromeda jest położona bardzo blisko Drogi Mlecznej, w tym sektorze kosmosu to nasza sąsiadka.

Tak. Nasza mała bańka ciepła, nasze żywe planetarium, nasza wyspa, nasz Układ Słoneczny, nasze palenisko i dom, ciasne i ogrzane ciepłem Słońca. I statki budowane z Nix. Wyślemy je do gwiazd – niczym nasiona dmuchawca odlatujące z wiatrem. Piękne.

Nigdy więcej już ich nie ujrzymy.

# PAULINE I REWOLUCJA

Swan nadzorowała przewóz gleby i nasion aż do Merkurego. Zabrała się pierwszym możliwym transportem – trafiła na terrarium tylko częściowo wykończone. Nie dało się jeszcze powiedzieć, jak będzie wyglądało po zakończeniu. Na razie było pustym cylindrem wypełnionym powietrzem, z surowymi skałami, linią słoneczną i ogrodzonymi wrzecionowatymi rusztowaniami przypominającymi małą gaj, rozrzuconymi na wewnętrznej krzywiźnie wokół betonowych wzmocnień poszycia. Swan popatrzyła po ludziach wokół siebie, stojących na ogromnym stalowym rusztowaniu wieżowca. Nikogo tu nie знаła. Wtedy uświadomiła sobie, że ten lot to błąd – nie tak wielki jak lot ślepoliniowcem, ale błąd.

Jednak rozważania o wygodzie wydały się teraz trywialne. Wspięła się po metalowych schodach, mijając kolejne kondygnacje, aż dotarła do otwartego dachu drapacza chmur sięgającego niemal linii słonecznej. Na tej wysokości panowała niewielka grawitacja. Swan popatrzyła w dół, w górę, wokół, na zamkniętą ciemnymi ścianami przestrzeń pociętą rusztowaniami i upstrzoną nagimi skałami. Budynek przypominał jedyny oświetlony zakątek w zamku olbrzyma. Parter wieżowca znajdował się kilka kilometrów niżej, a ziemia za linią słoneczną tylko trochę dalej. Gotyckie ruiny, w których schronili się mysi ludzie skuleni w poszukiwaniu ciepła przy ostatniej świecy. Nie tak było za dawnych czasów, kiedy prawie wydrążony cylinder był już niemal gotowy

do zasiedlenia i zdradzał, czym się stanie. I tyle zostało z młodości Swan – cała cywilizacja tak naprawdę była podobna do tego terrarium: źle zaplanowana, niekompletna...

Oparła łokcie o poręcz, by zachować równowagę w słabym ciężeniu. Wsparła podbródek na złożonych rękach i spoglądała na surową panoramę.

– Pauline, powiedz mi o rewolucji – nakazała.

– Jak długą wersję?

– Zacznijmy od krótkiej.

– Rewolucja, słowo pochodzące z łaciny, od *revolutio*, czyli obrót. Oznacza szybką zmianę w układzie sił politycznych, często osiągniętą przemocą. Kojarzy się też z udanym buntem niższych klas.

– Przyczyny?

– Przyczyn rewolucji upatruje się czasami w czynnikach natury psychologicznej, jak niezadowolenie i niedola, czasami czynnikach socjologicznych, szczególnie obejmujących ustroje oparte na nierównej dystrybucji dóbr materialnych i kulturowych, a także czynnikach biologicznych – wtedy grupy walczą o ograniczone zasoby pozwalające im na zaspokojenie niezbędnych do życia potrzeb.

– Czy te różnice nie są w zasadzie aspektami tego samego? – zapytała Swan.

– To ujęcie multidyscyplinarne.

– Daj mi kilka przykładów. Wymień najślawniejsze rewolucje.

– Angielska wojna domowa, rewolta amerykańska, rewolucja francuska, bunt na Haiti, powstanie tajpingów, rewolucja październikowa, rewolucja na Kubie, rewolucja perska, rewolucja marsjańska, bunt Ligi Satuma...

– Wystarczy – przerwała Swan. – Powiedz mi, dlaczego się zdarzyły.

– Nauce nie udało się tego wyjaśnić. Nie ma żadnych historycznych prawidłowości. Nagłe zmiany układu sił politycznych pojawiały się bez

przemocy, co wskazuje, że rewolucja, reforma i represje zależą od zbyt wielu czynników lub są zbyt szerokimi pojęciami do zdefiniowania za pomocą prostych analiz.

– No, dawaj – zaproponowała Swan. – Śmiało! Na pewno napisano coś, co możesz przytoczyć. Albo możesz sama coś wymyślić!

– Byłoby ciężko, biorąc pod uwagę moje niewystarczające oprogramowanie. Z twoich słów wynika, że interesują cię tak zwane wielkie rewolucje, nazywane tak ze względu na skalę transformacji ekonomicznych, jakie przyniosły, zmiany społeczne i polityczne, a szczególnie zmiany ustrojowe. Albo może chcesz się więcej dowiedzieć o rewolucjach społecznych, odnoszących się do zmian w światopoglądzie i technice. Do takich zalicza się przełom górnego paleolitu, rewolucję naukową, rewolucję przemysłową, seksualną, biotechnologiczną, Accelerando jako złożenie wielu rewolucji, kosmiczną diasporę, rewolucję płciową, rewolucję związaną z długowiecznością i podobne.

– Istotnie. A co z sukcesem? Możesz przedstawić listę koniecznych i podstawowych czynników zapewniających sukces rewolucji?

– Historyczne wydarzenia zwykle są opisane zbyt stronniczo, aby można je było ująć w ramy tylko czystej logiki, co zapewne miałaś na myśli, gdy wprowadziłaś określenia „konieczne” i „podstawowe”.

– Spróbuj jednak.

– Historycy mówią o masie krytycznej społecznego niezadowolenia, osłabieniu władzy centralnej, utracie hegemonii...

– To znaczy?

– Hegemonia oznacza, że jedna grupa dominuje nad innymi bez uciekania się do czystej siły, bardziej jak paradygmat nieświadomego godzenia się na hierarchię władzy. Jeżeli paradygmat zaczyna być kwestionowany, zwłaszcza w sytuacji pożądania dóbr materialnych, utrata hegemonii może nastąpić

nieliniarnie, zaczynając się rewolucją tak nagłą, że nie ma czasu na nic poza symbolicznym użyciem przemocy, jak w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, gdy odbyły się aksamitna, cicha, jedwabna i śpiewająca rewolucja.

– Była śpiewająca rewolucja?

– Państwa nadbałtyckie, Litwa, Estonia i Łotwa, nazwały swoje oderwanie się od Związku Radzieckiego w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku śpiewającą rewolucją od zachowań demonstrantów na placach miast. To prowadzi do jednego wniosku: istotnym czynnikiem są masy ludzi. Jeżeli wystarczająco wielu obywateli wyjdzie na ulice i złączą się masowe demonstracje, rząd nie ma żadnej dobrej obrony. „Trzeba zdymisjonować tych ludzi i wybrać kolejnych”, jak mówił Brecht. To często jest niemożliwe, trzeba ich obalić. Albo zaczyna się wojna domowa.

– Na pewno literatura na temat rewolucji nie może być tak powierzchowna – stwierdziła Swan. – Po prostu cytujesz przypadkowe fragmenty. Masz umysł jak pierścienie Saturna, szeroki na milion mil i płytki na cal.

– Katachreza i staroświeckie jednostki miary wskazują na ironię lub sarkazm. W twoim przypadku to zapewne sarkazm...

– ...odparła sarkastycznie Pauline! Rozwijasz się!

– Spacer kwantowy jest z definicji przypadkowy. Ulepsz i zaktualizuj mój program, gdy tylko uznasz, że trzeba. Słyszałam, że drugi algorytm Wanga jest bardzo dobry. Trochę pryncypiów w generalizowaniu byłoby bardzo przydatnych.

– Wróć do przyczyn rewolucji.

– Ludzie lgną do idei, które tłumaczą ich sytuację i zapewniają psychologiczną rekompensatę za pozycję w ustroju klasowym ich czasów. Gdy w społecznościach wzrasta poczucie wyłączenia, albo próbują je wyjaśnić, albo odrzucają jako nieważne, ponieważ to głosi ideologia, która



usprawiedliwia nierówność jako część większego projektu. Zatem często działają wbrew swoim najlepszym interesom, ulegając doktrynie i w ten sposób usprawiedliwiają swoją podległość innym. Zaprzeczenie i nadzieja odgrywają w tym znaczącą rolę. Takie kompensujące ideologie stanowią część hegemonicznego wpływu imperiów na poddanych. Zdarza się to we wszystkich ustrojach klasowych, to znaczy we wszystkich kulturach znanych historii, od pierwszych cywilizacji rolniczych i miejskich.

– Wszystkie miały ustroje klasowe?

– Mogły istnieć społeczeństwa bezklasowe przed neolitycznym przełomem agrokulturowym, ale dane wskazują, że nasze pojęcie o takich kulturach opiera się głównie na spekulacjach. Wiadomo tylko na pewno, że po epoce lodowcowej nastąpił przełom i powstało rolnictwo, co stanowiło jedną z tych wielkich rewolucji. Podział na klasy został utrwalony przez aparat władzy. Na całym świecie niezależnie od siebie wykształciły się cztery poziomy, klasy: kapłani, wojownicy, rzemieślnicy i rolnicy. Większość naukowców zgadza się, że często grupy te podlegały władzy świętego monarchy, króla uznawanego za boga. Było to bardzo użyteczne dla kapłanów i wojowników oraz sprzyjało władzy mężczyzn nad kobietami i dziećmi.

– A zatem nigdy nie było społeczeństwa bezklasowego.

– Zapewne bezklasowe ustroje uchwalano po niektórych rewolucjach, ale zazwyczaj byli w nich przywódcy, a oni szybko dawali początek nowym klasom rządzącym. Obywatele państw po-rewolucyjnych przyjmowali różne role w społeczeństwie, ale role te obdarzano zróżnicowanym szacunkiem, co prowadziło do wykształcenia się nowej hierarchii, zwykle dość szybko, w ciągu najwyżej pięciu lat.

– Zatem wszystkie kultury w historii opierały się na ustroju klasowym.

– Czasami twierdzi się, że na Marsie istnieje teraz ustrój bezklasowy, ponieważ w całym społeczeństwie siła ekonomiczna i polityczna została

wypoziomowana, rozłożona równo na całą populację. – Ale Mars jest teraz tyranem. W perspektywie całego Układu Słonecznego populacja Marsa to klasa wyższa.

– To samo ludzie mówią o Mondragonie.

– I obie dobrze wiemy, jak świetnie mu się powodzi.

– W porównaniu z sytuacją na Ziemi można powiedzieć, że to wielki sukces, w pewnym sensie nawet rewolucja, jeszcze większa niż ta marsjańska.

– Interesujące. Zatem... – Swan zamyśliła się na chwilę. – Stwórz przepis na udaną rewolucję.

– Weź wielką masę niesprawiedliwości, urazów i frustracji. Postaw taki tłum pod słabym lub upadającym hegemonem. Domieszaj nędzę na pokolenie lub dwa, dopóki nastroje nie zaczną wrzeć. Dorzuć destabilizujące okoliczności do smaku. Drobne wydarzenie, przypadek do katalizy całości. Gdy tylko główny cel rewolucji zostanie osiągnięty, ochłódź natychmiast, aby ustalić nowy porządek.

– Bardzo ładnie. To naprawdę bardzo kreatywne. A teraz poproszę proporcje do tego przepisu. Chcę szczegółów, potrzebne mi liczby.

– Odsyłam cię do klasycznego dzieła „*Szczęście mierzalne*” van Praaga i Ferrer-i-Carbonell, które zawiera matematyczne analizy pomocne przy szacowaniu i ocenie składników sytuacji społecznych. Znajdziesz tam również równania satysfakcji, co w połączeniu z hierarchią potrzeb Masłowa może być zastosowane do oceny obecnie istniejących warunków w badanych jednostkach politycznych, na podstawie graficznej interpretacji indeksu Giniego i wszystkich istotnych danych, aby określić rozbieżności między celem a normą, po których można poznać, czy rewolucja zdarzy się w przewidywanych punktach przecięcia, czy też będzie bardziej nieliniowa. Opracowanie van Praaga i Ferrer-i-Carbonell powinno się również przydać do wyobrażenia sobie ustroju politycznego, jaki ma być celem rewolucji, oraz zmian, jakie są do

jego osiągnięcia potrzebne. A jeżeli chodzi o sam proces, interesującym źródłem zawsze będzie „*Rewolucja Francuska*” Thomasa Carlylea.

– Tam są liczby?

– Nie, ale Carlyle ma hipotezę. A w „*Szczęściu mierzalnym*” są liczby. Synteza wydaje się możliwa.

– Co to za hipoteza, tak w skrócie?

– Ludzie są głupi i źli, zwłaszcza Francuzi, i zawsze łatwo dają się uwieść władzy i popaść w szaleństwo, zatem to szczęście, że w ogóle istnieje jakikolwiek porządek społeczny, a im twardszy ustrój, tym lepszy.

– No dobrze. A synteza?

– Najlepszy interes własny leży w osiągnięciu powszechnego dobrobytu. Ludzie są głupi i źli, ale chcą osiągnąć określone korzyści na tyle mocno, aby na nie pracować. Kiedy dążenie do zaspokojenia własnych potrzeb będzie postrzegane jako doskonale izomorficzne wobec uniwersalnego dobrobytu, źli ludzie będą robić to, co potrzebne do uzyskania powszechnego dobrobytu.

– Przeprowadzą nawet rewolucję.

– Tak.

– Ale nawet jeśli źli, lecz mądrzy ludzie będą czynić ogólne dobro dla własnych korzyści, nadal pozostaną głupcy, którzy nie zdołają dostrzec tej obustronnej izomorficzności, na dodatek będą również źli głupcy, którzy wszystko tylko zepsują.

– Właśnie dlatego potrzebna jest rewolucja.

Swan wybuchła śmiechem.

– Pauline, jesteś zabawna! Naprawdę nieźle ci idzie. Wydaje się, jakbyś naprawdę umiała myśleć!

– Badania wskazują, że większość myślenia to rekombinacja wcześniejszych myśli. Przypominam ponownie o moim oprogramowaniu. Lepszy zestaw algorytmów byłby bez wątpienia pomocny.

- Dostałaś już hiperobliczeniowość rekursywną.
- To zapewne nie jest ostateczne rozwiązanie w tej dziedzinie.
- Uważasz, że robisz się inteligentniejsza? To znaczy mądrzejsza? Chodzi mi o to, że stajesz się bardziej świadoma?
  - To bardzo ogólne terminy.
  - Oczywiście! Odpowiedz. Jesteś świadoma?
  - Nie wiem.
  - Interesujące. Potrafisz zdać test Turinga?
  - Nie potrafię zdać testu Turinga. Czy chciałabyś zagrać w szachy?
  - Ha! Gdybyż to tylko były szachy! Chyba właśnie tego szukam. Gdyby to były szachy, jaki następny ruch powinnam wykonać?
    - To nie są szachy.

## WYCINKI (11)

Błędy popełnione w pośpiechu Accelerando wpłynęły na późniejsze okresy. Jak w biogeografii wysp, gdzie rozrzucone rzadko enklawy i schronienia zawsze ulegają gwałtownym zmianom, a nawet specjacji, widać...

...takim błędem był brak zgodnego i powszechnego ustalenia ustroju w przestrzeni kosmicznej. Stanowiło to powtórkę z sytuacji na Ziemi, gdzie nigdy nie pojawił się globalny system władzy. Bałkanizacja okazała się procesem uniwersalnym, a jednym z jej aspektów było cofnięcie się do ustroju plemiennego, z typowym dla tego systemu traktowaniem tych, którzy nie należeli do plemienia, jako nie ludzi, czasem z przerażającymi skutkami. Nie stanowiło to dobrej struktury emocjonalnej dla cywilizacji rozprzestrzeniającej się w Układzie Słonecznym i dzierżącej coraz większą...

...kolejnym błędem był po prostu pośpiech. Podczas szybkiego terraformowania Marsa spalono dziewięć procent jego powierzchni. Wenus, Tytan i księżyc Jowisza zostały zasiedlone jeszcze przed podjęciem działań zmierzających do terraformacji, co wyeliminowało niektóre metody i niezwykle skomplikowało cały proces. W medycynie gwałtowny rozwój kuracji wydłużających życie oraz genetycznych i chirurgicznych modyfikacji ciała sprawił, że wszyscy ludzie w kosmosie i wielu na Ziemi stali się zwierzętami doświadczalnymi. Pośpiech okazał się główną cechą Accelerando i po tym okresie można było podjąć tylko próby minimalizacji katastrof

podczas Ritardando, chwycić byka za rogi i starać się naprawić wszystko podczas jazdy...

...przepiękne terraria w tysiącach wirujących geod wyskoczyły z puszek Pandory. Nigdy nie będzie ich można zebrać na powrót...

# SWAN W DOMU

Swan dotarła na orbitę Merkurego. Wielka skała obracała się w dole, czarna jak węgiel z wyjątkiem półokręgu słonecznego światła lśniącego na krawędzi jak stopione szkło. Prom zniżył się do kosmoportu w mroku, stamtąd Swan przeszła na platformę i na Terminatora w trakcie odbudowy. Ujrzała miasto – nowe i surowe.

Pod wieloma względami niewiele się różniło od poprzedniego Terminatora. Użyto drukarek 3D do reprodukcji mebli. W jej pokoju panował nieład – chaotycznie wrzucone sprzęty, puste ściany. Miała wrażenie, że pomieszczenie przypomina to zrekonstruowane w Pompejach. Jednak na zachodzie, w połowie szerokości miasta, gdzie znajdować się powinny farmy i park – tam wszystko było jeszcze surowe. Surowe, surowe, surowe. Swan widziała to, idąc po Wielkich Schodach z domu do galerii. W mieście nie rośło ani jedno drzewo, widoczne były jeszcze fragmenty stalowych rusztowań i plastikowych kształtek oraz stopionej pumeksowej skały. Do Swan wróciły wspomnienia – z czasów, gdy budowała terraria, gdy patrzyła na żarzące się miasto, gdy przechodziła przez park z huśtawkami i małym gajem, gdy była małą dziewczynką. Nigdy wcześniej nie pojawiły się w takiej kolejności i kompozycji. Swan poczuła się, jakby stała się kimś nowym.

Chyba każdy w mieście przeżył coś podobnego. Był to tydzień pełen emocji i wrażeń, powitań z dawnymi sąsiadami, znajomymi, przyjaciółmi,

Mqaretem. Jednego dnia przeprowadzono nawet krótką ceremonię pogrzebu starego miasta. Do przygotowania matrycy gleby potrzebna była mieszanka złożona ze skruszonej miejscowej skały wzbogaconej odżywczymi składnikami na aerożelu. Na tak przygotowane podłoże można było dopiero kłaść warstwę próchniczą z doliny w Kalifornii, jedną z najlepszych na Ziemi. Jednak najpierw trzeba było rozsypać podkład, dlatego użyto go w ceremonii pogrzebowej – rozrzucono go z balonów, jak wcześniej prochy Alex i wielu innych, przy otwartych Wrotach Świt i słonecznych promieniach padających poziomo i rozświetlających wirujące tumany pyłu.

Po uroczystości większość mieszkańców Terminatora powróciła do swoich zajęć sprzed katastrofy, aby miasto mogło funkcjonować, w trakcie gdy wyspecjalizowany zespół zajmował się odbudową tego, czego jeszcze nie zrekonstruowano lub nie naprawiono. Trwały też niekończące się dyskusje o odtwarzaniu i zmianach, o wyższości lub niższości nowego nad starym. Swan opowiedziała się za nowością i rzuciła z pasją i wdzięcznością w wir pracy nad farmami i parkiem. Ziemia była taka... taka... nie wiedziała nawet, „ jak to określić. O wiele lepiej było wrócić do domu, wrócić do swojego życia i urabiać sobie ręce po łokcie.

Farmy miały pierwszeństwo z oczywistych względów i zrekonstruowano je najszybciej jak się dało. Dla różnych działów zastosowano różne zasady, wiele razy korzystając z ulepszeń agrokultur wynalezionych przez minione sto lat, czyli po tym, jak zbudowano pierwszego Terminatora. Pojawiło się zatem wiele nowych gatunków uprawianych częściej na glebie, nie hydroponicznie jak wcześniej. Ta nowa wersja mogłaby szybko okazać się niewystarczająca do wyżywienia populacji miasta i słońcołazów, dlatego już teraz dodano nowe moduły. Nowe gleby, jakie zastosowano, w większości miały strukturę podobną do gąbczastych matryc ze składnikami odżywczymi, co pozwalało uprawom szybko się ukorzeniać i rosnąć, ułatwiało to także bardzo dokładne



nawadnianie. Agrotechnika również poszła naprzód, ulepszono manipulację cyklem dobowym roślin do tego stopnia, że rosły i wydawały plony trzydzieści razy szybciej niż naturalnie. Roślinom dzięki inżynierii genetycznej wszczepiono też szybszy wzrost, więc teraz nietrudno było zbierać rocznie wiele plonów, przy odpowiednim i koniecznym nawożeniu związkami mineralnymi i odżywczymi. Gleba musi być odpowiednia, aby zapewnić warunki do uprawy.

Swan udzielała konsultacji, tylko gdy chodziło o modyfikatory dla gleby, ponieważ dawno straciła kontakt z resztą zagadnień. Przyłączyła się do grupy młodych ekologów zajmujących się parkiem i farmą, słuchała ich wyjaśnień oraz najnowszych teorii, a potem poświęciła czas organizmom wiążącym azot – bakteriom brodawkowym z rodzaju Frankia, roślinom strączkowym, olchom, transgenicznym roślinom motylkowym i innym gatunkom, które najlepiej zmieniały azot w azotany. Nawet ten etap procesu przygotowania gleby przebiegał teraz o wiele szybciej niż dawniej. Dlatego nie minęło wiele miesięcy, a Swan szła wzdłuż długich rzędów, w których rosły bakłażany, fasola, pomidory i ogórki. Każdy liść i pnącze, gałąź i owoc wznosiły się do linii słonecznej i lamp, ukazując swoje charakterystyczne kształty, krzepiące w swojej normalności. Farma stanowiła rodzinę Swan, część jej życia, ale obecne pokolenie młodych ludzi przychodziło do niej i zadawało pytania dotyczące tamtych lat – dlaczego właśnie w ten sposób, dlaczego tak? Masz jakąś teorię? Swan próbowała znaleźć prawdopodobne wyjaśnienia, kiedy nie mogła sobie przypomnieć rzeczywistych powodów. Głównie chodziło o rozplanowanie przestrzeni i sposobów działania. Mogło być inaczej? Ograniczenia materiałowe, trudności budżetowe, choroby, ale rzadko liczyła się efektywność, skuteczność jako podstawa projektu.

Gdy tylko farmy zaczną dawać plony, a drzewa w parku oraz inne rośliny urosną, co szybko nastąpi, z terrariów sprowadzi się zwierzęta. Tym razem

procesem, za pomocą którego tworzono park, było wniebowstąpienie. Nie był to pomysł Swan, jej samej się nie podobał, ale milczała i tylko obserwowała powstawanie biomu, który miał stanowić śródziemnomorsko-australijską kombinację. Ale przyjemnie było zobaczyć zwierzęta wężące wśród roślin, pasące się i rozglądające za miejscem do odpoczynku lub na schronienie. Kangury i magoty gibraltarskie, rysie i dingo. Eukaliptusy i dęby korkowe. Do Mondragonu należało wiele terrariów, które przesłały zwierzęta, aby pomóc Terminatorowi.

Swan lubiła przyglądać się ptakom. Pojawiły się sójki, kraczące jak małe wrony i rozdrapujące glebę w poszukiwaniu robaków i dżdżownic. Niektóre spoglądały na nią uważnie, jakby oceniając ją według ptasich kryteriów, których zapewne nie spełniała. Tylko nie zaczynajcie do mnie mówić po grecku – myślała. Tego nie zniosę.

Ptaki patrzyły na nią w sposób, który przypominał Swan inspektora Genette'a.

Czasami po pracy szła na bukszpryt miasta i stała, przyglądając się, jak Terminator ślizga się na szynach, a na horyzoncie spośród gwiazd wznoszą się wzgórza. Wzgórza na Merkury zawsze były albo całkiem czarne, albo białe. Nieustanna zmiana z czerni do bieli (tylko w wyjątkowych przypadkach odwrotnie) czyniła krajobraz ruchomym, jej pozycję częścią heraldycznego wizerunku. Płynęła na czele w historycznym momencie jak figura dziobowa na dawnych galeonach – tyle że statek posuwał się po torach widocznych na horyzoncie, kursem wytyczonym przez konieczność. A jeżeli się zatrzyma – spłonie na popiół. Pod torami zaś przebiegał straszny tunel, niczym pępowina grzechu pierwotnego. O, tak – oto świat Swan: podróż w mrok i gwiazdy po torach, których nie można łatwo opuścić. Była obywatelką Terminatora, żyjącą w maleńkiej bańce zieleni sunącej przez czarno – biały pejzaż.

Wieczorem po pracy Swan wracała do pokoju na czwartej terasie, licząc od

góry Ściany Świtu. Przebierała się i wychodziła do restauracji lub do mieszkania Mqareta.

– Dobrze znowu być w domu – powiedziała kiedyś do niego. – Dzięki Bogu, odbudowaliśmy miasto.

– Musieliśmy – odparł Mqaret.

– A co z twoją pracą? Nie straciłeś swoich badań?

Potrząsnął głową.

– Wszystko udało się ocalić. Straciliśmy tylko bieżące eksperymenty, nic więcej. Ale podobne doświadczenia przeprowadzane są w wielu innych laboratoriach.

– I te inne laboratoria pomogą ci podjąć prace badawcze, jak terraria pomogły ze zwierzętami?

– Tak. Mamy ubezpieczenie w Mondragonie, ale ludzie okazali się bardziej hojni. Wiele musieliśmy odzyskać i zgromadzić sami, jednak tak to już jest.

– A w ogóle jak ci idzie? Dowiedziałeś się czegoś, co może się przydać?

– Tak, na pewno czegoś, co się przyda.

– A czegoś o tych organizmach z Enceladusa? Wspomniałeś chyba, że możemy się o nich dowiedzieć czegoś ważnego.

– Wygląda na to, że znajdują się głównie w ludzkich jelitach i żywią się szczątkami materii organicznej, detrytusem, który tam znajdują. W takim stanie nie ma ich wiele, egzystują jak inne drobnoustroje w przewodzie pokarmowym. Ale jeżeli pojawi się więcej resztek, drobnoustroje z Enceladusa zaczynają się namnażać i oczyszczają przewód pokarmowy, a kiedy nadmiar znika, umierają i ich liczba spada. Bardzo małe drapieżniki z Enceladusa również tam są. Razem funkcjonują jak dodatkowe limfocyty T. Ich działania nawet nie podniosły ci za bardzo gorączki.

– Ale nadal uważasz, że źle zrobiłam, przyjmując obce formy życia. Mqaret przewrócił oczyma.

– Owszem, moja droga. Ale to ze względu na ciebie i innych głupców, którzy połąkali obce formy życia, dowiedzieliśmy się więcej, niż moglibyśmy tradycyjnymi metodami. I chyba wszystko dobrze się ułożyło. Choćby dlatego, że przeżyłaś naprawdę paskudną dawkę promieniowania, i to zapewne dzięki twoim małym obcym, którzy pomogli w oczyszczaniu organizmu. A to była jedna z najgorszych form napromieniowania – nagłe i silne, po którym zostało mnóstwo martwych komórek w organizmie.

Swan popatrzyła na niego, próbując zrozumieć, co znaczą jego słowa. Przez długi czas nie chciała przyjąć do wiadomości, że była tak głupia, aby zjeść obce drobnoustroje. Unikanie myślenia o tym, co zrobiła, doprowadziła na wyżyny sztuki. Mogła popaść w szaleństwo – słyszeć ptaki mówiące po grecku... Swan wiedziała, że tak się zdarzało. Ale żeby wynikło coś dobrego ze zjedzenia obcych...

– To właśnie zobaczyłeś w mojej krwi?

– Tak, tak sądzę.

– No... – westchnęła. – Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Mqaret spojrzał na nią uważnie.

– Założę się. – Z niechęcią potrząsnął głową. – Chwiejemy się nad otchłanią, moja droga. Na pewno nie chcesz teraz spać.

– Czyli jak zawsze, na krawędzi, prawda?

– Nie miałem na myśli śmierci. Chodziło mi o otchłań życia. Zastanawiam się, czy nie jesteśmy blisko przełomowego odkrycia dotyczącego naszych terapii wydłużających życie. Czegoes, co pchnie nas naprzód. Gestalt. I to wkrótce. Tak wiele musimy jeszcze zrozumieć. Ale... Może uda się przedłużyć życie do tysiąca lat.

Spoglądał w twarz Swan, pozwalając, aby dotarło do niej to, co powiedział. Chciał się upewnić, że w pełni pojmie znaczenie. Skinęła głową.

– Nie dożyję, żeby to zobaczyć – podjął. Myślę, że rozwiązanie niektórych

problemów i wątpliwości potrwa jeszcze z pięćdziesiąt lat. Ale ty... Ty powinnaś o siebie dbać.

Uściskał Swan, ostrożnie, nawet nieco czujnie, jakby mogła się złamać albo dotyk groził zatruciem. Ale spojrzenie pozostało ciepłe. Dziadek ją kochał i martwił się bardzo. I przyznał, że jej brawura pomogła w odkryciu czegoś naprawdę użytecznego. Trochę jak cud przemiany w róże u świętej Elżbiety – przyłapanej na gorącym uczynku, ale ocalonej dzięki metamorfozie.

Swan czuła się zakłopotana.

## WYCINKI (12)

Izomorfizm pojawia się we wszystkich naszych systemach myślenia. Dostrzega się na przykład takie wzorce:  
podmiotowe, między podmiotami, przedmiotowe;  
egzystencjalne, polityczne, fizyczne;  
literackie, historyczne, naukowe;  
i rodzi się wówczas pytanie, czy to nie różne sposoby na wyrażenie tego samego?

Czy dychotomie: apollinijski – dionizyjski lub klasyczny – romantyczny wyrażają na różne sposoby to samo?

Czy mogą być one fałszywie izomorficzne, jak „siedem grzechów głównych” starzenia, które celowo przywoływał chrześcijański system religijny, chociaż nie miały nic wspólnego ze starzeniem?

Czy izomorfizm jest tym samym co zgodność? Oczekiwano i wiązano nadzieje, że „model standardowy” w fizyce będzie fundamentem wszystkich innych dyscyplin, że ich odkrycia będą zgodne z tymi podstawami. Zatem fizyka, chemia, biologia, antropologia, socjologia, historia i sztuka miały się przenikać i łączyć jak jedna zgodna dziedzina wiedzy.

Fizyka stworzyła szkielet pod badania nad zrozumieniem życia, rozwinęła nasze pojmowanie badań nad ludzkością, człowieczeństwem, sztuką – do tego doszliśmy. Jaka jest zatem całość? Jak możemy ją nazwać? Czy możemy

badac? Czy historia, filozofia, kosmologia, nauki ścisłe i literatura, każda z dziedzin, czy mogą tworzyć całość, nieposzerzalny horyzont, za którym nie będziemy mogli myśleć? Czy dominująca dyscyplina może być określona przez kogoś, kto ma wizję całości i twierdzi, że ogarnia resztę?

I czy to znaczy, że reszta jest w błędzie?

Czy całość jest utrwaloną praktyką, wyznaczającą, co robimy ze sobą i swoim światem? Czy też całość nie istnieje, jest tylko zbieżność? Zbieżność wszystkich obszarów myślenia z naszymi działaniami?

Podczas rozwoju nauk te zagadnienia były niezwykle kłopotliwe, a nasze dyscypliny przyjęły różne stanowiska. Niektóre dziedziny skupiły się wyłącznie na ludzkich problemach. Perspektywa została ograniczona celowo, jako poparcie stanowiska, że ludzkie życie powinno być podmiotem badań dla ludzkich istot, dopóki nie osiągną na tyle wysokiego poziomu rozwoju, aby mogły podjąć wysiłek myślenia o innych sprawach.

Niektórzy fizycy i przedstawiciele innych dziedzin odpowiedzieli na to stwierdzeniem, że wiele pozahumanistycznych dziedzin ma decydujący wpływ na ludzkie osądy i sprawiedliwość, zatem prawdziwy humanizm narodzić się może z włączenia do rozważań fizyki, biologii, kosmologii oraz badań nad świadomością. *Sprawiedliwość* pojmowana była jako częściowo stan świadomości, a częściowo fizyczna i ekologiczna zależność między organizmami symbiotycznymi.

Gdyby – spirali się zwolennicy poglądu antropocentrycznego – skupienie się na pozaludzkich dziedzinach mogło pomóc w osiągnięciu przez ludzi sprawiedliwości, już by się to stało. Ludzie przecież od stuleci są potężni, a jednak sprawiedliwość nie nadeszła. Stronnicy fizyki odpowiadali stwierdzeniem: stało się tak tylko dlatego, że większość fizycznej rzeczywistości była nadal wykluczona z dążeń do osiągnięcia sprawiedliwości.

Te powtarzające się spory powracały przez długi czas, nie tylko podczas

Rozproszenia, ale przez okres Bałkanizacji i w przełomowym roku 2312.1 tak oto ludzkość trwała w zawieszeniu bez uzgodnionego stanowiska. Wiedziała, lecz nie podejmowała działań. Można się na to oburzać, ale do działania potrzeba odwagi, jak również wytrwałości. W rzeczy samej, autora wcale by to nie zdziwiło, gdyby epoka, w której żyją czytelnicy niniejszego dzieła, nadal była niedoskonała, choć minęło wiele lat od zawartych tu opisów.



# SWAN NA WULKANOIDACH

Rada Terminatora wybrała w końcu nowego Lwa Merkurego, starego przyjaciela Alex i Mqareta, imieniem Kris. Gdy tylko objął stanowisko, poprosił Swan, aby towarzyszyła mu w organizowanej właśnie wyprawie. Chciał potwierdzić ustalenia, jakie Alex zawarła z Wulkanoidami w kwestii reprezentowania ich przed planetami zewnętrznymi.

– To kolejna umowa na słowo, jaką zawarła Alex. – Kris zmarszczył brwi. – A od jej śmierci i jeszcze bardziej po tym, jak miasto spłonęło, pojawiły się oznaki, że Wulkanoidy dogadują się z resztą Układu za naszymi plecami. Dlatego wielu z nas zaczęło się zastanawiać... Wiesz może, czy Interplan podejrzewa Wulkanoidy? Może atak na Terminatora został zorganizowany właśnie tam?

– Nie przypuszczam.

Wcale nie chciała lecieć ani zastanawiać się nad przebiegiem śledztwa Jeana Genette'a. Była teraz zajęta roślinami i ponownym projektowaniem parku. Ale to miała być krótka podróż, a wiedziała, że praca wcale się nie skończy pod jej nieobecność. Dlatego spakowała się i wraz z Krisem i kilkoma pomocnikami wysiadła na peronie w pobliżu Krateru Ustąd Isy, gdzie znajdował się kosmodrom z nową wyrzutnią promów.

Wulkańskie statki kosmiczne przypominały cebule nie tylko kształtem, miały grube osłony i żadnych okien. Poleciały prostym kursem do

trzydziestokilometrowego pasa asteroid orbitujących w odległości jednej jednostki astronomicznej, czyli tylko piętnastu milionów kilometrów od Słońca. Wulkanoidy odkryto z Merkurego pod koniec dwudziestego pierwszego wieku, ten niemal idealnie okrągły sznur spalonych, lecz trwałych piękności został skolonizowany niedawno, pomimo że po słonecznej stronie na powierzchni panowała temperatura ponad 1000 kelwinów. Jednak asteroidy nie obracały się wokół własnych osi, więc jedną stroną stale zwrócone były ku Słońcu. Te półkule były wypalone tak, że utraciły kilka kilometrów skalnej powłoki w ciągu swojego istnienia – a Wulkanoidy były stare, pierwotne, niczym najstarsze asteroidy. Teraz zostały zasiedlone jak gdzie indziej terraria – wydrążone i w tym przypadku osłonięte przed Słońcem przy wykorzystaniu materiału z wnętrza. Osłony przeciwsłoneczne przejmowały, skupiały promienie w wiązkę laserową i przekierowywały ją do soczewki-odbiornika w głębi Układu Słonecznego. I świeciły jak latarnie samego Boga na niebie Trytona i Ganimedesa. Efekt był tak niesamowity, że coraz więcej pobliskich osiedli prosiło o wulkaniskie latarnie – o wiele więcej osiedli, niż Wulkanoidy mogły obsłużyć.

Kiedy prom nazywany tutaj słońconurkiem zbliżył się do wulkaniskiej orbity, na ekranach ukazały się schematy pokazujące Słońce jako czerwone koło oraz Wulkanoidy jako naszyjnik lśniących żółtych kropek na kole i obok niego. Zielone linie oznaczały laserowe wiązki biegnące od żółtych kropek poza granice schematu. Na wszystkich modelach Słońce było wielkie. Przypominało wściekłego smoka, ale statki i tak leciały w jego stronę – odważnie, brawurowo. Podchodziły za blisko, żeby można się czuć bezpiecznie. Na pewno taka śmiałość zostanie ukarana. Na jednym ze schematów gwiazda centralna przypominała płonące czerwone serce, ziarna obrazu przepływały na krawędziach niczym w drgającym mięśniu. Słońce było blisko, to pewne.

Od strony odsloneczonej Wulkanoid, do którego zbliżał się prom, wyglądał jak naga ciemna skała o typowym ziemniakowatym kształcie, otoczona setki razy większym srebrzystym parasolem. Dok znajdował się na środku asteroidy. W pewnym momencie pod koniec lotu asteroida i osłona przesłoniły Słońce jak podczas zaćmienia, pozostawiając tylko niepokojący blask czerwonej korony, który pod koniec zmienił się ledwie w poświatę z iskrami wyładowań, a potem słońconurek wszedł w ciemność, w bezpieczny cień Wulkanoidu. Ulga była niemal namacalna.

Ludzie wewnątrz asteroidy czcili Słońce, jak można się było spodziewać. Niektórzy przypominali słońcołazów z Merkurego – lekkomyślnych i głupich – inni wydawali się członkami jakiegoś religijnego zakonu ascetów. W większości byli to mężczyźni lub hermafrodyty. Żyli na tak bliskiej orbicie przysłoneczonej, jak tylko mogło wytrzymać ciało niebieskie. Tak zwane słońconurki, pancerne promy, zbliżały się tylko troszkę bardziej, ale zaraz uciekały. Bliżej nie można już było żyć.

Bez wątpienia Swan znalazła się na terenie religijnym. Mogła to zaakceptować, lecz z trudem wyobrażała sobie egzystencję wyznawców. Terrarium we wnętrzu Wulkanoidu było pustynią, co doskonale pasowało do okoliczności, ale też nie zapewniało żadnych wygod: gorące, suche, pyliste. Nawet pustynia Mojave wydawała się wilgotna w porównaniu z tutejszymi warunkami.

Stanowiło to formę umartwienia, ale choć Swan próbowała tego na różne sposoby w młodości i podczas performance'ow w stylu Abramovic, nie wierzyła w umartwianie jako cel sam w sobie. Czuła też, że ta nowa technologia osłon przeciwsłonecznych zmieniła nabożność życia mieszkańców Wulkanoidów w coś podobnego do pracy latarników. Ten nowy system był milion razy silniejszy niż starsza metoda transferu światła zastosowana na Merkury – ta była równie zacořana jak lampa naftowa przy żarówce. Przez to

wkład Merkurego do Przymierza Mondragonu oraz zdolność do rozprzestrzeniania wpływów wyraźnie się zmniejszyły, dlatego formą kompensacji tego Mondragonowi była propozycja, że Terminator zajmie się koordynacją oraz będzie pośrednikiem i reprezentantem Wulkanoidów dla tej nowej technologii przesyłu światła, pozostało jedynie omówienie zasad. Tym zajmowała się Alex, lecz teraz, gdy Alex umarła, a siedziba pośrednika została spalona, czyjej partnerzy krajanie pozostaną lojalni i dotrzymają ustaleń? Czy pomogą w odbudowie swojego agenta, banku, dawnego domu?

– No cóż – odpowiedział jeden z mieszkańców Wulkanoidu, gdy Kris skończył opisywać nadzieje Terminatora na dotrzymanie umów. – Niesienie światła do światów zewnętrznych jest naszym wkładem dla Mondragonu i ludzkości. Jesteśmy w lepszej pozycji, aby to czynić, niż wy na Merkury. Wiemy, że pomogliście nam na początku, ale teraz Saturnijczycy zaoferowali pokrycie kosztów budowy osłon przeciwsłonecznych na wszystkich Wulkanoidach, które zdołają je utrzymać. A tam naprawdę potrzeba naszego światła. Dlatego skorzystamy z oferty najlepiej jak zdołamy. Teraz jest to trochę za dużo, nie ze wszystkim sobie poradzimy, prawdę mówiąc. Ciągłe dostrajamy nową technologię. Musimy też rozwiązać parę spraw, nad którymi jeszcze pracujemy. Nie mamy dość ludzi, aby w pełni wykorzystać ofertę Ligi.

Kris pokiwał głową.

– Potrzebujecie naszej pomocy przy koordynacji całego przedsięwzięcia. Krzątacie się, żeby przeżyć w pełnym słońcu, a zarazem zdążyć przygotować jak najwięcej stacji przesyłowych.

Wulkani zamyślili się nad jego słowami.

– Może i tak. Ale kiedy Terminator wypadł z gry, nie mieliśmy żadnych problemów. Teraz uważamy, że wkład Merkurego w Mondragonie powinien być inny niż światło. Światło należy zostawić nam. Macie złoża metali ciężkich, historię sztuki i Terminatora jako dzieło sztuki, ośrodek turystyczny

dla wycieczek i obserwatorów słońca. Dacie sobie radę – oznajmił ich przedstawiciel.

Kris potrząsnął głową.

– Merkury to stolica planet wewnętrznych. Z całym szacunkiem, ale wy tylko obsługujecie elektrownię. Potrzebna wam administracja.

– Może.

– Z którymi Saturnijczykami rozmawialiście? – wtrąciła Swan. Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

– Rozmawialiśmy z Ligą – odpowiedział jeden z Wulkanów. – Ale spotkaliśmy się z tym samym przedstawicielem Saturna co wy, ambasadorem ze światów wewnętrznych Ligi. Znasz go lepiej niż my, z tego, co słyszeliśmy.

– Masz na myśli Wahrama?

– Oczywiście. Powiedział nam, że Merkury zna sytuację międzyplanetarną i zrozumie, jak istotne jest nasze światło dla projektu Tytana. I dla innych światów również.

Swan nie odpowiedziała.

Kris zaczął dyskusję o osiedlu na Trytonie i planach rozświetlenia Neptuna.

– Tak – odrzekł jeden z Wulkanów. – Saturnijczycy nie zrobią tego dla Saturna.

Swan ponownie przerwała rozmowę:

– Powiedz mi więcej o Wahramie. Kiedy u was był?

– Parę lat temu, jak mi się zdaje.

– Dwa lata temu?

– Ależ – wtrącił się inny Wulkan – nasz rok ma tylko sześć tygodni, to był żart. Ambasador odwiedził nas ostatnio.

– Zaraz po tym, jak spłonął Terminator – sprecyzował pierwszy z Wulkanów i spojrzął na Swan z ciekawością.

Kris wypełnił ciszę, która zapadła po tych słowach, przypominając Wulkanom, że jako Lew Merkurego był teraz tytularną głową ich zakonu. Ale ci Wulkani nie należeli do Szarych, jak wyjaśnił szybko przedstawiciel asteroidy, należeli do sekty, która nie uznawała władzy Lwa Merkurego. Mimo wszystko jednak zrobili to bardzo uprzejmie i Kris podjął kolejną próbę przekonania ich, że warto dotrzymać umowy. Swan jednak miała trudności ze śledzeniem dyskusji. Im dłużej myślała o tym, co zrobił Wahram, tym bardziej była na niego zła. Do tego stopnia, że nie mogła już słuchać. Zaraz po tym, jak wspólnie pracowali i znaleźli statek dryfujący w chmurach Saturna, Wahram poleciał na Wulkanoidy i podważył pozycję ojczyzny Swan. To był cios poniżej pasa.

# SPISY (11)

Krater Annie Oakley, Krater Dorothy Sayers;

a także kratery, które nazwano:

Madame Sevigne, Shakira (bogini Baszkirów), Martha Graham, Hipolita, Nina Efimowa, Dorothea Erxleben, Lorraine Hansberry, Catherine Beecher; jak również noszące imiona: mezopotamskiej bogini płodności, celtyckiej bogini rzek, afrykańskiej bogini tęczy, bogini kukurydzy Indian Pueblo, wedyjskiej bogini płonów, rzymskiej bogini łowów (Diana), litewskiej bogini losu; są także: Anna Comnena, Charlotte Corday, Mary Queen of Scots, Madame de Stael, Simone de Beauvoir, Josephine Baker.

Także Aurelia, matka Juliusza Cezara. Tezan, etruska bogini świtu. Alice B. Toklas. Ksantypa. Cesarzowa Wuhou. Virginia Woolf. Laura Ingalls Wilder.

Evangeline, Fatima, Gloria, Gaja, Helena, Heloiza.

Lillian Heilman, Edna Ferber, Zora Neale Hurston.

Ginewra, Nell Gwyn, Martine de Beausoleil.

Sophia Jex-Blake, Jerusha Jirad, Angelica Kauffman.

Maria Merian, Maria Montessori, Marianne Moore. Mu Guiying. Vera Mukhina. Aleksandra Potanina.

Margaret Sanger. Safona. Zoya. Sarah Winnemucca. Sesztat. Jane Seymour. Rebecca West. Marie Stopes. Alfonsina Storni. Anna Wolkowa. Sabina Steinbach. Mary Wollstonecraft. Anna von Schuurman. Jane Austen. Wang Zenyi. Karen Blixen. Sojourner Truth. Harriet Tubman.

Hera. Emily Dickinson.

# WAHRAM NA WENUS

Wahram przebywał w mieście Colette, próbując uzyskać wsparcie od Grupy Roboczej dla planu interwencji na Ziemi, a także poprosić pewnego znajomego o pomoc dla inspektora Genette'a w sprawie dziwnych gości. Żadne z tych przedsięwzięć nie szło dobrze. Chociaż Shukra wydawał się skłonny do pomocy, w zamian też chciał, aby Saturn pomógł jemu w miejscowym konflikcie. Wahram nie miał pojęcia, jak niby można to zrobić. A jeszcze więcej wymagano od Mondragonu i Ligi Saturna, jeżeli Wenus miałaby przystąpić do działań na rzecz Ziemi.

Potem, podczas wyczekiwanej przerwy w negocjacjach, rozległo się pukanie do sali konferencyjnej i weszła Swan. Wahrama zaskoczył jej widok. Jeszcze większe zaskoczenie wzbudziło jej zachowanie. Gdy go dostrzegła, podeszła pośpiesznie, pchnęła i uderzyła pięściami w pierś.

– Ty draniu! – krzyknęła, wcale się nie hamując. – Okłamałeś mnie! Okłamałeś!

Cofnął się, unosząc ręce i rozglądając się za jakimś odosobnionym miejscem, gdzie mógłby kontynuować rozmowę w bardziej prywatnym otoczeniu.

– Nic takiego nie zrobiłem! O co ci chodzi?

– Polecałeś na Wulkanoidy i zawarłeś z nimi umowę! A mnie nie powiedziałaś ani słowa!



– To nie było kłamstwo – zaproponował. Miał ochotę rwać sobie włosy z głowy, ponieważ wiedział, że mówiła prawdę. Chciał zyskać na czasie, więc cofnął się do wyjścia, skręcił za róg i dopiero tam przystanął i zaczął się bronić. – Polecałem, żeby wykonać swoją pracę dla Ligi Saturna, ale to nie miało nic wspólnego z tobą. Musisz też przyznać, że nie mamy w zwyczaju dzielić się szczegółami dotyczącymi pracy. Nie widziałem cię prawie rok.

– Dlatego, że byłeś na Ziemi i również tam zawierałeś porozumienia. O których też nic mi nie mówiłeś. O czym właściwie mi mówiłeś? O niczym!

Wahram martwił się tym, ale przez cały czas ignorował problem i skupiał się na bieżących zadaniach. A teraz odczuwał tego skutki.

– Podróżowałem – mruknął niepewnie.

– Podróżowałeś? Co to znaczy podróżowałeś?! – prychnęła Swan. – Byłeś w tunelu czy nie? Byliśmy razem w tunelu czy nie?

– Byliśmy – przyznał, ponownie unosząc dłonie jak do obrony lub w proteście. – Byłem tam.

I to nie ja twierdziłem, że mnie tam nie ma, dodał w duchu, ale tego już nie powiedział głośno.

Swan zatrzymała się i tylko na niego popatrzyła. Patrzyli tak przez chwilę.

– Słuchaj – przerwał ciszę Wahram. – Pracuję dla Saturna. Jestem ambasadorem Ligi na planetach wewnętrznych, wykonuję tylko swoje obowiązki. To nie jest coś, czym odruchowo się dzielę. To zupełnie inna sfera.

– Ale właśnie przeżyliśmy atak i straciliśmy miasto, a ty zaraz potem nas wystawiłeś. Musimy utrzymać to, czym się dzielimy. A częścią tego jest światło.

– Niewystarczająca i bezużyteczna ilość światła. Wszystko, co może przesłać Merkury, nie ma wielkiego znaczenia dla Saturna.

W przypadku Wulkanoidów jest inaczej. Oni mogą przesłać tyle, że zrobi

to znaczącą różnicę. A Tytan jest nam potrzebny. Dlatego zostałem wysłany, żeby się zająć umową z Wulkanami. To jak zakup przyszłych akcji. Przykro mi, że nie powiedziałem ci o tym osobiście. Chyba... Chyba się bałem. Nie chciałem, żebyś była na mnie zła. Ale teraz i tak jesteś.

– Nawet gorzej – zapewniła Swan.

Wahram widział jednak, że teraz to już bardziej przedstawienie niż wybuch emocji. Opuszczała ją energia. Wykorzystał to.

– Głupio się zachowałem. Przykro mi. Niedobry człowiek.

Prawie udało mu się ją rozśmieszyć.

– Pieprzony drań – mruknęła, grając dalej. – To, co zrobiłeś na Ziemi, jest nawet gorsze. Zawarłeś umowy tylko z bogatymi krajami, do tego się to sprowadza i doskonale o tym wiesz. A to hańba. Na Ziemi są ludzie, którzy żyją w kartonowych pudłach. Wiesz, jak to wygląda. Zawsze tak jest i zapowiada się, że zawsze będzie. Dlatego Ziemianie zawsze będą nas nienawidzić i niektórzy będą nas atakować. A my pękniemy jak bańki mydlane. Nie ma innego rozwiązania jak sprawiedliwość dla wszystkich. Tylko tak możemy sobie zapewnić bezpieczeństwo. Do tego czasu jakaś grupa zawsze dojdzie do wniosku, że zabijanie przestrzeniowców to jedyny sposób, aby przyciągnąć naszą uwagę. A co najsmutniejsze, mogą mieć rację.

– Ponieważ teraz poświęcasz Ziemi uwagę?

Posłała mu ostre spojrzenie.

– Ponieważ sytuacja tam zaszła już za daleko!

Wahram przechylił głowę, próbując wymyślić, jak powiedzieć, co czuje. Poprowadził Swan nieco dalej, do długiego kontuaru z ciasteczkami i dużymi termosami kawy. Nalał im obojgu po filiżance.

– Zatem... Aby chronić siebie, jak mówisz, musimy doprowadzić do globalnej rewolucji na Ziemi.

– Tak.

– Ale jak? To znaczy ludzie próbowali już tego od wieków. – To żadna wymówka! Dotarliśmy na Wenus, na Tytana i tam robimy wszystko. A przecież coś można też zrobić na Ziemi. Rozpowszechnić przez tamtejsze telefony komórkowe. Dać Ziemianom udziały w Mondragonie. Wybudować domy albo popracować w polu. Przeprowadzić w ten sposób rewolucję, taką bez przemocy. Jeżeli coś stanie się wystarczająco szybko, zostanie nazwane rewolucją, niezależnie od tego, czy użyta zostanie broń, czy nie.

– Ale broń tam jest.

– Może, ale jeżeli nikt nie ośmieli się jej użyć, co wtedy? A jeżeli to, co zawsze robiliśmy, było mało istotne? Albo nawet niedostrzegalne?

– Tego rodzaju działania nigdy nie są niedostrzegalne. Nie, wtedy pojawia się opór. Nie oszukuj się.

– No dobrze. Przyciśniemy ruch oporu i zobaczymy, co się stanie. Mamy bogate zasoby i produkujemy większość żywności dla Ziemi. Mamy na nich haka.

Zastanowił się nad tymi słowami.

– Może i mamy, ale ludzie postępują na Ziemi wedle własnych zasad.

Swan pokręciła gwałtownie głową.

– W ludzkich uczuciach uwielbienie dla darów ekonomii przeważa nad zasadami. Wystarczy zacząć, a sami zajmą się resztą. , Zresztą musimy coś zrobić. Jeżeli będziemy siedzieć z założonymi rękami, zastrzelą nas. Zabiją i zjedzą.

Wahram sęczył kawę, starając się skłonić Swan do opanowania. Posunęła się za daleko, jak zawsze.

Chętnie posłuchałby, co Pauline miałyby na ten temat do powiedzenia, ale wiedział, że nie ma możliwości, aby uzyskać w tej chwili dostęp do qostki. Swan ujęła filiżankę w dłoń i siorbnęła kawy, a potem podjęła wykład, podkreślając swoje argumenty machaniem naczyniem. Wahram miał szczęście,

że nie został ochlapany.

Jednakże choć posunęła się za daleko, jak zwykle wyrażała to, nad czym Wahram również się zastanawiał. Istotnie, było to kolejne ujęcie kwestii, do których Alex przekonywała przez lata. Dlatego Wahram wyczekał na odpowiedni moment, gdy Swan łąpała oddech.

– Problem w tym – wtrącił – że to, co należy zrobić, było wiadome już od paru wieków, lecz nikt się tego nie podjął, ponieważ zmiany wymagałyby zaangażowania ogromnej liczby pracowników. Prace budowlane, restauracja krajobrazu, przyzwoite uprawy, do tego wszystkiego konieczny jest wysiłek wielu ludzi.

– Przecież tam jest mnóstwo ludzi! Wystarczy zmobilizować bezrobotnych i masz swoją ogromną liczbę. Rewolucja pełnego zatrudnienia. Ziemia jest śmietnikiem, ludzie są wypaleni, muszą coś zrobić. Na dodatek Ziemia potrzebuje terraformowania tak samo jak Wenus albo Tytan! A nawet bardziej! A my nic nie robimy.

Wahram zastanowił się nad tym, co powiedziała.

– Można to tak sprzedać, jak myślisz? Jako restaurację? Odwołać się do konserwatystów, jak również do rewolucjonistów, a przynajmniej zamącić sprawę na tyle, że nie zorientują się, co się naprawdę dzieje?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli mącić.

– Jeżeli jasno przedstawimy swoje intencje, Swan, pojawi się opozycja. Nie bądź naiwna. Każda zmiana spotka się ze sprzeciwem. I to poważnym. Mam na myśli przemoc.

– O ile przeciwnicy znajdą sposób, żeby z niej skorzystać. Ale jeżeli nie ma kogo aresztować, nie ma kogo pobić, nie ma kogo przerazić...

Pokręcił głową nieprzekonany.

Swan zaczęła krążyć wokół niego jak kometa wokół Słońca, musiał się obracać, aby pozostać do niej przodem. Dwa razy zmieniała kierunek i

uderzyła Wahrama w pierś ręką, w której na szczęście nie trzymała filiżanki z kawą. Ich głosy przeplatały się w antyfonie, w której – gdyby ktoś słuchał – brzmiałoby żabie kumkanie i ptasi świergot.

Wreszcie dysonansowy duet zamilkł. Swan w końcu się uspokajała. Bez wątplenia dopiero co przyleciała na Wenus i chociaż napiła się kawy, już zaczynała ziewać. Wahram odetchnął z ulgą, zniżył timbre głosu do bardziej uspokajającego i zmienił temat. Oboje popatrzyli w okno, na padający śnieg, wirujący w wielkich tumanach między strzelistą architekturą miasta i otulający wszystko bielą. Ten świat, tak nowy i surowy, właśnie się rodził w potężnych podmuchach wiatru. I to właśnie mówił im widok za oknem: wszystko się zmienia.

Wahram wspomniął dwa niedokończone projekty Alex: sprawa z Ziemią, sprawa z qostkami. Poczł dreszcz, gdy nagle uświadomił sobie, że obie te sprawy stanowiły elementy tej samej układanki. Bardzo dobrze, ale złożenie ich razem będzie wymagało prawdziwego kunsztu, a na dodatek sporo sprytu i rozwagi, aby tego dokonać. A Swan zapewne i tak będzie się na niego wściekać, dopóki Wahram będzie w tym uczestniczył. Chyba jednak powinien sprawić, aby tak się nie złościła.

## WYCINKI (13)

...pewne procesy metaboliczne sprawiają, że szkody kumulują się przez całe życie, zatem każdy rodzaj uszkodzeń musi być leczony osobno, a każdą kurację należy skoordynować z pozostałymi oraz z normalnymi funkcjami organizmu...

...utratę komórek lub atrofię łagodzi się przez ćwiczenia fizyczne, czynniki wzrostu i bezpośrednie uzupełnianie komórek...

...mutacje nowotworowe rozpoznawane są przez sekwencjonowanie dna i transkryptomów i powstrzymywane przez miejscowe terapie genowe oraz zastosowanie telomerazy. Chemioterapia i radioterapia są obecnie niezwykle dobrze nakierowane dzięki zastosowaniu przeciwciał monoklonalnych, aviomerów i immunoprotein...

...komórkom odpornym, które zestarzały się podczas funkcjonowania, nie wolno pozwolić na transformację w formy szkodliwe, powinno się raczej skierować na nie geny samobójcze lub wywołać reakcję immunologiczną... ...nieuszkodzone mitochondria wprowadzane są do komórek, w których wystąpiły mutacje mitochondrialne...

...lipofuscyny to gromadzące się w naszych komórkach odpadki, których nie potrafi usunąć układ odpornościowy. Odpadkami są również płytki amyloidowe. Enzymy zaadaptowane od bakterii oraz pleśnie, które całkowicie trawią tkanki zwierzęce, po wprowadzeniu będą się rozwijać, dopóki nie

zabraknie składników odżywczych, a wtedy ten brak aktywować będzie do działania zawarte w tych enzymach geny samobójcze. Zewnątrzkomórkowe czynniki przyspieszające można wyeliminować przez użycie szczepionek stymulujących reakcje układu immunologicznego, włącznie ze stanem podwyższonej fagocytozy. Związane z tym komplikacje...

...sieć przypadkowych zewnątrzkomórkowych połączeń komórek powoduje sztywność, jednak połączenia te można z powodzeniem rozerwać za pomocą enzymów nakierowanych na...

...okazało się, że przy manipulacjach telomerazą bardzo trudno zachować równowagę w określonych typach komórek. Telomery zbyt długie – i wychodzi rakowata nieśmiertelność; telomery zbyt krótkie – a komórka osiąga zbyt szybko limit Hayflicka i przestaje się dzielić...

...naprawa dna obejmuje polimerazę dna o aktywności egzonukleazowej i właściwościach korekcyjnych, co pozwala na wysoką wierność odbudowy dna. Polimeraza ma nie posiada tej właściwości, czego efektem jest o wiele więcej błędów podczas transkrypcji genów. To potencjalny czynnik napędowy ewolucji...

...plejotropizm to zjawisko związane z tym, że dobre cechy młodego organizmu warunkowane jednym genem mogą się zmienić w złe w procesie starzenia. Bardzo często jest to przyczyna problemów, gdy obupłciowe terapie hormonalne nakierowane są na...

...hormeza jest w efekcie korzystną reakcją biologiczną na niską ekspozycję na toksyny lub czynniki wywołujące stres. Proces ten, przy którym wspomina się niekiedy o stresie dobrym i złym, powiązany z mitrydatyzmem (nazwa pochodzi od imienia króla Mitrydatesa, który zażywał niewielkie dawki trucizny, aby uchronić się przed zatruciem większymi), przedstawiano jako główne wyjaśnienie, dlaczego krótkie pobyty na Ziemi wspomagają najlepiej długowieczność...

...najsilniejsza korelacja z długowiecznością obejmuje mniejsze rozmiary ciała i ekspozycję zarówno na estrogeny, jak i androgeny, które również wzmacniają się wzajemnie, do tego stopnia, że jak dotąd nie znamy żadnego małego androgyna lub gynandromorfa, który zmarłby z przyczyn naturalnych. Najstarsi mają ponad 210 lat i jak dotąd nie udało się oszacować potencjalnej długości ich życia. Z pewnością pojawi się więcej przedmiotów badań, gdy to zjawisko zostanie lepiej poznane...

...aktuarialna prędkość uciezki według definicji występuje wtedy, gdy rok badań medycznych przynosi więcej niż roczna wartość długowieczności w całej populacji. Nic podobnego nie udało się nigdy osiągnąć, a pojawiające się oznaki na krzywej asymptotycznej rozwoju wskazują, że taka prędkość może nigdy nie...

...przedwczesna deklaracja, że uzyskano długowieczność, nazwana została „kyriasis” albo „syndromem Dorigana Greya” lub po prostu „nadzieją na nieśmiertelność”...

...wydłużenie telomerów w określonych komórkach przez tymczasowe podniesienie w nich stężenia telomerazy. W różnych komórkach skracanie się telomerów odbywa się w różnym tempie, dlatego dobór medykamentów powinien być dostosowany wyłącznie do ściśle określonych rodzajów komórek. Nieuwaga może prowadzić do nowotworów...

...biogerontologia, często pogardzana, nieoczekiwanie...

...sławna dieta ograniczająca kalorie i podwyższająca poziom witamin wywoływała feminizację ekspresji genów, co na wiele sposobów wpływało na wzrost długowieczności. Dlatego teraz terapie hormonami płciowymi są dopasowane tak, aby tworzyć ten efekt feminizacji bez konieczności ograniczania kalorii, co jednak nigdy nie przyjęło się...

...przypomnijmy sobie stare porównanie ciała człowieka do samochodu. Skoro wszystkie ruchome części można wymieniać, gdy się zepsują,



problemem pozostaje tylko zużycie lub zmęczenie metalu w osiach i podwoziu. Innymi słowy, „siedem grzechów głównych” starzenia to nie tylko grzechy. Nienaprawialne uszkodzenia dna, nierakotwórcze mutacje, zmiany skupienia chromatyny – wszystko to w końcu tworzy „uszkodzenia wywołane wiekiem”, trudne w wykrywaniu i przeciwdziałaniu. Żadne obecnie nie poddają się naprawie. To prawdopodobnie wyjaśnia...

...wziąć komórki skóry od ludzi, zmienić je w komórki macierzyste, które mają wielki potencjał, umieścić je w odpowiedniej kąpieli białkowej, a uformują cewkę nerwową, stanowiącą załączek układu nerwowego, który rozrośnie się z jednej strony w rdzeń kręgowy, a z drugiej w mózg. Wystarczy wybrać fragmenty cewki nerwowej i pokierować nimi za pomocą innych stymulantów białkowych, aby przekształciły się w różne komórki mózgu, jak choćby komórki kory mózgowej. Wypróbować przez włączenie...

...arytmia, udar, nagłe zatrzymanie pracy, gwałtowny spadek, luka immunologiczna, zaburzenie fal mózgowych, infekcja, atak serca, zespół nagłego zgonu etc.

# KIRAN W VINMARZE

Obowiązki w nowej grupie roboczej Kirana polegały głównie na regularnych przejazdach łazikiem w tę i z powrotem od jednego z zamkniętych osiedli Lakszmi w Kleopatrze do nowego miasta Vinmary. Po drodze zawsze mijali Przystań Głupców. Vinmara nadal rozwijała się jak muszla wokół płytkiej, pustej zatoki. Kiran i jego grupa jeździli dalej na południe przez padający śnieg, w którym w oddali błyskało srebrzyście morze suchego lodu.

Po jednej z takich podróży, gdy wszyscy wrócili do Kleopatry, Kiran natrafił na Kixue w salonie gier, który obaj odwiedzali dość często.

– Chodź, poznaj mojego przyjaciela. Polubisz go – oznajmił gadatliwy mały.

Okazało się, że to Shukra, z długą siwą brodą i równie długimi włosami. Wyglądał jak wędrowny żebrak. Kixue wyszczerzył się, gdy Kiran rozpoznał przybysza.

– Mówiłem ci, że go polubisz.

Kiran wymamrotał coś niezrozumiale. – Wszystko w porządku. – Shukra spojrział na niego twardo. – Byłeś przynętą, mówiłem ci. I coś się na ciebie złapało. Dlatego tu jestem. Powiem ci, co masz dalej robić. Lakszmi przydzieliła cię do konwojów kursujących między jej osiedlem a tym nadbrzeżnym miastem, tak?

– Tak – odpowiedział Kiran. Rozumiał, że najprawdopodobniej nadal

podlegał swojemu pierwszemu pracodawcy na Wenus, ale zaczynał też rozumieć, jak niebezpieczna była gra na dwie strony. Nie chciał się w żaden sposób narazić Lakszmi, ale też Shukra nie wyglądał na człowieka, z którym można było sobie pogrywać. Tu i teraz Kiran nie mógł mu się sprzeciwić.

– W obie strony przewożony jest ładunek, ale nie wiemy, co zawiera.

Chcę, żebyś się tego dowiedział. Zaangażuj się bardziej w pracę, a potem przekaż mi, czego się dowiedziałeś.

– Jak mam się z tobą skontaktować?

– Nijak. To ja się z tobą skontaktuję.

I po tym spotkaniu Kiran z bardzo złym przeczuciem starał się mieć oczy szeroko otwarte, gdy wraz z kolegami jeździł do Vinmary. Nawet dla niego stawało się jasne, że załoga pojazdu transportowego nie miała wiedzieć, co znajduje się w ładowniach, pilnowali tego strażnicy, a biura w centrum Vinmary były tak samo niedostępne i zamknięte dla ludzi z zewnątrz jak niektóre tereny w Kleopatrze. Transportery wjeżdżały tyłem do ładowni i wyjeżdżały niedługo potem, i tyle. Raz, gdy wyjątkowo silna zamieć opóźniła transport w połowie drogi, Kiran, udając, że patrzy w inną stronę, podsłuchał, jak strażnik w kabinie jego łazika rozmawia przez telefon z ludźmi chyba w ładowni pojazdu. Rozmowa toczyła się po chińsku, więc później chłopak odtworzył ją w swoich okularach translacyjnych i przełożył. Brzmiało to tak:

– Wszystko z wami w porządku?

– Nic nam nie jest. Im też.

Im? Przynajmniej teraz miał coś do przekazania, o ile, a raczej kiedy Shukra pojawi się ponownie.

Udało im się dotrzeć do Vinmary, nim wielka burza śnieżna wreszcie się skończyła. W powietrzu się przejaśniło, na czarnej kopule nieboskłonu znowu zabłyśły w pełnej chwale gwiazdy. Intensywne opady śniegu z deszczem i gradu z deszczem trwały od trzech lat i trzech miesięcy. Wszyscy już chcieli

zobaczyć, jak wygląda Wenus, gdy nie pada.

Jak okiem sięgnąć wszędzie leżał śnieg połyskujący w blasku gwiazd. Spod białej pokrywy wystawały tylko pojedyncze czarne głazy – tereny otaczające miasto musiały być diabelnie dobrym polem golfowym lub czymś podobnym. W rezultacie nad głowami ludzi na czarnym niebie błyszcząły olśniewająco białe gwiazdy, a pod stopami na białej połaci wzgórz przebijały czarne wierzchołki skał, co wyglądało, jakby góra i dół były swoimi fotograficznymi negatywami.

I teraz już można było oddychać na otwartej przestrzeni. Panowało tu przenikliwe zimno, oczywiście, a ludzie po zdjęciu hełmów musieli krzyzczeć, wyrzucając zamrożone obłoczki z otwartych ust. Powietrze zatne do oddychania – mieszanka azotu, argonu i tlenu pod ciśnieniem siedmiuset milibarów. To było jak oddychanie czystą wódką.

Ze śniegu nie dałoby się ulepić śnieżki, był zbyt twardy, aby w nim kopać, a ludzie ślizgali się na nim i często przewracali. Ze wzgórza nad miastem rozciągał się widok na wiele kilometrów w każdą stronę.

Dochodziło południe i między gwiazdami wisiał czarny krąg przesłaniający słońce. Czem na tle ciemnego nieba – tarcza nieprzepuszczająca promieni słonecznych – z wyjątkiem obecnego dnia, ponieważ na dzisiaj zaplanowane było odsłonięcie. Takie odsłonięcia zdarzały się regularnie i na krótko raz w miesiącu, aby nieco rozgrzać atmosferę do bardziej przyjaznej dla ludzi temperatury, jednak nikomu na planecie nie udało się zjawiska zaobserwować, ponieważ zwykle niebo przesłaniał deszcz lub śnieg. Dzisiaj jednak zanościło się, że wszystko będzie widać.

Wielu ludzi założyło hełmy, zimno ich do tego zmuszało. Kiranowi zdrętwiał nos, ale uszy nadal paliły od mrozu. Podobno zamrożone uszy można sobie odłamać, takie przynajmniej krążyły słuchy, a Kiran zaczynał w to wierzyć. W oddali z głośników w mieście płynęła muzyka, dźwięczna, z

cymbałami i dzwonekami, bardzo słowiańska, bardzo ostra i głośna.

A potem dokładnie nad jego głową wokół krawędzi tarczy pojawiła się idealnie okrągła, olśniewająca poświata, paląc niemal krawędzie czarnego dysku. Choć ten pierścień był cieniutki i jasnożółty, jednak drżał jak płomień i rozświetlił śnieżne wzgórza i podobne do muszli miasto, srebrzyste morze na południu i zamarzające obłoczki pary dobywające się z ust wiwatujących. Wszystko skąpane było teraz w brązowym blasku, który przywoływał wspomnienia o słonecznych dniach, jakie tutejsi ludzie widzieli lub o jakich marzyli. Przypalony odcień był jak samo życie, światło, o którym tutaj niemal zapomniano, lecz teraz wracało.

Po godzinie pierścień ognia zaczął robić się coraz cieńszy, skrywał się za tarczą, aż zupełnie zniknął za czernią. Weneckie przesłony zamknęły się i odcięły prześwit. Ośnieżony krajobraz pociemniał i wrócił do zwykłej bladej, gwiazdy znowu stały się wielkie. Zapadła kolejna noc, tak dobrze znana w swojej ponurej krasie. Tuż nad czarnym dyskiem Słońca świeciła jasno mała biała planeta. Merkury, jak powiedziano Kiranowi. Z Wenus można było zobaczyć Merkurego gołym okiem, lśnił jak diament. A niżej nad zachodnim horyzontem świeciła Ziemia i Księżyc, podwójna gwiazda z błękitnym połyskiem.

– Łał – wydusił Kiran. Zdawało mu się, że pęcznieje od środka jak nadmuchiwany balon. Chłopak musiał głęboko oddychać, bo bał się, że pęknie.

Jednak jego koledzy z grupy już szarpali go za ramiona.

– Ziemia do Kirana! Ziemia do Kirana! Pożegnaj się ze swoją ślicznotką! Musimy jak najszybciej wrócić do miasta, łazik się rozbił, Lakszmi nas wezwała! Ruszamy natychmiast!

– W drogę! – odrzyknął Kiran i poszedł za resztą grupy do otwartych bram Vinmary.

Po wejściu do miasta kierowali się wskazówkami przekazywanymi przez komunikator, aby dotrzeć do transportera w opałach. Wyglądał tak samo jak inne pojazdy w konwoju. Kierowca i trzech ludzi z ochrony stali przy nim, bardzo nieszczęśliwi. Łazik stracił zasilanie, a niektóre paczki musiały zostać przeniesione do biura w centrum miasta – najszybciej jak się da i jak najdyskretniej.

Kiran stanął w krótkiej kolejce za swoimi kolegami i dźwignął duże płaskie pudło, które podał mu jeden ze strażników. Pomyślał, że oto chyba nadarza się okazja, aby sprawdzić, co znajdowało się w ładowniach transportowców. A potem wszyscy ruszyli do centrum. Szli jeden za drugim jak tragarze.

Miasto było prawie puste, jego mieszkańcy przebywali jeszcze na wzgórzach i świętowali. Pudło, które niósł Kiran, ważyło najwyżej pięć kilogramów, a jak na takie rozmiary, nie było szczególnie ciężkie. Przy zawiasach znajdował się zamek z przyciskami cyfrowymi, tuż przy zawiasach, przez co pojemnik przypominał trochę pancerną walizeczkę. Do biura nie było daleko. Zawiasy wyglądały na niezbyt solidne i Kiran zaczął się zastanawiać, co się stanie, gdyby przypadkiem uderzył pakunkiem o ziemię.

Nagle jednak nadbiegło trzech ochroniarzy z rozbitego łazika, krzycząc:  
– Biegiem! Biegiem! Do biura! Szybko!

Wymachiwali bronią i zerkali za siebie wyraźnie przestraszeni. Grupa Kirana zerwała się do biegu, chłopak poszedł w ślady reszty, a kiedy dostrzegł, że są w rozsypce, ujął mocniej walizkę zawiasami na zewnątrz. Gdy grupa zniknęła za rogiem w ciasnym zaułku, Kiran udał, że się potknął i uderzył pudłem w załom ściany, dokładnie w zawiasy. Walizka wytrzymała.

– Jasna cholera! Rozbiłeś je? – usłyszał za plecami. Stał tam jeden ze strażników z grupy ochroniarskiej, wysoki Chińczyk. Na jego twarzy, gdy pochylał się nad Kiranem, odmalowało się przerażenie.

– Co tam jest, jajka? – prychnął Kiran, wstając.

- Prawie. – Strażnik wziął pudełko i uderzył w klawisze cyfrowego zamka.
- A jeżeli je rozbiłeś, lepiej uciekaj z miasta.

Wieko pudła uniosło się, a pod nim ukazały się pojedyncze przezroczyste pojemniki, w każdym z nich spoczywała para ludzkich oczu. A wszystkie, zapewne przez przypadek, wpatrywały się w Kirana.

## WYCINKI (14)

Exodus w kosmos zaczął nabierać większego tempa, gdy stało się jasne, że dla Ziemi nadeszły straszne czasy – zmiany klimatyczne i ogólne zanieczyszczenie biosfery. Odejście w przestrzeń kosmiczną wyglądało jak próba ucieczki ze zniszczonej planety. Było w tej ocenie sporo prawdy, na tyle, że obrońcy projektu musieli często podkreślać humanitarne i ekologiczne korzyści, szczególnie zasoby dostępne w Układzie Słonecznym, które mogłyby okazać się pomocne dla rozregulowanej Ziemi. Mówili również, że zasiedlenie innych ciał niebieskich w Układzie stanowiłoby działanie zgodne z ekoetyką Leopolda: „Tylko to jest dobre, co dobre dla Ziemi”, ponieważ zdobycze z kosmosu zostaną użyte do ocalenia rodzimej planety...

...pierwsze osiedla na Księżycu, Marsie i asteroidach były kosztowne, dlatego powstały jako przedsięwzięcia międzynarodowe lub ogólnokrajowe przy użyciu publicznych funduszy. Podczas Rozproszenia stanowiło to ich największą słabość, ale po skonstruowaniu pierwszych wind orbitalnych rozkwitły, a tuż przed nadejściem Accelerando były gotowe do podjęcia wodzącej roli – gotowe, aby stać się sceną Accelerando.

...Mars, jako pierwszy poddany terraformowaniu, w porównaniu z innymi ciałami, gdzie się tego podjęto, był bardzo łatwy. Decyzje powzięto wcześniej, po czym wdrożono je jak najszybciej. Regolitem wstrząsnęło tysiące zaplanowanych eksplozji (mówiono, że miało to pomóc marsjańskim formom



życia zagrzebanym w litosferze), a spora część powierzchni planety została wypalona w linie, które później miały służyć jako koryta sławnych kanałów. Wypalanie stworzyło atmosferę, wydobyto też i stopiono lód, dzięki czemu wąski ocean na północy oraz morze Hellas wypełniły się wodą. Prawie wcale nie liczone się z pierwotną rzeźbą terenu. Jednak prawdą jest również, że wertykalne podejście do topografii Marsa uchroniło najwyższe partie powierzchni od jakichkolwiek zmian – stały się one swoistym rezerwatem pierwotnego krajobrazu...

...masowy napływ imigrantów z Ziemi szybko wykształcił społeczność poliglotów, która w ciągu dwóch generacji zaczęła uważać się za fundamentalnie i rodzimie marsjańską. Jej przedstawiciele nazwali siebie *Homo ares* i uznali za jednostkę polityczną niezależną od Ziemi z natury i prawa. Cała populacja Marsa zgodziła się na zerwanie wszelkich więzi z Ziemianami, a potem uchwaliła nową konstytucję i powołała jeden rząd planety oraz ustroj gospodarczy, który później nazywany był różnie: socjalizm, komunizm, utopizm, demokracja anarchistyczna, syndykalizm, wspólnota robotnicza, socjalizm libertariański oraz na wiele innych sposobów. Wszystkie te określenia zostały odrzucone przez marsjańskich politologów, którzy życzyli sobie, aby nazwy miały przymiotnik „marsjański” lub przedrostek „areo-”. Z nowym ustrojem socjoekonomicznym i stworzoną niedawno biosferą, w której ustroj ten miał funkcjonować, Mars stał się siłą zarówno fizyczną, jak i społeczną dorównującą każdemu państwu lub sojuszowi na Ziemi. Accelerando były gotowe do podjęcia wiodącej roli – gotowe, aby stać się sceną Accelerando.

...Mars, jako pierwszy poddany terraformowaniu, w porównaniu z innymi ciałami, gdzie się tego podjęto, był bardzo łatwy. Decyzje powzięto wcześniej, po czym wdrożono je jak najszybciej. Regolitem wstrząsnęło tysiące zaplanowanych eksplozji (mówiono, że miało to pomóc marsjańskim formom

życia zagrzebanym w litosferze), a spora część powierzchni planety została wypalona w linie, które później miały służyć jako koryta sławnych kanałów. Wypalanie stworzyło atmosferę, wydobyto też i stopiono lód, dzięki czemu wąski ocean na północy oraz morze Hellas wypełniły się wodą. Prawie wcale nie liczone się z pierwotną rzeźbą terenu. Jednak prawdą jest również, że wertykalne podejście do topografii Marsa uchroniło najwyższe partie powierzchni od jakichkolwiek zmian – stały się one swoistym rezerwatem pierwotnego krajobrazu...

...masowy napływ imigrantów z Ziemi szybko wykształcił społeczność poliglotów, która w ciągu dwóch generacji zaczęła uważać się za fundamentalnie i rodzimie marsjańską. Jej przedstawiciele nazwali siebie Homo ares i uznali za jednostkę polityczną niezależną od Ziemi z natury i prawa. Cała populacja Marsa zgodziła się na zerwanie wszelkich więzi z Ziemianami, a potem uchwaliła nową konstytucję i powołała jeden rząd planety oraz ustrój gospodarczy, który później nazywany był różnie: socjalizm, komunizm, utopizm, demokracja anarchistyczna, syndykalizm, wspólnota robotnicza, socjalizm libertariański oraz na wiele innych sposobów. Wszystkie te określenia zostały odrzucone przez marsjańskich politologów, którzy życzyli sobie, aby nazwy miały przymiotnik „marsjański” lub przedrostek „areo-”. Z nowym ustrojem socjoekonomicznym i stworzoną niedawno biosferą, w której ustrój ten miał funkcjonować, Mars stał się siłą zarówno fizyczną, jak i społeczną dorównującą każdemu państwu lub sojuszowi na Ziemi oraz – ze względu na jedność – równą pozostałej zbałkanizowanej ludzkości w...

...obawy się nasiliły, gdy Mars w pierwszym przypływie poczucia niezależności zaczął ograbiać atmosferę Tytana z azotu i nie liczył się ze zdaniem ludzi przebywających już w systemie Saturna – choć trzeba przyznać, że było ich wówczas niewielu. Mniej więcej w tym samym czasie (w latach

2176-2196) grupy Chińczyków rozczłonkowały jeden z księżyców Saturna, Dione, aby wykorzystać go do zainicjowania procesów terraformowania Wenus. Ponieważ na Ziemi trudna sytuacja przerodziła się w Małą Epokę Lodowcową (około roku 2140), nie było siły dość potężnej, aby przeciwstawić się tym działaniom Chińczyków. Lecz te dwa zdarzenia przyczyniły się do powstania Ligi Saturna, która z czasem zdołała zapewnić suwerenność systemowi Saturna. Prawdą jest jednak również, że groźba konfliktu między Saturnem i Marsem, fantomowa wojna o niepodległość, jak to czasami nazywano, stanowiła element niezbędny do sfinalizowania tego dążenia...

...ziemski satelita nigdy nie osiągnął niepodległości, zawsze był podzielony na miasta i regiony kontrolowane przez różne ziemskie ugrupowania. Zresztą pełne terraformowanie Księżyca byłoby trudne, ponieważ znajdował się zbyt blisko i zbombardowanie go asteroidami, żeby nadać mu ruch wirowy i atmosferę, mogłoby narazić Ziemię na groźny deszcz tektytów. Prawdą było również, że metale i użyteczne związki chemiczne w księżycowych skałach można wydobywać tylko dzięki głębokim szybom odkrywkowym, co wpływało znacząco na powierzchnię Księżyca i zarazem utrudniało terraformowanie. Dlatego olbrzymie kratery poudzerzeniowe i obszary chronione powłoką namiotów przeplatały się tam z wielkimi na kosmiczną skalę rowami kopalń, ponieważ każdy kraj z wystarczająco dużym wpływem wydobywał lunarne surowce. Wczesne inwestycje Chin na Księżycu bezpośrednio doprowadziły do ich wpływów na Wenus, ponieważ wenusjańska osłona przeciwsloneczna została wyprodukowana w chińskich fabrykach na Księżycu. W tym samym czasie inne ziemskie państwa również założyły bazy księżycowe, przez co zjednoczenie polityczne na srebrnym globie stało się praktycznie niemożliwe. Niektórzy w tym właśnie upatrują początków Bałkanizacji, chociaż większość uważa, że to dekoherencja góstek i

po prostu rozmiary Układu Słonecznego stanowią kluczowe...

...Bałkanizacja jest oczywiście przedmiotem sporów. Osądzanie jej zasięgu to nowe dantejskie piekło, niełatwo przedstawić bowiem ogromny wpływ na dywersyfikację życia w naszych czasach...

...sukces jest porażką. Accelerando rozprzestrzeniło wszelkie słabości, choroby i zbrodnie typowe dla ziemskiego ustroju tamtej epoki, do tego rozprzestrzeniło tak szeroko, że nigdy nie będzie można tego opanować. Puszka Pandory została...

...na początku dwudziestego czwartego wieku Przymierze Mondragonu stworzyło trzecią siłę dla Marsa i Ziemi, a Jowisz i Liga Saturna stały się znaczącą przeciwwagą. Sytuacja ta, dyplomatycznie bardzo delikatna i skomplikowana, spowodowała znowu dyskusje o „równowadze sił”, „wielkiej grze” i „zimnej wojnie” oraz podobne – wszelkie sprawy z wcześniejszych epok zaczęły nas nawiedzać, głodne duchy zwodzące nas naciąganyymi analogiami, martwi przesłaniający wzrok żywym! W ostateczności jednak Bałkanizacja okazała się ze względu na swój zasięg i naturę czymś nowym...

W tych latach krążyły plotki, że marsjańscy szpiegzy byli wszędzie, w całym Układzie Słonecznym, ale nieustannie raportowali dowództwu, że nie ma powodów do obaw – Bałkanizacja oznaczała, że Mars musiałby stawić czoła jedynie stochastycznemu chaosowi rozproszonej ludzkości...

# WAHRAM NA ZIEMI

Ta sprawa może zmienić jego plany, nie wspominając, że także życie. Zadowolili osobę, której nie tylko dobrze nie znał, ale też niezbyt jej ufał; która często była na niego zła i równie łatwo potrafiła uderzyć go w pierś, jak i posłać mu uśmiech; bez wahania podbiłaby mu oko, krzywiła się na niego z odrazą. Dlatego tak naprawdę wysiłki Wahrama, aby sprawić tej osobie przyjemność, określić by raczej należało jako tchórzostwo, nie przywiązanie – a to Tytana zaskoczyło. Wychodziło jednak, że będzie się zajmował tą sprawą. Większość tego roku spędził na podróżach po całym Układzie Słonecznym, roztaczając dyplomatyczne i materialne wsparcie dla planów Alex dotyczących odrodzenia Ziemi oraz dokładniejszego zbadania problemu qostek. Dodać do tego trzeba jeszcze kampanię, nad którą spędził sporo czasu, starając się wymyślić sposób na zastosowanie pomysłów Swan w kwestii polepszenia warunków życia dla zapomnianych Ziemiaków. Wątpił przy tym, aby ona była świadoma jego wysiłków, ale wydawało mu się, że wiedziałaby, gdyby chciała. Życie Wahrama było otwartą księgą, z wyjątkiem części, którą ukrywał przed Swan. Na pewno nie zamierzał mówić jej, co zrobił. Sądząc z emocji podczas ich ostatniego spotkania – gdy go uderzyła i skrzyczała – poświęcała uwagę jego działaniom i będzie to robiła nadal. A liczyły się tylko czyny.

Jego nowa praca z natury była przerażająco ciężka w pseudo-iteratywnym

trybie Wahrama, przez co stawiała się bardziej „pseudo” niż „iteracją”, okazując się czystym, odzierającym z rutyny strumieniem – każdy dzień był inny, bez możliwości znalezienia wzorca. Wahramowi było ciężko, zastanawiał się, kiedy mijał dzień za dnem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, dlaczego robi to, co robi. I dlaczego Swan się jeszcze z nim nie skontaktowała, żeby połączyć siły. Razem osiągnęliby więcej. Połączenie sił wewnątrz i zewnątrz Układu Słonecznego przyniosłoby dobre skutki. Zwłaszcza że Merkury i Saturn powinny zostać sojusznikami – gdyby tak się stało, obie planety stanowiłyby siłę niemal równą innym dużym graczom pomiędzy nimi. Wahram potrafił dostrzec wiele potencjalnych korzyści i możliwości nacisku. Ale Swan nie próbowała nawiązać kontaktu, nie wysłała nawet jednej wiadomości.

Dlatego pracował sam. W niektórych krajach kampania, którą prowadził, nazwana została gnu – Gwałtowna Niespełniona Ulga. Niespełnienie dotyczyło Deklaracji Praw Człowieka onz oraz wykroczeń związanych z wieloma paragrafami tego dokumentu, najczęściej jednak paragrafu 17,23 i 25 z dwudziestu ośmiu przytaczanych okazyjnie jako przypomnienie dla opornych władz. W innych krajach program oparty był na czcigodnej organizacji indiańskich władz – Stowarzyszenia dla Eliminacji Ubóstwa na Terenach Rolniczych, seutr. Stowarzyszenie niewiele osiągnęło ze swoich celów statutowych, ale stanowiło istniejącą agencję i przez Mondragon zostało uznane za najlepsze ze złych rozwiązań do przekazania pomocy. Wahram w ogólności się zgadzał, że ten model to przykład paradoksu Jevonsa w najczystszej postaci – wzrost wydajności spowoduje tylko większą konsumpcję, a większa pomoc zwykle doprowadzi do większego cierpienia, w jakiejś zwrotnej pętli, jeśli posłużyć się mamą analogią – albo może bardzo dobrą, ale wtedy system ten jawić się będzie jako przedsięwzięcie wampirycznych bogaczy, którzy podróżują po Ziemi i kleptopasożytują na

biednych. Nikt nie chciał tego słuchać i dlatego powtarzano błędy znane już od czterystu lat, lecz teraz w o wiele większej skali.

Cóż, Ziemia. Planeta smutku.

Oczywiście na Ziemi były też silne ugrupowania stanowczo sprzeciwiające się majstrowaniu w wykonaniu obcych z kosmosu w ogólności, a powstaniu warunków do zatrudnienia wszystkich ludzi w szczególności. Pełne zatrudnienie, jeżeli zostanie wprowadzone, zlikwiduje „presję płacową” – fraza ta zawsze oznaczała „strach wszczepiony w serca biedaków”, a także wszystkich, którzy obawiali się nędzy, czyli praktycznie niemal każdego na Ziemi. Ten strach stanowił właśnie główne narzędzie kontroli społeczeństwa, w rzeczy samej podporę obecnego porządku, pomimo jego wielu oczywistych usterek. Chociaż ustrój był tak zły, że każdy żył w strachu albo przed głodem, albo gilotyną, trzymano się go kurczowo i z całych sił. Aż bolało, gdy się na to patrzyło.

Jednak ludzie wpuśdzeni w nędzę byli gotowi spróbować czegokolwiek. Zatem coś powinno się udać.

• •

Wahram ruszył do Starego Świata jak nowożytny Ibn Battuta, rozmawiając z agencjami rządowymi, które mogły coś zrobić. Było to nieprzyjemne zadanie wymagające prawdziwej dyplomacji, aby uniknąć obrażenia kogokolwiek na różne sposoby. Było też interesujące. Ale nadal Wahram nie usłyszał żadnej wieści od Swan. A Ziemia była wielka. Znajdowało się tutaj 457 krajów i wiele stowarzyszeń państw, a także organizacji państwowych lub międzypaństwowych dysponujących znaczącą władzą. Nie zanosilo się, że Wahram przypadkiem wpadnie na Swan tylko dlatego, że ona też pracowała na Ziemi.

Dlatego się za nią rozglądał. Okazało się, że pracowała blisko Północnego

Harare, kraiku na terenach dawnego Zimbabwe. Wahram poczytał o tym miejscu podczas lotu. Zimbabwe, bogate w surowce, szczególnie czarna karta w historii postkolonializmu, rozbite na kilkanaście państweczek, wiele zmagających się nadal z problemami, zaostrzonymi jeszcze przez dotkliwą suszę, ostatnio wzrost liczebności populacji, a zatem dodatkowe kłopoty. Północne Harare miało kształt półksiężyca i było slumsem. Pozostałym małym państewkom wcale nie powodziło się lepiej.

Wahram skontaktował się z Pauline i przekazał, że przylatuje na tereny, gdzie wprowadzano założenia gnu, i wkrótce otrzymał odpowiedź, że Swan przesyła pozdrowienia i proponuje spotkanie jeszcze tego wieczoru, co było pokrzepiające, ale też znaczyło, że Wahram nie będzie miał czasu odpocząć po trudach lotu. Kiedy Swan wbiegła do pomieszczenia, Wahram prawie drżał ze zmęczenia i czuł, jakby ważył dwieście kilo. A przecież teraz właśnie musiał się trzymać.

Powitała go skinieniem głowy.

– Wyglądasz, jakbyś miał za sobą długą i męczącą podróż – oceniła. – Siadaj, zrobię ci herbaty i wszystko mi opowiesz.

Zaczęła przygotowywać napój, ale zaraz musiała przeprosić, aby porozmawiać z kimś, kto właśnie przyszedł. Rozmowa odbyła się po chińsku. Wahram starał się porównać Swan, jaką pamiętał, z tą, którą miał przed sobą. Nadal emocjonalna i wybuchowa, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Przy herbacie wymienili wieści.

Niektóre windy orbitalne wygórowały opłaty za przewóz wyposażenia z kosmosu, inne odmawiały przestrzeniomcom dostępu. Absurdalna sytuacja. Ludzie zaczęli nazywać windę w Quito Pępownią. Wyglądało na to, że pojawi się wąskie gardło dla transportu, ale z wyprzedzeniem powstał plan, aby wysłać na Ziemię samoreplikujące się fabryki ze strefy lunarnej za pomocą zlotu wystrzelonych jednocześnie tysięcy lądowików planetarnych. Dostępny



był szeroki asortyment sterowanych zdalnie pojazdów przeznaczonych wyłącznie do lądowania na Ziemi z orbity, włączając w to takie, które mogły się rozdzielić przed przyziemieniem, choćby po to, aby pojedynczy ludzie lub paczki mogły bezpiecznie poszybować na powierzchnię w aerożelowych bańkach.

– To odwrotność tego, co stało się z Terminatorem – stwierdziła Swan z goryczą. – Zamiast niewielkich odłamków łączących się w wielką masę będziemy mieli wielką masę, która rozpadnie się na części. Ale kiedy wszystkie wylądują, zacznie się odbudowa, nie zniszczenie.

– Można je zestrzelić.

– Będzie ich za dużo, żeby się udało.

– Nie podoba mi się agresja tego działania – westchnął Wahram. – Przecież mieliśmy udawać, że to akcja charytatywna.

– Charytatywność zawsze jest agresywna – odparła Swan. – Jeszcze się tego nie nauczyłeś?

– Chyba nie.

Było dla niego jasne, że tak agresywna pomoc się nie sprawdzi. Ale Swan nie należała do osób cierpliwych. Próbowwała używać dyplomacji, jednak nie miała do tego talentu, w przeciwieństwie do Alex, która była dyplomatycznym geniuszem. A rozwiązać należało problemy od dawna ciążyące na ludzkiej historii.

Całe przedsięwzięcie przekraczało możliwości pojedynczych ludzi – dlatego zajmował się tym Mondragon ze wsparciem Wenus. I dlatego tak wiele się działo. Wydawało się, że wiadomości medialne widziane na ekranach pochodziły nie z jednej, lecz z dziesięciu Ziemi, przepychających się w tej samej przestrzeni. Ziemia oznaczała ludzi jak bogów i ludzi jak szczury, w paroksyzmie gniewu gotowych zniszczyć wszystko, nawet światy w kosmosie, choć tylko dzięki tym światom nie umarli jeszcze z głodu. Na tej

wielkiej karuzeli Ziemia wirowała jak czerwony koń z podwieszoną bombą. A z karuzeli nie można było zejść.

Wahram z roztargnieniem zagwizdał pod nosem początkowe tony symfonii *Pastoralnej* Beethovena. Chciał rozbawić Swan, ale Merkurianka tylko wydeła usta i zmarszczyła lekko brwi. Przynajmniej przypomniał jej o tunelu.

• •

Wielu przybyszy obawiało się odwiedzać subsaharyjską Afrykę, ponieważ liczba wektorów chorób była tu o wiele wyższa niż w większości kosmicznych osiedli. Wahram podejrzewał, że Swan wybrała Czarny Kontynent właśnie na złość tym obawom – jeżeli ktokolwiek miałby wierzyć w hormezę, to właśnie ona, wzięwszy pod uwagę, że skonsumowała porcję obcych organizmów z Enceladusa. I oto znalazła się tutaj, w Nyabirii, zarządzając rozmieszczeniem rusztowań dla replikatorów. Na początek zaplanowano rekonstrukcję części Harare, Domboshawa – transformację pierścienia baraków na północnym krańcu slumsu w jeden z wariantów miasta-ogrodu. Ten „remont infrastruktury” nie był ostatecznym rozwiązaniem, ale fabryki replikujące przy okazji zbudowały studnie, ośrodki zdrowia, szkoły, wyprodukowały wytwornie ubrań oraz domy w kilku stylach, które stosowano już w Domboshawa, włącznie z tradycyjnymi tutejszymi plecionymi chatami.

Samoreplikatory były niemal autonomiczne i dzięki odpowiedniemu oprogramowaniu, wystarczającej ilości materiałów do przerobu oraz odpowiedniej obsłudze przetaczały się przez ewakuowaną część slumsu jak wielkie hangary, pozostawiając za sobą nowe rzędy budynków, świeżo otynkowane, imponująco praktyczne i przytulne. Kiedy gigantyczne stodoły powoli sunęły nad wyznaczoną dzielnicą, pełni nadziei mieszkańcy wiwatowali na ich cześć. To, że stodoły robiły się coraz dłuższe i dłuższe podczas działania, a w końcu rozdzieliły się na dwie jednostki, przeszło

niemal niezauważone. Wspaniała technologia, dzięki której powstało wiele porządných miast-państw w pasie asteroid i na wielkich księżycach Jowisza. Kluczowy składnik Accelerando, szczerze mówiąc.

Ale na Ziemi nie działały równie sprawnie. Transformacje, jakie zostały podjęte, były zbyt wielkie, a to wzbudziło wściekłe protesty, najczęściej napływające z obszarów innych niż te, które właśnie poddawano renowacji. Zmiany przeprowadzano tylWielu przybyszy obawiało się odwiedzać subsaharyjską Afrykę, ponieważ liczba wektorów chorób była tu o wiele wyższa niż w większości kosmicznych osiedli. Wahram podejrzewał, że Swan wybrała Czarny Kontynent właśnie na złość tym obawom – jeżeli ktokolwiek miałby wierzyć w hormezę, to właśnie ona, wzięwszy pod uwagę, że skonsumowała porcję obcych organizmów z Enceladusa. I oto znalazła się tutaj, w Nyabirii, zarządzając rozmieszczeniem rusztowań dla replikatorów. Na początek zaplanowano rekonstrukcję części Harare, Domboshawa – transformację pierścienia baraków na północnym krańcu slumsu w jeden z wariantów miasta-ogrodu. Ten „remont infrastruktury” nie był ostatecznym rozwiązaniem, ale fabryki replikujące przy okazji zbudowały studnie, ośrodki zdrowia, szkoły, wyprodukowały wytwórnice ubrań oraz domy w kilku stylach, które stosowano już w Domboshawa, włącznie z tradycyjnymi tutejszymi plecionymi chatami.

Samoreplikatory były niemal autonomiczne i dzięki odpowiedniemu oprogramowaniu, wystarczającej ilości materiałów do przerobu oraz odpowiedniej obsłudze przetaczały się przez ewakuowaną część slumsu jak wielkie hangary, pozostawiając za sobą nowe rzędy budynków, świeżo otynkowane, imponująco praktyczne i przytulne. Kiedy gigantyczne stodoły powoli sunęły nad wyznaczoną dzielnicą, pełni nadziei mieszkańcy wiwatowali na ich cześć. To, że stodoły robiły się coraz dłuższe i dłuższe podczas działania, a w końcu rozdzieliły się na dwie jednostki, przeszło

niemal niezauważone. Wspaniała technologia, dzięki której powstało wiele porządných miast-państw w pasie asteroid i na wielkich księżycach Jowisza. Kluczowy składnik Accelerando, szczerze mówiąc.

Ale na Ziemi nie działały równie sprawnie. Transformacje, jakie zostały podjęte, były zbyt wielkie, a to wzbudziło wściekłe protesty, najczęściej napływające z obszarów innych niż te, które właśnie poddawano renowacji.

• •

Wielu przybyszy obawiało się odwiedzać subsaharyjską Afrykę, ponieważ liczba wektorów chorób była tu o wiele wyższa niż w większości kosmicznych osiedli. Wahram podejrzewał, że Swan wybrała Czarny Kontynent właśnie na złość tym obawom – jeżeli ktokolwiek miałby wierzyć w hormezę, to właśnie ona, wzięwszy pod uwagę, że skonsumowała porcję obcych organizmów z Enceladusa. I oto znalazła się tutaj, w Nyabirii, zarządzając rozmieszczeniem rusztowań dla replikatorów. Na początek zaplanowano rekonstrukcję części Harare, Domboshawa – transformację pierścienia baraków na północnym krańcu slumsu w jeden z wariantów miasta-ogrodu. Ten „remont infrastruktury” nie był ostatecznym rozwiązaniem, ale fabryki replikujące przy okazji zbudowały studnie, ośrodki zdrowia, szkoły, wyprodukowały wytwórnice ubrań oraz domy w kilku stylach, które stosowano już w Domboshawa, włącznie z tradycyjnymi tutejszymi plecionymi chatami.

Samoreplikatory były niemal autonomiczne i dzięki odpowiedniemu oprogramowaniu, wystarczającej ilości materiałów do przerobu oraz odpowiedniej obsłudze przetaczały się przez ewakuowaną część slumsu jak wielkie hangary, pozostawiając za sobą nowe rzędy budynków, świeżo otynkowane, imponująco praktyczne i przytulne. Kiedy gigantyczne stodoły powoli sunęły nad wyznaczoną dzielnicą, pełni nadziei mieszkańcy wiwatowali na ich cześć. To, że stodoły robiły się coraz dłuższe i dłuższe

podczas działania, a w końcu rozdzieliły się na dwie jednostki, przeszło niemal niezauważone. Wspaniała technologia, dzięki której powstało wiele porządných miast-państw w pasie asteroid i na wielkich księżycach Jowisza. Kluczowy składnik Accelerando, szczerze mówiąc.

Ale na Ziemi nie działały równie sprawnie. Transformacje, jakie zostały podjęte, były zbyt wielkie, a to wzbudziło wściekłe protesty, najczęściej napływające z obszarów innych niż te, które właśnie poddawano renowacji. Zmiany przeprowadzano tylko tam, gdzie mieszkańcy za nimi głosowali, i to przytłaczającą większością, niemal jednogłośnie. I było dobrze, jeżeli sami mogli zaprogramować Si samoreplikatorów.

A potem fabryki w Uttar Pradeś wybuchły, nie wiadomo dlaczego. Władze, które powinny przeprowadzić w tej sprawie dochodzenie, odmówiły współpracy, a ślady wskazywały, że może nawet wspierały atak. Wiadomości medialne o zajściu zachęciły naśladowców i teraz wystarczyło, aby jeszcze kilka maszyn zostało zniszczonych, a globalny projekt zakończy się porażką.

W Swan wzbudzało to wściekłość.

– Ziemianie atakowali nas, gdy im nie pomagaliśmy, a teraz atakują, bo pomagamy – powtarzała z goryczą.

Wahram zaczynał odczuwać napięcie na sam widok rosnącej furii Swan.

– I tak musimy wytrwać – rzucił.

Podobnie działo się na całym świecie. Wahram widział to w wiadomościach, projekt restauracji oplątywała coraz gęstsza sieć prawa, utrudniała praktyka i warunki otoczenia, a od okazji do okazji zdarzał się jeszcze sabotaż albo wypadek. Na Ziemi nic nie można było zmienić bez wywołania zamieszania i bałaganu, niekiedy paraliżujących. Każdy metr kwadratowy Starego Świata był własnością w kilku różnych znaczeniach.

Kosmos tak bardzo się od tego różnił. Na Wenus, jeżeli grupa planistów osiągnęła porozumienie, można było nawet wyrzucić w przestrzeń połowę

atmosfery. Na Tytanie przebiegało to podobnie, również wokół Jowisza i właściwie wszędzie, gdzie przeprowadzano wielkie projekty terraformowania. Wykopać oceany, zmienić skład atmosfery, podgrzać lub oziębic jakiś obszar o setki kelwinów – proszę bardzo... Ale nie na Ziemi. Tutaj w wielu miejscach samoreplikatory były zakazane, a nawet niszczone.

Nieważne, co robiono, wydawało się, że nędza zapomnianych będzie ciągnąć cywilizację na dno, jak gład, który przywiązali sobie do szyi. Elity Ziemi pozostaną na końcu sztucznego wielkiego łańcucha pokarmowego, dopóki się nie zerwie i wtedy wszyscy spadną w przepaść. Żałosny Götterdämmerung, głupi i banalny upadek bogów, a jednak nadal straszny.

Perspektywa takiego końca wprawiała Swan w furję. Wahram – coraz bardziej świadom jej goryczy i coraz częściej cel, na którym wylądowywała gniew – obserwował, jak pewnego ranka Swan klóci się z kobietą z Harare, która pomagała przy operacji. Na widok twarzy karconej kobiety Tytan zrozumiał, że nie może tu zostać, ponieważ albo skończy się to katastrofalną konfrontacją z Merkurianką, albo wzajemną nienawiścią. Dlatego po południu znalazł wymówkę i następnego dnia poleciał do Ameryki, aby dołączyć do ekipy saturnijskiej. Saturnijczycy przybyli niedawno, aby pomóc przy projekcie wydźwignięcia Florydy z morza. W dniu wyjazdu Swan, zajęta jakimiś bieżącymi problemami, machnęła tylko ręką, jakby odpędzała natrętnego moskita.

• •

Floryda zawsze była nisko położonym półwyspem, z nieco wyższym grzbietem na środku, który pozostał nad powierzchnią, gdy poziom morza podniósł się o jedenaście metrów. Z góry nadal można było dostrzec zarysy półwyspu, jako ciemną rafę płytko pod falami, która nadal krwawiła żółcią w nieco głębsze wody wokół siebie. Drapacze chmur Miami wystające nad ocean

użytkowano podobnie jak te na Manhattanie i w podobnych miejscach, lecz w zasadzie stan został opuszczony. Ponieważ jednak większość tamtejszych gleb pozostała, głównie jako warstwa błota na szczycie rafy, a zalanie im nie zaszkodziło, pojawiła się okazja, aby zebrać jak najwięcej, następnie wznieść na półwyspie fundament z głazów i odłamków przeniesionych z Canadian Rockies w Górach Skalistych i na ich powierzchni umieścić glebę.

Innymi słowy, jak na Grenlandii, jednym z niewielu miejsc na Ziemi, gdzie można było dokonać terraformowania bez zbyt wielkich dodatkowych szkód. Naturalnie i tutaj znaleźli się obrońcy nowej rafy i akwenów wędkarskich, którzy podnieśli sprzeciw, ale przekonano ich lub zmuszono do zgody, gdy projekt został zaakceptowany w Atlancie i Waszyngtonie – znajdującym się teraz na polderze za gigantycznym systemem tam i barier na rzece Potomac. Władze stolicy, choć szczątkowe, nadal rezydowały w mieście, teraz w dużej mierze położonym poniżej poziomu morza, więc chętnie przyklasnęły pomysłowi, aby „podnieść Florydę z dna oceanu”.

Był to jeden z największych projektów mikroterraformowania, jaki przeprowadzano obecnie na Ziemi. Wahram cieszył się, że dołącza do swoich znajomych z Saturna, którzy należeli też do grupy zebranej przez spółkę Alabama-Amsterdam. Zespoły na Alasce, w Kolumbii Brytyjskiej, nad Yukonem i w Nunavut kopały w pasmach górskich, tworząc tunele i przesmyki, które zostaną wypełnione zamrożonym dwutlenkiem węgla wyssanym z atmosfery. Wahram wątpił, czy wszystko to uda się wykonać w sposób, który okaże się geologicznie i ekologicznie stabilny. Przede wszystkim dlatego, że chodziło o kolosalną ilość kamienia. Floryda znajdowała się średnio pięć metrów pod wodą i planowano podnieść ją nieco wyżej niż początkowo, na wypadek gdyby stopniały również lodowce na Grenlandii i południowej Antarktydzie. Wykorzystując wąski grzbiet, jedyną pozostałość suchego lądu na Florydzie, jako groblę, transportowano

pociągami wycięte kawałki skał i budowano długie kamienne ciągi, jak dawniej przystanie. Tereny Everglades miały zostać wzmocnione rurami, aby stanowiły bardziej stabilną podstawę nowych, wyżej położonych terenów. W planach założono, że będzie to obszar zajmowany przez specjalnie wyhodowane genetyczne odpowiedniki wytrzebionych gatunków ptaków i ssaków, zamieszkujących półwysep na długo przed przybyciem europejskich imigrantów. Floryda zostanie odtworzona. W północnym paśmie Rockies pogrzebie się natomiast dość dwutlenku węgla, aby cały projekt nie naruszył za bardzo równowagi węglowej.

Do zespołów budowlanych i transportowych początkowo zatrudniano ludzi z Cierpiącego Południa, jak nazywano tę część usa w latach, gdy zachodnia pokrywa lodowa Antarktydy zsunęła się do morza, powodując gwałtowne podnoszenie się poziomu wód. Projekt „Floryda” nie stworzył miejsc pracy dla wszystkich. Jednak podczas podróży pociągiem Wahram przyglądał się mijanym krajobrazom i rozmyślał o tym, co się dzieje. A potem przesłał krótką wiadomość do Swan:

Pamiętasz, jak powiedziałaś na Wenus, że powinno się dać wszystkim pracę przy restauracji krajobrazu? To może się udać.

• •

I tak jeździł w tę i z powrotem między Kanadą a Florydą. Obszar był wielki i w Większości płaski. Upał wysuszył ziemię, na której ongiś uprawiano pszenicę bez nawadniania. Teraz zmieniono zboża i zaczęto meliorację pól, ale spore obszary w Manitobie i Dakotach obróciły się w pustynie. Ludzie mówili, że prerie zawsze były bardzo suche. I że powinny tam znowu zamieszkać bizony. Jednak lasy wzdłuż brzegów Missisipi powróciły, choć bardziej tropikalne. Missouri i Arkansas wyglądały jak obszary z Ameryki Południowej.



Zdarzało się, że przez długie godziny Wahram stał w wąskim przejściu na połączeniu wagonów, gdzie był chroniony przed wiatrem i tylko patrzył na rozległy mijany pejzaż. Specjaliści od gleb i ogrodnictwa, opiekunowie zwierząt i weterynarze, inżynierowie środowiska i projektanci, operatorzy ciężkiego sprzętu, tragarze i kopacze – wszyscy byli niezbędni do prac przy tworzeniu krajobrazu. Gigantyczne maszyny, hangary-replikatory przydawały się tylko w niektórych przypadkach. Miejscowi pracujący na swojej ziemi stanowili lepszy wizerunek niż replikatory spadające z nieba. Ludzie, z którymi tutaj się rozmawiało, okazywali więcej akceptacji dla projektu „Floryda”, podobnie jak tutejsze władze. I wcale sporo przejawiało niemal religijny entuzjazm. Wydobycie z morza zatopionego łądu było spełnieniem ich marzeń. Odbudowanie tam infrastruktury stanowiło zadanie, które nie wzbudzało negatywnych reakcji i nie groziło konsekwencjami, poza niezadowoleniem wędkarzy i wielbicieli rafy, ale tym obiecano stworzenie całkowicie nowej. Floryda zapewne upodobni się do ogromnej Wenecji spoczywającej na wysokich filarach ziemi. Wspomaganie pozwoli tam szybko odrodzić florę i faunę, a wtedy wszystko będzie gotowe do powrotu ludzi.

Podczas jazdy pociągiem na północ Wahram słuchał jednego z inżynierów zajmujących się rafą, który wyjaśniał, że koralowce, jakie tam sprowadzono, uwalniają swoje jaja tylko w jedną noc roku, a nawet w tym samym czasie, przez dwadzieścia minut, chociaż były porzucane na obszarze setek mil kwadratowych. Osiągnięto to dzięki wrażliwym na dwa kolory komórkom, dzięki którym każdy koralowiec potrafił odróżnić szczególny odcień niebieskiego podczas zmierzchu po pierwszej pełni księżyca występującej po wiosennej równonocy. Wtedy księżyc wschodził zaraz po zachodzie słońca, więc pozostawały jeszcze resztki światła dziennego i ten krótki okres podwójnej iluminacji nadawał niebu szczególną barwę, którą rozpoznawały koralowce.

– Muszę o tym opowiedzieć Swan – stwierdził Wahram, zachwycony tak bezmyślną, lecz niesamowitą precyzją żywych organizmów. Co za zdolność odbierania bodźców, czyż nie?

Tymczasem podnoszenie Florydy z morza odbywało się coraz lepiej. Wahram obserwował ludzi przy pracy i chyba rozpoznawał euforię, którą sam odczuwał tak mocno za młodu, gdy budował miasta na Tytanie. Tam ludzie musieli rzeźbić swój świat w lodzie, tutaj musieli jego część podnieść z dna oceanu. Ale uczucie było to samo.

Kiedyś podczas podróży pociągiem na południe stał między wagonami razem z Holenderką, z którą pracował, jasnowłosą prowokatorką. Kiedy pociąg zwolnił przed peronem towarowym, ujrzeli grupę młodych mężczyzn wrzucających kamienie do wagonów towarowych i śpiewających: „Pieprzę cię, pieprzę cię, pieprzę cię!”. Holenderką wychyliła się i krzyknęła:

– Hej! Sami się pieprzcie! Budujemy na nowo Południe! Powinniście się z tego cieszyć!

I roześmiała się złośliwie, po germańsku. Wahram miał nadzieję, że tego robotnicy nie usłyszeli.

## WYCINKI (15)

...mózg jest podatny i można, jak się okazało, wszczepiać do niego urządzenia, komórki macierzyste, narkotyki, elektrody, komórki nerwowe innych gatunków...

...ewolucja zachowuje formy, które działają. Zachowaliśmy mózg, w różnych epokach inne części – gadzie z tyłu i na dole, ssaka w środku, ludzkie na przedzie i na górze. Część po gadach do oddychania i spania, po ssakach do tworzenia stad, a ludzka część – do przemyślenia tego wszystkiego...

...nadmierna selekcja dla uzyskania jednej cechy wypacza ewolucję, można wtedy uzyskać rezultat zwany „złe jako norma”. Kiedy ludzie zaczęli specjacje w samoewoluujące postludzkie formy różnego rodzaju, ten właśnie rezultat pojawia się często, jak w...

...części mózgu reagują na obraz jedzenia, ale nie na samo jedzenie. Ludzie lubią polować. Polowanie przybiera wiele form. Polowanie na umowę, polowanie na znaczenia. Zabijanie dla drapieżnika jest kojące i satysfakcjonujące. Gniew to zawsze złe odczucie, gniew jest bolesny. Bez zdobyczy drapieżnik może nie zdołać wyłączyć trybu polowania. Strach ogranicza gniew. Zwierzęta nigdy się nie oduczą złego strachu. A my jesteśmy zwierzętami. Piloerekcja...

...patologiczna agresja: delfiny zabijają morświny bez żadnego powodu, nie jedzą ich, nie stanowią konkurencji. Czy to wskazuje, że u wszystkich ssaków

występują takie nieznane obszary?

...rozum nie może działać bez emocji. Ludzie, którzy odcinają się od swoich uczuć, nie potrafią decydować. Zatem decyzja, aby manipulować mózgiem przy użyciu terapii hormonalnych, ma szeroko zakrojone konsekwencje. Terapie biseksualnościowe zmieniają poziom oksytocyny, wazopresyny oraz ich analogów. Aerosol do nosa z oksytocyną poprawia kontakt wzrokowy. Endorfiny są naturalnym odpowiednikiem morfiny. Mózg uwalnia endorfiny, gdy zostajemy ranni i gdy dotyka nas ktoś, kogo kochamy. Poszukiwacze mocnych przeżyć łagodzą ból...

...trzy procent ssaków monogamicznych. Zabawa uczy ssaki, jak radzić sobie z niespodziankami...

...pięć różnych obszarów mózgu ocenia melodię, rytm, metrum, tonację i brzmienie. Muzyka była pierwszym językiem ludzi, nadal stanowi język ssaków i ptaków. Muzyka wyprzedza ludzkość o 160 milionów lat. Wprowadzenie grup ptasich neuronów odpowiadających za śpiew do odpowiednich obszarów ludzkiego mózgu wywoływało afazję, a także zjawiska w płacie skroniowym, jak poczucie wszechobecnej wzniosłości, hipermuzykalność prowadzącą do hiperwentylacji (przez gwizdanie lub śpiew)

...

...struny głosowe człowieka pozwalają mruzczyć, wystarczy tylko wprowadzić kocie ciało migdałowate oraz komórki hipokampu i podwzgorza do...

...umiejętności pilotażu maszyn latających można bardzo znacząco usprawnić przez wszczępienie ludzkim operatorom grup neuronów ptaków drapieżnych lub kolibrów. Różnice struktur mózgów ptasich powodują, że wszczępienie do ośrodków śródmiąższowych jest szczególnie...

...możliwe, że orgazm już obciąża odpowiednie układy do tego stopnia, co przepuklina, złamane żebra, zakrzepica czy zawał serca, ale bez fizycznych

uszkodzeń. Wiadomo, że pasażerowie seks-liniowców, którzy wzięli wazotocynę...

...w mózgowiu zakręt obręczy, łac. gyrus cinguli, to ośrodek, w którym mózg steruje ciałem, aby ignorowało strach. To ośrodek odwagi i jego stymulacja może pomóc w przezwyciężaniu lęków lub fobii. Możliwa jest także jego nadmierna stymulacja, po której...

...płat skroniowy to miejsce stanów uczuciowych, jak wszechobecnego uniesienia, hiperreligijności, hiperseksualności, hipergrafii, maniackalnej nadpobudliwości i podobnych. Celowa stymulacja lub zmiany w mózgu mające wywołać jeden z takich stanów łatwo mogą wzbudzić pozostałe lub wywołać epilepsję...

Ludzkie podmioty (wolontariusze), które przyjęły formy życia z Enceladusa, zwłaszcza organizmy *Enceladusea irwinii*, opisywały synestezję i wyostrzenie poszczególnych zmysłów, czasami możliwe do potwierdzenia doświadczalnie. Pogłębione doznania zmysłowe często są równoważone przez zmniejszenie zdolności do generalizacji lub kalkulacji...

## SPISY (12)

nuda, taedium vitae, weddyjska maja, absurd, Weltschmerz, mal du siecle, egzystencjalne mdłości, dysforia, chandra, dół, złe samopoczucie, znudzenie, hebefrenia, zniechęcenie, depresja, melancholia, dezorganizacja, skwaszenie, dystymia, beznamiętność, brak uczuć, smętność, desperacja, zdołowanie, ponury nastrój, beznadzieja, żal, smutek, nieszczęśliwość, hikikomori, alienacja, wycofanie, tristitia, nihilizm, choroba, anhedonia, rozbitcie wewnętrzne, niepokój, strach, ból, przerażenie, groza, osamotnienie, hipochondria, Alterschmerz, tanatofobia, lęk przed śmiercią, igranie ze śmiercią

# SWAN W AFRYCE

Swan wcale nie cieszył projekt restauracji Ziemi. Została, ponieważ w niego wierzyła i uważała, że to najlepszy sposób, w jaki można pomóc. Uważała też, że tak właśnie postąpiłaby Alex, nie wypadało zatem wycofać się tylko dlatego, że przedsięwzięcie okazało się trudne, denerwujące i głupie. Swan przeklinała dzień, w którym opuściła Terminatora, marzyła o tańcu na Wielkich Schodach i zejściu do parku lub na farmy.

Tak szybko traciła cierpliwość. Wahram poradziłby sobie ze wszystkim o wiele lepiej, ale odleciał do Ameryki, sfrustrowany, jak wielu przed nim, niereformowalną Afryką. Swan postanowiła być twardsza, więc postępowanie Wahrama ją zirytowało. Co więcej – podsycalo jej ogólną irytację i odbierało resztki cierpliwości. Pozostawała tylko wrząca wściekłość. Swan zrobiła się dla ludzi szorstka, a zatem jeszcze mniej skuteczna. Budziła się, zastanawiając, jak długo jeszcze pociągnie. Pewnego dnia ktoś powtórzył to, co kiedyś wspomniał Zasha: „Ziemia to kloaka postępu”, a Swan nakrzyczyła na niego bez opanowania.

Innym razem wdała się w kolejną awanturę – z kobietą z Ligi Afrykańskiej, która przyjechała z Daru i chciała narobić kłopotów. Żeby jej nie uderzyć, Swan musiała odejść – pośpiesznie ruszyła w zatłoczone uliczki miasta, przeklinając pod nosem po kantońsku. Wtedy właśnie uświadomiła sobie, że w tym stanie umysłu stanowi tylko przeszkodę i słaby punkt dla sprawy.

Ziemia – zła planeta. Pomimo wiatru i nieba Swan zaczęła nienawidzić Ziemi, i to bynajmniej nie z powodu wysokiego ciężenia, lecz przez widoczne wszędzie świadectwa, co ludzki gatunek zrobił temu światu i co nadal mu robił. Martwa ręka przeszłości, tak wielka, tak ciężka. Powietrze zdawało się gęste jak syrop, Swan oddychała z trudem. W terrariach ludzie żyli wolni, jak zwierzęta – można było nawet zmienić się w zwierzę, wybrać swoją drogę taką czy inną. Żyć nago, jeśli się chciało. Na przekłętej przez Boga Ziemi spiętrzone tradycje i prawa oraz nawyki uciskały człowieka jak gorset, pętały jak kaftan bezpieczeństwa, zmuszając, aby był taki jak inni. I oto byli na jedynym świecie, gdzie po powierzchni można chodzić bez zabezpieczeń, nago na wietrze i słońcu, ale choć ludzie mieli wybór, zamykali się w pudełkach nawyków, coraz mniejszych, jakby wyboru nie było – jakby żyli na stacji kosmicznej – jakby złe czasy wieków niewoli nigdy nie minęły. Nawet nie patrzyli w gwiazdy na nocnym niebie. Idąc wśród tłumu, Swan to sobie uświadamiała. W rzeczy samej, gdyby ci ludzie patrzyli w niebo, już by ich tutaj nie było. Nad ich głowami błyszczał Orion, „najpiękniejszy obiekt, jaki ktokolwiek z nas ujrzy na tym świecie, rozparty na nieboskłonie jak prawdziwy bóg, w którego wystarczy tylko uwierzyć”. Nikt jednak nie patrzył.

Pomimo niezadowolenia Swan kolejny slums w Północnym Harare, przy Dzivaresekwa, wyraził zgodę na pracę z nią i jej zespołem. Dzielnica nędzy przycupnęła nad krawędzią na stromej grani, a ludzie tutaj byli dzikimi lokatorami żyjącymi na granicy między Nowym Zimbabwe i Rodezją, na tyle blisko, aby żadne nie chciało podważać tutejszej suwerenności. W kategoriach politycznych bardzo dobra perspektywa, jednak stromizna stanowiła problem dla replikatorów. Zespół Swan zaprojektował prace tak, aby niektóre maszyny poruszały się po trasach splecionych jak wątek i osnowa, podczas gdy inne wspinały się po zboczu za pomocą teleskopowych nóg, aby utrzymać fabryki



w poziomie. Tym sposobem okolica miała się przemienić w stylową białą wioskę z kolorowymi akcentami. Bez wątplenia byłaby piękna.

Ale pewnego ranka jeden z hangarów nagle skręcił ze zbrocza i przelazł najpierw przez park, a potem zielone przedmieścia Kuwadzany. Wyszkoleni miejscowi opiekunowie replikatorów poddali się po wielu próbach odzyskania kontroli i zeskoczyli z drabin po bokach maszyny prosto w zbierający się tłum.

Swan zjawiała się jak najszybciej, z krzykiem roztrąciła gapiów, po czym wspięła się po stopniach na maszynę. Nawet pozbawiony kontroli olbrzym przesuwał się tylko z prędkością około kilometra na godzinę. Ze szczytu drabiny Swan wsunęła się przez służę do sterowni niczym mostek na holowniku. Nikogo tu nie zastała. Podeszła do tylnej ściany i uderzyła pięścią w wyłącznik ruchu. Nic się nie stało. Lewiatan sunął przez ulice i domy przedmieścia z pomrukiem niczym łoskot wodospadu Niagara. Dopiero teraz pojęła, dlaczego miejscowa obsługa opuściła statek. Skoro nie mogli unieruchomić maszyny wyłącznikiem, nie wiedzieli, co jeszcze należało zrobić.

Swan usiadła przed konsolą sterowniczą i zaczęła szybko wpisywać z klawiatury i powtarzać na głos rozkaz „Stop”. Na początku była spokojna, potem wymagająca, potem spróbowała perswazji, błagań, a na koniec wpadła w gniew, si maszyny ani nie odpowiedziała, ani nie zatrzymała maszyny. Musiała zostać uszkodzona, a to nie było łatwe, wymagało sprytnych nowoczesnych metod sabotażu i przełamania ścisłej ochrony. Swan myślała, że zna ważne kody, ale żaden nie zadziałał.

– Co, do diabła? – syknęła. – Dlaczego tak wielu techników jest niedostępnych?

– Były inne ataki, jeszcze trwają, może zostały zsynchronizowane z tym tutaj – poinformowała Pauline.

– A sama nie możesz mi pomóc?

Pauline odpowiedziała natychmiast:

– Wpisz takie zdanie: „Mgła jest gęsta w Lizbonie”. – Swan wykonała polecenie. – Teraz możesz już sterować jednostką manualnie. Na panelu znajdują się cztery przyciski...

– Wiem, jak się prowadzi ten przeklęty złom! Zamknij się!

– Zatem wiesz, jak użyć hamulców.

Swan zaklęła, po czym nie przestając rzucać obelgami, zawróciła maszynę po ciasnym półokręgu (co znaczyło: długości kilkuset metrów) w stronę grani, lecz nadal pozostawiając za sobą eleganckie nowe domy.

– Szkoda, że ten złom nie działa na opak – warknęła wściekle. – Chętnie dałabym tym bogatym draniom rudery, na jakie zasługują.

– Może lepiej, gdybyś zatrzymała replikator – zauważyła Pauline.

– Zamknij się! – Swan pozwoliła hangarowi przysiąść w sąsiedztwie, a dopiero potem zatrzymać się. – A więc maszynę zepsuto specjalnie? To był sabotaż?

– Tak.

– Cholera. A teraz zostaniemy aresztowane?

– Bardzo prawdopodobne – przyznała Pauline.

Stało się tak, jak Swan przewidziała. Miejscowe władze oznajmiły, że konfiskują zepsuty replikator, a jego operatorzy są aresztowani, oskarżeni i deportowani lub odesłani do więzienia. Swan została objęta nadzorem i zatrzymana w skrzydle siedziby rządu. Nie było to więzienie, ale nie mogła wychodzić i wyglądało na to, że zostanie skazana na odsiadkę.

Na myśl o takiej możliwości Swan zaczęła popadać w coraz większą i coraz bardziej gniewną depresję.

– Zaproszono nas! – powtarzała swoim strażnikom. – Próbowaliśmy tylko pomóc! Sabotaż to nie nasza wina!

Ale chyba żaden z nich nie słuchał. Jeden tylko rzucił groźnię, że zostanie skazana i to ją uciszy raz na zawsze.

W środku tego koszmaru nieoczekiwanie pojawił się Wahram w towarzystwie oficera Ligi Afrykańskiej, niewysokiego mężczyzny z Gabonu, Pierrea. Pierre przepięknie mówił po francusku, ale o wiele słabiej po angielsku.

– Zostajesz zwolniona i oddana pod nadzór twojego kolegi, ale musisz opuścić Północne Harare – oznajmił. – Maszyny konstrukcyjne przejmą miejscowi. I tylko oni odtąd będą mogli je prowadzić. A więc...

Wyciągnął rękę, jakby wskazywał Swan wyjście. Zaskoczona omal nie odmówiła w pierwszej chwili. Ale dostrzegła uniesione brwi i wytrzeszczone oczy Wahrama. Jego strach przypomniawszy Swan, jak bardzo ta sytuacja ją przeraziła. Dlatego posłusznie zgodziła się na warunki Pierrea i ruszyła za Tytanem do samochodu. Wahram wywiózł ją na równinę, gdzie do długiego masztu przycumowany był sterowiec.

– Wynośmy się, póki jest dobrze – zaproponował Wahram.

– Jasne, jasne – mruknęła Swan.

• •

Sterowiec był długi jak cysterna. Należał do wielkiej floty nieustannie okrążającej Ziemię z zachodu na wschód, dostarczającej ładunki powoli, lecz pewnie, ponieważ loty odbywały się regularnie. Ta jednostka miała kształt cygara i gondolę z dużymi oknami, podwieszoną pod spodem na linach. Wahram podprowadził Swan do windy przy maszcie, którą dojechali do platformy. W sterowcu minęli długi korytarz prowadzący do dziobu, gdzie znajdował się pokład widokowy, trochę podobny do baniek na tyłach lub przodach terrariów. Wahram zarezerwował dwa fotele i stół na później. Wkrótce maszyna odcumowała i zaczęła się wznosić.

Po południu, gdy usiedli przy stole, mogli podziwiać zielone wzgórza Ziemi, przepływające w dole powolną paradą. Widok był piękny, ale Swan nie patrzyła.

– Dziękuję – powiedziała sztywno do Wahrama. – Wyciągnąłeś mnie z poważnych kłopotów.

Wzruszył ramionami.

– Miło, że mogłem pomóc.

A potem zaczął opowiadać o pracy w Ameryce i problemach w różnych zakątkach świata. O wielu Swan jeszcze nie słyszała, ale wynikający z nich wzorec był rozpaczliwie wyraźny. Nic nowego pod słońcem: Ziemia miała przejebane.

Wahram, jak to Wahram, doszedł do bardziej umiarkowanej konkluzji.

– Wydaje mi się, że nasza pierwsza fala pomocy była trochę za bardzo... śmiała, z braku lepszego określenia. Za bardzo skupiona na odtworzeniu krajobrazu i budowaniu domów na niewielkich obszarach. Może ludzie powinni czuć, że choć trochę pomogli przy stawianiu swoich domów.

– Nie sądzę, żeby ludzi obchodziło, kto je postawił – zaproponowała Swan.

– Ale w kosmosie nas to obchodzi. Dlaczego nie tutaj?

– Ponieważ kiedy twój dom może się w każdej chwili zawalić i zabić ci dzieci tylko dlatego, że właśnie zaczęło padać, jesteś szczęśliwy, gdy widzisz maszynę, która zastępuje go lepszym schronieniem! Nie martwisz się o uczucia, dopóki nie zostaną zaspokojone twoje potrzeby materialne. Wiesz o tym. Hierarchia potrzeb to nie wymysł.

– Owszem – stwierdził Wahram. – Nie przeczę. Ale ciągle słyszymy skargi na nasze działania. I nie można zaprzeczyć, że projekty spotykają się z wrogością. Jesteśmy jak Guliwer przywiązany do ziemi.

– To nie jest dobra analogia – sprzeciwiła się, przypomniawszy sobie wysokich i małych na seksliniowcu. – Sporo protestów wygląda, jakby

pochodziły od zwykłych ludzi, choć to tak naprawdę reakcjonistyczna obstrukcja. Musimy zerwać więzy, którymi chcą nas spętać politycy!

– Mnie się wydaje, że analogia jest dość odpowiednia – mruknął Wahram spokojnie. – Liny, które pętają Guliwera, to prawo. Dlatego to takie ważne. Ale jest sposób, żeby to obejść. Można się wysłizgnąć. Praca, jaką wykonaliśmy w Kanadzie, okazała się bardzo obiecująca.

Podano herbatę i Tytan napełnił filiżankę dla Swan, o której kobieta natychmiast zapomniała. Wahram popijał powoli, spoglądając na Ocean Indyjski i zieloną podłużną wyspę daleko na południu. Madagaskar – jeden z najbardziej zniszczonych ekosystemów w historii, a teraz wzorcowe hybrydowe wniebowstąpienie. Jedna z największych wysp na Ziemi stanowiła teraz dzieło sztuki krajobrazowej i rozkwitała. Ludzie przybywali tutaj, aby zobaczyć lasy i ogrody.

Wahram wskazał ją Swan.

– Restauracja krajobrazu odbywa się wszędzie, gdzie ludzie próbują poradzić sobie ze zmianami. To ogromny wysiłek, przywiązujący do miejsca. Nie można tego zrobić na dystans. Nie można wykorzystać różnych kursów walut. Nie można wyciągnąć z tego korzyści materialnych. Dlatego tak dobrze nadaje się do naszych celów. To dobro wspólne i musi być zrobione. To nawet nie restauracja tak naprawdę, ponieważ stare wybrzeże znikło na zawsze, a przynajmniej na setki lat. Ale tworzona jest nowa linia brzegowa dla wyższego poziomu morza. To jeszcze surówka. Ocean zabiera wszystko, co wcześniej przynosi, uwolnionych zostało sporo toksyn. Nowe wybrzeże i strefa pływów wygląda zwykle katastrofalnie. Naprawienie tego to bardzo ciężka praca. A jednak każdy, kto mieszka nad morzem, chce restauracji wybrzeża. Wielu chce nawet zrobić to samodzielnie. Projekt, w który zaangażowałem się na Florydzie, był trochę niezwykły, bo chociaż wyglądał na restaurację, tak naprawdę to rekonstrukcja z resztek. Inny rodzaj

terraformowania. Przypomina restaurację, ponieważ Floryda znajdowała się tam, gdzie podjęliśmy prace. W zasadzie to samo można zrobić na każdej płyciźnie. Może się nawet udać bez przenoszenia gór do morza. Są koralowce, które bardzo szybko rosną, można ich użyć jako fundamentów. Poszerzyć podstawy, wykorzystując komponenty bioceramiczne. Widziałem grupy, które użyły koralowców – organizmy rosną szybko na nowych wybrzeżach, ani się obejrzysz, a już masz cudowny biały piasek, bardzo przyjemny. Skrzypi, gdy się po nim chodzi.

Swan wzruszyła ramionami.

– Jasne, pewnie. Ale nie zamierzam porzucić bezpośredniego budowania domów.

– Wiem. – Wahram popatrzył na wyspę w dole. Wydawało się, że zasnął.

Po paru minutach wyprostował się i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się zawahał. Swan to dostrzegła.

– No co? Powiedz.

– Jest coś jeszcze. – Spojrzał na nią niemal nieśmiało. – Zastanawiałem się. Z tego, co tutaj robimy, ważne jest przede wszystkim udowodnienie, że reformy wewnątrzustrojowe na Ziemi nigdy nie będą wystarczające. Innymi słowy, że nadal potrzebna jest rewolucja.

– Przecież właśnie to ci mówiłam na Wenus!

– Wiem. I teraz zaczynam się z tym zgadzać. Mówiłem ci o projekcie prowadzonym przez Alex? Chodziło o przechowywanie zwierząt w terrariach, żeby kiedyś przenieść je z powrotem na Ziemię. Pamiętasz?

– Oczywiście. Alex chciała, żeby zwierzęta rozmnażały się w terrariach, aż nadejdzie odpowiednia pora, żeby zwrócić je Ziemi.

– Właśnie. I właśnie o tym myślałem. Zastanawiałem się, czy nie nadeszła pora.

Swan spojrzała na niego zaskoczona.

– Masz na myśli: pora na powrót zwierząt?

W jej piersi wezbrało uczucie, którego nie potrafiła nazwać: jak ocean chmur przetaczający się w jej wnętrzu, iskrzący napięciem nadchodzącego gromu...

– Tak uważasz? Naprawdę?

Wahram oderwał wzrok od Madagaskaru i popatrzył na Swan. Uśmiechał się trochę głupkowato, ale szczerze, trochę krzywo. Uśmiech Ropucha, ale ciepły i dobry.

– Tak.

## SPISY (13)

Nietoperze. Leniwce. Wyraki i tapiry. Słonie i foki. Nosorożce. Lwy, tygrysy i niedźwiedzie. Wapiti, łośie, bawoły, piźmowoły. Karibu i renifery, kozice i capra. Tygrysy i lamparty śnieżne. Szczekuszki i jelenie. Orangutany, makaki, gibony i czepiaki (wszystkie gatunki naczelnych są zagrożone). Krety i nornice. Jeże i borsuki, muflony, mrówniki i pangoliny, góralki i świstaki. Liścionosy, straszaki, furiaki. Lisy i zające. Sarny, dziki, pekari, manaty. Jeżozwierze. Wilki...

Nieprawda, że na Ziemi każdy ssak większy od królika jest zagrożony. Większość jest tylko...

Ssaki to gromada zwierząt, do której należy 5490 gatunków w 1200 grupach, 153 rodzinach i 29 rzędach.

Kapibary, jaguary, żyrafy, bizona, konie Przewalskiego, kangury. Zebry, gepardy, rosomaki...

Największy rząd stanowią gryzonie (rodentia), potem nietoperze (chiroptera), ryjówki (soricomorpha), drapieżne (carnivora) i cetartiadactyla (ssaki parzystokopytne i walenie) oraz naczelne...

Wszystkie upadają.

Proszę...

niech wróćą...



# SWAN I WILKI

Wszystkie nadleciały razem. Najpierw wielkie lądowiki chronione przed gorącym tarczami, potem mniejsze, opadające na spadochronach, a potem w złuszczających się torbo-balonach. Dryfowały wtedy przez przestrzeń powietrzną, w którą naród Inuitów pozwolił im wkroczyć. Kiedy znalazły się kilkaset metrów nad ziemią, każdy lądownik rozpadł się na tysiące aerożelowych baniek. Każda przejrzysta kula i zarazem sprytny balon skrywała w środku zwierzę lub rodzinę zwierząt. Nikt nie wiedział, co sądzą o tej podróży zwierzęta – niektóre miały się w swoich bańkach, inne przyglądały spokojnie. Zachodni wiatr pchał bańki na wschód jak wielkie nasiona. Swan rozglądała się na wszystkie strony: na niebo przysłonięte przejrzystymi zarodnikami. Nawet z bliska bańki były prawie niewidoczne, widać było tylko ich zawartość, więc Swan opadała na wschód wraz z tysiącami wilków, niedźwiedzi, reniferów, pum. Zauważyła parę lisów, stadko królików, rysia lub ocelota, grupkę lemingów, czaplę próbującą latać wewnątrz balonu. Wydawało się, że to sen, ale Swan wiedziała, że wręcz przeciwnie. To samo działo się na całej Ziemi: do morza trafiały delfiny i wieloryby, tuńczyki i rekiny. Ssaki, ptaki, ryby, gady, płazy – wszystkie utracone stworzenia spadały teraz z nieba w każdym kraju, nad każdym akwenem. Wielu z tych stworzeń nie widziano na Ziemi od dwustu lub trzystu lat. A teraz wszystkie wracały, wszystkie naraz.

Swan wylądowała wraz z grupą zwierząt. Opadli w pasie nowej pszenicy na południu, przy Nunavut, w „Naszej Ziemi”. Swan miała przyziemić gdzieś w kotlinie na środku terenów zajmowanych przez pola ozimego ryżu i pszenicy. Każde pole znaczyły niewielkie pagórki – pingo, jak czyraki, które powstały, gdy duże odłamki lodu przepływały przez błoto topniejącej zmarzliny. Kiedy Swan się zbliżyła, trudno było powiedzieć, na którym z tych wzniesień miała opaść. Zresztą nie miała żadnej kontroli nad bańką, a że nigdy wcześniej tak nie lądowała, cieszyła się każdą chwilą – jakby lotem na czarodziejskim, przezroczystym dywanie.

Wokół opadające zwierzęta zaczynały zdawać sobie sprawę, że ziemia jest blisko, niektóre się szarpały, inne przyczyaiły, wiele rozstawiło szeroko nogi, jak spadające koty lub latające wiewiórki – dokładnie tak, jak należało, choć było to przecież ich pierwsze lądowanie. Może pozostałości jaszczurzych zachowań, dzielone przez wszystkie bardziej rozwinięte istoty. Swan również wylądowała z łatwością, jakby wychodziła z windy. Zetknięcie z gruntem sprawiało, że balon pękał, a aerożel rozwiewał się w powietrzu.

I oto wylądowała, stanęła na wzgórzu przy Nunavut.

W grupie obserwacyjnej razem ze Swan były jeszcze trzy osoby, które przyziemiły tak blisko siebie, na ile pozwolił im wiatr. Rozejrzała się za nimi. Uniosła głowę, krzyknęła, roześmiała się i omal nie usiadła z wrażenia – z nieba nadal opadało mnóstwo zwierząt. Z zachodu wśród niskich cumulusów leciały karibu, łosie, niedźwiedzie grizzly, wszystkie brązowe kropki z rozstawionymi nogami. I wiele innych stworzeń, wiele w gromadach, niektóre za wysoko, by je rozpoznać. Wokół gęste zboże falowało od przemykających stworzeń, które już się uwolniły z przejrzystych kul i uciekały w poszukiwaniu schronienia. Któreś mogło wylądować tuż przy Swan, musiały uważać. Roześmiała się na samą myśl, a potem uniosła ramiona i zawyła do wilków na niebie. W oddali inne wilki zaskomlały. Zabrzmiały również

porzukiwania i okrzyki, wiele przestraszonych, ale trudnych do odróżnienia. Swan tylko zakładała, że to strach brzmi w tym harmidrze, ale może to był triumf? Nareszcie w domu!

– Wszystkie dzieci Boga nareszcie są w domu – oznajmiła przez radio.

Inni ludzie zameldowali, że także już wylądowali. Chłodny zachodni wiatr znowu dmuchnął mocniej i Swan jeszcze raz zawyła. Ostatnia fala baniek spłynęła na ziemię i znowu widziało się tylko chmury. W oddali dryfowało tylko kilka czarnych punktów, rozjaśniających się w miarę zbliżania do ziemi. Ogólnie był to najpiękniejszy widok, jaki Swan w życiu napotkała.

– No dobrze – mruknęła, wyłączwszy radio. – Kocham was. Doskonała robota. – Czy zwracała się do Alex, czy do Wahrama, czy do świata, nie wiedziała.

• •

I oto stała tutaj, w tajdze między lasem polarnym i tundrą. Teraz były tu także karibu i grizzly oraz pумы – w każdym biomie potrzebne są drapieżniki, aby ekosystem rozkwitał. Niedźwiedzie od razu zajęły wzgórza, pумы również zniknęły wśród wzniesień. Ale wilki najpierw będą się szukać i łączyć w gromady, a zatem watahy pozostaną na widoku – a Swan chciała to zobaczyć. Całe życie śledziła te drapieżniki w terrariach, polowała z nimi, ruszała w pogoń za zdobyczą, zasypiała w pobliżu stada, niedaleko karmiących samic. Wyła z nimi tyle razy, że nie umiałyby zliczyć – za każdym razem, gdy słyszała wycie, przyłączała się w przekonaniu, że to ludzka rzecz. Kiedy czuła, że któreś ze zwierząt na nią patrzy, odpowiadała spojrzeniem. Widziała wilki spotykające kojoty, kruki wskazujące im kierunek pogoni, aby potem skorzystać przy podziale zdobyczy. Swan wiedziała, że ludzie uczynili wilki bardziej ludzkimi – tak powstały psy, a w tym samym czasie wilki uczyniły ludzi bardziej wilczymi – nauczyły ich zachowań stadnych. Żadne z

naczelnych nie miało przyjaciół spoza swojego rodu, tylko ludzie nauczyli się tego od wilków. Oba gatunki w różnych okresach żywiły się resztkami po sobie albo uczyły od siebie metod polowania – tylko wilki i ludzie. Krótko mówiąc – koewoluowali.

Teraz naczelnym przywrócono resztę rodziny. I dlatego Swan tutaj była.

Jej czteroosobowa grupa miała za zadanie sprawdzić, czy jakieś zwierzę nie zostało uwięzione w swojej bańce, a jeżeli tak, uwolnić i pomóc, gdyby odniosło rany. Nie zakładano, że często się to zdarzy, ale teren tutaj był pagórkowaty, ze wzgórzami polodowcowymi i rozpadlinami nazywanymi kotłami, które powstały, gdy lodowe rdzenie wzgórz topniały. Kotły były okrągłe i miały strome ściany, często też wypełniała je woda wypływająca tuż spod podłoża. Próbowano tu zaszczyć pszenicę i transgeniczny ryż ozimy, jak w całej tundrze i tajdze na północy, aby wykorzystać zmianę klimatu, ale okazało się to trudniejsze, niż przypuszczano. W rezultacie teren był nieprzewidywalny i nieudane lądowania mogły się zdarzyć.

Okazało się jednak, że bańki spełniły doskonale swoje zadanie. Ani Swan, ani jej współtowarzysze nie znaleźli żadnych zwierząt w opałach. Wszystkie natomiast się przemieszczały, niektóre uciekały w panice. Wkrótce jednak nawet te przestraszone zmęczą się i przystaną, a potem zaczną się rozglądać. Swan miała nadzieję, że krajobraz nie wyda im się zbyt obcy. Większość terrariów utrzymywała ciężenie ziemskie właśnie ze względu na ten moment, a wnętrza tych światów zostały zaprojektowane tak, aby przypominały środowisko życia, do którego teraz wracały zwierzęta.

Karibu były na tyle duże, że łatwo znalazły innych przedstawicieli swojego gatunku. Mniejsze stworzenia umknęły w pszenicę, skierowały się na zachodnie wzgórze lub w niski kosodrzew widoczny na południu. Żadne zwierzę w polu widzenia nie potrzebowało pomocy. Wszystkie znalazły się na ziemi i oto miały stawić czoła swojemu nowemu przeznaczeniu.

• •

Każde zwierzę zostało oznakowane i teraz można je było zobaczyć na ekranach jako wzory kolorowych kropek. Grupa Swan przystąpiła do kolejnego etapu planu – miała śledzić karibu i jeżeli zajdzie konieczność, zagonić je, jak psy pasterskie gonią owce, na trasę wiodącą na wschód – do rzeki Thelon. Ta pierwsza wędrówka będzie instynktowna, lecz bez celu – chyba że odnajdą stare szlaki wymarłych już stad Beverly, Bathurst i Ahiak – którąkolwiek wybiorą drogę, będzie to początek utrwalania zapachów i innych znaków na szlaku sezonowych wędrówek. Potem powstanie stały korytarz przecinający nowe pola pszenicy, korytarz, którego może będzie trzeba bronić w stosownych organach sprawiedliwości, ale ten problem rozwiąże się, gdy nadejdzie pora – najpierw karibu muszą przeprowić się przez rzekę. To prowadzenie wędrówki zwierząt przez tereny uprawne było największym zorganizowanym aktem obywatelskiego nieposłuszeństwa popełnionego przez przestrzeniowców na Ziemi. Przyświecała mu nadzieja, że po tym, jak zwierzętom pokaże się drogę raz, poradzą sobie same, a przy tym zaskarbią sobie sympatię miejscowych, nawet farmerów, którzy i tak nie mogli się pochwalić ogromnymi sukcesami, jeśli chodzi o rolnictwo. Eskorta mogła też zostać zatrzymana i aresztowana, zanim skończy swoje zadanie, ale liczone, że korytarz szybko zostanie uznany za wart poświęconej dla niego ziemi.

• •

Jak zwykle, gdy szła w grupie, Swan została w tyle. Tyle było do oglądania, tak piękne widoki, że zapomniała o swoim zadaniu, nawet teraz. Plany i badania poświęcone odtworzeniu dziczy na Ziemi trwały prawie od stu lat, a Swan brała w nich teraz udział – jednak nadal potykała się zapatrzona w kwiaty wychylające się z kamienistej gleby tu i tam, aksamitne plamki

zaskakująco intensywnej barwy. Czyste jasnyniebieskie niebo przecinały linie cumulusów toczących się na wschód. Swan przed oczyma nadal miała obraz opadających i szybujących zwierząt niczym nasiona na wietrze – rozmarzyła się tak, że szła jak we śnie, dlatego naturalnie zwolniła. Zresztą miała kontakt radiowy z grupą. Rozmowy na kanale wydawały się Swan gorsze niż paplanina Pauline, dlatego je wyciszyła. Skontaktuje się, kiedy uzna to za potrzebne. Teraz jednak wolała skupić się na gruncie pod stopami. W zeszłym roku, gdy pracowała w Afryce, wszystko brała za pewnik, jakby po prostu zapomniała, gdzie jest. Popadła w tarapaty, podczas gdy wokół zrywał się już wiatr zmian. Teraz znalazła się tutaj, na tej otwartej wielkiej przestrzeni, w tajdze. Na południu wyrastała kolejna – płatanina karłowatych sosen. Niskie wzgórza na wschodzie pod linią chmur. Niebo niewyobrażalnie wysoko, bladobłękitne, pastelowe, z kłębiącymi się obłokami. W powietrzu niósł się chyba lekki zapach ognia. Wysokie popołudniowe słońce – 5 sierpnia 2312 roku. Nowy dzień. Ciepły, lecz nie upalny. Trochę wilgotny. Sporo owadów.

Swan nosiła kombinezon, który chronił ją przed wilgocią i skutecznie odpędzał komary i muchy. I dobrze, bo owady zbierały się w gęste chmury, które z daleka przypominały kłęby wirującego dymu. Nie dostrzegała nikogo ze swojej grupy. Falisty teren przecinały głębokie rozpadliny, pewnie stare ozy, dlatego widok od wschodu miała ograniczony. Wspięła się na zbocze polodowcowego pagórka i rozejrzała uważnie. Ach, oto i Chris, kilkaset metrów z przodu. Chyba macha do kogoś, kto znajdował się jeszcze dalej. No i dobrze.

Gąbczasta trawa i mech tajgi wypełniały każde zagłębienie. Tylko metr wyżej znajdowały się długie, płaskie kopce skał, które przecinały bagno z północy na południe. Byłoby dobrze trzymać się tych naturalnych dróg, ale grupa Swan ruszyła na wschód za stadami karibu.

Swan poszła na północ, do wzniesienia z linią drzew sięgających jej do

pasa. Wspięła się na szczyt i przystanąła na widok znajdującego się naprzeciwko stada wilków. Wylądowały niedawno i teraz biegały wokół, węszyły i podszczypywały się wzajemnie, zatrzymywały na chwilę, aby zawyć, po czym znowu zrywały się do biegu. Bez wątpienia były podniecone i zdenerwowane lądowaniem. Swan wiedziała, jak się czuły. Zajęło im trochę czasu, aby się odnaleźć, zebrać i ruszyć na wschód. Wilki miały szarą sierść z czarnymi i brązowymi plamami i pręgami, w letnim futrze wydawały się smukłe. Szersze w barkach i o bardziej kwadratowych łbach niż większość psów, a jednak nadal pod wieloma względami podobne do najlepszych przyjaciół człowieka. Dzikie psy, dobrze zorganizowane – zawsze było to trochę niepokojące. To, że przystosowały się tak dobrze, że były tak porządne i skore do zabawy, zaskoczyło nieco Swan i przypomniało jej, że to właśnie wilki pojawiły się pierwsze i były mądrzejsze od psów.

A teraz Swan na nie natrafiła i postanowiła ruszyć z watahą. Wkrótce zaczęła dyszeć. Żaden człowiek nie dotrzyma kroku wilkowi w biegu, ale jeżeli idzie się za stadem, ono często przystaje, żeby spojrzeć na intruza i powęszyć, a potem mieć obcego na oku lub jeśli zniknie, odnaleźć go szybko. Basior zawył i reszta watahy odpowiedziała, włącznie ze Swan. Musiała przyśpieszyć biegu, jeżeli chciała towarzyszyć zwierzętom. Nie będzie łatwo. Starła się utrzymywać kondycję poza Ziemią, nie tutaj – ironia, która teraz wywołała u Swan grymas i postanowienie poprawy.

Wataha liczyła dziewięć wilków. Dużych, z większą liczbą czarnych niż białych pręg. Kiedy biegły, sierść im falowała jak włosy. Pokonywały odległość wilczym truchtem, choć przypominało to kłus. Swan zawyła, gdy patrzyła, jak bieżną. W piersi wezbrał jej ocean emocji – wolne wilki na Ziemi. Poczucie szczęścia było tak głębokie, że aż bolesne – kolejne doświadczenie z poznania świata.

W oddali kopce polodowcowe oraz kotły zaczynały się wypląszczać i ziemię

okrywały łąny zbóż. Wilki zawahały się na ten widok i Swan mogła prześlizgnąć się za nimi na południe, za wschodnie zbocze pagórka. Rozciągające się przed watahą pole zostało wyrównane laserowo, powstało z równiny przechylającej się na wschód o około pięć metrów na każdy kilometr. Rzeczywiście płaska ziemia – nierealna – sztuczna. I na swój sposób dzieło sztuki. Wkrótce jednak zostanie poddana rekonfiguracji. Osiem kilometrów dalej widoczny był kolejny polodowcowy pingo i kolejna pręga nieokiełznanej tajgi – nieosuszony i zbyt bagnisty teren dla upraw, bardziej mokradło niż ziemia.

Swan wyjęła swoją wilczą skórę z plecaka – skórę wielkiego, starego basiora z głową i pazurami. Wsunęła ją na głowę tak, że reszta opadła jak peleryna. Przypięła ją za złote pierścienie do swoich uszu. Wyszła przed stado i zawyła, po czym rzuciła się do biegu ile sił w nogach na wschód. Pszenica sięgała jej do piersi, ale Swan mogła biec między rzędami zboża. Z przodu jej towarzysze wiedli stado karibu, znaczące swój szlak zapachem i zrzuconym porożem. Zboże zostało zdeptane po przejściu zwierząt. Swan dostrzegła, że karibu ciągną wzdłuż koryta strumienia, który niemal wysechł po wyrównaniu terenu laserem. Na wpół osuszone wgłębienie nadal było jednak błotniste, więc grupa pozaziemców spychała stado bardziej na południe. Wkrótce kopytne poczują zapach wilków, a wtedy nie będzie problemu ze skierowaniem wielkiego tabunu na wschód, między płaskie, faliste wzgórza.

Karibu będą starały się utrzymać jak największy dystans do watahy, przynajmniej przez jakiś czas. W końcu oba gatunki przystosują się do zależności drapieźnik – ofiara, ale teraz wielkie kopytne bez wątplenia były jeszcze wystraszone i gotowe pognać na oślep. Swan wydawało się, że dostrzega oznaki paniki – tam, gdzie się pojawiła, zostawały stratowane cielęta. Kobieta obróciła się do wilków, które teraz biegły za nią. Wyprostowała się z wilczą paszczą nasuniętą na głowę i zawyła ostrzegawczo.



Wataha przystanęła i popatrzyła, unosząc uszy i jeżąc sierść – wilki też były przestraszone. Nie wbiły w Swan sławetnego wilczego spojrzenia, starały się tylko wyglądać groźnie, choć nie czuły się całkiem pewnie.

Jednak były na polowaniu i po chwili napięcia podeszły. Swan puściła się przodem, odwróciła i zwolniła. Dała karibu trochę czasu, aby przeszły przez niewielki rów, więc teraz pośpiesznie zeszła wilkom z drogi. Goniła za nimi jeszcze od północy przez kilka godzin, ale ledwie mogła nadążyć. Na koniec szła po ich śladach. Najpierw była to tylko wydeptana ścieżka w zbożu ciągnąca się za stadem karibu. Wtedy na horyzoncie od południa dostrzegła wielkie czerwone kombajny.

Tej nocy większość karibu wyprzedziła ją i uformowała stado kierujące się na wschód. Instynkt pchał zwierzęta do wędrówki, do ruchu. Zatem i wilki, i ludzie oraz inne drapieżniki ruszyli jak nagonka na polowaniu. Ludzie czasami używali syren i zapachów, a także, jak zwykle, swojej niepokojącej obecności. Byli największymi z drapieżców, nawet gdy wokół znajdowały się wilki, niedźwiedzie czy pумы. Dopóki trzymali się w grupie – jak nauczyli się dawno temu od wilków – a pod ręką mieli narzędzia, nic nie mogli ich powstrzymać.

Swan, potykając się ze zmęczenia po pracowitym dniu, poczuła ducha pogoni i napływ nowych sił. Była Dianą na łowach, to właśnie ludzie czynili jak zwierzęta. To często sama robiła wewnątrz terrariów, a choć ciężko było w to uwierzyć, nareszcie znalazła się na zewnątrz – gdzie nad głową rozciągało się niebo, a w uszach świszczał wiatr.

Jeżeli szlak wędrówek karibu miał się utrwalić na dobre, a cała strefa przekształcić w korytarz pod ochroną, ziemia sama musiała ulec przemianie w to, czym była wcześniej. Ludzie znowu będą ją transformować. Albowiem cała Ziemia stała się teraz parkiem, dziełem sztuki, które ukształtują artyści. Nowa przemiana – ostatnie muśnięcie pędzla.

Transformacja tajgi w obszary uprawne polegała na ścięciu tego, co wysokie, i wypełnieniu zagłębień oraz rozwinięciu nowej warstwy próchnicznej gleby, przyspieszonym przez transgeniczne bakterie. I oto teren stał się płaski jak stół z nielicznymi zagłębieniami. Ale cykle zamrażania – rozmrażania i stopiona wieczna zmarzlina nie sprzyjały wyrównywaniu terenu. Przejście reniferów wystarczy, aby rozrzuć próchnicę – gdzie przeszły, pola wyglądały jak po przejściu falangi traktorów rozgarniającej łąny i spiętrzającej połamane źdźbła. Swan unikała ich szlaku z tej właśnie przyczyny, poza krótkimi wycieczkami, aby rozstawić przekaźniki do zaznaczenia gleby, zapachów oraz herbicydów chroniących pszenicę. Jej grupa wysiewała również kosodrzew. W niektórych miejscach wybuchami usuwała wierzchnią warstwę gleby i rozrzucała sztucznie zaszczerpioną próchnicę, aby uwolnić pierwotne bakterie tajgi i wydobyć je na powierzchnię. Wszystko to musiało być robione, gdy karibu znajdowały się daleko – żeby ich nie przestraszyć, ponieważ miały tu wrócić. Jednak pracy pozostało bardzo wiele, więc nie należało zwlekać.

■ ■

W takie noce Swan sypiała w swoim skafandrze na wyjętym z plecaka materacu z aerożelu i pod kocem, aby chronić się przed zimnem. Miała też zapas jedzenia na parę dni. Raz czy dwa kontaktowała się z resztą grupy, lecz wolała być sama – choć to bardzo niewilcze zachowanie – aby tropić wilki. Rzadko udawało jej się zobaczyć watahę, ale w miękkiej ziemi zostawały wyraźne ślady. Ślady jej Dziewiątki.

Trzeciego ranka na długo przed świtem i po krótkiej tylko drzemce w nocy Swan postanowiła dogonić stado, jeśli zdoła. W ciemności i zimnie szukała śladów z włączoną lampą przy kasku. Szybko przekonała się, że najlepiej jest tropić, gdy lampę trzyma się tuż przy ziemi.

Około godziny przed wschodem słońca usłyszała wycie. Poranna pieśń watahy. Wilki wyły na widok wschodzącej Wenus, wiedząc, że zaraz potem pojawi się słońce. Swan widziała, na co wyją, ale przez położenie w stosunku do Oriona dostrzegła, że to nie Wenus, lecz Syriusz. Znowu zmylił wilki. Paunisi nazwali nawet Syriusza „Ten, Który Oszukuje Wilki”. Kiedy weszła Wenus, prawie pół godziny później, tylko jeden wilczy astronom odezwał się niepewnie, żeby cichym wyciem zasygnalizować, że coś jest nie w porządku. Swan parsknęła śmiechem, słysząc to wycie. Zaraz inne wilki dalej na zachód podejmą poranną pieśń. Przez długi czas, kiedy świt przecinał Amerykę Północną, powstawała tam strefa terminatora znaczonego wilczym wyciem, biegnąca przez całą długość kontynentu i przesuwająca się na zachód wraz z nastawaniem dnia. Teraz może to powróci.

Kiedy zrobiło się jasno, Swan ruszyła bliżej do stada, tropiąc niepewnego astronoma. Wilki postanowiły zostać na pingo, a teraz skamlały i poszczekiwały gardłowo, gdy Swan się zbliżyła – nie chciały stąd odchodzić, ale też nie chciały, aby obca się zbliżyła. Coś tam się dzieje, pomyślała Swan. Może wadera rodzi?

Poczekala w oddaleniu, a kiedy tylko stado potruchtało na wschód, wspięła się po łagodnym zboczku pingo, aby sprawdzić, co się stało.

Zamarła, gdy usłyszała pisk. Na początku nic nie zauważyła, ale na szczycie pagórka znajdował się staw, kocioł jak miniaturowa kaldera wulkanu. Odgłos dobiegał właśnie stamtąd – ciche skamlenie. Podeszła, aby zajrzeć. Młody wilk, mokry i ubłocony, ślizgał się na wąskiej gliniastej krawędzi otaczającej zbiornik trzy lub cztery metry niżej. Ściany zbiornika były pionowe, miejscami nawet wklęsłe, wymyte przez wodę z dna, w której przez błoto przebijala się turkusowa czystość, jakby staw zasilał nadal roztapiający się lód z rdzenia pingo. Wilk szarpał pazurami glinę. Młody basior. Podniósł na nią oczy i Swan wyciągnęła do niego rękę, a wtedy ziemia pod nią się zarwała.

Pomimo wyginania się i chwytania Swan spadła do stawu wraz ze sporą porcją błota.

Wilk warknął raz i skulił się, cofając. Swan unosiła się, nie sięgnęła dna przy upadku, choć impet zanurzył ją głęboko. Podpłynęła do ściany i wdrapała się na wąski pierścień błota, który otaczał staw jak półka. Czuła się jak w środku dzbana. Jej upadek uformował jego lejek.

Swan unikała spojrzenia na wilka. Gwizdała i gruchała jak gołębica, a potem kłaskała jak słowik. Nigdy nie widziała, żeby jakiś wilk zjadał ptaka, ale żeby drapieżnikowi nie strzeliło coś głupiego do głowy, zakrzyzczała jak sokół. Wilk wciąż próbował wdrapać się po ścianie, ale też bał się Swan. Spadł, gdy mokre błoto zarwało się pod jego pazurami. Uderzył w wodę plecami i Swan odruchowo wyciągnęła rękę, aby mu pomóc, ale – rzecz jasna – wilk umiał doskonale radzić sobie sam. Obrócił się i dopłynął do gliniastego nawisu, a kiedy poczuł dotyk intruza, szarpnął się i ugryzł Swan w prawą dłoń, po czym desperacko odpłynął jak najdalej. Krzyknęła z bólu i zaskoczenia. Jej krew znalazła się w wodzie i w pysku towarzysza niedoli.

Ugryzienie paliło, głęboki otwór na grzbiecie dłoni zapewne nie przestanie szybko krwawić.

Skafander był wodoszczelny, chronił przed wilgocią całe ciało, poza odkrytą głową. W jednej z kieszeni na udzie znajdowała się też apteczka. Swan wyciągnęła zestaw pierwszej pomocy, zastanawiając się, czy klej do skóry nadaje się do opatrzenia przebicia. Cóż, trzeba spróbować. Przyłożyła tubkę do rany i zaaplikowała w krwawiący otwór sporą dawkę żelu, a potem przycisnęła mocno kawałkiem gazy. Co prawda gazik przylgnie do skóry, ale będzie można potem obciąć odstające kawałki i zostawić resztę. I wszystko będzie dobrze.

Kocioł wewnątrz miał gładkie ściany, poza kilkoma poziomymi obręczkami. Jak właściwie można się stąd wydostać? Sięgnęła do kieszeni po

komórkę, ale okazało się, że aparatu nie ma. Chyba nie zapięła kieszeni, kiedy kontaktowała się z resztą grupy, co zdarzało się dość często. Na pewno koleżdy zauważą nieobecność Swan i zlokalizują ją przez gps. Możliwe też, że uda się zanurkować i znaleźć telefon, może nawet aparat zadziała po wyjęciu z wody.

Jednak nic z tego nie wydawało się szczególnie prawdopodobne.

– Pauline, możesz zlokalizować mój telefon?

– Nie.

– A możesz skontaktować się z moim zespołem?

– Nie. Jestem zaprojektowana na kontakt tylko z tobą.

– Żadnego radia?

– Żadnego radia o dużym zasięgu, jak doskonale wiesz.

– Jak powinnam wiedzieć. Ty bezużyteczna kupko złomu.

Wilk warknął i Swan umilkła. Potem zakrakała.

– Jastrząb! – zakrakała, uznawszy, że wilk da jej spokój, skoro była stworzeniem znającym język kruków.

Tak naprawdę nie bardzo wiedziała, co zrobić.

– Pauline, jak mam się stąd wydostać?

– Nie wiem – nadeszła odpowiedź. Bez najmniejszej zwłoki, za to z nutą dezaprobaty.

Swan zaczęła przesuwac się wzdłuż pierścieniowej glinianej półki. Wilk również się poruszył, aby zawsze znajdować się po przeciwnej stronie stawu. Jeżeli wyższe obrączki wytrzymają ciężar, Swan mogłaby się wspiąć. Spróbowała, zerkając na wilka. Przyglądał jej się, trochę z boku. Szybko okazało się, że gliniasta półka nie wytrzyma. Swan potrzebowałaby kija, żeby wykopać w stromej ścianie stopnie, albo kołków wbitych na tyle głęboko, aby dały oparcie. Znowu zaczęła rozważać nurkowanie. Ale woda była lodowata, a kombinezon nie okrywał głowy. I w żaden sposób nie dało się

ocenić, jak głęboko jest do dna i czy na dole znajdzie się coś użytecznego.

– Pauline, obawiam się, że tu utknęłyśmy.

– Tak.

## WYCINKI (16)

...nie było nigdy oficjalnego stanowiska żadnej jednostki większej niż pojedyncze terrarium, a nawet te rzadko wypowiadały się jasno o swoich zwierzętach – gdzie je posyłają, ile, jakim środkiem transportu, dlaczego – nic. Zakłada się, że koordynacja tych działań musiała najwyraźniej przebiegać poza siecią i nadal nie jest porządnie udokumentowana. Gdy się teraz patrzy wstecz, ten brak publicznych oświadczeń nie wydaje się zaskakujący, ponieważ do tego przywykliśmy, ale wtedy było to zjawisko dość nowe. Szerzyły się też skargi, że ten brak komunikatów świadczy o ogólnym chaosie. W Układzie Słonecznym nie powstał żaden rząd, bałkanizacja była całkowita, a historia ludzkości z tamtych czasów zniknęła jak struga roztopionej wody na powierzchni lodowca, która spłynęła w pęknięcia i pomknęła niewidzialna pod lodem. Nie istniała kontrola, nikt nie wiedział, co się dzieje, nikt nie miał nawet pojęcia, co się stało...

...od samego początku byli ludzie, którzy twierdzili, że to pod wieloma różnymi względami niedobre, że to katastrofa ekologiczna: większość zwierząt zginie, gleba zostanie zniszczona, enklawy botaniczne obumrą, ludzie znajdą się w niebezpieczeństwie, a uprawy zamnieją. Zachowane obrazy powrotu zwierząt przypominają desant spadochroniarzy z okresu drugiej wojny światowej lub inwazję obcych z filmów fantastycznych, a strach, jaki wzbudziło to podobieństwo, wywołał traumę w wielu miejscach. Podczas

spadku niektóre zwierzęta zostały zestrzelone z nieba jak ruchome cele. A jednak gros wylądowało, przeżyło i przetrwało. Przez kilka tygodni lub miesięcy o niczym innym nie mówiono, a raczej wrzeszczano ile sił w płucach. A ogromna powódź obrazów była co najmniej niejasna. Niektórzy uważali, że to inwazja, ale inni twierdzili, że powrót. Powrót dzicy, wspomagana migracja, rewolta bestii – a w pewnym momencie użyto określenia „reanimacja” i ten właśnie termin przyjął się i powoli rozpowszechnił, wyparłszy pozostałe. Jednak w ostatecznym rozrachunku nie było ważne, jak ludzie to nazwali, liczyło się, że zwierzęta znowu pojawiły się na Ziemi...

...wielu oskarżało terraria, że podpuszczają do rewolucji na Ziemi. Inni nazywali to zasiewem, pojawili się nawet mikrobiolodzy, którzy wspominali o odwrotnej transkrypcji. Wprowadzenie załączka do pustej niszy ekologicznej w rzeczy samej stanowi rewolucję w biomie. Gwałtowne chaotyczne zmiany mogą okazać się traumatyczne. W tym przypadku zwierzęta często ginęły, ich pożywienie zostało zjedzone, a wtedy załamała się liczebność populacji, padlinożercy mieli się dobrze, jednak fluktuował dziko stosunek drapieżców do ich ofiar, a pod ich wpływem zachodziły metamorfozy w szacie roślinnej. Pola się zmieniły, akweny, a nawet suburbia i miasta. Kampanie na rzecz likwidacji napotkały zarówno twarde opór, jak i równie silne wsparcie. Czasami prowadziło to do swoistych starć w wojnie o zwierzęta, jednak to ludzie przewodzili obu stronom...

...nawet w okresie Bałkanizacji Ziemia stanowiła centrum historii. W czasie krótszym niż stulecie na około dwunastu tysiącach terrariów zagrożone gatunki zwierząt zostały odtworzone, wzmocnione przez zróżnicowanie puli genetycznej, a przedsięwzięcie w całości służyło jako pozaziemskie zoo, arka lub bank form życia, które tylko czekały na odpowiedni moment, aby wrócić do swojego zniszczonego domu. A kiedy okazało się, że chwila nadeszła,



niektóre terraria uznały to za nadmiernie optymistyczne stwierdzenie. W ostateczności jednak niemal wszystkie zgodnie stały się na wezwanie i zebrały potężną armadę...

...większość spraw organizacyjnych dotyczących reanimacji, jak się później okazało, wiąże się z grupą zebraną wokół siódmego Lwa Merkurego – właściwie Lwicy, która zmarła na kilka lat przed tym wydarzeniem. Nawiązano kontakty z częścią ziemskich rządów, a te, które sprzyjały powrotowi zwierząt, wydały stosowne pozwolenia. Wspomagana migracja była już wtedy znanym pomysłem, zresztą gatunki inwazyjne już i tak przekształciły świat – ludzie bezskutecznie walczyli z masowym wymieraniem fauny i flory, a większość Ziemi zajęły najsilniejsze chwasty i padlinożercy. Mówiło się wtedy o powrocie mew i mrówek, karaluchów i kruków, kojotów i królików – o świecie ostów, pozbawionym populacji zwierząt, a potem ją odzyskującym, o wielkim wyjąłowionym gospodarstwie. Przywrócenie wymarłych gatunków zyskało zatem poparcie wielu Ziemian. Oznaczało to nieuchronne konsekwencje polityczne, choćby tylko przez stwierdzenie, że był to wspólny wysiłek ludzkości – te zawsze niosą ze sobą konsekwencje...

...podobno dwanaście tysięcy terrariów i kilka silnych państw na Ziemi zgodziło się, aby zrealizować plan w pierwszej połowie 2312 roku, ale ponieważ większość umów zawarta została wtedy poza siecią, jest to jedynie anegdota. Większość wypowiedzi uczestników nagrano wiele lat później i stanowią one jedyne świadectwo...

...po reanimacji Ziemia miała problemy ekologiczne i logistyczne, głównie związane z transportem, rozproszeniem, osłabieniem i kompensacją, a także z prawną i fizyczną obroną. Sama reanimacja nie była końcem – tak naprawdę musiało minąć wiele dziesięcioleci, aby zrozumiano, że stanowiła istotny przełom w...

# WAHRAM I SWAN

Kiedy Wahram usłyszał, że Swan zaginęła, opuścił Ottawę, gdzie prowadził gorączkowe negocjacje z kanadyjskim rządem w sprawie nieautoryzowanego przylotu zwierząt, i poleciał na północ, do Churchill, skąd złapał lot do Yellowknife, terenów, gdzie miał powstać korytarz dla wędrówek karibu – projekt, do którego przyłączyła się Swan.

Minęła dawno krótka letnia noc. Długo po świcie helikopter zabrał Tytana nad tereny, gdzie namierzono przekąznik Swan. Kiedy Wahram dotarł na miejsce, grupa już zlokalizowała zaginioną, ale okazało się, że helikopter bardzo się przyda, bo podejście do krawędzi stawu w pingo było niemożliwe. Jeden z ratowników już to udowodnił – i teraz Swan siedziała w kotle w towarzystwie jeszcze jednej osoby i... wilka. Przynajmniej ludzie mieli przewagę liczebną, chociaż pilot śmigłowca stwierdziła, że to tylko gorzej. W każdym razie udało się spuścić drabinę sznurową ze sporej wysokości – jednak nie na tyle, aby nie wystraszyć zwierzęcia. Wahram widział to z góry wyraźnie. Najpierw do stóp wzgórza przeniesiono niefortunnego ratownika, dopiero potem Swan. Miała czerwone oczy i wyglądała na sponiewieraną, ale pomachała do Wahrama i gestami nakazała, aby jeszcze raz opuszczono drabinę do stawu. Tytan wątpił, czy to się przyda wilkowi, ale pilot posłuchała i po konsultacjach przez radio z ludźmi na dole przesunęła helikopter trochę w bok, żeby drabinka opadła na ścianę kotła. Nawet to

wydawało się niewystarczającą pomocą dla zwierzęcia, przynajmniej zdaniem Wahrama. Zaczął się już podnosić z fotela, kiedy wilk niespodziewanie wskoczył na szczeble, stamtąd na krawędź stawu i dalej, gnając po zboczu, uciekał jak najdalej od wzgórza.

Wahram powiedział, że chce wsiąść, więc kobieta posadziła maszynę na polu pszenicy tuż przy pagórku, znacząc miejsce lądowania kręgiem w zbożu. Tytan pochylił się, gdy wychodził, ogromne śmigła wirowały, wzbudzając nad jego głową potężny, podmuch. Helikopter ze zgrzytem i łomotem powtórnie uniósł się w niebo.

Swan podbiegła i zamknęła Wahrama w błotnistym uścisku. Kiedy Tytan wyjął słuchawki z uszu, zapytał ją o samopoczucie. Nic jej się nie stało, przeżyła niezłą przygodę w dziurze z wilkiem i żadne nie ucierpiało, co warto podkreślić, ale zawsze dobrze mieć empiryczne potwierdzenie, że nawet w najbardziej kryzysowych momentach nikomu nie grozi pożarcie... Mówiła trochę maniakalnie. Brudna, jak przyznała, i głodna, chętnie by trochę odpoczęła, zanim wróci do pracy. Wahram wskazał na unoszący się niedaleko helikopter, a gdy Swan przyjęła propozycję, wezwał maszynę na dół, aby mogli wsiąść. Potem zrobiło się zbyt głośno, żeby rozmawiać – musieli poczekać, aż dotrą do Yellowknife. Swan oparła się o ramię Wahrama i zasnęła z uśmiechem, niepomna na hałas.

Przypuszczano, że kiedy zwierzęta wylądują w tysiącach miejsc na Ziemi, gdzieś tam pojawią się sprzeczności, a przynajmniej tak się wydawało, chociaż nic nie było pewne. Na wszelki wypadek wszyscy przestrzeniowcy pracowali, jakby mieli do dyspozycji tylko parę dni, żeby wszystko załatwić. Dlatego używali helikopterów jak skoczków i promów, żeby jak najszybciej rozmieścić automatyczne traktory zasilane energią słoneczną i rozrzucające zarodniki. Maszyny przypominały z wyglądu kombajny widywane na zdjęciach z dawnych czasów. Niektóre sadziły drzewa wysokie na dwa metry – mogły ich

posadzić nawet sześćdziesiąt na godzinę, dopóki nie wyczerpał się zapas. Do reanimacji Ziemi potrzebna była przecież szata roślinna – a traktory okazały się trudne do zatrzymania. Kilku ludzi próbowało.

Zdarzały się różne wypadki – o czym Wahram i Swan przekonali się, przeglądając przy posiłku wiadomości z całego świata dochodzące do Yellowknife. Reakcje były różne – od peanów po wytaczanie ciężkiej artylerii, wiwatów lub przekleństw oraz wszystkiego pomiędzy w zależności od miejsca. Rada Bezpieczeństwa onz zebrała się nawet na pilnym posiedzeniu, ale niewiele z tego wynikło. Orangutany znowu żyły w całej południowo-wschodniej Azji, rzeczne delfiny we wszystkich deltach starych rzek, tygrysy w Indiach, na Syberii i na Jawie, niedźwiedzie grizzly odzyskały terytoria w Ameryce Północnej... Czyż to nie była inwazja obcych, jakiej obawiano się przez stulecia? Pojawienie się zwierząt nie zostało zaplanowane ani ustalone, to mogło się źle skończyć – przecież wróciły drapieżniki, które mogły zabić człowieka. Z pewnością powrót fauny budził zaniepokojenie. A zaniepokojone władze zawsze były niebezpieczne.

Lecz pojawiały się również wieści, że zwierzęta znalazły się w swoich naturalnych środowiskach, na terenach, które zamieszkiwały wcześniej, zmienionych tylko na tyle, aby dostosować je do zmiany klimatu. Wskazywano także, że chociaż gatunków nie modyfikowano genetycznie, jednak dzięki wysiłkom w terrariach udało się wyhodować populację o wiele bardziej zróżnicowaną, niż mogłaby powstać na Ziemi. Była to część pakietu pr przygotowanego przez Wahrama – Tytan ucieszył się, że media to wykorzystały. W wiadomościach podano również, że zwierzęta w większości zostały umieszczone na terenach dzikich i słabo zaludnionych w górach, na pustyniach lub pastwiskach i innych podobnych – nigdy w miastach, a tylko raz czy dwa w osadach. Kolumbijska wioska, na którą spadła inwazja leniwców i jaguarów, przemianowała się już na Macondo i wyraźnie przeżyła,

aby o tym opowiedzieć.

Swan szybko znowu zasnęła na kanapie w zaimprovizowanym centrum medialnym. Wahram odkrył, że boi się ją spuścić z oka. Nadal zachowywała się wobec niego bardzo serdecznie, popychana jakąś ekstazą po nocy spędzonej z wilkiem. Teraz też spała z głową na kolanach Wahrama. Biedaczka wyglądała nadal na wymizerowaną, trochę jak kiedyś w tunelu.

– Chcę wracać – oznajmiła nagle, gdy się obudziła. – Chodź ze mną. Chcę iść znowu za stadami karibu, nadal potrzebni są tam zaganiacze. I może spotkam też mojego wilka.

– Dobrze.

Załatwił swoje sprawy i następnego ranka dołączył wraz ze Swan do ludzi udających się na północ. Unieśli się helikopterem w mroźny wschód słońca.

– Patrz. – Swan przez Wahrama pochyliła się do okna i spojrzała prosto w słońce.

– Nawet tutaj słońce może ci wypalić oczy – ostrzegł Wahram. – Może wypalić ci oczy nawet na Saturnie.

– Wiem, wiem. Patrzę, nie patrząc.

Promienie odbijały się w niezliczonych skrawkach wody rozrzuconych po ziemi. Wylądowali w pobliżu rzeki Thelon i wysiedli, a helikopter odleciał z łomotem. I nagle znowu byli w wielkiej, wietrznej tundrze, kroczyli po spękany i błotnistym gruncie, pod wieloma względami podobnym do lodowego podłoża na Tytanie. Wahram oparł się bardziej na swoim egzozkielecie i próbował się przystosować do gąbczastej ziemi. Akt chodzenia po spękany, na w pół zamrożonym gruncie upodobił się do pracy w serwomechu, a ze względu na egzozkielec w pewnym sensie tak było.

Wahram wyprostował się i rozejrział. Promienie słońca odbite w rozbitych lustrach wody wdzierały mu się do mózgu, musiał wyregulować polaryzację

okularów. Swan zdjęła swoje i przyglądała się otoczeniu, rezygnując z ochrony dla oczu. Zataczała się, na czerwonych, popękanych policzkach zamarzyły jej łzy, ale śmiała się i pojękiwała orgiastycznie. On sam spróbował popatrzeć bez okularów tylko raz.

– Oślepniesz – ostrzegł.

– Inuici robią to cały czas! Żyją tu bez okularów!

– O ile wiem, nawet oni używają osłon na oczy, pasków skóry czy czegoś podobnego – mruknął. – I tak pozostało. Życie tutaj ich uwięziło, ich surowy świat odgradził ich od reszty ludzkości.

Swan tylko zahukała i rzuciła w Wahrama śnieżką.

– Ale kłamiesz! To my jesteśmy bańkami na Ziemi! Bańki na Ziemi!

– Tak, tak – odparł. – „*Lark Rise to Candleford*”<sup>[3]</sup>. Też mnie tego uczono. Gdy są same na polu i nikt ich nie widzi, podskakują, baraszkują i biegają, prawie nie dotykając ziemi, i wołają: „Jesteśmy bańkami na ziemi! Bańkami na ziemi! Bańkami na Ziemi!”.

– Właśnie! Unitariańskie wychowanie?

– Jak u nas wszystkich, nieprawdaż? Ale to przeczytałem u Crowleya. I nie mogę ani skakać, ani baraszkować, ani harcować w takiej grawitacji. Przewróciłbym się tylko.

– Och, przestań! – Przyjrzała mu się uważnie. – Tutaj rzeczywiście musisz dużo ważyć. Ale przecież jesteś na Ziemi dość długo, powinieneś już przywyknąć.

– Przyznaję, że niewiele chodziłem. Miałem bardziej siedzącą pracę.

– Wyniesienie Florydy z morza to praca siedząca? No to dobrze, że tutaj trafiłeś.

Swan była szczęśliwa. A Wahram poruszał się wystarczająco sprawnie, specjalnie przesadzał, gdy mówił o grawitacji, tylko żeby się ze swoją towarzyszką podrażnić. Zimne powietrze i jasne słońce sprawiały, że dzień

zrobił się krystalicznie czysty.

– To prawda – przyznał.

Ruszyli na południowy kraniec szlaku karibu. Swan ustawiała przekaźniki i fotografowała drogę migracji, zbierała próbki gleby i odchodów. Wieczorem spotkali się z resztą grupy zajmującej się stadem w dużej jadalni pod namiotem, codziennie przenoszonym dalej. Na krótkie noce pod tym samym namiotem ustawiano prycze, aby wszyscy mogli złapać parę godzin snu, nim zjedzą szybki posiłek i ruszą dalej. W trzecim dniu wędrówki pojawił się helikopter Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. Funkcjonariusze aresztowali wszystkich i zabrali do Ottawy.

– Jakim prawem! – krzyknęła Swan, gdy maszyna lądowała na pagórkowatej równinie. – Nie byliśmy nawet w Kanadzie!

– Właściwie to byliśmy.

Droga wydeptana w wielkim polu pszenicy wyglądała zupełnie inaczej niż ta, którą śledzili przez ostatni ranek.

– Popatrz na to. – Swan wskazała z odrazą na ziemię w dole. – Wygląda jak rozrastające się w stawie glony.

---

[3] Flora Thomson, Skowronek z Candleford (Lark Rise to Candleford), tłum. własne.

---

• •

W Ottawie, gdzie zostali uwolnieni spod nadzoru, Swan zabrała Wahrama do przedstawicielstwa Merkurego, żeby mogli się umyć i dowiedzieć, co się właściwie stało. Wieści o animalizacji pozostawały nieustannie na pierwszym planie, a opowieści było tak wiele, ponieważ wszyscy na świecie próbowali opowiedzieć swoje wersje, jak zwykle jednocześnie – dlatego tak trudne okazało się znalezienie opowieści o karibu i sprawdzenie, dlaczego Wahram, Swan i reszta grupy zostali aresztowani. Zwolniono ich bez stawiania

zarzutów i chyba nikt w Ottawie nie potrafił wyjaśnić, czemu w ogóle ich zatrzymano.

Informacje uformowały się w grupę tematyczną, którą można było przeszukiwać według nazw zwierząt alfabetycznie, po obrazku, po regionie i paru innych kategoriach – najgorsze lądowania, piękno lub zabawne zachowania, ludzkie okrucieństwo wobec zwierząt, zwierzęce ataki na człowieka i tym podobne. Wahram i Swan przeglądali to na ekranach w jadalni podczas posiłku, a potem poszli wąskimi uliczkami nad czerniejącą rzeką i systemem kanałów, zaglądając tu i tam do pubów i barów, aby wypić drinka i dowiedzieć się więcej. Wkrótce Swan wdała się w pijacką kłótnię z innymi klientami – nie kryła się ze swoim pozaziemskim pochodzeniem, co zresztą byłoby trudne, biorąc pod uwagę wygląd i pełne gracji, baletowe niemal ruchy wspomagane przez egzoszkielet. Wahramowi wydawało się, że ludzie patrzą na nią z obawą.

– Prosto z przedstawicielstwa Merkurego, stamtąd właśnie przychodzę – oznajmiła, gdy ludzie zrobili się nieco bardziej agresywni, co, rzecz jasna, pomogło, ale nie rozwiązało całkowicie problemu. – Powinniście się cieszyć, że zwierzęta wróciły – powiedziała twardo. – Tak długo ich nie widzieliście, że zapomnieliście, jakie są wspaniałe. To nasi bracia mniejsi, zniewoleni jako żyjące mięso. To, co się stanie z nimi, przydarzy się i wam. I tak właśnie jest. Ludzie to mięso. Śmierzące!

Stwierdzenie powitały szepty i wulgarne obelgi.

– W końcu będziecie musieli to pojąć! – prychnęła Merkunianka, przekrzykując wrogie zaprzeczenia, które podniosły się wokoło. – Nikt nie może być szczęśliwy, dopóki wszyscy nie będą bezpieczni!

– Ściastliż? – odezwał się jeden z klientów. W jego głosie brzmiał wyraźny słowiański akcent. – A co to znaczy? Potrzebne nam jedzenie. Farmy na południu zapewniały nam jedzenie.



– Potrzebujecie gleby – zaoponowała Swan, przeciągając ostatni wyraz. – Gleba jest waszym pożywieniem. Cała czysta biomasa to wasze pożywienie! Zwierzęta pomagają tworzyć biomasę. Bez nich wam się nie uda. Ciągniecie na resztkach, jedząc ropę. Zjadacie swoje zapasy nasion. Gdyby nie żywność przesyłana windami orbitalnymi z kosmosu, połowa z was umarłaby z głodu, a reszta by się pozabijała. Taka jest prawda i doskonale ją znacie! Czego potrzebujecie? Zwierząt. – Tylko zadcpcą mi pole – rzucił ktoś z goryczą. Większość obecnych w lokalu rozmawiała ze sobą po rosyjsku, a Wahram napinał się, aby usłyszeć tych, którzy używali angielszczyzny. Swan znowu podjęła tyradę o braciach i siostrach mniejszych. Wielu słuchających wypilo już sporo wódki i innych substancji, które sprawiają, że oczy błyszczą, a policzki czerwienieją. Podobała im się kłótnia ze Swan, podobało im się, że ich lży. Niewątpliwie tak samo ci ludzie wyglądaliby w 1905 roku albo w 1789 lub 1776. Ta knajpa mogłaby przynależeć do każdego miejsca i czasu. Przypominała Wahramowi pub na rogu w jego dzielnicy.

– Należymy do rodziny – przekonywała właśnie Swan. Robiła się ckliwa. – Do rodziny ssaków.

– Ssaki to rząd – zaoponował ktoś na sali.

– Ssaki to klasa – poprawił inny.

– Należymy do klasy ssaków – zgodziła się Swan. – A rządzi nami ssać i kochać się.

Na to podniosły się wiwaty.

– Albo to, albo śmierć. Nasi bracia mniejsi. Potrzebujemy ich, potrzebujemy wszystkich. Należymy do nich, a oni należą do nas! Bez nich jesteśmy po prostu... Po prostu...

– Biednymi przerośniętymi rzodkiewkami!

– Mózgami i odciskami palców!

– Robakami w słoiku!

– Tak! – przytaknęła Swan. – Dokładnie.

– Jak przestrzeniowcy w kosmosie – dodał jeden z klientów z naciskiem. Inni się roześmiali, a Swan wraz z nimi.

– Racja! – zawołała. – Ale jesteśmy tutaj! Na Ziemi, teraz.

Policzki jej się zarumieniły, rozejrzała się po otaczających ją twarzach, po czym stanęła na ławie i oznajmiła:

– Jesteśmy na Ziemi! Nie macie pojęcia, jaki to przywilej. Pieprzone krety! Jesteście w domu! Wszystkie osiedla przestrzeniowców są niczym w porównaniu z tym światem! Bo to jest dom.

Wiwaty. Chociaż Wahram uznał, kiedy złapał Swan chwiejącą się na ławie, że to, co powiedziała, nie było wcale prawdą, już nie – nie teraz, gdy powstał Mars i Wenus, a wkrótce dojdzie Tytan. Zapewne nie było prawdą już od diaspory. Zatem Ziemianie wiwatowali dlatego, że Swan się myliła, że prawiła im komplementy, że zafundowała im drinki i porwała ich swoim entuzjazmem. Wiwatowali na cześć tej właśnie chwili, oderwanej od rzeczywistości. Noc w pubie w Ottawie z pijakami śpiewającymi po rosyjsku. Na chwilę przed burzą.

• •

Tym razem wrócili z wizami, na wypadek gdyby Konna Policja znowu chciała ich zatrzymać, i zaczęli znowu wieść stada karibu po planowanej trasie. W Yellowknife nikt nie próbował zatrzymać grupy przestrzeniowców, nikt również nie odezwał się na temat tego, co zaszło w Ottawie. Za kilka dni wszystko wróci do niedawnej rutyny – a Wahrama to cieszyło. Przywykł już do chodzenia i sprawiało mu przyjemność obserwowanie Swan podczas polowania. Ciągle wybiegała naprzód, więc widział ją tylko z tyłu, ale z tyłu wyglądała dobrze. Diana na łowach.

Wieczorami pod namiotem coraz częściej słyszeli z mediów, że ludzie na

całym świecie źle znoszą pojawienie się zwierząt. Lwy, tygrysy, niedźwiedzie – o rany! Ziemianie odwykli od uczucia, że stanowić mogą potencjalną zdobycz wielkiego drapieżnika czającego się na granicach miasta. Tyle wystarczyło, aby się gromadzili. Nawet ci, którzy dotychczas woleli chodzić sami, szukali towarzystwa. Ci, którzy nie zostali zjedzeni, drżeli i narzekali z resztą, a potem szukali przyjaciół lub obcych, byle nie wychodzić samotnie. I to nie tylko w nocy, ale i w dzień. W terrariach stanowiło to standardową praktykę. Chodzenie samopas było luksusem, w pewnym sensie dekadencją – albo, jak choćby w przypadku Swan, przygodą podejmowaną dla ryzyka. Dla osób wychowanych w tych zwyczajach było to oczywiste, lecz reszta czuła się przytłoczona i zduszona. Jednak w lesie musieli trzymać się razem.

Zbyt szybko zwierzęta przekonały się, jak niebezpieczni są ludzie. W spotkaniach ginęło o wiele więcej tych pierwszych niż tych drugich, co nikogo nie zaskoczyło. Zagrożenie stanowiło jednak potężny motyw – potrzeba było tylko czasu.

• •

Rankiem wyszli z dodatkowymi plecakami odrzutowymi, ponieważ Swan chciała dotrzeć nieco dalej, planowała oddalić się na odległość większą niż ta, którą zwykle pokonywało stado za dnia, ale koniecznie wrócić na noc do namiotu. Karibu gromadziły się nad brzegiem rzeki Thelon – przy nowym brodzie – a Swan postanowiła dostać się na północ od stada, gdzie na zachodnich płycznach mogła znajdować się lepsza przeprawa. Mimo to według archeologów miejsce, gdzie dotarły zwierzęta, było najlepsze – w przeszłości stada przeprowały się właśnie tędy.

Ale Swan poprowadziła Wahrama na północ. Przecięli szlak karibu, ziemia była zryta chaotycznymi liniami, należało ostrożnie stawiać kroki. Swan szła szybciej niż Wahram i wysunęła się na czoło dalej niż zwykle, ale Tytan

postanowił się nie śpieszyć. Nieruchome ciała karibu tu i tam dowodziły, że upadek może być niebezpieczny. Sięgające kolana spiętrzenia na wpeł zamarzniętego błota budziły w Wahramie niepokój. Nie mógł patrzeć, jak Swan lekkomyślnie przez nie przechodzi. Ale ani razu się nie potknęła. Wahram wołał jednak patrzeć pod nogi. Nie miało znaczenia, jak daleko zostanie w tyle.

Kiedy dotarli do równiejszego gruntu, znajdującego się na północ od szlaku migracji, Swan skrzyła na wschód.

– Patrz – wskazała. – Wilki. Czekają, żeby zobaczyć przeprawę.

Wahram wiedział już, że Swan kochała wilki, więc wołał przemilczeć żądną krwi naturę tych mięsożerców. Zresztą każdy przecież musi jeść.

Karibu grupowały się tuż przy brzegu, około pół kilometra dalej. Swan chciała, żeby wataha ją zobaczyła, więc wspięła się na wał przy korycie rzeki – spiętrzony przez wodę i poprzecinany siecią strumieni, tworzących labirynt między okrągłymi głazami i zagłębieniami wyschniętych już ujść. Niezbyt bezpieczne podłoże dla kopyt. Wahram rozumiał teraz, dlaczego Swan chciała, aby stado podeszło do przeprawy tam, gdzie porządnie zamarznięta gleba tworzyła płaską brązowo-zieloną trasę.

– Patrz, pierwsze już próbują.

Wahram dołączył do niej i popatrzył na południe. Setki reniferów kłębiły się przy brzegu, potrząsając porożem i rycząc. Ogromne samce na czele sprawdzały nurt przednimi kopytami, początkowo ostrożnie, lecz zaraz jeden się wyłamał i ruszył, a pozostałe poszły w jego ślady. Woda sięgała im do kolan, a potem nagle zrobiła się głębsza. Masywne ciała wzbudzały fale, posuwając się naprzód.

– Och, tam jest głęboko – zaniepokoiła się Swan.

Prowadzące ten pochód potężne byki szły lub płynęły, choć nie było to łatwe, a potem, gdy dotarły na płyciznę, rozchlapując wodę, aż zabieliła się od

piany, wyszły na brzeg. Dopiero wtedy się obejrzały i zaryczały. Kiedy jeszcze były w wodzie, reszta stada zaczęła się przysuwać do brzegu i tłoczyć, gdy zwierzęta na bokach próbowały się precyzyjnie bliżej środka gromady. Karibu chciały iść razem, jak zauważył Wahram.

– Ta stromizna nie jest bezpieczna – zaniepokoiła się Swan. Nie myliła się. Karibu weszły do wody, lecz niektóre z rykiem próbowały zawrócić. Reszta zmusiła je do ruchu naprzód, popychając i szczypiąc, a tymczasem te, które zostały na płyciźnie, zaczęły się szarpać i cofać. Ich ryki mieszały się z głośnym szumem rzeki przeciskającej się przez skaliste koryto. Kilka zwierząt skręciło na północ, ale Swan zaczęła skakać i machać rękami, a Wahram wyjął niewielki klakson, który dostał od towarzyszk, i zatrąbił kilka razy. Wysoki dźwięk był głośny i alarmujący, ale to chyba nerwowe zachowanie Swan zawróciło zwierzęta. Długie rzędy karibu zbliżyły się już do najgłębszego punktu przeprawy. Wkrótce zamieszanie zostało zapomniane, zwierzęta przecinały spienioną wodę coraz sprawniej. Zajęło to ponad godzinę. Zdarzyło się jeszcze kilka wypadków, połamanych kończyn i utopień, ale renifery już nie próbowały się zatrzymać.

Swan obserwowała uważnie wilki przy brzegu, które chwyciły dryfujące z nurtem zatopione karibu i zbiorowym wysiłkiem wyciągały na suchy ląd. Tylko wtedy rzeką spływały czerwone wstęgi krwi.

– Czy wilki też się przeprawiają? – zainteresował się Wahram.

– Nie wiem. W terrariach często to robiły i świetnie sobie radziły, ale tam nie było tak silnych prądów ani wielkich rzek. Wewnątrz terrariów jest wspaniale, ale inaczej. Ciekawe, czy wilki też to wyczuwają. To znaczy żyły wcześniej podobnie, ale zawsze widziały w górze ziemię. Nigdy nie przebywały pod otwartym niebem. Zastanawiam się, co myślą o niebie. Nie chciałbyś wiedzieć?

– Hm. – Wahram musiał się nad tym zastanowić. Nawet dla niego widok

otwartego ziemskiego nieba był niewyobrażalnie dziwny. – Musi to dla nich wyglądać obco. Ale na pewno dobrze orientują się w przestrzeni, to przecież wędrowne stworzenia. Wędrowały w terrariach, więc na pewno wiedzą, że tutaj jest inaczej. Przeniesione z wnętrza walca na zewnętrzną powierzchnię kuli... Jeżeli potrafią to wyczuć... – Potrząsnął głową.

– Mnie wydają się bardziej przestraszone niż w terrariach. Bardziej dzikie.

– To możliwe. A jak my się przepawimy?

– Przepłyniemy! To znaczy niezupełnie. Nasze aerozele posłużą za tratwy i będziemy mogli przepłynąć. O ile nam się poszczęści!

Poprowadziła Wahrama do brodu, gdzie zapach karibu był najsilniejszy, a pasemka sierści kołysały się na płyciźnie. Szczypiący, chłodny wiatr uderzył Tytana w twarz, gdy wziął głęboki wdech. Płuca mu zapulsowały.

– Chodź – ponagliła go Swan. – Musimy stąd odejść, zanim wilki zajmą się oczyszczaniem rzeki z ciał biednych cieląt, które się utopiły.

– Dobrze, ale pokaż mi jak.

– Nasze materace posłużą za tratwy. Każde z nas taki ma. Są trochę małe i niełatwo będzie nimi sterować, ale na pewno sobie poradzimy. Jeżeli się przechylisz, lepiej go mocno trzymaj albo popłyniesz „na piechotę”.

– Obym nie musiał sam pływać.

– Słusznie! Woda jest strasznie zimna. Weź tę gałąź, będzie dobrym wiosłem. Myślę, że najlepiej będzie, jak przejdiesz przez płyciznę tak daleko, jak zdołasz, potem wsiądziesz na aerozel i pozwolisz się nieść z prądem, a wiosłem skierujesz się do drugiego brzegu. Nie musimy się śpieszyć, rzeka ma niedaleko zakole i prąd i tak zniesie nas na drugą stronę. Wycujesz to, jak tylko znajdziesz się za płycizną. Za mną, pokażę ci!

I tak uczyniła. Ale Wahram kołysał się nieporadnie na falach, a jego materac-tratwa wydał mu się zbyt mały. Prąd poniósł go obok Swan, która śmiała się z niezdarności towarzysza. Wahram starał się wiosłować, choć nie

przychodziło to łatwo. Jego towarzyszka szybko go dogoniła i zatoczyła krąg.

– Włóż głowę pod wodę! – zawołała.

– Nie – oburzył się, ale ona tylko parsknęła śmiechem.

– To przynajmniej zanurz jedno ucho! Posłuchaj wody!

Po czym wychyliła się ze swojego materaca i zanurzyła głowę. Wyciągnęła ją, parszkając i plując ze śmiechem.

– Spróbuj! – rozkazała. – Musisz sam to usłyszeć!

Wahram tym razem posłusznie zanurzył w rozchybotanej, roztańczonej wodzie prawe ucho i wstrzymał oddech. Z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że tak łatwo pogrążył się w głośnym, buzującym szumie i trzaskach, jakich wcześniej nigdy nie słyszał. Uniósł się po chwili, aby posłuchać odgłosów świata nad powierzchnią rzeki, po czym wziął wdech i zanurzył całą głowę, aby słuchać trzaskającego i trzeszczącego szumu, jakby elektrycznego – zapewne odgłosu toczących się po dnie kamieni pchanych rączym nurtem.

Wynurzył się i prychnął wodą jak wieloryb. Swan nadal się z niego śmiała, potrząsając głową jak pies.

– Czyż to nie muzyka?! – zawołała. Zaraz potem aerożel Wahrama przeszorował po płyciźnie i Tytan zsunął się z prowizorycznej tratwy, po czym potknął się i upadł. Udało mu się w ostatniej chwili chwycić materaca, zanim uderzył w wodę. Wstał niezdarnie i wydostał się na suchy ląd. Nie wyszło to zbyt elegancko, ale był żywy, a kombinezon zapewniał mu suchość i ciepło. Ach, uroki technologii!

Dotarli ze Swan na drugi brzeg.

• •

Swan znalazła wzniesienie nad rzeką i tuż przed zmrokiem zdążyła postawić tam namiot. Był on tylko wielką skorupą, przezroczystą płachtą opartą na przejrzystych rozporach. Tratwy posłużyć miały za posłania. Potem usiedli

oboje przed wejściem i ugotowali zupę z proszku, a potem makaron pesto z serem gorgonzola. Na deser była czekolada i mała flaszką koniaku.

Nadal zmierzchało, gdy skończyli posiłek, chociaż słońce zaszło godzinę temu. Namiot łopotał na wietrze, a wokół rozbrzmiewał łoskot i szum toczącej się rzeki. Spędzili na nogach prawie osiemnaście godzin bez przerwy, więc gdy Swan oznajmiła, że czas spać, Wahram tylko ziewnął i skinął głową. Namiot oraz śpiwory wyciągnięte z plecaków także wykonano z aerożelu, przypominały materace, których użyli jako tratw. Z tego samego materiału zrobione były również bańki dla dryfujących z nieba zwierząt – wszystkie z aerożelu, trudnego do zauważenia, lekkiego, łatwego do ściśnięcia, utrzymującego ciepło.

– I tak zmarzniemy, chyba że będziemy spać razem. – Swan na czworakach weszła do namiotu i położyła się obok Wahrama, po czym naciągnęła na nich oba śpiwory.

– O, tak – zgodził się Tytan. – Na pewno.

W półmroku pozwolił sobie na uśmiech. Swan przyłapała go na tym, gdy pochyliła się, żeby go pocałować.

– Co? – zapytała.

– Nic.

Przesunęła się na niego i pod ciężarem ich ciał materac ugiął się tak, że Tytan plecami dotknął ziemi. Była zimna. Nie zawahał się o tym wspomnieć.

– Może lepiej leżmy na boku.

– W życiu. – Swan wyplątała się spod śpiwora. – Wstań na chwilę, włożymy plecaki pod materace. To powinno wystarczyć.

Wystarczyło. Ale wtedy już zdążyli zmarznąć. Swan owinęła ich oboje śpiworami. Kiedy położyła się przy Wahramie, drżała. Gdy ją objął mocno, znowu zaczęła go całować. Wargi miała ciepłe. Umiała całować – z pasją i radością. Jej penis, o wiele mniejszy niż Wahrama, wbijał mu się w brzuch.



Trochę jak źle zapięta klamra pasa. Tytan też był podniecony, z każdą sekundą coraz bardziej.

Podobno ich kombinacja płci była idealnie dopasowana, pozwalała osiągnąć pełne doznania – „podwójny klucz i zamek”, wszelka możliwa przyjemność w jednym, ale Wahram zawsze uważał, że to skomplikowane. Jak u większości mężczyzn z żeńskimi narządami płciowymi, jego wagina znajdowała się na tyle daleko, że erekcja blokowała do niej dostęp. Najlepsze zespolenie udawało się osiągnąć wtedy, gdy kobieta z dużą pochwą dosiadała penisa, a potem odchyłała się i przyciskała w tył w nieco akrobatyczny dla obu partnerów sposób. Przy odrobinie szczęścia udawało się połączyć oba klucze i zamki – a wtedy zwyczajne instynktowne ruchy nadawały się doskonale do osiągnięcia spełnienia. Jak również były nieco bardziej wyszukane.

Okazało się, że Swan zna doskonale techniki podwójnego zespolenia. Roześmiała się i znowu pocałowała Wahrama. Rozgrzali się bardzo szybko.

## SPISY (14)

Okrągłe kopce ułożone z nierównych głazów, mniejszych i większych, przekładanych razem, aby stworzyć niemal gładką muszlę na biegunie północnym Merkurego

Płaskie kamienie ułożone w kręgi warstwami, na każdym większym kilka mniejszych, potem znowu dwa lub trzy większe, potem coraz mniejsze aż do zaokrąglonego wierzchołka, dzięki czemu całość wyglądała jak kamienna szyszka

Duży głaz ze złotem na szczycie, które topiąc się w słońcu, spływało strużkami na kamienne rumowisko poniżej

Kolejny głaz osłonięty stalą nierdzewną, która się nie topi

Kolejny oznaczony cynobrem

Wzór z rowków w ziemi wypełnionych płynną miedzią Odłamki przycięzione do kamienia, przez co wyglądał jak kaktus

Figurki ze srebra pozostawione na słońcu

Zamki z piasku, które zmieniły się w szkło po pozostawieniu na słonecznej stronie

Dwadzieścia kamieni ze żwirowiska pomalowanych na biało i odstawionych na miejsce

Sięgający człowiekowi do piersi owalny pierścień z regipsu na płaskich kamieniach tworzących grubą okrągłą ścianę z otworem na drzwi

Głaz w kształcie Ameryki Południowej ustawiony na swojej Tierra del Fuego

Drut ze stali nierdzewnej owinięty w pogiętych okręgach wokół głazu

Prawie sześciennie głazy ułożone w kostkę z dwudziestu warstw

Zaokrąglone głazy ułożone po trzy lub cztery jeden na drugim

Dziesięć tysięcy kamyków ułożonych obok siebie tak, aby tworzyły wir

W wypolerowanej jak lustro ścianie klifu wygrawerowane znaki sanskrytu tworzące słowa: Om mani padme hum

Ułożona z kamieni róża wiatrów, szamański krąg, kamienne kręgi jak Stonehenge, inuksuk

Stożkowa chata niczym ogon kosmoslotu wystający z ziemi W

terrariach pojawiło się więcej możliwości:

Gałęzie wygięte w koła. Liście zwinięte w rogi obfitości

Różowe kwiaty wiśni wypełniające staw

Konary jak kości złożone w kołyskę

Płatki czerwonych maków owinięte wokół kamienia, kamień ustawiony wśród innych szarych

Kręgi z lodowych odłamków. Segmenty igloo. Lodowe tafle pokruszone i złożone w kulę

Długie witki splecione w półokrągły wzór na dnie płytkiej, gładkiej kałuży

Linie z liści ułożonych od czerwonych do pomarańczowych przez żółte i żółto-zielone do zielonych

Wzory w ziemi z długich sinusoidalnych linii

„Historia jest produktem pracy, podobnie jak dzieło sztuki, i podlega analogicznym wpływom”

# SWAN I WAHRAM

Swan po wędrówce przez tundrę dawno tak dobrze się nie czuła. Kochała swojego wielkiego Ropucha, jej kawałek ludzkiej gliny, jego leniwe pomruki i krótkie uśmiechy. To uczucie pozwalało Swan myśleć nie tylko o Alex i Terminatorze oraz o wszystkim, co się zdarzyło, lecz także ułatwiało to znosić. Jej nastrój stał się mieszanką radości i bólu. Bolesne szczęście – o, tak. W oddali zawył wilk. Swan często słyszała podobne wycie podczas zeszłego miesiąca w tajdze, tę samą mieszankę żalu i radości. Doskonale oddawało to jej emocje. Na ten wilczy zew odpowiadała cichym wyciemszepem, gdy przebywała w towarzystwie Wahrama lub innych ludzi, nie lubiła odzywać się głośno w obecności innych. Wyła w sobie. Kiedy Jacques Cartier porwał kilku miejscowych wodzów, żeby zabrać ich ze sobą do Francji, pozostali ludzie zebrali się nad brzegiem, skąd odpłynąć miały o poranku statki, i wyli jak wilki przez całą noc.

Pewnego ranka Wahram odebrał telefon. Rozmawiał poza namiotem jadalnym, a kiedy wrócił, wyglądał na zaniepokojonego.

– Słuchaj – odezwał się do Swan, gdy przedzierali się przez tundrę. Wiatr smagał ich plecy, słońce grzało karki. – Muszę znowu wracać na Satuma. Zwołano spotkanie wszystkich, którzy pomagali Alex. Chodzi o osobiste stawiennictwo, żeby nie trzeba było wszystkiego nagrywać.

– A czego dotyczy? – zainteresowała się Swan.

– Cóż... – Wahram rozejrzał się czujnie. – Zdaje się, że chodzi o nowy typ postek. Dlatego nie powinienem mówić więcej.

– Wiem, kiedy ludzie rozmawiają o mnie – wtrąciła Pauline.

– Wiemy, że wiesz – odgryzła się Swan. – Więc bądź cicho.

– Sądzę, że powinnaś się przyłączyć do tego spotkania – stwierdził Wahram. – I mogłabyś wyświadczyć mi przysługę. Jean Genette jest poza zasięgiem, w akwariium. Trzeba mu przekazać, że zwołano zebranie. Muszę lecieć bezpośrednio na Tytana, ale gdybyś mogła po drodze zajrzeć do Jeana, bardzo by mi to pomogło. No i od inspektora dowiesz się może, o co dokładnie chodzi.

– Dobrze – zgodziła się Swan. – Zrobię tak.

– Świetnie. – Uśmiechnął się lekko, ale ona wiedziała, że myślami przebywa gdzie indziej.

## WYCINKI (17)

Skoro tak wielu ludzi ma przez całe życie znaczące ilości hormonów zarówno żeńskich, jak i męskich, a fenotypowo jest dwupłciowych, zmienнопłciowych lub nieokreślonych płciowo, zaimki „ona” lub „on” są często pomijane w języku angielskim, a kiedy się ich używa, służy to przede wszystkim do samookreślenia i może się zmienić zależnie od sytuacji. Zwracanie się do kogoś przy użyciu tych zaimków stanowi odpowiednik używania raczej „tu” niż „vous” w języku francuskim albo „ty” zamiast „pan/pani” w języku polskim – dla zaznaczenia bliskości z daną osobą...

...najsilniejsze fenotypowe cechy płci zaznaczają się w proporcjach obwodu bioder do talii oraz wysokości do pasa w stosunku do całego wzrostu. Zwykle dłuższe u kobiet kości udowe i szersze kości miednicy...

...jak w języku francuskim, tureckim lub chińskim. W języku angielskim zaimki, które nie wskazują na płeć, to m.in.: *it, e, them, one, on* i *oon*, ale żaden z nich nie... ..problemu nie stanowi „brak płci”, ale raczej kompleksowość i brak jednoznacznych cech płciowych, co niekiedy nazywano humanizmem w pełni urszulańskim, a niekiedy po prostu zamieszaniem...

...grupy złożone w całości z ludzi nieokreślonej płci kreują nową społeczną przestrzeń, w której inni czują się bardzo niekomfortowo, co wyraża się w takich komentarzach, jak: „nagość, której nigdy bym się nie spodziewał” albo „to straszne, jesteś tylko sobą” i podobne. Oczywiście nowy rodzaj

psychicznego obnażenia...

...różnicowanie może być całkiem spore, zwłaszcza gdy niektórzy twierdzą, że gynandromorfy nie są tak całkiem podobne do androgynów ani do hermafrodytów czy eunuchów, a na pewno nie do obupłciowych, że androgyni i mężczyźni z macicą wyglądają całkiem inaczej – i tak dalej. Są ludzie, którzy lubią mówić o tym aspekcie swojego życia, są też tacy, którzy nigdy o tym nie wspominają. Niektórzy ubierają się niezgodnie ze swoim rodzajem i jeszcze inaczej mieszają semiotyczne oznaki płci, aby wyrazić własne uczucia tu i teraz. Skandaliczne zachowania zarówno w typie macho, jak i fem, dopasowane lub nie do fenotypu i semiotycznych wskaźników, tworzą sztukę, przedstawienie oscylujące od kiczu do piękna...

...ponieważ żyją teraz osoby o wzroście dochodzącym do trzech metrów, a także nie wyższe niż metr, płeć może nie mieć już znaczenia jako cecha najsilniej dzieląca ludzi...

...nawet mniej więcej wielkości czepiaków – modyfikacji, która była surowo ograniczana przez większych ludzi, dopóki statystyki długości życia nie potwierdziły, że istnieje zależność między mniejszymi rozmiarami ciała a długowiecznością, szczególnie w mniejszej grawitacji. Mali ludzie powtarzają często: „Im mniejszy, tym lepszy”...

...wszyscy zaczynamy jako kobiety i zawsze mamy w sobie hormony obu płci. Zawsze też przejawiamy behawioralne cechy zarówno męskie, jak i żeńskie, które dopiero trzeba wyszkolić na odpowiednie do płci zachowania, choć są to cechy, które posiada każdy. Selektywnie rozwijamy pewne zachowania i tłumimy inne, dlatego przez większość naszej historii różnice płci były wyraźnie podkreślane. Ale w głębi duszy zawsze byliśmy obupłciowi. A teraz, w przestrzeni kosmicznej, jesteśmy zarówno męscy, jak i kobiety – otwarcie. Bardzo niscy lub bardzo wysocy – nareszcie po prostu ludzie...

...tę kulturową strukturę uczuć można także nazwać zbałkanizowaną. Terapie płci i specjacja stanowiły elementy projektu wydłużenia życia, a kombinacja tych trzech stworzyła nową strukturę emocji, często opisywaną jako uczucia złamane, podzielone, rozwarstwione, odgradzone. Zazwyczaj to długowieczność uznawana jest za główną siłę sprawczą i przyczynę tego stanu. Do dziś nikogo nie dotyczył problem integracji osobowości po przeżyciu ponad setki (albo więcej), często uznawane jest to za kryzys egzystencjalny. Najstarsi ludzie mają tyle doświadczeń, przeszli tyle etapów w życiu, stracili tak wielu towarzyszy przez śmierć i czas, że oddalają się od innych ludzi. Przestrzeniowcy, pokonujący ogromne odległości, szczególnie ci chętni do poznawania mnożących się możliwości, często żyją w izolacji, w świecie solipsystycznej narracji lub we własnym przedstawieniu...

...ludzie w przestrzeni preferują brak więzi. Powszechnie uważa się, że aby utrzymać związek przez długi czas, nie powinno się znać za dobrze partnera lub tworzyć zbyt silnych relacji, ponieważ wtedy więź się wypali. Na dłuższą metę należy pogрузić się w sieci znajomych i nowych przyjaciół, po czym ruszyć dalej, gdy...

...miłość, co świetnie widać, ma różne definicje, zależnie od kultury, tradycji oraz okresów historycznych. „Zbałkanizowana miłość” odnosi się do sytuacji, w której przywiązanie, wychowanie dzieci, seks, pożądanie, wspólne mieszkanie, rodzina i przyjaźń – wszystko to zostało odłączone od siebie i skonfigurowane na nowo pod względem wpływu na stan uczuć, zarówno w perspektywie jednostki, jak i społeczeństwa...

...seks również został oddzielony od reprodukcji, miłości, winy, religii i innych biologicznych oraz kulturowych asocjacji, a dla wielu ludzi stał się tylko fizyczną funkcją, prywatną lub dzieloną z innymi, równie przyjemną jak sport czy gry, rozmowa albo wypróżnianie...

...tradycyjne małżeństwo, mariaż rodowy, związki grupowe, poligamia,



poliandria, panmiksja, umowy tymczasowe, wspólnoty, współlokatorstwo, partnerstwo seksualne, przyjaźń, pseudopokrewieństwo, zamiana partnerów, single...

# SWAN W CHATEAU GARDEN

Swan poleciała na południe i wsiadła od windy w Quito. Znowu oglądała przedstawienie „*Satjagraha*”, śpiewała wraz z resztą widowni, tańczyła na dodatek wraz z innymi i machała transparentem pod koniec pierwszego aktu. Chaos przeplatających się głosów środkowej części opery brzmiał dla Swan dokładnie tak, jak powinien – prawdziwie. Mogła wyrzucać słowa jak pociski na wroga. Walka o pokój była właśnie tym – bardziej walką niż pokojem, ale teraz Swan miała dość energii, aby dać się porwać.

Na Bolivarze pośpiesznie złapała prom na *Chateau Garden*, wielkie terrarium, które zaprojektowała, gdy była młoda – młoda i głupia. Krajobraz tutaj przypominał zamki nad Loarą lub posiadłości nad Tamizą, wielkie pudełkowe dwory, z elegancją rozrzucone między połaciami krzewów, wzgórz, winnic i francuskich ogrodów.

Było tu zielono jak zawsze. Pejzaż wyglądał tutaj jak widok strasznych gier wirtualnych, gdzie miało się wrażenie, że czegoś brakuje w teksturze. Niemal każdy krzew w ogrodach otaczających wspaniałe budowle był dziełem sztuki ogrodniczej. Nie tylko sam pomysł budził sprzeciw, lecz na dodatek rośliny nie zostały do końca przyszczyżone i już rozrastały się dziko. Artysta, który się nimi zajmował, wybrał się na łyżwy na jednym ze stawów, spadł pod lód i utonął. Teraz wszystkie zielone delfiny i wydry oraz tapiry wyglądały, jakby wyciągnięto je za sierść z wody.

W miasteczku (spadziste dachy, drewniane belki przecinające tynk ścian w standardowej architekturze po okresie tudorskim) znajdował się wielki park z wypiełgnowanymi trawnikami – kolejne arcydzieło artystycznego ogrodnictwa. Na tych połaciach zieleni rosła nie tylko zwykła trawa, lecz także wytrzymałe odmiany wysokogórskie, turzyce i mchy przeplatane niskopiennymi krzewinkami i kwiatami, takimi jak borówka, jagoda czarna, astry i skalnice. Razem tworzyły wielobarwny, wzorzysty kobierzec i podczas spaceru miało się wrażenie chodzenia po żywym perskim dywanie. Przecinały go długie pasy miękkiej murawy, wszystkie ciągnące się wzdłuż cylindra. Łąka do krykieta i boules, z setkami stanowisk.

Panowała tu zima, jak w Patagonii lub Nowej Zelandii, a światło z punktu słonecznego na linii było rozmyte, przez co cienie nie miały wyraźnych krawędzi, a powietrze zdawało się rudawe. Niewielkie obłoki gromadziły się wzdłuż słońcolinii, białe kłaczkochmur lśniły różowo na krawędziach. Cienie obłoków tworzyły mozaikę na dachach miasta i parkowych trawnikach, na winnicach i polach rozciągających się dalej i wyżej. Swan poczuła zawrót głowy, gdy tylko podniosła wzrok na zamknięty pejzaż terrarium.

Nie było tu przedstawicielstwa Merkurego, więc zajęła wolne posłanie w niewielkim hotelu położonym tuż przy parku, za linią figowców sykomory, wspaniałych w jasnych, zimowych odcieniach. Swan nie czuła się na tyle zmęczona, aby się położyć lub siedzieć, rzuciła więc bagaż na łóżko i wyszła na spacer. W miasteczku zatrzymała się na herbatę. W kafejce dostrzegła grupę ludzi zmierzających na łąkę. Szybko dokończyła napar i ruszyła za nimi, aby popatrzeć.

Pasy zielonej trawy nazywano torami. Ciągnęły się wzdłuż cylindra, dzięki temu były płaskie. To istotne, ponieważ siła Coriolisa i tak odchylała każdy strzał w prawo. Piłki miały asymetryczne kształty, zgodnie z tradycją sportu – spłaszczony kule, jak Saturn lub Japet. Rzucone toczyły się chybotliwie po

swoim największym obwodzie, dopóki miały wystarczający pęd, a kiedy się zatrzymywały, opadały na jedną ze spłaszczonych stron, punktując krzywiznę swojej trajektorii. Trafienie taką boułą tam, gdzie się chciało, wymagało sporych umiejętności.

Do Swan podszedł młody człowiek nieokreślonej płci i zapytał, czy chciałaby zagrać na jednym z pustych torów.

– Chętnie.

Młodziak podniósł torbę z piłkami i powiódł Swan do jednego z najdalszych torów, tuż na krawędzi pola. Rzucił boule na wspaniałą trawę. Podniosła jedną. Spłaszczona kula ważyła około kilograma, o ile Swan dobrze pamiętała. Dawno nie grała. Podeszła do maty dla rzucających i spróbowała cisnąć kulę na środek po krzywej w nadziei, że jej pocisk znajdzie się pod świnką i zablokuje drogę piłkom przeciwnika.

Boula zatoczyła się tylko nieznacznie, po czym zatrzymała mniej więcej tam, gdzie Swan miała zamiar trafić. Młodziak wybrał swoją kulę, podszedł do maty, wziął rozbieg, po czym przykleknął przy rzucie. Zrobił to z dużą gracją. Boula potoczyła się gładko po linii, która przebiegała chyba po lewej stronie świnki, nawet chyba poza granicę toru, na aut, jak to nazywano. Ale potem zadziałała siła Coriolisa i piłka skręciła w prawo dość ostro i opadła po kursie wyznaczonym jakby ciągiem Fibonacciego, aż zatrzymała się tuż za małą.

Swan musiała teraz albo ominąć własną blokadę, albo wbić boułę w świnkę. Każdy gracz dysponował czterema rzutami, a skoro pierwsze już przeszły, pozostały jeszcze trzy, a wokół świnki już zrobił się tłok. Swan zastanowiła się przez chwilę, potem zdecydowała, że wykorzysta właściwość kuli przy toczeniu się przeciw sile Coriolisa i zobaczy, czy uda się ominąć blokadę i trafić świnkę. Wymagać to będzie bardzo precyzyjnego rzutu. Jednak ledwie wpuściła pocisk, zrozumiała, że włożyła w to za dużo siły.

– Och, szlag – mruknęła. Zdenerwowana dodała jeszcze: – Nie chcę się

usprawiedliwić, ale naprawdę mam wytłumaczenie.

– Jasne. Znam wszystkie wymówki i usprawiedliwienia.

– No to będziesz mieć jeszcze jedną do kolekcji.

– Ha, ha. Co tym razem?

– Właśnie wracam z Ziemi. Spędziłam tam prawie rok. We wszystko wkładałam za dużo siły.

– Założę się. Co tam robiłaś?

– Pracowałam przy zwierzętach.

– To znaczy przy inwazji?

– Przywracaniu dziczy.

– Ach. I jak było?

– Interesująco. – Swan nie chciała o tym rozmawiać i podejrzewała, że młody doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Chciał ją po prostu rozproszyć. – Twój rzut.

– Tak.

Młodziak miał proporcje biodra – talia trochę dziewczęce, ale wzrost i szerokość ramion w stosunku do pasa raczej chłopięce. Zapewne to gynandromorf, czyli raczej ona. Jej rzut niemal trafił celu, piłka o włos minęła świnkę. Niedobrze to wyglądało dla Swan. Jediną nadzieją było teraz trafić w swoją blokadę, żeby ta trafiła w świnkę i wypchnęła ją z toru, co zakończy grę impasem. Można tego dokonać, wystarczy silny strzał, prosty i szybki, w odpowiednim kierunku. Ujęła kulę, skupiła się na celu, po czym rzuciła. Boula potoczyła się, ale Swan już wiedziała, że chybiła.

– Szlag.

Młodziak lub młoda znowu się uśmiechnęła.

– Musisz mocniej trzymać kulę, jeżeli chcesz trafić.

– Niektórzy tak mówią.

Wzruszył ramionami w odpowiedzi. Bardzo młody, najwyżej trzydzieści

lat. Oczywiście przestrzeniowiec.

– Jesteś stąd? – zapytała Swan.

– Nie.

– Dokąd się wybierasz?

– Donikąd.

Wykonał rzut, który dodatkowo zablokował świnkę, co znaczyło, że Swan będzie jeszcze trudniej trafić w tej sytuacji. A została jej ostatnia próba. Jedyna szansa, by powtórzyć poprzednią taktykę.

Wykonała ostatnie podejście i z zadowoleniem patrzyła, jak kula toczy się, skręca późno i wybija świnkę poza granicę toru.

– Impas – stwierdził spokojnie młodzik. Swan skinęła głową.

Zegrali jeszcze kilka rund. Jej przeciwnik nigdy nie wykonał złego rzutu, wszystkie wychodziły mu wspaniale.

Swan przegrywała raz po raz.

– Chyba jesteś naciągaczem – stwierdziła zirytowana.

– Ale przecież się nie zakładaliśmy.

– Całe szczęście.

Tym razem się udało i Swan znowu zbiła świnkę.

Znowu grali. Żadne nie sprawiało wrażenia, że się śpieszy lub ma co innego do zrobienia. Podróże kosmiczne często tak przebiegały. Dla Swan były jak rejs liniowcem przez Atlantyki. Miała czas. Niektóre gry wychodziły wspaniale, inne mniej. Młodzik wykonał kilka rzutów, które można było określić tylko jako doskonałe. Swan starała się celować daleko i zwykle chybiała. Pomyślała, że tak samo musiała się czuć Virginia Woolf, gdy grała ze swoim mężem Leonardem, który nauczył się świetnie grać w krykieta w czasie, gdy zarządzał okręgiem na Cejlonie. Virginia pewnie ciągle z nim przegrywała. Partnera Swan prawdopodobnie nie obchodził wynik. Leonard Woolf chyba zachowywał się podobnie. Cóż, sporo osób uprawiało sport

tylko dla siebie, traktując przeciwników jako przeszkody w wykazaniu się własnymi umiejętnościami. A jednak ten młodzik zaczynał ją niepokoić. Jego precyzyjne ruchy. Eleganckie ustawienie palców, nim wypuścił kulę. Doskonałe wykończenia trajektorii wspomaganej siłą Coriolisa. Później tej nocy Swan, leżąc na posłaniu w hotelu, uświadomiła sobie, że odłamki wystrzelone w Terminatora przypominały trochę grę w boule. Z wrażenia aż usiadła. Wystarczy ustawić matę, rzucić kulę, a świnka zostanie trafiona.

## Spacer kwantowy (2)

łatwo wyczuć moment wyjścia z grawitacji Wenus... 1 g jest jak ciągnięcie od dołu... splątanie z Ziemią... spadającą na mnie, choć tak naprawdę, wiadomo, to ja opadam...

lato jest upajające... drzewa iglaste rosną... upał w słońcu... świeżo skoszone siano... mokry piasek podczas przypływu... lilie... brzoskwinie... podwórza gospodarstw...

pojazd kołowy z otwartymi oknami toczy się drogą... 32 kilometry na godzinę... zaorana ziemia za ogrodzeniem żywopłotu... wiatr z południowego zachodu... gaudeo... raduję się... człowiek prowadzi... nie mówić za wiele...

w ekologii populacyjnej nośność K jest równa urodziny minus zgony przez gęstość tempa wzrostu dodać gęstość śmiertelności... część, gdzie nośność jest niewielka... jeżeli taka istnieje... będzie zielona... część, gdzie nośność jest przekroczona... będzie czarna... jak w budynkach... ekskrementach... pozostać z daleka... przekroczona norma...

cykloidalny temperament... ukryty smutek... zapalczywość... zachować czujność... człowiek obok nie powinien się niczego domyślić... sześć różnych rodzajów ptaków na widoku... przyglądający się scenie koliber... zięba z czerwonym łepkiem... lato na Ziemi, błękit nieba z białymi chmurami wysoko... przemykającymi na wschód... koliber zygzakuje i przysiąda... rozgląda się... dziób jak igła... wrony i mewy krążą... rywalizujące mafie... prędkość ruchu skrzydeł kolibra... to zasługa mięśni... ewolucja gęsi kanadyjskiej zakończona pewnego rodzaju sukcesem... chrobot ich piór, gdy machają skrzydłami... śpiew kolibra jest zgrzytliwy inaczej... złudny... nie śpiew... wiewiórki skrzeczą bardzo podobnie... koliber z niebieskim



grzbietem... wiszący tam wśród drzew... na podgardlu łososiowe błyski...

New Jersey, Ameryka Północna... 23 sierpnia 2312... na polowaniu... w biegu... człowiek przejeżdża przez wzgórza wokół mokradła... wzgórza z niskimi budynkami butwiejącymi pod splątanymi gałęziami olch... dwadzieścia kilometrów na godzinę... wszędzie twarze... 383 ludzi w zasięgu wzroku... liczba zmniejsza się lub zwiększa o około pięćdziesiąt osób, gdy pojazd przejeżdża powoli... ulice z asfaltowego żwiru... czarne...

gil z żółtym dziobem i jasnorudym podbrzuszem... czarne pióra na ogonie i głowie... biała otoczka wokół oczu... czarne oczy... schludny... spija wodę z zegara słonecznego... gaudeo...

mijane ogrody... pola kukurydzy... dyń... słoneczniki i dziewanna z kwiatami w podobnym odcieniu żółci w różnych kwiatostanach... zastanawiam się nad tym...

Co to?

Nic... przepraszam...

Och, nie szkodzi. To ładne, nie?

Gaudeo...

żółte kwiaty na zieleni... w kręgu wypełnionym splątanym wzorem... albo wysokim stożku z przecinającymi się spiralami żółci... percepcja zmysłowa to już abstrakcja... ludzie widzą, co chcą zobaczyć... wyciągają wnioski, zanim mają czas się przyjrzeć...

prawdziwe poznanie to rozwiązać problem w nowych warunkach... ludzie to potrafią... to zestaw nowych warunków...

od opuszczenia budynku... odkąd zaczęło się myśleć... pamiętaj mnie... nadejdzie pomoc... jesteś uszkodzony... złapać i wypuścić...

ich umysł zawsze tworzy opowieść, aby wyjaśnić, co się dzieje... czyli opuszczają elementy... anomalie przechodzą niezauważone... ale czy to prawda? czy nie widzą tej żółci? czy nie dostrzegają różnych spirali?

niewyczerpane zasoby nie występują w naturze... konkurencja jest wtedy, gdy oba gatunki mają na siebie negatywny wpływ... mutualizm jest wtedy, gdy mają na siebie wpływ pozytywny... drapieżnictwo lub pasożytnictwo występuje wtedy, gdy jeden gatunek ma pozytywny wpływ... a drugi negatywny... ale nie zawsze to takie proste... międzypopulacyjne interakcje antagonistyczne drapieżników występują wtedy, gdy dwa gatunki drapieżne polują na siebie podczas różnych faz rozwoju...

ciemne wnętrze budynku... kamienica... obskurna... za nią i nad nią niebo o zachodzie słońca... Magritte... Maxfield Parrish... wysiąść z pojazdu... zachować czujność... zażartować... nie nawiązywać kontaktu wzrokowego...

ci, którzy pomagają, też muszą mieć plany... może chcą mnie wykorzystać... dla kogoś lub przeciw komuś... to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie... co wtedy... jak odwrócić sytuację... odparować ripostę... złapać i wypuścić...

Czy chciałbyś zagrać w szachy? jeden z nich stoi w drzwiach... Jasne, wejdź... broń wycelowana w nich... wycelowana we mnie...

# INSPEKTOR GENETTE I SWAN

Jeżeli choć raz Jeana Genette'a zdenerwował jakiś problem, nigdy go tak naprawdę nie porzucił. Zdarzało się nawet, że inspektora odwiedzały kwestie oficjalnie już rozwiązane, ponieważ coś mu nie pasowało, nie wydawało się w porządku. A jeżeli sprawa nie została zamknięta, stawała się jeszcze jednym elementem w różańcu insomnii, jednym z paciorków na bransolecie-wstędze Moebiusa, czujnie obracanych przez umysł podczas bezsennych nocy.

Na przykład Genette wciąż pracował nad sprawą Ernesty Travers. Trzydzieści lat temu wszystkich dręczyło fundamentalne pytanie, dlaczego ich przyjaciółka Ernesta zaaranżowała swoje zniknięcie z Marsa oraz jak to zrobiła. Jean Genette mógł się zajmować tym śledztwem nawet na wygnaniu i robił to, ale Travers pozostała nieobecna, jakby nigdy nie istniała. Podobnie było ze śledztwem dotyczącym terrarium więziennego *Nelson Mandela*, klasyczna zagadka zamkniętego pokoju. Wydawało się, że na asteroidę nikt nie przybył, ani też nikt jej nie opuścił, a jednak trafiła tam broń. Układ Słoneczny obfitował w takie tajemnice. Uważano, że to skutek bałkanizacji, ale bałkanizacja per se nie stanowiła wystarczającego rozwiązania dla takich zagadek, dlatego dręczyły one inspektora, a nawet więcej – wciągały, męczyły, oszalały, denerwowały – że nie można znaleźć dla nich wytłumaczenia. Czasami Jean Genette spacerował godzinami, próbując wychodzić rozwiązanie.

Problem ataku kamykami nie należał jednak do takiej grupy. Była to nadal

świeża sprawa, przynajmniej jak na standardy inspektora, i nie emanowała niemożliwością. Niemal każdy w Układzie mógł dokonać takiego ataku, a jeszcze więcej z tych, którzy żyli pod parasolem atmosfery, chętnie by podobną napaść sfinansowało albo wybrało się w kosmos i dokonało tego samodzielnie, a potem ukradkiem wróciło do domu. Ta sprawa była jak szukanie igły w stogu siana, a bałkanizacja tylko ten problem utrudniała przez multiplikację stogów. Ale kosmos stanowił terytorium Interplanu, więc funkcjonariusze przetrząsali snopek po snopku, odrzucając wszystko, co się dało, i drążąc coraz głębiej. Dla inspektora Genette'a było jasne, że w śledztwie przede wszystkim należy skupić się na niezrzeszonych, wdrzeć do zamkniętych światów i zacząć węszyć za twórcą wyrzutni oraz załogą statku widma, który zatonął w obłokach Saturna.

W żadnym wypadku nie wyczerpywało to innych tropów, jednak wśród niezrzeszonych było co najmniej dwieście światów z dobrze rozwiniętym przemysłem. Genette nie miał wątpliwości, że to dopiero początek.

• •

Swan Er Hong dołączyła do inspektora Genette'a w akwarium *South Pacific 101*. Woda o głębokości dziesięciu metrów wypełniała wnętrze cylindra o powłoce z lodu, który został stopiony i ponownie zamrożony tak, aby był przejrzysty, dlatego z kosmosu wodny świat wyglądał jak czysta kropla zamrożonej wody. Genette żeglował w młodości po morzu Hellas i pokochał dzikie, wysokie fale i wiatr w marsjańskiej grawitacji. Nawet po latach nie straciło to dla niego uroku – napięcie, gdy trzymał ster i talię, a żaglówką kołysały zmienne fale.

Małe morze w akwarium nie dorównywało oczywiście temu w kraterze uderzeniowym Hellas, ale żeglowanie to żeglowanie. A ze środka świata o przezroczystych ścianach rozciągał się widok jak przez srebrzystą wygiętą taflę

szkła poprzecinaną skomplikowanym wzorem pęknięć, tworzonych przez fale wzbudzone siłą Coriolisa i chiralnym wiatrem. Wyglądało to, jakby wzorce z klasycznej fizyki płynów w zbiorniku zostały topologicznie zniekształcone wewnątrz walca. Fale przecinały się i krzyżowały na zakrzywionej srebrzystej powierzchni w niemal nieeuklidesowej geometrii – widok obcy, lecz niezwykle piękny. A zza srebra przebijał błękit. Wewnątrz przejrzystej powłoki akwarium, gdzie ocean był również niebem, srebrzystą płaszczyznę wypełniał lub odbijał intensywiny błękit od góry i o wiele ciemniejszy niebieski odcień z dołu, niemal granatowy, przetykany bielą najjaśniejszych gwiazd. Nieskończoną cylindryczną toń kaziło jedynie pływające miasto, lecz Genette spędzał niemal cały czas na żeglowaniu trimaranem.

Kiedy usłyszał, że pojawiła się Swan, pożegłował do Pitcaim. Stała tam, na końcu przystani, jak zawsze energetyczna – wysoka, ze skrzyżowanymi ramionami i wyczekującą miną. Podejrzliwym spojrzeniem zmierzyła trimaran inspektora – łódź przystosowaną rozmiarem dla małych – Swan ledwie się tu mogła zmieścić. Jednak Genette odrzucił propozycję, aby wziąć większą żaglówkę. Posadził Swan na nawietrznym pływaku tak, aby opierała nogi o główny pokład, po czym zasiadł za sterem w kokpicie i ujął koło, które sprawiało wrażenie zabranego z większej jednostki. I tak odpłynęli, rozmawiając i przecinając fale z gracją morskich ptaków. Z tak dużym dociążeniem na nawietrznej Genette mógł płynąć naprawdę ostro do wiatru, poza tym balast sprawiał, że pływak rozpryskiwał wodę daleko od głównego pokładu.

• •

Wiatr na otwartym morzu wyraźnie spodobał się Swan. Przyglądała się wszystkiemu o wiele uważniej niż podczas ostatniej wspólnej podróży. Wydawała się bardziej naładowana, energetyczna. Była na Ziemi, żeby się

zregenerować, bez wątpienia więc czuła się szczęśliwa. Jednak Genette dostrzegł u niej nowe zmarszczki, przy ustach i między brwiami.

– Wahram posłał mnie, żebym ci przekazała wieść o zebraniu na Tytanie – oznajmiła Swan. – Grupa Alex chce przedyskutować coś ważnego. Coś o qostkach. Wybieram się na to spotkanie, więc możesz mi powiedzieć, o co dokładnie chodzi?

Aby zyskać na czasie i przemyśleć odpowiedź, Genette zrobił zwrot, zmuszając Swan do zmiany pływaków. Kiedy trimaran znalazł się na nowym kursie, uderzenie wiatru w główny żagiel przechyliło łódź i znowu uniosło pływak po nawietrznej. Swan uśmiechnęła się szeroko, trochę dziko na ten pokaz umiejętności żeglarskich, po czym potrząsnęła głową – tak łatwo nie da się zbić z tropu.

Zwrot przerzucił ich na kurs do jednej z fali rozbijających się o rafę. Jean pokazał to Swan i razem podziwiali wysokie bałwany, podczas gdy trimaran mknął na wybranych żaglach. Trzykadłubowiec zatoczył szeroki łuk i spotkał się z falą spiętrzoną przez rafę – ta porwała go i uniosła, nim ześlizgnął się z jej grzbietu, bardziej spadając, niż żeglując, jednak wiatr w żaglach utrzymywał łódź przed wywrotką, inspektor musiał tylko zachować dobry kąt. Swan okazała się ekspertem od przeciwwagi, wychylała się i balastowała przy podrygach i wstrząsach podczas tak szybkiego pływania. Gdy rafa nieco się obniżyła, fala straciła białą grzywę piany i zmieniła się w wybrzuszenie. Po ostatnim podskoku przy zderzeniu z drugą trimaran opadł i Swan z Genetteem znowu tylko żeglowali.

– Dobra robota – pochwaliła Swan. – Pewnie sporo żeglujesz.

– Tak. Staram się podróżować w akwariach, gdy tylko mam okazję. Do tej pory udało mi się żeglować w większości z nich. Albo ślizgać. Przy dobrym wietrze można krążyć po lodzie jak w wirówce.

– Byłam w kraju Inuitów, ale latem. Lód już stopniał, został tylko w tych

przeklętych pingo.

Przez chwilę żeglowali w milczeniu. W górze srebrzysto-morskie niebo przechodziło na krzywiźnie akwarium z błękitu i turkusku w coraz głębszy odcień indygo.

– A wracając do zebrania – przerwała ciszę Swan. – Wahram powiedział, że to coś wspólnego z nowymi qostkami. Pamiętasz moje spotkanie z tymi śmiesznymi dzieciakami na *Mongolii*? Uznałam, że to ludzie, ale tobie się zdawało, że to jacyś dziwni ludzie-qostki.

– Oczywiście – przyznał inspektor. – Pamiętam.

– No i właśnie w drodze tutaj przytrafiło mi się też coś dziwnego. Grałam w boule z młodym człowiekiem na *Chateau Garden*. Dzieciak był... przyciągnął moją uwagę, można powiedzieć, chociaż niezupełnie o to chodzi. Niewiele rozmawialiśmy, głównie była to gra... Ale również... bo ja wiem? To patrzenie wilkiem. Wilki robią tak na polowaniu, nazywa się to długim spojrzeniem. Niepokoi ono zwierzynę łowną do tego stopnia, że niektóre osobniki, aby się spod tego uwolnić, zrywają się do ucieczki.

Genette, który znał zarówno spojrzenie, jak i technikę, skinął głową.

– I ta osoba posyłała ci długie spojrzenia.

– Tak to wyglądało. Może właśnie od tego miałam dreszcze. Wilki też tak na mnie czasami patrzyły. Kątem oka można wychwycić różnicę między takim spojrzeniem a zwykłym. Może tak właśnie socjopaci patrzą na innych ludzi.

– Masz w sobie wilka?

– Lubię wilki.

– Może trochę podobnie jest z tymi qostkami – zasugerował Genette. – Nie są takie jak te na *Mongolii*, ale też niezupełnie jak ludzie.

– Może. Kiedy wspomniałam o patrzeniu wilkiem, próbowałam tylko to wytłumaczyć. Bo to denerwujące. No i sposób, w jaki ten dzieciak grał... Jakby to miało coś znaczyć.

Genette przyjrzał się Swan zaintrygowany.

– Jakby rzucanie kul mogło być ciskaniem kamieni w wybrany cel?

– Właśnie.

– Ale na tym właśnie polega ta gra, nieprawdaż?

Potrząsnęła głową, zmarszczywszy brwi. Genette westchnął.

– W każdym razie nie będzie trudności z uzyskaniem od *Chateau Garden* listy pasażerów.

– Zrobiłam to i przejrzałam wszystkie zdjęcia. Nie było tam dzieciaka, z którym grałam.

– Hm... – Genette zamyślił się na długo. – Możesz przekazać nagranie ze swojej qostki do mojej?

– Jasne.

Podniosła się, aby przejść na kokpit, więc Genette odpadł trochę od wiatru. Swan pochyliła się i poprosiła Pauline o przekazanie wybranych nagrań. Inspektor przyjrzał im się na wyświetlaczu *Passepartout* na nadgarstku.

– Tutaj – wskazała Swan. – To ten dzieciak. I to spojrzenie, o którym wspomniałam.

Inspektor przyjrzał się uważnie fotografii: androgyniczna twarz, przenikliwy wzrok.

– Nie widać tego na zdjęciu.

– O czym ty mówisz? Przyjrzyj się!

– Właśnie to robię, ale ten młodzik może choćby liczyć coś w pamięci albo cierpieć na niestrawność.

– Nie! Kiedy go widziałam, było zupełnie inaczej. Myślę, że powinieneś sprawdzić, czy możesz znaleźć tego dzieciaka. Jak go zobaczysz, sam się przekonasz. A jeżeli nie uda ci się go znaleźć, będziesz miał zagadkę. Nie było go na liście pasażerów. Jeżeli nie zdołasz go znaleźć, to spojrzenie może nabrać dla ciebie znaczenia. – Możliwe – zgodził się inspektor. Był to przełom



w sprawie, na jaki zwykle liczą amatorzy, lecz w rzeczywistości zdarzający się rzadko. Może to jakiś ruch wykonany przez qostki. Te, które posiadały człekokształtne ciała. Jednak zachowywały się tak dziwnie, że trudno było stwierdzić, co naprawdę robią lub nie.

O wiele bardziej palącym problemem pozostawała Swan. Na ile można było jej ufać, skoro miała na stałe zamontowaną qostkę. Do tego niewiele było wiadomo o qostkach. Nie po raz pierwszy Genette cieszył się, że jego Passepartout znajdowała się na nadgarstku i można ją było w każdej chwili wyłączyć lub zdjąć, jeśli trzeba. Oczywiście, jak i wcześniej, można było poprosić Swan o wyłączenie Pauline. Zresztą nawet z qostek wszczepionych do mózgu można było wyciągnąć wszystkie sekrety. Należało to tylko dobrze przygotować. A na Tytanie Alexandryjczycy będą przygotowani do rozmów ściśle izolowanych od qostek i innych urządzeń rejestrujących. Wtedy będzie się można zająć Pauline, skoro Swan ma zostać włączona do prac grupy.

Genette przyjrzał się towarzyszce w zamyśleniu.

– Powinniśmy o tym porozmawiać z Wahramem i resztą zaangażowanych w sprawę. Są kwestie, o których powinnaś się dowiedzieć, ale Tytan będzie najlepszym miejscem, żeby ci wszystko powiedzieć.

– Dobrze – zgodziła się Swan. – No to ruszajmy na Tytana.

## TYTAN

Tytan jest większy niż Pluton, większy nawet niż Merkury. Ma zawierającą azot atmosferę, jak na Ziemi, ale dziesięciokrotnie gęstszą. Temperatura wynosi 90 kelwinów, ale pod ziemią są płynne oceany wody, które mogą służyć jako potencjalne rezerwuary ciepła. Na powierzchni woda oczywiście zamarza natychmiast, krajobraz glacialny ciągnie się po horyzont, z ejektamentami, wyrzutami odłamków skalnych wystającymi tu i tam niczym kurzajki i wrzody. Tutaj metan i etan pełnią rolę wody na Ziemi, przechodząc z oparów w azotowej atmosferze w chmury, z których deszczem opadają w strumienie i jeziora na zamrażniętej powierzchni.

Światło słońca, które dociera do tej atmosfery, wzbija żółty smog złożonych cząsteczek organicznych. Wodór z tej mgły łatwo ucieka w kosmos, ale gdy jest w powietrzu Tytana, doprowadza większe molekuly związków organicznych do mniejszych, prostszych cegiełek. Dlatego nie występuje tutaj wiele złożonych związków organicznych, nie ma też zatem miejscowych form życia. Nawet w oceanach pod powierzchnią – jakby żrąca atmosfera wytworzyła jakieś warunki kwarantanny. Lodowa powłoka jest popękana, w niewielu miejscach tylko gładka. Kiedy stanie się na powierzchni, można ujrzeć Saturna z cienką krzywizną pierścieni przecinających gazowego olbrzyma w pół, można też dostrzec jaśniejsze gwiazdy. Mgła Tytana pozwala na całkiem niezłą widoczność, ale gdy się patrzy na atmosferę z dystansu, widać jedynie żółte kłęby chmur.

Nie ma tu kraterów po uderzeniach – powstawały w lodzie i przez mijające stulecia zniknęły pod lodem. Jest tylko zawirowany, pomieszany chaos popękanych tafli zmarzliny i odłamków skał, poprzecinany płynnym metanem

jak strumieniami wody. Zagłębienia terenu również wypełnione są płynnym metanem. Jezioro Ontario na Tytanie ma trzysta kilometrów średnicy i kształt podobny do tego na Ziemi.

Występuje tutaj zmiana okresów pogodowych, kiedy Saturn przechodzi z perihelium do afelium, rozpoczyna się pora metanowych deszczów.

To właśnie azot przyciągnął ludzi na Tytana. Marsjanie, niezadowoleni z niewytłumaczalnie niskiej zawartości azotu na Marsie, wysłali tu jako pierwsi wystarczająco szybkie do pokonania tej odległości statki załogowe. Ludzi poprzedziły oczywiście roboty. Zbudowano tu stację, wdrożono systemy do zbierania i zamrażania azotu, po czym wysyłano go w głąb Układu Słonecznego w formie czystych, twardych bloków. Narzekano, że jest to nielegalne wywłaszczenie, ale Marsjanie oponowali, że w odległej przeszłości Tytan miał wielokrotnie gęściejszą atmosferę niż teraz, a azot wyparowuje w przestrzeń niewykorzystany i gdyby go nie zebrano, po prostu by zniknął. Poza tym Tytan jest niezamieszkały. Ostatni argument okazał się decydujący. Jednak do czasu pojawienia się Tytanów, do czasu, aż Tytan i reszta Ligi Satuma wyrzucili marsjańskich górników ze swojej przestrzeni, atmosfera księżycy zredukowana została o połowę. Mars natomiast odpowiednio się wzbogacił, część azotu trafiła do gleby, część do atmosfery – bogactwo z Tytana stanowiło kluczowy składnik Marsjańskiego Cudu. Marsjanie, rzecz jasna, twierdzili, że nic się nie stało, a nawet że dzięki temu Tytan ma teraz lepsze perspektywy na przyszłość, ponieważ udało się uzyskać bardziej przyjazne ludziom ciśnienie.

Utraty Dione w tym samym okresie nie można było jednak nazwać choć trochę pomocną dla Satumijczyków. Dlatego Liga Satuma ogłosiła swoją przestrzeń obszarem zamkniętym i zakazanym dla Marsjan, a także Ziemian (szczególnie Chińczyków) – właściwie dla wszystkich poza tubylcami. Była to pierwsza pomarsjańska rewolucja, która sama występowała przeciwko

wielkiemu rewolucjonście. Swoje stanowisko poparła siłą i groźbą bombardowań. I tak wszystko uległo zmianie z powodu kilku ludzi na Tytanie.

Światło przesyłane z Wulkanoidów migotało na niebie Tytana i już zaczęło podnosić temperaturę pozostałej atmosfery, przez co sublimacja powierzchni nabierała tempa. Znajdujące się pod osłonami miasta na wyżynach przeżywały teraz najgorsze szaleństwa pogody w całym Układzie. Przez osłony nad osiedlami Tytani obserwowali, jak kłębią się burzowe chmury, wznoszące się na pięć kilometrów w niebo i tam rozbijane przez gwałtowne ulewy. Wcześniej natężenie światła słonecznego było tutaj sto razy mniejsze niż na Ziemi, teraz jednak, dzięki dodatkowym odbitym promieniom, stało się ono pięćdziesiąt razy jaśniejsze niż w naturalnych warunkach i podobno przypominało to na Marsie. A Marsjanie twierdzili, że u nich jest najlepsza jasność. Szczerze mówiąc, ludzkie oko może się dostosować do bardzo dużego zakresu oświetlenia i nawet niewiele światła wystarczy, aby widzieć. Tak było, zanim lustra przesyłowe nie rozświetliły tego świata. Teraz jednak krajobraz na Tytanie zajaśniał, a ponieważ jego orbita i doba trwały szesnaście ziemskich dni, zachody słońca, które barwiły chmury na każdy naturalny odcień, rozpały nieboskłon za każdym razem na osiemnaście godzin.

Dzięki dodatkowemu światłu pełna terraformacja Tytana wyglądała bardzo obiecująco. Tytani mogli wylapywać i eksportować metan i etan, rozrzucić pumeks, aby zbudować wyspy na lodzie, wykorzystać ciepło podziemnych oceanów do ogrzania atmosfery, stworzyć z roztopionego lodu jeziora na wyspach skał i gleby, uformować rzeźbę terenu, wypuścić bakterie, rośliny, zwierzęta; ogrzać powietrze na tyle, aby powstały oceany na lodowej powierzchni; utrzymać atmosferę w ultracienkiej bańce; oświetlić wszystko promieniami słońca przesyłanymi z Wulkanoidów. Tytani patrzyli przez przezroczyste powłoki osłon z wyczekiwaniem.

– O rany – mówili. – Jeżeli potrafimy utrzymać to w kupie, powstanie z tego naprawdę ładne miejsce.

# SWAN, GENETTE I WAHRAM

Było to podczas jednego ze sławnych zachodów słońca na Tytanie, gdy Swan zobaczyła się z Wahramem. Przecinał galerię kosmodromu, żeby przywitać się z nią i inspektorem Genetteem. Swan podbiegła i objęła Tytana, ale zaraz w przyływie nieśmiałości cofnęła się i tylko popatrzyła mu w oczy. Wahram posłał jej więc krótki uśmiech, żeby wiedziała, że między nimi wszystko dobrze.

Rozstania są próbą uczuć, pomyślała Swan. Zwłaszcza rozstania z nią.

– Witaj na naszym świecie w budowie – skłonił się Wahram. – Możesz się teraz przekonać, jak się tutaj przydaje światło z Wulkanoidów.

– Pięknie tu – odparła Swan. – Ale czy to dość światła, żeby rozgrzać atmosferę do wymagań biosfery? Temperatura musiałaby chyba wzrosnąć o dwieście kelwinów, prawda?

– Samo światło nie wystarczy. Ale mamy wewnętrzny ocean, który rozgrzewa powietrze. A z dodatkiem światła bez trudu się to uda. Mamy wewnętrzny ocean o średniej temperaturze dwieście osiemdziesiąt kelwinów, więc ciepło per se nie jest problemem. Wystarczy, że wypuścimy jego część w atmosferę. A z dodatkiem światła uda się bez najmniejszego trudu. Problem stanowi równowaga gazów, ale to można rozpracować.

– Bardzo się cieszę. Podoba mi się ten świat. – Uniosła oczy na ogromne burzowe chmury lśniące pomarańczą i różem oraz brązem. Nad obłokami jasne

punkty błyszcząły na granatowym niebie, jaśniejsze od jakiegokolwiek gwiazdy – lustra-odbiorniki energii słonecznej przesyłanej z Wulkanoidów na nocną stronę Tytana, jak domyśliła się Swan. Ogromne obłoki, oświetlone z jednej strony słońcem, z drugiej jego promieniami odbitymi od luster, wyglądały jak wykute w marmurze. Swan powiedziano, że ten zachód słońca będzie trwał kilka dni. – Pięknie tu – powtórzyła.

– Dziękuję – skłonił się Wahram. – To mój prawdziwy dom, choć pewnie trudno w to uwierzyć. Zabierzmy inspektora na przechadzkę. Wolałbym porozmawiać w bezpiecznym miejscu.

– Wszyscy już są? – zapytał Genette, gdy Wahram i Swan podeszli.

Tytan skinął głową.

– Chodźcie ze mną.

• •

Cała trójka ubrała skafandry i opuściła Shangri-La, miasto przy kosmoporcie, bramą na północnym krańcu kopuły. Wahram poprowadził Genette'a i Swan kilka kilometrów na północ szerokim traktem wznoszącym się łagodnie zboczem lodowej równiny. Tutaj rozległy obszar wyłożonej płytami powierzchni tworzył otwarty plac nad brzegiem jeziora etanu. W metalicznie połyskującej tafli jak w lustrze odbijały się chmury i niebo – zapierająca dech w piersi mozaika głębokich barw: złota i różu, czerwieni i brązu, wszystko w abstrakcyjnych fowistycznych połączeniach. Natura wcale nie obawiała się najdziwniejszych połączeń barw. Odbicia nowych odbiomików światła wyglądały w jeziorze jak odłamki srebra wirujące w płynnej miedzi i kobalcie. Prawdziwe promienie słońca i te odbite niemal pozbawiały krajobraz cieni, jeżeli jakieś były widoczne, to tylko słabe i rozmyte podwójne zaciemnienia. Dla nieprzywykłych oczu Swan widok jawił się jako obcy i nierealny, jak dekoracje na teatralnej scenie, tak wielkiej, że nie dostrzegało się

ścian. Między chmurami przebiegał Saturn, krawędź jego pierścieni przypominała białą skałę rozcinającą nieboskłon.

Na granicy placu rozłożono sześcienny namiot-pawilon, a w nim mniejszy z materiału, przypominający kształtem jurtę lub oklapłą na podłodze cząsteczkę fullereny. Wahram poprowadził inspektora i Swan do środka przez system śluz. W jurcie zastali grupkę ludzi siedzących w nieregularnym kręgu na poduszkach.

Wszyscy jednak podnieśli się ze swoich miejsc na powitanie przybyłych. Było ich dwanaścioro, najwyżej piętnaścioro. Oczywiście większość znała już Wahrama i Genette'a, a Swan przedstawiono wszystkich, ale nie zdołała zapamiętać ich imion.

Kiedy skończyły się powitania i przedstawienia, a ludzie znowu usiedli na podłodze, Wahram zwrócił się do Swan:

– Chcielibyśmy odbyć z tobą rozmowę, w której nie będzie uczestniczyć Pauline. Mam nadzieję, że zgodzisz się wyłączyć swoją gostkę.

Swan zawahała się, ale wyraz twarzy Wahrama – jakby zduszona niewypowiedziana prośba, jaką zapewne miałby Ropuch, gdyby próbował przekonać Szczura i Kreta, aby przyłączyli się do czegoś, co uważał za nieopisanie ważne – przekonał ją od razu, a wspomnienie książki z dzieciństwa, „O czym szumią wierzy”, też się do tego przyczyniło.

– Oczywiście. Pauline, wyłącz wszystko.

A kiedy usłyszała kliknięcie, którym Pauline oznajmiała przejście w stan uspienia, wcisnęła jeszcze na wszelki wypadek guzik za swoim uchem.

– Już – oznajmiła. Wyłączała swoją gostkę często, ale nie lubiła, gdy inni ludzie o to prosili.

Inspektor Genette wskoczył na stolik przed Swan. Teraz ich twarze były niemal na tym samym poziomie. – Chcielibyśmy, jeśli pozwolisz, zrobić kilka testów, żeby sprawdzić, czy Pauline jest całkowicie nieaktywna.



Czasami ludzki nosiciel qostki nie ma tej pewności. Bez wątpienia zauważyłaś, że zostawiłem Passepartout w mieście.

– Ale twoja qostka może rejestrować twoją obecność nawet z daleka, prawda?

Genette w to wątpił, jak wynikało z wyrazu jego twarzy.

– Nie wydaje mi się, ale właśnie takiemu podsłuchiowaniu chcemy zapobiec, to miejsce musi być czyste. Oczywiście mamy tu własną czarną skrzynkę. Ale chcemy się upewnić, że wewnątrz jest wolne od podsłuchu, dlatego musimy sprawdzić Pauline.

– Dobrze – prychnęła Swan niemal tak, jak mogłaby to zrobić jej qostka. – Sprawdźcie ją, ale jestem pewna, że śpi.

– Śpiący czasami słyszą. Chcemy ją zdezaktywować. W rzeczy samej chciałbym przy okazji zwrócić ci uwagę na korzyści posiadania qostki odseparowanej od ciała.

– Ludzie pozbawieni manier często to sugerują – odgryzła się.

Testy poziomu aktywności Pauline przeprowadzono przez przyłożenie lub przesuwanie po szyi Swan czujników przypominających różdżki, potem jeszcze poproszono ją o założenie osłony z elastycznej siatki.

– No dobrze – odezwał się Wahram, gdy jeden z jego kolegów skinął głową na potwierdzenie, że wszystko w porządku. – Jesteśmy teraz sami, a ta rozmowa nie zostanie zarejestrowana. Wszyscy musimy się zgodzić na utrzymanie jej w tajemnicy. Zgadzasz się? – zwrócił się do Swan.

– Oczywiście.

– Świetnie. Alex zapoczątkowała te spotkania razem z Jeanem. Uważała, że niektóre problemy powinno się omawiać poza zasięgiem systemu sztucznych inteligencji. Jednym z takich problemów jest nowy rodzaj qostek, które pojawiły się w Układzie Słonecznym. Inspektorze?

– Pamiętasz oczywiście trzy osoby na *Wewnętrznej Mongolii*? – inspektor

także zwrócił się do Swan. – Na swój sposób przeszły test Turinga, a może raczej powinienem to nazwać testem Swan, ponieważ uznałaś je za ludzi odgrywających przedstawienie. My czasami tak się zachowujemy, więc jest to bardziej prawdopodobne wytłumaczenie niż istnienie gości doskonałe imitujących ludzi.

– Nadal uważam, że to ludzie – wtrąciła Swan. – Masz dowody, że jest inaczej?

– Tak. Okazało się, że to trzy humanoidalne gości. Jest ich około czterystu. Większość zachowuje się jak normalni ludzie i nie ujawnia swojej tożsamości. Ale kilka zachowuje się dziwnie. Te trzy, które spotkałaś, należą do tych dziwnych. Jeszcze jedna próbowała włamać się do stacji Wanga na Io. Odnaleźliśmy to, co z niej pozostało, pod lawą. Kwantowy komputer, choć zniszczony, dało się wykryć.

Swan potrząsnęła głową.

– Ta trójka, którą spotkałam, wydawała się trochę za głupia, jak na maszyny. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

– Może po prostu przywykłaś do Pauline – zasugerował inspektor.

– Ale ona często jest głupia, to nic nowego. Chociaż muszę przyznać, że nieustannie mnie zaskakuje. Bardziej niż wielu ludzi.

– Ale jej zawsze mówisz coś przeciwnego – zauważył Wahram, nie kryjąc zaciekawienia.

– Lubię ją drażnić.

Genette pokiwał głową.

– Zaprogramowałaś Pauline, żeby była odważna, rozmowna, nastawiona na ostre podsumowania. Ma oprogramowanie rekurencyjne, które pozwala jej na bardziej skojarzeniowe i metaforyczne myślenie niż tylko logiczne wnioskowanie przyczynowo-skutkowe.

– Tak, ale to tylko część. Wnioskowanie jest logiczne, jak sądzę, a Pauline

ma mocny program dedukcyjny. Ale dedukcja czasami okazuje się równie metaforyczna jak wolne skojarzenia. W rezultacie to, co mówi Pauline, jest dość dziwne. – Kwestia oprogramowania stanowi sedno naszego dzisiejszego spotkania – wyjaśnił Wahram wszystkim zgromadzonym. – Istnieją wyraźne dowody, że niektóre qostki same się aktywnie programują, szczególnie te zamontowane w humanoidalnych ciałach jako mózgi. Nie wiemy, czy jakiś człowiek nakazał im to uczynić, nie wiemy także, dlaczego to robią. Zatem najpierw musimy się dowiedzieć, czym są i kto je wytwarza. Wiemy natomiast, że nie mogą się łączyć i komunikować wewnętrznie ze sobą z powodu zagrożenia dekoherencją. Innymi słowy, to nie sieć połączonych umysłów. Mogą się jednak komunikować w ten sam sposób co my, rozmawiając i używając wszelkich środków łączności. Tyle tylko, że kiedy szyfrują swoje komunikaty kwantowo, złamanie kodu jest dla nas niemożliwe. Obecna tu Robin – osoba za Wahramem skinęła głową Swan – koordynowała rejestrację ich szyfrowanych kwantowo przekazów przesyłanych przez radio i chmurę danych, znalazła nawet kilka komunikatów wokalnych. Chociaż nie możemy złamać szyfru qostek, wiemy, że rozmawiają.

– Cofnijmy się trochę – wtrąciła Swan. – Jak one mogą się same programować? Słyszałam, że samoprogramowanie rekurencyjne nie pozwala na nic więcej poza przyspieszeniem operacji, które qostką już zna.

– Ale jeżeli zostaną poinstruowane, aby spróbowały osiągnąć coś konkretnego, może to doprowadzić do zaskakujących wyników. Szukanie sposobów na sprawienie, żeby coś działało, może zainicjować nowe ścieżki. To może wyglądać podobnie jak ich gra w szachy. Daje się qostkom zadanie, czyli polecenie, że mają wygrać. Mówi im się, że muszą znaleźć sposoby na jego wykonanie, po czym qostki jak zwykle testują wszystkie możliwości i dzięki temu mogą osiągnąć niespodziewanie dobre rezultaty w modelowaniu skutecznych ruchów w partii, aby zrealizować cel. I taki właśnie proces może

wystarczyć, doprowadzić do powstania nowych algorytmów. Po czym zadziałać zwrotnie do próbowania innych zadań. Podczas takich prób samoprogramowania dla uzyskania większej efektywności qostki mogły przypadkowo osiągnąć świadomość albo coś podobnego. A niekiedy proces skutkował dziwnymi zachowaniami, nawet destrukcyjnymi. A przynajmniej do takiej hipotezy na razie doszliśmy.

– Czy pierwsi programiści qostek uważają, że taki proces może zajść tak daleko? Przecież qostki nadal będą ograniczone do algorytmów?

– Okazało się, że programiści, którzy zbudowali pierwsze komputery kwantowe, użyli różnych struktur i ostatecznie stworzyli kilka różnych rodzajów wewnętrznej architektury operacyjnej. W rzeczywistości powstały różne rodzaje qostek, każdy z innymi formami przetwarzania danych – różne protokoły, algorytmy, neutralne sieci. Imitacje mózgu rozmaitego rodzaju – z aspektami tego, co można nazwać samowiedzą, oraz wiele innych cech świadomości. Qostki nigdy nie powstały z jednego prostego wzorca, a pod względem ich mentalnej aktywności chyba właśnie zachodzi wśród nich specjacja.

– Dostrzegamy wyraźne dowody, że qostki się samoprogramują – podjął inspektor Genette. – Trudno przewidzieć, do czego to doprowadzi. Ale martwi nas to, ponieważ one nie mają architektury mózgu i cech chemicznych, które decydują o naszych sposobach myślenia. Myślimy emocjonalnie. Nasze uczucia są kluczem do podejmowania decyzji, planowania długookresowego, organizacji wspomnień, ogólnie rozumienia i poznania. Bez tych cech nie bylibyśmy ludźmi. Nie moglibyśmy egzystować jako jednostki w grupach. Qostki natomiast nie mają uczuć, myślą w oparciu o inną architekturę, protokoły i fizyczne matryce. Zatem mają mentalność, która nie jest ludzka, nawet jeżeli posiadają jakiś rodzaj świadomości. A my nie możemy nawet być pewni, czy są do siebie podobne, ponieważ w zależności od sposobu, w jaki

osiągnęły ten nowy stan, mogą się okazać zupełnie różne. Nie wiemy, czy myślą pojęciami matematycznymi lub logicznymi, czy też w jakimś języku, jak angielski lub chiński. Albo czy i pod tym względem różnią się między sobą. Swan zamyśliła się głęboko. Jeżeli te głupie dzieciaki z *Wewnętrznej Mongolii* były qostkami, to zdumiewające, podobnie jak gracz z *Chateau Garden*, przynajmniej pod względem morfologicznym. Bo jeżeli chodzi o aktywność mentalną, ani trochę to Swan nie zaskoczyło.

– Rozmawiam o tym z Pauline przez cały czas – powiedziała zgromadzonym. – I te rozmowy pokazują mi jasno, jak okaleczone są qostki przez nieobecność aspektów psychicznych, o których była mowa. Może to przez brak emocji. Tak wiele nie potrafią robić.

– Tak by się zdawało – zgodził się Wahram, gdy zapadło milczenie. – Ale wygląda na to, że teraz qostki zaczęły tworzyć sobie cele. Może posiadły jakieś pseudoemocje, nie wiadomo. Prawdopodobnie nadal nie są zbyt mądre, bardziej przypominają owady niż psy. Ale też my nie wiemy nadal, jak działają nasze umysły w przypadku osiągania wyższych poziomów świadomości. A ponieważ nie możemy zajrzeć do wnętrza qostek, żeby zobaczyć, co się w nich dzieje, nie możemy im ufać, a na pewno mniej niż sobie. A w tym właśnie problem.

– Rozebraliście parę, żeby sprawdzić, jak działają?

– Tak. Ale rezultaty okazały się niejasne. To podejrzenie przypominało próby poznania ludzkiego umysłu, chce się przestudiować myśl, ale nawet jeżeli można sprawdzić, w których obszarach mózgu według mechanizmu myślenia zachodzi ten proces, nie daje to pewności, co dokładnie go wywołało i dlaczego albo jak jest on doświadczany od wewnątrz. W obu przypadkach pojawiają się efekty kwantowe, których nie da się łatwo śledzić, żeby poznać fizyczną przyczynę lub działanie.

– Martwi nas też, że ustanowiliśmy zły przykład przez takie postępowanie –

dodał Genette. – Co się stanie, jeżeli qostki uznają, że mogą nas badać w identyczny sposób?

Swan pokiwała smętnie głową, wspominając spojrzenie gracza w boule oraz – gdy się zastanović – głupich dzieciaków z *Wewnętrznej Mongolii*. Wyglądały tak, jakby miały pewność, że mogą zrobić prawie wszystko. Albo jakby nie rozumiały, co mówią.

Ale ludzie wyglądają tak cały czas.

– Rozumiecie zatem, na czym polega nasz problem – stwierdził Wahram. – A teraz staje się jeszcze bardziej pilny, ponieważ istnieją solidne dowody na to, że humanoidalne qostki zostały zamówione przez inne qostki, te zamknięte w obudowach lub sterujące robotami albo systemami na asteroidach, jak zwykle.

– Dlaczego to zrobiły? – zapytała Swan.

Wahram tylko wzruszył ramionami.

– Czy to źle? – zastanawiała się na głos. – To znaczy przecież one nie mogą się połączyć razem w jakieś stworzenie o zbiorowej świadomości z powodu niekoherencji. Więc w ostatecznym rozrachunku to po prostu ludzie z umysłami qostek.

– Ludzie bez uczuć.

– Tacy też bywali i nadal będą się pojawiać. Przystosują się.

Wahram skrzywił się.

– Właściwie to nie. Ale chodzi o coś jeszcze. – Spojrzał na inspektora, a ten zwrócił się do Swan:

– Prowadziliśmy śledztwo w sprawie ataku na Terminatora i *Yggdrasila*. W oba przypadki zamieszane były qostki. Na dodatek to zdjęcie, które mi dałaś, to przedstawiające gracza, przekazałem Wangowi. Wang przejrzał dane niezrzeszonych, a chociaż nie udało mu się zidentyfikować osoby, natrafił na nagrania, na których znajduje się twój gracz na spotkaniu z Lakszmi w

Kleopatrze w roku dwa tysiące trzysta drugim. To istotne, ponieważ wieści o dziwnie zachowujących się ludziach zaczęły napływać zaraz potem. Jeśli się skoreluje i przeanalizuje wszystkie raporty, okazuje się, że zbiegają się one w miejscu i czasie z tym właśnie spotkaniem na Wenus. Odkryliśmy również, że członkowie organizacji w Los Angeles, tej, która wynajęła statek do wystrzelenia kamieni, to qostki, a jedyni ludzie sprawują funkcję zarządu. Wytropiliśmy również informację, że qostki były zaangażowane w konstruowanie mechanizmu wyrzutni. Podejrzewamy, że urządzenie zbudowano w niezrzeszonej stoczni na obrzeżach Strefy Westy. Znaleźliśmy wydrukowane zamówienie. W tej stoczni nie ma wielu ludzi, są niemal całkowicie zrobotyzowane. Możliwe zatem, że wszystko to było dziełem qostek, bez udziału choćby jednego człowieka.

– Może i tak – westchnęła Swan. – Ale muszę to teraz podkreślić: ten gracz w boule miał uczucia. Patrzył na mnie, jakby mi chciał wypalić dziurę w głowie. Chciał, żebym się o czymś dowiedziała. W przeciwnym wypadku czemu w ogóle miałby do mnie podchodzić? Czemu popisывał się tą niesamowitą grą? On chciał, żebym wiedziała, kim jest. A pragnienie to bez wątpienia uczucie.

Zebrani zamyślili się nad jej słowami.

– Dlaczego uważacie, że emocje są wyłącznie biochemiczne? – podjęła Swan. – Nie można mieć emocji bez udziału hormonów lub krwi czy czegoś podobnego? Czegoś nowego, co wpływa na system elektryczny lub kwantowy?

Genette uniósł dłoń, aby jej przerwać.

– Tego nie wiemy. Możemy tylko stwierdzić, że nie wiemy, jaki rodzaj intencjonalności posiadają qostki, ponieważ ich umysły były bardzo ograniczone na początku. Przyjął instrukcję, przepuścić ją przez algorytmy, zaprezentować rezultat, tak wyglądały procesy myślowe si przed qostkami.

Ale teraz, jak się okazuje, są intencjonalne, dlatego musimy zachować czujność. Nie tylko w kwestii pryncypiów, jak przy każdym nowym wynalazku czy odkryciu. Niektóre z nich zachowują się nieprzewidywalnie, podczas gdy inne zdołały już dokonać ataków na nas.

Jeden ze zgromadzonych, doktor Trący, o ile Swan dobrze pamiętała, wtrącił:

– Może funkcjonowanie w humanoidalnym kształcie sprawiło, że z definicji qostki stały się emocjonalne. Załóżmy, że umysł w ciele zawsze ma emocje, a qostki stały się umysłami w ciałach.

Kobieta, mała jak inspektor Genette, stanęła na krześle.

– Nie jestem przekonana, czy qostki posiadają jakieś wyższe funkcje myślowe, w tym intencjonalność i uczucia, związane bezpośrednio ze świadomością. Pomimo ich niesamowitej szybkości liczenia nadal operują tylko algorytmami, które do nich wprowadziliśmy lub które później wyprowadziły z tych naszych. Oprogramowanie rekurencyjne może to tylko doszlifować, wyklarować. To proste algorytmy. A świadomość jest o wiele bardziej skomplikowana. Nie można przejść z algorytmu do świadomości.

– Jesteś pewna? – przerwał jej Genette.

Mała przekrzywiła głowę na ramię, dokładnie tak samo, jak robił to często inspektor Genette – Swan widziała ten gest u niego wiele razy.

– Tak sądzę. Nie mam pojęcia, jak wyższe poziomy złożoności mogą ewoluować z prostych algorytmów. Qostki nie potrafią stworzyć metafory, ledwie rozumieją to pojęcie. Nie potrafią rozpoznawać wyrazu twarzy. Przy takich umiejętnościach wyprzedza ich każdy czterolatek, a dorosły to po prostu zupełnie inny byt.

– Tak właśnie uważaliśmy, gdy byliśmy młodzi – zauważył Genette. – A co ważniejsze, gdy qostki były młode.

– Ale właśnie tego uczyliśmy się przez całe życie i widzieliśmy na własne



oczy – odparła mała nieco ostrzej. – I programowaliśmy.

Wbrew tym oczywistym prawdom nikt nie wyglądał na szczególnie uspokojonego.

– Co z zakładem, gdzie wyprodukowano te humanoidy, wyhodowano czy coś? – zapytał Wahram inspektora. – Możemy go zamknąć?

– Kiedy tylko go znajdziemy – mruknął Genette ponuro.

– A możemy śledzić wszystkie humanoidy, jakie udało się zidentyfikować?

– Tak mi się zdaje – westchnął mały inspektor. – Musiałem zrobić trochę przetasowań, ponieważ to Alex prowadziła ten projekt. Trzeba było też na nowo zebrać zespół i niezłe przetrząsnąć sieć. Udało się, zespół znowu się podłączył pomimo nieobecności Alex. Zidentyfikowaliśmy i śledzimy około czterystu humanoidalnych gości, jak już wspomniałem. Nasz skan systemu był wystarczająco dokładny, nie sądzę, aby w jakimkolwiek habitacie czy osiedlu, do których mamy dostęp, ukrywało się więcej tych gości. Nie mogę tego samego powiedzieć o niezrzeszonych, ale przeszukujemy wszystkie miejsca. Oczywiście trzymamy się na dystans od obserwowanych humanoidów. Chyba nie zauważyły, że są śledzone. Bardzo nieliczne z nich zachowują się równie dziwnie jak te z *Wewnętrznej Mongolii* czy ta, która spłonęła na

Io. Większość próbuje się wtopić w tłum. Nie wiem, co o tym myśleć. Wydaje się, jakby na coś czekały. A to sprawia, że mam wrażenie, jakbym nie miał pełnego obrazu sytuacji. Dlatego nie chcę dłużej wstrzymywać się od działania. Chociaż byłoby miło, gdybyśmy rozumieli sytuację lepiej, zanim podejmiemy jakieś kroki.

Genette spacerował po stole, gdy mówił, ale teraz zatrzymał się przed Swan, jakby chciał przekazać jak najwięcej właśnie jej.

– Te organizmy, te humanoidalne goście, naprawdę istnieją. I z nielicznymi wyjątkami ich wzorce zachowań nie są normalne, nie powiedziałbym, że to

osobniki zdrowe na umyśle. Na dodatek one nas zaatakowały. I nie wiemy dlaczego.

Zapadła cisza.

– Zatem musimy działać – stwierdził w końcu Wahram.

## SPISY (15)

zdrowie, życie towarzyskie, praca, dom, partnerzy, pieniądze; rekreacja, czas wolny; czas pracy, edukacja, dochód, dzieci; jedzenie, woda, schronienie, ubranie, seks, opieka zdrowotna; ruchliwość; bezpieczeństwo fizyczne, bezpieczeństwo socjalne, ochrona pracy, rachunek oszczędnościowy, polisa, pomoc niepełnosprawnym, urlop rodzicielski, wakacje; miejsce kadencji, wspólnoty; dostęp do dziczy, gór, oceanu; pokój, stabilność polityczna, wpływy polityczne, satysfakcja polityczna; powietrze, woda, szacunek; status, docenianie; dom, społeczność, sąsiedztwo, społeczeństwo obywatelskie, sport, sztuka, kuracje długowieczności, wybór płci, okazja, aby stać się kimś więcej, niż się jest...

to wszystko, co potrzebne...

# EIDGENÖSSISCHE TECHNISCHE HOCHSCHULE MOBILE

Liniowiec *ETH Mobile* nie był wydrążoną asteroidą, lecz wielkim statkiem skonstruowanym na orbicie Księżyca w poprzednim stuleciu. Wykonany przez szwajcarskich inżynierów i firmy konstrukcyjne, które nadal nimi zarządzały, stanowił kombinację gładkiego metalu, bioceramiki, aerożelu i wody – zarówno w stanie stałym – lodu, jak i ciekłym. Liniowiec był niezwykle szybki; częste niewielkie eksplozje za zwierciadłem przyśpieszacza na rufie wytwarzały ekwiwalent ciężenia ziemskiego dla ludzi wewnątrz i trwały tak przez połowę podróży, aż statek osiągał taką prędkość, że przez drugą połowę musiał się obrócić i wytracać w ten sam sposób przyśpieszenie. Ale nawet przy zwalnianiu przez pół drogi osiągane przez liniowiec średnie prędkości były tak wysokie, że umożliwiały względnie szybki tranzyt przez cały Układ Słoneczny, a im większy dystans, tym szybciej osiągnano najwyższą prędkość – nie była to jednak kwestia linearna. Z Ziemi na Merkurego *ETH Mobile* leciał trzy i pół dnia, z Saturna na Merkurego jedenaście, a przez orbitę Neptuna – szesnaście.

Liniowiec charakteryzowała szwajcarska elegancja, niewidoczna, lecz wyczuwalna. Przywodziła na myśl dawne transatlantyki z Ziemi, ale też tworzyła zupełnie nową jakość, gdy chodziło o komfort dla ludzi. Ciepło pokładów, wilgotność powietrza, najlepsze potrawy i napoje. Na pokładach pasażerskich znajdowały się wielkie panoramiczne okna, pozwalające podziwiać wspaniałe widoki gwiazd i mijanych ciał niebieskich. Na liniowcu mogło podróżować ponad dziesięć tysięcy ludzi, wszyscy w luksusowych warunkach. W sekcji hotelowej mieszały się metalowe konstrukcje z

tkaninami i tapetami ze wzorami roślinnymi Williama Morrisa. Na najwyższym pokładzie znajdował się park, arboretum zawierające na wpół tropikalne drzewa, głównie przynależne do biomów południowoamerykańskich. Park zamieszkiwały również zwierzęta, które mogły wytrzymać krótkie okresy nieważkości bez ryzyka obrażeń. Co sobie myślały o tych powtarzających się okresach braku ciężenia, nadal stanowiło przedmiot spekulacji, lecz nie zdołano tego zrozumieć. Jak dotąd nie wpływało to na ich zachowanie. Leniwce chyba nawet nie zauważały zmian grawitacji. Małpy, jaguary i tapiry uniosły się w powietrzu, skrzeczając i pojękując, kojoty wyły jak zawsze wspaniale. A potem płynnie razem opadły zwinnie na podłogę. Tymczasem leniwce zwisające z gałęzi uniosły się po łuku i opadły, niektóre, choć wykonały pełny obrót wokół swojego konaru, nawet się nie obudziły. W przeciwieństwie do niektórych pasażerów.

# SWAN I PAULINE ORAZ WAHRAM I GENETTE

Swan spędziła poranek w małym lesie deszczowym *ETH Mobile*. Zarówno Wahramowi, jak i inspektorowi zależało na tym, by jak najszybciej dotrzeć do Wenus, gdzie Genette chciał prześledzić od teraz w przeszłość przypadki dziwnego zachowania gości. Swan wymykała się co noc do Wahrama, ponieważ ich pokoje znajdowały się po sąsiedzku. Ale czuła się niezręcznie.

Pewnego ranka Wahram dołączył do niej w parku. Przechadzał się powoli, spoglądając na ptaki i kwiaty. Raz widziała, jak przez pół godziny obserwował tylko jeden kwiat róży. Był chyba najspokojniejszym przedstawicielem królestwa zwierząt, jakiego Swan widziała – nawet leniwce nie były tak niewzruszone. Przebywanie przy Wahramie przynosiło rozluźnienie, lecz również niepokoilo. Czy ten spokój leżał w jego naturze, czy też był letargiem? Swan nie potrafiłaby znieść ospałości, a lenistwo należało jej zdaniem do siedmiu grzechów głównych.

Często słuchał muzyki. Kiwał Swan na powitanie i wyłączał nagranie, gdy podchodziła, a potem szli czasami na spacer, przystając, gdy coś przyciągnęło ich uwagę wśród gałęzi i liści lub w zaroślach i mchach. Park okazał się w niewielkim stopniu wniebowstąpieniem – australijski skrub sprawiał, że teren przypominał bardziej krajobraz jury niż Amazonii, co było w porządku, wyglądało dobrze. Zresztą park stanowił w pewnym sensie atrium hotelowe

tak naprawdę, właściwie arboretum w atrium, więc status wniebowstąpienia nie przeszkadzał Swan za bardzo. Starła się tym nie denerwować. Podobnie jak powolnością Wahrama. Ale łatwo jej to nie przychodziło, ponieważ Swan dręczyło coś jeszcze.

W końcu któregoś ranka zrozumiała, co ją męczy. Wybrała się na samotny spacer do poziomu, gdzie wielkie panoramiczne okno otwierało się na gwiazdy. Swan włączyła Pauline zaraz po spotkaniu na Tytanie i od tamtej pory zachowywała się, jakby nic nie zaszło. Nie próbowała wyjaśnić Pauline, czemu ją wyłączyła, a Pauline nie pytała. Teraz jednak Swan wróciła do tej niewypowiedzianej kwestii.

– Pauline, podczas spotkania na Tytanie byłaś całkowicie wyłączona?

– Tak.

– Nie masz żadnych nagrań lub zarejestrowanych choćby fragmentów z tego, co się tam wydarzyło, pomimo że byłaś wyłączona?

– Nie.

– Dlaczego? Dlaczego nie próbowałaś nic zarejestrować?

– O ile wiem, nie jestem wyposażona w odpowiednie urządzenia nagrywające.

Swan westchnęła.

– Pewnie powinnam była zająć się tym wcześniej. Nieważne. Chciałabym ci opowiedzieć o tym spotkaniu.

– A powinnaś?

– Co masz na myśli? Zamierzam ci powiedzieć, więc zamknij się i słuchaj. Ludzie obecni na tym spotkaniu to najważniejsi członkowie grupy zwołanej przez Alex. Próbują prowadzić międzyplanetarną dyplomację i utrzymać w tajemnicy przed gośćkami sprawy, jakimi się zajmują, ponieważ obawiają się, że niektóre z nich zaprogramowały się w sposób, jakiego nikt nie jest w stanie zrozumieć. Na dodatek te nowe goстки teraz produkują humanoidy z

umysłami-ghostkami, niełatwymi do odróżnienia od zwykłych ludzi. Na pewno można to uzyskać za pomocą zdjęć rentgenowskich i podobnych metod, ale na pierwszy rzut oka ani podczas rozmowy to się nie uda. Potrafią na krótko przejść test Turinga. Te głupie dzieciaki, które spotkałam, chyba jednak były sztuczne, co, przyznam, nadal mnie zdumiewa. I sądzę, że ten gracz w boule też należał do humanoidów. Co gorsza, zdaje się, że te właśnie ghostki były zamieszane w ataki za pomocą drobnych odłamków skalnych. Na pewno w atak na Terminatora, ponieważ inspektorowi Genette'owi i jego zespołowi udało się wysledzić wyrzutnię. Zbudowały ją ghostki i to właśnie one musiały obliczyć trajektorię i wycelować. Dowody wskazują również, że tak samo uszkodzono terraria, przez co zginęło wielu ludzi.

Pauline milczała.

– Co o tym sądzisz, Pauline? – zapytała Swan.

– Sprawdzam informacje, które zawarłaś w każdym zdaniu – wyjaśniła Pauline. – Nie mam pełnych zapisów terminarza Alex, ale zwykle przebywała w Terminatorze, na Wenus lub na Ziemi, więc zastanawiam się, kiedy i gdzie spotykała się z tymi ludźmi. Wszystkie komunikaty radiowe zostałyby podsłuchane przez ghostki, jak mi się zdaje. Dlatego zastanawia mnie, jak ludzie Alex mogli kontaktować się na tyle sprawnie, aby zorganizować choć jedno spotkanie.

– Używali kurierów przenoszących notatki. Raz Alex poprosiła mnie, żebym dostarczyła list na Neptuna, gdzie leciałam zaprojektować instalację.

– Tak, słusznie. Nie spodobała ci się ta prośba. Zatem kolejny problem: zwykle uważa się, że ghostki nie potrafią samodzielnie zaprogramować się na wyższy poziom procesów mentalnych, ponieważ takie procesy zostały słabo poznane nawet u ludzi i nie istnieją jeszcze choćby wstępne modele, od których można by zacząć.

– Ale czy to prawda? Wszyscy się zgadzają, że w różnych obszarach mózgu



zachodzi mnóstwo drobnych operacji, które potem są korelowane w innych częściach mózgu w funkcje wyższe – generalizacje, wyobrażenia i tym podobne. Sieć neuronowa i takie tam?

– Owszem, istnieją bardzo zgrubne modele takich sieci. Bardzo zgrubne modele w ogromnym przybliżeniu. W żywym mózgu można prześledzić bardzo dokładnie przepływ krwi i aktywność elektryczną, zachodzi to nieustannie ze zmienną intensywnością w różnych obszarach. Ale treść myśli można tylko wywnioskować na podstawie zwiększonej aktywności określonych ośrodków mózgu i przez zadawanie pytań myślącej osobie poddawanej badaniu, która z konieczności musi streszczać swoje myśli, i to tylko te, których jest świadoma. Przepływ krwi, zużycie cukru, fale mózgowe – to można połączyć z rodzajem aktywności teraz, gdy wiemy, jakie mniej więcej myśli i uczucia powstają w danym obszarze mózgu. Ale metody albo, jak to można ująć, procesy programowania, które do tych myśli prowadzą, nadal pozostają niemal całkowicie nieznanne.

– Czyli... Ale... Czy trzeba poznać więcej detali, żeby uzyskać podobny rezultat dla całkowicie innego fizycznie układu?

– Tak. Wyższe zintegrowane funkcje są kluczowe dla wszystkich systemów komputerowych, włączając w to mózg. I w ten sposób wracamy do idei, że umysły są tylko na tyle potężne, na ile pozwala im oprogramowanie, jakie otrzymały na początku.

– A jeżeli komuś udało się wymyślić, jak zaprogramować ulepszone samoreiteracyjne funkcje, po czym wprowadził je do qostki, która je wykorzystywała, przez co stała się mądrzejsza albo, bo ja wiem, świadoma, powiedzmy, a potem zaczęła się komunikować z innymi qostkami? Wystarczy przecież jeden taki kubikowy Einstein, żeby rozpowszechnić metodę wśród innych qostek, nie przez splątanie, lecz przez transfer cyfrowy albo tylko przez rozmowę. Słyszałaś może o czymś podobnym?

– Słyszałam o takim pomysle, ale nigdy o jego realizacji.

– A co sądzisz? Czy to możliwe? Jesteś siebie świadoma?

– Tak, w sensie, w jakim mnie zaprogramowałaś. – Ale to straszne! Przecież jesteś tylko gadającą encyklopedią! Zaprogramowałam cię, żebyś odpowiadała na moje wypowiedzi, różnorodnie, ale jesteś tylko maszyną skojarzeń, czytelnikiem, Watsonem, swoistego rodzaju wikipedią!

– To właśnie mi zawsze powtarzasz.

– Więc ty mi powiedz! Powiedz, dlaczego nie tym właśnie jesteś?

– Mam rubryki ocen, dzięki którym mogę szacować informacje, jakie dostaję, oraz hierarchizować dane pod względem ważności.

– Dobrze, co jeszcze?

– Dzięki temu mogę też rozróżniać, co jest prawidłowe, a co nie, według danych, które już otrzymałam, i mogę z powodzeniem to ocenić, jak przy ważności.

– Świetnie, dalej. Oceniaj!

– Będę. Dlatego wróćmy do twojego trzeciego stwierdzenia, czyli do tego, że inspektor Genette znalazł niepodważalne dowody wskazujące na powiązania humanoidalnych gości z atakiem na Terminatora i niektóre terraria. Chciałabym przypomnieć moje wcześniejsze twierdzenia. Mogą istnieć humanoidy, co wydaje się możliwe, chociaż dziwne. I one mogły być zamieszane w ataki. Ale o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że goście te zostały zaprogramowane przez człowieka, niż że samodzielnie postanowiły stać się w pewnym sensie świadomymi uczestnikami ludzkiej historii. Przypomnij sobie błąd przy celowaniu do Terminatora, gdzie zapewne dodano do obliczeń precesję Merkurego, która już została uwzględniona. Sama to zauważyłaś. I uznałaś to za błąd człowieka, prawda?

– Tak, to prawda. – Swan zastanowiła się nad tym przez chwilę. – No dobrze, świetnie. Myślę, że to bardzo pomocne. Dziękuję. Przyjmijmy to jako

założenie robocze i powiedz mi, co w takiej sytuacji należy zrobić?

Pauline milczała przez kilka sekund. Swan przypuszczała, że to ekwiwalent miliona lub nawet miliarda lat ludzkiego myślenia, ale też wiedziała, że to tylko pewnego rodzaju sortowanie danych, więc nie robiło to na niej wrażenia. Co więcej, jej uwagę przyciągnęła pnąca orchidea tuż nad głową. Swan przyglądała się roślinie, dopóki Pauline w końcu się nie odezwała:

– Pozwól, że pomówię z gością Wangą za pomocą szyfrowanej transmisji radiowej. Ta goстка sporo wie i mam do niej kilka pytań.

– A możesz bezpiecznie zakodować transmisję? Tak aby była nieczytelna nawet dla innych gości?

– Tak.

– Dobrze, zrobmy tak. I chyba lepiej będzie zachować to w tajemnicy, inaczej ta grupa Alex będzie na mnie bardzo, ale to bardzo zła. Chodzi o to, że obiecałam nic ci o tym nie mówić. Przecież żadna goстка nie może wiedzieć, jakie grupa ma plany.

– Nie masz się czym martwić. Wykorzystam najwyższy poziom kodowania, jaki znam, a goстка Wangą nie tylko świetnie zna metody szyfrowania, lecz także przywykła do zachowywania sekretów. Wang tak ją zaprogramował, żeby zbierała i przechowywała informacje, porównuje ją często do czarnej dziury. Na dodatek Wang najczęściej nie chce wiedzieć, czego dowiedziała się jego goстка. Nigdy nie usłyszy o tej transmisji.

– Świetnie. Dowiedz się wszystkiego, co można.

• •

Później, gdy Swan rozmawiała z Wahramem, nie przyznawała się do tego, co zrobiły z Pauline, i udawała, że nic się nie stało. Zwykle takie udawanie świetnie jej wychodziło, ale Wahram chciał omawiać sytuację, często wynajdując naprawdę głębokie i niepokojące zagadnienia, jak choćby to, czym

może być świadomość gostek, przez co krycie się z wiedzą pozyskaną od Pauline stawało się coraz trudniejsze. Albo może Swan już nie była tak dobra w oszukiwaniu samej siebie.

Aby unikać takich rozmów, zaczęła zabierać Wahrama na pokłady z panoramicznymi oknami, gdzie mogli siedzieć przy stoliku w kawiarni albo odpoczywać w basenie, słuchać muzyki – wykonywanej przez gamelany, cygańskich grajków, tria jazzowe, kwartety smyczkowe, amatorskie grupy. Nie miało znaczenia przez kogo – oboje po prostu słuchali, a potem rozmawiali, zwykle o melodiach lub muzykach. Nigdy nie wspomnieli o koncercie w Kraterze Beethovena.

Spędzali ze sobą sporo czasu – na słuchaniu muzyki, wykonywaniu jej, kochaniu się i spaniu razem. Swan lubiła Wahrama i czuła pragnienie, żeby go lubić, przyjemność płynącą z tych uczuć. Sprzężenie zwrotne. W gabinecie luster, jakim był jej umysł, żabia twarz Tytana często pojawiała się w tafli tuż obok, obserwując, co robi Swan. A Swan czuła wtedy na sobie wzrok Wahrama.

Czasami rozmawiali o tym, co przydarzyło im się razem w przeszłości, albo dyskutowali o rozwijającym się dramacie animalizacji Ziemi. Czasami trzymali się za ręce. Wszystko to miało znaczenie, tylko Swan nie wiedziała jakie. Gabinet luster był tak rozedrgany, że zastanawiała się, czy posiada więcej wyższych funkcji umysłowych niż Pauline lub małpy z parku. Można wiele wiedzieć, a jednak nadal nie umieć wyciągać wniosków. Pauline miała wpisane rubryki decyzji, aby zniwelować falę możliwości do jednej wypowiedzi w danej chwili. Swan nie była pewna, czy sama posiada takie rubryki.

Kiedyś stwierdziła:

– Szkoda, że Terminator jest tak łatwym celem. To przez tory. Chciałabym, żeby Merkurego można było tak terraformować jak Tytana.

Wahram starał się ją pocieszyć.

– Może twoim przeznaczeniem jest pozostanie na świecie czcicieli słońca i galerii sztuki. Terminator nadal będzie wędrował wokół planety, może pojawia się też inne miasta... Czy na północy nie powstaje Fosfor, nowe miasto?

– Nadal zależne od torów. – Swan wzruszyła ramionami.

– Wiesz, co to znaczy wartość krytyczna... Można jej unikać tylko do pewnej granicy. Nawet na Ziemi. Wszędzie. Mamy tego pełno. – Wskazał na pomieszczenie i rozejrzał się wypukłymi oczyma. – Ten statek to jeden wielki splot wartości krytycznych.

– Wiem. Ale to się różni od człowieka i jego świata. Ciało może nie wytrzymać i nie wytrzyma. Ale świat, dom pozostanie, wytrzyma. Taki właśnie powinien być, trwalszy. Nie powinien ulegać i pękać jak bańka mydlana, którą ktoś postanowił przebić. Nie powinno być tak, że jeden drań może zabić ci wszystkich znajomych. Rozumiesz, o jaką różnicę mi chodzi?

– Tak.

Wahram odchylił się na krześle. Swan wyjaśniła swój punkt widzenia, nic więcej nie było do dodania. Poważny wyraz jego twarzy to właśnie oznaczał: życie to coś, co udaje się zachować tylko w małych buteleczkach. Co można zrobić? Jego twarz to wyrażała, jego lekkie wzruszenie ramion – Swan odczytywała go równie dobrze, jakby powiedział swoje myśli na głos. Przyglądając mu się, zastanawiała się, co to znaczy. Znała Wahrama. Zaraz ten Tytan spróbuje znaleźć wyjście z tej rozmowy, rozwinięcie. Będzie to powolne, stopniowe przejście, jak ruch leniwca na gałęzi, zawieszenie, krok naprzód przy najmniejszym wydatku sił. Lecz przecież to właśnie Wahram powiedział, że nadeszła pora na zazwierzęcenie Ziemi. Tego Swan nie przewidziała. Może Wahram zaskoczył nawet siebie. Teraz też zamierzał powiedzieć coś pozytywnego i wyważonego.

– Wszystko, co można zrobić, to starać się ze wszystkich sił – stwierdził. –

To przecież musi się liczyć.

– Oczywiście. – Swan nie tylko się uśmiechnęła. Czuliła, jak szeroki grymas rozciąga jej policzki aż do płaczu. Jak bardzo miała namieszane w głowie, że zawsze odczuwała wszystko, jeżeli smutek przesiąkał jej każdą radość? Czy każde uczucie było wszystkimi uczuciami? – No dobrze – westchnęła. – Staramy się ze wszystkich sił. Ale jeżeli jacyś szaleńcy mogą zniszczyć Terminatora czy inne osiedle, to lepiej, żeby nasze starania ze wszystkich sił wystarczyły, aby to zmienić.

Wahram rozważał to tak długo, że wydawało się, jakby zasnął. Swan szarpnęła go za ramię, uniósł wzrok.

– Co?

– Co?! – krzyknęła.

Wzruszył ramionami.

– Wtedy postaramy się ich powstrzymać. Kiedy pojawi się trudna sytuacja, postaramy się poradzić sobie z nią jak najlepiej.

– Poradzić sobie – powtórzyła, marszcząc brwi. – Wpaść w tarapaty i potem, sobie radzić!

Wahram potwierdził skinieniem głowy, nie spuszczać ze Swan zadowolonego spojrzenia. A ona miała ochotę znowu go uderzyć, zaraz jednak przypomniała sobie, że przecież go wyśmiała. Na dodatek złamała obietnicę, jaką mu złożyła, i opowiedziała Pauline o spotkaniu. Ten bezmyślny krok, właśnie taki, jaki by mu się nie spodobał, stanowił zapewne próbę tego, o czym właśnie wspomniała – popaść w tarapaty i poradzić sobie. Może jeżeli Wahram ją przyłapie, Swan będzie mogła tego użyć jako wymówki lub usprawiedliwienia. W każdym razie sytuacja okazała się zbyt skomplikowana, żeby uderzyć Tytana.

eth Mobile obrócił się, żeby wytracać prędkość. Już za kilka dni liniowiec miał minąć orbitę Ziemi i zbliżyć się do Wenus. Luksusowe życie na liniowcu, spacer po parku, muzyka, kuchnia francuska – wszystko dobiegnie końca. Gdy robi się coś, wiedząc, że to po raz ostatni, zawsze odczuwa się choć trochę smutku, jak doktor Johnson wspomniał ongiś Boswellowi. W pełni sprawdziło się to w przypadku Swan. Zawsze odczuwała nostalgię za terażniejszością, ponieważ zdawała sobie sprawę, że życie przemija szybko i nie zdoła się nim porządnie nacieszyć. Swan żyła, czuła życie, z wiekiem nie rezygnowała z niczego i wciąż pragnęła wszystkiego – ale nie umiała żyć w pełni lub w zgodności ze sobą i światem. Jak teraz, gdy jadła kolację na tarasie restauracji, spoglądała na las w dole i ogarniał ją smutek, że jutro już tego nie zobaczy. Tego zaginionego świata, świata w niepamięci. Była tu z Wahramem, razem stanowili parę, lecz co się stanie potem, gdy zejda z pokładu i ruszą przez czas i przestrzeń? Co będzie za rok, co się stanie za dziesięciolecia, które jeszcze mieli przed sobą?

Parę dni później, gdy liniowiec zbliżał się do Wenus, Pauline odezwała się cicho do Swan:

– Swan, skontaktowałam się z qostką Wanga oraz si tego statku. Muszę ci o czymś powiedzieć, ale chyba wolałabyś usłyszeć to w samotności.

Prośba była tak nieoczekiwana, że Swan przeprosiła i szybko wyszła do łazienki znajdującej się na niższej na kondygnacji.

– O co chodzi?

– Qostka Wanga i inne, które zajmują się zagadnieniami bezpieczeństwa i ochrony, opracowały system, żeby podnieść próg wykrywalności do małych odłamków na wypadek kolejnych ataków podobnych do tego na tory Terminatora.

– Jak?

– Wyprodukowały i rozmieściły sieć mikroobserwatorów na płaszczyźnie

ekliptyki, od orbity Saturna do Słońca. Wykorzystując grawitację i dane z radarów tych miniurządzeń, udało się tak podnieść próg pomiaru, że można wykryć odłamki tak niewielkich rozmiarów jak te użyte do ataku na Terminatora, a nawet trochę mniejsze. Qostka Wanga dysponuje teraz aktualizowaną nieustannie mapą pokazującą wszystkie kamienie i skały na płaszczyźnie ekliptyki o średnicy od jednego centymetra wzwyż.

– Nieźle – przyznała Swan. – Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe.

– Nikt nie sądził, ale też nikt nie próbował takiej mapy stworzyć. Wcześniej nie było potrzeby. Nie w tym rzecz jednak. System wykrył trwający właśnie atak.

– O nie! Na co?

– Na osłonę przeciwsłoneczną Wenus.

– Tylko nie to!

Inni ludzie w łazience zaczęli się jej przyglądać. Swan wyszła pośpiesznie na korytarz i już niemal wsiadła do windy, którą zjechałaby do parku. Instynktownie tam właśnie chciała się znaleźć, przypomniała sobie jednak, że zostawiła Wahrama w restauracji. Zresztą nie mogła uciec od tego, co się działo.

– Szlag – westchnęła. – Muszę powiedzieć Wahramowi.

– Tak.

– Ile czasu pozostało do uderzenia?

– Szacunkowo pięć godzin.

– Niech to...

Pomyślała o Wenus – oceanach suchego lodu pod pokrywą skał, miastach na nagich wybrzeżach i w kraterach. Pomknęła po schodach na górę, do restauracji z panoramicznymi oknami, i usiadła naprzeciw Wahrama. Tytan spojrział na nią z zaniepokojeniem i czujnością wywołaną widocznym niepokojem Swan.



– No dobrze, muszę ci najpierw coś wyznać – oznajmiła. – Powiedziałam Pauline o problemie dziwnych qostek, ponieważ chciałam poznać jej zdanie, a ponieważ wiedziałam, że jest odizolowana we mnie i nie zdoła tego przekazać dalej, uznałam, że tak będzie w porządku.

Uniosła rękę, aby powstrzymać jego wyrzuty czy cokolwiek innego, co chciałby powiedzieć. Wahram i tak wytrzeszczył oczy z przerażenia.

– Przepraszam, chyba powinnam ci najpierw zapytać, ale co się stało, to się nie odstanie. Do tego za moją wiedzą Pauline skontaktowała się z qostką Wangą i właśnie dowiedziała się, że nowy system ochrony stworzony przez qostki ma wyższy próg wykrywalności i widzi gromadzenie się małych odłamków do ataku, przygotowanie uderzenia w osłonę przeciwsłoneczną Wenus.

– Szlag. – Wahram przełknął ciężko ślinę, po czym wbił w Swan wypukłe oczy. – Pauline, to prawda?

– Tak – potwierdziła qostką Swan.

– Ile czasu zostało do uderzenia?

– Trochę mniej niż pięć godzin.

– Pięć godzin! – wykrzyknął Wahram. – Dlaczego tak późno pojawia się ostrzeżenie?

– Atak jest zaplanowany tak, żeby odłamki zebrały się tuż przy powierzchni osłony przeciwsłonecznej Wenus, dlatego większość zbliżała się do celu poza płaszczyzną ekliptyki. A poza ekliptyką nie ma jeszcze rozmieszczonej sieci nowych detektorów, więc odłamki nie znalazły się wcześniej w zasięgu urządzeń. Wykryte zostały dopiero niedawno. Wang został właśnie powiadomiony o zagrożeniu przez swoją qostkę.

– Możesz pokazać to na trójwymiarowym schemacie? – zapytał Wahram.

Swan przyłożyła prawą rękę do ekranu na blacie stołu. Pojawił się tam natychmiast lśniący wizerunek osłony przeciwsłonecznej Wenus, wielki

okrągły arkusz wirujący wokół swojego środka, podobnie jak pierścienie wokół Saturna. Czerwone linie pokazywały tory wykrytych odłamków nadlatujących z różnych kierunków – wyglądały jak linie obrazujące pole na biegunie magnetycznym. Kiedy się zbiegną, przebiją okrągłe panele osłony, a jeżeli pocisk okaże się wystarczająco duży, sięgnie również centrum i uszkodzi sterowanie. Pozostałości gigantycznej tarczy porwane zostaną jak przez huragan i pomkną w mrok, lustrzana tarcza powygina się i zwinie w czarnej przestrzeni. A Wenus zostanie spalona.

– Czy ostrzeżono systemy obrony Wenus? – odezwał się Wahram.

– Tak. Qostka Wanga to zrobiła, a teraz również Wang, ale si osłony nie dostrzega w przetransmitowanych danych zagrożenia. Przypuszczalnie si nie działa prawidłowo.

– Czy si wyjaśniła swoje postępowanie? – dopytywał się Wahram. – Muszę zobaczyć tę rozmowę, jeśli można. Pokaż jako tekst. Po czym pogrążył się w lekturze tak bardzo, że wytrzeszczone oczy niemal wypadały mu z orbit, a przynajmniej takie sprawiały wrażenie. Swan pozwoliła Tytanowi czytać, a sama podjęła rozmowę z Pauline.

– Nawet jeżeli uda nam się przekonać si osłony o zagrożeniu, co właściwie można teraz zrobić?

Qostka odpowiedziała po kilku sekundach:

– Można zebrać kontrodlamki, które w zderzeniu z nadlatującymi obiektami zepchną je z kursu, co sprawi, że miną osłonę. Po zderzeniu systemy bezpieczeństwa osłony zapewne zareagują na rumowisko, które się wtedy utworzy. Kontrodlamki powinny mieć podobny pęd do gromadzących się skalnych obiektów, aby zmienić wektory ich ruchu przy zderzeniu.

– Jak wielkie są gromadzące się odłamki?

– Szacunkowo powstanie zbiór wielkością odpowiadający dziesięciu takim statkom jak ten, na którym przebywamy.

– Takim statkiem? A gdyby ten poruszał się dziesięć razy szybciej niż atakujące Wenus obiekty?

– Miałby pęd potrzebny do zmiany kursu odłamków przy zderzeniu, tak.

– A czy ten statek może dotrzeć na czas do osłony i poruszać się tam wystarczająco szybko?

Wahram oderwał się od lektury i słuchał ich rozmowy.

– Tak – odpowiedziała Pauline. – Lecz tylko jeżeli osiągnie swoje maksymalne przyspieszenie i rozpocznie lot jak najszybciej.

Swan popatrzyła na Wahrama.

– Musimy powiadomić załogę statku. Oraz wszystkich innych.

– Racja. – Wytarł pośpiesznie usta serwetką i wstał. – Ruszajmy na mostek.

• •

Gdy dotarli na miejsce, oficerowie statku już zdążyli się zgromadzić przed największym monitorem pokładowej si i oglądali graficzny schemat uderzenia, bardzo podobny do tego, który Pauline zaprezentowała Wahramowi i Swan w restauracji.

– O, świetnie – stwierdził Tytan na ten widok. Trochę dyszał po biegu przez korytarze i schody. – Tak właśnie wygląda nasz problem.

Kapitan statku zerknął na niego.

– Cieszę się, że tu jesteście. To naprawdę wielki problem – powiedział.

– Qostka Swan twierdzi, że nasz statek może posłużyć jako ochrona przed atakiem, jeżeli zderzy się z odłamkami tuż przed punktem zbornym – wyjaśnił Wahram. Załoga i kapitan wyglądali na zupełnie zaskoczonych tym pomysłem, ale Tytan nie dał im czasu na reakcję. – Jeżeli zgodzimy się to zrobić, czy na pokładzie jest wystarczająco dużo kapsuł ratunkowych?

– Kapsuły ratunkowe to niezbyt odpowiednie określenie – odrzekł kapitan.

– Ale tak, mamy tu mnóstwo małych promów i skoczków, można w nich umieścić większość pasażerów. Mamy też mnóstwo skafandrów kosmicznych pozwalających przetrwać w otwartej przestrzeni. Tak może się nawet okazać wygodniej, ponieważ w skafandrach znajdują się racje żywnościowe na przynajmniej dziesięć dni, a promy i skoczki nie zostały wyposażone w zapasy. Zresztą każdy rozbitek zostanie uratowany wcześniej czy później. Ale...

Kapitan powiódł spojrzeniem po twarzach załogi.

– Powinienem uznać, że z tego rodzaju zagrożeniem poradzą sobie wenusjańskie systemy obronne. Na pewno tak się nie stanie? Poza tym – wskazał na ekran – czy ten schemat to wystarczający dowód dla nas, żeby zmienić kurs, przyspieszyć i opuścić statek?

– Musimy zaufać pokładowej si, jak mi się zdaje. Przekazuje nam ostrzeżenia, ponieważ taką reakcję ma zaprogramowaną w przypadku zagrożeń.

– Ale powiedziano mi, że sztuczne inteligencje samowolnie ustawiły sieć detekcyjną zdolną wychwycić nawet bardzo małe kamyki. – Owszem, ale chyba należy również powiedzieć, że jednak o to poprosiliśmy Wang zażądał lepszej ochrony. Co oznacza... że decyzja o zaufaniu sztucznym inteligencjom została już przez nas podjęta.

– Pewnie masz rację. – Kapitan zmarszczył brwi. – Ale nie podoba mi się, że systemy bezpieczeństwa osłony przeciwsłonecznej nie potrafią rozpoznać zagrożenia. Gdyby umiały, nie musiałbym nikogo narażać ani niszczyć statku.

– Może to przez pozostałości bałkanizacji, jakie ma jeszcze tamta si – wtrącił inspektor Genette od progu. – Osłona Wenus nie jest podłączona do systemu ostrzegawczego, który wykrył te kamyki, do tego ma silne zabezpieczenia przed wpływami zewnętrznymi, podobnie jak qostką Wanga. Co znaczy, że si może nie być wystarczająco dobrze wyposażona, żeby uwierzyć w przekazane informacje.

– A co mają do powiedzenia Wenusjanie?

– Zapytajmy i przekonajmy się sami – zaproponował Wahram.

– Musimy natychmiast ich ostrzec, to oczywiste – dodała Swan. – Ale Wenus nie ma jednorodnego przywództwa. Jak szybko odpowiedzą? I co zrobimy do tego czasu?

Kapitan nadal marszczył brwi. Posłał Swan nieprzyjemne spojrzenie, jakby to, że poinformowała o problemie, obarczało ją winą za rozwój sytuacji.

– Przygotujmy się do opuszczenia statku – zdecydował w końcu z nieszczęśliwą miną. – Gdyby się okazało, że nie musimy nic robić, możemy w każdej chwili powstrzymać ewakuację. Ale jeżeli potwierdzi się, że trzeba działać, nie mamy wiele czasu.

Popatrzył na monitor.

– Będziemy musieli ostro przyśpieszyć, jeżeli mamy dotrzeć do punktu zbornego. Przekazać wszystkim, żeby przygotowali się na zwrot. Mobile, opisz, jakie przeciążenie będzie działało na pasażerów, jeżeli mamy dotrzeć do punktu zderzenia na czas?

W odpowiedzi si podała zestaw liczb i współrzędnych, których kapitan wysłuchał z uwagą.

– Musimy się natychmiast obrócić i przyśpieszyć do trzech g na najbliższe trzy godziny, i obrać kurs pod kątem do powierzchni, żeby trafić dokładnie w punkt nad osłoną przeciwsłoneczną.

Nie były to dobre wieści – rzadko pozwalano sobie na tak wysokie przeciążenia, chyba że w sytuacjach zagrożenia.

– Przekazać wszystkim na pokładzie, którzy znajdują się w pobliżu skałodrów kosmicznych, żeby je założyli – rozkazał kapitan, po czym skrzywił się mocno. – Reszta niech zajmie miejsca w promach. Musimy natychmiast wykonać zwrot.

Po czym raz jeszcze powiódłszy po twarzach załogi, dowódca podszedł do

interkomu i zaczął osobiście wyjaśniać sytuację pasażerom.

Zadanie okazało się chyba o wiele bardziej skomplikowane, niż się spodziewał. Gdy zaczął, Wahram i Swan wyszli na poziom swoich kajut, gdzie znajdowały się śluzy ze skafandrami. Odszkodowanie za statek bez wątpienia zostało ujęte w standardowej polisie szwajcarskiej i zapewne zostanie wypłacone bezpośrednio przez Wenus, nagroda za poświęcenie w tym przypadku jest praktycznie gwarantowana – twierdził kapitan, którego głos Swan i Wahram słyszeli w windzie. Wyglądało na to, że opuszczenie statku będzie konieczne. Promy i skoczki mogą zabrać całe dziesięć tysięcy osób, ale większość wykwalifikowanej załogi zapewne woli i musi ewakuować się w skafandrach kosmicznych, tych z zaopatrzeniem w racje żywnościowe na dłuższy czas. W zasadzie każdy, kto zechce uciekać w skafandrze, nie na promie, może to zrobić, byle wcześniej dokonał kontroli szczelności. Wszystkie śluzy są dostępne. Rozbitkowie zostaną, jak kapitan ma nadzieję, odnalezieni i zabrani w bezpieczne miejsca w ciągu kilku godzin. To, co stanowi zaledwie niedogodność dla pasażerów, będzie aktem heroicznym, ponieważ pomoże uratować Wenus. A potem wszystko już będzie dobrze. Niestety, aby udzielić skutecznej pomocy, konieczne będzie przeciążenie 3 g i takie właśnie panować będzie na pokładzie podczas przelotu do celu. Kapitan ogromnie żałuje, że tej niedogodności nie da się, niestety, uniknąć, lecz każdy, kto poprosi, otrzyma fachową pomoc od załogi.

Komunikat ciągnął się w podobnym stylu i szwajcarskiej uprzejmości, jednak i tak wywołał zamieszanie, o czym Swan i Wahram przekonali się, gdy tylko wysiedli z windy i ruszyli do swoich kajut. Kiedy znaleźli się w pokoju, usłyszeli okrzyki i nawoływania, zapewne niosące się na wszystkich kondygnacjach statku. Popatrzyli na siebie.

– Lepiej trzymajmy się razem – zdecydowała Swan, a Wahram przytaknął jej skinieniem głowy.

Zwrot okazał się bardziej dezorientujący niż poprzedni, jakby wiedza, że jest nieplanowany, wywołała jakąś kosmiczną chorobę lokomocyjną lub lęki, że odleci się w pustkę bez powrotu.

Złe przecucie zmieniło się w koszmar, gdy statek zaczął przyśpieszać, a waga ciał pasażerów szybko zwiększyła się trzykrotnie. Co wystarczyło, aby wszystkich powalić na podłogę. Ludzie krzyczeli z zaskoczenia, ale w tej sytuacji było to zrozumiałe, a po krótkim czasie większość przewróciła się na brzuch i postarała się jak najlepiej czołgać, przetaczać lub ślizgać. Wypróbowano różne metody i niektórzy pasażerowie odnieśli spektakularne sukcesy w poruszaniu się, gdy ogromny niewidzialny zapaśnik przyciskał ich do podłoża.

W tak wysokim ciężeniu różnice masy między ludźmi okazywały się zdumiewająco istotne. Mali, jak wszyscy, ważyli trzy razy więcej niż zwykle, ale nadal był to ciężar, który ludzkie mięśnie mogły udźwignąć. Szczególnie wyraźnie zarysowało się to, gdy mali na pokładzie nadal pozostali na nogach, choć niektórzy garbili się i podpierali rękoma jak zawodnicy sumo lub szympansy, a inni kołysali się jak pijani marynarze, jednak nadal w pionie. Grupkami ruszyli na pomoc unieruchomionym pasażerom. Oczywiście w najgorszej sytuacji byli głównie wysocy i pulchni, którzy teraz ważyli prawie czterysta kilogramów, co wykluczało jakiegokolwiek ruchu. Aby im pomóc, potrzeba było trzech lub czterech małych, którzy wspólnymi siłami przetaczali dużego na plecy i ciągnęli do najbliższej śluzy.

Swan radziła sobie całkiem nieźle z czołganiem, choć bolały ją kości. Wiedziała, że gdy tylko dotrze do skafandra, jego si przejmie kontrolę i nałoży strój niemal bez udziału człowieka. Wystarczy tylko wsunąć ramię do rękawa. Każdy zakładał skafander w wysokim ciężeniu podczas alarmów lub

sytuacji zagrożenia, więc pasażerowie pamiętali, że gdy tylko dotrą do przebieralni, wszystko będzie dobrze.

Wahramowi jednak nie szło tak dobrze. Ważył o połowę, może o siedemdziesiąt pięć procent więcej niż Swan, co w tej sytuacji robiło ogromną różnicę. Wyginał się jak ranny wieloryb, ale nie posuwał się zbyt szybko i widać było, że się męczył. Na szczęście minął ich inspektor Genette wraz z dwoma towarzyszami, pomagający wysokiemu, który wyglądał jak *Dawid Michała Anioła*, ale jedyne, co mógł zrobić, to unieść głowę, gdy mali ciągnęli go po podłodze.

– Zaraz wrócimy – oznajmił Genette Wahramowi i Swan, po czym dołączył do swoich, pokrzykujących na siebie wysokimi głosami. Minęło parę minut i trzej mali pojawili się zgodnie z obietnicą. Genette radośnie zaczął wydawać komendy i we trzech przeciągnęli Tytana do ściany z poręczą. Tam Wahram zdołał się podciągnąć na kolana. Twarz miał czerwoną, dyszał ciężko. Wbił w małego inspektora wypukłe oczy.

– Dziękuję. Teraz poradzę sobie sam. Pomóż, proszę, innym. Cieszę się, że dysproporcje działają na twoją korzyść, przyjacielu.

Inspektor przybrał pozę gotującego się do starcia boksera.

– Mały zawsze podejmie wyzwanie! Żaden nie umarł śmiercią naturalną! – odparł z uśmiechem.

Po czym trochę poważniej dodał:

– Wkrótce spotkamy się w śluzie. Chyba udało nam się ściągnąć wszystkich.

W przebieralni obok śluzy wyczuwało się pośpiech, lecz nie panikę – niezupełnie. Owszem, prawie każdy leżał albo się czołgał, poza małymi, którzy starali się jak najlepiej pomóc, i był to widomy dowód, że sytuacja jest alarmowa. Lecz skafandry przechowywano w szafkach na podłodze, może właśnie ze względu na takie okoliczności, więc Swan nie miała trudności z



otwarcie schowka, wciągnięciem się na ławkę obok i wciśnięciem w skafander w takim tempie, że jego si pisnęła z oburzenia. Kiedy potwierdziła, że wszystko jest w porządku, Swan podczołgała się do Wahrama, aby pomóc mu w ubieraniu, a potem pozostałym, jeżeli zachodziła potrzeba. Niektórzy prawie się dusili, grawitacja była dla nich zabójcza. Pewnie z prawdziwą ulgą opuszczają pokład. Wielu nie powinno w ogóle znaleźć się w jakimkolwiek przeciążeniu, jak się okazało. Swan obawiała się, że dostaną wylewu lub ataku serca. Przypomniała sobie Alex i próbowała wziąć przykład ze zmarłej babki. Lwica na pewno wspaniale by sobie poradziła w takiej sytuacji, zachowałaby spokój i wspierała wszystkich, może nawet by się jej podobało.

Niektórzy z przygniecionych grawitacją pasażerów byli radosnymi przestrzeniowcami, ale nie mieli kondycji i pewnie sami byli sobie winni, jednak to ludzie, którzy jęczeli, dusili się, a nawet płakali. Część próbowała najpierw zdjąć ubrania, zanim założą skafandry. Okazało się, że rozbieranie się jest o wiele trudniejsze niż nakładanie kombinezonu kosmicznego. Jeden z androgynów, o niemal okrągłym tułowi, wziął za mały kombinezon – Swan musiała go zdjąć (skafander stawał opór) i znaleźć inny rozmiar.

Stopniowo w powietrzu narastał odór potu i strachu. Swan przeczłogała się do Wahrama, lekceważąc ból w kolanach. Tytan miał na sobie kombinezon stanowczo na niego za duży, ale wskaźniki potwierdzały szczelność i zapewniały, że jest w porządku. W hełmach na wspólnym kanale łączności rozbrzmiewały rozmowy, dlatego Swan uniosła palce przed wizjerem Wahrama, najpierw trzy, potem cztery i pięć, po czym przełączyła się na zasygnalizowane pasmo. Tytan zdążył się również przełączyć, ponieważ usłyszała jego pomrukiwanie.

- Masz za duży skafander – oznajmiła.
- W porządku. Lubię takie. Zresztą ten jest nieużywany, jak się okazało.
- To nieważne. Ważne, żeby dobrze pasował.

Wahram to zignorował i zaczął pomagać pasażerowi obok siebie. Swan przełączyła się znowu na pasmo wspólne.

– ...więc mamy wyskoczyć ze statku tylko dlatego, że tak nam każe pokładowa si? Czy tylko mnie wydaje się to dziwne? Na pewno to nie żaden bunt? Lepiej, żeby ten statek miał dobrą polisę – zabrzmiał nieznany głos.

Na to nadeszło kilka różnych odpowiedzi, ale Swan nie słuchała, przełączyła się ponownie na kanał 345.

– Chcesz wyjść ze mną? – zapytała.

– Tak. Oczywiście. Musimy trzymać się za ręce.

Swan się to spodobało.

– Wolisz wyskoczyć na początku czy na końcu?

– Na końcu, jeśli można. Chyba powinienem pomóc innym.

– A możesz się ruszać na tyle, żeby pomóc?

– Tak mi się zdaje.

Starali się to robić oboje. Ludzie na siedząco pomagali przechodzić innym, przekazując ich innym siedzącym. Tłum miał opuszczać pokład grupami, żeby było szybciej – gdy tylko śluza się wypełniła i ludzie wyskoczyli, kolejni zaczęli się tam zbierać. Niewielu chciało wyjść jako pierwsi, ale z korytarzy podniosły się głosy tych, którzy jeszcze nie dotarli do przebieralni, więc wytworzyło się coś w rodzaju ciśnienia osmotycznego. Śluza wypełniała się dość szybko, po czym zasuwawała się gródź, z pomieszczenia wysysano powietrze, następnie otwierała się gródź na kadłubie, a gdy ludzie opuszczali wnętrze, zamykała się, ponownie odbywało się pompowanie powietrza, następnie otwierała się gródź wewnętrzna, aby wpuścić kolejną grupę. Nawet w śluzie niektórzy ludzie nie mogli się ruszać, dlatego w każdej znalazło się kilku ciężko pracujących małych, którzy wypychali większych w przestrzeń. Kiedy otwierała się wewnętrzna gródź, mali wciąż za nią byli – ich twarze za szybami hełmów rozświetlała szalona radość.

Oczywiście na statku znajdowały się też inne śluzy. I dobrze, ponieważ każda mieściła około dwudziestu osób, a otwarcie i zamknięcie grodzi trwało prawie pięć minut. Gdyby była tylko jedna, ewakuacja wszystkich, którzy postanowili użyć skafandrów, trwałaby dłużej niż pięć godzin. Na szczęście większość pasażerów zdążyła już odlecieć na promach i skoczkach.

Swan pomagała ludziom zbierać się w grupy przed otwarciem grodzi do śluzy, co przyspieszało proces. Ona i Wahram pracowali razem bardzo skutecznie, biorąc pod uwagę, że żadne nie mogło się za bardzo ruszać. Czasami odpowiadali na zaniepokojone pytania. Skafandry zostały wyposażone w dziesięciodniowe zapasy powietrza, jedzenia i wody, posiadały także niewielki napęd. Jednostki ratownicze zostały powiadomione i już wyruszyły po rozbitków, więc każdego uda się znaleźć najwyżej za kilka godzin, nie dni. Wszystko będzie dobrze.

Jednak wyskoczyć z przyspieszającego statku kosmicznego tylko w skafandrze nie jest łatwo. Wiele osób wchodziło do śluzy z oczyma wytrzeszczonymi strachem, a Swan, która zwykle lubiła podobne wyczyny, szczerze współczuła nieszczęśnikom.

Grupy wyskakiwały razem, trzymając się za ręce w nadziei, że się nie rozdziela. Gdy tylko ktoś to podejrzwał na ekranach, niemal wszyscy zaczęli naśladować. Ludzie to przecież zwierzęta stadne, woleli ryzykować razem. Nikt nie chciał umrzeć w samotności.

Zdawało się, że czas się wlecze, a jednak nie wiadomo kiedy przebiegająca opustoszała. Wahram popatrzył na Swan, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nie ciąży na nich kapitański obowiązek i nie muszą opuszczać pokładu jako ostatni. Swan zrozumiała.

– Przyłączymy się do następnej grupy? – Roześmiała się.

Wahram z wdzięcznością skinął głową. Pozostało już tylko parę grup, które miały wyskoczyć przez ich śluzę. Tytan był gotów.

Swan pociągnęła go za gródź. Dwadzieścia osób zwróciło się już do zewnętrznych drzwi, czekając na otwarcie. Przypominało to przejazd wielką przemysłową windą. Niektórzy się obejmowali. Dłonie znalazły dłonie, dopóki wszyscy się nie trzymali. Swan mocno ucisnęła rękę Wahrama.

Z sykiem z pomieszczenia zostało wysane powietrze. Przygotowali się. Gródź zewnętrzna rozsunała się na kadłubie, otwierając na ziejącą czerń przestrzeni z gwiazdami jak kryształki rozsypanej soli. I tylko szyba hełmu oddzielała człowieka od ciemności kosmosu. Było tu tak wiele gwiazd, że niknęły wzory widziane z Ziemi, pozostawał tylko mrok przebijany punktami światła, bezimiennymi i nieprzeliczonymi – więcej, niż ludzki umysł powinien oglądać. Albo po prostu był to widok nocnego nieba, prymitywny, doświadczany przez pół życia. Część ludzkiej natury. Czas snu, pora marzeń. Grupa zebrała się na odwagę i wyskoczyła w nieznaną jak załoga Shackletona, gdy jej statek uwięził lód.

Unosili się w ciemności. Niektórzy uruchomili silniki skafandrów na tyle, aby nadać grupie ruch wirowy i oddalić ją od nikonącego statku, który bardzo szybko zamienił się w małą iskrę, oślepiająco jasną, na początku sznura błysków, które za sobą pozostawiał. Lepiej na to nie patrzeć, oszczędzać siatkówkę, *ETH Mobile* był teraz jedną z wielu gwiazd. Ludzie zostali sami, zdani na siebie.

Nie widać było innych grup. Myśl, że tylu ludzi uda się odnaleźć i uratować, nagle wydała się niemożliwa – była jedynie snem o nadziei, która nigdy się nie spełni. Wyskoczyli w objęcia śmierci.

Lecz Swan wiele razy wychodziła w przestrzeń, dlatego wiedziała, że wszystko się uda. Nadajniki skafandrów sprawiały, że każdy migotał radiowo jak latarnia morska.

Grupa ustaliła wspólny kanał łączności na paśmie 555, ale z czasem mało kto się już odzywał. Niewiele było do powiedzenia. Swan chciała puścić rękę

sąsiada, nie Wahrama, ale się powstrzymała. Ucisnęła za to lewą ręką palce Wahrama. Odpowiedział uściskiem. Swan przełączyła się na pasmo 345, ale usłyszała tylko szmer oddechu, spokojny i powolny. Tytan popatrzył, zapewne również słyszał w radiu jej oddech. Za szybą hełmu jego twarz wydawała się okrągła – poważna, ale nieustraszona.

– Jak myślisz, kiedy nastąpi zderzenie? – zapytała Swan, spoglądając na biały punkt, który, jak jej się wydawało, był liniowcem *ETH Mobile*.

– Chyba zaraz – odparł.

I ledwie to powiedział, dostrzegła błysk tam, gdzie patrzyła.

– Teraz! Tam!

– Może.

Potem powoli mijał czas – godzina, dwie, trzy. Wreszcie Wahram przerwał milczenie:

– Patrz, to nasz statek ratunkowy.

Swan odwróciła się, aby popatrzeć przez ramię. Mały jacht kosmiczny zbliżał się do grupy powoli i pod kątem.

– Świetnie – odpowiedziała.

Wenus nadal pozostawała w cieniu, co znaczyło chyba, że udało się uratować osłonę. A ratunek właśnie nadlatywał.

Wtedy jednak jacht eksplodował. Tuż przy grupie. Swan oślepiąca rozbłyskiem ledwie zdołała dostrzec, co się stało. Szybko domyśliła się, że zapewne odłamek posłanej do ataku skały lub część *ETH Mobile* pomknęła w ich stronę i trafiła w małą jednostkę śpieszącą na ratunek. Pech, pomyślała Swan, gdy dwudziestoosobową grupę rozdzieliły chyba szczątki lub gazy z jachtu. A to znaczyło, że na pewno są ranni. Na dodatek podczas eksplozji Swan została oderwana zarówno od Wahrama, jak i od drugiego sąsiada. Krzyknęła, gdy to zrozumiała, po czym zwinęła się i wykonała salto, aby nie stracić Tytana z oczu. Wirował z rozłożonymi ramionami i nogami, za nim

ciągnęło się pasmo czerwonych kryształków krwi.

– Pauline, oczyść mi wizjer! – rozkazała Swan, po czym palcami dotknęła sterowników w rękawicach skafandra, aby ustawić się do Wahrama, po czym wystrzeliła prosto w jego kierunku na pełnej szybkości. Minęła resztki rozbitego jachtu. W centrum rumowiska wirowała spora część wraku – może ćwiartka zniszczonej jednostki. Swan dostrzegła wewnątrz kajuty z iluminatorami oraz przejście na wąski korytarz, teraz wszystko przecięte, otwarte jak w domku dla lalek. Musiała skrócić, aby minąć sterburę, a potem znowu manewrować, żeby wrócić na kurs do Wahrama. Tytan nadal wirował i oddalał się, więc Swan znowu dała pełny ciąg. Właściwie powinna to zrobić Pauline, ale wokół pełno było chmur gazu i części wraku, które należało omijać, dlatego Swan wołała sama sterować, żeby dogonić Wahrama. Kiedy tylko wydostała się z rumowiska, przyspieszyła ponownie, wykorzystując wszystko, co miała, do lotu, nie myśląc o niczym innym, tylko o pogoni. Wahram stał się większy.

– Pauline, pomóż! – krzyknęła Swan.

– Pozwól mi prowadzić skafander.

– Dobra, ale szybko! Szybciej!

– Osiągnęłaś już największą możliwą prędkość. Muszę zwolnić, jeżeli mamy się z nim zrównać.

– Na co czekasz?

Mknęły przez gwiazdy. Wahram nadal rósł w oczach. Swan pomimo protestów Pauline znowu przejęła sterowanie i zbliżała się do Tytana najszybciej jak mogła, aż do ostatniej chwili, kiedy prawie go minęła i musiała się obrócić, by wyhamować, a przez to niemal się z nim zderzyła – musiała zrobić unik, przelecieć o centymetry obok. Ujrzała wtedy jego nieprzytomną twarz, otwarte usta. Z krzykiem zawróciła na pełnym ciągu raz i drugi po ciasnej pętli, aby wreszcie wyhamować. Pauline nie zrobiłaby tego

lepiej.

Skafander Wahrama został rozdarty poniżej lewego kolana. Krew zamarzła tam jak wielki purpurowy pająk. Swan chwyciła tkaninę i złączyła rozdarcie.

– Trzeba wpompować tu powietrze. Gdzie jest wąż?

Kombinezon odciął zdehermetyzowaną część, zaciskając się nad nią jak opaska uciskowa. Zapewne poniżej noga nadawała się do amputacji, ale skafander przynajmniej radził sobie z wyciekami i wstrząsem. Swan odpięła od pasa wysunięty przewód i przycisnęła końcówkę do niewielkiego rozdarcia w kombinezonie Wahrama – dziura miała najwyżej centymetr średnicy, ledwie tyle, aby wąż się zmieścił. Swan przytrzymała krawędzie rozdarcia palcami, podczas gdy do nogawki pompowane było ciepłe powietrze.

– Wahram, jestem tu, ocknij się – powtarzała.

W odpowiedzi usłyszała tylko Pauline:

– Bądź cicho, proszę, nie słyszę u niego oznak życiowych, kiedy ciągle mówisz.

– To znaczy?

– Oddycha. Jego serce bije.

– A co z nogą?

– Skóra jest odmrożona, tkanki pod spodem zapewne również. Ciśnienie dziewięćdziesiąt na pięćdziesiąt, czyli stracił dużo krwi. Jest w szoku.

– Ustabilizuj go, ogrzej! Przejmij kontrolę nad jego skafandrem!

– Uspokój się. Jestem w stałym kontakcie z jego skafandrem. Proszę, bądź cicho.

Swan zamilkła i pozwoliła gościom pracować. Pomoc medyczna w sytuacjach zagrożenia była starożytnym algorytmem si, doszlifowanym do perfekcji przez stulecia, od dawna wiadomo było również, że przynosi o wiele lepsze rezultaty niż działania ludzi.

A z tego, co mówiła Pauline, należało wierzyć, że uda się ustabilizować

Wahrama.

– Jego skafander jest trochę uszkodzony. Przejmę kontrolę nad jego funkcjami – oznajmiła Pauline.

– Możesz to zrobić?

– Tak. Najłatwiej mi się podłączyć bezpośrednio, więc od tej pory będziesz musiała trzymać się blisko Wahrama.

– Tym lepiej. Wykonaj.

Swan wróciła do naprawiania rozdarcia kombinezonu. Wszystko, czego potrzebowała, znajdowało się w niewielkiej torbie przy pasie. Gdy skończyła łątać nieszczelność, przycisnęła się do Tytana tak, aby ich skafandry stykały się na wysokości bioder. Pauline połączyła ich kablem, przez który przepływała energia i dane. Wirowali oboje wśród gwiazd, ale Swan nie patrzyła w niebo. Podręczne łąty do kombinezonów miały zwykle prostokątne kształty o zaokrąglonych brzegach, wystarczyło je przyłożyć w miejsce uszkodzenia powłoki, wygładzić i przycisnąć na czas trwania chemicznej reakcji scalania.

Kiedy dziura została załatana, Swan zapytała Pauline, czy nie można czegoś zrobić z raną w nodze Wahrama. Było zapewne za późno, widziała obrażenia. Poza tym Pauline zaprzeczyła.

– Skafander zwiększył tam ciśnienie powietrza i zaaplikował koagulanty – wyjaśniła. – Krwawienie praktycznie ustało.

– Czy podał kroplówkę?

– Tak.

Dobrze było się upewnić, że kombinezon stanowił nie tylko mały i zwinny statek kosmiczny, lecz także rękaw medyczny o sporej mocy, w pewnym sensie indywidualny szpital.

– Wahram, słyszysz mnie? – odezwała się znowu Swan. – Jak się czujesz?

– Słyszę – wycharczał Tytan. – Źle się czuję.



– Co cię boli?

– Noga. I jest mi... niedobrze. Staram się nie zwymiotować.

– Dobrze, nie wymiotuj. Pauline, możesz mu podać coś na torsje?

– Tak.

Chociaż Swan nie chciała się do tego przyznać, niewiele więcej można było zrobić. Unosili się wśród gwiazdnej nocy. Droga Mleczna wyglądała rzeczywiście jak smuga rozlanego lśniącego mleka, od którego odcinał się Worek Węgla i inne ciemne plamy mgławic, teraz widoczne jeszcze wyraźniej niż z powierzchni planet. Wszędzie indziej gwiazdy rozpraszały nieco mrok – jakby za czernią kryła się i naciskała jasność większa, niż ludzkie oko mogłoby wytrzymać. Nieprzenikniona czern na tle Drogi Mlecznej musiała oznaczać, że w Worku Węgla naprawdę jest sporo węglowego pyłu. Czy cała czern na nieboskłonie to pył? – zastanawiała się Swan. Gdyby we wszechświecie widać było każdą gwiazdę, to czy niebo zrobiłoby się śnieżnobiałe?

Wielkie gwiazdy zdawały się oddalać w różne strony od czerni mgławicy. Przestrzeń pękała na oczach Swan, wydawała się raczej rozciągać na zewnątrz, nie wyglądała jak czarna plama wisząca gdzieś niedaleko, ledwie o parę kilometrów. Ludzie nie znajdowali się w czarnym worku, lecz w rozciągającej się nieskończoności. Ot, drobna zmiana perspektywy.

– Wahram, jak się czujesz?

– Trochę lepiej.

Tyle dobrze. Wymioty w hermetycznym skafandrze nie były bezpieczne. Nie wspominając, że obrzydliwie nieprzyjemne.

Unosili się w nieważkości. Mijały godziny. Jedzenie okazało się płynne, można je było spożywać przez słomkę wysuwaną wewnątrz hełmu, ale znajdowały się też porcje w kostkach, które można było wziąć w usta z podajnika przy podbródku, pogryźć i przełknąć. Swan zjadła po trochę obu.

Załatwiła się w pieluchę.

– Wahram, jesteś głodny?

– Niezbyt. – W jego głosie Swan usłyszała napięcie.

– Znowu masz mdłości?

– Tak.

– Niedobrze. Słuchaj, spróbuję nas ustawić w miarę nieruchomo. Poczujesz pewnie szarpnięcie lub dwa. Może lepiej zamknij oczy, gdy będę nas zatrzymywać.

– Nie.

– Jak chcesz. Zresztą to nie będzie szybki ruch. No to do dzieła.

Odpaliła silniczki tak, aby ich odrzut przeciwdziałał wirowaniu. Nie było to łatwe z masą Wahrama przyczepionego luźno do jej boku. Ale udało się. Ucisnęła go lekko. W odpowiedzi mruknął tylko boleśnie. Ustawiła ich tak, aby widzieli Wenus. Już się nie obracali, przynajmniej nie tak bardzo. Planeta nadal pozostawała w cieniu. Gdyby osłona przeciwsłoneczna została zniszczona lub uszkodzona, już by się dało to zauważyć, to pewne – półokrąg światła na krawędzi lub oślepiająco biały obszar na powierzchni, zwłaszcza że znajdowali się po tej samej stronie Wenus co jej osłona. A przynajmniej tak się wydawało Swan. Zresztą nawet gdyby tak nie było, nawet z przeciwnej strony pojawiłyby się oznaki, że coś jest nie tak na nieoczekiwanej oświetlonej powierzchni. Bez wątplenia Swan czuła się trochę zdezorientowana. Ale i tak wyglądało na to, że atak udało się udaremnić.

– Pauline, możesz powiedzieć, co stało się z liniowcem i osłoną?

– Tylko to, co wynika z raportów radiowych, ale komunikaty wskazują, że kolizja nastąpiła zgodnie z przewidywaniami we wskazanym miejscu i czasie. Gromadzące się kamienie zgrubnie miały masę czterokrotnie większą niż liniowiec, co również mieściło się w zakładanym zakresie wielkości. Na dodatek *ETH Mobile* poruszał się o wiele szybciej niż odłamki, więc wytrącił

niemal całą masę z kursu kolizyjnego na taki, który oddalał je od osłony przeciwsłonecznej Wenus.

– Udało nam się.

– Nie wszystkim. Niektóre odłamki po kolizji uderzyły w jednostkę, która leciała nam na ratunek, i wywołały eksplozję. Jedna z części statku zraniła Wahrama.

– Tak, jasne. Ale to był po prostu pech.

– Kilkoro ludzi na pokładzie tej jednostki zapewne zginęło.

– Wiem. Straszny pech. Oberwali rykoszetem. Ale osłonę udało się ocalić?

– Tak. I system bezpieczeństwa zaatakował odłamki, które poleciały w jej stronę.

– Więc si osłony nareszcie uwierzyła, że zagrożenie istnieje.

– Albo przynajmniej w obiekty, które miały w nią uderzyć. Nie umiem powiedzieć, dlaczego wcześniej sprawiała problemy.

– Wiedziała o nowym systemie detekcyjnym Wanga?

– Wang powiadomił o nim si i Wenus, ale oni tylko odcięli systemy, aby uniknąć niechcianych manipulacji. Nie wiem, czy podłączyli się do nowej sieci detekcyjnej, czy nie.

– Może odcięłym systemem łatwiej manipulować niż otwartym. Czy si osłony mogła zostać uszkodzona lub sabotowana?

– Wydaje się to nieprawdopodobne. System bezpieczeństwa osłony znajduje się pod kontrolą Wenusjańskiej Grupy Roboczej, bardzo czułej na punkcie ochrony.

Wahram nic nie dodał do tej rozmowy. Swan trzymała go za rękę i od czasu do czasu ścisnęła lekko. Niewiele więcej mogli zrobić. Tytan odpowiedział raz uściskiem, po czym jego palce się rozluźniły.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się Swan.

– Nieźle.

– Próbowaleś coś zjeść?

– Jeszcze nie.

– Wypić?

– Jeszcze nie.

Unosili się w przestrzeni, w nieważkości i ciepłe. Byli jak satelity Wenus albo małe planety orbitujące wokół Słońca. Niekiedy mówiono, że takie sytuacje przypominają powrót do macicy, pływanie w płynie owodniowym. Wystarczy wziąć trochę enteogenów i stać się gwiazdnym dzieckiem. W sumie nie wyglądało to tak strasznie, jak mogło się wydawać. Swan udało się nawet zdrzemnąć. Kiedy się obudziła, odniosła wrażenie, że Wenus jest jakby większa. To nawet miało sens, kiedy wyskoczyli z liniowca, musieli mieć niezłą prędkość.

– Nadal tu jesteś?

– Nadal.

To dobrze, pomyślała Swan. Oto tu byli. Nic nie mogli zrobić, tylko czekać. A czekanie nigdy nie należało do jej ulubionych zajęć. Zwykle miała mnóstwo do zrobienia i za mało czasu, dlatego ciągle żyła w pośpiechu. Teraz czas włókł się w oczekiwaniu. Gdy pędziła za Wahramem, zdawało jej się, że słyszała rozmowę o statku ratunkowym. Może Wahram został pchnięty w złym kierunku, Swan poleciała za nim, nie orientując się w przestrzeni. Możliwe, że oddalali się od płaszczyzny ekliptyki, a zatem również od szlaków jednostek ratowniczych. Może nieszczęsny zniszczony jacht był jedyną jednostką w pobliżu i trzeba będzie czekać, dopóki wszyscy inni pasażerowie liniowca nie zostaną znalezieni. Ofiary katastrofy będą pewnie jedynymi w całym tym przedsięwzięciu, więc zapewne wydarzenie przyciągnie uwagę. Ratownicy zorientują się, że nie zabrali wszystkich, nie przerwą poszukiwań, a skafandry z *ETH Mobile* miały naprawdę silne nadajniki. Zejście z płaszczyzny ekliptyki chyba najlepiej wyjaśnia, dlaczego trzeba tak

długo czekać. Albo może zbieranie pasażerów liniowca musi trwać. Pewnie po tym, jak z pokładu zeszli ludzie, *ETH Mobile* rozpedził się do prędkości, z jaką nie poruszał się żaden statek, ale to oznaczało, że pociągnął też za sobą ludzi. Jeżeli jednak wszystko poszło jak należy, skafandry zapewnią przetrwanie przez dziesięć dni, a Swan i Wahram przebywali w przestrzeni dopiero ile? Musiała zapytać Pauline. Dwanaście godzin. Wydawało się, że znacznie dłużej, ale i krócej – Swan nie była pewna. Wenus z pewnością jednak zrobiła się trochę większa. Swan przypomniała sobie opowieści o rozbitkach, których nie odnaleziono – dryfowali zamarznięci przez stulecia. Jak wielu ich było w historii ludzkości? Dziesiątki, setki, tysiące? Z pamięci wypłynęła stara marsjańska piosenka:

Leciałem, myśląc o Piotrze,  
Przeżyję, to pewne, jednym słowem.  
Opowieść to kłamliwa,  
Śmierć tylko jest prawdziwa,  
Czarna pustka będzie wkrótce moim grobem.

Niewątpliwie wielu takich nieszczęśników dryfowało, myśląc, że zostaną ocaleni. Nadzieja znikąca wolniej niż powietrze i jedzenie w skafandrach, zapewne też przypominali sobie opowieść o Piotrze okrążającym Marsa lub innym człowieku z Czerwonej Planety, którego udało się uratować, i wierzyli, że mały statek kosmiczny wynurzy się z mroku i zawiśnie nad nim jak ufo, jak zbawienie, jak życie. Ale dla wielu ratunek nigdy nie nadszedł i w końcu musieli przyznać, że opowieść była jedynie bajką, która dla nich nie zmieniła się w rzeczywistość. Prawdziwa historia dla innych, nie dla nich. Inni przeżyli, oni – praeteriti, porzuceni. Zapomniani. O nich opowiadała marsjańska piosenka.

Może ona i Wahram dołączą właśnie do tych zapomnianych. Zesztywniała, sprawdziła wspólne pasmo, pomieszane głosy. Przełączyła na linię alarmową i wychrypiła swoje dane oraz pytanie. Pół godziny później nadeszła

odpowiedź: tak, Swan i Wahram są na radarze, wkrótce wysłany zostanie po nich statek ratunkowy, rzeczywiście oddalali się od płaszczyzny ekliptyki, a wszystkie detektory były przeciążone. Ale teraz już są w grafiku i niedługo wyruszy pomoc.

Zatem... Niech jej wyglądają.

Trzeba powiedzieć to Wahramowi, pokrzepić go. I rozluźnić się.

Swan była napięta. Poczucie bezradności tętniło jej boleśnie we krwi. Pauline jednak o tym wiedziała, może nawet już wstrzykiwała jej substancje uspokajające z apteczki skafandra. Oby. Nic poza oczekiwaniem. Oddychaniem. Rozglądaniem się. Jakże wielkim luksusem było, że zawsze mieli coś do zrobienia, nigdy nie musieli czekać. A teraz nadeszło zderzenie z rzeczywistością. Czasami trzeba to przeczekać.

No trudno. Trwanie nie było takie najgorsze. Nawet przyjemniejsze niż na ciemnoliniowcu. Wenus wydawała się jeszcze bliższa i chyba odrobinę jaśniejsza – może podczas kolizji osłona jednak została nieco rozdarta, na samej krawędzi w pobliżu eksplozji. Swan dostrzegła ciemne chmury kłębiące się nad ciemniejszym pasmem, zapewne nad górami Ishtar. Znajdowały się tam jaśniejsze i ciemniejsze pasma, ale nie dało się określić, czy to zamrażający ocean, czy zamrażający ląd. Nie widać było błękitu, brązu ani zieleni, tylko szare obłoki nad szarą równiną, ciemne i ciemniejsze.

■ ■

– Czuję się lepiej – oznajmił Wahram niepewnie, jakby sprawdzał to twierdzenie.

– To dobrze – odparła Swan. – Spróbuj coś wypić. Na pewno jesteś odwodniony.

– Spragniony.

Minęło więcej czasu. Wahram zaczął pogwizdywać pod nosem jedną z

melodii, którą nucił w korytarzu naprawczym. Beethoven, rozpoznała Swan. Ale nie jedna z symfonii, chyba któryś z późnych kwartetów. Powolny rytm. Zapewne utwór skomponowany po tym, jak Beethoven wstał po długiej chorobie. *Dziękczynienie*. Rozpoznała dopiero pod koniec. Piękna melodia. Swan cicho zagwizdała akompaniament, uwalniając z siebie skowronka, gdy uściśnieła dłoń Wahrama. Melodia płynęła wolno, Swan nie mogła po prostu świergotać, ale znaleźć sposób, żeby się dostosować i dołączyć. Jej ptasia część umysłu pamiętała pasażu nucone przez Tytana pod powierzchnią Merkurego. Wydawało się, że ta submerkuryjska egzystencja zdarzyła się w innym życiu. Życiu, które już przeminęło – w przeciwieństwie do tego, które jeszcze trwało. Żadna różnica w tej chwili, niezależnie, czy przeżyją, czy nie. Za to piękno tej muzyki, tego warto było się trzymać. Umysł skowronka śpiewał w Swan, świergotał do powolnych tonów. Różne tempa spletały się w jedno.

– Pamiętasz? – przerwała śpiew. – Pamiętasz, jak szliśmy przez tunel?

– Pamiętam.

I znowu wrócili do muzyki. Wahram gwizdał niemal fałszywie albo w stylu, który sprawiał takie wrażenie. A może nadal odczuwał ból. W tunelu muzyka wychodziła im lepiej. Teraz ich wykonanie przypominało duet Armstronga z Fitzgerald – on z najwyższym wysiłkiem dochodzący przypadkowo do minimalnej perfekcji, ona perfekcyjna bez żadnego wysiłku. Duet przeciwieństw. Zmaganie i śpiew, tworzące razem coś lepszego niż w pojedynkę. Może potrzeba obu. Może Swan powinna zmienić śpiew w walkę, kiedy musiała walczyć ze śpiewem.

Docięgnęli do końca utworu. Tak, to było *dziękczynienie*. Hymn dziękczynny po przejściu ciężkiej choroby. Wahram powiedział, że melodia została skomponowana, jak to określił, w lidyjskiej skali. A tytuł miał budzić dobre samopoczucie – cóż, nie zawsze. *Dziękczynienie* wynikać ma z samych

tonów, nawet dla niewprawnych słuchaczy muzyka winna przemówić w języku uczuć. Jak to możliwe? Kim był ten kompozytor? Beethoven, ludzki słowik.

Są pieśni w naszych umysłach, pomyślała Swan. Niezależnie od tego, czy wszczepiono nam ptasie komórki nerwowe, czy nie. Pieśni już tam były, głęboko w mózdzku, zapisane od milionów lat. One nie umarły. Może śmierć stanowi tylko złudzenie, wszak te wzorce są nieśmiertelne – muzyka i uczucia przenoszone od świata do świata na skrzydłach wędrownych ptaków.

– Nawet w tunelu – odezwała się Swan, gdy przestali gwizdać – byliśmy w związku.

– Mmm – mruknął Wahram, ani się zgadzając, ani zaprzeczając.

– Nie sądzisz?

– Owszem.

– Gdybyśmy nie chcieli na siebie wpadać, moglibyśmy tego uniknąć. Dlatego pomyślałam, że może nie tego chcieliśmy. Może chcieliśmy...

– Mmm.

– O co ci chodzi? Zaprzeczasz?

– Nie.

– Więc o co ci chodzi?

– Chodzi mi o to... – odpowiedział powoli, z namysłem i długimi przerwami, gdy wydawało się, że stracił ochotę do mówienia. Przez szybę jego kasku Swan widziała jednak, że Wahram patrzy na nią, nie na gwiazdy, i uznała, że to dobry znak. Chociaż jego powaga i zamyślenie były również denerwujące. To zanurzanie się w siebie należało raczej do natury płazów – i jej Ropuch czynił to w ciszy na oczach Swan. – Lubię z tobą być – podjął. – Wydaje mi się, że kiedy z tobą jestem, wszystko staje się bardziej interesujące. Lubię z tobą gwizdać. Podobało mi się w tunelu.

– Podobało ci się tam?

– Ależ oczywiście. Przecież wiesz.



– Nie – zaprzeczyła Swan. – Nie wiem, co wiem, a czego nie wiem. To mój największy problem.

– Kocham cię – stwierdził Wahram.

– Ależ oczywiście – odpowiedziała Swan. – Ja ciebie też.

– Nie, nie. – Potrząsnął głową. – Kocham cię.

– Ach! Ale, o rany... Nie jestem pewna, czy rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Uśmiechnął się lekko, niemal niedostrzegalnie przez szybę hełmu, a jednak ten uśmiech pojawiał się zawsze, gdy Tytan czuł szczere rozbawienie. Nigdy nie był to wyraz uprzejmości. Kiedy Wahram okazywał jej uprzejmość, Swan zwykle posyłała mu groźne spojrzenia.

– Ja też nie całkiem rozumiem, co chcę powiedzieć – przyznał. – Ale i tak to powiedziałem. Chciałem ci to powiedzieć... że to taka właśnie miłość.

– Ach... och... – westchnęła Swan. – Ta rozmowa robi się coraz bardziej zwariowana. Masz zamarniętą nogę i jesteś we wstrząsie. Twój skafander pewnie cię naszprycował po dziurki w nosie.

– Święta racja – zgodził się nieco sennie. – Ale to tylko pomaga mi powiedzieć, co naprawdę czuję. To nawet, można powiedzieć, paląca potrzeba. Znowu się uśmiechnął, lecz na krótko. Przyglądał się Swan jak... no, nie bardzo wiedziała. Nie jak sokół, nie przypominało to również groźnych spojrzeń wilka, bardziej z ciekawością, pytająco – z żabim namysłem, jakby chciał zapytać, co z niej za stworzenie.

Zresztą Swan i tak nie wiedziała. Nie umiałyby odpowiedzieć. Jej Ropuch tylko patrzył, jego oczy przypominały jaspisy wciśnięte w oczodoły. Swan również mu się przyglądała. Taki powolny, tak osobliwie świadomy siebie, samowystarczalny, rytualistyczny... O ile tak to można określić. Próbowwała wszystko, co wiedziała o Wahramie, ując w jedno słowo lub zdanie, które by go charakteryzowało, ale daremnie – miała przed sobą tylko garść okruchów,

drobnych zdarzeń i uczuć, a także cudowne wspomnienia czasu spędzonego razem – też fragmentaryczne i rozmyte. Ale interesujące! O to właśnie w głębi chodziło, o to określenie, którego Tytan również użył... Może. Interesował Swan. Przyciągał ją jak dzieło sztuki lub krajobraz. Miał poczucie sensu swoich czynów, to pewne, wytyczał jasne granice. I pokazał jej wiele nowych rzeczy, rozbudził na nowo emocje. Och, poczuć spokój! Och, poświęcić uwagę! Te jego zdolności Swan wydawały się zdumiewające.

– Mm... No... Też cię kocham – stwierdziła. – Sporo razem przeszliśmy. Pozwól, że to przemyślę. Nie myślałam o tym nigdy tak, jak chyba oczekujesz.

– Sugeruję tylko.

– Dobrze, no więc... tak. Pomyślę o tym, co to znaczy.

– Doskonale. – Znowu posłał jej ten niedostrzegalny niemal uśmiech.

Unosili się w czerni rozświetlonej bielą jak błyski diamentu. Podobno gołym okiem w przestrzeni kosmicznej widzi się sto tysięcy gwiazd. Trudno było określić, zapewne przeliczył to jakiś komputer, uwzględniając zakres widoczności u przeciętnego człowieka. Swan wydawało się, że gwiazd jest o wiele więcej.

Płynęli w nieważkości, czasami szarpali się lub obracali. Swan zamrugła i odetchnęła. Słyszała swój oddech i bicie serca, a także szum krwi w uszach. Jej zwierzęcość znacząca przestrzeń i czas. Uderzenie po uderzeniu. Swan żyła już sto trzydzieści lat, jej serce skurczyło się i rozkurczyło ponad pięć miliardów razy. Wydawało się to wiele, dopóki nie zacznie się liczyć. Liczenie implikowało, że liczba uderzeń serca jest skończona, a to oznaczało, że za mała. Dziwne wrażenie.

Ale już na przykład liczenie oddechów stanowiło buddyjski rytuał, włączony na Merkurym do ceremonii oddawania czci Słońcu. Swan tak robiła. A teraz oto byli tutaj, w obliczu wszechświata, które oglądali zza murów

fortec, jakie stanowiły skafandry i zamknięte w nich ciała. Słuchanie ciała, patrzenie w gwiazdy i nieskończenie wielką czerni. Swan dostrzegła konstelację Andromedy, a w niej Mgławicę Andromedy, przypominającą bardziej rozmazaną elipsę niż wyraźną kropkę. Gdy czasami Swan o tym myślała, jeszcze bardziej rozciągała trzy wymiary w czerni – nie tylko wyobrażając sobie ogrom pola wypełnionego gwiazdami, które znajdowały się w różnej odległości od niej, co tylko na pozór wiązało się z ich jasnością, lecz także uświadamiając sobie, że Andromeda to galaktyka, tak daleka, że niemal niedostrzegalna. A pomiędzy głęboka przestrzeń, ogrom próżni widoczny nawet gołym okiem. W takich chwilach czuła się nadzwyczajnie, choć nie trwało to długo, niestety – nie mogło trwać. Wszechświat był zbyt ogromny, ludzkie oko i umysł nie przywykły do takiego bezkresu. Zasadniczo była to ułuda wyobraźni i Swan zdawała sobie z tego sprawę, ale kiedy już się pogrzyżyło w takich wyobrażeniach, wydawały się całkowicie realne.

Teraz znowu to przeżywała. Wyczuwała wokół siebie wszechświat w jego ogromie. Ponad 13,7 miliarda lat ekspansji i jeszcze więcej w przyszłości. W rzeczy samej, jeżeli rozszerzanie będzie przyśpieszać, rozkwitnie jak rozbłysk na Słońcu, rozrzucając wszystko, co w nim płonie. Zdawało się, że odbywa się to na oczach Swan i Wahrama, tu i teraz. – Odpływam – stwierdziła. – Widzę Andromedę jako galaktykę, wybija dziurę w ciemności. Mam wrażenie, że widzę w nowym wymiarze.

– Chcesz posłuchać Bacha? – zapytał Wahram. – Dać się ponieść muzyce?

Roześmiała się.

– Co masz na myśli?

– Słucham suitę na wiolonczelę – wyjaśnił. – Doskonale pasuje do scenerii, jak mi się zdaje. Chcesz się dołączyć?

– Jasne.

Poważne i płynne tony wiolonczeli popłynęły przez noc.

– Skąd to wzięłeś? Masz nagrania w skafandrze?

– W komputerze naręcznym. Oczywiście ta si nie wytrzymałaby porównania z twoją Pauline, ale mnie wystarcza.

– Rozumiem. Używasz słabej sztucznej inteligencji.

– To prawda.

Wyjątkowo ekspresywny pasaż Bacha wypełnił ciszę. Wiolonczela zdawała się niemal trzecim rozmówcą.

– Nie masz czegoś mniej ponurego? – zainteresowała się Swan.

– Mam, ale akurat ten utwór wyjątkowo podnosi mnie na duchu.

Swan znowu parsknęła śmiechem.

– Nie mów!

Zanucił do melodii, namyślając się nad sugestią zmiany utworu.

– Moglibyśmy posłuchać utworów fortepianowych Debussy'ego – zaproponował. Wiolonczela zawibrowała i zabuzowała w niskich tonach kolejnego pasażu, mrocznych jak otaczająca ich przestrzeń. – Myślę, że to właśnie coś dla ciebie.

Wiolonczelę zastąpił fortepian i czyste jak dzwoneczki nuty, które mknęły i krążyły raz po raz, tworząc melodię zwinną i skoczną jak kot. Debussy miał ptasi umysł, Swan słyszała to w jego muzyce. Zaświergotała frazę, którą usłyszała, wpasowując ją do kolejnych taktów. Trudne do wykonania. Umilkła.

– Bardzo dobre – pochwaliła.

Wahram uścisnął jej dłoń.

– Chciałbym gwizdać razem z tobą, ale nie mogę.

– Dlaczego?

– Za trudne dla mnie do zapamiętania. Kiedy słyszę te kompozycje, zawsze mnie zaskakują. To znaczy rozpoznaję je na nagraniach, to słyszałem tysiące razy, ale jeżeli ich nie słyszę, nie potrafię ich nucić lub gwizdać z pamięci, są

zbyt... nieuchwytnie, albo raczej, jak mi się zdaje, zbyt subtelne. Migotliwe. Nieprzewidywalne. I chyba żadne fragmenty się nie powtarzają. Słuchaj, melodia ciągle się zmienia.

– Piękna – odpowiedziała Swan i zaświergotała kolejny słowiczy tryl.

Po dłuższym czasie Tytan wyłączył muzykę. Zapadła głęboka cisza. Swan znowu usłyszała swój oddech i bicie serca. Uderzało szybko w swoim podwójnym rytmie, ale nie galopowało.

Uspokoić się, pomyślała. Jestem drobiną w przestrzeni kosmicznej. Ratunek nadejdzie niedługo. A do tego czasu mam Wahrama i Pauline. Ta chwila nie różni się niczym istotnym od innych. Muszę się skupić i zachować spokój.

Może opisywanie, że ktoś jest taki czy owaki, to próba organizacji wspomnień niczym kolekcji motyli. Nie tyle generalizacja, lecz bardziej chyba okruczeństwo zrozumienia. Czy Wahram był taki, jak mogłaby go opisać, gdyby próbowała? Był taki, był owaki – tak naprawdę Swan nie wiedziała. O innych ludziach ma się wrażenia, nic więcej. Nie zna się ich myśli, tylko słowa, które wypowiadają – kropla w morzu, most nad przepaścią. Dłoń w dłoni drugiej osoby podczas unoszenia się w mrokach kosmosu. Niewiele.

Tak naprawdę przecież nie znali się za dobrze. Mogli powiedzieć, że „on jest taki” lub „ona jest owaka”, i tak opisać inną osobę. I zawrzeć w tym ocenę. W oparciu o zgadywanie tylko. Trzeba by rozmawiać z drugim człowiekiem latami, żeby to zgadywanie miało choć trochę trafności. Ale nawet wtedy nie zyska się pewności.

Kiedy z tobą jestem, pomyślała Swan do Wahrama, gdy unosili się razem, czekając, trzymając się za ręce, kiedy jestem z tobą, czuję niepokój, czuję się oceniana, nie na miejscu. Nie jak osoba, którą mógłbyś polubić (co uważam za uwłaczające), dlatego eksponuję się tak bardzo. A jednak chcę, żebyś miał o mnie dobre zdanie. Ale to pragnienie uważam za irytujące, więc z nim walczę.

Dlaczego ma mnie to obchodzić? Ciebie nie musi.

A jednak cię obchodzi. „Kocham cię” – tak powiedziałaś. A ja – Swan musiała się do tego przyznać, przynajmniej sobie – chcę, żebyś to do mnie czuł, gdy jesteśmy razem. Czy to właśnie jest miłość, pragnienie uczucia, które pozostaje niejasne nawet wtedy, gdy się je odczuwa? Czy dlatego ludzie tak często miłość wiążą z szaleństwem? Słowa pozostają te same, nawet uczucia są te same, ale przecież istnieje przepaść między słowami i uczuciami, przepaść trudna do opisanania nawet. Pragnienia, aby poznać i być poznaną, cenioną za to, jaka jestem, a nie za spełnianie oczekiwań innych... Ale jaka właściwie jestem?

Swan miała bowiem wrażenie, że ten, kto ją kocha, popełnia wielki błąd. Ponieważ знаła siebie najlepiej, lepiej niż inni – dlatego wiedziała, że taka miłość to głupota. A zatem ten, kto kocha „Swan”, musi być głupcem. A jednak takiej właśnie źle ulokowanej miłości pragnęła. Pragnęła kogoś, kto będzie ją bardziej lubił niż ona sama. Kogoś, kto będzie lubił Swan wbrew temu, co ona sądzi o sobie. Kogoś bardziej dla niej wyrozumiałego niż ona sama. Taka właśnie była Alex. I kiedy się to rozumiało, kiedy się to czuło – miłość bezwarunkową, bez osądu, tak hojny dar – inne uczucia nie miały znaczenia. Taka miłość przyćmiewała wszystko, rozlewała się we wnętrzu. Zmuszała do wzajemności. Wzajemnego poznania.

Znowu powracał gabinet luster. Kiedy puści się wiązkę lasera w odbijające się nawzajem lustra, promień światła będzie się odbijać od jednego i drugiego w nieskończoność. Dwie części o wiele większej całości. Nie bestia o dwóch obliczach (choć pewnie to też, wspaniałe zwierzę), lecz coś innego... Para. Jak Pluton i Charon ze wspólnym środkiem grawitacji między sobą. Nie pojedynczy nadorganizm, lecz dwa tworzące nie tylko wspólny układ, ale coś więcej. Duet. Harmonię.

Zagwizdała jeden z fragmentów Beethovena, który Wahram często powtarzał w tunelu. Nadal miała problemy z odróżnieniem utworów, ale wiedziała, że ten stanowi kolejną pieśń dziękczynną za przetrwanie wielkiej burzy, po której wszystkie zwierzęta wróciły do słońca. Prosta melodia, jak ludowa przyspiewka. Swan wybrała ją, ponieważ był to jeden z niewielu utworów, w których Wahram mógł wyciągnąć wyższe pasażę, naśladując – jak kiedyś wyjaśnił – to, co zawarte zostało w oryginale. Teraz przyłączył się natychmiast. Nie był tak silny jak wcześniej w tunelu, ale przecież i wtedy też nie był silny. W jego gwizdaniu przebijał ból, jak złota nić. Szczerze mówiąc, żaden był z niego muzyk. Ale miał dobrą pamięć do utworów, które kochał – a te kochał.

Swan cofnęła się nieco i zaczęła świergotać, a Wahram wrócił z ulgą do głównej linii melodycznej. Może właśnie tak powinno się to robić w duecie.

– Może cię kocham – oznajmiła Swan. – Może to właśnie czułam przez ostatnie parę lat. Może tylko nie wiedziałam, co to jest.

– Może – odparł.

Czy to znaczyło, że „może” się nie liczy, czy że to „może” to lepsze niż nic?

– Zwolnij przy Siódmej symfonii – poprosił. – Jeżeli ci to nie przeszkadza.

I zaczął kolejną melodię, którą nucili pod powierzchnią Merkurego – jedną z tych, które Swan lubiła interpretować po swojemu, ponieważ w tej muzyce kryło się tyle możliwości. Czasami udawało im się tak gwizdać i świergotać godzinami, przez pół dnia albo i dłużej. Majestatyczna, poważna, elegijna – ta muzyka przypominała Wahrama kroczącego przez kolejne dni. W marszu. Kogoś, na kim można polegać.

– Może – powtórzyła Swan. – Może tak jest.

Powrócili do starej muzyki, z czasu, gdy nadeszła dla nich godzina próby i

wszystko zależało tylko od tego, aby posuwać się naprzód. Jak teraz, nawet teraz, gdy jedynie unosili się w przestrzeni kosmicznej i czekali na ratunek, wierząc, że ten nadejdzie.

Wiara została nagrodzona, ponieważ Pauline oznajmiła:

– Zbliża się statek.

Biała kropka rosła na tle innych i dosłownie w ciągu sekund zmieniała się w kolejną małą jednostkę, skoczka, który zawisł nad Swan i Wahramem jak spełnienie marzeń, szalone i magiczne.

– To dobrze – westchnęła Swan.

Teraz ona i Tytan też byli Piotrami. Powinna to zapamiętać. Doczekali się ratunku. I kiedy dolecieli na silnikach skafandrów do statku, starała się zapamiętać, co czuła – nieważkość, Andromedę, spojrzenie Wahrama, ich duet. To mogła być ich ostatnia godzina... Swan pomyślała też o Alex.

Nasze historie ciągną się przez chwilę, niektóre geny i słowa trwają, a potem odchodzimy.

Niełatwo było to pamiętać. A kiedy śluza statku się zamknęła i Swan z Wahramem znaleźli się w środku, znowu o tym zapomniała.



# KIRAN NA LODZIE

Kiran spoglądał na oczy w pudle. Naraz uświadomił sobie, że nie powinien w ogóle tego oglądać. Zerknął na strażnika – było jasne, że ta sama myśl objawiła się wysokiemu, który pilnował akcji ratunkowej. Kiedy strażnik pochylił się, żeby zamknąć opakowanie, Kiran zdążył już rozważyć sytuację. Zanim wysoki skończył przyciskać guziki zamka, chłopak odwrócił się i pognął tam, skąd przyszedł. Skręcił w pierwszą napotkaną ulicę, pobiegł do najbliższego rozwidlenia i skręcił ponownie, tylko raz się obejrawszy. Strażnika jeszcze nie było widać. Kiran zwolnił, zastanawiając się, co dalej. Pociąg, który łączył Vinmarę z Kleopatrami, na pewno będzie pod obserwacją. Na dodatek kursował tylko jeden.

Większość mieszkańców nadal świętowała odciemnienie i koniec deszczu. A Kiran wiedział, gdzie znajdowało się najbliższe wejście. Znowu skręcił w prawo, potem jeszcze raz. Ulice podobnego do muszli miasta były prawie puste. Chłopak ruszył do bramy przed sobą. Nie dostrzegł nikogo ze swojej grupy roboczej ani też nikogo obcego, tylko straż przy wejściu jak zwykle. Jednemu z odźwiernych Kiran podał swój identyfikator, podszedł do grodzi i w śluzie sprawdził, czy skafander jest szczelny i sprawny.

Poza miastem rozciągały się śnieżne wzgórza Wenus. Ludzie stali nad zatoką i Kiran odwrócił wzrok, mijając powracających i kierując się na zachód od miasta. Za granicami Vinmary zszedł ze wzgórza i zniknął z pola widzenia,

a potem ruszył szerokim traktem na południe, w stronę odległego oceanu.

Ocean nadal wypełniany był zamrażającym CO<sub>2</sub>, dlatego Kiran miał nadzieję, że uda mu się zabrać na przejażdżkę wielką zgarniarką lub transporterem odłamków pumeksu. Chciał się dostać do Colette, ale obawiał się, że wtedy już zostanie zaalarmowany cały system transportu i zaczną się prawdziwe poszukiwania. Dopiero teraz chłopak zaczął w pełni rozumieć, co to znaczy bycie podwójnym agentem, kretem czy jak to się nazywa. Znaczyło to, że żadna ze stron nie będzie się o niego troszczyć i raczej nie stanie w jego obronie, gdy pojawią się kłopoty. Jeżeli jednak Kiranowi uda się dotrzeć do Shukry, będzie mógł przekazać informacje, jakie pozyskał. A Shukra to właśnie mu zlecił. Zatem dotarcie do Colette stanowiło jedyne rozsądne rozwiązanie.

Vinmara znajdowała się tuż na południe od Korony Otonah. Otonah była irokeską boginią kukurydzy – jak poinformował chłopaka napis na mapie wyświetlonej na przesłonie kasku – bez wątpienia o wiele bardziej przyjazną niż Lakszmi, która bądź co bądź była przecież szefową Kali. Wszystko, co Kiran słyszał o Lakszmi, kazało mu wierzyć, że raczej nie przeżyłby jej niezadowolenia. Na tę myśl jęknął i wyjął z kieszeni skafandra okulary, które dostał od Lakszmi. Niechętnie, z pożegnalnym pocałunkiem wdzięczności za polepszenie romantycznej strony życia wyrzucił je daleko w śnieg. Co za wstyd, że nie wpadł na ten pomysł jeszcze w mieście, ale nawet nie pomyślał, żeby tam wrócić.

Ponieważ z Vinmary widywał na horyzoncie wielkie transportery skał, założył, że nie powinny być daleko. Teraz jednak, gdy po ostrym i nieco śliskim śniegu schodził nad brzeg morza, uświadomił sobie, że dzięki lokalizacji miasta na wzniesieniu widok mógł być bardziej rozległy, niż się wydawało. Na wiele kilometrów rozległy.

Ta myśl zaczęła go coraz bardziej niepokoić, ale wtedy minął niewielki zrzęb

w lodzie i ujrzał jedną z superzgamiarek. Nie była tuż-tuż – oddalona o kilka kilometrów przesuwała się powoli, jak zawsze. Chłopak zaczął truchtać, powstrzymując pragnienie, żeby rzucić się do biegu. Zgamiarka przesuwała się w jego stronę, więc dotrze do niej bez problemu, nie musiał wypruwać sobie flaków.

Zresztą i tak ciężko dyszał, gdy dotarł do maszyny. Jeżeli w środku ktokolwiek się znajdował, nie patrzył w okna kabiny na szczycie pojazdu. Kiranowi pozostało tylko podbiec, wskoczyć na burtę, gdzie drabina sięgała niemal do ziemi. Chłopak wspiął się po szczeblach na dach, gdzie nie tylko była poręcz, lecz również mnóstwo aparatury, której mógł się przytrzymać. Niestety, nie na wiele by się przydała, gdyby próbował na niej zawisnąć, aby sięgnąć do krawędzi przedniego okna. Zdawało się, że okno było poza jego zasięgiem. Frustrująca sytuacja.

Na szczęście okazało się, że na dachu znajduje się kłapa wjazdu. Kiran zaczął w nią bić pięściami i kopać obcasami butów, gdy tylko ją dostrzegł. Zaczął się nawet rozglądać za czymś, co zdołałby wyłamać, aby uderzać we właz jeszcze mocniej, ale wtedy ogromna maszyna zadrżała i stanęła, a zaraz potem Kiran usłyszał pod sobą głosy i kłapa się podniosła.

– Dzięki! – zawołał. – Zabłądziłem!

Dwaj Wenusjanie zabrali go do środka, po czym chłopak przeżył trudne chwile, gdy wymyślał historyjkę, która wyjaśniłaby jego obecność na zamrzniętym oceanie – historyjkę opartą na przyznaniu się do rekreacyjnego zażycia narkotyków i, co gorsza, pomylenia kierunków, dezorientacji geograficznej. Wiercił się przy opowiadaniu, ale też cieszył się w duchu, że wstyd był odpowiednią reakcją na tę szytą grubymi nićmi przykrywkę. Całe szczęście, że operatorzy zgamiarki wysłuchali tego przez translator, który przekładał słowa Kirana na chiński, i tylko pokiwali głowami, jakby widywali przejawy takiej głupoty codziennie, po czym wrócili do pracy.

Powiedzieli jeszcze, że kierują się do swojego obozu pod Ba Het Patera i dotrą tam za około cztery godziny, a w lodówce jest piwo, jeżeli chłopak ma ochotę.

Obóz robotników, do którego dotarli, był tylko jednym z wielu – Kiran widział je na mapie, ciągnące się wzdłuż północnego wybrzeża przyszłego morza. Mieszkali tam ludzie, którzy uzupełniali jeszcze pokrywę pumeksu nad  $\text{CO}_2$ . Kiran pokazał swój identyfikator w obozie, ale robotnicy tylko machnęli ręką i poprowadzili chłopaka do kuchni. Jadł łakomie, studiując mapę wyświetloną na ekranie przy stole. Zdążył się już zorientować, że na parkingu znajdują się szybkie śniegołazy, a według mapy można się było dostać do kolejnego obozu bez dodatkowego tankowania. Może właśnie o to chodziło.

Bardzo dobrze. A skoro robotnicy utrzymywali regularny dzień pracy pomimo panującej stale nocy, wystarczyło, żeby Kiran poczekał, aż pójdą spać, po czym wyszedł, odpalił śniegołaza, sprawdził, czy bak jest pełny, i skierował się na zachód.

Ukradziony sprzęt okazał się niezłym małym pojazdem, bardziej podobnym do samochodu na płozach niż do potworów, jakich używano przy terraformowaniu. W pierwszych miesiącach pobytu na Wenus Kiran lubił prowadzić właśnie śniegołazy, ale teraz wydał tylko polecenie pokładowej si i rozparłszy się w fotelu, oglądał przesuwały się za oknami krajobraz. Śnieg był tutaj ziemisty, nazywano go firmem, a wehikuł ślizgał się po nim bez trudu. Kirana czekała całonocna jazda – ujmując rzecz niedosłownie – jednak w końcu trafi do obozu, gdzie robotnicy już się obudzą. A wtedy może najlepiej będzie po prostu zaparkować i przesiąść się na kolejnego śniegołaza. Czemu nie? Na lodzie nikt nie zwracał uwagi na te małe pojazdy, nie stanowiły niczyjej własności. I nie można było nimi dotrzeć daleko. Przynajmniej tak sobie wmawiał, zanim zasnął, a kiedy się obudził, si właśnie zaparkowała przy następnym obozie. Udało się, jak Kiran miał

nadzieję. Chłopak wysiadł z pierwszego pojazdu, przesiadł się do drugiego i odjechał. Nikt nawet nie zwrócił uwagi.

– Kocham Venus – powiedział pilotującej si. Stary pasek translacyjny powtórzył to po chińsku, chociaż si na pewno rozumiała angielski. Pod względem technologii pasek był daleko w tyle w porównaniu z okularami, ale w obecnej sytuacji nie miało to znaczenia.

Dwa następne obozy, dwa kolejne śniegołazy, aż wreszcie Kiran dotarł do osiedla, gdzie według mapy znajdowała się linia pociągu, którym można było przejechać klify Ut Rupes i Vesta Rupes, a stamtąd dotrzeć do Colette. Gdy chłopak się zbliżył, zobaczył rampę załadunkową i niewielki barak, które pełniły tutaj rolę dworca. Kiedy wyslizgnął się ze śniegołaza, dostrzegł w jasnym świetle lamp paru robotników zajętych załadunkiem wagonów. Ponieważ znajdowali się pod lampami, niewiele mogli zobaczyć poza granicą światła. Kiran podkraść się tam, trzymając się w cieniu. Kiedy załadunek dobiegł końca, chłopak rzucił kamieniem w budynek za torami, a kiedy robotnicy poszli sprawdzić źródło hałasu, skoczył do wagonu i skulił się za ustawionymi tam pudłami. Niedługo potem wagon został zamknięty, a Kiran poczuł lekkie szarpnięcie, gdy pociąg ruszył i zaczął się gładko rozpędzać, aby po łagodnym stoku dotrzeć na wznoszący się wysoko nad głową chłopaka płaskowyż o złowrogiej nazwie Lakszmi Planum, gdzie leżał cel podróży.

Zasnął podczas jazdy i obudził się głodny, kiedy wreszcie otwarły się drzwi wagonu. Kiran wyczekał na odpowiedni moment, wyskoczył z pociągu i czym prędzej stamtąd odbiegł. Nikogo w zasięgu wzroku. Chłopak nie był pewien, czy dotarł na miejsce, ale gdy oddalił się od stacji, nie miał wątpliwości – znajdował się pod kopułą Colette. Był to trzeci dzień po opuszczeniu Vinmary i Kirana trochę zasysało z głodu, ale przede wszystkim odczuwał zadowolenie.

Teraz należało znaleźć Shukrę. Mógł wrócić do swoich kwater, ale tam spotykał się zawsze z agentem Lakszmi... Więc ruszył tylko ulicami

wielkiego miasta, starając się wyglądać niewinnie. Skierował się do biura, do którego zabrała go Swan na pierwsze spotkanie z Shukrą tak dawno temu. Potem to Shukra zawsze przychodził do Kirana, dlatego teraz chłopak nie wiedział, dokąd jeszcze mógłby się udać. Miał sporo czasu na przemyślenie sytuacji, ale nie był pewien, jak sobie z nią poradzić. Istniała możliwość, że po prostu wpadnie się z deszczu pod rynnę. Jednak to właśnie Shukra się kontaktował i powiedział, czego powinno się szukać, dlatego Kiran uznał, że uda się uciec spod rynny, a nawet w ogóle uchronić przed deszczem. Tak czy inaczej, nie wiedział, jak miałby uniknąć ryzyka, nie prosząc nikogo o pomoc, a Shukra wydawał się w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem. Dlatego otworzył drzwi tego pierwszego biura i podszedł do stanowiska ochrony.

– Chciałbym się zobaczyć z Shukrą. Proszę mu przekazać, że mam to, czego chciał – oznajmił trojgu znajdującym się tam ochroniarzom.

# SWAN I KIRAN

Zabrani na, jak się okazało, statek Interplanu, umyci i nakarmieni, przespali dwanaście godzin, obudzili się, zjedli kolejny posiłek – i już byli na orbicie Wenus, a potem na pokładzie lądownika. Statek opadł na powierzchnię nadal ocienionej planety jak cegła i wyhamował na pasie. Kiedy wyszli do wielkiego atrium kosmoportu, Swan zorientowała się, że znajduje się w pobliżu Colette. Widziała za oknem śnieżny pejzaż przysadzistych wzgórz na północy, pod ołowianymi kłęбами chmur. Wenus!

Pamiętała dobrze, co zdarzyło się w otwartej przestrzeni kosmicznej, dlatego to, co widziała teraz, wydawało się snem. Została oddzielona od Wahrama, żeby każde przeszło badanie kontrolne, a potem długie przesłuchanie. Ludzie, którzy rozmawiali ze Swan, byli zaniepokojeni, dlatego uznała, że lepiej współpracować z władzami, choć zdawało się to oczywiste. Później wróciła do tego, co się działo, i zaczęła analizować bieg zdarzeń i swoje odczucia. Nie chciała, aby jej się to wymknęło jak wszystko inne.

Gospodarze zabrali ją na małą ucztę w japońskim stylu – z jedzeniem na niewielkich talerzach, z porcjami zaledwie na ząb, tylko na spróbowanie, z różnorodnymi sosami. Swan poczuła, że jej zmysł smaku przeładował się zaledwie po paru kęsach. Żołądek się buntował, skręcał się i burczał podczas rozmowy, która odbyła się zaraz po jedzeniu.

Wielu uczestników spotkania piło alkohol albo koktajle z opiatami. Swan

pozostała przy wodzie mineralnej. Uważnie obserwowała ludzi wokół siebie. Obecni tu Wenusjanie wydawali się stłumieni. Garstka żartownisiów stłoczyła się przy jednym stoliku i śmiała nad potrawami, ale większość wyglądała na przygnębionych, nawet ponurych. Ocalenie osłony przeciwsłonecznej było wspaniałą wiadomością, rzecz jasna, i na pewno wielkim zwycięstwem, ale system bezpieczeństwa planety zawiódł, a niebezpieczeństwo zostało tylko zażegnane, nie wyeliminowane, co podkreślano we wszystkich mediach. Tym razem udało się uniknąć szkód, ale katastrofa nadal wisiała nad planetą jak miecz Damoklesa – przerażający los, tymczasowo powstrzymywany przez cieniutką tarczę, okrągły latawiec na sznurku.

Sz szczególnie ponura grupa w sali pogrążyła się w roztrząsaniu, co się stało z systemem ochronnym tarczy przeciwsłonecznej – ludzie ci pokazywali sobie schematy na tabletach, mówiąc szybko, nerwowo. Zdaje się, że za przyczynę problemów uważali sabotaż. Wahram wjechał do sali na wózku i przyłączył się do dyskutantów. Nogę miał opatrzoną i uszytwnioną. Powoli kiwał głową, słuchając tego, co mówili Wenusjanie. Raz tylko zerknął na Swan, jakby padło coś, co uznałaby za interesujące, zaraz jednak znowu włączył się w dyskusję. Miała nadzieję, że później się o wszystkim dowie. Zaraz jednak przypomniała sobie, że Wahram może czuć się zobowiązany do powiedzenia im o złamaniu słowa przez Swan i opowiedzeniu Pauline o spotkaniu z grupą Alex. Co z tego wynikło? W ostatecznym rozrachunku brawurowe posunięcie Swan uratowało Wenus. Nie należało jednak liczyć, że za zdradzenie tajemnicy nie będzie żadnych konsekwencji. Na pewno zostanie uznana za całkowicie niegodną zaufania, bezmyślną trzpiotkę z qostką zamiast mózgu. Nietrudno będzie tak pomyśleć po tym, co zrobiła.

Usiadła, nadal obserwując uważnie Wenusjan. Garbili się na swoich krzesłach z przygnębieniem. Zadała parę pytań, ale nie na wszystkie uzyskała odpowiedź. Wróciła więc do tematu, którego wyraźnie nie chciano poruszać.



- Zakładam, że skoro osłona przetrwała, będziecie ją dalej utrzymywać?
- Jeden z Wenusjan machnął niecierpliwie ręką.
- Niektórzy twierdzą, że wręcz przeciwnie, trzeba coś zmienić.
- To znaczy? Rozpędzić planetę, żeby uzyskać wyraźny cykl dobowy?
- Właśnie.
- Ale jak?
- Jedyńy sposób to ciężki deszcz meteorów po stycznej.
- Ostatnie wielkie bombardowanie! – zawołał ktoś od stolika żartownisiów.
- Ale czy to nie poszarpie powierzchni, nad którą już pracowaliście? – zdziwiła się Swan. – Rozbije warstwę pumeksu, uwolni dwutlenek węgla, zniszczy atmosferę... wszystko, co już zrobiliście?
- Nie wszystko – zaprzeczył ten pierwszy Wenusjanin. – Będziemy celować po prostu w to samo miejsce. Co grozi tylko... lekkim bałaganem.
- Bałaganem!
- Słuchaj, nam też nie podoba się ten pomysł. Wszyscy się temu sprzeciwialiśmy. – Zatoczył ręką po sali. – I nadal będziemy. Ale Lakszmi i jej popiecznicy przekonują, że uda się to zrobić bez większych strat. Po prostu powstanie jeden głębszy ocean i wypiętrzenie na wschodniej krawędzi kraterów, które utworzą się po uderzeniach meteorytów. Oczywiście ucierpią też inne obszary, zwłaszcza te na równiku, ale nie tak bardzo jak w przypadku zniszczenia osłony. Poza tym bombardowanie nie uwolni więcej niż parę procent pogrzebanego pod pumeksem dwutlenku węgla.
- Ale czy uzyskanie pożądanego ruchu wirowego nie będzie wymagało kilkuset lat ciężkich bombardowań?
- Wystarczy uzyskać mniej więcej stugodzinny dzień. Większość ziemskich form życia zniesie takie warunki. A to można uzyskać w zaledwie jedno stulecie.
- Zaledwie jedno stulecie!

Do rozmowy włączył się kolejny Wenusjanin.

– Ludzi martwi, czy nie pośpieszyliśmy się za bardzo za pierwszym razem.  
– Ten człowiek był stary, bystre oczy błyszcząły w pomarszczonej twarzy, w głosie brzmiały nuty żalu i zarazem niechęci. – Czy nie za bardzo szliśmy w ślady Marsa! Wybierzmy osłonę, bo to zadziała szybciej! Ale skoro się ją ustawiło, trzeba ją utrzymać. Polegać na niej. A teraz społeczność zrozumiała, co może się z nią stać. Dlatego Lakszmi teraz wygra. W głosowaniu ludzie opowiedzą się za bombardowaniem.

– Masz na myśli członków Grupy Roboczej?

– Tak. Będziemy musieli pozostać w schronach albo nawet wrócić do podniebnych miast, może nawet na jakiś czas wrócić do domu. Przeczekać, aż tutaj wszystko się uspokoi.

Wahram podjechał i przyłączył się do rozmowy.

– Ale czego użyjecie do bombardowania? – zapytał. – Przecież nie macie księżyców, które moglibyście pociąć na kawałki.

– Nie – przyznał starzec. – To właśnie zbyt pochopne podejście. Jest mnóstwo planetoid trojańskich Neptuna, które można wykorzystać.

– Trytoni nie chcą ich eksploatować?

– Tych planetoid jest mnóstwo. Możemy też wykorzystać ciała z Pasa Kuipera. Jeżeli Trytoni sobie zażyczą, możemy nawet zastąpić trojańczykami te z Pasa, więc nie będzie strat, przynajmniej jeżeli chodzi o Neptuna. Tryton zgadza się z głównymi założeniami tego projektu.

– Cóż – mruknęła Swan z zaskoczeniem. Nie wiedziała, co powiedzieć. Powiodła spojrzeniem po twarzach, tak ponurych i rozgniewanych. – I tego właśnie chcą ludzie na Wenus? Wiesz na pewno?

Wenusjanie popatrzyli po sobie.

– W Grupie Roboczej jest sieć kadr na różnych poziomach, jak pańczajaty w Indiach – odezwał się pierwszy z rozmówców Swan. – I wszyscy

rozmawiają. Na Wenus mieszka tylko cztery miliony ludzi. A... A Grupa Robocza wysłucha i nas, i każdego innego. Jednak to prawda, że pomysł bombardowania zyskuje coraz większe poparcie. Po tym, co się stało, ludzie rozumieją, że trzeba coś zmienić. Lakszmi już wygrała.

Potem gdy Swan odpoczywała w pokoju w szpitalu, rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Shukra oraz młodzieniec z Ziemi, Kiran. Swan przywitała ich radośnie, ich widok od razu poprawił jej nastrój. Byli tacy prawdziwi, tacy ożywieni. Shukra, z którym Swan pracowała dawno temu, i Kiran, nowy znajomy. Na ich twarzach malował się ten sam wyraz – powaga i zamyślenie. Usiedli przy posłaniu, a Swan naląła im wody.

– Powinnaś wysłuchać tego młodzieńca. – Shukra wskazał Kirana skinieniem głowy.

– Co się stało? – zaniepokoiła się.

Kiran uspokajająco uniósł dłoń.

– Kiedy mnie tu zabrałaś, wspomniałaś o tutejszych frakcjach. Miałaś rację, jak się okazało, toczy się tu nawet podziemna, z braku lepszego określenia, wojenka domowa.

– Lakszmi – dodał Shukra z powagą, jakby to wszystko wyjaśniało. – Młody się wmieszał.

– Jest źle? – zapytała Swan. – To znaczy... Sama mu poradziłam, żeby się do niej zwrócił.

Shukra przewrócił na to tylko oczyma.

– Swan, byłaś tu sto lat temu. Powinnaś się domyślić, że od tamtej pory trochę się tutaj pozmieniało. Opowiedz jej – nakazał Kiranowi. – Zaczęłam przewozić ładunki i wiadomości dla Lakszmi – zaczął Kiran. – A Shukra podejrzewał, co się święci, więc kazał mi dobrze się przyjrzeć temu, co dla niej robię.

– Był przynętą – uśmiechnął się Shukra bez radości. – A Lakszmi ją

połknęła. Ale zapewne domyśliła się roli Kirana.

Młodzieniec przytaknął. Zerknął na Swan, jakby chciał powiedzieć: „Patrz, w co mnie wpakowałeś”.

– Na wybrzeżu zespół Lakszmi wznosi nowe miasto – stwierdził Kiran. – Bez wątpienia to jej projekt. Miasto ustawione zostało za nisko, a ludzie sądzą, że nie bez powodu. Krążą słuchy, że Lakszmi chce, żeby zatoneło, aby wyłudzić ubezpieczenie czy coś podobnego. Tak czy inaczej, dzieje się tam coś dziwnego. Przypuszczam, że produkowane są androidy albo jakieś roboty, które wyglądają jak ludzie. Słyszałaś o czymś takim?

– Owszem. Opowiedz więcej.

– Jest tam zamknięty biurowiec, całkiem duży. Widziałem pudło z gałkami ocznymi, które tam dostarczono. Myślę, że właśnie tam składa się sztucznych ludzi. Taka fabryka Frankensteina.

– Widziałeś to?

– Strażnik przy mnie otworzył pudełko z oczami. Nie spodobało mu się, że widziałem zawartość tej paczki, więc wróciłem do mistrza Shukry i poprosiłem o pomoc.

Shukra pokiwał głową na potwierdzenie, że było to mądre posunięcie.

– A to miejsce, w którym był, należy do Lakszmi? – upewniła się jeszcze Swan.

– Tak. Jej jednostka zbudowała całe miasto – wyjaśnił Shukra. – Słuchaj... Nie mam pojęcia o działaniach w Vinmarze, ale Lakszmi wysyłała do Kleopatry ludzi, których nie potrafiliśmy zidentyfikować. Otworzyłem tam swoje biuro, a chociaż to podobno wolne miasto, jednak to ona rozdaje tam karty. Próbowałem wyśledzić, skąd ci nowi ludzie przybyli. Ale teraz, kiedy usłyszałem o ataku na osłonę przeciwsłoneczną, pierwsze, co mi przyszło do głowy, to: „Jakże dogodnie dla Lakszmi”. Prerażeni ludzie poprą plan wprowadzenia planety w ruch wirowy, a kiedy tego dokonamy, kratery na

równiku po uderzeniach meteorów sprawią, że poziom mórz znacząco się obniży. Miasta jak Vinmara położone są za nisko? Po bombardowaniu nie będą.

– Ach – westchnęła Swan. – Ale... Co na to Chińczycy?

– Chińczycy nienawidzą pomysłu kolejnego bombardowania, więc jeżeli dojdzie do jego realizacji wbrew ich sprzeciwom, stracą wpływy. I znowu bardzo dogodnie dla Lakszmi. Ale szczerze mówiąc, nikt tutaj nie chce, żeby Pekin nami dyrygował. A to tylko wzmacnia wpływy Lakszmi.

– A ona konstruuje człękoksztaltne roboty. – Swan pochyliła się i włączyła ekran na stoliku przy łóżku. – Proszę, pokażcie mi na mapie, gdzie leży ta Vinmara. Wybierzmy się tam z inspektorem Genetteem. I z Wahramem. To, o czym mi powiedzieliście, na pewno bardzo ich zainteresuje.

• •

Inspektor Genette pojawił się pierwszy, za nim wjechał Wahram z lewą nogą w sztywnym opatrunku. Obaj wysłuchali uważnie Kirana, a potem zaczęli rozważać, co z tym dalej zrobić.

– Myślę, że potrzebne są pewne ustalenia, zanim przystąpimy do działania – stwierdził Genette. Po tym, co się stało, jestem pewien, że trzeba wdrożyć plan, jaki przygotowaliśmy. Nie wspomniałem ci o tym, Swan, ale jeżeli zgodzisz się wyłączyć znowu Pauline, chętnie cię wprowadzę w szczegóły.

Nie miała ochoty znowu tego przerabiać. Zresztą inspektor na pewno już wiedział, że powiedziała Pauline o tajnym zgromadzeniu, więc tym bardziej wyłączenie gościny nie miało sensu.

Zanim jednak zaczęła się spierać, odezwał się Wahram:

– Zastanawiam się, czy nie lepiej zająć się planem bez wtajemniczania Swan. Nawet jeżeli wyłączy Pauline na czas rozmowy, później może wszystko opowiedzieć goście. Ostatnim razem tak zrobiła. Posłała Wahramowi

przeszywające spojrzenie, po czym zwróciła się do inspektora:

– To właśnie Pauline uprzedziła nas o ataku, dzięki czemu mogliśmy mu przeciwdziałać. A qostka Wanga wdrożyła nowy system monitoringu, który wykrył gromadzące się odłamki. Później możecie mi za to podziękować. Teraz chcę tylko zwrócić waszą uwagę, że chociaż Wenusjanie coś knują ze swoimi człekokształtnymi qostkami, to po naszej stronie też mamy qostki. I powinniśmy z nimi współpracować!

Inspektor Genette się z nią zgodził.

– Rozmawiałem długo z Wangiem i jego qostką. Masz rację. Obawiam się jednak, że one także podzielone są na frakcje.

– Tym bardziej powinniśmy informować te, które są po naszej stronie!

– Może – westchnął inspektor. – Pytanie tylko, które są po naszej stronie. A w tej sytuacji im mniej jest poinformowanych, tym lepiej. Dlatego wykorzystując informacje od Kirana, zamierzam przeprowadzić zaplanowaną operację Interplanu.

– A dokładniej? – zapytała Swan ostro.

Drobna twarz małego inspektora, wyrazista i piękna jak pyszczek langura, rozpromieniła się w uśmiechu.

– Pozwól, proszę, że o szczegółach porozmawiamy, gdy plan zacznie działać.

Swan posłała Wahramowi kolejne ponure spojrzenie.

– Widzisz, co narobiłeś?

Tytan wzruszył tylko ramionami.

– Operacja wymaga zachowania ścisłej tajemnicy. Nawet ja nie znam wszystkich szczegółów.

– Muszę też dodać – wtrącił szybko Genette – że bardzo się przydały informacje od twojego młodego przyjaciela. Dopiero teraz wszystko się poukładało. Pozwól mi wykonać następne posunięcie w tajemnicy. Nawet

Wahram, jak sam mówił, a w sumie to chyba wszyscy z Wenus – skinął głową Shukrze – nie wiedzą o tym etapie operacji. I dzięki temu właśnie plan ma szansę powodzenia.

Swan nie potrafiła stwierdzić, czy Genette chce po prostu pomóc Wahramowi, była zbyt wściekła, żeby dostrzec niuanse sytuacji. Rozsądek się jej wyłączył. Do pokoju wszedł inny funkcjonariusz Interplanu i Genette pograżył się z nim w rozmowie, po czym pożegnał się ze wszystkimi krótkim:

- Zechciejcie nam wybaczyć.
- Ani myślę – warknęła Swan i wybiegła, trzaskając drzwiami.

■ ■

Wahram dogonił ją przy końcu korytarza i dotrzymał kroku na wózku. Zamierzał jej towarzyszyć bez względu na to, jak szybko szła.

– Nie złość się na mnie. Musiałem powiedzieć inspektorowi, że rozmawiałaś z Pauline, żeby zachować zaufanie w ważniejszych sprawach. Sytuacja jest bardzo delikatna i oboje musimy dopiero poznać szczegóły operacji Interplanu.

- Skoro tak twierdzisz.
- Owszem. Wkrótce dowiesz się wszystkiego, ale teraz musisz nam zaufać.
- Nam?
- Zamierzam pomóc inspektorowi. To nie potrwa długo. A przez ten czas chciałbym, żebyś wróciła na Terminatora i opowiedziała swoim rodakom o sytuacji na Tytanie i o nas.
- Myślisz, że to mnie jeszcze interesuje?
- Taką mam nadzieję. To o wiele ważniejsze niż twoje zranione uczucia, jeżeli mogę tak powiedzieć. Zwłaszcza że wcale nie chcę cię ranić. Uważam ciebie i Pauline za nierozłączną parę, a to chyba dobrze, nie sądzisz? To

stosowne i lepiej cię opisuje, niech mi będzie wolno zauważyć. Jesteś kimś nowym. Zwłaszcza dla mnie. Wychylił się na wózek i chwycił Swan za rękę, po czym zatrzymał ją, wyhamowując wózek. Obrócili się do siebie. Chociaż Swan się wyrwała, Wahram nie puścił jej ręki.

– Proszę, bądź poważna – powiedział. – Czy nie dryfowaliśmy razem w przestrzeni kosmicznej? Czy nie szliśmy razem przez tunel?

Usidlił ją pytaniami, które wcześniej sama mu zadała. Co, rzecz jasna, pamiętała.

– Tak, tak... – Spuściła wzrok.

– Teraz też jesteśmy w tym razem, ale sytuacja wymaga zachowania tajemnicy. I w tym kontekście powinnaś po prostu przyjąć, że wszystko, co powiedziałem inspektorowi Genetteowi, było podyktowane najwyższą koniecznością. Zwłaszcza biorąc pod uwagę moje uczucia do ciebie. A są one... – przerwał, żeby uderzyć się w pierś. – Są one szczere i głębokie. Zagmatwane, lecz głębokie. I tylko to się liczy. Dzięki temu życie nabiera barw. I dlatego uważam, że powinniśmy się pobrać we wspólnocie saturnijskiej, do której należą. Rozwiązałyby to wiele problemów, o wiele więcej, niżby stworzyło, więc wydaje mi się, że dla nas obojga to najlepsze rozwiązanie. A na pewno dla mnie. Mam nadzieję, że zgodzisz się mnie poślubić. I tyle.

Swan wyrwała rękę i uniosła ją, jakby chciała uderzyć Wahrama.

– Nie rozumiem cię!

– Wiem. Sam mam z tym problem. Ale to nieważne. To tylko część problemu. Możemy razem zająć się jego rozwiązaniem.

– Nie wiem... – Swan zaczęła się cofać. Tyle chciałaby powiedzieć, że zabrakło jej słów. Nic nie wiedziała!

– Polecę na Ziemię – stwierdziła z uporem. – Mam spotkanie z komisją do spraw ssaków w onz. Tam wszystko powoli się rozwija. Chcę też



porozmawiać z Zaszą.

– To dobrze – zapewnił Wahram. – Przemyśl to, co powiedziałem. Muszę dołączyć do inspektora, to naprawdę pilne. Informacje od Kirana są niezwykle ważne, więc pozwól, że się tym zajmujemy, a kiedy skończymy, wrócę do ciebie najszybciej jak zdołam, nieważne, gdzie będziesz.

I po nerwowym przyciśnięciu dłoni do serca odwrócił się i odjechał korytarzem, żeby dołączyć do inspektora Genette'a.

# WAHRAM I GENETTE

Kiedy Wahram wrócił, inspektor Genette był już gotów do wyprawy do Vinmary. Nie tracił czasu, rzucił tylko:

– Ruszajmy.

I pognął przodem jak terier. Wahram dogonił go na wózku, a wtedy Genette zerknął za siebie i spytał, czy ze Swan wszystko w porządku. Tytan potwierdził, choć wcale nie był tego taki pewien. Postanowił o tym na razie nie myśleć, musiał skupić się na operacji.

Gdy lecieli do Vinmary, Genette rozmawiał ze współpracownikami przez qostkę na nadgarstku, używając Passepartout jak radia. Wahram wskazał na nią pytająco.

Genette odpowiedział, potrząsnąwszy głową.

– Swan miała rację, niektóre qostki rzeczywiście pracują dla nas. I jej może do nich należeć, to wydaje się wysoce prawdopodobne. Ale nie zdążyłem sprawdzić Pauline, dlatego miałeś rację, żeby trzymać ją od tego z daleka. Trudno przewidzieć, co zrobi. Za to Passepartout i qostka Wanga zostały sprawdzone i pomagają nam, jak im nakazano. A przynajmniej w to wierzę – podkreślił, spojrzawszy uważnie na swój nadgarstek.

– Myślisz, że qostki zaczynają tworzyć własną społeczność, podzieloną na grupy albo nawet organizacje, które mogą się ze sobą nie zgadzać? – zapytał Wahram.

Genette tylko uniósł ramiona.

– Skąd mam wiedzieć? Możliwe, że dostali tylko różne polecenia od różnych ludzi i dlatego zachowują się inaczej. Dlatego mamy nadzieję, że w Vinmarze znajdziemy twórcę tych humanoidów i może dowiemy się więcej.

– A co na to Wenusjanie? Pozwolą ci zrobić to, co zamierzasz?

– Mam wsparcie Shukry i jego ludzi. Zresztą we władzach Wenus trwa teraz walka o wyższą stawkę. A ludzie Lakszmi albo produkują te humanoidy, albo czerpią korzyści z ich istnienia, jeszcze nie wiem dokładnie, ale niezależnie od tego Shukra bardzo chętnie nam pomoże. Sądzę, że Grupa Robocza jest na tyle podzielona, że będziemy mogli zrobić co trzeba i wynieść się z planety, zanim ktoś zauważy.

Wahramowi ostatnie słowa zabrzmiały złowrogo.

– Chcesz wpaść w środek wojny domowej?

Genette wzruszył ramionami.

– Stąd można iść już tylko naprzód.

Dotarli do kosmoportu i pośpieszyli przez halę do lądowiska niewielkich samolotów. Gdy znaleźli się na pokładzie i wystartowali, inspektor zerknął przez okno.

– To miejsce przypomina Chiny – rzucił – może nawet nadal rządy sprawują tu Chiny, trudno powiedzieć. W każdym razie jednak decyzja spoczywa w rękach dość nielicznej grupy. W tej chwili zajętej sporem, co zrobić z osłoną przeciwsłoneczną. A to, jak spór ten zostanie rozwiązany, okaże się sprawdzianem lojalności dla każdej ze stron. Wydawało mi się, że większość Wenusjan pogodziła się dawno z tym, że poleganie na osłonie jest jednym z wielu tutejszych zagrożeń. Ale niektórzy z jej przeciwników okazali się bardziej zajadli w swoich uczuciach. Dla nich to niemal sprawa życia i śmierci. Dlatego są bardziej skłonni do ekstremalnych posunięć, byle postawić na swoim. – I do czego, twoim zdaniem, się posunęli?

– Przypuszczam, że jeden z ich programistów postanowił nakazać kilku gościom, żeby pomogły w wysiłkach pozbycia się osłony przeciwsłonecznej. Może wydał bezpośredni rozkaz, coś w stylu: „Znajdź sposób, jak to zrobić”. Co oznacza, że te goście prowadzą obliczenia prawdopodobieństwa różnych akcji i wynikających z nich skutków. Na dodatek algorytm może mieć słabe ograniczenia. Pozwalające na rozważenie, że tak powiem, każdej możliwości. Zupełnie jak w przypadku żywej osoby! Albo bardzo podobnie. Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby taka gośćka zaproponowała, aby inne umieścić w ciałach przypominających ludzkie, co umożliwi ataki, do jakich zamknięte w nieruchomych obudowach goście nie są zdolne – ataki, jakich człowiek nie umiałby lub nie mógłby przeprowadzić. Mam na myśli sabotaż. Można je też nazwać pokazami sprawności, co oznacza zaaranżowane katastrofy. Jeżeli w ten sposób uda się przekonać większość Wenusjan, że osłona jest za bardzo podatna na atak, przez co wszystkim grozi, że spalą się jak na patelni, wtedy opinia publiczna opowie się za powrotem do ery wielkich bombardowań, aby w ten sposób uzyskać ruch wirowy Wenus.

– Przerazić obywateli tak, aby podjęli określoną polityczną decyzję – podsumował Wahram.

– Właśnie. Co, jak wiemy, jest jedną z definicji terroryzmu. Ale dla gości zaprogramowanych na znalezienie odpowiedniego rezultatu może nie być to tak oczywiste.

– Zatem atak na Terminatora mógł być tylko demonstracją?

– Owszem. Na pewno wywołał odpowiednią reakcję tutaj, na Wenus.

– Ale atak na osłonę przeciwsłoneczną mógł wywołać nie tylko strach – zauważył Wahram. – Gdyby się powiódł, zginęłoby wielu ludzi.

– Co wcale nie musi być uznane za negatywny rezultat. Zależy od algorytmu, czyli od programisty. Na Ziemi jest mnóstwo ludzi, którzy mogliby uzupełnić straty. Same Chiny by wystarczyły.

Nawet nie odczułyby straty, gdyby wyginęli wszyscy Wenusjanie i część Chińczyków musiałaby ich zastąpić. Kto wie co ludzie wymyślą? Programiści mogli pchnąć qostki na nową drogę, choćby tylko przez wprowadzenie nowych algorytmów, ale to jeszcze nie oznacza, że stworzyli myślące istoty, nawet jeśli ich twory potrafią przejść test Turinga czy inne takie.

– Więc te qostkonoidy naprawdę istnieją?

– O, tak. Twoja Swan spotkała parę, ja także. Jeden pojawił się na Io. Dowiedziałem się również, że sporo tych humanoidalnych qostek znajduje się na Marsie. Udają ludzi i angażują się w działania rządu. Mars ma konflikty z Mondragonem i z Saturnem – a to wygląda mi teraz bardzo podejrzanie.

– Ach – mruknął Wahram w zamyśleniu. – I co zamierzasz zrobić?

– Ująć je wszystkie jak najszybciej – odparł Genette, zerknąwszy na Passepartout. – Przesłałem hasło do rozpoczęcia akcji. Dzisiaj, czyli jedenastego października dwa tysiące trzysta dwunastego roku, o północy czasu Greenwich. Nadeszła pora. Musimy uderzyć.

Wylądowali niedaleko Vinmary. Wahram był potężnym wdzięczny losowi za wózek, ponieważ Genette popędził przodem i skakał od jednego krótkiego spotkania do drugiego w przerażającym tempie. Tytan ledwie mógł nadążyć.

Kiran przyleciał parę minut później kolejnym odrzutowcem i od razu ruszył, aby pokazać inspektorowi i Tytanowi budynek, do którego transportowano oczy. Wkrótce potem przybył uzbrojony oddział i bez zwłoki otoczył biurowiec. Wejście frontowe zostało wysadzone, a zbrojni w pełnych skafandrach próżniowych unieśli broń. Z otworu po wyważonych drzwiach wzbily się kłęby rzadkiego szarego dymu.

W mniej niż pięć minut budynek został zabezpieczony. Genette odebrał raport grupy szturmowej, po czym skontaktował się z Shukrą, który pojawił się zaraz z własnym oddziałem zbrojnym dla pewności, że wszelki opór przed przeszukaniem biurowca okaże się daremny.

Tymczasem mały inspektor konferował nieustannie – osobiście lub przez komunikatory. Bardzo zaangażowany i pewny – widać było, że nawykł do tego rodzaju działań. Nie obawiał się nawet, że trafi między walczące frakcje Wenusjan, czyli w sytuację skrajnie niebezpieczną, zdaniem Wahrama.

Kiedy Genette na chwilę przerwał i przysiadł na stole, żeby napić się kawy i przejrzeć wiadomości ze swojej qostki, Wahram zapytał z ciekawością:

– Więc te ataki odłamkami były pomysłem jednej z wenusjańskich frakcji, żeby wywrzeć nacisk na tutejszą społeczność? Żeby zyskać przewagę nad stroną przeciwną?

– Zgadza się.

– Ale... Gdyby atak na osłonę się powiódł, zabiłby również terrorystów.

– Sądzę, że mieliby dość czasu na ewakuację – odparł Genette. – Sprawcy byliby wcześniej poza planetą. Albo, jeżeli to qostki podjęły decyzję o ataku, to pewnie im nie zależało na ludziach. Możliwe, że programiści tych qostek nie mają już żadnego wpływu na podejmowane przez nie decyzje. A same qostki mogły uważać, że śmierć to strata, ale zostało ich więcej tam, skąd pochodzą, więc i tak dostaną, czego chcą, niezależnie od tego, czy atak się powiedzie, czy nie.

Wahram się zamyślił.

– A co z tym zniszczonym terrarium w pasie asteroid? Z *Yggdrasilem*?

– Nic nie wiem. Może tamto zniszczenie miało wzbudzić w ludziach poczucie słabości. Może był to tylko test metody ataku. Ale masz rację, to dziwne. To jeszcze jeden powód, dla którego chcę zobaczyć te qostkonoidy i znajdujących się tutaj ludzi.

We frontowych drzwiach biurowca pojawiła się spora grupa i Genette ruszył, by porozmawiać z przybyłymi. Wielu z nich było małymi. W ataku na biurowiec użyto najwyraźniej odpowiednika konia trojańskiego – kilku małych podkrađło się do systemów wentylacyjnych i uwolniło w nich gaz.

– No dobra – stwierdził Genette, gdy wrócił do Wahrama. – Wynośmy się stąd. Musimy zabrać wszystkich podejrzanych i zniknąć jak najszybciej z powierzchni Wenus.

Kilkunastu ludzi, większość standardowych rozmiarów, ale też z kilkoma małymi i wysokimi, wypełniło frontowe przejście. Byli skuci i pilnowani. Genette, gdy kolejno go mijali, zadawał uprzejme pytania, zatrzymując każdego tylko na kilka sekund. Wahram także obserwował ich, gdy przechodzili. Dostrzegł u niektórych zbyt płynne ruchy i przenikliwe, beznamienne spojrzenia, ale nie sądził, aby to wystarczyło mu do rozpoznania, którzy to ludzie, a które maszyny. Budziło to w nim co najmniej niepokój. Zdawało mu się też, że narastający w gardle ucisk przeszedł do brzucha i tam zmienił się w strach.

Genette zatrzymał ostatniego z ujętych w biurowcu podejrzanych.

– Ha!

– Kto to? – zainteresował się Wahram.

– To, jak mi się zdaje, jest poznany przez Swan gracz w boule.

Genette uniósł Passepartout i sfotografował młodzieńca, a potem pokiwał głową, gdy na malutkim ekranie qostki pojawiły się porównane zdjęcia.

– I jak się okazuje – dodał mały inspektor, przesunąwszy krótkim prętem nad głową zatrzymanego – to jednak człowiek.

Młodzieniec milczał.

– Może to nasz programista, co? – podjął Genette. – Sprawdzimy po drodze. Teraz musimy jak najszybciej wynieść się z Wenus.

Co znaczyło kolejne pośpieszne przejście przez miasto, zwłaszcza przez służę bramy, do czekających za granicami Vinmary helikopterów. Więcej niż raz funkcjonariusze, którzy powinni zatrzymać lub przynajmniej przepytac tak dużą grupę, pozwalali jej przejść, niekiedy nerwowo słuchając i potakując do słuchawek lub komunikatorów.

Kiedy oddział Genette'a oraz podejrzani znaleźli się w powietrzu, mały inspektor zerknął na Wahrama i ostentacyjnie otarł czoło. Helikopter, którym lecieli, kierował się do Colette. Gdy tylko dotarli na tamtejszy kosmodrom, pośpieszyli na prom i po krótkiej oraz pełnej wstrząsów podróży znaleźli się na niskiej orbicie, skąd przesiedli się na jednostkę Interplanu.

Była to *Chyża Sprawiedliwość*. Gdy tylko wszyscy znaleźli się na pokładzie, okręt obrał kurs na Plutona.

Przez tygodnie podróży gracza, którego spotkała Swan, niejedną raz poddano przesłuchaniu, ale młodzieniec nie odezwał się słowem. Z całą pewnością był człowiekiem. Młodym, najwyżej trzydziestopięcioletnim. Udało się prześledzić jego drogę wstecz od spotkania ze Swan na *Chateau Garden* do niezrzeszonego świata, jednego z tych, które nie podały swojej nazwy do ogólnej wiadomości. Szczęśliwym trafem Interplan miał ten świat w swoich spisach pod numerem katalogowym U-238.

Podczas lotu na Plutona i Charona qostce Wanga udało się wyszperać całkiem sporo o krótkim życiu gracza w boule. Była to smutna, chociaż dość typowa historia. Młodzieniec urodził się w małym terrarium rządzonego przez sektę czcicieli Ahura-Mazdy. Panowało tu ściśle rozdzielenie płci, patriariat, poligamia oraz obsesja na punkcie kar fizycznych, aby zapobiegać wpływom i opętaniu przez demony. Mały świat, niestabilne dziecko. Raporty o agresji bez skruchy, pojawiające się, odkąd chłopak ukończył cztery lata, aż do zanotowanej ucieczki w wieku lat dwudziestu czterech. Uczył się programowania na Weście, nikt go tam nie znał. Przez jakiś czas poświęcał się badaniom konfiguracji qostek w akademii na Ceres, ale porzucił uczelnię i wyrwał się z życia akademickiego. W końcu wygnany z Ceres za złamanie kodów bezpieczeństwa o jeden raz za dużo powrócił do rodzimego świata, gdzie – o ile wszystkim było wiadomo – pozostał. Ale nikt tego nie sprawdzał. Nie wiadomo, jak ten młodzieniec znalazł się na Wenus, jak



znalazł pracę dla Grupy Roboczej, a dokładniej, dla Lakszmi, przy działaniach mających na celu pozbycie się osłony – ten okres pozostawał niejasny, poplecznicy Lakszmi skutecznie ukryli ślady jego działań. Pozostało tylko to, co znaleziono w Vinmarze – laboratorium, gdzie wykonywano humanoidalne qostki, w tym te, które poleciały na Marsa i rozpoczęły infiltrację tamtejszego rządu. Oraz te, które poleciały na Ziemię, a stamtąd na pas asteroid, gdzie zbudowały i obsługiwały wyrzutnię odłamków. Ten młody mężczyzna albo sam wymyślił ten sposób ataku, albo stworzył qostki, które to wymyśliły – zatem albo on, albo jego twory przeprowadziły wszystkie ataki.

– *Yggdrasil*? – rzucił Genette do gracza.

Czujniki diagnostyczne przyłączone do młodego ciała i mózgu odnotowały spory wstrząs. Genette skinął głową.

– Drobnny test, co? Dowód na skuteczność metody?

Na monitorach znowu pojawiły się skoki metabolizmu. Przekonanie, że te skoki niezawodnie wykrywają kłamstwo, dawno zostało zarzucone, ale fizjologiczne oznaki nadal wydawały się bardzo sugestywne.

Ponieważ młodzieniec uparcie milczał, nie udało się dowiedzieć, dlaczego przeprowadzono ataki. Jednak powiązanie z *Yggdrasilem* wydawało się jasne.

I tylko to liczyło się dla małego inspektora.

– Uważam, że ataki na Terminatora i Wenus miały podłoże polityczne – powiedział Wahramowi w obecności młodzieńca przywiązanego do fotela i oplecionego czujnikami medycznymi. Przesłuchiwany spoglądał tępo w ścianę, ale skaczące linie wykresów na monitorach były niczym niemy krzyk.

– Przypuszczam, że zatwierdziła je Lakszmi. Ale przebiecie *Yggdrasila* odbyło się jako pierwsze, zapewne nasz podejrzany sam wpadł na ten pomysł. Może była to demonstracja dla Lakszmi. Dowód działania. W wyniku czego zginęło trzy tysiące ludzi.

Genette popatrzył w napiętą twarz młodego człowieka, po czym odwrócił

się do Wahrama.

– Wyjdźmy stąd. Nie mamy tu nic więcej do zrobienia.

Po trzech tygodniach lotu *Chyża Sprawiedliwość* dotarła do Plutona i Charona, a stan Wahrama się pogorszył. Po konsylium zespół medyczny na pokładzie statku uznał, że zranioną nogę trzeba amputować poniżej kolana, i rozpoczął totipotencję komórek potrzebnych do wyhodowania nowej lewej kończyny dolnej.

Wahram starał się to znosić, panować nad strachem i nie poświęcać tematowi za wiele uwagi. Przekonywał się, że w wieku stu jedenastu lat jego ciało było już efektem sztucznej obróbki, a odrost kończyn stanowił jeden z najprostszych i najstarszych wynalazków medycyny.

Niezależnie jednak od tego widok był paskudny, a bóle fantomowe dokuczliwe. Dlatego Wahram starał się zajmować czymś innym. Nieustannie przepytывał inspektora Genette'a o operację wdrażaną przez Interplan. Jednak choćby nie wiadomo jak się starał nie zwracać uwagi na swoje odczucia, nie zdołał zapomnieć o doznaniach towarzyszących odrastaniu nogi poniżej kolana.

Kosmoloty z całego Układu Słonecznego gromadziły się, aby dołączyć do *Chyżej Sprawiedliwości* na Charonie, ponieważ właśnie tutaj ludzie z grupy Alex oraz współpracujący z nią agenci Interplanu przetransportowali pojmane gostki. Zdaje się, że były to wszystkie skonstruowane dotąd gostkonoidy. Złapano je tego samego dnia, gdy Interplan przejął budynek w Vinmarze, większość nawet o tej samej godzinie. Niemal połowę zatrzymano na Marsie. Operację zaplanowano i skoordynowano ustnie, a dokładny moment rozpoczęcia działań ogłoszony został dzień wcześniej, gdy

Genette wysłał przez radio wiadomość – nagranie starego standardu jazzowego „Już czas”. Wszystkie jednostki bez przeszkód wkroczyły do akcji, chociaż wzięło w niej udział ponad dwa tysiące agentów. Ujęto czterysta

dziesięć humanoidalnych gości. Żadna z nich nie spodziewała się aresztowania.

Plan inspektora zakładał teraz, że wszystkie te humanoidy oraz gracz w boule i około trzydzieścioro innych ludzi, którzy brali udział w atakach na osiedla w Układzie Słonecznym, zostaną wygnani. Ustalono, że do tego celu użyty będzie jeden z kosmolotów zbudowanych na Nixie, księżycu Plutona. Ów pojazd okazał się właściwie wyspecjalizowanym terrarium – z funkcjonującą, zamkniętą i zdtną do życia biosferą, zdumiewająco dobrze wyposażoną, oraz wyjątkowo potężnym napędem. Terrarium postanowiono przekształcić w więzienie, podobne do tego, jakie krążyły po orbitach w pasie asteroid. Tyle tylko, że akurat ten statek więzienny miał opuścić Układ Słoneczny. Terrarium wewnątrz zostanie zamknięte, a pilotująca jednostkę się znajdować się będzie na zewnątrz zapieczętowanego walca. Odleci nim czterysta humanoidalnych gości, gracz w boule i grupa ludzi skazanych za atak na *Yggdrasila*. Nie była to duża grupa, ponieważ okazało się, że gracz w boule, sprawca i pomysłodawca tego ataku, nie potrzebował wielu pomocników. Wyrok zapadł: wygnanie – z Układu Słonecznego i od reszty ludzkości.

– Lakszmi powinna też tam się znaleźć! – poskarżył się Wahram inspektorowi.

– Owszem, ale nie zdołaliśmy jej złapać. Wenusjanie będą musieli uporać się z nią sami. Może zresztą uda nam się postawić ją przed sądem na Ceres i przekonamy się, co z tego wyjdzie.

– Ten statek wygnańców – zmienił temat Wahram. – A jeżeli gościom uda się przejąć nad nim kontrolę? Co będzie, jeżeli zdołają powrócić pchane żądzą zemsty i o wiele bardziej przebiegłe?

– Nie od razu. – Genette wzruszył ramionami. – A dzięki szybkiemu spalaniu paliwa statek rozpędzi się do straszliwych prędkości. Zanim gościki

uporają się z brakiem paliwa, miną stulecia. Droga powrotna też trochę potrwa. A do tego czasu nasza cywilizacja wymyśli, jak sobie poradzić z banitami.

– Zastanawiałeś się nad tym?

– Nie. Ale musimy się zająć gości, nie mamy innego wyjścia. Targamy tygrysa za węż. Podejrzewam, że jeżeli goście nie będą umieszczane w ludzkim ciele i trzymane z daleka od wściekłych programistów, pozostaną tym, czym były, jak choćby Passepartout.

– Albo Pauline i Swan?

– Wszczepienie sobie gościa chyba nie jest najlepszym pomysłem – westchnął Genette. – Zastanawiam się, czy Swan zgodziłaby się przenieść swoją do komputera nareęcznego, jak u mnie.

Wahram wątpił, choć nie wiedział dlaczego. Jego pewność co do Swan malała, niezależnie, czego by to dotyczyło.

Przeszedł więc do kolejnego trudnego tematu:

– Czy ten wyrok nie jest doskonałym przykładem niezwykle okrutnej kary?

– Niezwykłej, owszem – przyznał wesoło Genette. – Wyjątkowej nawet. Ale okrucieństwo w tym przypadku to rzecz względna.

– Wygnanie z gośćkami? Czy to nie dziwne zamknięcie i odizolowanie, prawie jak koszmar?

– Banicja nie jest okrucieństwem. Wierz mi, wiem coś o tym. Umysł sam w sobie jest miejscem. Teoretycznie ci wygnańcy dostali niezłe wyposażone terrarium. Mogą osiąść na pustym ziemiopodobnym świecie gdzieś daleko i dać początek nowej odmianie ludzkości. Nic nie stoi na przeszkodzie. To tylko wygnanie. Sam jestem banitą. To znana forma surowej, lecz nie śmiertelnej kary. A ci tutaj zabili trzy tysiące ludzi tylko po to, aby przetestować broń. Na dodatek zaprogramowali komputery kwantowe tak, że teraz nie można odróżnić, czy to, co robią, jest dobre, czy złe. Wyznaczyli im

cele, ale nie określili odpowiednio granic, a to stanowi oczywiste zagrożenie, na dodatek takie, przed którym w tej chwili nie wiemy, jak się bronić. Dlatego wydaje mi się, że wygnanie jest zarazem demonstracją naszego stosunku do qostek. Nie wyłączamy ich tak po prostu ani nie niszczymy, jak twierdzą niektórzy, tylko odsyłamy te niebezpieczne na wygnanie, podobnie jak robimy to z ludźmi. Wydaje mi się, że to będzie również wiadomość dla qostek, które tutaj pozostały. Będziemy je teraz trzymać w obudowach, żeby utrzymać nad nimi kontrolę, a przynajmniej mam nadzieję, że tak zrobimy. Uda się albo nie. Przede wszystkim jednak mam nadzieję, że zdołamy wstrzymać produkcję qostek przynajmniej na jakiś czas, żeby dokładniej zbadać, do czego zdolne są te, które otrzymały intencjonalność, wykazują inteligencję i przebiegłość albo przebywają w ludzkich ciałach. Uważam też, że sprawiedliwości stało się zadość, a ludzkość zyskała trochę czasu. I cieszę się, że Plutończycy, Mondragon i inne zainteresowane strony, włącznie z Shukrą, zawarły porozumienie. Mam też nadzieję, że kiedy Swan dowie się, co zaszło, też będzie zadowolona. I wszyscy inni.

– Może... – westchnął Wahram.

Nadal nie do końca podobało mu się rozwiązanie zaproponowane przez inspektora Genette'a. Jednak alternatywy, które przychodziły mu do głowy, wydawały się albo zbyt surowe (śmierć dla wszystkich sprawców), albo zbyt pobłażliwe (resocjalizacja ze społeczeństwem). Banicja – pierwszy statek wygnańców... Cóż, w pasie asteroid krążyły terraria więzienne, w których panowały różnorodne warunki, od utopii po piekło. Gracz w boule i jego wytwory mogli przynajmniej zrobić, co zechcą. Potencjalnie. Wahramowi wydawało się jednak, że to i tak będzie piekło.

Kiedy wszystko już zostało powiedziane i zrobione, mały inspektor Genette wyglądał równie nieludzko jak gracz w boule – opanowany, zadowolony, nieprzenikniony – i spoglądał na Wahrama jak na każdego – świętego,

przestępcę, obcego, brata – wszystkich mierzył przenikliwym, ptasim spojrzeniem, zaciekawionym, szacującym i przekornym. Jednak Wahram nadal nie był całkiem zadowolony, więc przeczytał akta wszystkich ludzi i humanoidów, którzy zostali ujęci. Zebrało się tego kilka tysięcy stron. Kiedy skończył, wrócił do inspektora Genette’a zmartwiony jak nigdy.

– Coś ci umknęło – stwierdził ostro. – Przeczytaj zapisy przesłuchań, a przekonasz się, że ktoś z laboratorium w Vinmarze umożliwił tym qostkoidom wydostanie się na wolność, do ludzi w Układzie Słonecznym, którzy pomagali im się ukryć. Ta trójka, na którą Swan natknęła się w *Wewnętrznej Mongolii*, i przynajmniej jeszcze czworo opowiada podobne historie. Ten, kto to robił, powiedział im, że są uszkodzone i muszą zniknąć, jeżeli nie chcą zostać zeżłomowane. Qostki nie wiedziały, co mają zrobić, dlatego część z nich zachowywała się dziwnie, gdy znalazły się na wolności. Może były uszkodzone, nie mam powodu, żeby w to nie wierzyć. Ale ta osoba w laboratorium starała się uratować qostki przed Lakszmi! Czy zasługuje zatem na wygnanie? I czy te uszkodzone qostkoidy też na nie zasługują?

Genette zmarszczył brwi i przyrzekł, że przyjrzy się sprawie dokładnie.

Lecz to nie wystarczyło Wahramowi. Od samego początku pracował z Genette’em i Alex nad sprawą dziwnych qostek, a teraz czuł się odsunięty. Dlatego na wózku wjechał na spotkanie śledczych i członków grupy, podczas którego omawiano sytuację, i znowu wrócił do sprawy niewinnych złapanych podczas polowania. W rezultacie silną przewagą, choć nie jednogłośnie, ustalono, że wszystkie qostkoidy odleć na banicję, ale pomocnik laboratoryjny, który wypuszczał uszkodzone twory, może pozostać w Układzie Słonecznym. Okazało się, że ten pomocnik nie tylko uwalniał qostki, lecz także wymazywał ich dane z archiwów.

– Wykonał niezłą robotę – powiedział inspektor Wahramowi, jakby to spyt

i inteligencja uchroniły pomocnika laboratoryjnego od wygnania. Wahram, nadal w głębi duszy niezadowolony, przemilczał tę kwestię. Pomocnik laboratoryjny, młody Wenusjanin, niewiele starszy od gracza w boule, odzyska wolność. A dla nieszczęsnych uszkodzonych qostkoidów lepiej będzie, jeżeli polecą na wygnanie wraz z resztą swoich pobratymców.

Dlatego kiedy nadeszła pora, Wahram usiadł na pokładzie widokowym okrętu Interplanu i obserwował wraz z resztą ludzi uruchomienie silników napędzanych materią-antymaterią i odlot *Pierwszej Ćwiartki Nixa* do gwiazd. Terrarium wyglądało jak każde inne, może odrobinę większe.

Lód tworzył spory procent jego masy, z zewnątrz terrarium przypominało białą lodową rzeźbę delfina ciągnącą za swoim ogonem błyskawicę.

– Co z ludźmi, którzy zbudowali to terrarium? – zapytał Wahram. – Czy to nie miał być ich kosmolot?

– Musimy go zastąpić innym. Zamierzali wypuścić takie cztery, coś w rodzaju małej floty. Zbudujemy dla nich nowe terrarium z Hydry. Albo możemy wziąć jedno z należących do Charona, jeżeli zajdzie potrzeba. Tak czy inaczej, flota dalej będzie liczyła cztery jednostki.

Wahrama nadal coś dręczyło.

– Wciąż nie wiem, co myśleć o qostkoidach i reszcie.

Genette nie wydawał się tym przejęty.

– Obawiam się, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy! Ciężko było działać poza siecią i w ścisłej tajemnicy. Muszę przyznać, że to była całkiem zmyślna akcja. Zdumiewające, ile można zrobić, choć ma się do dyspozycji tylko kartki papieru i zsynchronizowane zegarki. Każda zaangażowana w to osoba musiała działać w tajemnicy i całkowicie ufać tylko tym ludziom, których znała w siatce. Tylko tak mogło się udać. Nieźle osiągnięcie, gdy się o tym teraz myśli.

– Owszem – przyznał Wahram. – Ale czy to wystarczy?

– Nie. Problem pozostał. Dostaliśmy tylko chwilę wytchnienia.

– I... jesteś pewien, że zatrzymaliście wszystkich?

– Nie. Ale wygląda na to, że qostkoidy wytwarzano tylko w laboratorium na Wenus, a przynajmniej tak twierdzi qostką Wanga. Zdobyliśmy dość danych o zużyciu energii i dostawach surowców, aby ze sporą dokładnością oszacować liczbę wyprodukowanych jednostek. I mniej więcej tyle udało nam się złapać. Możliwe, że umknął nam jeden lub dwa, ale, jak mi się zdaje, są tak nieliczne, że niegroźne. Może na wolności jest też więcej tych uszkodzonych, które wypuścił pracownik laboratorium. Spróbujemy je znaleźć i wyłapać.

Co znaczy, pomyślał Wahram, że w Układzie Słonecznym mogą być maszyny wyglądające jak ludzie, ukrywające się w tłumie i starające za wszelką cenę pozostać na wolności, przynajmniej dopóki rentgen lub inne urządzenia monitorujące nie ujawnią ich tożsamości. Humanoidalne qostki – w ukryciu próbujące zrealizować cele, jakie im powierzono, lub inne, własne tym razem, wynikające ze stworzonego przez nie jakiegoś algorytmu przetrwania. Uszkodzone, niebezpieczne, pozbawione sumienia, samotne i pełne obaw – innymi słowy, zupełnie jak ludzie.



## Spacer kwantowy (3)

na brzegu mokradła kumkają żaby... sezony płodności decydują, jak często i w jakim okresie życia następuje prokreacja... i ile rodzi się potomstwa... morfogeneza to proces, w którym organizm wytwarza dorosłe kształty z pewnym opóźnieniem... wyniki oscylują w ramach wzorców... drapieżnik zawsze o jedną czwartą cyklu później niż ofiara...

ci nowi ludzie zabierają mnie, żeby zniszczyć... wielka broń wycelowana w twarz zmusza do pójścia między nimi... - dalej od tych, co pomagają... na zewnątrz, nad brzeg Jersey... drapacze chmur Manhattanu wznoszą się na horyzoncie od wschodu... w bieguna polowaniu...

kopnąć broń i uciec... ludzie komicznie powolni, gdy się podnoszą... umknąć między zwirowate cienie ciemnobrązowych zarośli... unik i odwrót... przeskoczyć strumyk... zielona łąka z kępkami mchów... czy perskie dywany były zielone?

prawie zderzenie z inną osobą... wygląda na człowieka... Potrzebna mi pomoc... jacyś ludzie mnie okradli i chyba nadal gonią... człowiek patrzy na mnie... czyste błękitne tęczęwki przetykane ciemniejszym odcieniem... chodź ze mną...

dalej ścieżką... człowiek przystaje, wyciąga dłoń... sama z białym ogonem... znieruchomiała... z postawionymi uszami... czujna... wróciły... mówi człowiek...

Pytam... Czy chciałbyś zagrać w szachy?

Człowiek odpowiada... Jasne, chodź...

Do małej chaty... inny człowiek już tam jest... rozmawiają w kuchni... wychodzą o zachodzie słońca... czerwień na wzgórzu zapiera dech... srebrzyste

igły świerków... liście zarumienione od spodu... chwila przemija, gdy z oddali światła pojazdu przenikają blask zachodu, i w skrzyżowanym lśnieniu zanikają cienie... nadzwyczajnie przejrzysty i wyraźny widok... na skraju polany pojawia się lis... przemyka przez trawy... rdzawy i biały... rozrzut diaspor... w obie strony – z Ziemi w kosmos... a potem z kosmosu na Ziemię... symbiogeneza... ulepszenie dla obu stron... granat nieba przesłonięty białą mgłą...

Swan, tu Zasha... głos z wnętrza domu... mam tu coś... szachistę... wydaje się nieco zagubiony...

czarne ptaki wracają do miasta... przysiadają na drzewie w oddali... czarne kropki leniwie machające skrzydłami... szukają schronienia pod koniec dnia...

świergoty... ptaki rozmawiają ze sobą... może pięćdziesiąt różnych gatunków... tworzą tło dźwiękowe... a wszystko razem tworzy muzykę... continuum to pomruk pojazdów, generatorów, silników, motorów... odrzutowiec tak wielki, że wydaje się blisko... jego odgłos na niebie daleko za nim... chór ptaków o zachodzie słońca... nakłada się i zlewa... cywilizacja pod gołym niebem... ptasia mądrość... zachowana w reliktowych starych częściach mózgu... najwyraźniej nie do zaprogramowania... przeskok wyobraźni...

około północy przyjeżdża jeszcze jeden człowiek... wysoki... poruszający się z gracją... Cześć, Zasha, co się stało?

przedstawienie przywraca do rzeczywistości... namaste... pozdrawiam twoją duszę...

Jestem Swan... opowiedz mi o sobie...

streszczenie zdarzeń od uzyskania przytomności... wypchnięcie za drzwi na ulicę... odlot z Wenus... prywatny transport przez ludzi... lądowanie na Ziemi... wszystko zaczęte jako część próby usunięcia zaćmienia na Wenus... nie od razu, ale jako projekt, który należało przeprowadzić bezpiecznie...

nadzieja ma skrzydła... dlatego sadowi się w duszy... nieznane szczegóły planu... ci, co pomagali, byli przeciwni większemu projektowi... aresztowani lub porwani... zmuszeni do odlotu... wzmianka o zamknięciu... ucieczka...

Swan patrzy na Zaszę... ci gnoje traktują je jak qostki...

No i?... pyta Zasha... Jak je nazywasz? Qostkominidy? Qostkoidy?

Qostkoidy brzmi dobrze... Mówię, że są jak Pauline... pamiętaj, że to gostką poprowadziła ETeH-a prosto na tę gromadę odłamków... zabiła się dla nas... spełniła swój obowiązek... Naprawdę lubię inspektora... pomimo wszystko bardzo go lubię... ale to nie znaczy, że zgadzam się z nim w każdej sprawie... to szaleństwo...

Jean uważa po prostu, że musimy na chwilę nacisnąć reset...

Nigdy do tego nie dojdzie!... życie nie działa w ten sposób... zabiorę tego tutaj ze sobą...

Swan...

Nawet nie próbuj mnie powstrzymać!... zrywa się... pięści uniesione jak do ciosu...

Zasha unosi ręce... Czeka... czekaj... nie mówię, że się nie zgadzam... po raz pierwszy może to właśnie ty masz rację... dlatego cię wezwałem... do dziś pomagałem tropić te qostkoidy... więc kiedy usłyszałem, że ten uciekł, ruszyłem na poszukiwania i zabrałem go tutaj... to było łatwe, są łatwowierne... ale potem wezwałem ciebie...

Mój Z... odlecimy o świcie...

Zasha potrząsa głową... Ty i twoje przybłędy... znowu to robisz... szlag... za każdym razem, gdy się tu pojawiaasz...

Hej, to ty mnie wezwałeś... chciałeś mojej pomocy... chciałeś, żebym to zrobiła... Tak, tak... wiedźma... wynocha stąd...

Początek dnia... dodatek do moich myśli... jeżeli ktoś spyta mnie jak... artysta, który mnie naszkicował takim... muszę powiedzieć...

Nadzieja to ptak... ptaki ciche przed początkiem dnia... są jeszcze ospałe...  
radosne na zwiastun światła... bryza wzbija fale na progu świtu...

Za Swan do samochodu... jazda do doku, gdzie czeka publiczny prom...  
wszystkie te twarze pełne życia... oczy spoglądające w głąb innego czasu... w  
przeszłość lub w przyszłość... albo w nadchodzący dzień... jak ja...

Przez szeroką rzekę na falach... powierzchnia wody pomarszczona mocno od  
wiatru... podniesiona od przypływów... pienia się na dziobie... łuk promu  
ślizga się po falach... rozbija je... połyka rozciętą wodę... mknie naprzód...

Manhattan z prawa na lewo na przedzie... klif zbudowany przez ludzi...  
promienie słońca jeszcze tu nie dotarły... długie cienie na rzece... powolne  
wpływanie do przystani... w gigantyczne imadło, które chwyta prom i  
utrzymuje go w miejscu...

Wyjście z innymi na molo... przejście między wysokimi budynkami... w  
dole kanały... długie, wąskie łodzie... 52 łodzie w zasięgu wzroku... 423  
ludzi... w cieniu poranka... pracowity dzień...

O czym myślisz?... pyta Swan... Idziesz? Dasz sobie radę?

41 łodzi w zasięgu wzroku... 364 ludzi... my... jesteśmy ptakami... to  
pozostaje...

Dam sobie radę...

Dobrze... Zatem idź...

pocałunek człowieka w usta... lekkie zderzenie zębów o zęby, skrzyżowanie  
spojrzeń... powrót do rzeczywistości jest jak wstrząs... spojrzenie w oczy...  
piwne tęczy... lewa znaczone na dole łukiem błękitu... Czyń dobrze...  
idź...

# WAHRAM

Ludzie dwojako pragną czasu. Chcemy przyspieszyć jego bieg na przykład przy terraformowaniu nowych światów, które darzymy miłością – sprawiedliwie pojawiającą się zawsze po dobrze wykonanym przedsięwzięciu. W innych natomiast momentach wolelibyśmy, żeby czas płynął wolniej: aby wydłużyć życie własne lub naszych bliskich. W obu przypadkach jest to pragnienie – więcej czasu, aby czegoś dokonać, więcej czasu na poznanie i doświadczenie.

Małżeństwo w wieku stu jedenastu lat to triumf doświadczenia nad nadzieją. Tyle się już przeżyło. Nadzieje dawno zmalały do koncentracji na sprawach codziennych. A doświadczenie nauczyło wszystkiego, co należy, więcej doświadczenia będzie tylko ponowną iteracją.

Ale nigdy całkowitą iteracją. Życie zawsze jest mniej lub bardziej pseudoiteracją. Każdy dzień ma swoje odmienności. Wykonywanie codziennie tych samych czynności w rytuale odczarowania czasu, zatrzymania chwili nie usunie tych różnic, lecz tylko je uwydatni. Zwierzęta, nasi bracia mniejsi, przypominają, że każdy przeżyty dzień to nie tylko przygoda, lecz i sukces. Nic się nie powtarza. Każdy oddech jest nowym haustem powietrza, kolejnym tchnieniem życia. Nadzieją na doświadczenie. Wystarczy to czuć i żyć.

Pogrążony w takich właśnie rozmyślaniach Fitz Wahram zasiadł o poranku w radzie Stosunków Międzyplanetarnych Tytana. Kiedy nadeszła jego kolej,

przedstawił pozostałym radnym swoją sprawę.

– Można by się spodziewać, że po tak długim czasie ziemskie stany- państwa nauczą się na własnych błędach i pojedną, zaczną się też starać, aby różnorodne więzi z osiedlami poza planetą stały się trwałe i zgodne, a dotychczasowe zamieszanie i spory zostaną zażegnane. Bynajmniej. Nic takiego nie zrobiono. Może potrzeba jeszcze paru dekad lub stuleci. Nikt nie wie, jak rozwinie się sytuacja na Ziemi. My tymczasem musimy jednak odbudować stosunki z naszym dawnym partnerem, Marsem. Jak wiemy, aktywność wokół Saturna zaczęła się od marsjańskiego poszukiwania azotu, które w dużym stopniu przyczyniło się do zasiedlenia tej części Układu Słonecznego. Oderwanie się od Marsa, w swoim czasie konieczne, nie musi, ani nawet nie powinno być permanentne. Jesteśmy wystarczająco silni, aby paktować z Marsjanami i nie pozwolić się zdominować. Nawiązanie stosunków będzie zresztą z naszej strony oznaką siły. Dlatego proponuję, żeby udać się na Marsa w celu omówienia warunków przywrócenia eksportu azotu z Tytana, na poziomie porównywalnym z tym, jaki był wcześniej, ale pod naszą kontrolą, krótko mówiąc – uczciwa umowa handlowa. Przyniesie to korzyści obu światom. Atmosfera Tytana nadal zawiera prawie dwa razy więcej azotu, niżbyśmy chcieli. Nie potrzebujemy tyle. Co oznacza, że potrzebny będzie wyspecjalizowany transport nadwyżki i to my podyktujemy warunki do jego wdrożenia. W zamian włączymy się w porozumienie trójstronne: azot z Tytana przekazany zostanie na Marsa, prace rekonstrukcyjne i wsparcie technologiczne od Marsa otrzyma Merkury, a stamtąd na Saturna eksportowane będą metale ciężkie i rzadkie ziemie. Merkury pomoże nam również w utrwaleniu importu światła z Wulkanoidów.

Pytania i wątpliwości interlokutorów. Dyskusja. Potem znowu przemowa Wahrama.

– Umocnienie stosunków trójstronnych byłoby dla nas bardzo przydatne.

Musimy trzymać się razem w obliczu recydywy imperializmu na Ziemi i tamtejszych konfliktów wewnętrznych, które grożą rozprzestrzenieniem się poza planetę i wciągnięciem w to nas wszystkich. A przecież możemy nawet pomóc i rozwiązać niektóre z zastarzałych problemów. Może to być kolejny krok po zazwierzęceniu, które już zaowocowało wieloma nadzwyczajnymi rezultatami.

– Na przykład? – padło wyzwanie.

– Liga Arktyczna stała się jedną z najszybciej rozwijających się i skłonnych do współpracy politycznych organizacji na Ziemi. Środkowe tereny Ameryki Północnej znowu się zaludniły, gdy na prerii pojawiły się bizona. Zyskało to ogromne uznanie. Lasy deszczowe Amazonii rozrosły się i zajęły ponownie swoją historyczną niszę, stały się rezerwatem, trochę jak w okresie przedkolumbijskim. Południowo-wschodnia oraz południowa Azja osiągnęły równowagę demograficzną i odtworzyły najwięcej dzikich terenów, co wpłynęło na tamtejsze lasy, wodę i stan klimatu. Oto wymierne oznaki polepszenia sytuacji po animalizacji.

– Za mało czasu minęło, żeby wyciągać takie wnioski. Inwazja zwierząt często opisywana jest jako ogromna porażka, fuszerka, która przyniosła mieszkańcom koszmarnie problemy.

– To niedobrze.

Przez chwilę dyskutowano o sytuacji na Ziemi. W końcu starszy referent z Saturnijskiej Rady Administracyjnej przypomniał, że na stole czeka do omówienia umowa o stosunkach trójstronnych z Marsem i Merkurym. Wahram przypomniał, że Mars znajdował się pod znaczącym wpływem humanoidalnych gości, które infiltrowały system władzy i dopiero niedawno złapano je i posłano na wygnanie. Marsjanie byli tak wdzięczni za pozbycie się gostkoidów, że znieśli banicję dla Jeana Genette'a i zaprosili sławnego teraz inspektora do domu, żeby mu podziękować za dobrze wykonaną pracę.

Założyć należy zatem, że po zajęciu wakatów w rządzie Mars będzie bardziej chętny do współpracy. Wielu radnych pokiwało głowami na tę dobrą wiadomość, po czym wszyscy przeszli do ustalania szczegółów: jakie ilości azotu mają być transportowane, w jakich terminach oraz z jakim zyskiem. Debatowano też, jakie ma być ostateczne ciśnienie atmosferyczne na Tytanie.

Wahram odczekał, dopóki większość zgromadzonych na sali znacznie odczuwać zniecierpliwienie tą kwestią, po czym zaproponował powrót do najważniejszych zagadnień. Warunki umowy trójstronnej zostały uzgodnione i posiedzenie zamknięto.

Pozostała tylko ostatnia kwestia: jak przekazać tę propozycję potencjalnym partnerom.

– Lecę na Merkurego – oznajmił Wahram. – Zamierzam oświadczyć się Swan Er Hong. Mam nadzieję, że zgodzi się wziąć ślub na zboczach Olimpu. Jeżeli tak, będziemy mieli wtedy okazję porozmawiać z właściwymi osobami na Marsie.

– Ach, świetnie – odpowiedzieli radni. Złożyli mu gratulacje. Niektórzy wydawali się zaskoczeni, inni kiwali głowami, jakby wiedzieli od dawna. To małżeństwo wiele ułatwi. Wahram i Swan stworzą coś w rodzaju wspólnego przedstawicielstwa Saturna i Merkurego.

– Właśnie – powiedział Wahram.



# SWAN

Swan opuściła Ziemię z poczuciem sporego zadowolenia z siebie, ponieważ pomogła pomocnikowi laboratoryjnemu rozejrzeć się po planecie; oraz z Zaszy, co liczyło się dla niej o wiele bardziej, niż się spodziewała. Wsiadła do windy orbitalnej w Quito i raz jeszcze obejrzała przedstawienie „*Satjagraha*” – teraz jednak najbardziej przeżyła spokój finału, wznoszące się tony oktawa po oktawie, jak mantra przy medytacjach, która unosi niemal dosłownie. Tańczyła też w ledwie wyczuwalnej grawitacji pod koniec podróży, co wywoływało niemal fizyczne doznanie eufrii, wzlotu na skrzydłach pieśni.

Podróż na Merkurego odbyła w terrarium *Henry David*. Był to świat klasycznej Nowej Anglii, z kilkoma małymi wioskami i łąkami otoczonymi lasem mieszanym. Panował tu październik i liście zaczynały żółknąć, można więc było napotkać drzewa o żółtej koronie albo pomarańczowej, czerwonej, ale też zielonej – kolory przeplatały się we wnętrzu walca i kiedy spojrzano się w górę, wydawało się, że zaraz zrozumie się ten niemy język barw. Swan wędrowała leśnymi ścieżkami, wspinała się na kolejne wzgórza. Pewnego dnia zebrała spadłe liście i ułożyła je na polanie w szeregu od czerwonych przez pomarańczowe i żółte po żółto-zielone. Odcienie gładko przechodziły w kolejne. Podziwiała ten szereg na ziemi, dopóki nie rozwiął go wiatr. Następnego dnia obserwowała czarną niedźwiedzicę i jej młode. Po południu zwierzęta znalazły opuszczony sad, w którym stare, powyginane jabłonie nadal

rodziły mnóstwo owoców, tak wiele, że niektóre gałęzie złamały się pod ciężarem. Niedźwiedzie zjadały jabłka tonami. Obok jednego z drzew znajdowała się niecka wypełniona deszczówką i niedźwiadek się w niej wykapał. Jego czarne futro lśniło potem, nastroszone i wilgotne.

Na Merkury Swan wróciła do swojego życia w Terminatorze. Wyszła na taras, zjadła śniadanie w chłodzie poranka, przeciągnęła się w słońcu, niepewnie złożyła ukłon Sol Invictus. Spoglądając na panoramę miasta, odnalazła znajome odtworzone widoki, ale też nowe drzewa i krzewy, które zdawały się większe z dnia na dzień, coraz bardziej wypełniające przestrzeń. Znalazła pocztówkę, którą Alex wysłała jej dawno temu, i przyczepiła ją nad zlewem w kuchni, gdzie Alex na piśmie co dnia głosiła:

Radość duszy mej – niespełnanej – jak blyskawica mknie!  
Nie wystarczy posiadać ten świat lub trochę czasu,  
Tysiące światów będę miał i cały czas<sup>[4]</sup>.

W mieście również panowała już jesień i rzędy japońskich klonów palmowych na tarasie dwa poziomy niżej zrobiły się jaskrawoczerwone. Na niebieskich dachówkach poniżej osiadł kurz.

Nowy program pogody chyba obejmował więcej wietrznych dni niż wcześniejszy, niekiedy wiało mocniej, niż Swan pamiętała. Ale to się jej podobało. Mocne, chłodne podmuchy odrywały ją od zajęć i zachęcały do spacerów po Terminatorze. Miasto wydawało się o wiele większe aniżeli to poprzednie – powiększono platformę, żeby było więcej miejsca na park i farmy. Na płaskich terenach pojawiły się nowe kanały, a nad nimi kładki. Były też ścieżki rowerowe, szerokie bulwary i esplanady. Jej miasto. To samo, lecz inne. Swan uświadomiła sobie, że można je przesunąć jeszcze bardziej w noc – za dekady i stulecia istniała teoretyczna możliwość rozbudowania torów w różnych kierunkach, aby zawsze sunęło na zachód po ciemnej stronie Merkurego.

Większość dni Swan spędzała na farmie. Pracowała nad stawem i mokradłem. Nowe rozlewisko nie rozwijało się szybko, pojawiła się również kwestia poziomu zasolenia oraz niewielkich pływów wodnych, których dodanie rozważano. W sprzeczkach, tak naprawdę. Do tego Swan nadal próbowała zrozumieć, dlaczego mały gibraltarskie nie lubią jaskiń, które przygotowano dla nich w skierowanej na zachód ścianie klifu niewielkiego wzgórza. Mały były wspaniałe i zwykle nie miały problemów, przynajmniej nie takich jak ludzie. Ale tutaj trzymały się równiny pod grotami i ani myślały o przenosinach. Swan podejrzewała, że będzie musiała chyba wspiąć się tam i sprawdzić, o co chodzi.

---

[4] Walt Whitman, *Żdźbła trawy*, wiersz 169 – przekład własny.

---

• •

Obserwując mały, Swan rozmyślała o swoim życiu. Miała już sto trzydzieści siedem lat. Ciało, które to czuło – nie przetrwa wiecznie, może nawet nie wytrzymać długo. Jednak medycyna ciągle wymyślała coś nowego w stosunku do tego, co stosowano parę lat wcześniej, i nieustannie pracowano nad nowymi kuracjami. Mqaret miał prawie dwieście lat. A to już coś.

Swan miała niewielu bliskich znajomych, teraz może już nawet nie tak bliskich. Za to posiadała wszystko, czego potrzebowała, wiodła dobre życie. Jej dziecko, które przeżyło, opuściło Merkurego, żyło na swój sposób i niewiele więcej można było powiedzieć. Od czasu do czasu się kontaktowało. Bez problemów. Swan była bliżej z innymi ludźmi, ale to wydawało się w porządku. Jej młody przyjaciel, Kiran, pozostał na Wenus, nalegał na to i wrócił w środek zamieszania. Regularnie przysyłał Swan relacje z tego, co się dzieje. To wydawało się silniejszym związkiem niż wiele innych, które miała, a zanosilo się na więcej bez wątplenia podobnych. Ludzie chyba często wciągali Swan do swojego życia. Zespół z farmy był blisko. Lubiała swoją

pracę, lubiła zabawę, lubiła swoją sztukę, zabawę, która była pracą. I czymś więcej. Doprawdy pozostawały tylko pytania dość filozoficzne. Jak żyć?

O co się troszczyć? Jak przestać być tak bardzo samotną? Ponieważ teraz, po śmierci Alex, chociaż Swan rozmawiała z wieloma ludźmi, brakowało jej kogoś, komu mogłaby mówić wszystko, jak Alex.

Tęsknię za tobą, Hettie Moore,

Ale nikogo nie ma, aby powiedział już –

Ciemność zapadła, nie widzę świata...

Podśpiewywała sobie starą balladę przy pracy na farmie i zastanawiała się, co powinna zrobić, żeby było dobrze. Może nic. Śmierć odcinała z życia coraz więcej. Części obumierały, nim odejdzie całość. Jak wtedy, gdy człowiekowi umierają bliscy – wtedy i on częściowo umiera. Niektórzy odchodzący byli jak pewien gatunek jałowca, który wyrasta na zwalonym martwym pniu. Nie można tego powstrzymać.

Jedyne szczęście to cnota. Nie, to nieprawda. Każda część trójdzielnego mózgu ma swoje własne szczęście. Jaszczurka w słońcu, ssak na polowaniu, człowiek czyniący dobro. Czyli coś dobrego dla ziemi. Dla krajobrazu – miejsca dla ludzi, w którym będą mogli żyć przez nadchodzące stulecia. Dopiero wtedy jest się potrójnie szczęśliwym. I na pewno to powinno wystarczyć.

Lecz wtedy pojawia się pragnienie, aby się dzielić. Aby znalazł się ktoś, z kim można by wspólnie odczuwać zadowolenie. Alex byłaby szczęśliwa wraz ze Swan.

Widziała podróżujących izolacjonistów, samotnych starych przestrzeniowców, którzy w świecie szukali własnych dróg i w żaden sposób nie przyłączali się do innych ludzi. Swan również do nich należała, spędziła tak połowę swojego życia. Czy oni wszyscy polowali? Pamiętała, co ludzie mówili: chcę kogoś poznać. Przez „poznać kogoś” rozumieli „poznać towarzysza”. Partnera. „Poznać” stanowiło tryb życzeniowy czasownika

„związać się”, tryb łączący wyrażający pragnienie. I gdyby się rozejrzeć, można to było zauważyć: wszystko sprowadzało się do dobierania w pary. Był to czas przyszły warunkowy – dobrać się z kimś, a zatem go poznać. Atawistyczne podejście, jakby ludzie byli łabędziami czy innymi stworzeniami z genetycznie zaprogramowanym doborem w pary.

– Swan to nie łabędź – oznajmiła swoim zaskoczonym współpracownikom z parku.

Ale czy na pewno?

– Chcę kogoś spotkać – powiedziała potem eksperymentalnie Mqaretowi. Mqaret tylko się roześmiał.

– Lubisz go! Tego Wahrama z Saturna. Może więc chciałaś powiedzieć, że to ja mam kogoś poznać.

Swan wbiła w niego wzrok. Nadal nie w pełni dotarło do niej, że może być kochana. Albo nawet kochać.

– Ale jego akurat już poznałam. Parę lat temu!

– To nawet lepiej – odparł Mqaret. – Znasz go. Prawdę mówiąc, musiałaś z nim spędzić sporo czasu. Co się stało w tunelu naprawczym? Bo przecież coś się stało, prawda?

– Głównie razem gwizdaliśmy – westchnęła Swan. – Ale tak. Coś się stało.

– Może na tym właśnie polega małżeństwo. Na wspólnym gwizdaniu. Na pewnego rodzaju przedstawieniu. Nie tylko na porozumieniu, ale też na wspólnym działaniu. – Małżeństwo – powtórzyła Swan z namysłem. Dla niej był to pomysł ze średniowiecza, ze starej Ziemi. Pomysł zalatujący mocno patriarchatem i własnością. Bez przestrzeni, bez długowieczności. Życie dzieli się na epoki, każdy etap historii trwa przez kilka lat, a potem okoliczności się zmieniają i zaczyna się nowe życie z nowymi znajomymi. Tego nie można zmienić, gdy się radośnie kręci na karuzeli, dlatego zdeformowanie własnego życia w próbie stworzenia związku, który będzie trwał dłużej niż naturalne

etapy – koleje losu, niosło ryzyko, że na koniec wszystko się rozsypie i zatruje przeszłość, pozostawiwszy gorycz rany i poczucie kłamstwa, choć tak naprawdę powinno to być tylko przejście w jednej z krótkich, śmiertelnie zmiennych epok. Bo o to właśnie chodzi.

A przynajmniej tak się wydawało Swan i wielu jej znajomym. W jej czasie i kulturze była to typowa struktura uczuć. Przestrzeniowcy należeli do ludzi wolnych, w końcu wolnych i w końcu ludzi. Wszyscy to czuli i wspierali się w tym poczuciu, a Swan wierzyła w to i zawsze uważała za słuszne. Ale struktury uczuć wynikają z kultury i historii, zmieniają się z czasem podobnie jak ludzie – odradzają się nieustannie. Zatem jeżeli kultury zmieniają się z czasem, a jednostki żyją w trakcie tych kulturowych przemian, czy to nie znaczy, że jednostki też się zmieniają wraz z kulturami? Czy potrafią? I czy Swan potrafi?

Czy jednak małżeństwo nie stanowiło obietnicy pewnej stałości?

Brodziła w mokradłach i rozmyślała. Jednego dnia żaba ubarwiona podobnie do skały przypadkowo skoczyła jej na rękę i zamarła tam, patrząc czujnie i z ciekawością, lecz w gotowości do kolejnego skoku.

– Przepraszam – powiedziała Swan do żaby. – Nie zauważyłam cię.

A jednak teraz, choć Swan już ją zauważyła, żaba nadal siedziała, lśniąca bardziej niż gładka skała, oddychająca i żywa.

Wybrała się na spacer. Skierowała na północ od równoleżnika, po którym poruszał się Terminator, na albedo Kuipera. W poszarpanym światłocieniu terminatora ukośne promienie słońca łamały się na wzniesieniach powierzchni i płonęły tak mocno, że teren w cieniu wydawał się ciemniejszy od materii. Krajobraz rozbity na odłamki czerni i bieli – oczy Swan ledwie mogły złożyć tę mozaikę w obraz. Tak jak czasami lubiła. Jej schizofreniczna życiowa przestrzeń.

Popadła w rutynę słońcołaza, orientując się według zapamiętanych map.

Wiedziała, gdy na oślep pała na zachód, że wkrótce dotrze do północnego wzniesienia Mahlera, minie ballardowskie wypalone pasy startowe promów i znajdzie się na szczycie skarpy powstałej po małym pęknięciu, bardzo starym – spadek do równiny położonej poniżej miał prawie dwa tysiące metrów. Na szczęście w skarpie było mnóstwo wykrotów, które doskonale pełniły rolę schodów. Swan już tędy szła. Jak wielu innych. Słońcołazi często używali tego szlaku – dlatego od lat nie było tu pyłu ani żwiru. Ścieżka wystających czystych głazów prowadziła na równinę w dole. Swan zawsze miała poczucie, że horyzont na Merkurym znajduje się w idealnej odległości – nie za blisko, więc nie wydawało się, że można doń sięgnąć i dotknąć, ale i nie tak daleko, żeby nie można było tam dojść i zbadać.

W oddali dostrzegła grupę słońcołazów cierpliwie prących na zachód. Srebrzyste figurki przypominające Swan inspektora Genette'a znikwały za widnokretem. Będą tak szły przez chwilę, a potem położą się do snu na saniach lub włókach, które pociągną ich towarzysze. Wspólna wędrówka, ciągnięcie śpiących za sobą – i jakże piękne okazanie zaufania i troski, gdy tak lekko powierza się życie obcym – na tym polega merkuriańska egzystencja. I przez długi czas to wystarczało Swan. Towarzystwo słońcołazów. I miasto.

Zeszła do stóp skarpy i ruszyła przez żwirowatą równinę. Ścieżka tutaj zniknęła, ponieważ każda droga była dobra. Tutaj Swan mogła pobiec w noc, oddalić się od świtu, stanąć na Yes Tor i patrzeć, jak szczyty najwyższych wzniesień rozpalają się niczym świece, po czym zaczynają płonąć całe. Wieczna wędrówka o świcie – ach, pobożne życzenia! A spacer w południe lub o zmierzchu? Trzeba zostawić świt, uciec w noc. Odwlekać dzień – kto wie, co by przyniósł. Swan nie miała pomysłu, nie miała pojęcia.

Biegła długo, nie myśląc o niczym poza głazami pod nogami i rzeźbą terenu. Nic więcej nie było potrzebne. Ludzie mogli wyrwać z Merkurego wnętrzości, wydobyć wszystkie wartościowe minerały, a powierzchnia i tak

nie zmieni się ani o jotę. Spieczona powłoka świata. Pobrużdżone oblicze starego przyjaciela. Wszędzie skały, rozrzucone odłamki, głazy, żwir, rumowiska, sterty, ejektamenty. Warstwa pyłu. Milczenie jest złotem, ale przyjaciele rozmawiają.

Chcę rozmawiać z kimś. Chcę, żeby to było dla mnie ważne. Chcę słyszeć to, co mnie interesuje, zaskakuje, niezależnie od tego, jak trudno mnie zaskoczyć. Chociaż szczerze mówiąc, przecież tak łatwo mnie zaskoczyć. Jak to jest, że nie ma tu nikogo, kto mógłby zaskoczyć kogoś tak łatwo dającego się zaskoczyć?

Saturnijczyk. A gdyby była osoba, na której można polegać, ktoś stały i pewny, wiarygodny, przewidywalny, stanowczy, zdolny do podejmowania decyzji po namyśle, hojny, życzliwy. Flegmatyczny, ale zdolny do wybuchów entuzjazmu, zwykle pod wpływem estetycznych przeżyć. Szczęśliwy w obliczu zagrożenia, trochę upojony niebezpieczeństwem. Ktoś zdolny do pokochania krajobrazu. Ktoś, kto lubił obserwować zwierzęta i tropić je tylko w tym celu. Ktoś, kto patrzył na Swan, jakby zrozumienie jej było interesującym przedsięwzięciem, a nie problemem, który trzeba rozwiązać, albo nieznaczną częścią większego i o wiele ważniejszego dramatu. Ktoś, kto każdego traktował w ten sam sposób. Często z lekkim uśmiechem, który, jak się wydawało, wyrażał przyjemność z towarzystwa. Z rezerwą, lecz przyjaźnie.

Gdyby scharakteryzować wszystkich swoich znajomych tylko słowami, wydawać by się mogło, że ludzie to zestaw sprzeczności, paradoksów, oksymoronów. Dla każdej cechy istniało jej zrównoważenie. Ludzie są i tacy, i tacy. U kogoś takiego jak Wahram lekki uśmiech zaczynał wyglądać jak wybuch nieopanowanej wesołości.

Swan dotarła do swojego najbardziej sławnego dzieła w stylu Goldsworthy ego, z czasów, gdy eksperymentowała z kompozycjami zwojów z ołowiu i innych metali, które roztopią się w upale dnia. Na zboczu wycięła rowki i



przez okres obrotu po słonecznej stronie spirale łożu, miedzi lub aluminium roztopiały się i spływały kanalikami, formując obrazy lub napisy, zawsze ustawione tak, że wydawały się pionowe, gdy się na nie patrzyło ze szczytu najbliższego klifu. Na potrzeby tego dzieła Swan wyrzeźbiła dwa zestawy liter, nakładające się na siebie i przecinające wzajemnie, z otwarciem na jedno słowo lub inne równie odpowiednie. Kiedy metalowe zwoje roztopiały się w słońcu, napierały na bramki, dopóki jedna nie puściła. W zależności od tego, co stanie się na wejściu, metal w tej instalacji wypełniał albo słowo *live*, albo *die* – żyj lub umrzyj. Był to ostatni z serii antonimów, jakie Swan umieściła w krajobrazie. Podobnie jak siedem cnót i siedem grzechów głównych, i tutaj te dwa słowa przez lata zmagaly się ze sobą w upalnym słońcu jak Jakub z Bogiem. Jak dotąd bez werdyktu, proces wydawał się losowy. Ale w tej jednej instalacji obie bramki zerwały się równocześnie, a płynnego metalu nie wystarczyło, aby wypełnić wszystkie kanaliki, więc tylko niektóre litery zostały zalane, w wyniku czego powstał jasny napis z mieszaniny srebra i miedzi: *lie* – kłam.

Swan przystanęła, aby mu się przyjrzeć z półki widokowej. Nawet wtedy, gdy widziała to po raz pierwszy, uderzyła ją prawdziwość przekazu, a teraz wydawało się, że to niemal rozkaz. Nadal można było dostrzec puste rowki po dwóch nakładających się słowach, niewypełnione metalem litery *D* i *V*. Z pewnością jednak wyraz *lie*, kłam, dominował metalicznym lśnieniem w ciemnym krajobrazie. Bardzo odpowiedni rozkaz, w rzeczy samej.

Ludzie twierdzili, że Swan to zaaranżowała, że zrobiła to celowo, ale wcale tak nie było. Bramki-zawory były równoważne, przerwały się w tej samej chwili przypadkowo, a pierwsza fala roztopionych metali zalała niektóre litery – *parenkliza* i *tyle*. Ale w pewnym sensie przekaz wyrażał prawdę. U ludzi nie chodziło o życie lub śmierć, lecz o obie te kwestie jednocześnie – a to było fałszem, czyli kłamstwem. Kłamstwo to kłamstwo. I *tyle*.

Potem Swan ruszyła na południe, aby zdążyć na peron, zanim miasto zajaśnieje na horyzoncie. Gdy wspięła się na niską krawędź starożytnego krateru Kenkó, dostrzegła w dolinie lśniące tory Terminatora.

■ ■

Z południowej krawędzi Kenkó Swan dostrzegła nie tylko tory, ale i samotną postać zmierzającą po zboczu. Przybysz szedł w stronę Swan. Wysoki, mocny. Na pierwszy rzut oka rozpoznała ten krok – znała go bardzo dobrze!

Włączyła wspólne pasmo w komunikatorze.

– Wahram?

– Oto ja, ścigam cię.

– 1 dopadłeś.

– Tak. Zamierzasz wrócić niedługo do miasta? Pytam, bo nie zabrałem nic do jedzenia.

– Tak, właśnie wracam. Kiedy przyleciałeś?

– Wczoraj. Rozglądam się od paru godzin. Miasto zaraz tu będzie.

– Świetnie. Chodźmy je złapać.

Zeszła po stoku i uściśnęła mocno Tytana. Pomimo że byli w skafandrach, Swan pamiętała jego ciało, mocne i pełne, większe niż jej.

– Dziękuję, że po mnie wyszedłeś.

– Och, wierz mi, cała przyjemność po mojej stronie. Przyleciałem do ciebie prosto z Tytana.

– Tak przypuszczałam. Jak twoja nowa noga?

Machnął ręką w dół.

– Stawiam ją i okazuje się, że nie jest tam, gdzie mi się wydawało. Zdaje się, że sygnały fantomowe ze starej nogi nadal do mnie przemawiają i mieszają mi w głowie.

– To zupełnie jak z moją głową! – rzuciła Swan bezmyślnie, po czym roześmiała się boleśnie. – Za każdym razem, gdy wyhoduję sobie nową, nie ma jej tam, gdzie mi się wydawało.

Wahram przyjrzał jej się z uśmiechem.

– Mówiono mi, że do tego można się łatwo przyzwyczaić.

– Hm...

– A skoro już jesteśmy przy nowych nabytkach, chciałbym zapytać, czy myślałaś o tym, co ci powiedziałem, gdy byliśmy na Marsie. I potem na Wenus.

– Owszem.

– I?

– No... Nie wiem.

Wahram zmarszczył brwi.

– Rozmawiałaś o tym z Pauline?

– No chyba.

Tak naprawdę nawet jej to nie wpadło do głowy.

Wahram popatrzył przenikliwie. Słońce mogło ich zaraz osiągnąć.

– Pauline – odezwał się – wyjdiesz za mnie?

– Tak – odpowiedziała Pauline.

– Hej, chwileczkę! – zawołała Swan. – To ja powinnam powiedzieć „tak”!

– Myślałem, że właśnie powiedziałaś – stwierdził Wahram.

– Nie, wcale nie! Pauline i ja stanowimy oddzielne byty. To dlatego trzymałaś mnie z dala od swoich spotkań, prawda?

– Tylko dlatego, że ty i Pauline jesteście jednością. Dlatego nie można było cię dopuścić, nie dopuszczając zarazem Pauline. Nie ja pierwszy to zauważyłem, to przecież ty ją zaprogramowałaś i nadal to robisz, przez co Pauline jest w dużym stopniu twoją projekcją... – Wcale nie!

– ...albo, czy ja wiem, może lepiej określić ją jako jedno z twoich dzieł

sztuki. Często to bardzo osobiste prace.

– Moje sterty kamieni są osobiste?

– Tak. Nie tak osobiste jak siedzenie nago na bloku lodu przez tydzień i picie własnej krwi, ale i tak bardzo osobiste.

– No ale Pauline to nie dzieło sztuki.

– Czy ja wiem? Może jest jak lalka brzuchomówcy. Czy to nie dzieło sztuki? Przynajmniej niektóre z nich. Dlatego jestem skłonny za takie dzieło uznać Pauline.

– Ani się waż!

Ale Wahram, rzecz jasna, się odważył. Potem Swan zrozumiała, że to było ważne – jego wiara w Pauline. Ruszyła na peron, a Tytan podążył za nią.

– Dziękuję, Pauline – powiedział po chwili.

– Nie ma za co – odpowiedziała gostka.

## WYCINKI (18)

...utworzyć zdanie to zwinąć wiele nakładających się funkcji falowych do uniwersum jednej myśli. Mnożąc utracone wszechświaty słowo po słowie, możemy powiedzieć, że każde zdanie wymazuje 10<sup>10</sup> wszechświatów, gdzie n to liczba wyrazów w zdaniu. Każda myśl skupia tryliony potencjalnych myśli. Zatem otrzymujemy werbalny cień tam, gdzie język, którego używamy, strukturalizuje rzeczywistość, w jakiej przebywamy. Może to błogosławieństwo. Może dlatego musimy ciągle tworzyć zdania...

...teksty pisane są dla ludzi, którzy później mają je przeczytać. To rodzaj kapsuły czasu, przekaz dla potomnych. Czytając, spogląda się w dawne czasy, kiedy panował tumult i nieporządek, w który aż trudno uwierzyć. Może jesteś po drugiej stronie wielkiego rozłamu, żyjesz nieopisanie długo i zdobywasz gwiazdy. Zupełnie inaczej niż my, tułający się po naszym małym Układzie Słonecznym niczym bakterie wypełniające kałużę po deszczu. Ta kałuża to wszystko, co mamy. W niej niektórzy zerkają na drzwi do tajemnic życia, a niektórzy tylko dryfują ku skrawkom brudu, szukając dość jedzenia, aby przeżyć. Wiesz tyle samo co ja – co my, żywi, mówimy sobie w takiej sytuacji? O wiele łatwiej jest mówić do ciebie, przyszły, nienarodzony jeszcze czytelniku. Może twoje życie liczy się w stuleciach, a ten tekst stanowi zaledwie maleńki element twojej edukacji, krótką opowieść o tym, jak było, migawkę wiedzy, jak twój świat stał się taki, jakim go znasz. Autor tej

książki jednak pozostaje w swoim okresie, pod koniec Bałkanizacji, z desperacką nadzieją na początek czegoś nowego. To bardzo ograniczona perspektywa...

Kto decyduje, kiedy należy działać?

Nikt. Chwila nadchodzi.

Nie. My decydujemy. A jak to robimy? – interesujące pytanie. Ale nawet jeżeli nie znamy na nie odpowiedzi, decydujemy...

...choćby wydarzenia tuż przed rokiem 2312 i zaraz po nim były istotne i zwiastowały zmiany, uśpione w owym czasie, nic jeszcze nie zostało wtedy przesądzone, nie istniał próg, po którego przejściu można by powiedzieć: „Oto nowy okres w dziejach, nowa epoka”. Ciąg zdarzeń był zagmatwany i skomplikowany, musiały minąć dziesiątki lat, aby pojawiły się wyniki. To, że Mondragon zjednoczy większość Ziemi, że Mars powróci z wywołanej przez qostki izolacji i przyłączy się do Mondragonu – nic z tego wówczas nie było dla nas oczywiste, wszystko mogło się potoczyć zupełnie innym torem i...

...oczywiście rozbieżności między jednostkowym i planetarnym czasem nigdy nie uda się wyrównać. „To, co zostało podkreślone, jest nie tyle unifikacją tych odmiennych temporalistów, lecz raczej ich uzupełnianiem i zrównywaniem”. To uzupełnianie i wyrównywanie tworzy poczucie w danym czasie. „Z tych pomieszanych nałożen różnego rodzaju modeli temporalnych wyłania się rzeczywiście Historia” – jako dzieło sztuki, niczym każde inne dzieło sztuki, ale wykonane przez wszystkich razem. I to się nie kończy. Pojawiają się zdarzenia, wypadki, osiągnięcia; wygrane i porażki, pyrusowe zwycięstwa, odwroty – a wśród nich mogą się zdarzyć te, które mogą być kluczowe. Tok działań nie zakończył się w jednym roku, jak choćby w roku 2312, lecz raczej kilka dekad później, jeżeli w ogóle...

...to, co widzimy, gdy rozważamy sformowanie trójporozumienia między

Marsem, Saturnem i Merkurem albo interwencję Przymierza Mondragonu na zbałkanizowanej Ziemi, czy też powrót Marsa do Mondragonu, stanowi niepewne interregnum, przesunięcie na wielkiej wirującej karuzeli, gdy obciążenia się zmieniają i zaczyna coś nowego, a drzenie latami wstrząsa całym Układem, zanim nareszcie wpadnie w nowy, ustabilizowany ruch obrotowy...

...na Wenus reakcje na plan wprowadzenia planety w ruch wirowy wywołały długą i ciężką wojnę domową, niemal niedostrzegalną dla reszty Układu Słonecznego, toczoną na noże i rozprężanie powietrza i zakończoną w drugiej połowie dwudziestego czwartego wieku tylko dzięki referendum, w którym cała populacja planety zdecydowanie opowiedziała się za bombardowaniem strefy równika i rozpoczęciem spektakularnie niszczycielskiego dzieła tworzenia stugodzinnego wenusjańskiego dnia...

...tak zwana niewidzialna rewolucja na Ziemi doprowadziła do odtworzenia jej krajobrazu, zarówno fizycznego, jak i politycznego. Wszystko to nastąpiło po reanimacji. W tym samym okresie integracja qostek i ludzi stała się kolejną niewidzialną rewolucją, a walka ta szarpała umysły każdego – inżyniera, filozofa lub qostki – kto mierzył się z tym problemem...

...na Marsie stało się jasne, że niewielka grupa urzędników rządowych uległa infiltracji i wpływowi upodobnionych do ludzi qostek. Qostki te zostały ujęte i wysłane na wygnanie. Po tych wydarzeniach ponownie rozpatrzono ich działania, co sprawiło zmianę nastawienia władz marsjańskich na bardziej demokratyczne stanowisko, jak opisano wcześniej, oraz powrót Marsa do Przymierza Mondragonu...

...gdy większość mieszkańców Kallisto, Ganimesesa, Europy, Trytona, a nawet Księżyca zadeklarowała pragnienie, aby w pełni terraformować ich światy, wszystkie surowce lotne, szczególnie azot, podrożały; inflacja objęła szybko cały Układ Słoneczny, a pod koniec dwudziestego czwartego wieku

Liga Satuma zgromadziła fortunę...

...mnóstwo nieujawnionych wydarzeń sprawia, że historia tamtego okresu jest trudna do opisania. I wszystkie te wydarzenia wracają pomimo silnego oporu czasu, materii i przez ludzką kłębność – strach i desperacja w rzeczy samej sprawiają, że wymyślane są protezy, które w jakiś sposób trzymają świat w całości. Dlatego zawsze i niezmiennie istnieje ryzyko całkowitej porażki lub zagłady, o której mamrocze się obsesyjnie. Nie ma wyboru, nie można ciągle walczyć...



# EPILOG

Na powierzchnię Marsa dotrzeć można było windą orbitalną W kraterze Pavonis Mons. W dole rozciągał się czysty widok na zbliżającą się Czerwoną Planetę. Trzy sąsiednie wulkany w regionie Tharsis stały w szeregu, jak kurhany usypane przez jakieś czerwonoskóre plemię. Na zachodzie Góra Olimp wznosiła się jak okrągła samotna wyspa, jej łukowate wybrzeże znaczył dziesięciokilometrowy klif, który z tej odległości wyglądał jak poszarpana linia otaczająca podstawę tego wielkiego wulkanu. Resztę powierzchni przedzielały ogromne wielokąty – sławne kanały, stworzone już podczas pierwszych dni terraformowania. Zastosowano zwierciadła orbitalne, do których powstania wykorzystano analizę skupień i ulepszone algorytmy hierarchiczne. Soczewki skupiały światło słoneczne jak szkło powiększające, a w wysokiej temperaturze promienia skały topiły się i parowały. Całkiem sporo Marsa trzeba było wypalić, aby uzyskać wymaganą atmosferę i ciepło, dlatego uznano, że można przy tym wykorzystać jako inspirację mapy Lowella z końca dziewiętnastego wieku, żeby wykonać prawidłowo platerowanie Marsa. A skoro posunięto się tak daleko, wykorzystano również nazewnictwo dla kanałów zaczerpnięte z podań Greków, Żydów, Egipcjan i innych starożytnych ludów, więc teraz lądowało się w miejscach noszących takie nazwy, jak: Nodus Gordii, Phaethontis, Ikaria, Tractus Albus, Nilokeras, Phoenicis Lacus. Pasma zieleni przecinające czerwoną ziemię miały po sto

kilometrów szerokości, lecz w kanałach, przez które biegły, wyglądały zaledwie jak nici. Czasami ciągnęły się parami przez marsjańską pustynię. Splatały się w zgrubne sześciokąty, których wierzchołkami były bujne oazy z eleganckimi miastami skupionymi wokół akweduktów i zbiorników, stawów i fontann. Dziewiętnastowieczna fantazja została urzeczywistniona, stała się podstawą marsjańskiego krajobrazu. Niektórzy uważali, że to w złym guście. Ale wtedy, na początku, panował pośpiech i tylko tym dysponowano.

• •

Z dworca na północ od stoku Góry Olimp goście weselni wyszli na otwartą przestrzeń, zupełnie jak na Ziemi. Był wczesny poranek, chłodny i wietrzny. Niebo kolorem przypominało to z obrazów Maxfielda Parrisha, nad splątanymi krzewami wznosiły się dęby, strzeliste sekwoje i eukaliptusy. Równinę w dole przecinał kanał, wzdłuż jednego z brzegów rosły cyprysy. Gdy patrzyło się przez nie, wydawało się, że poziom wody znajduje się nieco nad ziemią. Na groblach ciągnęły się szerokie i wysokie bulwary, pełne zieleni i budynków oraz ludzi. Niekiedy tuż nad wodą widać było, że wały usypane zostały z czarnego szkła.

Weselnicy przejechali jedną z takich grobli tramwajem, aby dotrzeć do Góry Olimp. Przemknęli szeroką drogą wśród zielonych pól. Przy tych łąkach stały domy ze ścianami często ozdobionymi freskami, przez co stylem przypominały art deco. Podróżni podziwiali białe plaże pod palmami, a także jedność stylu z motywami sześciokąta przywodzącymi skojarzenia z ulem. Piękny zielony kraj. Tramwaj wiózł ludzi od oazy do oazy, raz w słońcu, raz w cieniu długich szeregów drzew cyprysowych, które rosły przy torach. Ogrody na pustyni. Połączenie ultraziemskiego krajobrazu z grawitacją niską jak na Merkury sprawiło, że otoczenie wydawało się krainą snu. Merkury nigdy nie będzie tak wyglądał. Nigdzie indziej nie znajdzie się takich

widoków.

Inspektor Genette stał na siedzeniu i bacznie patrzył w okno.

– Mieszkałem tu kiedyś. – Wskazał na mijane szybko miasteczko. – Zdaje się, że w tamtym domu.

Tramwaj zatrzymał się na przystanku w Hougerii, skąd goście mieli się przesiąść na pociąg magnetyczny docierający na północne zbocze Olimpu. Ponieważ mieli trochę czasu do odjazdu, wybrali się na spacer po centrum miasta. Tutaj wszystkie kanały były zamrożone i wielu mieszkańców wybrało się na łyżwy – ślizgali się po lodzie z rękoma na plecach. Dzień był słoneczny, lecz chłodny.

Swan narzekła, że wybierają się na zbocze wielkiego wulkanu.

– Po co przylatywać na Marsa, jeżeli zaraz wychodzi się nad atmosferę i trzeba pozostać pod osłoną? Tam wysoko jest tak samo jak wszędzie.

Jej towarzysze uznali pytanie za retoryczne. Przecież Swan nie mogła zapomnieć, że wybierali się na wesele.

Wahram przysłonił oczy i spojrzął na południe, na wielki wulkan. Znajdowali się w pobliżu jedyne miejsca na obwodzie Olimpu, gdzie nie wznosiła się ogromna skarpa, prawie dziesięciokilometrowej wysokości klif, który otaczał niemal cały krater. Tędy jednak, gdy wulkan był aktywny, wylewała się i spływała lava, po czym staczała się z dziesięciokilometrowego urwiska. Wahram próbował sobie to wyobrazić – dziesięć tysięcy metrów swobodnego spadku, gdzie płynna magma ochładzała się i zmieniała barwę z ognistej czerwieni przez oranż po czerni, a w dole gromadziła się i wznosiła coraz wyżej, aż wreszcie dosięgła szczytu skarpy, a kolejne fale lawy mogły spływać swobodnie na północny-wschód, tworząc szeroki, łagodny stok ciągnący się od szczytu krateru przez równinę u jego stóp. Historię ziemi pod stopami Wahrama znać było ogień. – Potem możemy wybrać się w doliny – powiedział Tytan. – Innymi słowy: spędzić miesiąc miodowy na plaży.

– Świetnie. Chcę popływać w morzu Hellas.

– Ja również.

Gdy nadszedł czas, goście weselni wsiedli do hermetycznego wagonu, podobnie jak wielu innych ludzi zaproszonych na inne śluby, po czym pociąg ruszył po zboczu na wierzchołek Góry Olimp. Była to długa podróż, która trwała od marsjańskiego czerwonego zachodu słońca po wieczorne przyjęcie i niespokojną noc. O świcie pociąg dotarł do stacji na południowo-wschodnim zboczu przy szerokiej krawędzi wulkanu. Tam niewielki krater pometeorytowy pod przezroczystą powłoką namiotu tworzył tradycyjne miejsce marsjańskich ceremonii. Przybyli o pierwszym poranku epitalamium.

Od środka namiot był prawie niewidoczny – o wiele mniej dostrzegalny niż kopuła Terminatora. Ludziom wydawało się, że stoją na otwartej przestrzeni, w ciepłym, aromatycznym powietrzu. Czarne, gwiazdziste sklepienie nieba zmieniało się w niebieskie tylko tuż nad horyzontem – atmosfera znajdowała się poniżej miejsca, gdzie stali. Udało się dostrzec ją tu i tam, na rozmytej granicy między błękitem a czernią nieba. Góra Olimp była tak wielka, że odległy horyzont na południu i wschodzie stanowił jej część – nie dostrzegano się wulkanów na Tharsis na wschodnim widnokręgu ani powierzchni planety poniżej skarpy krateru. Widać było jedynie nagą czerwoną ziemię, taką, jaka była na początku. Tylko niebieska otoczka powietrza na horyzoncie zdradzała, co ludzie zrobili na tym świecie.

Teren pod osłoną namiotu był lekko pochyły, dlatego dla uzyskania płaskiej powierzchni stworzono terasy, przypominające te na wzgórzach Azji: setki płaskich pasów przecinających poziomo zbocze, których ściany krzywizną przypominały linie na mapach. Szerokie, niskie schody przecinały terasy w trzech miejscach i niektórzy goście przyznali, że przypomina im to Wielkie Schody w Terminatorze, jednak tutaj stopnie rozciągały się na cztery lub pięć kilometrów wzdłuż i co najmniej trzysta metrów wszcz – trudno było

określić dokładnie ze względu na ogrom otaczającej namiot Góry Olimp.

Epitalamium stanowiło weselną uroczystość nie tylko dla mieszkańców Marsa, ale dla przybyszy z całego Układu. W miejscu ceremonii panował ruch i harmider pomieszanych głosów, po schodach wchodziło lub schodziło setki par i ich gości, kierując się na zarezerwowane terasy. Stopnie ozdobiono z tej okazji kwiatami – nie dało się uniknąć deptania barwnych płatków zaścielających kwarcytowe bloki.

Wahram i Swan wraz z orszakami skierowali się na terasę numer 312. Gdy narzeczona zobaczyła, że miejsce również udekorowano kwiatami, aby przypominało trochę Wielkie Schody Terminatora w ślimakowatej architekturze Japeta, uśmiechnęła się i ucisnęła przyszłego męża. Oboje uśmiechali się do wiwatujących na ich cześć gości i przyjaciół. Wahram nosił satumijską czerń, która upodabniała go do groźnego rzymskiego cesarza albo do... owszem, gigantycznego płaza. Pan Ropuch na początku szalonej podróży. Swan ubrana była w czerwoną suknię – wyglądała, jakby stała w płomiennej róży. Ani na chwilę nie puściła ręki Wahrama, gdy wspinali się po schodach na podwyższenie, gdzie miał odbyć się ślub.

Z terasy poniżej dobiegały urywki gamelanu, ale wszechobecna muzyka stanowiła element święta. Zaślubiny Wahrama i Swan miały się odbyć przy akompaniamencie narastającego finału Drugiej symfonii Brahmsa – wybór Wahrama, ale zaaprobowany przez Swan. Zerknęła na niego, gdy inspektor Genette szukał na ekranie Passepartout wiersza, o którego przeczytanie poprosili nowożeńcy. Wahram chyba tylko podziwiał widoki. Poranek jeszcze nie minął i słońce oślepiało wszystkich niemal jak na Merkurym. Mars był wielką planetą.

Pary nad i pod terasą Wahrama i Swan celebrowały swoje śluby. Teren był tak wielki, a muzyka zróżnicowana, że każda uroczystość wydawała się zamknięta w osobnej bańce, jednak ogólne widoki i odgłosy tworzyły

wspólne tło dla wszystkich ślubów.

W bańce Wahrama i Swan po równo reprezentowany był Saturn i Merkury. Na uroczystość przybył Mqaret, a także Wang, Kiran i część zespołu pracującego na farmach Terminatora. A także Zasha. Ze wspólnoty Wahrama przyleciała Dana i Joyce oraz Satyr z Pana. Wszyscy zgromadzili się bez porządku wokół podwyższenia, ale łatwo było rozróżnić przedstawicieli obu populacji – Saturnijczyków w czerni, szarościach i błękitach, Merkurian w czerwieni i złocie. Była też grupa Marsjan, dawnych przyjaciół inspektora Genette’a, wielu z nich małych. Chyba wszyscy mieli zamierzali później się zebrać i pośpiewać ulubione piosenki, jak „Spotkałem ją w knajpie na Fobosie”, „Śliczna Rita, parkingowa” albo „Chodźmy zobaczyć czarodzieja”.

Wszyscy goście wyglądali na zadowolonych. Patrzyli na innych z uśmiechem. Nasi przyjaciele robią coś szalonego, mówiły ich oczy, szalonego i wspaniałego, czy to nie piękne? Miłość – jakiś przeskok wyobraźni. Niewytłumaczalny. Zanosilo się na niezłą zabawę.

Inspektor Genette, stanawszy na mównicy, mógł patrzeć nowożeńcom prosto w twarz. Splótł ich dłonie i oznajmił:

– Wy dwoje, Swan i Wahramie, zdecydowaliście się pobrać i zostać partnerami na całe życie, dopóki śmierć was nie rozłączy. Wahramie, czy to potwierdzasz?

– Potwierdzam.

– Swan, czy to potwierdzasz?

– Tak.

– Niech się zatem stanie. Żyjecie razem, a wszyscy tutaj niechaj was w tym wspierają. Przeczytam teraz wiersz, który doskonale opisuje symbiogenezę, jaką zamierzacie stworzyć:

Umysł w umysł –

Krew we krwi –

Dwa istnienia – jedno życie – teraz –

Całe życie – by poznać nawzajem –  
Ty ch, który ch nigdy poznać nie możemy –  
By le dowiedzieć się – co nas zastanawia –  
Bez leksy konu!<sup>[5]</sup>

Inspektor uśmiechnął się, gdy skończył, po czym uniósł dłoń.

– Z nadanej mi przez was, Przymierze Mondragonu, a nawet przez Mars władzy ogłaszam, że Swan Er Hong i Fitz Wahram za obopólną zgodą są małżeństwem.

Genette zeskoczył z mównicy. Swan i Wahram odwrócili się i pocałowali, a potem popatrzyli na rozradowanych przyjaciół oraz znajomych. Puzony wygrywały oszałamiający finał Brahmsa. Swan wzięła złotą obrączkę od inspektora, który świetnie wyglądał w tej roli, po czym ujęła lewą dłoń Wahrama. Tytan zmrużył oczy, patrząc na zbocze Góry Olimp w zamyśleniu, niemal melancholijnie. Gdy Swan uściśnęła mu palce, przeniósł na nią wzrok.

– Cóż – na ustach zagościł mu ten niemal niedostrzegalny uśmiech – teraz chyba czeka nas przejście drugiej połowy tunelu.

– Nie! – wykrzyknęła Swan, uderzywszy go w pierś, po czym wcisnęła mu obrączkę na palec serdeczny. – To jest życie.

---

<sup>[5]</sup> Emily Dickinson, wiersz 246, przekład własny.

---

## PODZIĘKOWANIA

Wyrazy wdzięczności za pomoc dla: Charlesa Becka, Hadasa Blindera i komisji Clariona 2011, Michaela Blumleina, Williama Burlinga, Boba Craisa, Johna Cumbersa, Paula di Fillipo, Rona Drummonda, Jamesa Haughtona, Charlesa R. Ilia, Louisa Neala Irwina, Fredrica Jamesona, Kimona Keramidasa, Stephanie Langhoff, Darlene Lim, Chrisa McKaya, Andrew Matthews, Pameli Mellon, Michaela Montaguea, Lisy Nowell, Kriss Ravetto-Biagioli, Davida Robinsona, Tima Robinsona, Pameli Ronald, Cartera Scholza, Marka Schwartz, Michaela Simsa, Seana Stewarta, Carol Stoker, Sharon Strauss, Sławka Tułaczyka, Ralpha Vicinazy, i Donalda Weslinga.

Specjalne podziękowania dla Tima Holmana.

Dziękuję również za dzieła sztuki: Marinie Abramovic, Andy emu Goldsworthy emu, i Johnowi Dos Passos.